

AMBER mizar

DALE BROWN

SREBRNA

WIEŻA



DALE BROWN

Przełożyli LILIANA OSIĄK,
TADEUSZ CZARKOWSKI

SPEDDIA WILZA



Tytuł oryginału SILVER TOWER

Opracowanie graficzne Studio Graficzne FOTOTYPE

Redaktor

DOROTA KIELCZYK

Redakcja techniczna

ELŻBIETA STEFAŃSKA

Copyright © 1988 Dale F. Brown

For the Polish edition

Copyright © 1993 by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

Published in cooperation with

Wydawnictwo Mizar Sp, z o.o.

ISBN 83-7082-164-2

Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

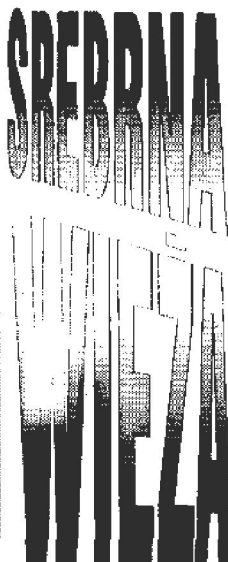
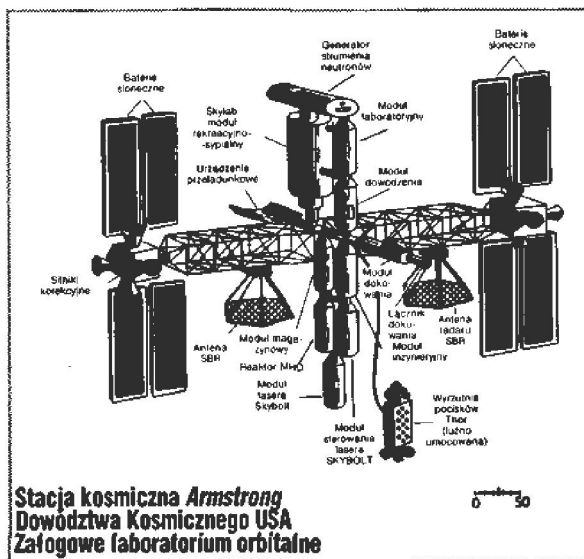
Warszawa 1993.

Wydanie I

Skład: Zakład Fototype w Milanówku

Druk:

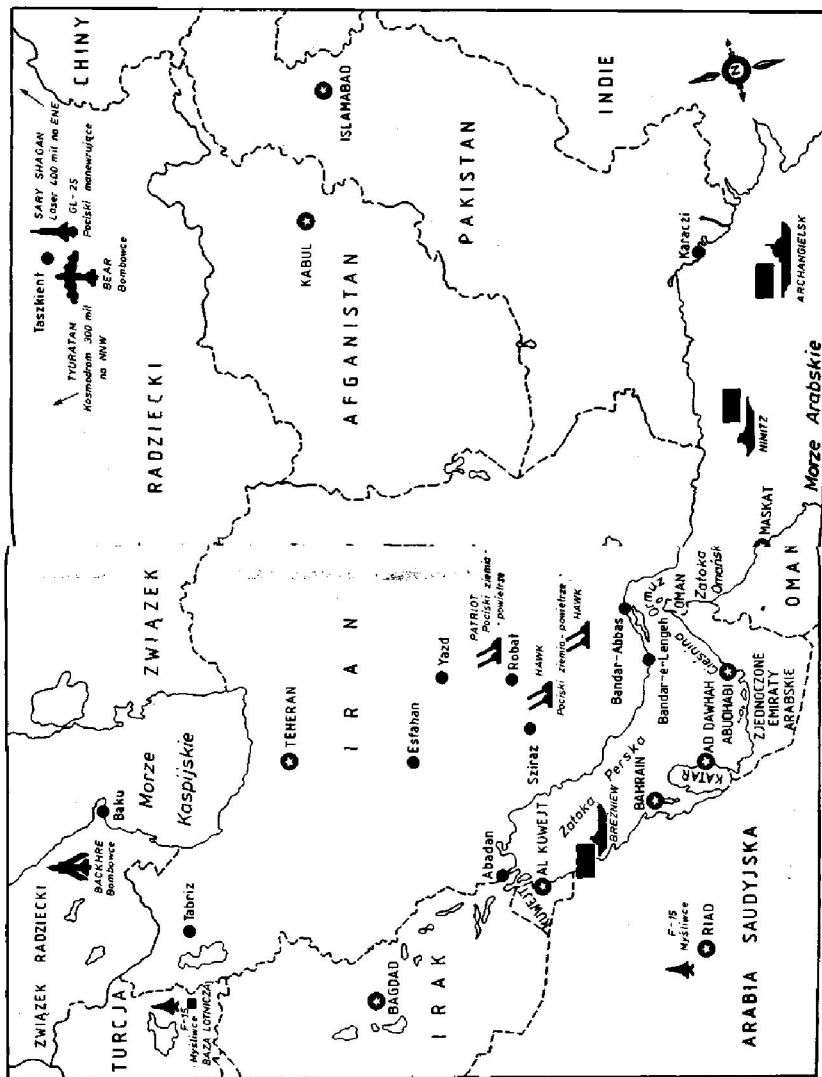
Wojskowa Drukarnia w Łodzi



Silver Tower dedykuję mojemu Ojcu, który pracował po godzinach, aby zarobić na teleskop dla mnie. To dzięki niemu zainteresowałem się gwiazdami.

Książkę dedykuję również mojej Mamie, która poświęciła wiele dni i nocy na wożenie mnie na różne wystawy naukowe po całym stanie Nowy Jork, abym mógł tam zaprezentować swój teleskop.

Wasza miłość do mnie i cierpliwość opłaciły się. Widzicie, do czego to wszystko doprowadziło?



Powieść ta jest fikcją literacką.
Wszystkie postacie, wydarzenia i
miejsca, w których toczy się akcja, są
wytworem wyobraźni autora. Jakie-
kolwiek podobieństwo do rzeczywi-
stych wydarzeń, miejsc, organizacji
lub osób żyjących bądź zmarłych jest
wyłącznie przypadkowe i nie zamie-
rzone przez autora ani wydawcę.

Rozdział 1

Luty 1992

PACYFIK

Trzysta mil na wschód od Tokio lotniskowiec CV-64 USS *Constellation* płynął po spokojnych falach północnego Pacyfiku. Poruszał się z prędkością tylko sześciu węzłów, co ledwo wystarczało do zachowania sterowności. Ten zbudowany trzydzieści lat temu lotniskowiec klasy Kitty Hawk, o wyporności osiemdziesięciu tysięcy ton, był otoczony armadą jedenastu mniejszych okrętów eskortujących oraz innych nawodnych jednostek bojowych, płynących w szyku heksagonalnym.

Na *Constellation* panowało wielkie ożywienie. Dwa myśliwce bombardujące F/A-18E Hornet w pełnej gotowości bojowej stały w swoich katapultach na pracujących silnikach, czekając na moment, w którym potężna siła wyrzuci je w powietrze, nadając im przyspieszenie stu czterdziestu węzłów w ciągu trzech sekund. Dwa następne F-18, na zasilaniu zewnętrznym, były ustawione bezpośrednio za deflektorami katapult, gotowe do startu w następnej kolejności. Śmigłowiec transportowy CH-53F Super Sea Stallion III, z obracającym się powoli wirnikiem o średnicy siedemdziesięciu pięciu stóp, stał na pokładzie startowym tuż obok pomostu nadbudówki. Inny unosił się w powietrzu w odległości kilkuset stóp od rufy, gotowy na rozkaz usiąść na pokładzie. Wody za lotniskowcem były patrolowane przez innego rodzaju drapieżniki. Trzy atomowe szturmowe okręty podwodne typu Los Angeles unosiły się prawie nieruchomo w ciepłych prądach Pacyfiku. Ich wyrafinowane czujniki elektroniczne rejestrowały, katalogowały, analizowały i oceniały absolutnie każdy dźwięk w oceanie na wiele mil dookoła. Każda z czterech wyrzutni torpedowych okrętu była załadowana pociskami dalekiego zasięgu ASW*/SOW*, służącymi do zwalczania okrętów podwodnych, a każda wyrzutnia pionowa zawierała pociski Sub-Harpoon przeciwko okrętom nawodnym.

* Objasnienia skrótów opatrzonych gwiazdką znajdują się w *Słowniczku* zamieszczonym na końcu książki (*przyp. red.*).

Mężczyzna zasiadający w fotelu kapitańskim na mostku *Constellation* nie dostrzegł niczego prócz grupy bojowej, skupionej wokół lotniskowca. Uważnie wpatrywał się w piętnastocalowy ekran radarowy, śledząc trzy bardzo duże sygnały na jego obrzeżu. Po chwili podniósł wzrok znad ekranu i, mrużąc oczy, spojrzął na horyzont, na północ, gdzieś między amerykański atomowy krążownik raketowy *USS Long Beach* i małą fregatę *USS Lockwood*.

– Chyba je widzę – powiedział prezydent Stanów Zjednoczonych. Dwóch wyższych urzędników znajdujących się na mostku spojrzęło na siebie z powątpiewaniem – nikt, nawet prezydent, nie mógł dojrzeć żadnego statku z odległości dwustu mil.

– Panie prezydencie – odezwał się kontradmirał Bennett Walton. – To, co pan widzi, to chyba *Jouett*, jeden z naszych czterech eskortowych niszczycieli raketowych.

Prezydent ponownie spojrzął na ekran radaru i wskazał jeden z dużych sygnałów.

– Czy to *Jouett*? Chyba jest bardzo daleko.

– *Jouett* znajduje się w odległości ośmiu mil, chociaż ze względu na mgłę wydaje się, że jest dalej.

Prezydent mruknął coś w kierunku ekranu, a jego twarz stała się jeszcze bardziej skupiona, kiedy dojrzał, jak trzy sygnały zbliżają się do środka ekranu.

– Kto to jest, do diabła, admirał?

Walton uśmiechnął się.

– To jest *Kirow*, panie prezydencie, największy na świecie krążownik raketowy, a obok niego płyną *Krosina*, też krążownik raketowy i *Kriesta*, krążownik do zwalczania okrętów podwodnych.

– Żadnego lotniskowca? Myślałem, że Rosjanie postarają się dorównać sile zgrupowania *Constellation*.

– Panie prezydencie – wtrącił sekretarz obrony Linus Edwards – oni nie mogą równać się nawet z małą grupą bojową *Constellation*. I nawet nie powinni próbować.

Prezydent udał, że nie słyszy. Sekretarz obrony był kiedyś kapitanem marynarki wojennej i wciąż jeszcze uważał, że flota wojenna Stanów Zjednoczonych ma prymat na wszystkich wodach świata, co oczywiście nie pozostawało

bez wpływu na jego opinie. Prezydent ponownie zwrócił się do Waltona:

– Czy niepokoi pana, że *Kirow* płynie za nami, chociaż jest oddalony o dwieście mil?

– Panie prezydencie, jak dla mnie, *Kirow* jest o pięćset mil za blisko. Dysponuje solidnym kopem, a jest tylko o dwieście mil od nas. A ponieważ jesteśmy zaledwie około tysiąca mil od Władywostoku, ich największej bazy morskiej na Pacyfiku, powinniśmy dziękować Bogu, że tropi nas tylko jedna duża jednostka.

Spojrzał na mapę Morza Japońskiego oraz Azji Wschodniej, wiszącą na grodzi nad urządzeniem radarowym. – Jeśli chodzi o mnie – kontynuował – to bardziej interesuje mnie ich lotnictwo morskie stacjonujące we Władywostoku. Zlokalizowano tam siły odpowiadające czterem naszym grupom lotnictwa morskiego i dziewięciu skrzydłom ciężkich bombowców. Wystarczy, aby ze dwa razy dokonać inwazji na Japonię. Dodatkowo niebezpieczeństwo stanowi ich najnowszy zespół bojowy z lotniskowcem *Archangielsk* na czele.

– Ale *Constellation* i jego eskorta dysponują wystarczającą siłą ogniową, żeby skontrolować wszystko, co Rosjanie mogą użyć przeciwko nam – rzucił Edwards – jeśli będą do tego stopnia nieostrożni, aby cegokolwiek próbować.

Walton przeszedł do drugiego ekranu znajdującego się obok głównego radaru kontroli obszaru morskiego.

– Panie prezydencie, tutaj widać wszystkie samoloty w promieniu pięćset mil. Wszystkie są albo nasze, albo japońskie, z wyjątkiem tego jednego – Walton wskazał podświetlony sygnał na samym brzegu ekranu.

– To jest IŁ-76G, turbodrzutowy samolot szpiegowski – wyjaśnił. – Może prowadzić nasłuch naszej łączności, badać emisję radarową, namierzać położenie wszystkich okrętów. Przypuszczamy, że może również śledzić przebieg dzisiejszej próby.

– Ile mamy czasu do rozpoczęcia? – zapytał prezydent.

– Możemy zaczynać w każdej chwili, panie prezydencie – odparł Linus Edwards, patrząc na zegarek.

– Wszyscy są na stanowiskach – dorzucił Walton. – Powinni właśnie kończyć ostateczną kontrolę przedstartową. Stacje śledzenia i kontroli lotu oraz poligon raketowy White Sands zgłosiły swoją gotowość.

Prezydent kiwnął głową i wyszedł na odkryty pomost znajdujący się przed stanowiskiem dowodzenia. Sekretarz obrony Edwards i kontradmirał Walton poszli za nim razem z Neilem McDonoughem, doradcą z Narodowej Rady

Obrony, oraz niewielką grupą ludzi z ochrony. Wiatr rozwiewał srebrne włosy prezydenta, a on sam z przyjemnością wdychał ostre morskie powietrze.

– No i w końcu to zrobimy! – zawołał z podnieceniem, przekrzykując odgłos silników odrzutowych pracujących na ogromnym, liczącym siedemdziesiąt cztery tysiące stóp kwadratowych powierzchni, pokładzie *Constellation*. – Czekałem na tę próbę od wielu miesięcy.

– Muszę przyznać – powiedział Edwards – że czuję się trochę nieswojo w związku z tą całą sprawą. – Nawet nie próbował przekrzyknąć docierającego tu, z położonego siedemdziesiąt stóp niżej pokładu startowego, hałasu śmigłowców i maszyn.

– To będą pierwsze międzykontynentalne pociski, wystrzelone ponad biegunem z Azji na Stany Zjednoczone. I to my je wystrzelimy – dodał. Nawet wzięwszy pod uwagę, że głowice Tridentów są nie uzbrojone, czuję się nieswojo.

– Twoja niezbyt entuzjastyczna opinia o systemie obrony przeciwrakietowej ma swoje podstawy, Lee – powiedział prezydent. – To właśnie jest jeden z powodów, dla których zarządziłem tę próbę. Twoje zdanie ma ogromne znaczenie. Jeśli ty nie będziesz usatysfakcjonowany pracą systemu obrony kosmicznej, inni też nie będą. Ale jeśli potrafię cię przekonać, jak jest znakomity, myślę, że uda mi się to udowodnić także innym, nawet Rosjanom.

– Ale czy naprawdę niezbędna jest próba na taką skalę? – zapytał Edwards. – Sześć dziesięciogłowicowych pocisków D-5, lecących nad całą Kanadą i Stanami Zjednoczonymi? Nigdy jeszcze nie wystrzelono międzykontynentalnych pocisków balistycznych nad biegunem.

– Masz chyba na myśli, że to my nigdy tego nie robiliśmy – sprostował prezydent. – Złapaliśmy jednak na tym Rosjan, którzy wysyłali pociski z Murmańska w Europie na własne poligony w Azji. Poza tym istnieją dowody, że wystrzelili także pociski zwiadowcze nad Kanadę, aby wypróbować nasze systemy wczesnego ostrzegania. A więc nasza akcja nie będzie precedensem.

Edwards chciał coś powiedzieć, ale prezydent ciągnął dalej.

– Ta próba jest bardzo ważna, Lee. Niezależnie od tego, jak bardzo wyrażony jest system, ludzie pozostaną sceptyczni aż do momentu, kiedy zobaczą, jak on działa. Centrum Kontroli Lotów Kosmicznych informuje Kongres prawie co miesiąc o rezultatach swoich prób symulacyjnych, a jednak nikt nie wierzy, że antyrakiety Thor są aż tak dobre. Nadszedł czas, aby ich o tym przekonać. – Wyciągnął rękę w stronę horyzontu, gdzie poza zasięgiem wzroku

znajdowały się trzy radzieckie statki. – Te sukinsyny chcą mieć przedstawienie, to im je zafundujemy.

Wrócił na mostek i skinął głową do admirała Waltona:

– Zaczynamy.

Walton uśmiechnął się i wskazał na tablicę kontrolną, zamontowaną na przedniej ścianie pulpitu sterowniczego. Prezydent bez wahania pochylił się nad nią i przekręcił duży klucz z brązu w trójkątnym zamku. Natychmiast zapaliło się światelko z napisem ODPALENIE i rozległ się przeraźliwy dźwięk syreny, słyszalny na całej *Constellation*.

Z ogłuszającym łoskotem, w odległości niecałych dwóch mil od lotniskowca, wzniosł się potężny gejzer wody i z morza wyłonił się olbrzymi biały obiekt, podobny do ryczącego wieloryba. Wzniosł się nad powierzchnię wody na jakieś trzydzieści stóp, a potem przez chwilę wydawał się opadać. Pojawił się ogromny słup ognia i silnik Tridenta D-5/III, pocisku balistycznego na paliwo stałe, uruchomił się. Pocisk ze swoimi dziesięcioma zabezpieczonymi głowicami bojowymi z rykiem poleciał w górę.

Pierwszy Trident jeszcze nie osiągnął pełnej mocy, kiedy już następny wyrzucił się ponad powierzchnię wzburzonego oceanu. USS *Pensylwania*, siódmy i najmłodszy członek nowej flotyli okrętów podwodnych klasy Ohio, rozpoczął wyrzucanie swego śmiertelnościanego ładunku z częstotliwością jeden pocisk na dziesięć sekund. Plama białej, gorącej piany rozciągała się od wyrzutni *Pensylwanii* aż do *Constellation* i jej eskorty. Tysiące ludzi na pokładach okrętów obserwowało w napięciu to pełne grozy widowisko.

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG*

– Kapitanie, melduję wykrycie wystrzelenia pocisków.

Generał Jason Saint-Michael błyskawicznie odstawił kubek kawy na specjalną matę velcro na wrędze i przeniósł się do głównych sensorów na konsoli operacyjnej. Na multisensorowym monitorze o wymiarach dwie na trzy stopy, na tle mapy półkuli północnej, pokazał się biały krąg koło Japonii. Po kilku sekundach na sąsiednim, mniejszym monitorze pojawił się odczyt pozycyjny. Twarz generała nabierała powagi w miarę czytania wydłużającej się kolumny cyfr.

– Trzysta mil na zachód od Tokio, kapitanie – zgłosił operator. – Bez wątplenia to próby raketowe.

– Uwaga, wszystkie sekcje – rzucił Saint-Michael. – Stan pogotowia, manewry rozpoczęte.

Poprawił miniaturowe słuchawki i wrócił na fotel dowódcy. Był to jedyny fotel w punkcie dowodzenia w pierwszej na świecie kosmicznej stacji obrony strategicznej. Przypiął się pasami. Z tego miejsca mógł ogarnąć wzrokiem wszystkie konsole znajdujące się w tym neuralgicznym punkcie stacji. Wyciągnął notes, z którym się nigdy nie rozstawał, i przycisnął go do maty velcro na poręczy fotela, aby nie unosił się w powietrzu. Generał, rzucając rozkazy załozdze, pokrywał kartki notesu nieczytelnymi zygzakami.

– Okay – odezwał się dowódca – zobaczymy, czy uda się nam randka z tymi ślicznotkami. Radio, przekazać ostrzeżenie do Dowództwa Lotów Kosmicznych i prosić o potwierdzenie, czy to tylko ćwiczenia.

– Mam kontakt z dowództwem, generale – padła odpowiedź przez radio. – Szyfr ćwiczebny przekazany i potwierdzony.

Generał chrząknął.

– Zabierzmy się do nich po kolei.

– Nasz radar SBR rejestruje sześć wystrzelonych pocisków – poinformował operator sensorów. – SBR namierza... potwierdza pozycję wszystkich sześciu pocisków.

SBR to skrót nazwy *space based radar*, radar kosmiczny. Urządzenie to składa się z dwóch ogromnych anten fazowanych, każdej wielkości boiska piłkarskiego, umieszczonych na powierzchni stacji. Z powodu nieważkości wielkość anten nie ma znaczenia i dlatego radar umieszczony na stacji kosmicznej *Armstrong* mógł być o wiele większy i silniejszy niż radary naziemne. SBR mógł wyszukiwać we wszystkich kierunkach cele odległe o wiele tysięcy mil od stacji i wykrywać obiekty wielkości już od dwóch metrów zarówno w kosmosie, jak i na Ziemi. Chociaż skrót SBR oznaczał radar kosmiczny, to na całość składał się zespół czujników znajdujących się na pokładzie stacji, służących do wykrywania i namierzania obiektów w kosmosie. Były to czujniki radarowe, na podczerwień, optyczne, Dopplera, wykrywacze anomalii magnetycznych, radiowe, radiacyjne i laserowe.

Czterej operatorzy Saint-Michaela pracowali szybko, komunikując się za pomocą urywanych, beznamiętnych, dobrze wyćwiczonych haseł. Jeszcze na Ziemi ciężko pracowali przygotowując się do tej niezwykle ważnej próby, wiedzieli, że patrzy na nich cały świat.

– Co z naszą orbitą? – zapytał Saint-Michael.

– Powinniśmy być w punkcie, gdzie możemy złapać fazę startu i fazę środkową – odpowiedział operator.

Stacja *Armstrong* krążyła po eliptycznej orbicie polarnej siedemset na sto mil, której centrum znajdowało się mniej więcej nad biegunem północnym. Ponieważ północna część orbity była bardziej oddalona od Ziemi, stacja spędzała dwie i pół godziny ze swojej trzygodzinnej orbity nad biegunem, aby móc dłużej śledzić rakiety wystrzeliwane w kierunku północnym.

– Rakiety powyżej atmosfery dochodzą do pułapu stu mil – meldował operator przy głównej konsoli.

– Rakiety Thor gotowe do odpalenia – zgłosił drugi operator.

Generał skinął głową. Rakiety Thor SBM-29A były bronią antybalistyczną stacji. Przypominały długie, metalowe cygara i choć miały budowę dość prostą, wykazywały dużą skuteczność. Było ich dziesięć, załadowanych w przenośną wyrzutnię-garaż, luźno umocowaną do kilku stalową liną. „Garaż” raketowy wyposażono w silniki sterujące, które kierowały głowice na atakujące rakiety międzykontynentalne i były zdalnie sterowane przez czujniki stacji.

– Wszystkie sześć ICBM* za mniej więcej dwie minuty wygaszą silniki – meldował operator głównego sensora. – Zbliżamy się do granicy zasięgu naszego ognia.

– Przygotować się do odpalenia rakiet! – wydał rozkaz Saint-Michael. – Pierwsze trzy Thory włączyć na automatyczne przechwycenie w fazie działania silników ICBM. Czwarty sterowany przez SBR, przechwycenie w fazie średniej lotu. Nastaw piąty na automat. Szósty naprowadzamy ręcznie w fazie średniej – to zadanie dla Jeffersona. Pozostałe – pełne sterowanie automatyczne, na wypadek gdyby któraś miała się wymknąć.

Palce operatora biegały po klawiaturze.

– SLBM-y* zbliżają się do optymalnego zasięgu.

Saint-Michael zwrócił się do głównego operatora sensorów, sierżanta Jake'a Jeffersona.

– Gotowe, Jake?

Jefferson skinął głową, trzymając palec na klawiszu. Generał przełączył się na interkom.

– Uwaga, stacja. Przygotować się do odpalenia rakiet. – Oparł się mocniej i zacisnął palce. – Odpalić wszystkie rakiety.

– Tak jest, odpalić rakiety.

Klawisz został wciśnięty.

Radarowy komputer naprowadzający podawał dane do wyrzutni rakiet, sterując je w stronę sześciu wystrzelonych z morza pocisków balistycznych, lecących z prędkością tysięcy mil na godzinę. Trzy rakiety przechwytyjące Thor również otrzymywały precyzyjne dane naprowadzające od czujników radarowych SBR, dlatego ich czujniki pokładowe dokładnie wiedziały, gdzie szukać pocisków SLBM, wystrzelonych z morza.

Z pozostałych siedmiu rakiet Thor dwie wystartowały bezpośrednio po wydaniu rozkazu przez Saint-Michaela. Pierwsza z nich była kierowana wyłącznie przez potężny radar SBR oraz inne czujniki symulujące usterkę instrumentów naprowadzających rakiety. Druga rakietka, symulująca usterkę wszystkich kanałów przekazujących dane ze stacji *Armstrong*, sterowała się samodzielnie za pomocą pokładowych czujników na podczterwień.

Pomimo tych usterek, celowo spowodowanych przez operatorów, obie rakietki zachowywały się bez zarzutu. Każdy Thor miał dwustopniowy silnik na paliwo płynne o ciągu dziesięciu tysięcy funtów, który dawał rakiecie, ważącej cztery tysiące funtów, przyspieszenie piętnastu tysięcy mil na godzinę w ciągu zaledwie kilku sekund. Wkrótce po odpaleniu silników, z korpusu rakiety rozwijała się stalowa siatka o ponad stustopowej średnicy. Efektywnie zwiększała ona zasięg niszczenia rakiety.

Dwa pierwsze pociski przechwytyjące Thor nie zdążyły rozwinąć siatki. Czujniki radarowe na pokładzie stacji kosmicznej zdetonowały głowicę bojową z materiałem wybuchowym o wadze tysiąca funtów w pierwszej rakiecie o ułamek sekundy wcześniej, niż ta uderzyła w górny człon pocisku balistycznego SLBM, rozdarła płaszcz ochronny jego głowicy bojowej i zniszczyła czułą elektronikę bezwładnościowego systemu nawigacyjnego. Górny człon pocisku pokoziołkował w przestrzeń kosmiczną. Druga rakietka Thor, sterowana własnym radarem umieszczonym w głowicy, uderzyła bezpośrednio w górny człon SLBM, w chwilę po wyłączeniu silnika członu trzeciego i kompletnie zniszczyła cały pocisk.

– Dwa trafienia potwierdzone – zameldował operator na stacji kosmicznej, a cała załoga wydała okrzyk radości. Saint-Michael mocno uchwycił poręcz fotela i pozwolił sobie na lekki uśmiech.

To było sygnałem dla Jeffersona. Nabrał głęboko powietrza i włączył przycisk na swojej konsoli ręcznego sterowania, odpalając rakiety, która miała być naprowadzana ręcznie.

– Szósty Thor poszedł – zgłosił.

Ułamek sekundy później komputery przechwytyjące stacji *Armstrong* wykazały, że dwa pierwsze pociski balistyczne znajdują się w odpowiednim zasięgu i dwa pierwsze, w pełni zautomatyzowane Thory zostały wystrzelone z wyrzutni za pomocą sprężonego azotu.

– Thory jeden, dwa poszły.

Saint-Michael zwrócił się do Jeffersona.

– Dobra robota, Jake. Pokaż tym facetom na dole, co potrafią astronauty.

Opierając się na danych telemetrycznych SBR, Jefferson nacisnął klawisz uruchamiający silniki Thora i rozwinął stustopową siatkę. Na monitorze komputera widać było symbol szóstego wystrzelonego z morza pocisku balistycznego, a okrągły kursor na ekranie, przedstawiający antyrakietę, pędził za nim oddalając się coraz bardziej od stacji *Armstrong*.

Jefferson środkowym palcem prawej dłoni delikatnie nacisnął umieszczony na konsoli naprowadzania przycisk aktywujący, a kciuk położył na trackballu. Dopóki naciskał klawisz, najmniejszy ruch kuli włączał niewielkie silniki korekcyjne na kadłubie rakiety, naprowadzając ją na cel. Zadaniem Jeffersona było utrzymanie pocisku SLBM w centrum kursora aż do momentu zderzenia.

– Bezpośrednie trafienie Tridenta numer jeden – zgłosił operator. – Thor dwa, dziesięć sekund do trafienia. Thor trzy – odpalenie...

– Trzy trafione na sześć – powiedział Saint-Michael. – Dobrze, ale to jeszcze nie to...

– Prawdopodobne trafienie Tridenta dwa – to był następny meldunek. – Cztery z sześciu zniszczone...

– Znakomicie. – Generał był wyraźnie zadowolony. – Znakomicie.

– Nie ma trafienia. Trident trzy chybiony – zgłosił operator. – Siatka nie rozwinęła się, nie ma detonacji zbliżeniowej.

Saint-Michael poczuł nerwowe mrowienie w palcach. Skupił się jeszcze bardziej.

– Aktywacja automatycznego odpalenia Thora numer siedem – rzucił szorstko.

Operator przewidział jego rozkaz i rakietę już wynurzała się z wyrzutni.

Jefferson miał również swoje problemy. Saint-Michael pochylił się nad nim.

– Zupełnie jakbym chciał nawlec igłę w rękawicach do baseballa – mruknął Jefferson. Odważył się na chwilę odwrócić od monitora i rzucić okiem na wskaźniki paliwa. – Zużyłem już trzy czwarte paliwa do silników korekcyjnych. To się staje zabawą w kotka i myszkę...

– Spokojnie, szefie – powiedział generał. – Już go masz. Teraz spokojnie.
– Przekonywał samego siebie.

– Tridenty trzy i sześć zbliżają się do momentu rozdzielenia głowic...

Saint-Michael odchylił się do tyłu i spojrzał nerwowo na spoconą rękę Jeffersona. Dwa pozostałe SLBM-y były prawie gotowe do odpalenia głowic. Każda z dziesięciu mniejszych głowic bojowych Tridenta miała się oddzielić od członu nośnego i niezależnie kierować do celu. Gdyby tak się stało, zniszczenie ich byłoby prawie niemożliwe.

Kciuk Jeffersona ledwo dotykał powierzchni kuli, próbując skierować antyrakietę w kierunku członu bojowego. Kursor wskazujący tor lotu pocisku SLBM zachowywał się coraz dziwniej. Palec Jeffersona drżał lekko, kiedy próbował odzyskać kontrolę nad pociskiem.

– Masz go, Jake! Teraz spokojnie...

– Nie trafię – wycedził Jefferson przez zaciśnięte zęby.

– Niech pan odpali następną rakietę. Natychmiast. To się nie może nie udać.

Wskaźniki na konsoli Jeffersona zastygły w bezruchu, ale on tego nie zauważył. Był całkowicie pochłonięty zgrywaniem obu kursorów, chociaż właściwie nie mógł już ich kontrolować.

– Udało się! – krzyknął Saint-Michael, odczytując zastygłe cyfry. – Dwadzieścia pięć stóp siatki i detonacja. Dobry strzał, szefie. – Jefferson kiwnął głową z podziękowaniem i odsunął spoconą rękę od trackballa.

– Rozdzielenie głowic Tridenta trzy — meldował operator. – Thor siódmy jest... – zatrzymał się studiując komputerową analizę danych z czujników.

– Wygląda na to, że siódmy Thor zagarnął siatką wszystkie głowice, tuż po ich rozdzieleniu... poza jedną – powiedział. – Siedzę pojedynczy cel. Jej tor jest trochę nierówny, ale myślę, że wejdzie w atmosferę nie uszkodzona.

– Czy trafi w poligon White Sands? – zapytał generał.

Po nieskończeniu długiej chwili, w czasie której Saint-Michael rozważał wypuszczenie następnego Thora w pościgu za głowicą, odezwał się operator.

– Potwierdzam, kapitanie. W obrębie poligonu, ale co najmniej pięć mil poza celem. Nie ma trafienia.

– Okay... No, nie udało się jej unieszkodliwić, ale przynajmniej daliśmy jej takiego kuksańca, że zeszła z kursu. I mamy pięćdziesiąt dziewięć głowic na sześćdziesiąt...

– Efektywność dziewięćdziesiąt koma trzydzieści trzy procent – dodał pułkownik Wayne Marks, zastępca dowódcy do spraw technicznych, i poklepał operatorów pokładowych po plecach, wyrażając swoje uznanie.

– Jak na strzelnicę na wiejskim jarmarku, można by rzec.

Saint-Michael sięgnął po kubek z kawą.

– Chyba że znajdziesz się w zasięgu tej jednej, pozostałej głowicy – zauważył.

USS *CONSTELLATION*

– Bardzo dobrze – powiedział kontradmirał Bennett Walton. Odłożył na widełki słuchawkę telefonu oznakowanego literami CIC* i spojrzął na prezydenta.

– Panie prezydencie, Cheyenne Mountain melduje, że pojedyncza, nieuzbrojona głowica 21C spadła na poligon rakietowy White Sands.

Prezydent poczuł, że robi mu się gorąco z podniecenia. Z uśmiechem zwrócił się do sekretarza obrony:

– Jedna głowica? Tylko jedna?

– Tak jest, panie prezydencie – odparł Walton. – Zeszła z kursu i nie trafiła w cel. Nawet gdyby była uzbrojona, kula ognista nie objęłaby celu. Łączność mówi, że meldunek ze stacji *Armstrong* jest przekazywany przez CIC.

Prezydent ścisnął ręce wszystkim dookoła, a potem rozsiadł się wygodnie w fotelu dowódcy lotniskowca i powoli popijał kawę.

– Cholera, chyba się udało...

KREML, ZSRR

Poprzez śnieg wirujący za potrójnymi szybami minister obrony Związku Radzieckiego, Siergiej Czilikow z trudem mógł dostrzec rzekę Moskwę i nową Szosę Warszawską spinającą południowy brzeg z północnym. Obserwował, jak milicja próbuje skierować ruch w inną stronę z powodu kolizji drogowej na środku alei Bakowskiej, koło nowego centrum administracyjnego Kremla. Nadchodziła kolejna ciężka zima.

Czilikow odwrócił się od wiejącej chłodem sceny za oknem, ale w środku było tak samo zimno i przygnębiająco. Wokół podłużnego, dębowego stołu, w przepaścistym gabinecie siedzieli członkowie Kolegium Radzieckiej Naczelnej

Rady Wojskowej. Kolegium składało się z trzech wiceministrów obrony, generała KGB, dowódców pięciu rodzajów broni Armii Radzieckiej oraz pięciu generałów reprezentujących różne służby pomocnicze i rezerwowe. Piętnastu mężczyzn, sześciu w garniturach ozdobionych medalami i baretkami, reszta w mundurach wojskowych, ale żaden z nich, nawet Czilikow, nie był poniżej sześćdziesiątki. Wszyscy oprócz jednego, względnie młodego przewodniczącego KGB, Liczizewa, byli bohaterami Związku Radzieckiego.

Otaczali ich doradcy i sekretarze, siedzący na twardych, składanych, metalowych krzesłach, ustawionych pod ścianami pokrytymi stuletnimi gobelinami. Przy dwojgu ciężkich dębowych drzwi prowadzących do sali stało dwóch strażników z elitarnej straży kremlowskiej. Uzbrojeni byli w pistolety maszynowe AKSU.

Każdy z siedzących w tej wielkiej, zimnej komnacie wyglądał na zdenerwowanego. Czilikow wiedział, czego się spodziewają. Kiedy zbliżył się do nie zajętego miejsca na szczycie stołu konferencyjnego, zgiełk głosów ucichł natychmiast.

– Musimy zaatakować – powiedział.

Twarze piętnastu mężczyzn pozostały kamienne i ponure. Bezrozumne było – pomyślał Czilikow. Nowy I sekretarz miał taki wpływ na tych niegdyś odważnych żołnierzy, bohaterów Związku Radzieckiego, że większość z nich bała się teraz nawet podnieść wzrok znad stołu. Duch „głasności”, panujący za czasów Gorbaczowa, już dawno został zmiążdżony.

– Raporty wywiadu są jednoznaczne, towarzysze – rozpoczął Czilikow. – Prawie wszystkie frakcje polityczne głoszące idee Chomeiniego zostały pokonane przez siły umiarkowane, a prozachodni rząd umacnia swoje wpływy zarówno wśród ludności, jak i w armii. Irański rząd Alientara obiecał powrót do bogactwa i prosperity z czasów przed Chomeinim, oczywiście przy pomocy Amerykanów. KGB przewiduje, że Irańczycy wyrażą zgodę na ponowne udostępnienie baz powietrznych, morskich i stacji nasłuchowych na terenie Iranu, w zamian za pomoc finansową. Oznacza to, że dostawy broni z Zachodu, które do tej pory były niczym więcej niż przemysłem, wkrótce mogą zacząć płynąć jak wódka.

Czilikow ogarnął zgromadzonych władcym spojrzeniem. Pomimo upływu lat jego oczy wciąż rzucały iskry tak samo jak wtedy, gdy jako młody dowódca czołgu triumfalnie przemierzał Polskę w czasie wojny.

– Nasze wysiłki dążące do skonsolidowania Zakaukazia pod naszymi

rządami, poprzez podsycanie krwawej wojny między Iranem i Irakiem, poszły na marne. Nasz poprzedni przywódca, który bardziej interesował się swoim telewizyjnym „image” niż interesami państw komunistycznych na świecie, nie przewidział, że fanatyzm religijny może być potężną i trwałą siłą, zwłaszcza w Iranie. Niepowodzenia w popieraniu reżimu Saddama Husajna w Iraku poważnie naruszyły rosyjski prestiż. Rezultatem tego jest teraz groźba utraty wpływów na całym Bliskim Wschodzie.

– Czy to możliwe, towarzyszu marszałku? – zapytał wiceminister obrony i dowódca sił zbrojnych, generał Jewgienij Iljanowski. – Przecież nienawiści Irańczyków do Amerykanów nie da się wymazać z dnia na dzień. Tysiące ich zginęło w czasie amerykańskich nalotów bombowych na Teheran i wyspę Kharg niespełna kilka lat temu.

– To były naloty bezmyślnie sprowokowane przez samych Irańczyków, którzy zaatakowali amerykańskie statki w Zatoce Perskiej, jak również zorganizowali akcję terrorystyczną w Waszyngtonie w czasie świąt Bożego Narodzenia – powiedział admirał Czerczerowin, dowódca marynarki wojennej. – Oni chyba mają instynkt samozniszczenia.

– Co może nam być na rękę – wtrącił Licziżew, przedstawiciel KGB. – Jeśli chodzi o stosunek Irańczyków do Amerykanów, to moi agenci w Iranie twierdzą, że obecnie zmienił się na bardziej przyjazny. Opinia publiczna czasami ma wygodnie krótką pamięć, a zdanie kół rządzących zmienia się stosownie do okoliczności. CIA udzieliła poparcia militarnego marionetkowemu rządowi ajatollaha Falaha Alientara. Bardzo efektywnie pomogła mu zmiażdżyć jego przeciwników, tak samo jak wcześniej, za czasów szacha Rezy Pahlawiego, zanim nie zaczęły ich dręczyć wyrzuty sumienia.

– Wniosek z tego, że dawne animozje wygasły – podsumował Czilikow. – A jeśli Stany Zjednoczone i Iran podpiszą porozumienie o przyjaźni i współpracy, wojna irańsko-iraacka zakończy się w ciągu kilku dni. Irak nie odda ani jednego strzału w stronę okrętów amerykańskich, a irański obszar powietrzny stanie się dla nas niedostępny, jeśli amerykańskie samoloty będą mogły tam lądować. Będziemy tak samo bezsilni jak dwadzieścia lat temu w Egipcie.

Członkowie Kolegium nadal milczeli. Następne pytanie wisiało w powietrzu jak ostrze gilotyny, ale nikt nie odważył się go zadać. Czilikow przemknął wzrokiem po twarzach siwowłosych mężczyzn siedzących przy stole.

Czekają na rozkazy, doszedł do wniosku. No to je dostaną...

– Operacja „Pióro” została zaakceptowana przez Politbiuro – powiedział w końcu. – To plan zajęcia Iranu i Zatoki Perskiej oraz kontroli nad nimi. Jego szybka realizacja jest zagadnieniem najwyższej wagi. Musimy zapobiec wejściu amerykańskiej marynarki wojennej i lotnictwa morskiego do Zatoki. Nie może powtórzyć się to, co stało się pięć lat temu. Musimy mieć taktyczną przewagę w Zatoce, zanim Iran oficjalnie poprosi Stany Zjednoczone o pomoc. Ajatollah Lardżani utworzył rząd emigracyjny w Syrii i udało się nam nakłonić go do współpracy. Złoży oświadczenie, że to prozachodni członkowie partii Alientara wtrącili naród w przepaść wojny z Irakiem. Ogłosi również, że wojna była amerykańskim spiskiem wymierzonym przeciwko społeczeństwom islamskim, i wezwie do świętej wojny z marionetkowym reżimem Alientara. – Czilikow zrobił pauzę, aby jego starannie dobrane słowa dotarły do wszystkich. – Następnie ogłosi, że zawarł z prezydentem Iraku Husajnem pakt, który ma doprowadzić do zjednoczenia obu dotychczas walczących ze sobą narodów pod nową flagą i utworzenia Islamskiej Republiki Perskiej.

Czilikow usiadł i skinął głową w stronę pierwszego wiceministra obrony Siergieja Chromiejewa, szefa sztabu generalnego sił zbrojnych. Chromiejew stanął przy szerokim ekranie monitora ustawionego w rogu sali.

– Scenariusz próbny zatwierdziło Politbiuro – zaczął. – Ostatecznym celem operacji „Pióro” jest konsolidacja regionu Zatoki Perskiej pod całkowitą kontrolą wojskową i polityczną naszej partii komunistycznej. Poprzez Radę Obrony partia wydała Sztabowi Generalnemu rozkaz zdobycia wymienionych celów.

Chromiejew wskazał na teczkę, leżącą na długim stole konferencyjnym. Na ekranie pojawiła się teraz szczegółowa mapa komputerowa Zatoki Perskiej.

– Wykonanie zadań zostaje zlecone siłom powietrznym i morskim południowego Teatru Działań Wojennych. Operacja „Pióro” będzie prowadzona przy użyciu wojsk zgromadzonych do operacji „Górska Przejazdzka”, czyli naszych corocznych manewrów na południowym TDW. W ten sposób jednostki zmobilizowane do operacji „Górska Przejazdzka” zostaną na zapleczu zastąpione rezerwowymi aż do czasu zakończenia operacji „Pióro”. Zacznie się od drobnego, ale dramatycznego incydentu. Będzie nim zaatakowanie przez Irańczyków jednego z naszych niszczycieli w Zatoce Perskiej, co wywoła naszą kontrakcję w obronie własnej. Atak irański szczegółowo zaplanują nasi agenci GRU* i KGB na miejscu w Iranie, a użyte do niego zostaną pociski Silkworm

przeciw okrętom nawodnym. Wystrzelone będą z bazy Bandar Abbas w cieśninie Ormuz.

– Mamy już na miejscu całą grupę bojową – kontynuował Chromiejew. – *Leonid Breżniew*, lotniskowiec klasy Moskwa, stacjonuje w Zatoce Perskiej. Grupa bojowa *Breżniewa* nie ma przeciwnika, ponieważ Amerykanie, stwierdzam z przyjemnością, wciąż nie wprowadzili do zatoki żadnego lotniskowca. Chyba z obawy przed akcją odwetową. *Breżniew* ma ze sobą sześć krążowników, dziesięć niszczycieli i dziesięć jednostek pomocniczych. Kiedy niszczyciel *Sowriemiennyj* zostanie zaatakowany, cała ta grupa wykona uderzenie na irańskie porty wojenne w Abadanie, Bandar Abbas i Bushehr. Uzyska ona wsparcie bombowców morskich Tu-95 i Tu-121B startujących z naszych baz w południowym Jemenie. Opanowanie Bandar Abbas zapewni nam kontrolę nad cieśniną Ormuz, która, jak wiecie, jest wąskim gardłem Zatoki Perskiej. Grupa południowego Teatru Działań Wojennych zajmie Teheran przy wsparciu trzech dywizji z Afganistanu, które będą kontrolować granicę wschodnią. Jednostki południowego TDW, Flota Kaspijska i siły irackie opanują granicę zachodnią.

Czilikow dojrzał oznaki zdenerwowania na niektórych twarzach członków Kolegium. Widać było, że nie palą się do wojny. Oczywiście wykonają rozkazy, ale ta operacja przekraczała wszystko, czego się mogli spodziewać.

Chromiejew mówił dalej:

– Siły syryjskie i irackie powstrzymają ewentualną pomoc amerykańską od strony Turcji, a grupa bojowa *Breżniewa* zablokuje dojścia morskie i powietrzne do Zatoki Perskiej, Omańskiej i do Morza Arabskiego.

Czilikow wstał i zwrócił się do członków Kolegium. Na mapie komputerowej widać teraz było symbole sierpa i młota pokrywające cały obszar od Syrii do Pakistanu.

– Za tydzień zajmiemy Iran – powiedział. – Zamach przywróci do władzy islamski rząd Lardżaniego, który, jak już wspomniałem, zjednoczy Iran jako Islamską Republikę Perską. My natomiast zachowamy polityczną oraz wojskową kontrolę nad tym regionem świata i zapobiegniemy powrotowi Stanów Zjednoczonych na pozycje strategiczne w Zatoce.

W sali zawrzało. Czilikow siedział z rękami złożonymi przed sobą na stole, czekając, aż się uspokoją. Jeszcze kilka lat temu tak zuchwały plan wywołałby ostre protesty. Ale już nie teraz. Powoli sala się uspokajała. Członkowie Kolegium byli zbyt zaskoczeni albo przerażeni, a może jedno i drugie, aby cokolwiek powiedzieć. Czilikow milczał jeszcze chwilę, po, czym odezwał się:

- Proszę o uwagi, towarzysze.
- To błyskotliwy plan – powiedział Iljanowski entuzjastycznie. – Szybka, miazdząca oskrzydlaająca, akcja, która wyrwie Ameryce ten region.
- Zapewniam was, towarzysze, że marynarka jest gotowa – dodał admirał Czerczerowin. – Grupa bojowa *Breźniewa* może z łatwością kontrolować cały akwen, a nasze lotnictwo morskie z południowego Jemenu i Wietnamu przechwyci amerykańskie siły lotnicze szybkiego reagowania.

Każdy z dowódców sił lądowych po kolei wyrażał swój entuzjazm i poparcie dla planu inwazji Czilikowa. Tak jednogłośnie akceptacja niezbyt jednak ucieszyła ministra obrony. Uważał, że zastraszeni dowódcy podejmują nieodpowiedzialne decyzje. Już miał coś powiedzieć na ten temat, gdy zauważył, że wiceminister Aleksiej Romierdunow, naczelny dowódca kontroli obszaru powietrznego, oraz jeden z jego sztabowców, z ożywieniem rozmawiają o czymś po cichu. Co najmniej o trzydzieści lat starszy od swego sztabowca Romierdunow napierał na niego i próbował uniemożliwić mu powstanie z krzesła.

- Jakiś problem, Romierdunow? – spytał Czilikow.

Wszystkie głowy odwróciły się w stronę siedemdziesięcioletniego szefa sił obrony powietrznej. Romierdunow wyprostował się, rzucając wściekle spojrzenie w kierunku swojego współpracownika.

- Nie, towarzyszu ministrze.

Czilikow skinął głową i właśnie zabierał się do odczytania rozkazów, kiedy Romierdunow chrząknął.

- Przepraszam, towarzyszu ministrze – z niepokojem spojrzął na swego współpracownika – ale jest kilka uwag na temat tej irańskiej ofensywy.

Członkowie Kolegium zamarli i spojrzeli na niego, jakby ciężko obraził ministra obrony. Wtedy wstał doradca Romierdunowa i wyprężył się w postawie na baczność. Oficer był wysoki, szczupły, znakomicie zbudowany. Z pewnością Ukrainiec, sądząc po szerokich ramionach, płaskim nosie i kwadratowej szczęce, pomyślał Czilikow. Przypominał sobie jego nazwisko natychmiast, gdy oficer zaczął mówić.

- Towarzyszu ministrze, nazywam się...

- Znam was, generale Goworow. Jako pierwszy radziecki kosmonauta – pilot promu kosmicznego i bohater Związku Radzieckiego jesteście znani nam wszystkim. – Czilikow zaciskał dłonie w ledwo powstrzymanym gniewie. – Wasz wkład w naukowe i wojskowe osiągnięcia naszego kraju wiele usprawiedliwia. Ponieważ uznaliście za stosowne zabrać głos na Kolegium, wobec tego

proszę. Jestem pewien, że wszyscy z zainteresowaniem wysłuchają nowego dowódcy obrony kosmicznej.

– Proszę o wybaczenie, towarzyszu ministrze – powiedział Goworow.

Większość oficerów poniżej rangi trzygwiazdkowego generała trzęsłaby się jak galareta, gdyby mieli przemówić na Kolegium, nawet nie popełniwszy wykroczenia przeciw protokołowi. Ale na młodym Goworowie wydawało się to nie robić wrażenia.

– No proszę, generale.

Goworow nadal stał na baczność.

– Moim zdaniem, ten plan zaatakowania Iranu jest skazany na niepowodzenie.

Romierdunow siedział wyprostowany na krześle i patrzył prosto przed siebie, jakby przygotowywał się do egzekucji. Wszystkie oczy przeniosły się z jego kamiennej twarzy na zaskoczoną twarz Czilikowa.

– Poszły mnie słuchy, że nie jesteście zbyt subtelni – powiedział Czilikow. – Teraz widzę, że to prawda. – Spojrzał w stronę Romierdunowa, który nadal wpatrywał się w przestrzeń. No, no, pomyślał Czilikow, stary nie obawia się rzucić wyzwania partii, nawet jeśli robi to poprzez swojego zastępcę Goworowa.

Goworow uznał milczenie Czilikowa za zachętę.

– Amerykanie mają nowe urządzenie, które nie tylko może ostrzegać przed inwazją, ale również kierować siłami kontrnatarcia amerykańskiego i NATO. To urządzenie to stacja kosmiczna *Armstrong*.

– Stacja kosmiczna? Ich militarna stacja? Przecież znajduje się na orbicie dopiero od kilku miesięcy...

– Tak, ale jest w pełni operacyjna – odpowiedział Goworow. – Jak wszyscy wiemy, towarzyszu ministrze, Amerykanie z powodzeniem ukończyli pierwszy test sprawnościowy swojego pocisku przechwytyjącego Thor bazującego w kosmosie. Chociaż test był mniej niż udany...

– To już przesada, Goworow – wtrącił Chromiejew. – Amerykanie nazwali go testem sprawnościowym, ale był on świetnie przygotowany, tak aby osiągnąć jak najlepsze wyniki. Jednak mimo ich usilnych starań, nasz wywiad donosi o kilkunastu chybieniach. To jest zwykła propaganda...

– Nasz wywiad ocenia efektywność pocisków Thor na nie więcej niż osiemdziesiąt trzy procent – zgodził się Goworow – a mój sztab przekłada to na pięćdziesiąt procent w warunkach bojowych. Ale pociski Thor nie są

najważniejszym problemem. Moich ludzi bardziej niepokoi system używanych obecnie nowoczesnych czujników, a zwłaszcza radar kosmiczny o fazowanym układzie antenowym, umieszczony na pokładzie stacji. Jego możliwości są o wiele większe, niż przypuszczaliśmy. Sądzimy, że może on wykrywać i identyfikować obiekty na lądzie, morzu i w powietrzu w promieniu ponad tysiąc sześćset kilometrów.

W sali wybuchła wrzawa, ale głos Czilikowa wznosił się ponad nią.

– Tysiąc sześćset kilometrów? To niemożliwe, żaden radar nie ma takich możliwości.

– Żaden naziemny. Ale radar umieszczony w kosmosie nie ma ograniczeń ani geograficznych, ani dotyczących jakichkolwiek miar. Jego działanie może stymulować jedynie ilość energii, natomiast stacja kosmiczna dysponuje energią słoneczną wystarczającą do zasilania całego Kremla.

– Czy próbujecie nam powiedzieć – odezwał się wiceminister Iljanowski – że jedna stacja kosmiczna może kontrolować ruchy wszystkich sił zaangażowanych w operację „Pióro”? Przecież to tysiące jednostek poruszających się w milionach kilometrów sześciennych przestrzeni, w rejonach górskich, przy złej pogodzie. To niedorzeczne...

– Tak to może wyglądać – powiedział Goworow do dowódcy armii – ale nasze obliczenia to potwierdzają.

– Moim zdaniem nie ma żadnego znaczenia, czy ten radar wszystko to potrafi – oświadczył wiceminister Marasimow, szef strategicznych wojsk rakietowych. – Stacja krąży po polarnej orbicie okołoziemskiej, a nie tkwi ciągle nad Bliskim Wschodem. Praktycznie oznacza to, że tylko kilka razy w ciągu doby ten obszar może być w jej zasięgu, a z tego wynika, że nie jest zbyt efektywna jako stacja ostrzegania i dowodzenia.

Gworow zawahał się przez chwilę.

– To prawda, ale...

– Ta kosztowna zabawka nie dysponuje większymi możliwościami niż tradycyjny satelita rozpoznawczy – kontynuował Marasimow, uśmiechając się do Goworowa. – To, co powiedzieliście na temat stacji *Armstrong*, jest oczywiście prawdą... pod warunkiem, że radar jest sprawny w czasie przebywania nad określonym obszarem, że działa bez zarzutu, że operatorzy i analitycy obrazu będą pracować właściwie i że uda im się na czas przekazać informacje do dowódców. Według mnie tych warunków jest zbyt wiele.

Marasimow zwrócił się do Czilikowa:

– Mam wrażenie, że nasz młodszy kolega przedstawił bardzo... interesującą informację, ale jednocześnie jestem przekonany, że radar na pokładzie amerykańskiej stacji *Armstrong* nie powinien stanowić przeszkody w przeprowadzeniu operacji „Pióro”.

Goworow wyglądał na zdumionego:

– Przykro mi, ale...

– Dziękuję, generale Goworow – odezwał się Czilikow. – W ciągu dwóch tygodni oczekuję rozpracowania każdego szczegółu operacji „Pióro”.

Goworow opadł na składane, metalowe krzesło, a Czilikow zaczął wydawać rozkazy. Mimo iż kilku wiceministrów i marszałków co chwila rzucało na Goworowa rozbawione spojrzenia, ten próbował zachować zimną krew.

Teraz mi nie wierzą, pomyślał, ale wkrótce się przekonają. To są fakty, których nie można nie brać pod uwagę.

EDYNBURG, SZKOCJA

Z najbardziej wysuniętych na północ zamkowych stanowisk artyleryjskich, znanych pod nazwą *Argyle Battery*, rozciągał się wspaniały widok na jedną z dzielnic Edynburga, *New Town*. Poniżej poszarpanych zboczy, na których wznosiło się starożytne zamczysko wyrastające z nich jak sękaty dąb, widać było pokrytą śniegiem *Princess Street*, ciągnącą się na zachód od kościoła Św. *Cuthberta* do stacji *Waverley* na wschodzie, a potem dalej w dół do doliny *Lothian* i do *Morza Północnego*. W pobliżu *Princess Street Garden* skupiały się nowoczesne sklepy, hotele i wille *New Town*. „Nowy” Edynburg, miał tylko dwieście czterdzieści lat, w odróżnieniu od reszty, która liczyła sobie ponad tysiąc dwieście. Wszędzie panował ogromny ruch mimo zimnego wiatru i padającego śniegu.

Kilku zagorzałych turystów zwiedzało kamienny zamek górujący nad Edynburgiem. Przez większość dnia miejsce to ziało pustą. Zwykle przebywali tu tylko dozorczy i członkowie Straży Zamkowej. Kilka elegancko ubranych osób czekało przy platformie artyleryjskiej *Mills Mount* na zmianę warty *Królewskiej Gwardii Szkockich Dragonów* – punktualnie o pierwszej.

– Od czasów *Napoleona Bonaparte* mieszczanie, kupcy i żeglarze Edynburga regulują zegarki według wystrzału armatniego – objaśniał przewodnik grupie. Mroźny wiatr wiejący na wzgórzu zamkowym tłumił jego twardy szkocki akcent i utrudniał zrozumienie słów, ale mężczyzna stojący trochę z

boku, ubrany w szary trencz, wełnianą czapkę, w skórzanych rękawiczkach i okularach słonecznych, i tak nie słuchał. – Nawet mówi się – kontynuował przewodnik – że święty Krzysztof, patron podróżnych i żeglarzy, reguluje według niego dokładność obrotów Ziemi i Księżycy.

– Dlaczego wystrzał armatni jest właśnie o pierwszej? – zapytał mężczyzna z lekkim arabskim akcentem. Stał z boku już od pewnego czasu, a teraz przysunął się bliżej rozpiętych między filarami łańcuchów, które uniemożliwiały podejście do pięćdziesięciopięciomilimetrowej haubicy. – To trochę dziwna godzina. Dlaczego nie strzelacie w południe?

Dopiero teraz mężczyzna w okularach słonecznych okazał zainteresowanie, ale nie odpowiedzią przewodnika. Sam był z pochodzenia Szkotem, mógł więc domyślić się odpowiedzi.

– Pan zapomina, że jesteśmy w Szkocji. Oddawanie jednego strzału zamiast dwunastu po prostu mniej kosztuje.

Cudzoziemiec roześmiał się, a przewodnik kontynuował swoje znakomicie wyuczone objaśnienia. Mężczyzna w ciemnych okularach stwierdził, że Szkoci potrafią dowcipkować na swój temat tak samo jak na temat Anglików czy Irlandczyków.

Na odgradzonej łańcuchami części dziedzińca pojawili się gwardziści, przeszli w stronę dowódcy warty, a następnie oddali oszczędnościowy, pojedynczy strzał w kierunku północnym, w stronę dzielnicy New Town. Mężczyzna w ciemnych okularach spojrzął na zegarek – punktualność bez zarzutu. Nawet jeśli Szkoci nie mieli innych zalet, to w każdym razie byli oszczędni i punktualni.

Turyści szybko oddalili się, aby ukryć się przed mroźnym wiatrem, wiejącym od lodowatej zatoki zwanej Firth of Forth. Nawet gwardziści przyspieszyli kroku, kierując się w stronę masywnych dwustuletnich budynków koszar New Barracks.

Mężczyzna z arabskim akcentem niechętnie odszedł ze stanowiska Mills Mount Battery i skierował się w stronę Portcullis Gate. Przechodząc przez wyłożony kamieniem plac, omal nie wpadł na mężczyznę w słonecznych okularach.

– Przepraszam pana – odezwał się tonem tak lodowatym jak powiewy szkockiego wiatru.

Człowiek w okularach zareagował po francusku:

– *Pardonnez-moi, monsieur le président Alientar.*

– McDonough?

- Tak, panie prezydencie.
- Już obawiałem się, że pan nie przyjdzie. Sądziłem, że pański rząd zmienił zdanie.
- Tutaj będziemy mogli swobodnie rozmawiać – powiedział McDonough. Poprowadził Alientara wzdłuż byłych wozowni, przerobionych teraz na sklepy z pamiątkami, a potem wąskim przejściem na tylny dziedziniec Back Parade, znajdujący się między Butts Battery a budynkiem z tabliczką „Rezydencja Gubernatora”. Tam skręcili w lewo i przez podjazd w kształcie półksiężyca przeszli do wejścia znajdującego się z tyłu rezydencji.
- Wchodzimy tutaj? – zapytał prezydent.
- Rządy Anglii i Szkocji były na tyle uprzejme, aby zaproponować nam bezpieczne miejsce do rozmowy – powiedział McDonough. Gdy przeszli przez wyłożony kamieniem i terakotą portyk, zatrzymał ich strażnik z Królewskiej Gwardii Szkockich Dragonów, ubrany w czarny, zimowy mundur. Nie miał ani kiltu, ani sztyletu, ani nawet ceremonialnej szabli. Zamiast tego przez jego ramię wisiał przewieszony paskudnie wyglądający, nowoczesny pistolet maszynowy Heckler i Koch MP5A3. Poprosił o dokumenty, sprawdził je porównując z wykazem i pozwolił wejść. Następnie mężczyzna w białym mundurze, bez wątplenia również żołnierz Gwardii Dragonów, przeprowadził ich przez kuchnię, elegancko urządzonej jadalnię, a potem przez salon do małego gabinetu. Pod jego bluzą wyraźnie odznaczał się kształt browninga – ulubionego pistoletu SAS. Rzucił podejrzliwe spojrzenie i wyszedł bez słowa.
- Niezbyt przyjaźnie nastawiony... – zauważył Alientar.
- Prawdopodobnie uważa, że nasza obecność ujmuje godności temu miejscu – skonstatował McDonough i wskazał prezydentowi skórzany fotel. Po chwili gwardzista przyniósł na tacy herbatę i bułeczki.
- *M'omerica* – odezwał się McDonough po galijsku. – Dziękuję.
- Gwardzista spojrzał na niego ze zdziwieniem, prawdopodobnie myśląc, że żartuje sobie z niego, używając starego szkockiego języka. Opuścił pokój, głośno zamykając za sobą drzwi.
- Sądzę, że to moja obecność tutaj jest tak irytująca – powiedział Alientar, przyglądając się uważnie swojemu towarzyszkowi. Zdjął kapelusz, płaszcz i rękawiczki. – Czym się pan zajmuje, panie McDonough?
- Pełnię funkcję doradcy prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jestem członkiem Narodowej Rady Obrony, ale podlegam bezpośrednio prezydentowi.

– Czy jest pan wojskowym?
– Eks-lotnikiem. Przed rewolucją byłem attache lotniczym w Teheranie.
– A więc szpiegiem.
– Nie, byłem attache lotniczym, oficerem łącznikowym między irańskimi i amerykańskimi siłami powietrznymi.

– Spodziewałem się, że pan zaprzeczy – spokojnie odrzekł Alientar.

McDonough nabrał powietrza w płuca i dziwił się sam sobie, że nie trzęsą mu się ręce w czasie nalewania herbaty.

– Czuję się dotknięty, że pan prezydent nie przysłał na to spotkanie osoby wyżej postawionej – powiedział Alientar. – Spodziewałem się kogoś z rządu lub nawet wiceprezydenta. – Rozglądał się po gabinecie, jakby się nie mógł zdecydować, czy kontynuować rozmowę. – To mnie głęboko dotknęło. Zaczynam wątpić w szczerą intencję pańskiego rządu, skoro nie przysłano przynajmniej ministra lub ambasadora.

McDonough przypomniał sobie, że kilka lat temu Bud McFarland powiedział prawie dokładnie to samo, kiedy Irańczycy wydelegowali jakichś zajmujących drugorzędne stanowiska ludzi na rozmowy z nim w sprawie oddania zakładników w zamian za sprzedaż broni amerykańskiej. Koło się zamknęło.

– Przykro mi, jeżeli czuje się pan dotknięty – powiedział. Był przygotowany na taką reakcję. – Ale prezydent prosił o to spotkanie, przewidując późniejszą, bardziej oficjalną pańską wizytę w Waszyngtonie, przy najbliższej okazji. Prosił, abym spotkał się z panem, wysłuchał i przekazał uwagi.

Alientar wzruszył ramionami.

– Dobrze, ale mimo wszystko jestem rozczarowany. A ten pomysł spotkania w Szkocji w środku zimy uważam za niezbyt fortunny.

– Przykro mi, że pan tak uważa, ale bez wątpienia jest to najbezpieczniejsze miejsce. Oczywiście nie byłoby rozsądne, aby zbliżał się pan z nadto do tych szkockich dragonów Królewskiej Gwardii. Zbyt wielu Szkotów służących w marynarce brytyjskiej straciło życie w Zatoce Perskiej, kiedy w ostatnich miesiącach pańscy poprzednicy zaatakowali brytyjskie statki. Mimo wszystko uważam, że każde inne miejsce byłoby jeszcze mniej bezpieczne.

McDonough zamilkł na chwilę, a potem ciągnął dalej:

– Rozbieżność zdań w irańskiej Gwardii Rewolucyjnej czyni dalszy pański pobyt w pałacu w Teheranie wysoce ryzykownym. Część krajów muzułmańskich obawia się udzielić panu poparcia, a reszta po prostu wolałaby, aby pan nie żył. Nawet Francja, w której przebywa pan od miesiąca, może pana

wkrótce deportować, ponieważ ta obecność prowokuje ataki terrorystyczne. Otrzymał pan zezwolenie na wjazd do Wielkiej Brytanii tylko dlatego, że mój prezydent osobiście zapewnił, iż to spotkanie zostanie zachowane w tajemnicy. Uważam, że mamy szczęście mogąc rozmawiać tutaj, w gabinecie gubernatora Szkocji, a nie w jakiejś chacie w dżungli południowoamerykańskiej.

– Stanowczo odrzucam pańskie implikacje. Nie jestem dyktatorem jakiejś republiki bananowej przychodzącym błagać na kolanach o pomoc trzeciorzędnego amerykańskiego biurokratę. Jestem prezydentem Islamskiej Republiki Iranu, politycznym i religijnym przywódcą piętnastu milionów żołnierzy mużłmańskich, którzy gotowi są oddać życie za Allacha i za mnie. Proszę mnie nie obrażać.

McDonough wzruszył ramionami i stwierdził, że ten Irańczyk jest bardziej drażliwy, niż myślał.

- Przepraszam za moje uwagi.
- Wolałbym usłyszeć przeprosiny od pana prezydenta.
- Obawiam się, że to niemożliwe.
- A to dlaczego?

McDonough westchnął:

– W tym roku są wybory i byłoby wysoce niewskazane, aby jakiegokolwiek polityka amerykańskiego widziano w pana towarzystwie. Nawet to spotkanie jest znacznym ryzykiem, ale prezydent czuje konieczność rozpoczęcia dialogu. W tej chwili ja jestem najwłaściwszą osobą do przeprowadzenia rozmów na temat pańskiej obecnej sytuacji.

– Jest pan również kimś... jak to się mówi... kogo można się wyprzeć. Sekretarz stanu jest odpowiedzialny przed narodem i Kongresem, natomiast jakiś młodszy doradca z Białego Domu może być łatwo usunięty ze sceny publicznej.

McDonough uśmiechnął się:

– Świetnie się pan zna na amerykańskiej polityce, *monsieur le président*.

To małe pochlebstwo poskutkowało, pozwoliło Alientarowi zachować twarz.

– Proszę mówić dalej, mister McDonough. Jest pan impertynencki, ale myślę, że mimo wszystko możemy rozmawiać o interesach.

– Znakomicie. W tej sytuacji interesy oznaczają pewną wymianę informacji. Prezydent chciałby wiedzieć, jak ocenia pan sytuację w swoim kraju.

– I to wszystko? – Alientar zaśmiał się. – Pragnę zauważyć, że pod tym

względem jest pan chyba lepiej poinformowany ode mnie. – Odwrócił się i przez dłuższą chwilę wpatrywał w jedno z wysokich kolumnowych okien siedziby gubernatora.

– Oni myśleli, że ajatollah Chomeini to zmartwychwstały Chrystus – powiedział w końcu. – Przeklęte wyrzutki socjalistyczne, znudzeni studenci, zabiedzeni, głodujący fundamentaliści muzułmańscy – wszyscy chcieli przywrócić czasy Nowego Testamentu z Rudollahem Chomeinim jako Chrystusem i szachem w roli Piłata. Obie strony miały tajną policję i robiły różne okropności, ale w czasach szacha Iran był jak kwiat na pustyni. Chomeini miał go jeszcze ulepszyć i ja osobiście wierzę, że mógł to uczynić. Nagle jednak zaczął wierzyć w to wszystko, co o nim mówiono. Walczył z każdym, o kim duchowni i starsi mówili, że zagraża jego przyszłej chwale. Wymordował tysiące ludzi szacha, jedynych, którzy wiedzieli, jak się rządzi. Wycisnął życie z zagranicznych kompanii naftowych, wypowiedział wojnę Izraelowi, Francji, Ameryce, Wielkiej Brytanii i w końcu Irakowi. W ciągu jednego miesiąca urządził rzeź dziesięciu tysięcy dzieci, wysyłając je, bezbronne, przeciwko irackim czołgom, a potem się cieszył. Władza po prostu odebrała mu rozum.

Aliantar ucichł na moment, ale po chwili znów zaczął mówić.

– Wydał miliony na kształcenie młodych mułłów za granicą. Studiowaliśmy dyplomację, obronę, finanse, każdy element zarządzania. A kiedy wróciliśmy, odsunął nas na bok, a wywyższył fanatyków religijnych. Wielu z nas uczyniono dowódcami liniowymi, wielu poległo w czasie irackich nalotów, inni zginęli z rąk Gwardii Rewolucyjnej.

– Ale panu się udało. Pańskie sukcesy umożliwiły panu powrót do Teheranu.

Aliantar był zaskoczony.

– Tak. Poprowadziłem udany atak partyzancki na odległy posterunek dowództwa irackiego. Mój oddział, składający się ze starców i dzieci, został porzucony przez żołnierzy regularnej Gwardii Rewolucyjnej. Dostaliśmy się w pułapkę jak szczury, walczyliśmy jak szczury i sam nie wiem jak, ale odnieśliśmy zwycięstwo. Opanowaliśmy kawałek bezużytecznej pustyni i wzięliśmy kilka radzieckich czołgów. Stałem się bohaterem i nagle znalazłem się w wewnętrznym kręgu władzy.

– I wtedy zaczął pan budować podwaliny pod bardziej umiarkowany rząd – dodał McDonough.

Aliantar spojrział na niego.

– Nie wiem, czy pan rzuca mi przynętę, czy też rzeczywiście wierzy w to. Nieważne. Wyśługiwałem się tak zwanej Islamskiej Radzie Rewolucyjnej, jak każdy inny całowałem po nogach fundamentalistów podżegających do wojny. Ale zobaczyłem, że nie jestem jedynym, który pragnie bardziej umiarkowanego rządu islamskiego, mogącego przynieść krajowi większe korzyści. Naszej grupie udało się zorganizować tajny zakup broni w kilku krajach, również w Ameryce, i tylko niewielka jej ilość wpadła w ręce armii lub Gwardii Rewolucyjnej. Reszta została ukryta w Iranie, Pakistanie i Arabii Saudyjskiej i czekała na właściwy moment. To był fatalny dzień, wtedy w 1986 roku, gdy nasza działalność została ujawniona w czasie waszej niesławnej afery Iran-Contras. Wtedy zeszedliśmy do podziemia, przeżyliśmy i umocniliśmy się. Gwardia Rewolucyjna może stanowiła kwiat rycerstwa ajatollaha, ale była tak samo przekupna jak wszyscy inni. Trzymali język za zębami w zamian za trochę złota – nie, nie przerywaj mi, McDonough. Prosił mnie pan o informacje, a więc musi pan poznać tło, jeśli to wszystko ma być zrozumiałe. Kiedy Chomeini był już zbyt chory, żeby dalej rządzić, tonący okręt odziedziczył Lardżani, jego wybraniec. Ale kiedy my doszliśmy do władzy, nawet poparcie Związku Radzieckiego nie mogło go uratować.

– Tak, mój rząd jest pod wrażeniem pana umiejętności konsolidowania rywalizujących ze sobą frakcji – powiedział McDonough. – Pana osiągnięcia są imponujące. Oczywiście zdajemy sobie sprawę, że ciągle jeszcze istnieją fundamentalni przywódcy religijni i dowódcy Gwardii Rewolucyjnej, którzy nie chcą uznać pana za swojego reprezentanta, ale ich liczba się zmniejsza. Prezydent jest dobrej myśli.

Alientar wstał i zaczął nerwowo chodzić po małym gabinecie, nieobecny wzrokiem przebiegając po sięgających sufitu półkach wypełnionych książkami. Nagle zatrzymał się i nacisnął ukrytą płytkę nad małym sekretarzykiem, odkrywając dobrze zaopatrzone barek wypełniony kryształowymi kieliszkami i zgrabnymi karafkami.

– Wiele się nauczyłem na Zachodzie. Również pić szkocką whisky. – Nalał sobie szklaneczkę i wrócił na skórzany fotel. – Dowiedziałem się także, że między Wschodem i Zachodem istnieje rywalizacja. Myślę, że zrozumiałem, co kieruje Rosjanami. To strach przed potężnymi sąsiadami, lęk przed utratą terytoriów, niepokój o bezpieczeństwo granic i o dostęp do nie zamierzających portów. I sądzę również, że wiem, co wpływa na poczynania Zachodu. To niepokój o to, skąd wezmą paliwa, gdzie znajdą rynki zbytu i inwestycji, boją się

utrąty kontroli nad Związkiem Radzieckim. Na Bliskim Wschodzie mamy takie powiedzenie: nie ma żadnej różnicy między rosyjskim i amerykańskim pieniądzem, tyle że za rosyjskim idzie wojsko, a za amerykańskim Exxon i Holiday Inn.

– Iran rozdziera się własnymi rękami, mister McDonough – Alientar powiedział to obojętnie, jakby opisywał pogodę za oknem. – Mam dwie rzeczy do wyboru. Albo pozwolę, aby moja ojczyzna została rozszarpana jak ranny zając przez stado wilków, albo zawrę przymierze z opiekunem, który zapobiegnie naszemu samounicestwieniu. Wolę to drugie. Chciałbym, aby naszym opiekunem były Stany Zjednoczone.

McDonough skinął głową, nie okazując żadnych emocji. Alientar mówił dalej:

– Jeśli dostanę obietnicę dostaw broni i poparcia z Zachodu, przyrzeknę, iż wycofam się z inspirowanej przez Związek Radziecki wojny z Irakiem, przywrócę granice sprzed wojny i rozpocznę negocjacje z prezydentem Iraku Saddamem Husajnem, w celu znormalizowania stosunków. Jeśli uda mi się pozostać przy życiu, doprowadzę do wymiany ambasadorów między naszymi krajami, udzielię firmom zagranicznym zezwolenia na eksploatację naszych pól naftowych. Postaram się, aby Iran wrócił do stanu sprzed rewolucji, a społeczeństwo do umiarkowanych poglądów. Leżałoby również w naszym interesie, aby amerykańskie okręty mogły uzyskać prawo cumowania w naszych portach, samoloty zaś lądowania na naszych lotniskach, a także przywrócenia amerykańskiej obecności militarnej. Myślę, że to Związek Radziecki najbardziej ostrzy sobie na nas zęby i chciałby mieć bezpośredni dostęp do Morza Arabskiego i Zatoki Perskiej, a także kontrolować cieśninę Ormuz. Miałoby to dla nich ogromne znaczenie strategiczne. – W tym momencie spojrzał prosto w twarz swego rozmówcy: – Dla Stanów Zjednoczonych chyba również.

– Obecnie najważniejszą dla nas sprawą – powiedział McDonough – jest stabilny, neutralny i prawdziwie umiarkowany rząd w Iranie. Sprawa baz morskich i stacji nasłuchowych może być omawiana później.

Alientar skinął głową, ale w jego spojrzeniu widniał sceptycyzm.

– Oczywiście. A więc co przekaże pan prezydentowi?

– Myślę, że powiem mu, iż prezydent Alientar znowu obiecał złote góry. Wyrażę opinię, że nie jest pan w stanie niczego ofiarować, a nawet nie ma pewności, czy uda się panu bezpiecznie powrócić do Iranu.

Irańczyk o mało nie upuścił szklanki na podłogę.

– Jest pan...

– Powiem prezydentowi również, że partie w Iranie, które zorganizowały akcje terrorystyczne w Waszyngtonie, istnieją nadal i wciąż wywierają na pana nacisk. Dowodem jest fakt, że cały czas przebywa pan na dobrowolnej emigracji. Następnie przekażę, że nie ma pan dostatecznej władzy, aby powstrzymać ciągłe ataki Gwardii Rewolucyjnej na statki żeglujące po wodach Zatoki Perskiej. Jak również i to, że jakikolwiek poważniejszy układ z panem byłby po prostu stratą czasu.

Alientar o mało nie rzucił się do gardła swego rozmówcy.

– Jednak przypuścimy, że prezydent nie zgodzi się ze mną w tym punkcie. Zapyta mnie, co pan zaoferował, a ja mu odpowiem, że obiecał pan uformować stabilny, umiarkowany rząd islamski przyjazny w stosunku do Zachodu, że zaoferował pan bazy morskie i lotnicze, i że współpracę z Ameryką uważa pan za mniejsze zło, ponieważ u naszego boku można lepiej prosperować niż przy Rosjanach. Przekażę również pana niepokój co do równowagi sił w regionie, ale także i to, że rozgląda się pan za czymś, co jest najważniejsze.

Alientar siedział teraz spokojnie, próbując rozszyfrować usłyszane przed chwilą słowa.

– Czy taka doza nieufności wystarczy, panie prezydencie?

Alientar spróbował się uśmiechnąć. Bystry człowiek ten McDonough...

– Jest pan doprawdy bezczelny, McDonough, zresztą jak większość Amerykanów. W dodatku ma pan jeszcze jedną wadę – wie pan, o czym pan mówi. A więc jest pan właściwym człowiekiem, z którym mogę rozmawiać, przynajmniej na razie.

– Dobrze, że pan tak uważa, panie prezydencie, ponieważ do czasu, aż pojawi się jakaś pozytywna zmiana w politycznym klimacie Iranu, będę stanowił dla pana jedyny kontakt z rządem amerykańskim. Na razie mam przekazać następującą wiadomość: rząd Stanów Zjednoczonych jest zdania, że to, co obecnie się dzieje na scenie politycznej Iranu, świadczy o możliwości osiągnięcia normalizacji w tym regionie. Stany Zjednoczone przywiązują do tego wielką wagę. Jakakolwiek interwencja z zewnątrz byłaby uważana za czynnik destabilizujący ten niezwykle delikatny politycznie obszar i takie działania uważalibyśmy za potencjalne zagrożenie bezpieczeństwa naszego i naszych sojuszników. – McDonough głęboko zaczerpnął powietrza. Taki żargon polityczny nie był w jego stylu. – I dlatego też Stany Zjednoczone są gotowe do podjęcia wszelkich kroków niezbędnych do zabezpieczenia swoich interesów w Iranie, Zatoce Perskiej, Zatoce Omańskiej i na Morzu Arabskim oraz

powstrzymania wpływów destabilizujących. Oczekujemy pełnego poparcia ze strony rządu prezydenta Falaha Alientara w przypadku jakiegokolwiek konfliktu, który mógłby zagrozić naszym interesom.

Alientar wypił resztę whisky jednym haustem.

– Pański prezydent właśnie wypisał sobie czek *in blanco*. Jego realizacja nastąpi z mojego konta.

– Powszechnie wiadomo, że prezydent popiera pana i pański rząd. Osobiście doradzałbym, aby pan nie zawiódł jego oczekiwań, ponieważ prócz mnie jeszcze inni będą go namawiali do cofnięcia tego poparcia, dopóki nie uzyska się pewności, że nie wpędzi nas pan w kłopoty.

– Co pan chce, abym zrobił, mister McDonough? Przecież już pan powiedział, że moje obietnice nic nie znaczą.

– Niech pan zrobi wolne wybory, rozpocznie negocjacje, zaprzestanie wrogich akcji przeciw neutralnej czy niezaangażowanej żegludze w Zatoce Perskiej.

– Myśli pan, że to takie łatwe? – zapytał Alientar. – Po prostu przestać walczyć, złożyć broń, wyjść i uścisnąć sobie ręce, co?

– To jest możliwe.

– Chyba jest pan bardziej naiwny, niż myślałem, McDonough. Od czasu gdy stanąłem na czele rządu, broń zapewniała mi przeżycie. Jeśli ją złożę, zniszczą mnie. Od zewnątrz i od środka.

– Problemy wewnętrzne to pana sprawa, Waszyngton nie będzie się w to mieszał. Obecny prezydent zajmuje odmienne stanowisko od swoich poprzedników. Dla niego niepokoje polityczne wewnątrz kraju, nawet wojna domowa, to po prostu kolejny krok w stronę normalizacji. Zaczniemy działać dopiero wtedy, gdy inne kraje będą zamierzały wywierać nacisk lub podejmą próbę interwencji.

Alientar wstał i wziął swój płaszcz.

– Jakie może mi pan dać gwarancje, że rząd amerykański udzieli pomocy w przypadku groźby obcej interwencji?

– Żadnych. Ale pan, lepiej niż ktokolwiek inny na Bliskim Wschodzie, rozumie zasady polityki amerykańskiej. Prezydent pragnie wzmocnić więzy łączące nasz kraj z Iranem i spróbują osłabić radzieckie wpływy w tym rejonie świata. Ze względu na to, iż wkrótce odbędą się u nas wybory, niech pan nie oczekuje zbyt wiele. Ale jeżeli zostaniemy zmuszeni do ochrony naszych interesów w Zatoce Perskiej, niewątpliwie to zrobimy. To pewne jak w banku. Pan się na tym zna, i wie, że w bankach leży to, co rządzi światem.

Rozdział 2

Maj 1992

OAKLAND, KALIFORNIA

Uderzenie kija baseballowego zabrzmiało na stadionie jak huk wystrzału z wielkokalibrowego karabinu. Był to jeden z tych bezbłędnie i natychmiast rozpoznawalnych dźwięków – dobre, solidne, dźwięczne „szuak”, które, jak wiedzą nawet ci, co nie interesują się baseballlem, oznacza „home run”. Lewoskrzydłowy fielder nie zadał sobie nawet tyle trudu, aby śledzić lot piłki, tylko zwiesił głowę, splunął na murawę i uderzył pięścią w rękawicę, patrząc jak czterech przeciwników przebiega przez bazy i wpada na home plate. Dwadzieścia tysięcy kibiców na stadionie Oakland Alameda jęknęło, kiedy Reggie Jackson, manager drużyny Oakland A, skierował się do kopczyka, aby wycofać pitchera i wprowadzić do gry czwartego w tym meczu rezerwowego drużyny A.

– Był już wielki czas, żeby Jackson zmienił tego faceta – powiedział wysłużony dowódca okrętów wojennych, kapitan Matthew Page, pięćdziesięcioletni, z mocnym rumieńcem na twarzy. – Trzy wejścia, pięć udanych biegów. Wspaniale. Po prostu wspaniale. – Pociągnął łyk piwa.

Jego żona pokręciła głową z dezaprobatą:

– Matt, twoje ciśnienie...

– Moje cholerne ciśnienie miałoby się o wiele lepiej, gdyby Jackson zaczął wreszcie zauważać, kiedy rezerwowi zaczyna pudłować, celując w strefę uderzeń. Kelly ma na koncie split fingera, curve'a i slidera ¹. W szóstym wyjściu to właśnie on rzucił dziewięćdziesiąt procent split fingerów. Jeden z jego sliderów poszedł prosto w ziemię. Ten facet miał problemy. W siódmym potrząsnął prawym ramieniem, zanim wykonał swój ruch, i zaskoczył wszystkich, umożliwiając przejście dwóch facetów i dwa base hity ². Albo weźmy na

przykład Wade Boggsa... Boże! Dlaczego ten facet nie pójdzie na emeryturę...? Łapie niedbale rzuconego curve'a, jakby to był wielki szlem. W tej samej chwili kazałbym się rozgrzewać rezerwowemu, gdybym zobaczył...

¹ Rodzaje rzutów w baseballu (*przyp. tłum.*).

² Sytuacja, w której batter uderza czysto piłkę i dostaje się na bazę bez błędu przeciwników i bez wypychania zawodnika, który już jest w bazie (*przyp. tłum.*).

Córka kapitana Page'a, Ann, podniosła słuchawkę telefonu wiszącego na ścianie trybuny przeznaczonej dla oficerów marynarki i podała ją ojcu.

– Kto to?

– To Reggie Jackson. Prosi, żebyś się porządnie zachowywał, i przestał męczyć rodzinę.

Twarz kapitana Page'a wydała się jeszcze bardziej czerwona w zestawieniu z jego przyprószonymi siwizną włosami.

– Masz rację, mamó, że jego ciśnienie jest za wysokie – potwierdziła Ann. – Wygląda, jakby miał za chwilę pęknąć. – Pociągnęła go za ucho.

Amanda Page nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

– Cholernie zabawne, córeńko – powiedział Page, ale też się uśmiechnął i pochylił w stronę Ann. – Przepraszam, pani astronautko, ale nie jesteś jeszcze aż tak ważna, żeby twój staruszek nie mógł ci za to trochę przyłożyć.

Ann podniosła ręce, udając, że się broni, a siedzący obok zaczęli ją dopin-gować. Akcja na boisku została wznowiona. Kapitan Page uznał, że zwyciężył, i poprosił córkę o jeszcze jedno piwo.

Wracając z baru ze szklanką w ręce, Ann zauważyła, że matka stoi samotnie przy balustradzie.

– Co się stało, mamó?

– Wszystko w porządku – powiedziała Amanda Page, ale ton jej głosu przeczył słowom.

Ann podeszła bliżej. Matka z natężeniem wpatrywała się w odległą panoramę San Francisco, i Ann wiedziała, że stara się dojrzeć okręt męża, ukryty gdzieś tam daleko wśród drapaczy chmur i dźwigów w porcie Oakland-Alameda. Krążownik atomowy USS *California*, o wyporności jedenastu tysięcy ton, uzbrojony w zdalnie sterowane pociski raketowe, miał wypłynąć w rejs za cztery dni. Był okrętem flagowym eskorty składającej się z piętnastu okrętów grupy bojowej lotniskowca USS *Nimitz* w trwającym osiem miesięcy rejsie po Oceanie Indyjskim.

Ann wzięła matkę za rękę.

– Zostały jeszcze trzy dni...

Amanda potrząsnęła głową:

– On już jest nieobecny duchem co najmniej od tygodnia...

Zwróciła się twarzą do córki:

– Czy ty tego nie widzisz? Jesteś w domu już tydzień. Jego serce od pewnego czasu jest już na mostku. Ta trybuna to jakby mesa, gdzie w otoczeniu swoich oficerów słucha transmisji meczu nadawanej przez radio Manila. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tym razem tak mnie wzięło. – Uśmiechnęła się z wysiłkiem. – Przecież jestem żoną marynarza już od dwudziestu jeden lat i to jest dwunasty rejs twojego ojca. Może to te wieści z Iranu, cała ta kontrrewolucja, Zatoka Perska...

– Ale ojciec nie płynie do Zatoki, płynie na Filipiny.

– Nie sądzę – powiedziała cicho Amanda. – W zeszłym tygodniu przypadkiem usłyszałam pewną rozmowę. *Nimitz* chyba zostanie skierowany do Zatoki.

– Gdyby wszystkie te pogłoski miały się sprawdzić, w Zatoce zrobiłby się korek z amerykańskich okrętów. Nie możesz doprowadzać się do takiego stanu z powodu plotek, jakie słyszysz w Klubie Żon Oficerów.

– Nie chodzi o plotki – Amanda jakby szukała właściwych słów. – Tym razem czuję się jakoś inaczej. Może dlatego, że nie tylko odjeżdża ojciec, ale i ty...

– Ja? Ależ mam, przecież nie ma mnie w domu od jedenastu lat. Praktycznie cały czas jesteś sama...

– Piekielnie długo, o wiele za długo... Kiedy cię nie było przez te wszystkie lata, przynajmniej wiedziałam, gdzie jesteś – Harvard, MIT*, Stanford, Houston. Wiedziałam, że gdyby... coś się stało z ojcem, wróciłabyś i byłybyśmy razem.

Amanda oparła się znów o poręcz.

– Kiedy tam patrzę i widzę okręt ojca, wiem, że ma wokół siebie najbardziej kompetentnych ludzi i najlepsze wyposażenie na świecie. Ale gdy pomyślę, dokąd ty jedziesz i jakie wiąże się z tym ryzyko – nawet nie potrafię sobie tego wyobrazić. Muszę szczerze przyznać, że chyba nigdy jeszcze nie bałam się aż tak bardzo.

Ann nie umiała znaleźć odpowiedzi. Matka objęła ją, jakby próbowała pocieszyć.

– Przepraszam, mamó, ale chyba byłam zbyt pochłonięta swoimi sprawami i tymi badaniami; nawet nie pomyślałam, co możesz czuć.

Amanda potrząsnęła głową.

– Bo nie powinnaś o tym myśleć. Jesteś zupełnie podobna do ojca. Za każdym razem, kiedy odpływał, mówił, jak bardzo jest mu przykro zostawiać mnie, ale wiem, że nic na świecie by go nie powstrzymało. Podziwiam was oboje i żałuję, że ja sama nie jestem taka. Szkoda, że wszyscy nie mieliśmy dla siebie więcej czasu. Lata tak szybko lecą, szybciej, niż nam się zdaje. I pewne rzeczy stają się normalne, nawet użalanie się nad sobą. Tak mi przykro...

Ann mocniej przytuliła się do matki, ale po chwili wzięła szklanekę z piwem i powiedziała:

– Naszego kapitana strasznie wysuszy, jeżeli zaraz nie pójdziemy...

Matka spojrzała na nią.

– W Klubie Żon Oficerów słyszałam jeszcze coś – wyznała. Właśnie przechodziły obok chłopców sprzedających proporczyki drużyny Oakland A. – Rozmawiano na temat tej twojej stacji kosmicznej *Silver Tower*, o tym, jak bardzo znienawidzona jest przez Rosjan... i o tym, jak bardzo może być narażona na atak. Ale pewnie znowu powiesz, że przesadzam?

Ann chciała dać jakąś odpowiedź, ale się powstrzymała. Cóż takiego mogła powiedzieć, co ulżyłoby matce? Aby odwrócić jej uwagę od tematu, wskazała na mężczyznę z ręczną kamerą wideo, który stał na trybunie, przed szeregiem siedzących tam oficerów. Podprowadziła matkę i usiadły po obu stronach kapitana Page'a.

– Proszę o uśmiech – powiedział kamerzysta. – Jesteście na wizji!

Cała trójka w otoczeniu innych oficerów i ich rodzin pomachała w stronę kamery. Ann rzuciła okiem na wielki ekran, który zazwyczaj służy do wyświetlania wyników meczów. Teraz widać było na nim jej ojca w obszytej złoceńcami czapce kapitańskiej z inicjałami CGN-36 USS CALIFORNIA, ubranego w sportową koszulkę swojej drużyny Oakland A. Pod spodem widniał napis: „Kapitan Matthew Page, dowódca USS *California*”. Na ekranie widać było też Ann oraz podpis: „Dr Ann Page, specjalista misji promu kosmicznego *Enterprise*”. Na trybunach zerwały się brawa.

– Kochanie, jesteśmy sławni! – zawołał Matt Page do żony, czule ją obejmując. Amanda spojrzała na córkę, uśmiechnęła się z wysiłkiem i pomachała do kamery.

Aby nie dać się rozdeptać marynarzom, co chwila wbiegającym i wybiegającym z mostku USS *California*, najlepszym sposobem było stanąć za wysokim fotelem kapitana, i Ann właśnie to uczyniła. Od meczu baseballowego minął tydzień. Na mostku panowało istne piekło: krzyżujące się rozkazy i dzwonki telefonów mieszały się z hukami maszyn. Ann zauważyła, że mimo to kapitan Matthew Page znakomicie panował nad całym tym rozgardiaszem i wcale nie przypominał podstarzałego młodzieńca z meczu baseballa.

Obserwowanie go było prawdziwą przyjemnością. Dokładnie wiedział, w którym miejscu znaleźć potrzebnego mu członka załogi, a telefon w jakiś nadprzyrodzony sposób przestawał dzwonić, gdy on chciał z niego skorzystać. Kubek z napisem „Szef okrętu” ciągle był pełen gorącej kawy, ponieważ stewart, mimo zamieszania, potrafił znaleźć czas, żeby go napełnić. No i oczywiście ani kropla nie mogła splamić wykrochmalonego na sztywno kapitańskiego munduru w kolorze khaki.

– Czy na pewno nie przeszkadzam? – zapytała Ann.

Ojciec wykonał okrągły ruch kubkiem kawy.

– Cholera, Cogley, idź stąd, przecież widzisz, że usiłuję porozmawiać z córką. Bardzo się cieszę, że jesteś. Twoja matka nie lubi tu przychodzić przed rejsem. Właściwie przez te wszystkie lata naszego małżeństwa nie była tu ani razu. Stoi na nabrzeżu, aż okręt przepłynie pod mostem Golden Gate, ale na pokład nigdy nie wchodzi...

– Wiem – powiedziała Ann, lecz ojciec nie usłyszał jej słów, ponieważ Cogley rzucił na stół plik papierów, na których kapitan szybko umieścił swoje inicjały.

– Cogley, podnieś kotwicę...! Przykro mi Ann, że twojej matce nie podoba się na *California*.

Ann powiedziała mu, że powinien się domyślać dlaczego, ale jej słowa utonąły w ryku syreny, a potem usłyszała przez głośnik: „Wszyscy goście proszeni są o zejście na bryzg”.

– Muszę iść, tato – powiedziała, ale ojciec nie zwrócił na to uwagi. Poszła więc za ubranym w szaro-granatowy mundur marynarzem w kierunku wyjścia. Kiedy zbliżała się do metalowych schodów prowadzących w dół na główny pokład, poczuła na ramieniu rękę ojca.

– Chyba nie miałaś zamiaru wyjść bez pożegnania?

– Jesteś tak zajęty, a ja ci przeszkadzam.

Cogley i tu wytropił kapitana z kolejnym plikiem papierów do podpisu.

– Przepraszam, kapitanie, ale...

– Cogley, cholera, daj mi spokój choć na chwilę. Powiedz oficerowi pokładowemu, żeby mnie zastąpił, aż wrócę!

– Tato, czy ten oficer nazywa się Cholera Cogley, czy Cogley Cholera?

– Przepraszam, złotko. – Matthew Page odciągnął córkę od zejścia. – Posłuchaj, kochanie, chciałem, żebyś tu przyszła, bo muszę z tobą porozmawiać.

– O czym?

– O tobie, o twoim locie na promie kosmicznym. Ciągle jeszcze nie mogę w to uwierzyć, że moja córka jest astronautką...

– Tato, daj spokój...

– No, nie strosz się. Wcale nie mam zamiaru rozplywać się nad tobą. Chciałbym tylko...

– Co chciałbyś?

– Ann, słyszy się różne rzeczy, przypuszczenia na temat tej twojej misji i broni laserowej, nad którą pracujesz.

– Tato, niestety nie mogę rozmawiać na ten temat, nawet z tobą, chyba rozumiesz.

– Wiem, wiem, ale, do diabła, orientujesz się, że nigdy nie byłem zachwycony twoją decyzją wzięcia udziału w tej misji. To zbyt niebezpieczne.

– Najlepiej, żebyś spokojnie siedziała w domu, w kuchni?

– Ann, kochanie, czy nie rozumiesz, o co mi chodzi?

– Przepraszam, tato, to nie było ładnie z mojej strony. Przecież nie jesteś męskim szowinistą. Ale gdybym nie była kobietą, nie mówiłbyś tak.

– Mimo wszystko martwiłbym się. To niebezpieczna zabawa. Wolałbym, żebyś...

– ...została na ziemi? Bezpieczna, w nic nie angażując się zbytnio? – Ann potrząsnęła głową. – Nie, tatusiu. Żebyś nie wiem co mówił i tak jestem pewna, iż uważasz, że to dobre tylko dla mężczyzn, a nie dla kobiet...

– Być może, kochanie, chyba mimo wszystko jestem trochę staroświecki.

– Jesteś o wiele lepszy od innych, ale wiem, że mamę i mnie stawiasz na piedestale. A my nie jesteśmy figurkami z chińskiej porcelany, nie potłuczemy się. Jestem naukowcem, a mama twoją żoną. Obie jesteśmy bardzo silne, wcale nie żartuję.

Ojciec wzruszył ramionami, choć wiedział, że córka ma rację, nawet jeżeli jej punkt widzenia niezupełnie mu odpowiadał.

– A poza tym, tatusiu, wiem, co mi może grozić. Mam dobre informacje.

Głośnik znowu się odezwał. Proszono gości, aby zeszli na ład. Ann wzięła ojca za rękę.

– Ann, kiedy będziesz tam, na górze, będę o tobie myślał – powiedział. – Ale powtarzam, wolałbym, abyś nie brała udziału w tej misji.

– A ja wolałabym, abyś nie wypływał w ten rejs... do Zatoki Perskiej. – Matt Page przestraszył się. Cel rejsu USS *California* był ściśle strzeżoną tajemnicą wojskową.

– Skąd wiesz?

– Nieważne – odpowiedziała szybko. – Ale twoje szanse na przekonanie mnie, abym nie brała udziału w tej misji, są równie znikome jak moje, gdybym chciała przekonać cię, że nie powinienes płynąć w ten rejs. A teraz – stanęła na palcach i pocałowała ojca w policzek – życzę ci powodzenia i szczęśliwego powrotu do domu.

– Ja też życzę ci powodzenia, Ann i szczęśliwego powrotu.

Marynarz odprowadził ją do trapu. Na dole czekała na nią grupa reporterów, ale wyminęła ich i skierowała się w stronę matki stojącej przy ogrodzonej części nabrzeża, przeznaczonej dla odprowadzających rodzin.

– Mamo, nie martw się, wszystko będzie dobrze – powiedziała cicho. Matka nie odrywała wzroku od mostku. USS *California* powoli odpływał w stronę mostu Golden Gate.

Czerwiec 1992

BAZA LOTNICZA VANDENBURG, KALIFORNIA

Start promu kosmicznego „Challenger”, misja STS 51-L. Zezwolenie wieży kontrolnej...

Pilot „Challengera” przesunął palcami po displayu komputera z odczytem danych dotyczących głównego silnika.

– *Silniki w porządku...*

Siedząca obok niego młoda kobieta skinęła głową. Sądziła, że żaden symulator lotów w ośrodku NASA nie mógł przygotować załogi do tego, co czeka ich w momencie startu. Potworny hałas. Niewiarygodny, rozsadzający głowę ryk i wibracje, od których zdają się pękać wnętrzności...

Kiedy dźwig i rękaw komunikacyjny przestały być widoczne przez przednie szyby kabiny, Ann Page dojrzała kilka mew odlatujących w popłochu przed ognistym potworem. Widok tych przerażonych stworzeń wywołał na jej twarzy uśmiech, mimo że gwałtowny wzrost poziomu adrenaliny we krwi spowodował napięcie mięśni i ucisk w gardle.

– Zaczynamy odliczanie... Odliczanie skończone. „Challenger”, jesteś wspaniały... – Przy ostatnim meldunku z kontroli naziemnej Ann z trudem pokonała przeciążenie i sięgnęła ręką do znajdującego się w lewo z przodu przycisku oznakowanego ADI[†] i przełączyła go na LV LH.

– Pion miejscowy, poziom miejscowy – zgłosiła przez telefon pokładowy. Pilot siedzący po jej prawej stronie skinął głową i zrobił to samo.

– Dziękuję pani, doktor Page – powiedział, i nagle wydało się jej, że jest bardzo młody. Przypominał jej kolegę z liceum. Ann wpatrywała się w prędkościomierz wyskalowany w machach, jednocześnie obserwując katodowy monitor komputera numer jeden, konsolę C2, konsolę komputera i oprzyrządowanie kontrolno-sterownicze głównego silnika. Sterowanie sekwencyjne głównego silnika w czasie startu i wznoszenia kontrolowane było przez komputer, ale wiedziała, że musi być gotowa do przejścia sterów, w przypadku gdyby nastąpił jakiś defekt – po awarię głównego silnika włącznie. Gdyby tak się stało, powrót promu na miejsce startu zależałby wyłącznie od sprawności jej i pilota. Śledząc wskazania instrumentów, powtarzała w myśli to, czego nauczono ją w czasie treningu: przez pierwsze pięć minut myśl o ewakuacji awaryjnej, a potem tylko – żeby wejść na orbitę. W czterdzieści sekund od startu prom kosmiczny przekroczył prędkość dźwięku, a Ann dostrzegła, że główny silnik automatycznie przestawia się na sześćdziesiąt pięć procent.

– Kontrola, tu „Challenger”. Silniki główne na sześćdziesięciu pięciu procentach.

– „Challenger”, tu kontrola, potwierdzam sześćdziesiąt pięć procent, wszystko w porządku.

Zbliżali się do punktu krytycznego lotu, kiedy siły aerodynamiczne oddziałujące na prom, czyli ciąg, bezwładność, siła przyciągania Ziemi i siła wznoszenia, mają maksymalną wartość. Silniki główne zostały nieco zdławione, aby przy dośściu do maksymalnej wartości Q , a potem dalszym wzroście przyspieszenia pojazd nie rozleciał się na kawałki. Zadaniem komputerów pokładowych było takie ustawienie przyspieszenia, aby przejście z fazy startu do prędkości lotu odbyło się płynnie.

Po chwili Ann usłyszała, jak pilot westchnął z ulgą, gdy sterowane komputerowo silniki podjęły normalną pracę.

– Kontrola, tu „Challenger”. Osiągnęliśmy maksymalne Q . Silniki na mocy stu procent.

– Rozumiem, „Challenger”. Potwierdzam maksymalne Q .

Oślepiające światło, wszechogarniające uczucie ciepła, a potem wrażenie

Ann obudziła się nagle, czując, że boli ją żołądek. Wydawało się jej, że za chwilę się udusi. Starła się nie myśleć o bólu wychodząc z pogniecionej pościeli.

– Przekłety koszmar – powiedziała do siebie półgłosem, ciężko dysząc. Pomimo wielu miesięcy treningu, ćwiczeń na symulatorach dopadały ją koszmarne sny. Była wyczerpana i spocona. Przekręciła się na łóżku i spojrzała na zegarek. Wskazówki pokazywały drugą w nocy. W ciągu pięciu godzin już ósmy raz budziła się ze strachem.

Miała wrażenie, jakby w jej żołądku wybuchały bomby atomowe, że przeżywa trzęsienie ziemi. No tak, chyba nie uda się już zasnąć.

Ostrzegano, iż będą nawiedzać ją koszmarne sny przed startem *Challenge-ra*. Wszyscy przez to przechodzą, począwszy od dowódcy lotu, aż do nie związanych bezpośrednio z lotem ludzi zaopatrujących prom w żywność. Ale jej przypadek był jeszcze gorszy. Była bowiem cywilem z bardzo niewielkim doświadczeniem.

I chociaż zostały jeszcze dwie godziny do czasu, gdy zadzwoni budzik, wyczołgała się z łóżka i poszła do łazienki. Dalsze próby zaśnięcia tylko przedłużyłyby męczarnię.

Była tak spocona, jakby brała udział w biegu maratońskim. Zdjęła koszulę nocną i przyjrzała się sobie w lustrze oświetlonym pojedynczą żarówką. Stwierdziła, że ma sińce pod oczami – efekt nie przespanej nocy. Szkoda, że astronauta już nie noszą hełmów. Nie straszylabym wtedy ludzi – powiedziała do swojego odbicia w lustrze. Właściwie nigdy nie podobała się sobie. Mówiono, że jest swoim najostrzejszym krytykiem, ale mimo wszystko... Skrzywiła się z niezadowoleniem, stwierdzając, że jej zielone oczy są zbyt okrągłe, kasztanowe włosy zbyt proste, piersi takie sobie, a nogi zbyt szczupłe... chociaż w kostkach nie najgorsze. Trudno jednak namówić kogoś na randkę z powodu zgrabnych kostek. No dobrze, nie jestem w sumie najgorsza, ale też i nie najlepsza.

Dla niej ciało nie było czymś, co może stanowić powód do dumy. Należało nad nim pracować, aby dobrze służyło. Intensywnie ćwiczyła przez całą szkołę średnią i uniwersytet, ale nie dlatego, że wszyscy to robili. Ona pragnęła osiągnąć coś innego: chciała być mistrzynią w bieganiu. Ćwiczyła swoje ciało, aby zwyciężać na bieżni, a nie w konkursach piękności. Udało jej się nawet zdobyć kilka pucharów, które stały wyeksponowane w domu rodziców. Efektem tych wysiłków była świetna figura, nawyk codziennego biegania i – niewiele randek,

bo nigdy nie było na nie czasu. Kto to powiedział, że kobieta nigdy nie jest zbyt szczupła lub zbyt bogata? Wszystko jedno kto, ale chyba trochę racji miał...

Z przezroczystego opakowania wyjęła plastikową szklaneczkę, nalała wody z kranu i napiła się. Woda była letnia i ledwo mogła ją przełknąć. Czowała, że ścisają ją w gardle. Po prostu świetny początek dnia. To dziwne, bo od miesiący nie myślała o szkole, o uniwersytecie ani o życiu osobistym, a pilot, który pojawił się we śnie, był dawno zapomnianym chłopcem ze szkoły. W takim dniu jak ten, lepiej będzie myśleć o czymś innym. Po wzięciu prysznicza nie spieszyła się zbyt, wycierała się powoli, a potem długo szczotkowała ciemnorude włosy. Stwierdziła, że jest jeszcze godzina do czasu, gdy zadzwoni budzik, a dwie godziny do przyjazdu taksówki.

Włożyła cienką, bawełnianą bieliznę, bawełniane skarpetki i szaroniebieski kombinezon NASA. Włosy jak zwykle związała w koński ogon, dwukrotnie, dla zabicia czasu, zmieniając jego upięcie. Ale to nie pomogło. Do przyjazdu taksówki ciągle jeszcze pozostawała godzina i czterdzieści minut. W telewizji też nic nie było o trzeciej nad ranem.

Ponownie dał znać o sobie żołądek... Do diabła, nie ma sensu czekać na taksówkę. Szybko włożyła czarne botki lotnicze, zostawiła na łóżku klucz od pokoju, zgasiła światło i wyszła zamykając za sobą drzwi.

Kiedy weszła do hallu hotelowego bazy lotniczej Vandenburg, musiała chrząknąć co najmniej dwa razy, żeby być zauważoną przez recepcjonistkę.

– Czy mogłaby pani wezwać mi taksówkę? Chciałabym się dostać do Centrum Lotów.

Recepcjonistka wpatrywała się w nią z natężeniem, ale mimo że widziała charakterystyczny kombinezon, nie bardzo zorientowała się w sytuacji. Chyba nieczęsto spotykała członków załogi promu kosmicznego, mimo że starty odbywały się co miesiąc.

– W dniu startu zazwyczaj mamy kłopoty z transportem. Ale jestem pewna, że przyjadą po panią.

– Jest dopiero czwarta, a ja chciałabym jechać już teraz.

Recepcjonistka zauważyła niepewność w głosie Ann, i ton jej głosu stał się mniej przyjazny. Podeszła do telefonu.

– Zobaczę, co się da zrobić.

Ann przeszła przez hall. Za ogromnym oknem wychodzącym na Pacyfik widać było przedświt. Czyste nocne niebo iskrzyło się tysiącami gwiazd. Chudy rogalik księżycy właśnie zanurzał się w wodzie, a Jowisz błyszczał jak diament.

– Przepraszam panią, ale transport informuje, że nie zdążą tu przybyć przed czwartą trzydzieści – recepcjonistka musiała podnieść głos, żeby Ann ją usłyszała.

– Trudno – powiedziała Ann i skierowała się do wyjścia. – Przespaceruję się.

– Chyba pani żartuje, to przecież z piętnaście kilometrów! – ale Ann już nie słyszała.

Dziesięć przecznic dalej baza się skończyła. Przed nią rozciągały się kilometry zupełnego pustkowia. Opuszczone przed laty drewniane baraki, parkingi, niszczone budynki i boisko sportowe zamieniające się powoli w wydmy piaskowe albo łąki.

Zostawiając za sobą resztki cywilizacji, Ann poczuła się lepiej i nagle zorientowała się, że biegnie. Wiatr od oceanu działał jak narkotyk. Na zachodzie gwiazdy były niezwykle jasne i bliskie, a ich światło odbijało się w falach oceanu. Na wschodzie rysowały się góry San Rafael.

Ann biegła lekko. Koszmarne sny, podchodzący do gardła strach, nawet niesympatyczna recepcjonistka zostały daleko w tyle. Teraz łączyła się w jedną całość z niebem i ziemią. Buty skrzypiały na twardym piasku, policzki szczypały od wiatru, a zimne powietrze przenikało ją całą.

Poczuła, że żyje, jest wolna. Myśl o zamknięciu się w ciasnej kabinie i skrzepowaniu pasami była przerażająca.

Dotarła do szczytu pagórka i nagle zobaczyła przed sobą wysokie ogrodzenie, co pięćdziesiąt jardów oświetlone potężnymi reflektorami. Drogę zagroził jej betonowy budynek strażnicy. Patrol wojskowy z karabinami i psami przechodził wzdłuż ogrodzenia. Psy szczekały i rwały się na smyczach, wyzywając obcego.

Kilka kilometrów za tym prawie czterometrowym ogrodzeniem widać było jaskrawo oświetloną masywną konstrukcję, wyglądającą jak drapacz chmur wybudowany na szczerej pustyni. Kilkaset metrów z boku zobaczyła coś, co miało przysadzisty, niezgrabny kształt i wyglądało jak karzeł przy ogromnym budynku. Otoczone było kratownicami wież obsługi i oświetlone potężnymi bateriami reflektorów. Był to prom kosmiczny *Enterprise* w nowej wersji, w całej swej okazałości, a ogromny, podobny do wieżowca budynek to nowa hala montażowa. Koło głównej bramy zrobił się ruch, ale Ann niczego nie zauważyła. Cała jej uwaga skoncentrowana była na tym rysującym się w oddali niezgrabnym kształcie, znajdującym się na szczycie wysokiej betonowej konstrukcji.

Z tej odległości wszystko wydawało się takie małe. Oczywiście widziała już niejednego wahadłowca, na samym *Enterprise* też przebywała wiele razy w czasie „suchej zaprawy”, gdzie ćwiczyła ewakuację awaryjną i orientację. Z małej odległości, kiedy stało się u podnóża lub na wieży obsługi, prom był ogromny, i aż do tej chwili nie myślała, że może go kiedykolwiek porównać do modelu-zabawki.

I oto zbliżała się chwila, kiedy miała wejść do środka, przypiąć się pasami, w czasie gdy ktoś podpali pod nią zbiorniki zawierające cztery miliony funtów materiałów pędnych i paliwa raketowego. Wtedy wystartuje z prędkością dwadzieścia pięć razy większą od prędkości dźwięku i polecą w przestrzeń. Chyba oszalała.

Jeszcze większym szaleństwem było to, że naprawdę musiała się ciężko napracować, aby jej na to pozwolono. Pisała podania, przechodziła rozmowy kwalifikacyjne, błagała, prosiła, schlebiała, aby tylko wzięto pod uwagę jej kandydaturę, potem czekała wiele miesięcy na rezultaty tych starań. Kiedy była już zaakceptowana, musiała przejść przez sześć miesięcy treningu, uczenia się, ćwiczeń na symulatorach, testów itd. I wszystko po to, aby znaleźć się setki kilometrów ponad powierzchnią Ziemi, oddychać przetworzonym powietrzem, jeść potrawy poddane promieniowaniu jonizującemu, pić wytworzoną chemicznie wodę i walczyć z nieważkością.

Ann tak była pochłonięta tymi rozważaniami, że nie zauważyła, jak podjechał należący do ochrony jeep i zatrzymał się przy niej. Dopiero ciężki oddech dobermana przywołał ją do rzeczywistości.

– Wstęp na ten obiekt jest zabroniony – powiedział jeden ze strażników, oświetlając jej twarz latarką. W poprzek piersi trzymał karabinek M-16. – Proszę się wylegitymować. Natychmiast!

Ann automatycznie sięgnęła do kieszeni na prawej nogawce kombinezonu i dopiero gdy wyjmowała dokumenty, żandarm rozpoznał ją.

– Doktor Page? – Wziął dokumenty, przejrzał je i szybko oddał. – Widziałem pani zdjęcie w prasie. Pani dzisiaj leci.

– Tak – powiedziała Ann, mając nadzieję, że jej głos brzmi normalnie.

Żandarm przekazał psa koleźce i zarzucił broń na prawe ramię.

– Chyba nie powinna pani spacerować tu sama. – Spojrzał na nią. – Czy wszystko w porządku?

– Tak, oczywiście. Po prostu niecierpliwiałam się trochę, więc zdecydowałam się pójść pieszo...

– Z głównej bazy?

– Tak, chciałam zaliczyć swój codzienny jogging. Było bardzo przyjemnie, tak cicho.

– Taaak – powiedział żandarm. – Myślę, że też bym zrobił coś podobnego, gdybym miał odjechać na tej świecy... też chciałbym rzucić okiem na Matkę Ziemię ostatni raz przed odlotem... No, to teraz zawiozę panią do Centrum Lotów, doktor Page, przecież nie może pani spacerować tutaj samotnie. Dziwię się, że nikt po panią nie przyjechał.

Ann prawie go nie słyszała, znowu pogрузыła się w myślach. Nie mogła zrozumieć swojego stanu. Czy to był strach przed śmiercią? Nigdy się z nią nie zetknęła. Nigdy o niej nie myślała, ani w czasie treningów na wahadłowcu, ani w czasie odpraw czy ćwiczeń. Poza tym był to zakazany temat i nikt go nigdy nie poruszał.

Pozwoliła się zaprowadzić do jeepa, wsiadła, ale zupełnie nie dała się wciągnąć w rozmowę z dowódcą warty.

Przecież chyba nie bała się śmierci. Wiedziała, co może jej grozić w każdej chwili, niespodziewanie. To ryzyko było wliczone w misję, ale nie chciała z niej zrezygnować.

Po chwili wróciła do rzeczywistości i usłyszała, jak strażnik mówi, że zawsze chciał uczestniczyć w takiej akcji, ale jest tylko zwykłym inżynierem, a teraz żołnierzem.

– Ależ właśnie zależy nam na inżynierach, a stopień wojskowy nie ma znaczenia. Przecież ja też go nie mam, jestem cywilem. Potrzebni są ludzie o wykształceniu technicznym, ochotnicy gotowi poświęcić się misji bez reszty. To tylko w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wymagano doświadczenia lotniczego i stopnia oficerskiego. Teraz liczą się fachowcy różnych specjalności...

Ann zdała sobie sprawę, że mówi jak ktoś z NASA starający się zwerbować nowych ludzi. Czy rzeczywiście jej entuzjazm był autentyczny? Czy to takie proste? W tej chwili potrzebna jej była wiara w to, co miała zrobić, przekonanie, że ta misja była jednocześnie rutynowa i stanowiła szansę jej życia. Tylko tak podchodząc do sprawy, mogła przetrwać.

Jeep zatrzymał się przed niskim budynkiem Centrum Lotów Orbitalnych. Ann zauważyła, że czarne do tej pory niebo zmienia barwę na lazuruową i oddała od niej pustą przestrzeń, w którą wkrótce miała wyruszyć.

WAHADŁOWIEC *ENTERPRISE*

Trzy godziny później załoga wahadłowca *Enterprise* weszła do windy w wieży obsługi i podjechała na poziom wejścia do orbitera. Astronaucci przeszli przez ramię komunikacyjne do tak zwanego białego pokoju. Tam ubrani na biało technicy z obsługi naziemnej, z maskami chirurgicznymi na twarzach, dokładnie wyczyścili odkurzaczami ich kombinezony i buty, tak aby nie został na nich nawet pyłek. Drobinny żwiru czy nawet kurz przyniesiony z Ziemi unosiłyby się potem w kabinie w czasie lotu w stanie nieważkości. Po chwili członkowie załogi zaczęli pojedynczo wchodzić do orbitera przez okrągły właz.

Kiedy nadeszła kolej Ann, zatrzymała się i podała rękę jednemu z techników.

– Dziękuję – powiedziała cicho. Prawie się nie znali, ale w takiej chwili musieli czuć to samo. Nie padło ani jedno słowo więcej.

Początkowo *Enterprise* miał służyć do przeprowadzania prób lądowania. W 1977 roku został umocowany na grzbiecie zmodyfikowanego transportowego Boeinga-747 i następnie odłączony w powietrzu, w celu przetestowania jego możliwości lądowania lotem ślizgowym. Nigdy nie myślano o wystrzeleniu go w kosmos.

Po katastrofie *Challenger*a w 1986 roku zmieniono jednak zdanie. Przystosowanie *Enterprise* do lotów kosmicznych byłoby o wiele tańsze niż budowa nowego pojazdu, toteż pod koniec 1987 roku podjęto prace adaptacyjne, wprowadzając najnowocześniejsze technologie lat osiemdziesiątych. Pierwszą rzeczą, jaką Ann zauważyła zbliżając się do włazu, był brak płytek ceramicznych osłony termicznej. Zamiast nich wahadłowiec pokryty był laminatem węglowym, lżejszym, mocniejszym i tańszym niż płytki silikonowe zastosowane na *Columbii* i *Atlantis*. Wtedy tylko nos i krawędzie natarcia skrzydeł miały osłonę termiczną, teraz posiadał ją cały pojazd. Zewnętrzna powierzchnia w poprzedniej wersji była chropowata i pokryta łuską niby skóra jaszczurki, teraz zaś – biała, gładka i szklista.

Jakaś ręka wyciągnęła się, aby pomóc jej wejść przez właz na pokład załogi. Stąd widać było znajdujące się niżej ładownie, węzeł sanitarny i służę ciśnieniową.

– Dziwne – powiedziała Ann – stoję na ścianie jak „Kobieta Pająk”.

Kapitan Marty Schultz, specjalista od ładunku, właśnie wchodził po drabinie na pokład pilotażowy.

– Poczekaj, aż wejdiesz na orbitę, na *Silver Tower* – odezwał się. – Wtedy nie wiadomo, gdzie góra, gdzie dół, gdzie sufit, a gdzie ściana. To zupełnie inny świat.

Ann zaczęła z nim wchodzić po drabinie. Schultz stał teraz na pokładzie pilotażowym obok znajdujących się tam trzech foteli. W jednym z nich, wysoko z lewej, zobaczyła pułkownika lotnictwa Jerroda Willa, dowódcę wyprawy, a w drugim, po prawej – pułkownika marines Richarda Sontaga, pilota *Enterprise*. Obaj spojrzeli na nią „z góry”, kiedy dostała się na pokład.

– Doczołgaj się do prawego fotela i siadaj – powiedział Schultz.

Ann „przeszła” przez pokład i zajęła miejsce przeznaczone dla specjalisty misji. Ktoś z obsługi technicznej pomógł jej przypiąć się pasami i wręczył hełmofon, który wyglądał jak kask futbolowy z czasów szkolnych, z szerokimi nausznikami.

– Twój indywidualny aparat tlenowy POS* jest tutaj z prawej – wyjaśnił technik z obsługi.

Schultz i Kevin Baker, siwowłosy projektant systemu pocisków przechwytyjących Thor na *Silver Tower*, wczółgali się na swoje miejsca. Po przypięciu się pasami Ann poczuła się lepiej, ale widok techników stojących bokiem na ścianach, podczas gdy ona siedziała z twarzą skierowaną ku górze, był trochę deprymujący.

– Teraz już rozumiem, dlaczego niektórzy dostają choroby powietrznej już na Ziemi – powiedział Baker.

Marty Schultz rzucił starszemu mężczyźnie uspokajające spojrzenie.

– Właśnie mówiłem Ann, że po zamknięciu włązu przenosimy się w inny świat. Gdy po raz pierwszy leciałem wahadłowcem, przejście od tego, co normalne na Ziemi, do tego, co normalne w kosmosie, było niesamowitym przeżyciem. Wydawało mi się, że siedzę na plecach dwieście stóp nad ziemią.

Ann czuła, jak jej stopy wciskają się w podstawę fotela. Schultz mówił dalej:

– Ale to mija. Teraz z niecierpliwością oczekuję na tę zmianę. W stanie nieważkości wszystko jest o wiele łatwiejsze, nawet wyobraźnia lepiej pracuje.

Pułkownik Sontag odwrócił się i spojrzał przez ramię na troje specjalistów misji.

– Czy wszyscy przypięci? – zapytał przez telefon pokładowy. Cała trójka odpowiedziała twierdząco. Sontag podniósł kciuk do góry. Po chwili usłyszeli głos:

– *Enterprise*, tu Centrum Kontroli Startu Vandenburg, sprawdzam łączność radiową z Ziemią na kanale drugim. Odbiór.

– Dzień dobry, kontrola. Słyszę cię głośno i wyraźnie na kanale dwa – odpowiedział pułkownik Will.

Kontrola łączności została przeprowadzona na różnych częstotliwościach.

– *Enterprise*, do startu T-minus osiem zero minut. Sprawdzam zabezpieczenie startu.

Nad prawym ramieniem Willa rozbłysło czerwone światło z napisem AWARIA, następnie zbladło i zgasło.

– Kontrola ewakuacji awaryjnej OK. Wyłączam się.

Za chwilę pojawił się technik z obsługi w białym kombinezonie, podniósł do góry kciuk i szedł na niższy pokład. Usłyszeli trzask zamykanego włazu.

– *Enterprise*, boczny właz zamknięty i zabezpieczony.

– Zrozumiałem, odbiór – powiedział Sontag. – Załoga, podnoszę ciśnienie w kabinie, uwaga na uszy.

Dowódca dotknął przełączników i Ann odniosła wrażenie, że za chwilę pękną jej bębunki. Ciśnienie w kabinie zostało znacznie podniesione, aby sprawdzić jej hermetyczność i ewentualne nieszczelności włazów.

– Kontrola, tu *Enterprise*, ciśnienie w kabinie normalne, jeden-sześć koma siedem p.s.i.³ Odbiór.

³p.s.i. (*poundper square inch*) – funt na cal kwadratowy (*przyp. tłum.*).

– Zrozumiałem, *Enterprise*. Bez odbioru.

– Ann, zezwalam włączyć monitor kontroli ładunku – polecił pilot – i sprawdź, czy wszystko w porządku z tą twoją zabawką.

– Zrozumiałam – odparła Ann i nacisnęła przełącznik. Monitor po jej prawej stronie ożywił się. Prócz paru urządzeń właściwie jedynym ładunkiem *Enterprise* w tej misji był „piorun” – zbudowany przez nią laser, Skybolt. Musiała sprawdzić system ważącego czterdzieści tysięcy funtów modułu laserowego, aby upewnić się, czy nie nastąpiły uszkodzenia, które mogą spowodować skażenie lub zagrożenie w chwili startu.

Dokładny przegląd wszystkich pięciu sekcji modułu zajął jej więcej czasu, niż myślała. W końcu mogła zgłosić:

– Monitor kontroli ładunku wyłączony, pułkowniku. Wszystko w porządku. Wskaźniki na zielonym polu. Zgłaszam gotowość do startu.

– Kontrola, tu *Enterprise*. Można wznowić odliczanie wsteczne. Odbiór – zgłosił Sontag.

Pułkownik Will, mający sześćoletnie doświadczenie w lataniu na

wahadłowcach, przysunął się do klawiatury komputera i nacisnął klawisz oznakowany SPEC 99 PRO. Na monitorze ukazała się trajektoria lotu *Enterprise*. Will sprawdził obraz. W przypadku awarii wszystkich trzech głównych komputerów nawigacyjnych GNC* kierowałby lotem promu na orbitę używając tego obrazu komputerowego jak mapy drogowej. Włączył mikrofon.

– Kontrola, tu *Enterprise*. Program lotu wprowadzony i sprawdzony. Odbiór.

Kolumny cyfr na ekranach biegły coraz szybciej. Od momentu T-minus dwadzieścia minut do T-minus pięć minut Will i Sontag pracowali w szalonym tempie. Ich główne zadanie polegało na uruchomieniu trzech pomocniczych jednostek napędowych APU*, zasilających instalację hydrauliczną. W czasie startu APU miały zapewnić opływowe ustawienie powierzchni aerodynamicznych, a w czasie lądowania lub awarii dostarczyć odpowiednią ilość mocy potrzebnej do pilotowania wahadłowca, jakby był samolotem konwencjonalnym.

Od momentu T-minus pięć minut Will i Sontag mogli już tylko obserwować monitory pokładowe i odbierać kolejne meldunki z Centrum Kontroli Startu.

– T-minus dwie minuty – zgłosiła kontrola. – Zbiorniki H-dwa i O-dwa pod ciśnieniem. Jesteście gotowi do startu? Odbiór.

– Odebrałem, kontrola. Jesteśmy gotowi. – Sontag spojrział przez ramię na Ann, Schultza i Bakera.

– No to jazda...

– Pedał do dechy, pułkowniku – powiedział Schultz i natychmiast tego pożałował. Wszyscy udali, że go nie usłyszeli. Ann wcisnęła się głęboko w fotel i zacisnęła pasy tak mocno, jak tylko mogła. Powietrze w kabinie było naelektryzowane – nie ciężkie albo wilgotne, ale naładowane elektrycznością. Daleko pod sobą poczuła dudniący grzmot – to silniki SBR uruchomiły APU. Na myśl o tym, że za chwilę powstanie ciąg o sile sześciu milionów funtów, szczerze zacisnęła powieki.

– T-minus dziesięć sekund... dziewięć... osiem...

Ann omal nie wyskoczyła z fotela, kiedy na lewej ręce poczuła lekkie dotknięcie.

– Spokojnie – mówił Marty Schultz – wszystko będzie dobrze, spokojnie.

Ann głęboko odetchnęła, po raz pierwszy od wielu godzin.

– Sześć... pięć... cztery... sekwencja zapłonu silników... silnik główny numer jeden zapłon... dwa zapłon... trzy zapłon!

Sontag nie mówił do mikrofonu, ale krzyczał na całą kabinę: – Ciśnienie ładowania we wszystkich trzech silnikach prawidłowe... trzy na zielonym...

Sto stóp poniżej trzy główne silniki zaczęły gromadzić w sobie siłę ciągu o wartości jednego i ćwierć miliona funtów, a prawie nie słyszało się ani hałasu, ani wibracji. Po chwili Ann poczuła jakby wahnięcie orbitera w kierunku głównego zbiornika. Nastąpiło to w momencie, gdy moc silników zbliżyła się do maksymalnej wartości ciągu, ale nawet nie było to zbyt wyraźne.

Z niezliczonych symulacji wiedziała, co teraz nastąpi. Już niemal dostrzegła czerwone światło z napisem AWARIA. Nie zapaliło się, dzięki Bogu.

Nagle, jakby tuż obok niej przejechał ciężki pociąg towarowy. Rozległo się piekielne, rozsadzające głowę i zapierające dech w piersiach dudnienie. To włączyły się silniki rakiet wspomagających SRB. W trzy sekundy i tak już potężny ciąg wzrósł jeszcze pięciokrotnie, do wartości ponad sześciu milionów funtów, a *Enterprise* jeszcze stał na wyrzutni. Wtem jakby wielka ręka przycniotła jej klatkę piersiową, wyciskając z niej powietrze. Gwiazdy zawirowały przed oczami. Ann jęknęła. Wyrzutnia zniknęła z pola widzenia.

Wystartowali.

– *Enterprise*, jesteście ponad wyrzutnią, silniki w porządku.

Ann zobaczyła ze zdziwieniem, że Will i Sontag sięgają w górę do tablic rozdzielczych. Też spróbowała podnieść rękę, ale nie potrafiła pokonać siły przeciążenia.

– Kontrola, tu *Enterprise*. Silniki główne ciąg sześćdziesiąt pięć procent. Odbiór.

– Zrozumiałem, *Enterprise*. Zbliżacie się do maksymalnego Q.

Ann jeszcze mocniej zacisnęła ręce na poręczach. Oto nadchodził jeden z najbardziej krytycznych momentów lotu, w którym wszystkie siły oddziałują na statek...

– Kontrola, jest maksymalne Q. Silniki główne ciąg sto procent.

– Rozumiem. Bardzo ładny start. Bardzo efektowny. Bez odbioru.

I to już po wszystkim? Żadnego rozdzierającego huku, rozplaszczonej twarzy, fali gorąca? Siły przeciążenia były zauważalne, ale Ann wiele razy czuła się gorzej niż teraz.

– Kontrola, zbliżamy się do punktu odłączenia rakiet wspomagających SRB. – Silniki rakiet wspomagających napędzane paliwem stałym przestały już pracować, a same rakiety, sterowane przez komputer, zostały odłączone i odrzucone. *Enterprise* znajdował się teraz ponad tysiąc mil na zachód od Meksyku, na południowej trajektorii biegunowej. Rakiety S RB opadały powoli do oceanu,

na spadochronach o średnicy stu piętnastu stóp. Stąd miały zostać wyłowione przez czekające na nie statki.

Lot *Enterprise* różnił się od lotów innych wahadłowców. Po pierwsze, miał wejść na bardzo szczególny rodzaj orbity, jaką jest eliptyczna orbita polarna, zamiast zwykłej kołowej orbity równikowej. Po drugie, miał wznieść się na wysokość tysiąca mil, aby tam spotkać się ze stacją *Silver Tower*, która poruszała się po wysokiej orbicie. Z powodu ograniczeń paliwowych wysokość orbity wahadłowców dotychczas nie przekraczała siedmiuset mil.

Po kilku godzinach lotu nareszcie usłyszano głos Willa:

– Witam w kosmosie. Silnik OMS* wyłączony. Jesteśmy na orbicie.

Na twarzach załogi widać było ulgę.

– Jesteśmy już niedaleko orbity *Silver Tower* – odezwał się Sontag przez telefon pokładowy. – Ponieważ udało się nam zaoszczędzić trochę paliwa, mamy pewien margines bezpieczeństwa. Według moich obliczeń połączymy się z *Silver Tower* za jakieś dwie godziny. Przed nami jeszcze około piętnastu tysięcy mil... Marty, otwórz drzwi ładowni. Potem wszyscy możecie się odpiąć i rozpocząć sprawdzanie systemów. Kevin, sprawdź pokład mieszkalny. Zobacz, czy wszystko jest dobrze umocowane i czy nie ma uszkodzeń.

Schultz i Baker potwierdzili odbiór i zaczęli się odpinać. Ann zobaczyła, jak pasy Schultza unosiły się w powietrzu, zanim je zabezpieczył.

– Pamiętaj, Ann – doradził Schultz – chociaż jesteś w stanie nieważkości, twoje ciało ma pewną masę, którą musisz pokonać, żeby się zatrzymać.

– No właśnie – mruknął Baker, który przed chwilą się odpiął i natychmiast walnął głową w sufit.

Schultz przyglądał się, jak Baker manewruje ciałem w kabinie i odpływa w stronę pokładu mieszkalnego.

– Teraz tylko otworzyć drzwi ładowni – powiedział Schultz.

Razem z Ann, unoszącą się obok, skierował się w stronę tylnej tablicy przyrządów. Ann próbowała zajrzeć do ładowni przez okno, ale było tam zbyt ciemno, aby cokolwiek zobaczyć.

– Sterowanie drzwiami ładowni znajduje się na tablicy R13 – poinformował Schultz. Po chwili zwrócił się przez interkom do Sontaga. – Pułkowniku Sontag, proszę skontrolować zasilanie drzwi ładowni.

Sontag sprawdził tablicę rozdziału mocy, znajdującą się z jego prawej strony.

– Przełączniki nastawione.

Następnie przejrzał baterie trzech amperomierzy, włączając po kolei wskaźniki kontrolne na każdym z ogniw paliwowych.

– Napęd włączony, Marty.

– Zrozumiałem. – Na użytek Ann Schultz wyjaśnił: – Drzwi otwierane są hydraulicznie silnikami napędzanymi elektrycznie. Mamy również rezerwowe zasilanie elektryczne, a oprócz tego można je otworzyć zdalnym manipulatorem. Gdyby i to zawiodło, pozostaje spacer kosmiczny. Po całkowitym otwarciu drzwi przestaje działać instalacja chłodząca. – Schultz zameldował przez interkom: – Drzwi otwierają się.

– Zezwalam na otwarcie ładowni – powiedział pułkownik Will.

Schultz włączył sterowanie. W jednej chwili całą komorę towarową zalało połyskliwe, błękitno-białe światło odbijające się od aluminiowej osłony pokrywającej moduł lasera Skybolt. Wahadłowiec *Enterprise* leciał teraz brzuchem do góry w stosunku do powierzchni Ziemi, a więc jego „niebem” była Ziemia. Ann zobaczyła to „niebo” po raz pierwszy.

– O Boże...

Enterprise przekraczał właśnie linię świtu między Hawajami i Australią. Ziemia wyglądała jak podświetlona z boku mapa plastyczna; każda wyspa w archipelagu Mikronezji była widoczna w najdrobniejszych szczegółach. Można było rozpoznać Wyspy Salomona, Samoa, a nawet Nowe Hebrydy. Było trochę chmur, ale poza tym wszystko wyglądało jak malowidło dokładnie oddające każdy szczegół południowego Pacyfiku.

– No i jak, Ann?

– To jest... piękne... takie czyste... – odpowiedziała cicho. Schultz pokiwał głową.

– Masz rację, na mnie to też wywiera ogromne wrażenie, za każdym razem – wziął do ręki interkom. – Drzwi ładowni otwarte, chłodzenie wyłączzone. Nie zauważyłem żadnych uszkodzeń.

– Zrozumiałem – odpowiedział Sontag.

Will porównał odczyty wskaźników z danymi Centrum Kontroli Lotu przez bezpośrednie połączenie radiowe na falach UHF i łącze satelitarne w stacji naziemnej Yarra Yarra w zachodniej Australii.

– Centrum Kontroli Lotu potwierdza zezwolenie na wejście na orbitę i połączenie ze stacją *Armstrong*.

Po prawie dwóch godzinach lotu Ann spojrzała przez przednią szybę. Za oknem rozciągała się czarno-szara pustka, w której połyskiwało kilka gwiazd zbyt silnie świecących, aby mogła je zaćmić jasność Ziemi.

– Pułkownika Sontag, pan ma chyba rentgen w oczach, jeśli cokolwiek pan tam może dostrzec.

– Stacji jeszcze nie widać zbyt dokładnie, ale wiem, gdzie jest. Wygląda jak jedna z gwiazd.

Ann pokręciła głową.

– Idę do tylnej konsoli. – Piloci skinęli głowami, nie przerywając obserwacji przyrządów.

Marty Schultz wysunął ramię zdalnego manipulatora i przeczesywał przestrzeń za pomocą zainstalowanej na nim kamery telewizji pokładowej, dającej ogromne powiększenie. Zauważył stację dopiero wtedy, gdy znaleźli się w odległości dziesięciu mil od niej.

– Stąd wygląda jak zabawka – odezwała się Ann.

– Tak też o niej na początku mówiono – dodał Schultz. – Niektórzy uważali, że to pieniądze wyrzucone w błoto, że pożyteczniej byłoby je wydać na zakup dywanów dla Pentagonu. Wielu z nas obawiało się, że skończy jak Skylab, wybuchnie w powietrzu i spadnie na ziemię.

Kevin Baker, ciągle próbując utrzymać równowagę w tym świecie nieważkości, wmanewrował się między Ann i Schultza, znajdujących się w tylnej części kabiny.

– Pamiętam aż nadto dobrze – powiedział – jak się spierano, do kogo właściwie należy stacja. Amerykańscy podatnicy wydali miliony dolarów, żeby ją umieścić w kosmosie, a gromada różnych naukowców, z których nawet nie wszyscy byli Amerykanami, zabroniła przeprowadzać na niej jakiegokolwiek badania dla celów wojskowych.

Ze sposobu mówienia o niej można by sądzić, że to jakaś rozpadająca się chałupa. Pamiętacie, jak ją nazywano? „Srebrna parówka”, „czopek kosmiczny”...

Ann skinęła głową, z napięciem wypatrując stacji.

– Ale generał Saint-Michael chyba potrafił zmienić ten pogląd.

– Rzeczywiście wykonał kawał dobrej roboty. Od tamtej pory zaczęto ją brać poważnie. Ta „zabawka” waży około pięciuset ton. To, co widzicie, jest wynikiem wysiłku dwudziestu misji wahadłowców w ciągu czterech lat i ponad dziesięciu lotów bezzałogowych pojazdów transportowych. Można powiedzieć, że to najdroższe na świecie mieszkanie...

Enterprise zbliżał się do stacji kosmicznej. Widać już było więcej szczegółów. Ann wskazała palcem mały punkcik na ekranie tuż poniżej stacji.

– Czy to twoje Thory? – zwróciła się do Bakera.

– Tak. To zespół składający się z dziesięciu konwencjonalnych pocisków przechwytyjących, laserowego wykrywacza makiet oraz radarowy system wykrywania i śledzenia. Całość jest naszym pierwszym od trzydziestu lat systemem obrony przeciwrakietowej. Mogę śmiało przyznać, że jest prosty, tani i efektywny.

Wkrótce uwaga wszystkich skupiła się na ekranie telewizji pokładowej, na którym stacja była coraz bardziej widoczna. Załoga otrzymała rozkaz powrotu na miejsca i przygotowania się do cumowania. Schultz umieścił ramię manipulatora i kamery z powrotem w ładowni i wyłączył tylną konsolę.

– Załoga gotowa do cumowania – zgłosił.

W odległości mili od stacji automatyczny pilot numeryczny zredukował prędkość liniową *Enterprise* do tysiąca stóp na minutę. Wysłany z *Armstronga* w kierunku wahadłowca wąski promień lasera doszedł do dwóch czujników, z których jeden znajdował się z przodu, a drugi z tyłu ładowni. Przedni czujnik był dużą soczewką, która ogniskowała promień tylnego lasera. Gdy wiązka światła ześlizgiwała się z tylnego czujnika, numeryczny autopilot wahadłowca automatycznie korygował jego kurs, ustawiając *Enterprise* idealnie w osi tunelu cumowniczego stacji kosmicznej *Silver Tower*.

Z magiczną precyzją komputery sterujące pracą silników korekcyjnych ustawiły służbę cumowniczą znajdującą się w ładowni w odległości zaledwie kilku stóp od tunelu cumowniczego *Silver Tower*. Oba pojazdy zbliżyły się do siebie i ich pierścienie cumujące zostały zatrzaśnięte i zaryglowane. Następnie wysunęła się kratownica podpory, która weszła w zaciski w ładowni wahadłowca. Wzmocniła ona połączenie obydwu statków, tworząc z nich właściwie jeden zespół. Następnie ciśnienie w tunelu dokującym zostało podwyższone do dwu atmosfer.

– *Armstrong*, tunel dokujący szczelny – zgłosił pułkownik Sontag. – Cumowanie zakończone. Odbiór.

– Potwierdzam, *Enterprise* – odpowiedział oficer ze stacji *Armstrong*. – Witamy na pokładzie. Zezwalam na przejście załogi.

– Zrozumiałem, dziękuję. – Przez telefon pokładowy Sontag obwieścił: – Uwaga, załoga, cumowanie zakończone. Zadanie wykonane. – Ann, Baker i Schultz zaczęli gratulować dowódcy i pilotowi swojego statku, ale pułkownik Will machnął tylko ręką.

– Większość zadań wykonywał autopilot, szczerze mówiąc ja zrobiłbym to lepiej.

Następnie Will wydał rozkaz wyłączenia większości systemów i rozpoczął

przygotowania do transferu na *Silver Tower*. Sontag i reszta załogi schodzili już na dół do znajdującej się na środkowym pokładzie strefy przejścia.

Pułkownik Will podwyższył ciśnienie w śluzie oraz w komorze powietrznej i obaj z Sontagiem sprawdzili odczyty.

– Ciśnienie szesnaście funtów na cal kwadratowy – zgłosił Will, odeknął pierwszy właz prowadzący do śluzi i ponownie sprawdził ciśnienie. Zadowolony, otworzył ciężkie stalowe drzwi. – Do zobaczenia – powiedział. Sprawdził aparat tlenowy i zapiął maskę. Sontag zamknął i zabezpieczył drzwi komory, a Will sprawdził wskazania ciśnieniomierza w tunelu przejściowym, następnie otworzył górny właz. Dał się słyszeć cichy syk powietrza, kiedy ciśnienie się wyrównało. Nie było widać żadnych uszkodzeń ani nieszczelności.

– Witamy na pokładzie, pułkowniku Will – dobiegł jakiś głos z góry. Will spojrzął w tym kierunku i zobaczył młodą, uśmiechniętą twarz.

Odpiął maskę tlenową i rzucił z wściekłością:

– Powinieneś zaczekać, aż otworzę właz śluzi, John.

– Bardzo dokładnie sprawdziłem pańskie czynności, sir – odezwał się John Montgomery. – Niech mi pan wierzy, że nie mam zamiaru dać się wessać do waszej ładowni.

– Myślę, że tak się jednak kiedyś stanie. – Will odwrócił się i odbezpieczył zamki włazu prowadzącego do przedziału załogi na *Enterprise*. Nawet się nie uśmiechnął, kiedy rzucił rozkaz: – Załoga, zezwalam na przejście!

Członkowie załogi *Enterprise* pojedynczo przenieśli się do obszernej kabiny dokowania na *Silver Tower*. Ostatni opuścił *Enterprise* Sontag. Zamknął za sobą i sprawdził zabezpieczenia włazów. Prom miał być wkrótce uszczelniony i odłączony od systemów stacji.

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG*

Tunel transferowy miał długość około dziesięciu metrów i nieco ponad metr średnicy. Na jego końcu na załogę czekali technicy; pomogli w wydostaniu się na pokład i wręczyli miękkie pantofle, których podeszwy zrobione były z samoprzyczepnego materiału velcro. Za obsługą techniczną stał mężczyzna ze złotymi dystynkcjami na mundurze.

– Witamy na *Silver Tower* – powiedział. – Jestem pułkownik Jim Walker,

wicedowódca i zarazem zastępca do spraw operacyjnych. – Ucisnął rękę Ann i Bakerowi. – Mam nadzieję, że mieli państwo miłą przejażdżkę.

Walker był kolejnym typowym przykładem wojskowego-kosmonauty, których tak wielu Ann spotkała w Dowództwie Lotnictwa Kosmicznego. Był on odpowiedzialny za wszystkie operacje związane z obroną kosmiczną. Wyglądał młodo jak na swój stopień; szczupły, niezbyt wysoki, prawie łysy. Jego sposób bycia i wygląd świadczyły o inteligencji, przypominał raczej naukowca lub inżyniera niż wojskowego. Większość członków Dowództwa Lotnictwa Kosmicznego rekrutowanych spośród wojskowej elity naukowej była podobna do niego. W czasach szkolnych prawdopodobnie nazywano ich maniakami komputerowymi, a teraz na *Silver Tower* byli dowódcami, twórcami nowatorskich pomysłów. Walker odezwał się do Ann:

- Z przyjemnością oczekuję na wspólną pracę nad pani wynalazkiem.
- To dzięki panu mam nad czym pracować. Słyszałam, że to pan naciskał na realizację mojego projektu Skybolt.
- Dziękuję za uznanie, ale to głównie zasługa generała Saint-Michaela.
- Czy generał...
- Wkrótce go pani pozna. Przez cały dzień jest zajęty naprawą naszego głównego teledatonu.
- Mam nadzieję, że awaria nie jest poważna – powiedział Baker.
- Chyba nie, ale generał chciał to zobaczyć osobiście. On już taki jest. Dla niego nie ma rzeczy mało ważnych.

Zastępca dowódcy przeprowadził Ann i Bakera przez mały moduł cumujący, a potem przez górny właz. W pierwszej chwili wydawało się, że osiem głównych kabin *Silver Tower* jest tak samo małych jak człon cumujący, w najlepszym razie wielkości kabiny na promie kosmicznym, ale po wejściu do jednej z nich Ann stwierdziła, że się myli.

Kabina była obszerna i dobrze oświetlona. Dwóch oficerów i czterech techników obsługiwało pulpity sterownicze, wymieniając uwagi i popijając kawę. Wokół stały rośliny i kwiaty – naturalne pochłaniacze dwutlenku węgla.

– To kabina dowodzenia – wyjaśnił pułkownik Walker. – Tutaj przeprowadza się wszelkie operacje związane ze stacją, obserwacją Ziemi i łącznością. Tam jest stanowisko pracy generała.

Stanowisko to różniło się od pozostałych przynajmniej jednym szczegółem: było wyposażone w fotel. Ludzie pracujący pod dowództwem generała stali,

utrzymując się na powierzchni za pomocą butów o specjalnych „rzepowych” podeszwach velcro lub też przymocowani przy pulpitach. Zaczepy velcro były wszędzie – na suficie, na ścianach, na podłodze, na tablicach przyrządów. Baker wskazał na „sufit” kabiny.

– Panie pułkowniku, dlaczego tablica przyrządów jest na suficie?

Walker uśmiechnął się:

– A gdzie tu jest sufit, panie Baker?

Walker odczepił się od „podłogi” velcro, uniósł się pod sufit i płynął kilkanaście centymetrów ponad głową Ann. Zaczepił stopy w wiązaniach umocowanych na „bocznej” tablicy przyrządów.

– A czy to jest ściana? – kontynuował. – W przestrzeni kosmicznej, a zwłaszcza na *Silver Tower*, tradycyjne pojęcia góra-dół nie istnieją. Jeśli zbudujemyabinę o powierzchni pięciuset stóp kwadratowych w rozumieniu ziemskim, to w rzeczywistości możemy potroić tę wartość, umieszczając dodatkowe tablice przyrządów na suficie. W ten sposób zmniejszamy koszty o połowę, oszczędzając materiały. Parę lat temu mieliśmy na pokładzie technika, który rozchorował się, ponieważ nie mógł przystosować się do tych warunków. Było to w czasach, gdy *Silver Tower* składała się tylko z dwóch członów. Wszedł do drugiego członu wcześniej niż inni i prawie dwie godziny chodził po ścianach, zanim się zorientował, że to nie podłoga. Aby uniknąć potem takich kłopotów, przykryliśmy „podłogę” wykładziną velcro w kolorze żółtym. Ale wracając do pytania, mamy tutaj zamontowaną aparaturę kontrolną i pomocniczą. Ktoś, kto ją obsługuje, nie wchodzi w drogę tym, którzy obsługują konwencjonalne pulpity sterownicze. To trochę potrwa, ale mam nadzieję, że już po paru dniach będziecie się tu poruszać zupełnie swobodnie.

Walker odczepił się od sufitu, przepłynął w drugą stronę i wskazał ręką na grupę składającą się z dwóch techników i jednego oficera, obsługujących ogromne urządzenie z kilkoma ekranami.

– To są operatorzy radaru orbitalnego SBR. Przeszukują określone obszary Związku Radzieckiego i innych krajów, nad którymi przelatujemy. Zdolni są wykryć każdą wystrzeloną raketę. Radary na *Silver Tower* potrafią określić i namierzyć każdy obiekt o wadze do trzech tysięcy funtów na dowolnej wysokości, nawet na ziemi i pod wodą. Możemy również współpracować z geostacjonarnymi satelitami termodekcyjnymi, wykrywającymi odpalenie pocisków raketowych. Teraz nasz SBR jest sprzężony z wyrzutnią pocisków Thor doktora Bakera. W niedalekiej przyszłości będziemy mogli sterować setkami

wyrzutni pocisków Thor na orbicie okołoziemskiej i dowodzić obroną strategiczną na całej tej cholernej półkuli północnej.

Walker zwrócił się do Ann:

– Pani system laserowy szczególnie nas zainteresował. Jeśli się sprawdzą pani przewidywania, że jednonuminutowa zaporę laserową może zniszczyć setki pocisków, to będziemy w posiadaniu urządzenia mogącego zneutralizować cały magazyn broni nuklearnej Związku Radzieckiego.

– Jeśli się uda, pułkowniku – zastrzegła się Ann. – Ciągłe jeszcze są pewne problemy... Na razie bardziej bym liczyła na pociski Thor.

Walker wzruszył ramionami i poprowadził ich dalej, do następnego członu, który pod wieloma względami przypominał kabinę dowodzenia. Znajdowało się tu czterech ludzi obsługujących wielkie pulpity pełne przyrządów.

– To jest kabina, w której przeprowadza się wszelkie eksperymenty. Co tydzień zmienia się personel i wyposażenie. W jednym tygodniu mamy tu bakterie, w innym transformatory albo obwody nadprzewodzące. Cały sprzęt może być wymieniony w ciągu kilku godzin. To będzie pańskie biuro, doktorze Baker.

– Świetnie, nawet większe niż moje laboratorium w Los Alamos.

Walker poprowadził ich przez boczny wjazd do długiego tunelu łącznikowego.

– Ten korytarz prowadzi do następnego równoległego zespołu członów stacji. Każdy z takich tuneli zbudowany jest z grubego pleksiglasu, a więc może również służyć jako punkt obserwacyjny. Widok jest... no, zobaczcie sami.

To, co zobaczyli było rzeczywiście niesamowite. Cała stacja kosmiczna, widoczna jak na dłoni, sprawiała wrażenie kadru z filmu *science fiction*.

Daleko pod nimi centralna kratownica rozciągała się w bezkresną przestrzeń, ginąc niemal z oczu. Miała prawie tysiąc stóp długości i pięćdziesiąt stóp przekroju. Umocowano do niej wielkie srebrzyste zbiorniki paliwa, pojemniki ze sprzętem, anteny, rury i kilometry przewodów. Pod nią zamontowano ogromne talerze anten radarowych, których wielkie elektromagnetyczne oczy nieustannie obserwowały Matkę Ziemię. Na obu końcach kratownicy znajdowały się cztery baterie słoneczne – każda dwukrotnie większa od anten radarowych. Były to ogromne, delikatne, niewiarygodnie cienkie płyty szklane skierowane w stronę słońca.

– Na Ziemi każda z tych baterii waży osiemdziesiąt ton – objaśnił Walker. – Tu na górze oczywiście nie. Sterujemy nimi za pomocą niewielkich silników elektrycznych o mocy pięćdziesięciu KM. Dostarczają energii, która może zaspokoić potrzeby dwóch takich stacji. W czasie gdy jesteśmy oświetleni przez słońce, zapewniają bezpośredni dopływ energii. Używamy ich również do ładowania zespołu awaryjnych akumulatorów kobaltowo-wodorotlenowych oraz do rozkładania zużytej wody na wodór i tlen, potrzebne do naszych ogniw paliwowych i silników korekcyjnych.

– Czy to one będą dostarczały energii do lasera Ann? – zapytał Baker.

– Niestety, nie – odpowiedziała za Walkera Ann. – Tylko do pojedynczego impulsu potrzeba by dziesięć razy więcej energii, niż mogą dać te baterie. Będziemy używać małego magnetohydrodynamicznego reaktora atomowego.

– Silniki korekcyjne też są zamontowane na kratownicy? – dopytywał się Baker.

– Tak – odrzekł Walker. – Na obu końcach kratownicy znajduje się pięć małych silników raketowych napędzanych wodorem. Włączają się automatycznie kilkanaście razy na dobę, korygując położenie stacji i jej orbitę.

– I paliwo do nich otrzymywane jest z wody?

– Tak, rzeczywiście. Mamy tu komory do elektrolizy, zasilane energią słoneczną, w których zużyta woda rozkładana jest na wodór i tlen. Następnie gazy te są przechowywane w tamtych zbiornikach. Mniej więcej raz na dwa miesiące prom kosmiczny dostarcza nam zapas wody, a poza tym otrzymujemy ją z ogniw paliwowych. W nich ponownie łączymy wodór i tlen, co daje energię elektryczną i wodę. Gdyby powstała taka konieczność, załoga licząca dwadzieścia osób mogłaby tu przeżyć sześć miesięcy bez dodatkowych dostaw z Ziemi.

Przez tunel z grubego pleksiglasu poszli dalej do następnego członu stacji. Znaleźli się teraz w pomieszczeniu wielokrotnie większym od miejsca dowodzenia i od laboratorium, z którego właśnie wyszli.

– To jest główny człon laboratorium kosmicznego Skylab, pierwszej stacji kosmicznej wystrzelonej przez NASA dwa lata temu – wyjaśniał dalej Walker. – Ten segment był wystrzelony pierwszy, zanim wznowiono pełny program lotów wahadłowców. Jak widzicie, jest on wielkości trzeciego członu rakiety Saturn, a więc był wystarczająco obszerny na przeprowadzane wówczas eksperymenty naukowe, teraz jednak nie wystarcza. Kiedy wznowiono

program lotów wahadłowców, zmontowaliśmy resztę stacji *Silver Tower*, stosując segmenty wielkości komory towarowej. Teraz ta część służy jako pokład mieszkalny i wypoczynkowy, i uważamy, że jest wystarczająco dużo miejsca.

– A to chyba kącik sportowy – zauważył Baker.

– Tak, marny tu wszystko, co trzeba, żeby utrzymać sprawność fizyczną astronauty. Są tu: ruchome bieżnie, atlasy i rowery stacjonarne. Z drugiej strony – wideoteka i taśmoteka, komputery i telewizja... Odbieramy dwieście kanałów z całego świata.

Baker podszedł do jednego z atlasów.

– Sprytnie pomyślane – powiedział. – Grube taśmy gumowe do symulowania ciężaru. Oczywiście normalny atlas nie spełniałby swego zadania w stanie nieważkości. – Podszedł do ruchomej bieżni. – A jak to działa?

– Normalnie, ale najpierw trzeba się przymocować tym gumowym pasem, którego naprężenie można regulować. Kapitan, to znaczy generał Saint-Michael, praktycznie spędza tu każdą wolną chwilę. Nikt nie może mu dorównać, chociaż ma już czterdzieści trzy lata.

Następnie przeszli do członu sypialnego. Składał się on z wielu kabin wyglądem przypominających ułożone horyzontalnie budki telefoniczne, a w każdej z nich mieściły się dwie koje. Na obu końcach znajdowały się dwie duże łazienki.

Walker rozsunął jeden ze śpiworów.

– Napięcie powierzchni można regulować. Zauważyliśmy, że załoga lepiej śpi, gdy choć trochę ma złudzenie, że działa siła ciężkości. Wbrew pozorom spanie w stanie nieważkości, gdy człowiek swobodnie unosi się w powietrzu, wcale nie jest takie wygodne. Zaczęliśmy już stosować prysznicznie próżniowe, takie jak mają Rosjanie, ale są one dość kłopotliwe. Aha, jeszcze coś. Kabina sypialna, właściwie cała stacja – jest koedukacyjna. Do tej pory nie mieliśmy tu jeszcze zbyt wielu kobiet.

Ann pomyślała przez chwilę, jak się będzie czuła śpiąc w towarzystwie kilkunastu mężczyzn. Prawdopodobnie oni będą bardziej skrupowani niż ona. Jako córka dowódcy okrętu wojennego dorastała w towarzystwie prawdziwych mężczyzn. Ponadto lubiła mężczyzn, niektórych nawet za bardzo.

Mała grupa posuwała się dalej, do następnego wjazdu. Był on podwójnie zabezpieczony hermetycznie i prowadził do kolejnego modułu dokującego, podobnego do tego, który wiódł do punktu dowodzenia. Walker poinformował, że jest on lepiej przystosowany do transferu dostaw z Ziemi, dostarczanych

przez wahadłowce i pojazdy bezzałogowe. Wskazał niższy właz i powiedział:

– Ten właz prowadzi do magazynu, pod którym znajduje się reaktor atomowy MHD. Jest to, doktorze Baker, skrót od terminu „magnetohydrodynamiczny”, co oznacza zdolność do wyprodukowania ogromnych ilości siły elektromotorycznej w zminiaturyzowanym urządzeniu. A teraz przejdziemy do części technicznej. – Ten fragment stacji przypominał centralny punkt dowodzenia. – Właściwie to jest centrum komputerowe. Tutaj również znajduje się nasza kuchnia. A tam – Walker wskazał właz na końcu członu – jest pani królestwo, Ann, moduł, w którym ulokowany został pani laser, Skybolt. Od czasu przyłączenia go do stacji w zeszłym miesiącu nikt tam nie wchodził.

Otworzyli włazy i weszli do członu mieszczącego laser, a raczej próbowali wejść. Pomieszczenie to było załadowane sprzętem, pełne wijących się kabli, przewodów, rur i pulpity sterowniczych. W najdalszym kącie można było dostrzec przestrzeń przeznaczoną do pracy.

– Jak to, to ja mam tu pracować? – wyjąkała Ann. – A moje przyrządy laboratoryjne, instrumenty i cała reszta? To chyba jakaś pomyłka!

– Zapewniam panią, że wszystko tu jest. Tylko trochę stłoczone, żeby się zmieściło. Tam jest pani konsola sterownicza plus jeszcze kilka innych umieszczonych na suficie.

Ann pomyślała, że ją przeceniono. Główne pulpity sterownicze zostały umieszczone na suficie kabiny w otoczeniu uchwytów na stopy. Od samego patrzenia na to Ann poczuła, że dostaje zawrotu głowy, ale wysiliła się na uśmiech.

– Witamy na *Silver Tower* – powiedział Walker.

Rozdział 3

Czerwiec 1992

AGENCJA WYWIADOWCZA DEPARTAMENTU OBRONY, STAN VIRGINIA

– W porządku, panie Collins – powiedział George Sahl, zastępca dyrektora operacyjnego DIA*. – Wysłucham pana i, jak sądzę, zainteresuje to również pańskiego szefa. – Rzucił zmęczone spojrzenie na Prestona Barnesę, odpowiedzialnego za sekcję KH-14 Działu Trzeciego, zajmującego się analizowaniem satelitarnych zdjęć numerycznych. – Mów pan, o co chodzi.

Jackson Collins, analityk zdjęć satelitarnych, podwładny Barnesę, odchrząknął i wyrzucił z siebie:

– Tak jest, sir! Rosjanie przygotowują inwazję na Iran.

Barnes przymknął oczy i mruknął pod nosem: – Idiota! – mając jednocześnie nadzieję, że nikt go nie słyszy. Collins zauważył, że dyrektor opuścił ręce na biurko. Zanim Sahl zdążył zareagować, Barnes spojrzał ze złością na młodego analityka i wykrzyknął:

– Collins, czy nikt was nie nauczył, jak się składa raport?!

– Spokojnie, Preston – powiedział Sahl uspokajająco. – Panie Collins, przejrzałem pana raport i analizę. Teraz proszę mi to wszystko jeszcze raz opowiedzieć swoimi słowami. Tylko krótko.

– Tak jest, sir! A więc koncentracja wojsk wokół siedziby południowego TDW w Taszkencie nie pasuje mi ani do jesiennej ofensywy w Afganistanie, ani do okresowych manewrów zaplanowanych na ten miesiąc. Ofensywa...

– Jaka ofensywa? – zapytał Barnes.

– Ta, o której mówił raport CIA z zeszłego miesiąca. Podejrzewają, że jesienią Rosjanie szykują zakrojoną na wielką skalę akcję w Afganistanie.

Barnes pokręcił głową.

– CIA zawsze nazywa ofensywą każde uzupełnienie sił w Afganistanie. Ostatnio drogi lądowe prowadzące w centralnym, górskim rejonie zostały

odcięte wskutek fatalnej pogody i rząd afgański mimo iż miał prawie wszystko, zwinął swoje namioty. Oczywiście w tej sytuacji Rosjanie musieli zwiększyć ilość lotów z zaopatrzeniem.

– Ależ, sir, chyba nie przy pomocy aż sześciu Kondorów... Na tych zdjęciach widać hangary wystarczająco duże, żeby pomieścić An-124.

– Kondory? – zapytał Sahl z dezaprobatą. – Gdzie widziałeś Kondory na południowym obszarze wojskowym?

– To... dedukcja, sir. Te wielkie przenośne hangary są wystarczająco duże, żeby pomieścić Kondory.

– Albo jakiegokolwiek inne radzieckie samoloty – dokończył Barnes. Collins odwrócił wzrok. Nigdy nie przypuszczał, że będzie musiał przekonywać swojego własnego szefa.

– Co jeszcze? – zachęcał Sahl. – Wasz raport wspomina o transporcie kolejowym. Oceniacie wzmożenie ruchu w taszkienckim węźle kolejowym na czterdzieści procent. Co z tym?

– Tak jest, sir. Dokładnie na trzydzieści siedem procent w porównaniu z danymi przed manewrami w ubiegłym roku, jak również dwadzieścia cztery procent w porównaniu z kilkoma tygodniami poprzedzającymi zeszłoroczną wielką radziecką ofensywę w Afganistanie, kiedy zostało stłumione powstanie w Kandaharze. A przecież była to największa akcja Związku Radzieckiego od czasu inwazji na Czechosłowację. Teraz to wygląda na coś jeszcze poważniejszego.

– Collins – odezwał się nagle Barnes. – Chyba nie można wyciągać aż tak daleko idących wniosków ze zwiększonej liczby wagonów kolejowych na stacji rozrządowej. Przecież może to wynikać z tysiąca innych powodów. Posłuchaj pan – ściszył głos – te raporty są w stanie uruchomić całą skomplikowaną maszynę, ogromne pieniądze i wysiłek wielkich mas ludzi. A co będzie, jeśli się mylimy?

Twarz Collinsa zeszytniała. Rzucił na biurko Sahla dwie duże czarno-białe fotografie.

– Ale przecież tego nie można ignorować – powiedział wskazując na pierwszą z nich. Sahl przyglądał się jej przez chwilę.

– Czego...? – zapytał.

– To komputerowo przetworzone zdjęcie, wykonane przez satelitę KH-14, przedstawiające jeden bok ogromnego hangaru na wojskowym lotnisku imienia Mikołaja Żukowskiego w Taszkencie. – Sahl przyjrzał się zdjęciu wykonanemu w ogromnym powiększeniu. Za hangarem dostrzegł niewyraźny, prostokątny obiekt. Trudno było jednak rozpoznać jakiegokolwiek szczegóły. –

To zdjęcie jest do niczego – powiedział w końcu.

– Ależ, sir, to jest zdjęcie wyrzutni GL-25. Widać...

– Collins, to zdjęcie jest do niczego – powtórzył Sahl. – Zbyt duże powiększenie, kontrast, ziarno, tło – ono jest nic niewarte.

– Sir, naliczyłem w Taszkencie siedemdziesiąt takich dziwnie wyglądających wagonów kolejowych. Wszystkie są dobrze strzeżone, między wagonami umieszczono eskorty. Rozumiem, że to zdjęcie nie jest dowodem, ale można być prawie pewnym, że to są wyrzutnie GL-25 pocisków samosterujących dalekiego zasięgu, umieszczone na podwoziu terenowym. Niech pan spojrzysz tutaj – dwa zbiorniki paliwa, centrum sterowania.

– Dla mnie to wygląda jak jakiś pojemnik na beton albo żwir. Nie widzę tu nic niezwykłego – skonstatował Barnes.

– KH-14 nie był odpowiednio ustabilizowany – powiedział Collins – ale i tak można rozróżnić...

– Collins, takich szczegółów nie sposób ustalić na tego rodzaju zdjęciu – upierał się Barnes.

– Ja mogę, i właśnie to zrobiłem, sir.

– Jeśli się patrzy na jakąkolwiek fotografię dostatecznie długo – zauważył spokojnie Sahl – można na niej zobaczyć to, co się chce. Dlatego mamy parametry określające, do jakiego stopnia można zdjęcia powiększać i kadrować.

– Wobec tego proszę o jeszcze jedną serię zdjęć z KH-14. Chciałbym przyjrzeć się dokładnie tym wagonom kolejowym.

– Dobrze, zgadzam się – powiedział Sahl. – Spróbuję namówić kogo trzeba, żeby KH-14 wykonał zdjęcia w czasie lotu nad Taszkientem, ale nie jestem pewien, czy się zgodzą.

– Rozumiem pana wątpliwości. Pewnie pan myśli, że jestem kolejnym niedojrzałym smarkaczem, który próbuje się wybić, ale to nie tak. Ja naprawdę wierzę w to, że mam rację i że szykuje się coś poważnego.

Sahl starał się ukryć uśmiech, spojrzał ponownie na zdjęcia, a potem rzucił je na biurko.

– Wspomnieliście o Iranie. Powiedzcie mi, Collins, na jakiej podstawie przypuszczacie, że tych sześć, niewidocznych zresztą, Kondorów i siedemdziesiąt niby-wyrzutni GL-25 w Taszkencie to część irańskiej grupy inwazyjnej.

Collins zawahał się przez chwilę. Zbyt późno na wycofanie się, koleś, pomyślał.

– To nie tylko te wyrzutnie i transport kolejowy, sir. To także koncentracja okrętów radzieckich w Zatoce Perskiej i pojawienie się tam grupy

bojowej lotniskowca *Brezniew*, która w zeszłym miesiącu cichaczem wśliznęła się do Zatoki. I również nieudana kontrrewolucja w Iranie, która, jak twierdzi CIA, była popierana i finansowana przez Rosjan.

– Ależ to wszystko bzdura, Collins – warknął Barnes. – Wasza praca nie polega na tworzeniu idiotycznych hipotez na podstawie informacji z drugiej i trzeciej ręki. Waszym obowiązkiem jest oglądanie zdjęć z KH-14 i ich opisywanie. Kropka.

– A ja myślałem, że moja praca to interpretacja zdjęć. Ta sprawa jest bardzo ważna i wymaga natychmiastowego zajęcia się nią.

– A może to wami trzeba się zająć, Collins?! – nie wytrzymał Barnes.

Sahl uciszył go i powiedział:

– Daj spokój, Preston. Jestem pewien, że Collins rzeczywiście działa w dobrej wierze, i chyba musisz mu to przyznać. – Potem zwrócił się do młodego analityka: – Panie Collins, tutaj aż roi się od różnych napalonych typów, którzy próbują się wybić, ale tylko wtedy, kiedy są pewni, że w razie pomyłki głowę nadstawi kto inny. Czy pan jest gotów nadstawić głowę, panie Collins?

Pytanie wisiało w powietrzu przez dłuższą chwilę, aż Sahl wreszcie powiedział:

– A może byśmy zrobili mały eksperyment? Podpiszę ten raport pańskim nazwiskiem, a potem położę go na biurku dyrektora razem z moją rekomendacją wyjaśniającą, że zajmujemy się tą sprawą i chcemy dodatkowej serii zdjęć z KH-14. Jeśli „góra” będzie się wściekać, to pan wszystko weźmie na siebie, zgoda?

Collins zeszytniał. To już nie będzie raport z Sekcji Analiz KH-14, ale jego raport, z nazwiskiem Jackson Collins. Do diabła, sam przecież tego chciałem...

– Zgoda. Ale mam prośbę. Proszę o tydzień na ponowne opracowanie tego raportu.

Sahl spojrzął na Barnesa:

– A dlaczego? Czy temu coś brakuje?

– Ten jest standardowy, sekcyjny. W tej formie nie jest wystarczająco przekonujący. Przecież pana też nie przekonał, że w Taszkencie dzieje się coś naprawdę poważnego.

– A czyja to wina? – zapytał Barnes.

– Moja, sir. I dlatego proszę dać mi szansę, żebym to poprawił.

Sahl był pod wrażeniem. Ten dzieciak zachowywał się znakomicie.

– Umieszczę ten raport jako jeden z punktów porządku dziennego

zebrania dyrekcji, które odbędzie się w piątek – powiedział. – Dzisiaj jest wtorek, ma pan niecałe trzy dni. Może pan przerobić ten tekst, jak pan chce. Jeśli pan nie zdąży, to pana sprawa. To pan musi się dostosować do terminarza naszej instytucji.

Collins już się nie wahał.

– Dziękuję, sir. Będę gotowy. – Miał nadzieję, że wystarczy mu czasu.

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG*

– Twoja kolej.

Ann wybrała dwie pięćdziesięciofuntowe taśmy gumowe, nałożyła je na rączki atlasa, „dopłynęła” do ławki i usiadła.

– Sto funtów, imponujesz mi – powiedział Ted Moyer, technik elektronik.

Ann nie odezwała się.

– Dlaczego dzisiaj nic nie mówisz?

– Życie w kosmosie – odparła Ann, masując bolący mięsień ręki – wcale nie jest takie wspaniałe, jak sobie wyobrażałam. Na początku wszystko było takie niezwykle, orbitowanie setki mil nad Ziemią. Ale ten zachwyt szybko mi minął.

Moyer próbował podnieść ją na duchu:

– No, ale za to należymy do elity. Robimy to, co tylko nieliczni potrafią.

Ann kontynuowała, jakby go nie słyszała:

– Na przykład te ćwiczenia z ciężarkami na atlasie. Ja uwielbiam biegać, a tutaj muszę pompować te gumy, co mnie wcale nie bawi.

– Ale świetnie ci wychodzi.

– Robię to, żeby być w formie, a poza tym muszę, jak wszyscy inni. Na rowerze albo na ruchomej bieżni mogę ćwiczyć godzinami, ale po półgodzinie na atlasie mam już zupełnie dosyć. Już wolałabym sprzątać albo robić wszystko jedno co.

Moyer pokiwał głową ze współczuciem.

Ann położyła się na ławeczce atlasa, podniosła poprzeczkę na wysokość piersi i natychmiast skoncentrowała wzrok na znajdującym się nad nią uchwycie. Zaczęła głęboko oddychać.

– Czy ciągle jeszcze masz zawroty głowy, Ann?

– Do diabła! – rzuciła walcząc z nudnościami. – Obiecywali, że to kwestia kilku dni, a tymczasem wcale nie mija.

Moyer pozwolił jej poleżeć nieruchomo na ławeczce i dopiero po chwili zapytał:

- Lepiej ci?
 - Tak – odrzekła oddychając głęboko. Próbowwała dokończyć ćwiczenia, ale mdłości powróciły.
 - Daj już temu spokój – doradził Moyer, zdając sobie sprawę, że Ann jeszcze nie w pełni się zaaklimatyzowała.
 - Myślisz, że już mogę skończyć? – spytała.
 - Pewnie. Ćwiczysz od godziny, na dzisiaj wystarczy.
- Ann uśmiechnęła się z wdzięcznością. Wstała i przez pionowy właz ruszyła „na dół”, do modułu sypialnego.

Kiedy się miało kiepskie samopoczucie, człon sypialny nie wpływał uspokajająco. Ponieważ powietrze było rzadsze niż na Ziemi, a cztery hałaśliwe silniki korekcyjne znajdowały się w odległości ponad dwustu jardów na końcach kratownicy, na stacji kosmicznej panowała cisza. Człon sypialny, bardzo dokładnie zabezpieczony przed hałasem i odizolowany od reszty pomieszczeń, był jeszcze cichszy. Mimo światła, znajdujących się tu roślin i dekoracji, które stwarzały miłą nastrój, przypominał mauzoleum. Patrząc na trzy grupy horyzontalnie umieszczonych komór sypialnych, w których znajdowały się po dwa łóżka, wyglądem przypominające budki telefoniczne, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że widzi trumny.

Starając się nie myśleć o tym, Ann wyjęła szlafrok i ruszyła w stronę łazienki.

Mycie się w kosmosie jest trochę skomplikowane. Ann najpierw włożyła plastikowe okulary, podobne do tych, których używają pływacy, a potem zmoczyła myjkę. Kiedy następnie skierowała strumień ciepłej wody na ciało, kropelki nie wystrzeliwały normalnie na wszystkie strony, tylko rozlewały się, tworząc coś podobnego w kształcie do ameby. Zdawało się, że te małe kałuże żyją – pełzały do góry po jej plecach, nogach, pod pachami, jakby miały dziesiątki małych nóżek.

Następnie Ann wylała na myjkę trochę płynnego mydła, natarła ciało i spłukała się pod prysznicem. Nawet zbytnio się nie spiesząc, nie zużywało się na jeden prysznic więcej niż około pięciu galonów wody, ponieważ rozlane krople unosiły się w powietrzu. Gdyby było więcej wody, można by się utopić.

Zanim otworzyła drzwi kabiny prysznicza, nacisnęła gumowy przycisk uruchamiający potężny wentylator. Unoszące się w powietrzu krople zostały wessane i odprowadzone do zbiornika pod podłogą. Ann zdjęła plastikowe okulary i sięgnęła po ręcznik. Zobaczyła swoje odbicie w dużym lustrze wiszącym na przeciwległej ścianie i – tak jak trzy tygodnie temu w hotelu oficerskim w

bazie Vandenburg – zatrzymała się, kontemplując swoje odbicie. Pobyt w kosmosie zdecydowanie nie służy kobiecie. Pomimo codziennych ćwiczeń jej wygląd zmienił się na niekorzyść. W nieważkości płyny ustrojowe i komórki tłuszczowe przemieściły się ku górze, nadając twarzy trochę orientalny wyraz. Zauważalny był wzrost wysokości ciała o kilka centymetrów i spadek wagi o parę kilogramów.

Pewnie jak zwykle osądzała się zbyt surowo, ale stwierdziła, że nie jest teraz zbyt pociągająca fizycznie, chociaż psychicznie nie zmieniła się wcale. Częściowo jej niezadowolenie z siebie wynikało z faktu, że praca nad laserem Skybolt nie przebiegała zbyt płynnie i pojawiały się problemy, których nie przewidywała. Za każdym razem, gdy spotykało ją niepowodzenie w pracy, jej frustracja wzrastała. Zdawała sobie sprawę, że to bez sensu łączyć sprawę swojej atrakcyjności z wynikami pracy w laboratorium, ale nie potrafiła tego rozdzielić. Już od zbyt dawna wykorzystywała swoją inteligencję i profesjonalizm do zdobycia uznania w oczach mężczyzn.

Chciała przestać o tym myśleć, ale nie potrafiła, i zaraz zaczęła się zastanawiać, co o jej działalności myśli dowódca stacji, generał Jason Saint-Michael. To dziwny człowiek, trudno go rozszyfrować. Biorąc pod uwagę, co mówił pułkownik Walker, że to właśnie on popierał jej badania nad Skyboltem, można było się spodziewać życzliwego powitania. A tymczasem ich pierwsze spotkanie, które miało miejsce następnego dnia po przylocie na stację, było bardzo zniechęcające. Kiedy przez chwilę rozmowa skierowała się na temat lasera, generał nie wykazał większego zainteresowania. Wydawało się, że myśli o czymś innym i nie słucha jej.

Ann włożyła nowy błękitny kombinezon kosmiczny i ruszyła w stronę kuchni, starając się przypomnieć sobie po drodze wszystko, co do tej pory słyszała o generale. Większość informacji pochodziła od gadatliwego Wayne Marksa, szefa obsługi technicznej. Marks mówił, że Saint-Michael stał się już legendą w Dowództwie Lotnictwa Kosmicznego. Skończył szkołę lotniczą jako najlepszy, szybko i z łatwością zdobył stopień kapitana i został instruktorem pilotażu w Dowództwie Lotnictwa. Stamtąd przeszedł do Dowództwa Szkolenia Personelu Lotniczego w bazie Maxwell w Alabamie, gdzie napisał pracę naukową. Stała się ona fundamentem centrum dowodzenia amerykańską obroną kosmiczną, instytucji nazwanej później Dowództwem Lotnictwa Kosmicznego.

Dysertacja Saint-Michaela w jakiś sposób znalazła się na biurku prezydenta Stanów Zjednoczonych i niezmiernie przypadła mu do gustu. W rezultacie

Saint-Michael w wieku lat czterdziestu otrzymał szlify generalskie oraz zarząd nad powstającym Dowództwem Lotnictwa Kosmicznego, organizacją, która istniała tylko na papierze. W jaki sposób udało mu się doprowadzić ją do obecnego stanu, nie wiedział nikt spoza ścisłego kręgu najwyższej władzy. Mówiono również, że generał poprzez swoją charyzmatyczną siłę potrafił zmienić najzagorzalszych przeciwników w przyjaciół. Taki właśnie wpływ wywierał na ludzi, przynajmniej według wersji Marksa.

Ann czuła się trochę rozczarowana, ponieważ nie dostrzegą w generale żadnej siły magnetycznej, ale może było to wywołane niezbyt fortunnym przyjęciem. Musiała przyznać, że niezwykle sprawnie dowodził *Silver Tower*, ale wyczuwała w nim jakąś obcość, której nie akceptowała. Jego charyzma na nią nie działała.

Ann przeszła przez obszar dokowania cargo do tunelu, który prowadził do pierwotnego członu dokującego. Jak zwykle zatrzymała się, aby popatrzeć na widok zapierający dech w piersiach: *Silver Tower* orbitującej nad Ziemią. To był niesamowity widok. Przestrzeń kosmiczna była głęboką, czystą czernią bez żadnych odcieni.

W Massachusetts, gdzie mieszkała będąc dzieckiem, lubiła obserwować, jak nadciąga burza. Ściemniało się, a ona czuła się taka mała. Latem często biwakowała w lasach Maine, gdzie panowały takie ciemności, iż praktycznie nie było nic widać na wyciągnięcie ręki. Ale przestrzeń kosmiczna zdawała się milion razy czarniejsza, była totalna, absolutna, pochłaniała wszystko. Wydawało się, że jest żyjącym stworem, który w gigantycznych dłoniach trzyma maleńką stację kosmiczną i odcina światło oraz powietrze.

Nie trwało to dłużej niż minutę, zanim Ann dotarła do kuchni i zaczęła wykonywać delikatną misję robienia kawy: włóż torebkę kawy do kubeczka, zamknij wieczko, poczekaj, aż gorąca woda go napelni. Po kolei, według instrukcji, jak większość czynności tutaj.

– Ja też poproszę – odezwał się męski głos z tyłu.

Ann odwróciła się i zobaczyła, że to Jason Saint-Michael zbliża się do niej.

– Dzień dobry, generale – powitała go Ann i włożyła torebkę kawy do drugiego kubeczka, obserwując, jak ten świetnie zbudowany mężczyzna staje na macie velcro parę metrów od niej.

– Proszę podać mi moją czarną – powiedział.

Ann skinęła głową i sięgnęła po pierwszy kubek, który właśnie był gotowy. Wypuściła go w stronę generała, stwierdzając z satysfakcją, że wylądował dokładnie w jego rękach.

- Widzę, że już jesteś profesjonalistką.
- Przygotowanie kawy to nic wielkiego, generale.
- Jak z twoją chorobą kosmiczną?

Ann spojrzała na niego. Skąd to nagłe zainteresowanie?

– Dziękuję, lepiej. Jeszcze trochę mną „rzuca”, kiedy zmieniam położenie ciała, ale nudności powoli mijają.

– Niektórzy mają więcej trudności z adaptacją. – Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem zapytał: – A jak ci się żyje na stacji?

– Prywatnie, poza pracą?

– Tak, właśnie o to mi chodzi. Wiem, że są jakieś trudności z przygotowaniem pierwszego testu laserowego, ale może zbyt bierzesz to sobie do serca. Ciągle jesteś sama, nawet kiedy nie pracujesz.

– Czy to pana niepokoi?

– Tak, w istocie. Nie trzeba być psychiatrą, żeby się domyślić, że ktoś, kto wciąż izoluje się od otoczenia, ma jakieś problemy. A w kosmosie wszystkie kłopoty zazwyczaj nabierają większego znaczenia. Tu w górze powinniśmy sobie pomagać.

Ann wypuła łyk kawy (picie przez słomkową tubkę umieszczoną na pokrywce kubeczka nie było wcale łatwe) i skrzywiła się, kiedy gorący płyn sparzył jej usta.

– Chyba ma pan rację, ale nie sądzę, aby trzeba było traktować mnie w jakiś specjalny sposób.

– A może ktoś ci przeszkadza albo dokucza? – nalegał generał. – Rozumiem, że będąc jedyną kobietą na stacji, można się czuć niezręcznie.

– Naprawdę rozumie pan to? – Ann roześmiała się.

– Myślę, że to takie samo uczucie, jak być tutaj jedynym generałem – odpowiedział, ale bez uśmiechu. Czuł, że tę dziewczynę wyraźnie coś gnębi. – Nie mogę być cały czas „fajnym facetem”, jednym z was, ale nie wolno mi dopuścić, żeby ktoś tak się izolował. Dla mnie to spacer po linie i wyobrażam sobie, że ty przeżywasz to w podobny sposób. Posłuchaj, naprawdę chcę ci pomóc i przykro mi, jeśli mi to nie wychodzi. – Popatrzył na nią przez chwilę.

– Nie bardzo ci się tu podoba, co?

– To nie ma żadnego znaczenia. Mam tu do wykonania zadanie i jedynie to jest ważne.

Zapadło niezręczne milczenie, a potem padły słowa:

– Czy wiesz, że jesteś bardzo atrakcyjna?

Ann spojrzała na niego zaskoczona i chciała coś powiedzieć. Postawiła kubeczek z kawą na blacie pokrytym matą velcro.

– Generale, gdyby pan rzeczywiście rozumiał, co to znaczy być tu jedyną kobietą, nigdy by pan nie wypowiedział takich słów. – Odepchnęła się od podłogi i przemknęła obok niego, znikając w otworze włazu kuchennego.

Generał popatrzył za nią i pokiwał głową. Czeka cię daleka droga, Jason. Jesteś zwyczajnym głupcem.

– Uwaga, załoga, dwie minuty. Meldować gotowość do testu.

Ann wypila ostatni łyk wody z wyciskanej butelki, a potem przykleiła ją do maty velcro na suficie. Na Ziemi na pewno wylałaby tę resztkę wody na siebie, aby się trochę ochłodzić, ale w kosmosie taki luksus był niemożliwy. W kabine sterowania laserem Skybolt było bardzo gorąco i duszno. Wszystkie urządzenia miały swoje chłodzenie, ale istota ludzka czuła się jak w saunie.

Ann siedziała przy małym pulpicie kontrolnym, zewsząd otoczona przez różnego rodzaju urządzenia. Jedynym oświetleniem był stojący przed nią dwunastocalowy ekran monitora komputerowego. Wąski korytarz, zbyt wąski dla dwóch osób, prowadził z jej laboratorium do zabezpieczonego włazu i tunelu łączącego. Powietrze miało lekki zapach ozonu, elektryczności i potu.

Ale już niedługo po rozpoczęciu pracy na *Silver Tower* Ann nauczyła się ignorować takie drobiazgi. Nie miała miejsca do pracy, ponieważ było tu cztery razy więcej wyposażenia, niż jakikolwiek naukowiec kiedykolwiek miał do dyspozycji. I oto dzisiaj cała jej ciężka praca i poświęcenie – chyba to można tak nazwać – miały być uwieńczone sukcesem. Przynajmniej taką miała nadzieję.

– Kontrola, Skybolt gotowy – zgłosiła. – System włączony na pełne sterowanie automatyczne.

– Rozumiem, Skybolt – odpowiedział Saint-Michael przez telefon pokładowy. – Powodzenia.

– Dziękuję, sir. Trzydzieści sekund.

Ann zrobiła ostatnią próbę. Teraz jej główny komputer miał wykonać trzysekundowy test własnych obwodów nadprzewodzących, mikroprocesorów i przekaźników. Wyniki testu rozbłysły na ekranie: wszystkie systemy pracują prawidłowo.

A więc jednak wszystko działa, pomyślała Ann. I to znakomicie.

– Nie działa.

Główny inżynier, sierżant Jake Jefferson, wskazał na prostokątny ekran o wymiarach dwie na trzy stopy, odbijający tysięczny zasięg fazowanych układów antenowych radaru orbitalnego *Silver Tower*. Wytlumił elektronicznie wszystkie wychwycone przez radar obiekty o wadze mniejszej niż pięćset funtów, odbicia od Ziemi, jak również inne zidentyfikowane już wcześniej odbicia. Pomimo to ekran pokryty był tak zwanymi wyskokami, czyli blipami, a każdy z nich miał numer kodowy przydzielony przez komputer kontrolny stacji. Na obrzeżach ekranu pojawiły się dane dotyczące toru lotu i orbity. Każdy obiekt znajdujący się w odległości mniejszej niż pięćdziesiąt mil od orbity *Silver Tower* był podświetlony. Inżynier wskazał na najbliższy ślad na ekranie.

– Mamy go, szefie.

Saint-Michael przysunął się do ekranu i zaczepił stopami o matę velcro.

To była Agena-3, towarowy statek kosmiczny należący do niewielkiej floty modułów bezzałogowych, używanych do zaopatrywania amerykańskich i europejskich platform kosmicznych. Znajdował się na niej sprzęt wykrywający i analizujący oraz czujniki rejestrujące wymierzone w nią uderzenia laserowe. Komputer Skybolta zaprogramowano tak, że identyfikował Agenę jako obiekt nieprzyjacielski. Przez następne trzy godziny miała poruszać się po torze zbliżonym do toru radzieckich międzykontynentalnych pocisków balistycznych ICBM, od momentu ich startu aż do uderzenia w Stany Zjednoczone.

– Wysokość?

– Pięćset, dokładnie.

Jefferson wskazał odczyt dotyczący danych obiektu, który właśnie pojawił się na ekranie.

– Już za chwilę powinniśmy złapać jej sygnał identyfikacyjny.

Na ekranie pojawiły się kolejne trzy linijki danych, rozpoznających przybysza jako Agenę-3, statek bezzałogowy wystrzelony z bazy Vandenburg i należący do Dowództwa Lotnictwa Kosmicznego. Informacja pozostała na ekranie trzy sekundy, a potem zniknęła.

– Daj to jeszcze raz – polecił Saint-Michael.

Jefferson nacisnął dwa klawisze na klawiaturze, przejechał kursorem do miejsca, gdzie znajdował się blip, i znowu nacisnął klawisz. Dane pojawiły się ponownie.

– Czy Skybolt jeszcze jej nie złapał? – zapytał Saint-Michael.

Odpowiedź była negatywna.

– A może ją wyciszył?

– Skybolt nie wytłumia żadnych celów – przypomniał pułkownik Walker.

– Jego zadaniem jest śledzenie i ocena wszystkiego, co wyłapuje nasz radar SBR. Jeśli uzna, że to nieprzyjaciel, ma działać.

– A może Skybolt nie został przeprogramowany, żeby uznać Agenę-3 za obiekt nieprzyjacielski – odezwał się jeden z techników, Sean Kelly.

– Albo mu się coś pokręciło – powiedział Saint-Michael.

Jefferson przytaknął i włączył interfon.

– Skybolt, tu kontrola.

Saint-Michael złapał go za ramię:

– Poczekaj, Jake, zobaczymy, co Skybolt robi.

– O co chodzi, kontrola? – zapytała Ann.

Jefferson spojrział najpierw na Saint-Michaela, potem na Walkera, który wzruszył ramionami w milczeniu.

– Nic ważnego, bez odbioru – odparł Jefferson i wyłączył interfon.

Cała grupa obserwowała przesuwanie się Ageny po ekranie. SBR śledził ją bez trudu.

– Ciągle nic? – zapytał Saint-Michael.

– Jeszcze nie – powiedział Jefferson. – Cel na kursie. Trzydzieści sekund do korektury toru.

Nagle trzykrotnie zawyła syrena alarmowa stacji. A potem wysoki głos z syntetyzatora oznajmił:

– Uwaga, stacja. Śledzę nieprzyjacielski kontakt. Śledzę nieprzyjacielski kontakt.

– Spóźnił się około trzydziestu sekund, ale jednak ją znalazł – zauważył Walker.

– Skybolt przekazuje ostrzeżenie do Dowództwa Lotnictwa Falcon, sir – zgłosił oficer łącznościowy. A po chwili: – Falcon potwierdza.

– A więc ta maszynka może nas zastąpić – mruknął Saint-Michael. – Cholerna sprawa, nawet potrafi telefonować!

– Uwaga, stacja – odezwał się znowu głos z syntetyzatora. – Określanie położenia celu. Określanie położenia celu.

– No, w końcu się zorientował, co się dzieje – powiedział Saint-Michael. – A teraz zobaczymy, co robi.

– Zbliżamy się do korektury toru – zgłosił Jefferson. – Trzydzieści sekund do symulowanego oddzielenia głowic bojowych.

Agena oczywiście nie miała odpalać żadnych głowic bojowych, ale jej orbita została zaprogramowana jak w prawdziwych pociskach ICBM, aby skontrolować reakcję i działanie Skybolta. Celem próby było jak najwcześniejsze zniszczenie

pocisku albo w najbardziej dla niego niebezpiecznej fazie przyspieszania, albo najpóźniej w apogeum – najwyższym punkcie toru balistycznego. Po przekroczeniu tego momentu trafienie pocisku byłoby niezmiernie trudne.

– Niech ten cholerny Skybolt się pospieszy – powiedział Walker. – Zaraz nastąpi odłączenie głowic.

Nagle wszystkie światła przygasły. Włączył się system zasilania awaryjnego. Zawyły syreny alarmowe.

– Włączył się reaktor magnetohydrodynamiczny! – krzyknął ktoś w kabine dowodzenia.

– Skybolt nie namierza Agenty – zgłosił Jefferson. Sprawdził instrumenty i skrzywił się ponuro. – Ciągłe jeszcze nic...

Resztę jego wypowiedzi wchłonął ogłuszający huk. Wydawało się, że tuż pod nimi uderzył piorun. Cała kabina wypełniła się niezwykłym ciepłem, a po ludziach przeszły ciarki.

– Laser strzela! – krzyknął Jefferson. – Strzela... znowu... ciągle strzela.

Walker złapał się za uchwyt. Chociaż stacja pozostawała w bezruchu, nagle uwolnienie energii sprawiło, że załoga odczuła, jakby ten pięćsettonowy obiekt zaczął się obsuwać.

– Skybolt ciągle nie namierza celu! – krzyknął znowu. – Strzela, ale nie do Agenty.

Saint-Michael podsunął się do drugiego operatora siedzącego koło wjazdu prowadzącego do kabiny laboratoryjnej.

– Czy są jakieś trafienia, Bayles?

Operator zaprzeczył:

– Nie ma żadnego. Czujniki nic nie wykazują.

– Niech to diabli! Wstrzymać akcję – wydał rozkaz Saint-Michael.

Natychmiast wszystko ucichło. Powoli rozbłysły światła. Saint-Michael położył palec na przycisku mikrofonu, spodziewając się połączenia.

– Kontrola, tu Skybolt – odezwała się Ann. – Laser został wyłączony w waszej sekcji. Sprawdźcie układ.

– To ja wydałem rozkaz – odpowiedział Saint-Michael.

– Dlaczego?

– Bo nie było żadnego trafienia.

Zapadła cisza. Saint-Michael obserwował załogę. Powoli odprężali się po huku strzałów lasera i wyciu uruchomionych przez niego syren alarmowych.

– Sprawdzamy stację – powiedział, próbując opanować swój przyspieszony oddech.

– Skybolt jest gotowy do następnej próby – zgłosiła Ann.
– Agena minęła już punkt rozdzielenia głowic – poinformował Kelly. – Za sześćdziesiąt sekund będzie poza zasięgiem.

– Poczekajmy do następnej orbity, Ann – powiedział Saint-Michael.

Operatorzy w kabinie dowodzenia wyrazili uznanie dla decyzji dowódcy. Otarli pot z czoła i sięgnęli po butelki z wodą.

– Ależ, sir... – próbowała oponować Ann.

– Cel jest prawie poza zasięgiem naszego radaru. Wkrótce będziesz miała następną okazję.

Nastąpiła dłuższa pauza, a po chwili usłyszeli:

– Kontrola, wyłączam się.

Walker spojrzął na dowódcę i uśmiechnął się.

– Chyba nie jest zbyt zadowolona – powiedział.

– Ja też nie mam powodu do radości. Boże, nie miałem pojęcia, że ta maszyna tak hałasuje. Czy nic się nie stało z powodu obniżenia się mocy?

Walker porozumiał się z czterema operatorami w kabinie dowodzenia.

– Nie, sir. Też się nie spodziewałem takiego spadku energii, ale to łatwo wytłumaczyć. Reaktor magnetohydrodynamiczny potrzebuje dobrego kopa, żeby zastartować.

– Ale przecież nie powinien czerpać z głównych akumulatorów stacji – wtrącił się Wayne Marks. – Ogniwa Skybolta są zasilane bateriami słonecznymi. Spodziewaliśmy się, że nastąpi odłączenie przed włączeniem się MHD.

– A czy nie powinny zadziałać tłumiki skoków napięcia?

– Chyba tak. Sprawdzę wszystko przed następną serią prób. Saint-Michael przeniósł się do pulpitu monitorowania Ageny.

– Naprawdę byłbym szczęśliwy, gdyby ten laser trafił w cel.

W tym momencie Ann pojawiła się w centrum dowodzenia i bez słowa sięgnęła ponad Jeffersonem do przycisków czujników na jego konsoli.

– Gdzie są wyniki trafień? – zapytała, przebiegając wzrokiem pojawiające się na ekranie odczyty. – Pytam jeszcze raz: gdzie są te wyniki?

– Niestety, Ann – powiedział Saint-Michael – Skybolt chybiał za każdym razem.

– O czym pan mówi, do diabła?!

– Mówię, że nie trafił ani razu. Nawet nie namierzył celu. Zauważył go w trzydzieści sekund po wykryciu przez SBR, ale go nie przechwycił.

– Ale strzelał. Trzydzieści impulsów w seriach siedemdziesięciopięciomilisekundowych, dokładnie sto kilowatów.

– Ann...

– Skybolt nie strzela bez namierzenia celu, który przecież był wykryty, a tor lotu wyświetlony na monitorze. Obliczył tor i strzelał.

– Ale nie uchwycił celu – stwierdził Walker. – Szef wstrzymał akcję, kiedy dowiedział się, że Skybolt nie śledzi Agenty i nie ma trafień. Musisz przyznać, że postąpił właściwie.

Ann wywołała kilka następnych stron na ekranie komputera i ostatecznie doszła do wniosku, że Walker chyba ma rację.

– Nic nie rozumiem. Wszystko się zgadzało. Laser działał bezbłędnie. – Zwróciła się do Saint-Michaela: – No dobrze, spróbujemy znowu za czterdzieści minut. Tym razem musi się udać.

Saint-Michael zgodził się.

– Ale wstrzymamy się ze strzelaniem do czasu, aż będziemy mieli całkowitą pewność, że Skybolt przechwycił cel.

– Nie sądzę, żeby to było konieczne, sir.

– Ann, nie mogę pozwolić, żeby ten laser strzelał na oślep. Nie wiem, gdzie może trafić, to grozi niebezpieczeństwem.

– Siedemdziesięć milisekundowy impuls o wartości stu kilowatów nie stwarza zagrożenia.

– Może być w małym zasięgu. Widocznie coś jest nie tak. Skybolt odbiera niewłaściwy sygnał śledzenia i strzela nie tam, gdzie powinien. Mogliśmy trafić czyjeś satelitę.

Ann była przygnębiona, ale nic nie powiedziała.

– I ten zupełnie niespodziewany, gwałtowny pobór mocy – dodał Saint-Michael.

– O czym pan mówi?!

– Nic nie zauważyłaś? – zapytał Walker.

Ann zaprzeczyła.

– Przygasły wszystkie światła i prawie poszło całe nasze zasilanie. Dobrze, że zadziałał system awaryjny.

– Ale przecież Skybolt ma własne akumulatory. W ogóle nie korzysta z zasilania stacji.

– Nie w tym przypadku.

– To niemożliwe...

– Ann – odezwał się Saint-Michael – wszystko, co mówimy, to prawda. Skybolt namierzył cel dopiero w trzydzieści sekund po jego pojawieniu się na radarze. A potem go nie przechwycił. Następnie pobrał ogromną ilość mocy ze

stacji w celu uruchomienia reaktora MHD. Strzelał na oślep i nie trafił. Kropka. – Zignorował zupełnie jej oburzenie. – Zezwalam na powtórzenie próby, ale pod warunkiem, iż obsługa techniczna potwierdzi, że tłumiki skoków napięcia i zasilanie dadzą sobie radę z gwałtownym poborem mocy. Jeśli nie usłyszę zapewnienia, że wyposażenie stacji nie ucierpi, zawieszę próby do momentu rozwiązania problemu. Jeśli wznowimy test, będę kontrolował przepływ energii do czasu, aż będzie pewne, że laser uchwycił cel. Jeśli nie uzyskam takiej pewności, próba zostanie zakończona.

– Ależ, panie generale!

– Czy wszystko jasne, doktor Page? – Saint-Michael zaakcentował każde słowo.

Idź do diabła! – pomyślała, ale odparła spokojnie:

– Jasne, generale.

Przemknęła obok Saint-Michaela i Walkera, kierując się w stronę kabiny Skybolta. Obaj oficerowie patrzyli, jak znika w tunelu łączącym.

– Ona pracowała po szesnastu godzinach na dobę, żeby to uruchomić – powiedział Walker. – Też byłbym zdenerwowany, gdyby cała moja duma i radość tak się popisały.

Saint-Michael nie zareagował.

– Poproszę o raport o sytuacji energetycznej oraz opinię sekcji technicznej co do możliwości kolejnego testu. Proszę również sprawdzić Agencję i nasz radar SBR. Może to nie Skybolt jest winien.

Walker przytaknął.

– Twoim zadaniem, Walker, jest nadzorowanie zasilania.

– A gdzie pan będzie, generale?

Saint-Michael spojrział w stronę wjazdu do tunelu łączącego.

– W kabinie Skybolta. I tam proszę przekazywać wszystkie informacje.

Nie czekając na odpowiedź Walkera, Saint-Michael skierował się w stronę wjazdu. Ciężko mu było się precyzyjnie przemieszczać przez wąskie przejście, ale już po chwili znalazł się pośrodku sterowni Skybolta. Włączył mikrofon.

– Kontrola, tu Alfa. Proszę o informację o stanie zasilania awaryjnego.

– Tu Marks. Zasilanie w porządku. Nie stwierdzono żadnych uszkodzeń.

Działa prawidłowo.

– Ile mamy czasu do powrotu Agencji?

– Około pięćdziesięciu minut.

Saint-Michael spojrział na Ann, która była zajęta wyjmowaniem ze stojaków kolejnych szuflad z przekaźnikami elektronicznymi i sprawdzaniem obwodów.

– Masz zgodę na następną próbę, Ann – powiedział.

Udała, że nie słyszy. Wepchnęła szufladę na miejsce, zatrzasnęła zamek, przeniosła się do kolejnego stojaka i omal nie uderzyła Saint-Michaela przy gwałtownym wyciąganiu kolejnego pojemnika.

– Przepraszam, sir.

– Niech pani posłucha, doktor Page. Złość tu nic nie pomoże. Nie wolno się tak zachowywać...

Gwałtownie wyciągnęła następny pojemnik z płytkami obwodów elektronicznych.

– Tak jest, sir. Przepraszam.

Unikała jego wzroku. Wróciła na miejsce, starając się znaleźć płytkę zastępczą.

– Sądzę, iż zdajesz sobie sprawę, że ten test również się nie uda – powiedział Saint-Michael.

Ann zastygła.

– Dziękuję za zaufanie, generale. Od początku wiedziałam, że pan tak myśli. Nigdy pan nie wierzył w mój sukces.

– Chyba coś ci się pokręciło... Kto cię wytypował do tej misji? Chyba nie wybrano cię ze względu na miły charakter.

Ann włożyła nową płytkę drukowaną na miejsce poprzedniej.

– Jestem tutaj, ponieważ to jest mój wynalazek. Jeśli sądzi pan, że się nie uda, jeśli myśli pan, że to tylko strata czasu, to pana sprawa...

– Na początku wcale tak nie myślałem. To twoja wspaniała postawa tak na mnie działa...

– Moje zachowanie nie ma nic do rzeczy.

– A właśnie, że ma.

Ann zignorowała go i wróciła na stanowisko. Naciskała gwałtownie przyciski na klawiaturze, omal nie rujnując całego pulpitu.

– Mój laser, moje laboratorium, mój wynalazek. Tu nic nie jest tylko twoje – oświadczył.

– Ja to wymyśliłam.

– A czy również zbudowałaś i umieściłaś tutaj? Zmontowałaś sama? Czy sama możesz przeprowadzić próby? A teraz, kiedy coś nie gra, oczywiście sama rozwiążesz ten problem. „Wielki Wynalazek” nie współdziała z naszym radarem, nie potrafi działać bez naszych akumulatorów, nie przechwytuje celu i nie trafia w niego. Ale oczywiście pani Supernaukowiec naprawi go w pięćdziesiąt minut, i to zupełnie bez niczyjej pomocy. Oczywiście będzie to wielki sukces.

Ann zaciskając wargi wpatrywała się w ekran komputera.

Saint-Michael kontynuował:

– Na pewno nawet nie dopuszczasz do siebie myśli, żeby poprosić kogoś o pomoc, kogoś z nas, marnych wojskowych. Twój laser nie chce współdziałać z naszym radarem? A przecież tak się składa, że mamy na pokładzie aż trzech ekspertów z tej dziedziny, ale ty naturalnie nie skonsultowałaś się z żadnym z nich. Masz problemy ze śledzeniem celu? A przecież jest tu Kevin Baker z trzydziestoletnim doświadczeniem w komputerach i ich oprogramowaniu. Czy zwróciłaś się do niego o pomoc? Sądzę, że się nie pomylę, jeśli powiem, że nigdy nikogo nie poprosiłaś o pomoc. Ani tutaj, ani na Ziemi. Z nikim nie współpracowałaś ani w laboratorium w Bostonie, ani w swojej firmie w Kalifornii. W *Silver Tower* nikt nie wie o tym, co robisz. Mam pewność, że jestem jedyną osobą, która weszła do twojego sanktuarium. No jak, przyznajesz mi rację?

Palce Ann zatrzymały się na klawiaturze. Spojrzała na Saint-Michaela, wzruszyła ramionami, ale nie odezwała się ani słowem.

– Ann, ten twój kosmiczny laser do zwalczania pocisków balistycznych jest znakomitą sprawą. Dwieście megawatów mocy. Potrafi zniszczyć sto pocisków na minutę, a może więcej. To fantastyczne urządzenie. I w dodatku działa dokładnie tak, jak mówiono. Wykonałaś znakomitą robotę.

– Wyczuwam, że zaraz będzie jakieś „ale”...

– Masz rację – powiedział generał, uśmiechając się wbrew samemu sobie.

– Nikt nie jest ekspertem w każdej dziedzinie. Ty wymyśliłaś sposób, żeby połączyć moduł Skybolta z *Silver Tower*. To cud techniki. Ale teraz pojawił się problem i masz kłopoty...

– Nie mam żadnych kłopotów.

– To dlaczego wymieniłaś tę płytkę z przekaźnikami?

Oczy Ann zwięzły się, a potem podniosła płytkę, którą przed chwilą wyjęła.

– Czy o to chodzi? To jest płytkę z interfejsem naprowadzającym i multiplexerem kanałowym. Steruje kanałami logicznymi pomiędzy radarem SBR i układem celowniczym zwierciadeł laserowych.

– Ale przecież mówiłaś, że wszystko działa bezbłędnie, a ostatni test wykazywał pełną gotowość. Powiedz mi, skąd wiesz, którą płytkę wymienić.

Ann rozchmurzyła się trochę.

– Próbuje... próbuję sprawdzić pewne obwody krytyczne. Któryś z nich może być przepalony albo mieć zwarcie.

– Albo chcesz znaleźć zapasową płytkę. A może po prostu odczuwałaś potrzebę działania, zrobienia czegokolwiek przed kolejnym przelotem Agenty. Potem będziesz miała przynajmniej dwadzieścia cztery godziny na, szukanie rozwiązania problemu do jej następnego pojawienia się.

Ann z natężeniem wpatrywała się w pulpit.

– Pozwól, że coś zaproponuję – kontynuował Saint-Michael. – Jeśli oczywiście się zgodzisz, poproszę w twoim imieniu pułkownika Marksa, Kevina Bakera, Jeffersona i Moyera, żebyście się spotkali tuż przed końcem zmiany. Powiem im, że chciałabym z nimi porozmawiać o próbie lasera i problemie z interfejsem. – Spojrzał przez ramię w kierunku kabiny dowodzenia. – Jestem przekonany, że chłopcy będą zachwyceni możliwością dobrania się do Skybolta. Przyłączą się do tej pracy całym sercem. To na pewno nie zaszkodzi.

Ann podniosła wzrok na dowódcę.

– Czy naprawdę chce mi pan pomóc?

Dotknął lekko jej ramienia.

– Wszyscy tego chcemy, więc już się nie złościć. Cała załoga przecież jest tym zainteresowana. Jeśli to twoje fantastyczne urządzenie będzie funkcjonowało, mogę nawet dostać następną gwiazdkę. Awans przez znajomości, można by rzec.

Ann uśmiechnęła się. Wystukała polecenie na komputerze, a potem podeszła do mikrofonu.

– Kontrola, tu Skybolt.

– Proszę mówić.

– Ponowny test przełożony z powodu kontroli systemu. Laser w stanie gotowości. Reaktor MHD wyłączony.

– Zrozumiałem. Potwierdzam.

Ann spojrzała na Saint-Michaela.

– Generale, ja sama poproszę o to spotkanie. Chyba już czas, żebyśmy się wszyscy lepiej poznali.

Trzy dni później, na polecenie Saint-Michaela, załoga stacji kosmicznej zebrała się w kabinie dowodzenia.

Jak zwykle generał bezpośrednio przystąpił do sprawy.

– Przenosimy *Silver Tower* – powiedział.

– Jak to?! – wykrzyknął pułkownik Marks, wyraźnie zaskoczony. – Dokąd? Nic mi o tym nie wiadomo.

– Czy jesteś w jakiś szczególny sposób przywiązany do tej orbity, Wayne?

– No, to trochę nieoczekiwana wiadomość, szefie.

– Dowództwo Lotnictwa Kosmicznego i Pentagon zwróciły moją uwagę na parę spraw, w których możemy się przydać. Po raz pierwszy od czasu

zainstalowania Thorów, stacja *Armstrong* ma szansę działania nie tylko jako laboratorium kosmiczne, ale również jako bojowa jednostka taktyczna. Głównym zadaniem będzie rekonesans. Mamy tu niezwykle wyrafinowany radar orbitalny, najlepszy na świecie, ale teraz służy on wyłącznie do obserwacji pustego nieba nad rosyjskimi silosami raketowymi i podglądu samolotów przelatujących nad biegunem. Niewiele z tego pożytku i sądzę, że czas, abyśmy mogli się naprawdę na coś przydać.

Skinęli głowami z aprobatą. Ann zdawała sobie sprawę, że Saint-Michael ma rację. *Silver Tower* była traktowana wyłącznie jako idealne miejsce do przeprowadzania eksperymentów z nową bronią dla Organizacji Inicjatywnej Obrony Strategicznej. Projekt Skybolta był tylko jednym z wielu realizowanych obecnie na pokładzie stacji. Kevin Baker prowadził doświadczenia z pociskami Thor; podejmowano także badania dotyczące nadprzewodnictwa i miniaturyzacji radaru orbitalnego. Na pokładzie stacji znajdowało się zazwyczaj równie wielu cywiliów co wojskowych, a członki cumownicze były ciągle zajęte.

– No więc, co to za robota? – zapytał pułkownik Walker. – Kogo mamy szpiegować?

Saint-Michael wyjął projekcyjną mapę Mercatora, którą zawsze trzymał przy swoim stanowisku, i przypiął ją do pulpitu. Planszę dzieliła falista linia, której górna część przebiegała nad Iranem, a dolna między Chile a Nową Zelandią ponad południowym Pacyfikiem.

– Proponuję przeniesienie stacji *Armstrong* na orbitę eliptyczną o wymiarach siedemset na sto mil. Będzie to orbita trzygodzinna, z tego dwie godziny dziesięć minut nad Afryką i południową Azją, a półtorej godziny w bezpośrednim zasięgu radarowym nad Iranem. I za każdym razem musi to być szczegółowo ta sama trasa.

W kabinie zawrzało, załoga zaczęła dokładnie studiować mapę. Pułkownik Marks odezwał się pierwszy.

– Ta sama trasa? Czy to znaczy, że na każdej orbicie mamy się znaleźć dokładnie nad tymi samymi punktami?

– To właśnie miałem na myśli.

– To brzmi poważnie, generale – powiedział Walker.

Saint-Michael pokiwał głową.

– Ma pan rację. Zawiadomiono mnie o dokonaniu pewnej... obserwacji. Tak, to chyba najważniejsze słowo. Dotyczy ona niezwykle dużej koncentracji militarnej na radzieckim południowym obszarze wojskowym. Nie wzbudziło to zbyt wielu podejrzeń w Pentagonie, ponieważ do pewnego stopnia zbiegło się z

ogłoszonymi przez Rosjan manewrami i, jak podejrzewano, jesiennym wzmożeniem ofensywy na Afganistan. Jest jednak kilka osób, które sądzą, że to może być coś poważniejszego... na przykład inwazja na Iran.

Załoga znowu głośno zareagowała. Saint-Michael uciszył ich, a po chwili kontynuował:

– Pomysł, aby dokonać ataku na Iran, może wydawać się obłądny, ale dla mnie jest sensowny. Kraj ten znajduje się w stadium przejściowym. Społeczeństwo jest głęboko rozbite, są starzy fundamentaliści islamscy Chomeiniego i tacy, którzy szczerze pragną przywrócenia więzi z Zachodem. Długa wojna z Irakiem osłabiła kraj. Iran jest jak dojrzały owoc, który można łatwo zerwać.

– A więc co mamy zrobić, generale? – zapytał Kevin Baker. Miał już sześćdziesiąt pięć lat, ale wyglądał o dziesięć lat młodziej, kiedy tak stał w nylonowym dresie, świeżo po próżniowym prysznicu wziętym po szesnastu godzinach pracy w kosmosie przy wyrzutni pocisków Thor. – Jakie są rozkazy z Waszyngtonu?

– Nie mówiłem nic o rozkazach z Waszyngtonu. Pomysł jest mój. Sądzę, że orientujecie się, iż dano mi dość dużą swobodę w podejmowaniu decyzji operacyjnych na pokładzie stacji. I korzystam z niej, aby unikać marnowania czasu, przyspieszyć badania i uczynić tę stację najefektywniejszą jednostką militarną w swoim rodzaju. Przynajmniej staram się, żeby tak było. Ale ostatnio doszedłem do wniosku, że ogromny potencjał stacji marnuje się. Zużywamy więcej energii na systemy obronne, niż na zapewnienie niezbędnego wykrywania i ostrzegania strategicznego. Teraz jest okazja, by udowodnić, że mamy również takie możliwości. Czekam na wasze opinie.

– To pochłonie ogromne ilości paliwa – wtrącił się Marks. Dokonał szybkich pamięciowych kalkulacji.

– Będzie to wykonanie ślizgu stacji o około dziewięćset mil co godzina.

– No więc?

Saint-Michael musiał ukryć przebiegły uśmiech. Właśnie udało mu się uruchomić mikroprocesory w mózgu Marksa.

– Sir, tygodniowo zużywamy trzysta funtów płynnego wodoru i tlenu na korekty wysokości stacji, co odpowiada mniej więcej przemieszczeniu się na odległość trzystu mil. Pan proponuje boczne przesunięcia stacji o dziewięćset mil co godzina. Oznacza to dodatkowe dziewięćset funtów paliwa na godzinę. A to jest – tu nastąpiła krótka przerwa – dwadzieścia jeden tysięcy sześćset funtów paliwa dziennie, czyli jedna trzecia pojemności towarowego promu kosmicznego, a jedna czwarta pojazdu Agena-3.

– Jeśli propozycja zostanie przyjęta – powiedział Saint-Michael – dwa razy w tygodniu będą nam dosyłać paliwo. Bezzałogowa Agena-3 jednorazowo może nam dostarczyć czterodniowy zapas.

– Ale dlaczego nalega pan na orbitę eliptyczną, generale? – zapytał Walker. – Przecież wtedy możemy zerknąć tylko raz dziennie, podczas gdy przy orbicie równikowej moglibyśmy obserwować konkretny obszar wielokrotnie w ciągu doby.

– Sprawdzalem to wszystko na komputerze – oświadczył Saint-Michael. – Orbita równikowa o stu pięćdziesięciu milach morskich ustawilaby nas w odległości ponad dwóch tysięcy mil od obszaru rozpoznania. A to jest granica zasięgu naszego radaru. Sądzę, że warto dodatkowo zużyć paliwo, aby wejść na orbitę eliptyczną, biorąc pod uwagę, iż można ją korygować przy każdym obrocie Ziemi, co byłoby wykluczone przy orbicie równikowej. – Saint-Michael podszedł do mapy i wskazał prostokąt ograniczający obszar rozpoznania. – To będzie ryzykowne – ściszył głos. – Nawet gdyby nie istniało zagrożenie z powodu przypuszczalnej inwazji na Iran czy też konfrontacji pomiędzy USA i ZSRR, będziemy orbitować nad najgorszym z możliwych obszarów na Ziemi, czyli prawie bezpośrednio nad głównym radzieckim ośrodkiem do zwalczania satelitów w bazie Tiuratom i Centrum Prób Raketowych Sary Szagan nad jeziorem Bałchasz, gdzie prawdopodobnie mają broń laserową do niszczenia satelitów i pocisków balistycznych.

– Ta broń rzeczywiście istnieje, generale – wtrąciła Ann. – Już od dwudziestu lat działa tam laser wystarczająco potężny, żeby unieszkodliwiać satelity. Raporty naszego wywiadu nie doceniają Rosjan. W Sary Szagan funkcjonuje antysatelitarny system laserowy prawdopodobnie wystarczający do zniszczenia nawet naszej stacji.

– Takie prawdopodobieństwo prawie nie istnieje, doktor Page – odezwał się Jefferson. – Nasza stacja ma potężny pancierz. Właśnie stąd pochodzi jej nazwa *Silver Tower*, czyli srebrna twierdza. Osłona ze srebrzystego tytanu jest mocniejsza niż...

– Jake, ta nazwa jest już trochę nieaktualna – przerwał Walker. – Tylko pierwotne człony ciśnieniowe posiadają pancierz, ale nie ma go już domontowana później główna kratownica, anteny radarowe, zbiorniki paliwa ani baterie słoneczne.

– No właśnie – powiedziała Ann. – Ten laser z bazy Sary Szagan mógłby nas przekroić jak kostkę masła.

Zapadło milczenie. Po chwili Saint-Michael zwrócił się do pułkownika Marksa:

– Wayne, czy urządzenie do elektrolizy może przerobić dodatkowe siedem tysięcy galonów wody dziennie?

– Z łatwością – powiedział Marks. – Było zaprojektowane do pokrycia potrzeb stacji dwa razy większej niż ta.

Urządzenie to, zasilane energią z potężnych baterii słonecznych, przetwarzało paliwo *Silver Tower*, czyli zwykłą wodę morską – w tlen i wodór. Radiatory, odwrócone od Słońca w stronę trzystustopniowego mrozu kosmicznego, kondensowały je następnie i zbierały w przechowalniach, albo też pompy przesyłały je do czterech silników korygujących orbitę i położenie stacji na niej. Jeden ładunek bezzałogowej Ageny-3, niosącej na pokładzie sześćdziesiąt tysięcy funtów wody z Ziemi, na cały miesiąc wystarczyłyby dla satelity, promu kosmicznego, samolotu naddźwiękowego i stacji kosmicznej.

– Panie generale, czy zmiana trasy będzie miała wpływ na dalsze próby Skybolta? – zapytała Ann. – Będę gotowa do ich podjęcia za trzy dni. Jeśli wszystko pójdzie dobrze z testem próbnym, strzelanie do celu Agena-3 możemy zacząć za tydzień.

Saint-Michael milczał chwilę.

– Przykro mi, Ann, ale muszę zgłosić w dowództwie, że próby Skybolta zostaną zawieszona na jakiś czas. Z pewnością nieźle byśmy od nich oberwali, gdybyśmy próbowali strzelać laserem tak blisko radzieckich baz raketowych.

– Panie generale – powiedziała Ann bardzo cicho – wszyscy ciężko pracowaliśmy po pierwszych nieudanych testach, aby zdążyć przed terminem. Uważam, że testy końcowe Skybolta powinny mieć pierwszeństwo przed tą nie zatwierdzoną misją rozpoznawczą.

– Przyjąłem do wiadomości, a teraz...

– A więc mogę czuć się zapewniona, panie generale, że moje obiekcje zostaną przez pana rozważone i przekazane do dowództwa?

– Jako dowódca tej stacji jestem zobowiązany do przekazania rad i uwag wszystkim członków załogi. Jednakże nie muszę nikogo o niczym zapewniać.

Saint-Michael zwrócił się do pułkownika Marksa:

– Wayne, chciałbym cię prosić o ponowne sprawdzenie moich obliczeń proponowanej orbity i przejrzanie kalkulacji paliwa. Pułkowniku Walker, proszę usiąść z Wayne'em i ustalić grafik dostaw przy użyciu promu i Ageny.

Zaczerpnął głęboko powietrza.

– Doktor Page, zechce pani określić opóźnienia w realizacji pani programu, jak również wynikające z tego problemy.

Rozejrzał się po obecnych.

– Proszę, żeby wszystkie dane były przygotowane do zaszyfrowania i przesłania jutro rano. Proponuję, aby przemieszczenie stacji nastąpiło w ciągu trzech dni.

Spojrzał prosto na Ann, ale ona nawet nie drgnęła.

– To wszystko.

Cała grupa rozchodziła się pojedynczo, niektórzy zatrzymywali się chwilę, aby jeszcze coś omówić z dowódcą. Ann była ostatnia.

– Pana nowy plan jest dla mnie zaskoczeniem – powiedziała. – Sądziłam, że decyzja dotycząca dokończenia prób ze Skyboltem była ostateczna.

– Nic się nie zmieniło, Ann. Ja nie skreślałam tych testów całkowicie. Ale stacja *Armstrong* jest przede wszystkim wojskową bazą operacyjną i jednostką taktyczną. Dostałem informacje, że dzieje się coś, co może bezpośrednio zagrażać Stanom Zjednoczonym. Wszystko przestudiowałem i napisałem raport, który będzie rozważony i zaopiniowany w dowództwie.

– Ale co będzie z moim...?

– Ann, możesz mi wierzyć lub nie, ale powtarzam, że nie rezygnuję ze Skybolta.

Okay, okay, pomyślała. Rozsądniej będzie już więcej nie naciskać. Lepiej niech wszystko się trochę uspokoi. W końcu była skazana na towarzystwo tych facetów. A jeśli chodzi o ścisłość, to jej los leżał w rękach Saint-Michaela.

Rozdział 4

USS CALIFORNIA

– Cholera, Cogley! – wykrzyknął kapitan Matthew Page. – Nie chcę kopii przekazów satelitarnych z *Nimitza*. Zanim je nam prześlą, a potem nasi pięknieje przepiszą, minie dodatkowe pół godziny. Przez ten czas można wysadzić w powietrze pół Azji, a my przecież mamy własny terminal FLEETS AT*. I poproszę o te właśnie przekazy.

Cogley skinął głową i już miał odejść, kiedy Matthew Page złapał go za rękę.

– Cogley, dawaj to, co masz. Lepsze to niż nic. I przekaz łączności, że mają je uaktualniać co pół godziny.

Cogley natychmiast zniknął, ale po chwili pojawił się znów, aby dolać kawy do kubka dowódcy.

– Dziękuję. A teraz biegiem do łączności i powiedz, żeby wreszcie zaczęli pracować, bo ich utopię.

Cogley rozplynął się w powietrzu momentalnie. Kapitan Page pociągnął łyk kawy i spojrzał w niebo.

– Widzisz, Ann? Zwracam się do Cogleya również inaczej, nie tylko „Cholera Cogley” – powiedział półgłosem.

Po raz pierwszy od czasu Oakland pomyślał o Ann, i ta świadomość zabolowała go. Moja córka, astronautka. Pokazywali ją wiele razy w telewizji i ciągle pisano o niej w gazetach. Ekspert od laserów. Mądrzejsza, sławniejsza, lepiej zarabiająca i zdecydowanie ładniejsza od swojego staruszka.

Poczuł gwałtowniejszy przechył spowodowany jakąś zabłąkaną falą i natychmiast jego oczy skierowały się w stronę cyfrowych wskaźników inercyjnych powierzchni morza i skomputeryzowanej aparatury kompensacyjnej na głównej konsoli mostku. Wszystko funkcjonowało normalnie. Morze Arabskie było niebezpiecznym akwenem, nawet gdy nie znajdowały się na nim floty innych krajów.

Ann przynajmniej nie musi walczyć z czterometrowymi falami, pomyślał. Przypomniał sobie, że kiedyś czytał o „wiatrach” kosmicznych, które potrafią

przemieszczać nawet duże stacje kosmiczne, i o mikrometeoroidach zdolnych przeciąć stal. To było chyba zdecydowanie bardziej niebezpieczne niż morze.

Zawsze pragnął porozmawiać z córką o takich sprawach, jak wiatry kosmiczne i mikrometeoroidy, ale jakoś nigdy do tego nie doszło. Śmieszne, ale kiedy spotykał się z nią, nie przychodziło mu do głowy, żeby rozmawiać o laserach, kosmosie czy fizyce. Była naukowcem światowej klasy, jednym z najlepszych w kraju, na pewno mogła napisać całą książkę o wiatrach kosmicznych. Ale kiedy się z nią widział, była tylko jego dzieckiem i nikim więcej.

Ty stary idioto – powiedział do siebie kapitan Page. Nigdy nie okazałeś jej, jak bardzo jesteś dumny i szczęśliwy z powodu odnoszonych przez nią sukcesów. Widujesz ją może dwa razy do roku, a rozmowa ogranicza się do: „przynies mi piwo”, „pomóż mamie”, albo „kiedy wreszcie zejdziesz na ziemię – ale dowcip! – i wymyślisz dla nas jakieś wnuki?”

Wyszedł na pomost. Wdychał czyste, rześkie, słone powietrze, słuchał odgłosu fal rozbijających się o dziób jego krążownika raketowego, mającego jedenaście tysięcy ton wyporności. W oddali mógł dostrzec zarys potężnego cieleśka lotniskowca *Nimitz*, z którego właśnie dwa myśliwce F/A-18D startowały na nocny patrol. *California* była ustawiona w pozycji „bramkarza”, jako największy i najlepiej wyposażony okręt w całej grupie bojowej poza lotniskowcem. Jej osiem wyrzutni kierowanych pocisków przeciwlotniczych, dwa 127-milimetrowe działa, osiem wyrzutni pocisków Harpoon przeciwko okrętom nawodnym, cztery 324-milimetrowe wyrzutnie torped z głowicami nuklearnymi oraz osiem wyrzutni pocisków ASROC* przeciwko okrętom podwodnym stanowiły ostatnią linię obrony lotniskowca o wyporności dziewięćdziesięciu jeden tysięcy ton i jego liczącej trzy tysiące sześćset osób załogi.

Cholera – rozważał – dlaczego miałbym się czuć winnym za to, że mówię, co myślę? W głębi serca wiedział, że Ann nie powinna znajdować się na pokładzie stacji kosmicznej ani latać czymś takim jak wahadłowiec. To było zbyt niebezpieczne, zwłaszcza teraz, gdy Rosjanie krzyczeli wniebogłosy, że stacja jest dla nich zagrożeniem. A czy nie miał prawa chcieć wnuków? Ann była jego jedynym dzieckiem. Byłoby miło mieć kilku łobuziaków koło siebie, kiedy za kilka lat odstawią go do suchego doku.

Podoficer Cogley podbiegł do niego i podał wydruk komputerowy.

– Depesza z Zatoki Perskiej, sir.

– Chyba nie wymagam zbyt wiele, co, Cogley? Ale ją to nic nie obchodzi, ona musi bawić się w astronautkę. Wielka mi rzecz.

– Czy ma pan na myśli swoją córkę, sir?

– Co, co z moją córką?

Kapitan Page jakby się nagle ocknął, ale Cogley zdecydował, że rozsądniej będzie nie starać się dowiadywać, jakimi torami szły myśli dowódcy.

– Trzy okręty dalekiej osłony z grupy *Breżniewa* kierują się na południe w stronę cieśniny Ormuz – czytał Cogley. – Dowództwo Lotnictwa Kosmicznego sądzi, że opuszczają Zatokę w celu przegrupowania sił. Lotniskowiec *Breżniew* na razie nie zmienia pozycji. Będziemy mogli im pomachać, kiedy wypłyną z Zatoki Omańskiej.

W ułamku chwili kapitan Page zarejestrował słowa „Dowództwo Lotnictwa Kosmicznego”, ale niedokładnie je pojął; zrozumiał, że chodzi o Dowództwo Sił Lotniczych. Zawsze mówił, że to prawie to samo.

– Dziękuję, Cogley. Proszę nadal przekazywać mi raporty.

Po niebie szybko przesuwały się ciemne chmury. Kapitan Page patrzył w górę i znów przemawiał, jakby jego córka mogła go widzieć.

– Niech to diabli, Ann, pierwszy raz cieszę się, że jesteś tam teraz bezpieczna.

BAZA TIURATAM,

OBWÓD DŻESKAZGAŃSKI, ZSRR

Już po raz trzeci w ciągu ostatniej godziny ręka generała Aleksandra Goworowa spoczęła na plastikowej osłonie okrywającej tablicę kontrolną centralnego układu sterowania. Wciąż sprawdzał, czy znajduje się na swoim miejscu, ale wprost nie mógł powstrzymać ręki, która jakby niezależnie od jego woli posuwała się w kierunku trzech przełączników ukrytych pod przezroczystym plastikiem. Powoli, z namaszczeniem, dotknął lekko osłony, wyobrażając sobie, co by się stało, gdyby naprawdę je nacisnął.

Przycisk pierwszy: aktywacja blokady elektromechanicznej uruchamiającej odpalenie i atak na cel wybrany przez komputer naprowadzający. Nawet w przypadku eksplozji lub nagłego przerwania dopływu energii do kompleksu startowego – wewnętrzne systemy pocisku Gorgona mogły w dalszym ciągu prowadzić czynności startowe. Włączenie tego przycisku jednocześnie

uruchamia systemy alarmowe znajdujące się w kompleksie startowym pocisków antysatelitarnych i automatycznie przekazuje ostrzeżenie do Centrum Lotów Kosmicznych w Bajkonurze, na Kreml oraz do kilku równoległych stanowisk dowodzenia i kontroli na całym obszarze Związku Radzieckiego.

Przycisk drugi: całkowicie automatyczne przygotowanie do odpalenia. Ostateczne korekty kierowania inercyjnego, końcowe przetwarzanie danych celu, otwarcie podwójnych stalowych wrót podziemnej wyrzutni, odłączenie platform, wysięgników, przewodów, i na koniec przygotowanie bliźniaczych zbiorników o pojemności tysiąca decylietrów z odczynnikami chemicznymi do zimnego odpalenia.

Przycisk trzeci: odpalenie. Cztery podziemne pompy turbinowe mieszają pod ciśnieniem zawieszinę węgla sodowego i kwasu azotowego w wielkim zbiorniku pod wyrzutnią, w ciągu sekundy wytwarzając ogromne ilości azotu. Gaz gromadzi się w zbiorniku i osiąga ciśnienie dochodzące do miliona kilopaskali, a potem zostaje wtłoczony do wyrzutni. Dwudziestotonowa Gorgona zostaje wypłuta na wysokość prawie dwudziestu metrów, aby spaliny powstające w czasie zapalania silnika pierwszego członu nie uszkodziły silosu. W niespełną piętnaście minut następna rakietka znajduje się w wyrzutni, przygotowana do startu.

W wyobraźni Goworow śledził cyfry pojawiające się na monitorze komputera. Najpierw długie pierwsze stadium lotu, gdy rakietka SAS-10 przediera się przez gęste warstwy atmosfery. Potężny impuls w chwili odpalenia drugiego członu pozwala pociskowi na osiągnięcie prędkości orbitalnej. Potem włączenie silnika trzeciego członu, aby dokonać korekty orbity, i wreszcie impulsy silnika i silników sterowniczych w celu przeprowadzenia ostatecznych poprawek kursu.

A później zbliżenie. Przyspieszenie do prawie trzykrotnej prędkości dźwięku, ale bez gromu dźwiękowego, bo wtedy pocisk znajduje się już setki mil ponad atmosferą. Losowe zmiany kursu, niektóre aż o czterdzieści stopni przy pełnym uchwyceniu celu przez system naprowadzania pocisku. Uderzenie, eksplozja, zniszczenie. SAS-10 posiada tonową przeciwlotniczą głowicę konwencjonalną. Nie jest to dużo jak na pocisk balistyczny, ale wystarczy, aby zniszczyć cel orbitalny. Bez osłony i działania Ziemi, osłabiającego skutki eksplozji, zniszczenie jest całkowite.

Żegnaj, generale Saint-Michael, żegnaj, stacja kosmiczna *Armstrong*. Twoje szczątki stworzą setki nowych meteoroidów, które będą spadały na Ziemię przez kilka następnych tygodni.

Ale plastikowa osłona pokrywająca trzy główne przyciski startowe pozostawała nienaruszona, a monitor komputera już od miesiąca wyświetlał te same cyfry. Stacja kosmiczna *Armstrong* była bezpieczna na swojej orbicie, ustawiona tak, aby przez szesnaście godzin na dobę obserwować i przekazywać światu informacje o szalonych wyczynach ministra obrony Czilikowa w Iranie i o tym, jaki to kolosalny błąd miało popełnić nowe kierownictwo Związku Radzieckiego.

Goworow zwrócił się do oficera dyżurnego ośrodka dowodzenia:

- Proszę o pozycję celu, pułkownika Gulajew.
- Nie zmieniona. Stacja *Armstrong* jest trzydzieści jeden minut i dziesięć sekund od apogeum. Prędkość i tor takie same. Możemy według niej ustawiać swoje chronometry. – Oni chyba nie tylko nas drażnią, towarzyszu generale – zwrócił się do swojego przełożonego. – Sądzicie, że coś wiedzą o operacji „Pióro”?

To pytanie dotyczące akcji w Iranie trochę zaskoczyło Goworowa. Nie zdziwił go fakt, że Gulajew, najmłodszy, ale i zdecydowanie najinteligentniejszy z oficerów dyżurnych, wiedział o operacji „Pióro” – miał taki sam dostęp do informacji i uczestniczył w odprawach operacyjnych na równi z nim samym, a poza tym był bystrym facetem. Zastanowiło go jedynie, że Gulajew, wnuk jednego z najwyższych odznaczonych asów lotniczych drugiej wojny światowej, potrafił to, czego nie umiało wielu członków Kolegium. Wyłapał wszystkie drobne fakty dotyczące operacji, a potem połączył je z ruchami i możliwościami najbardziej wyrafinowanego amerykańskiego wynalazku wojskowego. Gulajew prześcignął większość wyższych dowódców.

- Chyba dość dużo wiecie o stacji *Armstrong* – powiedział Goworow – ale zdecydowanie za dużo mówicie o operacji „Pióro”. Radzę wam trzymać język za zębami. Najlepiej w ogóle przestańcie o tym myśleć.

Gulajew spochmurniał, ale Goworow uśmiechnął się.

- Nie, Amerykanie nie mogą nic wiedzieć o tej wyprawie. Jest ona zbyt ambitna, nawet jak dla nich.

Gulajew pokiwał głową, ale jego myśląca twarz była jak kamień. Pytanie oficera dotyczące operacji „Pióro” zaniepokoiło jednak Goworowa. Był pewien, że Amerykanie używają potężnego radaru zainstalowanego na stacji orbitalnej do szpiegowania tego regionu. Ale dlaczego? Z pewnością nie zależało im na obserwacji tych kilku okrętów w Zatoce Perskiej.

Zawsze spodziewaj się najgorszego, ale miej nadzieję, że do tego nie dojdzie – tak właśnie uczył Gulajewa i innych swoich podwładnych. Ale teraz

chyba już czas pozbyć się podobnych złudzeń, bohaterze Związku Radzieckiego Goworow. Nastąpiła chwila, kiedy już należy zacząć myśleć tak jak ci młodzi, zakładając że Amerykanie zdemaskowali albo odgadli plany inwazji. Stacja *Armstrong* wykryła wielkie ilości wyposażenia, niewspółmierne do zwykłych manewrów lub do wzmożenia ofensywy na Afganistan. W rezultacie przenieśli stację na inną orbitę, której apogeum, czyli najwyższy punkt, znajdowało się dokładnie nad granicą radziecko-irańską. Co więcej, orbita ta była eliptyczna i wyższa niż dotychczasowa, co pozwala im obserwować Iran i Zatokę Perską dłużej, a ponadto oddala ich od zasięgu radzieckiej broni antysatelitarnej. Zużywają ogromne ilości paliwa i energii, aby mieć pewność, że przy każdym okrążeniu znajdują się dokładnie nad tym samym punktem.

– Pułkowniku Gulajew!

Gulajew zerwał się z krzesła i natychmiast znalazł się przy Goworowie.

– Tak jest!

Goworow położył mu rękę na ramieniu.

– Zawsze należy wątpić we wszystko i wszystkich, pułkowniku. Może to i niezbyt rozsądne nie ufać przełożonym, ale póki ja tu jestem, będę tego wymagał. To właśnie tacy starzy głupcy jak ja mogą wtrącić naszą ojczyznę w przepaść.

– Ależ, towarzyszu generale, wy...

Goworow podniósł rękę.

– Mielicie rację, jak zwykle. Musimy działać zakładając, że Amerykanie wykryli lub co najmniej domyślają się naszych planów w Zatoce Perskiej oraz Iranie i przenieśli swoją stację orbitalną, żeby móc nas szpiegować i przekazać wczesne ostrzeżenie swoim siłom. Jeśli nasz wywiad się nie myli, to radar orbitalny zainstalowany na stacji będzie mógł kierować ruchami wojsk w taki sposób, aby nasze siły inwazyjne były zaangażowane na kilku frontach jednocześnie. Co o tym sądzicie, pułkowniku?

Odpowiedź była zaskakująco szybka.

– Musimy zniszczyć stację orbitalną *Armstrong*, towarzyszu generale.

– Tylko że Kolegium nie wydało nam takiego rozkazu – powiedział Goworow. – Nie znajdujemy się w stanie wojny z Ameryką. Celem operacji „Pióro” jest zajęcie Iranu, objęcie kontroli nad Zatoką Perską i zapobieżenie powrotowi większych ilości wojsk amerykańskich do tego regionu. Nie możemy zacząć nowej wojny ojczyźnianej.

– Wobec tego jestem pewien, że szykuje się klęska. Czy możemy, czy wy możecie, towarzyszu generale, do tego dopuścić?

Goworow aż drgnął, a potem skinął głową w kierunku swojego gabinetu. Gulajew odłożył słuchawki na centralną konsolę i poszedł za nim. Gdy znaleźli się w małym gabinecie, Goworow ruchem ręki nakazał mu zamknąć drzwi i usiadł za biurkiem.

– Obawiam się, że moją zachętę do śmiałego wypowiadania swoich myśli zrozumieliście trochę zbyt dosłownie – odezwał się. – Personel Dowództwa Obrony Kosmicznej jest często przesłuchiwany przez KGB i uwagi w rodzaju: „«Pióro» poniesie klęskę” zostaną zapamiętane przez podsłuchiвачy aż do chwili, kiedy będą mogły być odpowiednio wykorzystane. W przyszłości bądźcie ostrożniejsi. Jesteście cholernie inteligentni i nie chciałbym, żeby was wysłano do jakiegoś trzyosobowego posterunku radiowego na Syberii, albo żeby was spotkało coś jeszcze gorszego. – Wymawiając te słowa, Goworow przypomniał sobie własne mało dyplomatyczne uwagi wypowiedziane przed Kolegium. Chyba nie był odpowiednim nauczycielem. Ale skądinąd – czyż nie lepiej nawraca ten, który sam zgrzeszył?

Gulajew był całkowicie opanowany.

– Oczywiście macie rację – powiedział Goworow. – „Pióro” nie będzie dla nikogo niespodzianką, jeśli radar orbitalny jest tak efektywny, jak podejrzewam. – Zamyślił się na chwilę, i Gulajew zastanawiał się, czy nie został odprawiony. Ale zaraz usłyszał: – Pułkowniku Gulajew, proszę o waszą ocenę efektywności systemu pocisków SAS-10 Gorgona przeciwko stacji kosmicznej *Armstrong*.

Gulajew zawahał się przez moment, ale odpowiedział pewnie:

– Nieskuteczny, towarzyszu generale. Możemy zaatakować sześcioma pociskami Gorgona. *Armstrong* ma dziesięć Thorów, których może użyć przeciwko nim.

– Ale przecież efektywność systemu Thor została oceniona tylko na pięćdziesiąt procent – powiedział Goworow, dalej sprawdzając swego podwładnego.

– Towarzyszu generale, jak wiecie, dla określenia przybliżonej efektywności w warunkach normalnych KGB i GRU przeliczały wyniki amerykańskich prób ostrych. Faktem jest, że Amerykanie użyli siedmiu pocisków Thor i zniszczyli pięćdziesiąt dziewięć głowic bojowych międzykontynentalnych pocisków balistycznych ICBM. A więc skuteczność wynosi osiemdziesiąt pięć procent. Niezależnie od skali prób nadal pozostaje faktem, że amerykańska stacja kosmiczna z powodzeniem przechwyciła sześć pocisków, i to Tridentów, które są o wiele trudniejszym celem niż nasze Gorgony. Rakieta Thor namierzyła i zniszczyła pojedynczą głowicę bojową, a więc cel o wiele mniejszy niż Gorgona.

Poza tym, towarzyszu generale, chociaż teraz prędkość poruszania się stacji w stosunku do Ziemi jest mniejsza, to będąc w apogeum znajduje się ona prawie poza zasięgiem Gorgon. Oznacza to, że nasza rakieta nie może ścigać stacji po jej orbicie, ale musi ją atakować bezpośrednio, zanim wyczerpie się jej zapas paliwa. To właściwie czyni ją celem stacjonarnym dla Thorów.

Goworow nie chciał nawet myśleć, co to oznacza. Wszystkie jego plany, przecucia, dostrzeżone mankamenty tej najważniejszej broni będącej w posiadaniu Dowództwa Obrony Kosmicznej młody Gulajew wypowiedział jednym tchem.

– Co wobec tego proponujecie? – zapytał Goworow obojętnym głosem, który miał ukryć, co czuje. – No, dalej, Nikołaju Gulajew. Przecież wiem, że powiecie.

– Elektron? – bardziej stwierdził, niż zapytał Gulajew.

Bez jednego słowa Goworow podniósł słuchawkę telefonu na biurku i wykręcił jakiś numer wewnętrzny.

– Operacyjny? Mówi generał Goworow. Polecam znaleźć zastępstwo dla pułkownika Gulajewa na stanowisko przy konsoli, aż do odwołania. Wykonać natychmiast. Nie, bez żadnego powodu... Tak, na moje osobiste polecenie... I jeszcze potrzebny mi pisarz, chcę podyktować rozkazy... Tak, może być... przyślijcie go natychmiast. – Odłożył słuchawkę. – Pułkowniku, właśnie wypowiedzieliście magiczne słowo – zwrócił się do Gulajewa.

Młody oficer ze zdumieniem patrzył, jak Goworow podszedł do stalowej szafy w kącie gabinetu i odsunął ją. W ścianie za nią znajdował się sejf. Wyjął z niego czerwoną teczkę i podał Gulajewowi.

– Elektron to jedyne wyjście. Teraz to jest wasze zadanie. Tylko i wyłącznie wasze. Ten dokument określa procedurę niezbędną do przygotowania dwóch samolotów kosmicznych Elektron i wyposażenia ich w odpowiednią broń. Ja...

Gulajew nie mógł się powstrzymać od zapytania:

– Jaką broń?

– Cierpliwości. Wydam pisemne rozkazy upoważniające was do wykonania tych instrukcji. Jesteście zwolnieni z wszelkich innych obowiązków prócz tych, które określa ten dokument. Oczywiście to ściśle tajne. Absolutnie nikt poniżej gabinetu pierwszego zastępcy ministra nie może poznać jego treści. Czy to jasne?

Goworow nie czekał na odpowiedź.

– Przyjdźcie po rozkazy za godzinę. Oczekuję codziennych raportów o waszych postępach. A teraz wracajcie do konsoli i tam czekajcie na zastępstwo.

Gulajew wyprężył się na baczność i wyszedł w pośpiechu.

Goworow spozjrzał na wiszący na ścianie staroświecki zegar analogowy. Jakie to charakterystyczne, że najdoskonalsza technologicznie organizacja radziecka używa okrągłego zegara ze wskazówkami. Jakże go nienawdził. Przypominał mu o stanie sił powietrznych Związku Radzieckiego, a właściwie całych Radzieckich Sił Zbrojnych. Nie były one wcale bardziej nowoczesne od tego pięćdziesięcioletniego zegara. A niektórzy z tych dinozaurów najchętniej powróciliby do czasów, kiedy go wyprodukowano, czyli do momentu, gdy Związek Radziecki był najbardziej spustoszonej, pozbawionym zaufania, podzielonym, oligarchicznym i zbankrutowanym krajem świata. Kiedy to słaba i zdemoralizowana Armia Radziecka poszła za Józefem Stalinem, bezlitosnym, ogarniętym obsesją władzy dyktatorem, który doprowadził kraj do ruiny. Teraz ponownie zdeorganizowana armia miała pomóc następnemu spragnionemu władzy wodzowi w doprowadzeniu do niewątpliwego starcia z najpotężniejszym mocarstwem świata. Ale tym razem to się nie uda. Aleksander Goworow nie dopuści do pewnej zguby.

Gulajew ma rację. Na Goworowie spoczywa wielka odpowiedzialność. Jego obowiązkiem jest zrobić wszystko, co w jego mocy, aby nie dopuścić do klęski Związku Radzieckiego w Iranie, w Zatoce Perskiej ani nigdzie indziej. Musi zatem wprowadzić w życie tajny plan zniszczenia stacji kosmicznej *Armstrong*. Najważniejsze teraz to przekonać ministra obrony, żeby przelożył termin rozpoczęcia operacji „Pióro” do czasu wykonania tej misji.

Wydał rozkaz zatankowania i przygotowania samolotu. Za godzinę Gulajew otrzyma rozkazy, a on sam będzie w drodze do Moskwy. Spróbuje namówić członków Kolegium, aby przyjrzeni się faktom i powstrzymali od samobójstwa. Wolalby już spotkać się z wrogiem. Dinozaury były trudniejsze do pokonania.

STACJA ORBITALNA *ARMSTRONG*

Tak jak Ann Page przewidywała, Dowództwo Lotów Kosmicznych nie zareagowało na jej raport o opóźnieniu się badań ze Skyboltem, spowodowanego przeniesieniem stacji na orbitę geosynchroniczną nad Bliskim Wschodem. Saint-Michael dostał zielone światło i w ciągu ostatnich kilku dni załoga stacji pracowała ponad wszelką miarę, zbierając informacje i będąc w ciągłym pogotowiu na wypadek radzieckiej reakcji. Radziecka reakcja. To bardzo eleganckie określenie, takie bezosobowe i rozsądne, myślała Ann. Jak w szachach. Wyobraziła sobie, jak niszcząca może być ta „reakcja”, i poczuła dreszcz grozy.

Była zadowolona, że ma pracę, która wymaga koncentracji. Chyba załamałaby się nerwowo, gdyby musiała sterczeć w członie dowodzenia i obserwować ekran, na którym pojawiają się hipotetyczne zagrożenia.

Kevin Baker odłożył na bok kolejną płytkę z obwodami przekaźnikowymi i usiadł obok Ann na wąskiej ławeczce, ledwo mieszczącej się w przeładowanej aparaturą kabinie Skybolta.

Ann spojrzała na niego.

– Myślę sobie, jakie to wszystko nierealne. I o tym, co się dzieje daleko pod nami. I że w ogóle jesteśmy tu, w kosmosie...

Baker pokiwał głową.

– Wiem, co masz na myśli. Kiedy wspominam te wszystkie lata spędzone w laboratoriach... na pewno nie takich jak to, ale tak samo zapchanych. Nikogo to nic nie obchodziło. A teraz, kiedy nagle znalazłem się w samym centrum wydarzeń, wciąż odczuwam to samo. Rozwiąż problem, wymyśl wyjście, sprawdź hipotezy...

– A co lubisz najbardziej? Chyba hipotezy. Co zrobić, żeby ten nasz laser był posłuszny?

Kevin z przyjemnością zauważył, że Ann użyła słowa „nasz”.

– No więc – odezwał się, patrząc na labirynt kabli i obwodów znajdujący się przed nim – dlaczego nie mielibyśmy zacząć od lewego przekaźnika danych GCS-B*? Co tu masz podłączone? Wygląda na platynę.

– To jest platyna. To główny przekaźnik nadprzewodzący reaktora MHD. Nazywam go tosterem.

– Niezła nazwa. Pierwszy raz widzę, że może być mniejszy od ciężarówki z cementem. A gdzie masz centralę automatycznego testowania?

Ann pokazała na sufit. Baker jęknął. Być może dla niej praca na suficie to normalka. Musiał przyznać, że jego własne laboratorium na stacji było luksusowe w porównaniu z poprzednim, na Ziemi. Pokręcił głową, ale wznosił się w górę, zaczepił o uchwyt velcro i wetknął do komputera testowego kartę z instrukcją. Po chwili dał się znów słyszeć jego zaniepokojony głos.

– A to co? – wskazał szesnaście długich szeregów cyfr.

– Połączenie ciągu kodów programu obwodów przekaźnikowych. Są sześćdziesiąt cztery zobrazowania każdego dwustusześciodziesięciopięciobitowego słowa. Każdy kadr trzeba porównać z...

– Czekaj. Ależ to ponad szesnaście tysięcy bitów danych...

– Tak, i to tylko dla lewej szyny danych obwodów przekaźnikowych

reaktora MHD – ciągnęła Ann. – Prawą kontroluje się oddzielnie i tak samo poprzez główny program.

– Boże, przecież nie sposób tego wszystkiego sprawdzić. To potrwa kilka dni, a może i tygodni.

– Nie przejrzałam jeszcze wszystkiego. Toster sprawuje się bez zarzutu od dwóch lat. Mam jeszcze sprawdzić trzysta innych komponentów, zanim zacznę go podejrzewać. A więc możesz sobie nie zawracać nim głowy. Zajmę się nim na końcu.

Baker udał, że nie słyszy. Odgiął cztery uchwyty mocujące umieszczone na konsolce do samotestowania, zdjął pokrywę i zajrzał do środka.

– W porządku. Przynajmniej masz tu standardowe złącza. Pociągnę linię światłowodową stąd do mojego laboratorium i podłączę do swojego komputera, żeby sprawdził wszystkie dane. On to zrobi w parę minut i odpowie w ludzkim języku, a nie w tym kretyńskim bełkocie szesnastkowym. Potem już będziesz mogła sama pilnować tego swojego tosterka.

– To świetnie, Kevin, dzięki. Ile to może potrwać?

– Jakies kilka godzin, żeby przeprowadzić linię i zrobić połączenia, i jeszcze kilka, żeby napisać program do obliczenia i sprawdzenia sum kontrolnych.

Ann wskazała na konsolę.

– Naprawdę myślisz, że problem tkwi w niej?

– Słabo orientuję się w temacie przekaźników nadprzewodnikowych. Jeśli chodzi o ścisłość, to w ogóle mało wiem o tych zabawkach, których masz tu pełno. Ale twoje autotesty nie wykrywają samego problemu. Przejrzelismy już prawie wszystko prócz tej maskotki. Wydaje mi się, że to musi być to. – Odczepił się od sufitu i zsunął na podłogę.

Po raz pierwszy od wielu dni Ann poczuła nadzieję, że problem jest do rozwiązania. Oczywiście zakładając, że nie wynikną jakieś nowe i nieoczekiwane komplikacje.

MOSKWA, ZSRR

– Czy wyście oszaleli, Goworow? – zapytał ostro pierwszy zastępca ministra obrony Chromiejew. Goworow i wiceminister obrony Romierdunow, naczelny dowódca Radzieckich Sił Powietrznych, stali na baczność w obszernym gabinecie Chromiejewa, który przechadzał się nerwowo. Ci dwaj wyżsi oficerowie czterdzieści osiem lat temu spędzili razem pełnych osiemnaście dni w

blotnistej jamie pod Mukaczewem, w ostatnich tygodniach wojny ojczyźnianej. I od tamtej pory niewiele z tego, co robił lub mówił Chromiejew, mogłoby naprawdę przstraszyć Romierdunowa. W końcu szef sztabu generalnego wskazał im krzesła.

– Siergiej – nalegał Romierdunow – wysłuchaj, co generał Goworow ma do powiedzenia.

– Już to wszystko słyszeliśmy, Aleksiej – powiedział Chromiejew. – Twój kosmonauta już dał się poznać na Kremlu dzięki swojemu nieopanowanemu wystąpieniu przed Kolegium. A teraz znowu chce rozmawiać z ministrem obrony na temat przełożenia operacji „Pióro” na późniejszy termin. – Chromiejew przez dłuższą chwilę z napięciem wpatrywał się w obu wojskowych. – O co, do diabła, chodzi, Goworow? Czy to jakiś podstęp? A może chcecie zwrócić na siebie uwagę? Minister obrony Czilikow rozmawiał z marszałkiem Liczizewem. GRU nic nie wiadomo o żadnym superradarze na amerykańskiej stacji kosmicznej *Armstrong*. Potwierdzają, że ich czujniki są rzeczywiście bardzo nowoczesne, ale nie aż tak, żeby szpiegować tysiące pojazdów na lądzie, morzu i w powietrzu na tak ogromnym obszarze, nie mówiąc już o możliwości kierowania ruchami amerykańskich sił szybkiego reagowania w regionie.

Chromiejew nagle się pohamował.

– Minister obrony docenia wasze zainteresowanie i zwrócenie uwagi na pewne szczegóły, generale Goworow. Ale po dokładnych konsultacjach z członkami Kolegium i naszymi naukowcami doszedł do wniosku, że stacja *Armstrong* nie stanowi żadnego zagrożenia dla operacji „Pióro”. Wasze uwagi zostały przyjęte do wiadomości, jednak...

Gworow nie mógł się już dłużej opanować.

– Proszę mi wybaczyć, ale nie widzę potrzeby, aby zwracać się do mnie jak do nadgorliwego uczniaka. Jestem gotów zaryzykować swoją karierę zawodową i udowodnić, że mam rację. Jeśli operacja „Pióro” ma się udać, jeśli nasz kraj ma być bezpieczny, to stacja *Armstrong* musi zostać zniszczona albo przynajmniej unieszkodliwiona.

– Tego już za wiele... Romierdunow – powiedział Chromiejew ignorując Goworowa. – Nie mogę wyrazić zgody na spotkanie tego twojego niesubordynowanego oficera z ministrem obrony. Wszyscy daliśmy głowy. Proponuję, Aleksiej, żebyś wyjaśnił Goworowowi, co to jest hierarchia służbowa. Niech sobie także przypomni przysięgę wojskową, a zwłaszcza ten jej fragment,

który mówi o ślepym posłuszeństwie wobec regulaminu i wypełnianiu rozkazów dowódców i przełożonych. Widocznie niezbyt dokładnie ją pamięta. Wyjaśnij mu, że gdyby nie wyjątkowość sytuacji, zostałby zdegradowany. Upewnij się, czy rozumie, że Kolegium nie służy do osiągnięcia korzyści personalnych. Odmaszerować!

Romierdunow spieszył się do swojego samochodu służbowego.

– Goworow, twoja kariera chyba się skończyła. Nasze siły powietrzne nie będą zbyt mocno zaangażowane w operację „Pióro”, a w momencie gdy się trochę uspokoi, zwolnią cię ze stanowiska i przeniosą...

– Nie sędzę.

– Byłeś bardzo dzielny, Aleksandrze, przez cały czas. Ale twoja niewyparzona gęba cię zgubiła. A przecież cię ostrzegałem.

– A ja wam mówię, że to nie koniec. Bardzo dobrze pamiętam przysięgę. Przysięgałem bronić ojczyzny do ostatniej kropli krwi. I właśnie to próbuję teraz robić. – Kiedy wielki czarny mercedes skręcił na zatłoczoną Szosę Wołokołamską i skierował się na północny zachód w stronę moskiewskiego lotniska międzynarodowego, Goworow zwrócił się do przełożonego.

– Potrzebuję waszej zgody – odezwał się cicho. – Na jeden start. Za dwadzieścia dni. Na pokładzie Elektronu...

Romierdunow zbłądł.

– Elektron...? A więc jednak nie jesteś normalny. – Pokręcił głową i zaczął mówić do siebie, jakby obok nie było nikogo. – Nie powinienem był cię popierać... To obsesja, i ona zaćmiewa twój zdrowy rozsądek.

– Cholernie dobrze wiecie, że tak nie jest. To, co mówię, to są fakty. Możliwości stacji *Armstrong* i zagrożenie z jej strony dla naszych sił – to wszystko prawda. „Pióro” nie może się udać, a my zostaniemy zgnieceni albo ugrzęźniemy gdzieś w górach lub na Morzu Arabskim. Taka blokada to to samo, co klęska... Proszę, wysłuchajcie mnie do końca... Dowództwo Obrony Kosmicznej ma możliwości, żeby do tego nie dopuścić. Wystarczą trzy samoloty kosmiczne Elektron, uzbrojone w superszybkie rakiety Scimitar.

– Scimitar? O czym ty, do diabła, mówisz? Nigdy o nich nie słyszałem.

– Ich nazwa kodowa brzmi Bavinash. Są tanie, nazywamy je ulotkami. Zostały potajemnie skonstruowane przez moich ludzi. To właściwie długie butle gazowe z silnikiem raketowym, ale ich molibdenowo-uranowa głowica zdolna jest przebić prawie każdą osłonę. Elektron może wziąć ich dziesięć, razem z obrotową wyrzutnią umieszczoną w ładowni. Są naprowadzane

laserowo z Elektrona i lecą z prędkością prawie kilometra na sekundę. Poza tym...

– Masz broń do Elektrona? Ale przecież to kosmiczny samolot transportowy, taka cholerna przestrzenna taksówka. Co cię napadło, żeby wymyślić dla niej uzbrojenie? I to w dodatku potajemnie...

Goworow uśmiechnął się.

– Właściwie to był amerykański pomysł. Kiedy pierwszy raz poleciałem Elektronem, Amerykanie byli przekonani, że to radziecki myśliwiec kosmiczny. Normalnie nigdy bym nie zwrócił uwagi na taką bezczelną antyradziecką propagandę, bo w tym czasie Amerykanie starali się zdyskredytować nasz program wahadłowców dla pokrycia własnych niepowodzeń w tej dziedzinie. Ale jakoś mnie to zaintrygowało. Zacząłem więc szukać planów takiego myśliwca. No i dowiedziałem się, że takowe nie istnieją. Byłem zaszokowany. Więc kiedy zostałem wyznaczony na stanowisko dowódcy obrony kosmicznej, natychmiast rozpocząłem tajny program mający na celu stworzenie sił kosmicznych dwudziestego pierwszego wieku, przewyższających...

Romierdunow był wstrząśnięty, nie mógł pojąć, że to prawda. Ale kiedy limuzyna zaczęła zjeżdżać z Szosy Wołokołamskiej, zwrócił się do Goworowa:

– Te tak zwane pociski Bavinash... czy one... czy są przygotowane do użycia?

– Tak jest, będą za jakieś dwadzieścia dni. – Goworow poczuł, jak krew napływa mu do głowy. A więc jednak Romierdunow go słuchał. – Wydałem już rozkazy... Dwa Elektryony będą gotowe do startu z aerodromu Tiuratam w ciągu dwóch tygodni. Każdy z nich uzbrojony w dziesięć pocisków Szabla, a to nawet więcej niż trzeba, żeby zniszczyć amerykańską stację kosmiczną. Dopóki istnieje, nasza egzystencja jest zagrożona.

– O czym ty mówisz? Jak to, wydałeś rozkazy?!

Goworow opanował się. Teraz, kiedy mu się udało zainteresować Romierdunowa, powinien naprawić poprzednio popełnione błędy. Nie chciał, żeby jego przełożony pomyślał, iż jest całkowicie nieodpowiedzialny.

– Poinformowałem swoich ludzi o takiej możliwości, ale oczywiście decyzja należy do was. Nie wydałem rozkazu ataku na stację *Armstrong*, bo to należy do was i do Kolegium. Ale sądziłem, że w ramach moich uprawnień mogę przygotować akcję. O ile oczywiście te wnioski dotyczące zagrożenia ze strony radaru stacji *Armstrong* są trafne...

Mercedes zwolnił i zatrzymał się przy punkcie kontrolnym moskiewskiego lotniska. Sprawdzono ich dokumenty, a potem sierżant z rotweillerem na

smyczy szybko sprawdził samochód. Romierdunow, wciąż pochłonięty tym, co przed chwilą usłyszał, nawet nie protestował, kiedy potężny, czarno-brązowy zwierzak obwąchiwał wnętrze, szukając materiałów wybuchowych. Już po chwili limuzyna pędziła w kierunku oddzielnego terminalu przeznaczonego dla osobistości. Specjalny samolot już czekał.

W salonie terminalu Romierdunow zwrócił się do Goworowa:

– Zgodnie z rozkazem udaję się do Taszkientu. Mam tam dowodzić obroną przeciwlotniczą obszaru południowego w przypadku działań odwetowych związanych z operacją „Pióro”. Gdyby nie to, pojechałbym z tobą do Tiuratumu, żeby się przyjrzeć tej tajnej broni. Zapamiętaj sobie, że gdyby nie specjalne okoliczności, uznałbym twoje zachowanie za wyraz najwyższej niesubordynacji i nadużycie władzy. Potajemne skonstruowanie broni, jej użycie, nawet same intencje są zdradą stanu, niezależnie od sytuacji. Jeśli informacja o pociiskach Scimitar, o uzbrojeniu Elektronów przecieknie do Politbiura albo do Sztabu, możesz się znaleźć w więzieniu na Łubiance, i to na dłużej.

Goworow nie odezwał się, i wtedy właśnie Romierdunow zdecydował, że należy mu zaufać. Właściwie miał tylko dwa wyjścia: albo zignorować młodego oficera i dyskretnie go usunąć jako zagrożenie dla swojego autorytetu, albo zaufać mu i poprzeć go. Gdyby Goworow okazał choć cień wahania lub niepewności, Romierdunow przestałby się nim zajmować. Ale stalowe spojrzenie niebieskich oczu Goworowa, jego słowa i sposób działania przekonywały, że jest to człowiek głęboko przeświadczony o swojej racji. Chociaż wzbudzał niepokój, nie musiało to oznaczać, że się myli. Oczywiście byłoby prościej sądzić, że jest szalony, ale jeśliby tak było, należałoby go uznać za najbardziej inteligentnego i opanowanego psychopatę w historii.

– Musimy podjąć odpowiednie kroki, Goworow. Trzeba mieć pewność, że pociski Scimitar, wyposażenie Elektronów i cała organizacja ataku kosmicznego będą szczegółowo udokumentowane. Wszystko musi wyglądać jak wznowienie dawnego programu naszych sił powietrznych i Dowództwa Lotów Kosmicznych, a nie jak jakaś akcja partyzancka.

Goworow zwrócił uwagę na formę „my” i z trudem powstrzymał się od głośnego wyrażenia radości. Oto właśnie Romierdunow, wiceminister obrony, zaakceptował jego plany. A więc można było mieć nadzieję...

– Jeszcze o tym pomówimy, Aleksandrze.

Goworow skinął głową, widząc, że zakończono przygotowania do odlotu. Starszy sierżant lotnictwa zbliżył się do Romierdunowa i zgłosił gotowość do

startu. Goworow wziął teczkę przełożonego i odprowadził go do czekającego wojskowego odrzutowca transportowego An-72.

Goworow wręczył teczkę jednemu z członków załogi i spojrzał na Romierdunowa.

– Jakie są wasze rozkazy?
– Możesz kontynuować. Ale dyskretnie. Skontaktuję się z tobą przy pierwszej okazji. Przygotuj się do udzielenia wyczerpujących wyjaśnień na temat programu, zarówno dla mnie, jak i dla członków Kolegium. – Zamilkł na chwilę, kiedy zbliżyło się do niego kilku innych oficerów. – I również bądź gotów do natychmiastowego zaprzestania wszelkich działań i rozmontowania każdego urządzenia.

Goworow zasalutował. Romierdunow wszedł po schodkach i zniknął we wnętrzu samolotu.

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG*

– Gotowe.

Kevin Baker i Ann Page zbliżyli się do pulpitu głównego komputera w laboratorium Kevina, z nadzieją spoglądając na komunikat „Gotowy do akcji”, który pojawił się na ekranie terminalu. Baker przysunął się do mikrofonu na konsoli, ale w ostatniej chwili zatrzymał się i ustąpił miejsca Ann.

– Proszę, rozgość się.

Ann usiadła przy mikrofonie.

– Suma kontrolna toster. – Jej słowa wydrukowały się na ekranie monitora i natychmiast pojawił się komunikat: – TOSTER. SUMA KONTROLNA GOTOWA.

– Wykonać – powiedziała Ann.

Na ekranie komputera od razu pojawił się wykres przedstawiający szesnaście tysięcy lokacji pamięci w nadprzewodnikowych obwodach przekąźnikowych Skybolta. Na ekranie ukazało się pytanie: CZY WYDRUKOWAĆ WYNIKI TESTU?

– Tak – odparła Ann.

GOTOWY DO STARTU – zgłosił komputer.

Ann powiedziała: – Start – i natychmiast pojawiło się na ekranie kilkanaście kolumn wypełnionych cyframi odpowiadającymi lokacjom pamięci zbadanym przez komputer.

– To fantastyczne, że potrafiłeś to wszystko zmontować zaledwie w osiem godzin – zwróciła się do Bakera. – Ja bym tego nie dokonała nawet w osiem tygodni.

– To nic takiego, trzeba tylko wiedzieć, jak można wykorzystać to, co się ma pod ręką – powiedział Baker. A ponadto jeszcze trzeba mieć pięćdziesiąt lat praktyki, pomyślał na własny użytek. Chyba nawet potrafiłby już wyciągnąć królika z kapelusza. Ale chociaż to ona była geniuszem, a nie on, to wciąż jeszcze mógł się przydać...

Powoli cyfry zaczęły się zmieniać, gdy komputer badał każdą lokację pamięci w przekaźniku elektronicznym, obliczał wielkość sumy kontrolnej danych, analizował lokatory pamięci i obliczał wartość sumy rezydentnej. Gdyby te dwie sumy różniły się od siebie, miał wyłapać błąd i wskazać miejsce jego powstania. Wtedy można będzie sprawdzić obwód sterujący konkretnym lokatorem pamięci, co powinno doprowadzić do rozwiązania problemów z urządzeniem naprowadzającym i zasilaniem lasera Skybolt.

Baker zerknął na zegarek.

– Osiemdziesiąt sekund na jeden rejestr. A więc sprawdzenie sześćdziesięciu czterech rejestrów zajmie około półtorej godziny tylko dla lewego przekaźnika reaktora MHD. To więcej, niż myślałam.

– Ale jeśli weźmiesz pod uwagę, że normalne sprawdzenie jednego rejestru zabrałoby nam co najmniej pięć minut, to chyba nieźle.

– Może i tak. Czy udało ci się coś znaleźć, kiedy byłem zajęty programowaniem? Może coś przeoczyliśmy?

– Nie, nic nie znalazłam. Wszystko się zgadza. Chyba miałeś rację, że coś jest nie tak z jednym z tosterów. Dlaczego rozwiązanie problemu jest...

Nagle trzykrotnie zawył alarm, i głos z komputera obwieścił:

– Wykrycie wystrzelenia pocisku. Wykrycie wystrzelenia pocisku.

Ann uwolniła się z zaczepu velcro i błyskawicznie rzuciła się w stronę przejścia do tunelu łączącego laboratorium z Centrum Dowodzenia. Trwało to tylko chwilę.

Zdziwiła się, że w Centrum Dowodzenia nic się nie dzieje. Pułkownik Walker wpatrywał się w monitor, przy którym pracował sierżant Jefferson, a cała reszta była na swoich stanowiskach.

– Już jestem, Ann. – To był generał Saint-Michael, który właśnie się pojawił. Szybko usiadł na swoim fotelu i zapiął pasy. Ann zauważyła, że jego kombinezon jest mokry, jakby w pośpiechu wyskoczył spod prysznica i nie zdążył się wytrzeć.

– Wykrycie wystrzelenia pocisku na teleskopowym skanerze termodetekcyjnym potwierdzone przez SBR – zameldował Jefferson. – W okolicy Bandar-e Lengeh w Iranie.

– Silkworm?

– Jeszcze nie potwierdzone, sir... zaraz, jest potwierdzenie. SBR śledzi trzy poddźwiękowe pociski Silkworm-F lecące w kierunku dwa-sześć-jeden, prędkość podróżna jeden-siedem-zero węzłów i wzrasta.

– Cel?

Chwila niezdecydowanego milczenia.

– Chyba trzy radzieckie okręty wojenne w cieśninie Ormuz...

– Przekazać ostrzeżenie taktyczne do wszystkich wojsk w rejonie. Śledzić dalej. Czy są jakieś samoloty?

– Wystartował radziecki z *Brezniewa*, sir. Rozpoznawczy Antonów An-18. SBR zgłasza teraz pięć pocisków z Bandar-e Lengeh.

– A nasze samoloty?

– Mam jednego AWACS*-a 767B nad Arabią Saudyjską – zameldował jeden z operatorów. – Ale nie potwierdza wystrzelenia pocisków.

– Pozycja pocisków?

– Na kursie niszczycieli, prędkość trzy-jeden-zero i wzrasta... Sir, start z *Brezniewa*. Dwa szybkie samoloty...

– To myśliwce alarmowe – odezwał się Walker. – Czy mają jakąś szansę upolować te pociski?

– Odległość myśliwców od niszczycieli sto dwadzieścia mil morskich. Odległość pocisków od okrętów... czterdzieści mil. Prędkość podróżna pocisków wynosi teraz czterysta węzłów. Do trafienia około sześciu minut. Myśliwce mają teraz prędkość około pięciuset węzłów i przyspieszają gwałtownie.

– Nie mają szansy – znów wtrącił Walker. – Dolecą akurat na czas, żeby zobaczyć eksplozję.

– Może udałoby im się zestrzelić te pociski raketami dalekiego zasięgu – zastanowił się Saint-Michael. – Ile jeszcze mamy na tej orbicie?

– Za piętnaście minut wyjdziemy z obszaru efektywnego zasięgu SBR.

– No to przygotujmy się do zmonitorowania poszczególnych fragmentów obszaru. Jim, sprowadź tu wszystkich. Będą nam potrzebne zapisy skanerowe radaru taktycznego z całego obszaru. Wszyscy będą nas pytać, co widzieliśmy. Muszę mieć wieloczułnikowy opis wszystkiego, co znajduje się w zasięgu. Pozycja tych Silkwormów?

– Trafiają za pięć minut. Prędkość obydwu myśliwców tysiąc sto węzłów, bez zmian. Będą na miejscu za sześć minut.

Saint-Michael pokręcił głową.

– Ci radzieccy piloci naprawdę będą musieli się nieźle napocić, żeby złapać to świństwo – powiedział i nagle zastanowił się nad tym, co mówi. Co za ironia! Wygląda na to, że współczuje cholernym Ruskim! Ale to chyba dlatego, że irański atak raketowy był tak niespodziewany, niczym nie sprowokowany. A może... tak to tylko miało wyglądać?

USS CALIFORNIA

– Czy rzeczywiście stacja kosmiczna zauważyła odpalenie raket? – zapytał kapitan Matthew Page, gdy wręczono mu arkusz papieru komputerowego. Ciężko oddychał, ponieważ biegł przez całą drogę ze swojej kajuty do bojowego centrum informacji, kiedy usłyszał o ataku.

– Tak mówią, sir – odpowiedział oficer operacyjny. – Jakies dwie minuty temu. Śledzą pięć raket Silkworm-F wystrzelonych z Bandar-e Lengeh, bazy wojskowej znajdującej się około osiemdziesięciu mil na południowy zachód od Bandar Abbas w południowym Iranie. Informują, że celem są trzy radzieckie niszczyciele zbliżające się do cieśniny Ormuz. Z lotniskowca *Brezniew* wystartowały dwa myśliwce Su-27B i ścigają je.

Kapitan przyjrzał się ogromnej komputerowej mapie taktycznej, wielkości ściany. Zawierała wszystkie informacje napływające do USS *California*. Przedstawiała prawie aktualną sytuację. Symbole reprezentujące okręty w samej Zatoce Perskiej były nieruchome i oznaczone iksami, ponieważ ich pozycje podano w przybliżeniu. Natomiast ideogramy z radaru USS *California* były zaznaczone pulsującymi gwiazdkami, gdyż wskazywały rzeczywiste pozycje.

– Informacja na tej mapie jest już nieaktualna! – zirytował się Page. – Czy nie możemy się podłączyć do tego, czego używa stacja kosmiczna?

– Już sprawdzam, sir.

Page w dalszym ciągu przyglądał się mapie.

– *Brezniew* jest ponad sto pięćdziesiąt mil od cieśniny. Stanie się cud, jeśli te myśliwce dolecą do niszczycieli na czas.

W centrali zadzwonił telefon. Oficer operacyjny podniósł czarną słuchawkę. Natychmiast podał ją kapitanowi, który przez chwilę słuchał uważnie.

– *California* potwierdza. Bez odbioru. – Zwrócił się do oficera operacyjnego: – Panie Meserve, ogłosić alarm.

– Tak jest. – Meserve podniósł słuchawkę drugiego telefonu. – Mostek, tu operacyjny. Alarm dla załogi.

Po chwili *California* rozbrzmiała serią dzwonekóelektronicznych i powtarzającym się przez głośniki komunikatem: – Alarm bojowy. Alarm bojowy. Cała załoga na stanowiska.

Meserve czekał przy telefonie następne dwie minuty.

– Wszystkie obsadzone i gotowe, szefie.

– Znakomicie! – Kapitan Page podniósł słuchawkę czerwonego telefonu, bezpośrednio łączącego z lotniskowcem *Nimitz*. – *California* w pełnej gotowości bojowej, sir. – Wziął do ręki mikrofon interkomu okrętowego. – Załoga, mówi kapitan. W cieśninie Ormuz zaatakowano trzy radzieckie niszczyciele około siedmuset mil na zachodni północny zachód od nas. Atak nastąpił z Iranu, podobno nie sprowokowany. W kierunku cieśniny wystartowały dwa radzieckie myśliwce. Admirał Clancy na lotniskowcu *Nimitz* ogłosił alarm dla naszej grupy bojowej. Obecnie nie ma jeszcze niebezpieczeństwa, ale bądźcie w pogotowiu.

Odłożył mikrofon. Wszedł Cogley, niosąc stalowy hełm, kamizelkę ratunkową i czerwone, odbłaskowe szkła ochronne.

– Dziękuję, Cogley. Będę na mostku za kilka minut.

– Panie kapitanie, mamy połączenie ze stacją kosmiczną.

Matt Page odwrócił się w stronę ogromnego ekranu taktycznego, który nagle ożył. Obraz zmienił się z kołowego, obejmującego obszar pięciuset mil, to znaczy maksymalnego zasięgu radarowego grupy bojowej okrętów z *Nimitzem* na czele, na kwadratowy – wysokiej rozdzielczości, o zasięgu do tysiąca mil. Teraz na ekranie zamiast otwartego oceanu widać było parę akwenów i granice państwowe kilku krajów. Każdy punkt na ekranie, czy to okręt, czy samolot, był zidentyfikowany i miał określoną aktualną pozycję. W niespełną minutę kapitan miał już pełne rozeznanie w sytuacji taktycznej.

– Zdumiewające! – Powiedział wyraźnie poruszony.

– *Armstrong* nadaje, że połączenie potrwa jeszcze tylko kilka minut, szefie.

– *Armstrong*? – Dopiero teraz nagle zrozumiał, co cały czas podpowiadał mu głos wewnętrzny. – *Armstrong*. Stacja orbitalna. Moja córka tam jest. Ale co, do diabła, ona robi nad tą cholerną Zatoką Perską?

Nikt nie odpowiedział. Kapitan otarł pot z czoła i w dusznym, pachnącym ozonem pomieszczeniu centrum informacji bojowej poczuł się nagle jak w pułapce.

– Meserve, proszę przynieść na mostek wydruk ostatniej komputerowej mapy taktycznej, którą przekaże *Armstrong*, zanim się rozłączy.

– Tak jest, sir.

Kapitan ruszył jak burza przez korytarze i schody *Californi*, klnąc głośno. – Cholerna córunia... Przeczuwałem, że tak będzie... Nie miała prawa pchać się na tę diabelną stację... Wiedziałem, że to się tak skończy...

Obsada na mostku podwoiła się od czasu, gdy zszedł z niego kapitan. Sternik i sygnalista mieli teraz obok siebie dublerów, posterunki marines też były podwójne, a dwóch marynarzy kolejny raz sprawdzało gaśnice. Na pomostach wystawiono czujki obserwujące horyzont mocnymi lornetkami *StarLite*. Kapitan Page usiadł w swoim fotelu. Wziął do ręki mikrofon.

– Informacja, tu mostek. Proszę podać pozycję.

– Mostek, tu informacja. Rakiety *Silkworm* trzydzieści sekund do trafienia... sir, myśliwce radzieckie odpaliły rakiety.

– Proszę relacjonować.

– Tak jest. Teraz widać tylko jedną rakietę *Silkworm*... Radzieckie myśliwce mają jeszcze dwadzieścia mil od swoich okrętów... nie widać rakiet... obraz myśliwców nakłada się na okręty... z *Brezniewa* startują samoloty. Cztery kierują się na północny wschód z prędkością trzy-zero-zero węzłów, przyspieszają... Teraz startują jakieś inne, wolniejsze. *Silver Tower* mówi, że to wiroplaty.

– *Silver* co?

– Przepraszam, stacja kosmiczna *Armstrong*. *Silver Tower* to nazwa nadana jej z powodu srebrzystego pancerza antylaserowego.

Głos kapitana zagrział z mostka.

– Pancerz antylaserowy...?!

– *Armstrong* informuje, że została już tylko minuta połączenia, sir... pierwsze dwa radzieckie myśliwce odrzutowe skręcają w kierunku północnym i mijają niszcyciele... nie rejestruje się prędkości żadnego z nich. Wyglądają jak martwe... tracę sygnał z *Armstronga*, sir. Za chwilę dostanie pan ostatnią mapę.

– A co z naszymi *AWACS*-ami? Czy nie możemy się podłączyć do ich transmisji?

– Spróbuję, szefie.

Kapitan cisnął mikrofon na podstawkę. Pancierz laserowy! Niech to wszyscy diabli! Nigdy nie mówiła, że może się stać celem dla jakichś cholernych laserów...

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG*

– Odbieram sygnały alarmowe z obszaru, na którym są te trzy okręty radzieckie, panie generale – zameldował Jefferson.

W kabinie dowodzenia panowała niezwykła cisza. Odzywano się jedynie cichym, urywanym głosem. Wszyscy tam obecni byli naocznymi świadkami akcji, która chyba stanowiła początek poważnego konfliktu zbrojnego między Iranem a Związkiem Radzieckim.

Silver Tower znajdowała się obecnie w jednogodzinnej części swojej trzygodzinnej orbity, zmierzając do perigeum, punktu maksymalnego zbliżenia do Ziemi, odległego tylko o osiemdziesiąt mil od granicy atmosfery. Zwłaszcza teraz załoga miała więcej zajęć niż zwykle. Prócz normalnych, „domowych” czynności, jak gromadzenie i przechowywanie energii w czasie „dnia”, konserwacja systemów i ogólny nadzór, potężne ilości danych zebranych przez załogę musiały być umieszczone w pamięci i przygotowane do przekazania na Ziemię. Ponadto do następnego dwugodzinnego przelotu nad obszarem konfliktu należało jeszcze odpowiednio przygotować banki czujników, których na *Silver Tower* było mnóstwo.

Dodatkowe napięcie wprowadziły nieustanne telefony do generała Saint-Michaela. – Nalegano, aby dokładnie opisał, co się właściwie wydarzyło w Zatoce Perskiej.

– Odmawiam – rzucił do słuchawki Saint-Michael. – Sir, przykro mi, ale takie mam polecenie. Według nowych rozkazów, dane z pamięci mam przekazać bezpośrednio do Kolegium Połączonych Sztabów... Nie, nie mamy czasu przesłać ich do dowództwa ani Szóstej, ani Siódmej Floty. Możemy nadać je tylko raz przed rozpoczęciem przygotowań do następnej orbity nad tym obszarem... Tak, admirałe, rzeczywiście *California* poprosiła o łączność z nami... *Nimitz* był na podsłuchu, ale pierwsza prosiła *California*... Tak, sir, powinni otrzymać dane zaraz od momentu wykrycia odpalenia pocisków *Silkworm*. Może nawet widzieli trafienie...

Saint-Michael potarł pulsującą lewą skroń. Ktoś dotknął jego ramienia. Otworzył oczy i zobaczył koło siebie Ann z kubkiem kawy.

– Czy miałby pan ochotę...

Saint-Michael skinął głową i postukał w słuchawki.

– Jestem na zaszyfrowanej linii satelitarnej. To admirał Walton.

Ann przytaknęła i zaczęła się przysłuchiwać. Z kubkiem kawy w ręce Saint-Michael kontynuował rozmowę:

– Przepraszam, sir, nie dosłyszałem. Tak, możemy używać tego łącza zarówno do fonii, jak i do transmisji danych z naszego radaru SBR. To szyfrowana transmisja mikrofalowa o zmiennej częstotliwości. Nie jest całkowicie odporna na zagłuszanie ani też stuprocentowo bezpieczna, umożliwia jednak zarówno bezpośrednie połączenie fonią, jak i przekazywanie aktualnych danych, a chyba o to panu chodzi... Co? *California* nie miała problemów, admirał...

– *California*? – zapytała Ann. – Gdzie jest?

Saint-Michael uciszył ją podniesieniem ręki.

– Tak, admirał. Sądzę, że *Nimitz* powinien mieć te dane, ale wydaje mi się, że *California* jest lepiej przystosowana do odbioru. Przecież to pana główna jednostka, ma lepsze anteny satelitarne i odbiorniki w centrali dowodzenia... Nie, przekazujemy je każdemu, kto ma odpowiednie wyposażenie... Tak jest, sir...

– Co z moim ojcem? Czy... brał udział w walce?

– Cicho, Ann... nie, admirał. Chwileczkę – Saint-Michael zwrócił się do Ann. – W chwili gdy nastąpił atak, grupa bojowa z *Nimitzem* znajdowała się na Morzu Arabskim, w odległości siedmiuset mil. A teraz siedź cicho. – Ponownie włączył mikrofon i kontynuował rozmowę.

Pułkownik Walker przerwał mu, włączając przycisk telefonu pokładowego. – Dziesięć minut, generale.

– Muszę kończyć, panie admirał. Za dziesięć minut przechodzimy przez horyzont... Dziękuję, sir. *Armstrong* wyłącza się. – Saint-Michael natychmiast nacisnął przycisk mikrofonu. – Uwaga, stacja. Wiadomość od Komitetu Połączonych Sztabów przekazana przez naczelnego dowódcę Floty Stanów Zjednoczonych na Pacyfiku: „Dobra robota”. Ja gratuluję podwójnie. Ale teraz musimy to zrobić jeszcze raz – dziesięć minut do przejścia przez horyzont, uważać na obszar ataku.

KREML, ZSRR

– To... niemożliwe...

Marszałek Związku Radzieckiego Siergiej Czilikow powoli przeczytał depe-
szę. Zreumatyzowane palce wbił w papier. Ruchem ręki odprawił posłańca. Wi-
ceminister Chromiejew podszedł do biurka i Czilikow podał mu telegram.

– Komunikat ze stacji kosmicznej *Armstrong* do dowódcy sił Pacyfiku w
Pearl Harbour na Hawajach – wyjaśnił Chromiejew – w którym omawia się
dane z radaru orbitalnego przesłane w czasie rzeczywistym do okrętów oddzia-
łu Siódmej Floty na Morzu Arabskim.

– Goworow... stacja *Armstrong*... czy to możliwe? – zastanawiał się Czi-
likow. – Przecież ta stacja znajduje się na wysokości tysiąca sześciuset kilome-
trów i porusza się z prędkością dwudziestu ośmiu tysięcy kilometrów na go-
dzinę. Czy to naprawdę możliwe, żeby mogła podawać pozycje wszystkich
jednostek bojowych w regionie?

– W tej depeszy nie ma nic takiego. My już od dziesięciu lat mamy sateli-
ty, które przekazują obraz w czasie rzeczywistym. Technika jest raczej prosta.
Obserwacja z kosmosu wielu okrętów w Zatoce Perskiej to dziecinna igraszka i
takie rzeczy robi się od lat.

– Ale atak został wykryty niezwykle szybko...

– Trzy godziny to szybko? W dzisiejszych czasach nawet dzieciak pływają-
cy żaglówką po Zatoce potrafi przekazać światu wiadomość w ciągu trzech
godzin. Ja wciąż nie widzę dowodów na istnienie tego supernowoczesnego
systemu naprowadzania, którym przechwalają się Amerykanie.

Czilikow pokiwał głową z namysłem.

– No więc dobrze. Wierzę wam. Operacja „Pióro” będzie kontynuowana
zgodnie z planem. Czy na pokładzie *Sowriemiennego* były jakieś ofiary?

– Nie. Dość dużo rannych, ale nie ciężko. Nasz okręt został uderzony przez
trzy pociski, które w znacznym stopniu go uszkodziły, o wiele bardziej, niż za-
kładaliśmy. Ponadto czwarty pocisk *Silkworm* uderzył w nasz patrolowiec
Buchara. Okręt jest mocno uszkodzony, ma trochę rannych, ale porusza się o
własnych siłach. Z tego wszystkiego wynikają jednak pewne niespodziewane
korzyści. Poszkodowani to oczywiście przykra sprawa, ale myślę, że to podsyci
nienawiść i zwiększy nasze szanse na poparcie. Teraz to już nie jest „niefortunny
incydent”, ale poważny akt agresji. No i oczywiście nikt nie będzie nas podej-
rzał o prowokację.

– Chyba tak, ale wolałbym myśleć, że tak się stało nie z powodu naszej głupoty. – Czilikow umilkł i na chwilę pogrążył się w myślach. – Nasza sytuacja strategiczna jest pomyślna. Chociaż lotniskowiec *Breżniew* wciąż jest poważnie zagrożony atakiem z ładu, to Czerczerowin zapewnia mnie, że wraz z eskortą może całkowicie kontrolować obszar powietrzny do czasu zajęcia przez Romierdunowa i Iljanowskiego lotnisk w Bandar-Abbas, Teheranie, Tabrizie i Hamadanie. A kiedy już nasze lotnictwo i wojska przejmą te lotniska, uszczelnia obszar powietrzny wystarczająco, aby Czerczerowin mógł wprowadzić więcej okrętów do Zatoki.

– Ale przecież są tam okręty amerykańskie, francuskie i brytyjskie. Czy nie bierze się ich pod uwagę?

– Już teraz mamy nad nimi przewagę dwa do jednego. A kiedy *Breżniew* obejmie kontrolę nad obszarem powietrznym, zachodnie okręty będą bezsilne.

Chromiejew pokiwał głową.

– No tak, umieszczenie tego lotniskowca w Zatoce było mistrzowskim posunięciem. Przewaga taktyczna, jaką przez to osiągnęliśmy, znacznie przewyższa niebezpieczeństwo, na jakie go naraziliśmy, każąc mu płynąć przez cieśninę Ormuz. I kto by przypuszczał, że tak łatwo nam pójdzie, a Amerykanie nie zareagują? Myślałem, że siły będą przynajmniej wyrównane, ale tak się nie stało.

– I to jest największy błąd Amerykanów – stwierdził Czilikow. – Stosowali politykę siły w Zatoce, ale bez poparcia militarnego. I chyba wkrótce za to zapłacą...

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG*

Główny ekran radaru SBR pokazywał teraz tylko trzystumilowy obszar wokół cieśniny Ormuz, ale mimo to przetwarzanie napływających danych wymagało pracy trzech ludzi.

– *Breżniew* jest w odległości stu mil od Bandar-e Lengeh – zameldował Jefferson. – Widać sporo samolotów.

– Ci Sowieci chyba żartują. Pomiędzy swoim lotniskowcem i Bandar Abbas mają tylko jedną fregatę klasy Kriwak. Gdyby Irańczycy znów zaczęli strzelać, będzie ona po prostu świetnym celem.

– *Z Breżniewa* startują samoloty – ponownie zameldował Jefferson. – Szybkie, nie wiropłaty.

– Ciągle nie rozumiem, dlaczego Irańczycy zaczęli strzelać do tych

okrętów – odezwał się Kevin Baker. – Czy zagrażają im, czy chciały wejść na irańskie wody?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Saint-Michael zapisywał coś pracowicie w notesie. Ann była obok niego.

– Gdzie jest *California*? – zapytała.

– Wciąż około sześciuset mil od cieśniny Ormuz – odpowiedział Saint-Michael z roztargnieniem. – *Nimitz* prawdopodobnie podejdzie kilkaset mil bliżej, ale wciąż będzie w zasięgu swoich myślicieli, i tam poczeka. – Spojrzała na Ann. – Twój ojciec jest bezpieczny, nie martw się.

– Bezpieczny? Chciałabym w to uwierzyć. – Rzuciła okiem na główny monitor SBR. – Dlaczego nie widać na ekranie *Nimitza* ani *Californi*?

Generał pominął milczeniem jej pytanie, ale odezwał się Walker:

– Komitet Połączonych Sztabów poprosił, żebyśmy się przyjrzeni cieśninie Ormuz. Chcą dokładnie wiedzieć, dokąd płyne *Brezniew* i co robi.

– A grupa bojowa *Nimitza*?

– Też jest pod obserwacją. Nasz radar obejmuje obszar tysięcy mil wokół celu, a więc również Morze Arabskie i *Nimitza*. Wyniki obserwacji są rejestrowane, tyle że nie wyświetlamy całego obszaru. Po prostu byłoby zbyt wiele danych do przetwarzania, a przecież obie zmiany nie mogą pracować na okrągło.

– No to skąd można wiedzieć, czy coś się nie dzieje w pobliżu *Nimitza*?

– System jest tak zaprogramowany, aby zawiadomić nas w przypadku wykrycia zagrożenia dla naszych okrętów. Wtedy zawyje alarm, a radar będzie przeszukiwał ten obszar, co zobaczymy na ekranie.

– Śmigłowce wracają na *Brezniewa*, sir – zameldował operator. – *Brezniew* skręca na północny zachód pod wiatr.

Walker kiwnął do Ann.

– Dlaczego nie popracujesz sama przy tych monitorach? Będziesz mogła odszukać *Californię*.

Ann podziękowała mu wzrokiem i przeniosła się na wolne miejsce przy komputerze. Przyjrzała się ekranowi i z zachwytem zauważyła, że określa on każdy typ obiektu, jego położenie, prędkość, przypuszczalny cel i czas dojścia do niego. Identyfikował ciężarówki, okręty i jednostki powietrzne dowolnych rozmiarów, nawet barki i lekkie samoloty, a nad jednym z punktów zauważyła nawet napis „Ssak morski”.

Żaden z obiektów na ekranie nie miał napisu *Nimitz* ani *California*. Odszukała więc mały klawisz na konsolce, oznaczony strzałką, i za jego pomocą

zaczęła przeglądać skrócone dane z SBR. Lista była bardzo długa, więc Ann naciskała klawisz coraz szybciej.

– Ann, zatrzymaj – Saint-Michael pojawił się przy niej. – Daj znów do przodu. Zauważyłaś mrugającą linię danych parę sekund temu?

– Tak, chyba tak – zaczęła znów przesuwając tekst do przodu, zastanawiając się, czego właściwie szukają.

– Ann, szybciej! – Generał odsunął ją i sam zaczął uderzać w klawisz. Zatrzymał się przy bloku danych, który rozbłyskiwał i gasł co dwie sekundy. Dotknął mikrofonu.

– Dajcie pełny obraz z SBR.

Walker zwrócił się do dowódcy:

– Sir, ale to zniekształci transmisję danych z rejonu. *Nimitz* i *JCS** są sformatowane na trzysta mil.

– Chcę mieć pełny obraz, Jim. Natychmiast. Te radzieckie myśliwce, które przed chwilą wystartowały z *Breżniewa*, poleciały w głąb łądu. Na pełnej prędkości.

Błyskawicznie przeniósł się na swój fotel i zapiął pasy. W tej samej chwili wielki ekran główny SBR zamigotał i powrócił poprzedni obraz wyświetlający cały obszar celu. Kilka bloków mrugało – niektóre rejony w północnym i północno-wschodnim Iranie, w południowym Iranie i w Afganistanie. Kropka przedstawiająca *Breżniewa* również nieustannie pulsowała.

– No, dawaj ich! – rzucił Saint-Michael.

Odpowiedź była natychmiastowa.

– Szybko poruszający się samolot myśliwski wystartował z *Breżniewa*, czterysta siedemdziesiąt węzłów, tysiąc stóp nad ziemią. Sześćdziesiąt mil na południe od Shiraz.

– Cztery szybkie samoloty na małej wysokości lecą na południe, prawdopodobnie wystartowały z Lijaki nad Morzem Kaspijskim, sto czterdzieści mil na północ od Teheranu.

– Znów start z *Breżniewa*... Dwa szybkie samoloty lecą w kierunku północ-północny zachód wzdłuż wybrzeża Iranu.

– *California* na kanale szóstym, generale – zgłosił Walker. Saint-Michael nacisnął guzik na panelu łączności.

– *California*, tu *Armstrong-Alfa*. Zauważyliśmy nad Iranem kilkanaście szybkich samolotów radzieckich. Kilka wystartowało z Lijaki i lecą na Teheran i Tabriz, a reszta z *Breżniewa* i kieruje się na północ na Shiraz i Isfahan. To wygląda na inwazję.

Komandor Meserve na pokładzie USS *California* zbladł i rzucił się w stronę interkomu.

– Uwaga, załoga! Stan gotowości bojowej. Powtarzam, stan gotowości bojowej. Kapitan proszony do Centrum. – Wrócił do hełmofonu, przez który porozumiewał się ze stacją orbitalną. – *Armstrong*, my tu na dole jesteśmy jak ślepi. Nie wyświetlamy już aktualnego obrazu. Czy możecie nam pomóc?

– Musicie rekonfigurować wasz obraz na obszar tysiąca mil – odezwał się Saint-Michael. – My jesteśmy zaprogramowani albo na pełny zasięg, albo na trzysta mil nad cieśniną.

Kapitan Matthew Page spocił się w swojej kamizelce ratunkowej, biegnąc do Centrum Informacji Bojowej.

– Proszę o raport, komandorze.

– *Armstrong* melduje, że kilkanaście samolotów z obszaru Związku Radzieckiego i z lotniskowca *Brezniew* wchodzi w irańską przestrzeń powietrzną. Mówią, że to wygląda na inwazję.

– Na co?!

Meserve wręczył hełmofon kapitanowi.

– *Armstrong*, tu kapitan Page. Generale, co tu się, do cholery, wyprawia? Saint-Michael podregulował słuchawki.

– Potwierdzenie, kapitanie. Sześć szybkich samolotów leci w kierunku Tabrizu, sześć w stronę Teheranu, sześć na Isfahan i kolejnych sześć na Bandar Abbas. Widzimy także osiem wolno poruszających się samolotów lecących w kierunku Teheranu na małej wysokości. Nasz SBR jeszcze ich nie zidentyfikował, ale myślę, że są to transportowce albo ciężkie bombowce. Wszystko jedno, co to jest, sprawa wygląda marnie.

Ośmiu mężczyzn znajdujących się w Centrum spojrzło na kapitana w oczekiwaniu na rozkazy.

– Jak długo jeszcze będziecie na tej orbicie, generale?

– Mamy godzinę na przekazywanie precyzyjnych danych w czasie rzeczywistym. Po tym terminie przez następne pół godziny dane będą już mniej dokładne, tylko z zaznaczeniem pozycji. Gdy znajdziemy się pod horyzontem – przez następną godzinę nie będzie nic.

– Czy nie możecie jakoś zwolnić, trochę polatać nad tym rejonem? Może dacie nam więcej czasu?

Saint-Michael z desperacją wzniosł oczy w górę i spojrzął na Ann.

– Czy nigdy nie wyjaśniałaś ojcu, jak to działa? – Wrócił do rozmowy. – Kapitanie, proszę uwierzyć mi na słowo. Nigdzie nie możemy polatać.

– Zaczekaj chwilę, *Armstrong*. – Komandor Meserve wetknął słuchawkę czerwonego telefonu w rękę kapitana.

– Tu kapitan Page.

– Matt, tu admirał Clancy. Nasza grupa bojowa jest na żółtym alarmie. Powtarzam, żółty alarm.

– Tak jest, zrozumiałem. My już jesteśmy, jak tylko dostaliśmy informację od *Armstronga*.

– W porządku. Bądźcie gotowi do manewru. Zaraz wypuszczamy samoloty radarowe Hawkeye, cztery sztuki eskorty i dwa ptaszki patrolowe. Czy jeszcze masz kontakt ze stacją?

– Potwierdzam. Utraciliśmy obraz, ale mamy kontakt głosowy. Za chwilę wracamy na linię.

– No to jesteś lepszy, Matt. My już nie mamy ani wizji, ani fonii. Za wszelką cenę utrzymaj się na linii i natychmiast przekazuj, co się dzieje. Powiedz im, że wypuszczamy samoloty, i poproś o maksymalny obszar pokrycia. Koniec.

– Tak jest. Wyłączam się. – Kapitan Page odłożył czerwoną słuchawkę i podniósł hełmofon. – Generale, z *Nimitza* za chwilę wypuszczają samoloty. Czy możecie je śledzić, aż się zrekonfigurujemy? Tu na dole wciąż nic nie widzimy.

– Zgoda. Będziemy was informować do czasu przeprogramowania waszego ekranu taktycznego. – Saint-Michael odwrócił się do Jeffersona i powiedział przez interkom bezprzewodowy: – Jake, jesteś na kanale szóstym. Informuj *Californię* o każdym samolocie i okręcie, który znajdzie się w pobliżu grupy albo startujących samolotów. Niech Kelly pomoże facetom na *Californi* przeformatować ich obraz.

– Tak jest. – Jefferson usiadł przed głównym ekranem SBR i włączył hełmofon. – *California*, tu kontrola na pokładzie stacji *Armstrong*. Pięćdziesiąt siedem minut do końca optymalnego zasięgu SBR. Jak mnie odbieracie?

Kapitan Page skinął głową w kierunku łącznościowca siedzącego przy głównych systemach elektronicznych Centrum Informacji.

– Słyszę cię głośno i wyraźnie, *Armstrong*.

Jefferson informował, a załoga *Silver Tower* obserwowała gwałtowne wzmaganie się radzieckiego ataku.

– Następne samoloty startują z *Breżniewa* – zameldował jeden z operatorów. – Widzę więcej samolotów nad Tabrizem i Teheranem. Duży radziecki samolot odrzutowy z lotniska wojskowego w Baku, przypuszczalny czas przybycia pięć minut. – Ann i Kevin Baker obserwowali, jak kolejne fale samolotów zalewały niebo nad Iranem.

Sierżant Jefferson kontynuował swoją litanie spokojnym, nie zmienionym głosem.

- To jak egzekucja – odezwał się pułkownik Walker.
- Odebraliśmy pierwsze meldunki alarmowe z Iranu. Mówią, że Rosjanie atakują bronią chemiczną.

KREML, ZSRR

Członkowie sztabu wojennego, z ministrem obrony Czilikowem na czele, spotykali się co godzina o pełnej godzinie od czasu wystrzelenia pierwszego pocisku Silkworm przez członków Irańskiej Gwardii Rewolucyjnej i radzieckich agentów. Obecnej odprawie przewodniczył wiceminister obrony, marszałek Chromiejew.

– Samoloty, które pierwsze wystartowały z *Breżniewa*, już wróciły. Raporty mówią o pełnym sukcesie. Nie napotkały żadnego oporu w drodze do celu, a z powrotem tylko minimalny. Ostatnie straty to jeden myśliwiec bombardujący Su-27 z *Breżniewa*, zestrzelony przez irańską artylerię przeciwlotniczą, w czasie gdy opuszczał już terytorium wroga. Poza tym jeden bombowiec Tu-26 z Siedemdziesiątej Piątej Eskadry Lotnictwa Morskiego z Lijaki zestrzelony nad Tabrizem w północnym Iranie, wszyscy czterej członkowie załogi zginęli...

– I to wszystko? – zapytał Czilikow. – Spośród prawie setki samolotów wysłanych na Iran w ciągu ośmiu godzin straciliśmy tylko dwa?

– Tak jest. Chciałbym jeszcze podkreślić postawę ludzi z Drugiego Zespołu Ratowniczego z *Breżniewa*. Kiedy otrzymali wiadomość o zestrzeleniu naszego Su, zgłosili się na ochotnika do akcji mającej na celu wyłowienie pilota. Jako osłonę dostali dwa śmigłowce MiL-14 i jednego Jaka-38 pionowego startu i lądowania. Po zniszczeniu irańskiej kanonierki, znajdującej się w pobliżu miejsca katastrofy, wydobyli z morza pilota i wszystkie trzy samoloty bez przeszkód wróciły na *Breżniewa*. Pilot zestrzelonego myśliwca natychmiast zgłosił się do następnego lotu. Wnoszę o przyznanie tym ludziom Orderu Lenina za bohaterstwo.

– Zgoda – powiedział Czilikow. – W ciągu zaledwie kilku godzin siły dowodzone przez marszałka Czerczerowina zgniotły wszelką opozycję w Iranie zarówno na ziemi, jak i na wodzie i w powietrzu. Niebo nad Iranem, Irakiem i Zatoką Perską należy do nas. – Zwrócił się do Czerczerowina: – A co na to Amerykanie, którzy tam są? Jaka jest ich reakcja?

– Żadnej. Te cztery okręty, które znajdują się w Zatoce Perskiej, posłuchały naszych ostrzeżeń i cały czas trzymają się z daleka od *Breżniewa*, nawet wtedy, gdy startowały z niego samoloty i gdy na niego wracały. W związku z tym wszystkie maszyny biorące udział w operacji, zgodnie z waszym rozkazem znajdowały się w odległości minimum stu sześćdziesięciu kilometrów od okrętów amerykańskich. Amerykanie nie są tacy głupi, zdają sobie sprawę, że ich siły w Zatoce są znacznie mniejsze. Nie będą ryzykowali dać się zniszczyć za Iran.

– A lotniskowce na Morzu Arabskim?

– Absolutnie żadnej reakcji poza tym, że wystartowało kilka samolotów rozpoznawczych średniego zasięgu koło południowego wybrzeża irańskiego, aby śledzić inwazję. Admirał Inoljew z *Breżniewa* przydzielił dziesięć myśliwców Su do odparcia ewentualnego ataku z *Nimitza*. Ale do ataku nie doszło. *Breżniew* znajduje się na samym krańcu efektywnego zasięgu bojowego *Nimitza*. Gdyby amerykański lotniskowiec chciał na niego uderzyć, musiałby podpłynąć kilkaset kilometrów bliżej Zatoki Omańskiej. A gdyby tak postąpił, wystawiłby się na kontratak eskorty *Breżniewa*. Myślę, że zachowanie dystansu między *Breżniewem* a *Nimitzem* ma duże znaczenie, towarzyszu ministrze. Amerykanie przekazali nam, że śledzą naszą operację i są nią zaniepokojeni, ale nie będą interweniować. Realna sytuacja jest następująca: ani *Nimitz*, ani flotylla w Zatoce Perskiej nie są dostatecznie silne, żeby nas zaatakować.

Na pomarszczonej twarzy Czilikowa pojawił się prawie dziecinny uśmiech:

– Wielka flota amerykańska, bezsilna jak dziecko w kołysce.

– A może przykładamy zbyt wiele wagi do braku reakcji ze strony amerykańskich sił nawodnych – wtrącił wiceminister obrony, marszałek Jesimow, naczelny dowódca sił powietrznych. – Sądzę, że naszym głównym zagrożeniem są ciężkie i średnie bombowce amerykańskie stacjonujące w Turcji i na Diego Garcia. Na pewno zostaną im udostępnione bazy w Arabii Saudyjskiej. Samoloty z *Breżniewa* nie będą mogły przeciwstawić się atakom samolotów startujących z Turcji, Arabii Saudyjskiej i z *Nimitza*, nawet gdyby nasi piloci czynili cuda.

Widząc niezadowolenie na twarzy generała Czerczerowina, Jesimow spieszenie starał się zatrzeć wrażenie, jakie wywołały jego słowa:

– Moje komentarze, oczywiście, nie mają na celu pomniejszenia znaczenia błyskotliwego rozegrania pierwszej fazy operacji przez admirała Czerczerowina. Dotyczą one fazy drugiej. Użycie przez nas broni chemicznej do zniszczenia irańskich baterii pocisków ziemia-powietrze było według mnie...

niefortunne. Tylko niewielu naszych komandosów wylądowało w Tabrizie, Isfahanie i Shirazie, ponieważ środki chemiczne użyte do ataku wciąż są jeszcze niebezpieczne. Obrona Teheranu była silniejsza, niż przewidywaliśmy, a lotniska jeszcze nie zdobyto. Poza tym Bandar Abbas został mocno zniszczony, znajdujące się tam polowe lotnisko także, a więc nie mogą na nim lądować nasze transportowce. Niestety, myśliwce bombardujące zbyt gorliwie się nim zajęły.

Dowódca Armii Radzieckiej Iljanowski chrząknął kilkakrotnie, a potem powiedział:

– Marszałek Jesimow ma rację. Chociaż osiągnęliśmy znaczące sukcesy, to jednak nasze pozycje nie są jeszcze umocnione...

– Musimy się pchać do przodu – odezwał się głucho Czilikow. – To szybkość, z jaką przeprowadziliśmy nasz atak na Iran, tak sparaliżowała Amerykanów. Może nawet planowali nawiązać kontakt z obecnym rządem irańskim, ale jakoś do tego nie doszło. Myślę, że z powodu braku zaufania i niechęci, jaką większość z nich odczuwa w stosunku do Arabów. I to zadziało na naszą korzyść. Rząd USA nawet nie wystąpił z oficjalnym protestem. – Czilikow spojrzał ostro na Iljanowskiego. – Teheran i Bandar Abbas muszą być natychmiast zdobyte. Musimy opanować cieśninę Ormuz, aby mogły tam wejść nasze okręty transportowe. Naczelne dowództwo armii irańskiej i lokalne środki dowodzenia muszą przestać istnieć. Poinformowaliście o niebezpieczeństwach i trudnościach związanych z prowadzeniem operacji wojskowych w pełnym wyposażeniu ochronnym i za pomocą hermetycznego sprzętu, ale my nie możemy czekać całą dobę na umocnienie naszych pozycji. W ciągu najbliższych sześciu godzin przynajmniej jedna dywizja musi wyruszyć na Bandar Abbas i na Teheran.

– W ciągu sześciu godzin? Z hermetycznym wyposażeniem? To niemożliwe! – gwałtownie zaoponował Iljanowski.

– Mamy transport – wtrącił marszałek Jesimow. – Jedna z moich dywizji może wylądować w ciągu godziny od otrzymania informacji, że wasze oddziały szturmowe zabezpieczyły polowe lotnisko w Bandar Abbas i dokonały koniecznych napraw.

– Kolejny nalot samolotów z *Brezniewa* na port lotniczy Mehrabad w Teheranie powinien złamać wszelki opór – powiedział Czerczerowin. – Lotnisko polowe Doshan Tappeh w Teheranie może być użyte jako zastępcze. Jeden z naszych oddziałów szturmowych już je zajął, ale ledwo się tam trzyma. Być

może An-124 nie zdoła tam wylądować, ale z pewnością poradzi sobie z tym jakiś mniejszy samolot, na przykład An-72 lub An-74.

– A co z Bandar Abbas? – zapytał Iljanowski, hamując wściekłość. Inni sztabowcy wyraźnie usunęli go w cień. – Co dalej mają robić moje oddziały szturmowe po wylądowaniu? To jest żołnierska elita, a nie jacyś saperzy. Kto naprawi pas startowy?

– Wyślemy tam saperów z *Breżniewa* – bez wahania odpowiedział Czer-czerowin, a minister obrony Czilikow obdarzył go uśmiechem pełnym aprobaty. – Z okrętu sprzęt można łatwo dostarczyć drogą powietrzną pod warunkiem, że wasi żołnierze zabezpieczą wybrzeże.

– Jedna kompania z Siódmej Jednostki Szturmowej jest w stanie opanować całe to cholerne miasto – wyjaśnił mu Iljanowski. – Dostarcz tylko tych kopaczy rowów i każ im naprawić szkody spowodowane przez twoich lotników, a moi ludzie już dadzą im ochronę, nie martw się.

– A więc zdecydowaliśmy – powiedział Czilikow, obrzucając obydwu generałów surowym wzrokiem. – *Breżniew* będzie odpowiedzialny za naprawę lotniska polowego w Bandar Abbas i ponowne uderzenie na Teheran. Lotnictwo zapewni osłonę i wykona ponowny nalot. Łączność będzie utrzymana, aby transporty wystartowały i doleciały do Teheranu i Bandar Abbas, kiedy tamtejsze lotniska będą już w pełni bezpieczne. Te dwa oddziały znajdują się w Teheranie i Bandar Abbas w ciągu sześciu godzin.

– A w tym czasie – włączył się wiceminister Chromiejew – pełna dywizja pancerna doborowych żołnierzy irackich, pod komendą marszałka Walerego Bielikowa, dowódcy południowego Teatru Działań Wojennych, zajmie i utrzyma miasta Abadan i Khorramshahr na granicy irańsko-irackiej. Wtedy radzieckie okręty będą mogły już bezpiecznie wejść do irackiego portu Al-Basra. Kiedy Iran zostanie otoczony ze wszystkich stron, rząd Alientara nie będzie miał innego wyjścia, jak poddać się.

Czilikow rzucił okiem na twarze swoich sztabowców.

– To moment kulminacyjny, towarzysze. Pracowaliśmy nad tym trzydzieści lat. Działania, jakie podejmiemy w ciągu następnych siedemdziesięciu dwu godzin, zadecydują o rozstrzygnięciu konfliktu, a nawet, być może, o przyszłości naszego państwa. Jeśli uda się nam podbić Iran i wywołać proradziecką rewolucję na Bliskim Wschodzie, będzie to początkiem nowej ery potęgi i wpływów Związku Radzieckiego. Kto wie, jak daleko może nas to zaprowadzić...

To była wzniosła myśl, ale za dużo w niej polityki. Dlaczego, pomyślał,

działam wbrew swej naturze i odwołuję się do przyszłości jak jakiś nadęty komisarz? Może dlatego, że jeszcze nie ma pewności zwycięstwa. To prawda, że początek był spektakularny. Udało się zdemoralizować zmęczonych wojną Irańczyków i całkowicie zaskoczyć Amerykanów. Ale dotychczas osiągnięte sukcesy są chyba dość kruche.

Jego generałowie ślepo szli za nim. Nie było żadnych dyskusji ani wątpliwości, niepokoju ani przedłużających się obrad. Walczyli nie dlatego, że byli przekonani o słuszności sprawy, ale ze strachu, że zostaną odsunięci albo wręcz usunięci w razie odmowy poparcia planu. On to wiedział i dlatego odczuł nieprzepartą chęć przypomnienia im o obowiązkach. Prawdziwym żołnierzom, prawdziwym rosyjskim żołnierzom nie musiałyby o tym mówić, ale Sztab Generalny w niczym ich nie przypominał. Miał już nawet chwilę nadziei, kiedy zaczęli się spierać co do przewagi swoich oddziałów, ale to była tylko chwila. Gdzie są prawdziwi rosyjscy żołnierze? Na pewno nie tutaj...

To znaczy oprócz jednego.

– Spotkamy się ponownie dokładnie o trzeciej zero zero – oznajmił wiceminister Chromiejew. – Ostateczne plany uderzenia na Bandar Abbas i Teheran będą gotowe do przedstawienia i zatwierdzenia przez ministra obrony. – Chromiejew skłonił się w kierunku Czilikowa. Minister wciąż był pogrążony w myślach. Bydło. Bezrozumne bydło...

– Możecie odejść. – Członkowie sztabu wojennego podnieśli się i zaczęli pojedynczo kierować do wyjścia, ale kiedy ogromne drzwi sali konferencyjnej otworzyły się, wychodzący generałowie i admirałowie nagle się zatrzymali. Czilikow zauważył to i skierował wzrok w tamtym kierunku.

Przy drzwiach, w postawie na baczność, stał generał Goworow, a obok niego adiutant z plikiem wydruków komputerowych. Goworow miał na sobie ciemnoszary kombinezon kosmiczny, który sam zaprojektował dla „nowej generacji” radzieckich żołnierzy. Kombinezon był nieskazitelny, a buty błyszczały jak lustro. Cała postać tchnęła niezwykłą pewnością siebie.

Na ten widok Chromiejew o mało nie eksplodował.

– Goworow, ostrzegłem was...

– Towarzyszu ministrze – odezwał się Goworow do Czilikowa. – Muszę z wami pomówić.

Chromiejew poczuł, jak krew uderza mu do głowy.

– Wyjdźcie stąd natychmiast, zanim każę was...

– Wejdźcie – powiedział Czilikow wstając.

– Ależ, towarzyszu ministrze... – zaprotestował Chromiejew.

– Dziękuję, Chromiejew, możecie odejść. Upewnijcie się tylko, żeby do trzeciej zero zero plany były gotowe. – Spojrzenie Czilikowa nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Oszołomiony szef Sztabu Generalnego w pośpiechu opuścił salę obrad,

Goworow wszedł szybko i stanął przed Czilikowem, teraz już mniej pewny siebie. Jego adiutant niósł wydruki komputerowe, jakieś nadzwyczajne danie na srebrnej tacy.

– Siadajcie, generale Goworow – powiedział Czilikow z uśmiechem. – Musimy porozmawiać.

Goworow usiadł. Wiedział, że za tym uśmiechem kryje się stal.

Rozdział 5

Lipiec 1992

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG*

- Uwaga, stacja. Przekaz radiowy dla całej załogi.

Saint-Michael poprawił się w fotelu. Pułkownik Walker razem z Jeffersonem znajdował się na stanowisku obok głównego ekranu radaru SBR. Obaj pracowali nad przeprogramowaniem radaru orbitalnego przed następnym wejściem nad rejon konfliktu nad Zatoką Perską. W kabinie dowodzenia znajdowali się wszyscy członkowie załogi *Silver Tower*, nie wyłączając dwóch cywilnych naukowców, ponadto Will i Sontag, którzy właśnie przylecieli na pokładzie *Enterprise*, przywożąc zaopatrzenie. Wahadłowiec był teraz zacumowany przy jednym z doków stacji.

- *Armstrong*, tu *Nimitz*. Jak mnie słyszycie?

Saint-Michael rzucił okiem na panel łączności.

- Głośno i wyraźnie, *Nimitz*. Jesteśmy gotowi.

– *Armstrong*, mówi sekretarz obrony Edwards. Jestem w Białym Domu razem z przewodniczącym Komitetu Połączonych Sztabów, przewodniczącym Narodowej Rady Obrony, przywódcami większości i mniejszości Izby Reprezentantów i Senatu oraz prezesem Komitetu Spraw Zagranicznych obu Izb. Prezydent i wiceprezydent są w drodze, ale wydali mi polecenie rozpoczęcia transmisji, gdyby nie udało im się dotrzeć na czas waszego przelotu nad Ameryką Północną.

Głos był wyraźny, ale trudno rozpoznawalny. Komputer, zsynchronizowany z zegarem atomowym Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych w Fort Collins w Kolorado, szyfrował i rozszyfrowywał przekaz laserowy pięć razy na sekundę i w rezultacie dźwięk przyływał i odpływał jak w staroświeckim odbiorniku krótkofalowym.

– Prezydent polecił poinformować pana o decyzjach podjętych w związku z atakiem radzieckim na Iran – ciągnął Edwards. – Postanowił, że włączymy się do konfliktu, aby zapobiec rozszerzeniu się radzieckiej ofensywy na resztę

kraju i rejon Zatoki Perskiej.

Ann Page poczuła, jak krew uderza jej do głowy i drętwiąć palce. Tam znajdował się jej ojciec, w grupie okrętów wojennych *Nimitza*, a wkrótce, być może, na czele atakujących sił amerykańskich...

– Po konsultacjach z naszymi sojusznikami i z Kongresem prezydent wydał rozkaz użycia wszelkich dostępnych środków, aby powstrzymać dalsze akty agresji Związku Radzieckiego w tym rejonie. Naczelnym dowódcą połączonych sił zbrojnych został mianowany kontradmirał Clancy, dowódca grupy bojowej lotniskowca *Nimitz*. Ze względu na to, że generał brygady Saint-Michael, dowódca stacji kosmicznej *Armstrong*, w sposób niezbity udowodnił niezwykłą wartość tego urzędnika, prezydent niniejszym promuje go do stopnia generała porucznika lotnictwa kosmicznego i wyznacza na zastępcę dowódcy wojsk alianckich w rejonie Zatoki Perskiej.

Mimo powagi chwili na pokładzie stacji rozległy się oklaski i okrzyki gratulacji. Twarz Saiat-Michaela nie zmieniła jednak wyrazu i owacje szybko umilkły. Z całą pewnością nie była to ani pora, ani miejsce na demonstrację radości. W szczególności Ann była przygnębiona faktem, że jej ojciec, znajduje się w samym centrum nadciągającej burzy...

– Pana zadanie, generale Saint-Michael, będzie polegało na kierowaniu siłami ofensywnymi i odpowiednim rozmieszczeniu sił obrony w rejonie Zatoki Perskiej. Ma pan wykorzystać wszelkie środki, jakimi pan dysponuje, aby ostrzec wojska alianckie przed grożącym im atakiem i innymi potencjalnymi niebezpieczeństwami, jak również kierować ofensywą w taki sposób, aby zapewnić jej maksymalne bezpieczeństwo. Poza tym oczekujemy od pana danych rozpoznawczych, aby nasze siły zaangażowane w konflikt mogły wykonać swoje zadanie. Prezydent i my wszyscy darzymy pana pełnym zaufaniem. Życzę powodzenia.

To był koniec połączenia. Saint-Michael włączył głośniki stacji.

– Uwaga, plan działania został już opracowany i przekazany mi przez Komitet Połączonych Sztabów. Jest to plan powstrzymania dalszych ataków na Iran, i musimy go wykonać. W związku z tym, najważniejszym naszym zadaniem jest przeżyć, abyśmy mogli wykonać swoją misję. Myślę, że nie muszę nikomu wyjaśniać, iż od tej chwili stacja *Armstrong* będzie jednym z kluczowych celów ataków wroga. Ale przecież nie jesteśmy bezbronni. Mamy dziesięć przechwytyjących pocisków antybalistycznych Thor, których użyjemy do obrony. Druga wyrzutnia z pociskami jest już w drodze. Jednakże najważniejszym czynnikiem jest czujność i gotowość... Ogłaszam całodobowy stan

pogotowia, żółty alert... Pogotowie bojowe, czyli czerwony alert, zaczyna się od momentu przejścia przez horyzont Zatoki Perskiej, w przypadku zauważenia jakiegokolwiek akcji nieprzyjaciela na ziemi lub w powietrzu. Przypomnę przebieg czynności w czasie trwania żółtego alertu. Przez cały czas członkowie załogi muszą mieć przy sobie podręczną aparaturę tlenową i maskę zawieszoną na szyi. Ci, którzy nie są na stanowiskach, i tych, którzy śpią, obowiązuje to samo. Zapas tlenu nie może zejść poniżej trzech czwartych. We wszystkich modułach zostaną umieszczone posterunki przeciwpożarowe i każdy moduł zostanie hermetycznie zamknięty. W przypadku konieczności przejścia do innej kapsuły, należy się porozumieć ustnie z osobą zabezpieczającą tunel łączący. Dwie osoby nie wyznaczone do dyżurowania dostaną kombinezony kosmiczne na dwie dwunastogodzinne zmiany. Ich zadaniem będzie przeprowadzenie w razie konieczności akcji ratunkowej rannych członków załogi oraz przygotowanie kapsuł ratowniczych. Pułkownik Walker za chwilę zaznajomi was z rozkładem dyżurów... – Przerwał na chwilę i spojrzał na Ann, która poruszyła się niespokojnie. – Chciałbym wiedzieć, czy personel naukowy pozostanie na pokładzie stacji. W ciągu najbliższych kilku dni z pewnością będziecie narażeni na znaczne niebezpieczeństwo, którego nie mogliście przewidzieć, zgłaszając się do tej misji. Ani ja, ani nikt w Dowództwie Lotnictwa Kosmicznego nie będzie miał wam za złe, jeśli nie zdecydujecie się na kontynuowanie pobytu na stacji. Możecie wrócić na Ziemię na pokładzie *Enterprise*, która startuje jutro. Dziękuję za uwagę. Powtarzam, stacja jest na żółtym alertcie.

Ann przydzielono obserwację pożarową modułu sterowania komputerowego i kuchni. Wzięła swój aparat tlenowy i po chwili wróciła do modułu dowodzenia. Gdy stanęła koło Saint-Michaela, ten właśnie kończył, prowadzoną przekazem laserowym, kolejną rozmowę z Ziemią.

– Gratuluję awansu – powiedziała, próbując się uśmiechnąć.

Podziękował kiwnięciem głowy. Doszedł do wniosku, że milczenie to najlepsza taktyka wobec niej.

– Zauważyłam to wymowne spojrzenie, kiedy ogłosił pan, że można opuścić stację.

– Dotyczyło to wszystkich, nie tylko ciebie, a poza tym...

– A więc powiem od razu, panie generale, ja się stąd nie ruszę.

– Posłuchaj, Ann, dwie osoby z jednej rodziny to naprawdę zbyt wiele.

Może nie powinnaś tak od razu mówić: nie. Przynajmniej zastanów się.

Ann pomyślała, iż on daje jej do zrozumienia, że jeśli wróci na Ziemię, to zrobi mu przysługę. A to nie było to, czego się spodziewała...

– Okay – powiedziała cicho. – Obiecuję, że się zastanowię. – Zawahała się chwilę, ale potem odwróciła się i skierowała w stronę tunelu łączącego.

Przy włączaniu zastała Kevina Bakera, który był na posterunku przeciwpożarowym. Właśnie sprawdzał ciśnienie w tunelu.

– Ciśnienie w porządku – oznajmił.

Ann spojrzała na wskaźniki i potwierdziła. Wielokrotnie przeprowadzano takie ćwiczenia na wypadek czerwonego alertu, ale teraz, gdy zagrożenie było realne, czuła się jakoś nieswojo.

– Zgadza się. Można otwierać.

– O czym rozmawiałeś z generałem? – zapytał Baker, zanim otworzył włącznik. – Czy wybierasz się do domu?

– Nie chcę, ale... – Pokręciła głową. – Wiesz, zupełnie nie rozumiem tego faceta.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– No, że... wiesz co, dajmy temu spokój. Mam tyle na głowie.

– Nie ma sprawy – powiedział Baker. Uruchomił zamki i otworzył włącznik.

– A tutaj... masz – i wcisnęła jej w rękę złożony papier komputerowy.

– Co to takiego?

– Wyniki testów nadprzewodnikowych układów przekąźnikowych reaktora MHD. Lepiej już idź na swoje miejsce, zaczynają sprawdzać obecność.

Trwało kilka chwil, zanim sprawdziła ciśnienie w członie komputerowym i kuchennym, weszła do środka, zamknęła włącznik i zgłosiła pułkownikowi Walke-rowi szczelność. Czekano już na nią. Po jej sygnale sprawdzono szczelność każdego modułu i włącznika na całej stacji. Właśnie kończono te czynności kontrolne, kiedy usłyszano głos sierżanta Jeffersona:

– Pięć minut do przekroczenia horyzontu. Pogotowie!

Co można zrobić przez następne dwanaście godzin? Tylko słuchać, obserwować i czekać. Ann przygotowała sobie kawę i rozwinęła wydruk komputerowego testu łączy przekąźnikowych reaktora MHD. Przebiegała wzrokiem długie szeregi i kolumny cyfr, czytając analizę komputerową tysięcy...

Jest! Na lewym przekąźniku sterowania reaktorem, jakieś trzy czwarte od początku długiego arkusza, jedno z szesnastu tysięcy 256-bitowych słów danych nie zgadzało się ze swoją sumą kontrolną. Komputer Kevina Bakera wskazał nawet dokładne umiejscowienie defektu.

– Uwaga, stacja. Przekraczamy horyzont. Zbliżamy się do obszaru zagrożenia. Ogłaszam czerwony alert.

Ann szybko przebiegła wzrokiem resztę wydruku. Innych usterek nie było. Nacisnęła przycisk interkomu.

– Pułkowniku Walker, proszę o zezwolenie na wejście do członu Skybolta.

Chwila ciszy, a potem:

– Przykro mi, ale nie. Nie możesz opuścić swojego posterunku przeciwpożarowego.

– Ale tylko na chwilę.

– Jesteśmy na czerwonym alercie, Ann! – dał się słyszeć poirytowany głos generała Saint-Michaela. – Dzielą nas tylko dwie minuty od wejścia w zasięg sześciu radzieckich pocisków antysatelitarnych Gorgon. Już w tej chwili jesteśmy w zasięgu ich dwustumegawatowego lasera antysatelitarnego. Nie ma teraz czasu na zabawę ze Skyboltem. Proszę zostać na stanowisku.

I nic więcej. Ann wydało się, że czuje, jak wszyscy na nią patrzą, że słyszy wygłaszane szeptem komentarze na swój temat.

Niech go diabli. Facet po prostu ustawił ją na właściwym miejscu. A przed chwilą, kiedy była w kabinie dowodzenia, wydawało się, że... Daj sobie spokój, panienko, jesteś po prostu tylko jednym z członków załogi. Z całą pewnością nikim więcej...

– Mam kontakt SBR na samoloty – zgłosił Jefferson. – Zidentyfikowany i potwierdzony. Patrol czterech F-18 z *Nimitza*.

Inny operator zameldował:

– Jest połączenie z *Californią*.

USS CALIFORNIA

– Kapitanie, jest połączenie ze stacją kosmiczną.

Page potwierdził, że słyszy. Wpisał ostatnich kilka zdań do swojego prywatnego dziennika pokładowego.

– Są punktualni – przyznał. Wyregulował słuchawki i uruchomił mikrofon. – *Armstrong*, tu *California*. Jak mnie słyszycie? Odbiór.

– Głośno i wyraźnie, *California* – odezwał się generał Saint-Michael. – Czy odbieracie nasze dane?

Kapitan spojrział na Meserve'a. Ten skinął głową. – Dane cyfrowe czyste jak łąza, szefie.

– Tak jest, generale. Gratuluję awansu. Jak wrócimy, będzie pan musiał coś postawić.

– Jasna sprawa.

– Dodatkowe informacje dotyczące tych czterech samolotów – pułkownik Walker włączył się na linię. – Kilka łodzi patrolowych na dwunastej, odległość siedemdziesiąt mil morskich. To mogą być te nowe irańskie poduszki albo jakieś małe korwety, które wyciągnęli z rupieciarni. Jeśli to korwety, to mają pociski woda-powietrze Hawk-Cztery. Mogą narobić kłopotu naszym Hornetom.

– Rozumiem cię, *Armstrong*. Powiemy Hornetom, żeby je omijały. Teraz zupełnie nie wiadomo, do kogo Irańczykom zechce się strzelać.

– Mam następny kontakt – zgłosił sierżant Jefferson. – Samoloty odrzutowe na małej wysokości lecą na południe wzdłuż zachodniego wybrzeża Morza Kaspijskiego. Nie wiem jeszcze, ile ich jest.

– *California*, czy nas odbieracie? – zapytał Saint-Michael.

Meserve i kapitan Page spoglądali ponad głowami trzech radiowców siedzących przy konsoli sterowania CIC. Operatorzy włączali i wyłączali ekrany, próbując dostosować się do ogromu napływających informacji. Zdenerwowany kapitan Page nacisnął klawisz mikrofonu.

– *Armstrong*, nie możemy się połapać w tym tysięcznym obrazie. Chcemy przestawić się na trzysta mil. Informujcie, co się dzieje poza naszym zasięgiem. Skoncentrujemy się na zasięgu naszych samolotów z *Nimitza*.

Saint-Michael wyłączył mikrofon i powiedział:

– On chyba myśli, że ja tu mam ze sto osób do pracy. A sam ma dwa razy tyle do obserwacji jednej dziesiątej obszaru.

– A ja go rozumiem – powiedział Walker. – Nasz radar SBR o całe niebo przewyższa wszystko, co ma *California*. To jakbyś próbował się napić wody z węża pożarniczego.

Saint-Michael wzruszył ramionami i nacisnął mikrofon.

– Zrozumiałem cię, *California*.

– Już wiem, ile jest tych ruskich samolotów – odezwał się Jefferson podnieconym głosem. Saint-Michael zwrócił się w jego stronę. – Dwanaście sztuk. Do pierwszych czterech, lecących z małą prędkością, dołączyły dwie grupy szybkich. Skręcają na południowy wschód, szefie. Sądzę, że lecą na Teheran.

– Startują samoloty z *Brezniewa*, sir – zgłosił inny operator. – Dwa szybkie samoloty lecą w kierunku wschód-północny wschód.

Saint-Michael wcisnął gwałtownie mikrofon:

- *California*, tu *Armstrong*. Myśliwce z *Brezniewa* lecą w waszą stronę. Odpowiedź była natychmiastowa, a głos bardzo podniecony:
- Mamy ich, *Armstrong*.
- Poza tym informuję, że dwanaście radzieckich samolotów z Lijaki leci na południe, prawdopodobnie na Teheran. Jeszcze nie zidentyfikowane. Może to być następna grupa uderzeniowa bombowców albo cztery transportowe Kondory w osłonie ośmiu myśliwców. Wszystko jedno, co to jest, wygląda groźnie.
- Hallo, *Armstrong*, tu *Nimitz*. – Pomimo zakłóceń wywołanych szyfrowaniem łatwo można było rozpoznać zachrypnięty głos admirała Clancy'ego. – Zrozumieliśmy. Wykonać Sierra Tango November jeden-zero.
- Saint-Michael spodziewał się tego.
- Rozumiem. Sierra Tango November jeden-zero. Bez odbioru. – Przełączył się na interkom. – Uwaga, stacja. Zakaz łączności głosowej. Przypominam, że jesteśmy na czerwonym alercie. – Zwrócił się do Jeffersona i trzech operatorów przy czujnikach: – Uważajcie. Właśnie dostaliśmy rozkaz dotyczący przechwycenia tej radzieckiej grupy bojowej, prawdopodobnie zmierzającej w stronę Teheranu. Musimy obserwować cały rejon, ale gdyby to było zbyt trudne, skupimy się na grupie północnej, a południową zostawimy admirałowi Clancy'emu i *Californi*.
- Następne samoloty, sir... Jest ich sześć, lecą z dużą prędkością na wschód... chyba wystartowały z Turcji.
- Tak – potwierdził Saint-Michael. – To Tango November, szybka grupa uzupełnienia składająca się z F-15E. Wystartowali z bazy tureckiej w Kigzi. Następnym osiem powinno być już gotowych. Chcę, żeby natychmiast wystartowały. Porozum się z nimi na kanale ósmym, tylko pamiętaj o zakazie kontaktu głosowego. Daj mi namiary pierwszej grupy F-15 na kanale dziewiątym. Chcę je skierować na tyły tych ciężkich radzieckich samolotów i ich eskorty.
- Z przyjemnością, szefie – powiedział Jefferson i zwrócił się w stronę ekranów.
- Złapałem dwa następne samoloty lecące na wschód – zameldował operator. – Poruszają się z dużą prędkością, na małej wysokości... – w jego głosie słychać było zaskoczenie – sygnał... nie jest ciągły...
- Bo to nasze asy atutowe – powiedział Saint-Michael. – „Niewidzialne” bombowce F-19 NightHawk z Kigzi. Widzisz, że nawet SBR z trudem radzi

sobie z nimi. Będą na kanale dziesiątym. Jeśli ktoś się do nich zbliży albo znacznie strzelać, musisz ich ostrzec. Ale nie sądzę, żeby do tego doszło.

– Eskadra Tango November w odległości stu mil morskich od formacji radzieckiej – włączył się Jefferson. – Formacje szturmowe Związku Radzieckiego wciąż na tym samym kursie, teraz zbliżają się do Bandar-e Anzali na wybrzeżu kaspijskim.

Saint-Michael zwrócił się do sierżanta Jeffersona:

– Jake, nadaj kod Foxtrot Bravo na kanale dziewiątym. Czekaj na potwierdzenie od każdego prowadzącego zespół.

Jefferson przerwał obliczanie wektorów i wystukał zakodowany rozkaz, składający się z sygnału wstępnego i dwu liter. Kod odebrały przyrządy znajdujące się nad głową pilota we wszystkich myśliwcach F-15 Eagle. Każdy pilot zameldował dowódcy formacji, a ten przekazał potwierdzenie stacji *Armstrong* przez łącza satelitarne.

– Cała formacja Tango November potwierdza odbiór rozkazu Foxtrot Bravo, szefie.

– Odległość?

– Osiemdziesiąt mil i szybko maleje. Te dwa pojedyncze samoloty lecące na małej wysokości są na południe od formacji radzieckiej. Ale chyba będą pierwsi w Teheranie.

Generał Saint-Michael nerwowo poruszył się w fotelu.

– Na to wygląda...

Osiem nowoczesnych myśliwców bombardujących F-15E Eagle zaledwie w dziesięć minut pokonało odległość osiemdziesięciu mil dzielących je od ogromnej formacji radzieckiej. Radzieccy piloci byli ostrożni, co jakiś czas para Su-27 oddzielała się od całej grupy, zawracała i patrzyła, czy nie ma pościgu. Elektroniczne oczy czujnie obserwowały, czy nie pojawią się sygnały radarowe, a wraz z nimi atak pocisków ziemia-powietrze z baz naziemnych. Ostrożność ta nie była jednak konieczna, Iran wyczerpał już prawie wszystkie środki obrony w długiej wojnie z Irakiem i piloci wiedzieli o tym.

Nie dostrzegli jednak prawdziwego niebezpieczeństwa, które groziło im ze strony amerykańskich „partyzantów”. F-15, nakierowywane teraz przez *Silver Tower*, nie musiały wysyłać naprowadzających sygnałów radarowych, które mogłyby je zdradzić. Leciły bezbłędnie po kursie aż do chwili, gdy radzieckie myśliwce zawracały, żeby patrolować tyły. Wtedy stacja *Armstrong* zmieniała

kurs swoich podopiecznych tak, aby nie zostały zauważone. Gdy niebezpieczeństwo wykrycia mijało, F-15 wracały na kurs.

Kiedy ostatnia para wężących patrolowców dołączyła do formacji, Amerykanie zdecydowali się uderzyć.

Na pełnym dopalaczu, zużywając ponad tysiąc sześćset funtów paliwa na minutę, major Alan Fourier, dowódca formacji Eagli, poprowadził swoich osiem myśliwców do ataku z dwukrotną prędkością dźwięku. Piętnaście mil dzielące ich od przeciwnika pokonali w mniej niż dwie minuty. W odległości pięciu mil rozdzielili się na dwie grupy: cztery samoloty pod dowództwem kapitana Jeffa Cooka zajęły się lecącymi wyżej radzieckimi samolotami osłony, a major Fourier poprowadził swoje cztery na lecące niżej. Do tej chwili zużyli już ponad połowę paliwa, ale taki rodzaj działania osiągnął zamierzony efekt.

Grupa Fouriera, składająca się z czterech F-15, przeszła pięćdziesiąt stóp poniżej pierwszej formacji z prędkością większą o ponad dziewięćset mil na godzinę niż prędkość ciężkich samolotów radzieckich. Amerykanie lecieli w szyku w kształcie litery V tak blisko, że prawie dotykali się skrzydłami. Fourier wszystko rejestrował w pamięci... Formacja radziecka rozpadła się na dwie. Niższa składała się z czterech najnowszych myśliwców Su-27 Flanker i dwu bombowców naddźwiękowych Tu-26 Backfire.

– Zobacz tylko, co mają na tych Flankerach – odezwał się operator systemów uzbrojenia Fouriera, szybko robiąc notatki w dzienniku pokładowym. – Rakiety na końcówkach skrzydeł, po obu stronach na belkach podskrzydłowych po bombie i rakiecie, a pod brzuchem dodatkowy zbiornik paliwa. Po prostu pierwsza liga.

– Niezły ciężar – skomentował Fourier. Jego operator wszystkie informacje wystukiwał na przekaźniku satelitarnym.

– Przekaż to szybko.

– Już zrobione. Wysłane, powtórzone, czekam na potwierdzenie odbioru – odpowiedział operator. – A te bombowce chyba mają pod każdym skrzydłem pełny komplet sześćsetfuntówek.

– Miałeś rację, pierwsza liga. – Po raz pierwszy od startu Fourier nacisnęła mikrofon: – Tango November sekcja dwa, tu dowódca. Co u ciebie?

– Tu dowódca sekcji drugiej. Zgłaszam się. Odebrałem potwierdzenie. Tu na górze mamy cztery Flankery i dwa Kondory transportujące paliwo.

– Dowódca dwa, zrozumiałem. My mamy cztery Flankery obwieszane bombami i dwa Backfire'y też z bombami.

– Otrzymałem potwierdzenie przez SATCOM* – zameldował operator Fouriera. – Nadają rozkaz „Bravo November”.

Dłonie Fouriera zacisnęły się na drążku i manetce gazu. Nie musiał zaglądać do miniaturowej książeczki kodowej przymocowanej do tabliczki na kolanie, żeby zrozumieć.

– Tango November, sekcja jeden i dwa, potwierdźcie ostatni komunikat. Dowódca Czerwonych otrzymał rozkaz Bravo November.

– Zrozumiałem, dwójka.

– Zrozumiałem, trójka.

– Tak jest, czwórka – usłyszał krótkie potwierdzenia od swojej grupy.

– Tu Dowódca Niebieskich, zrozumiałem, Bravo November.

– Tak jest, dwójka.

– Tak jest, trójka.

– Czwórka, zrozumiałem.

Fourier poprawił maskę i głęboko zaczerpnął tlenu.

– Przekaż odpowiedź – wydał rozkaz siedzącemu z tyłu operatorowi.

Usłyszał stukanie klawiszy i słowa:

– Mam potwierdzenie.

Dowódca spojrzął na wskaźnik refleksyjny umieszczony na przedniej szybie. Widać było na nim dokładnie wszystkie samoloty, zarówno amerykańskie, jak i radzieckie.

Do tej chwili był to zwykły, rutynowy patrol. Już wiele razy brał udział w lotach, których zadaniem było śledzenie radzieckich, irańskich, syryjskich czy irackich samolotów nad Arabią Saudyjską i Zatoką Perską. Niejednokrotnie bawił się w kotka i myszkę albo w berka z radzieckimi bombowcami lotnictwa morskiego Backfire. Ale teraz to już nie była zabawa. Poczuł, jak pot spływa mu po plecach, a całe ciało napina się. Za chwilę miał wydać rozkaz, od którego mógł zapalić się cały świat.

– Grupa Tango November, wykonać rozkaz Bravo November... Zaczynamy.

Cały przelot obok formacji radzieckiej, nadawanie i odbiór kodowanych informacji oraz koordynacja grupy dla wykonania rozkazu przekazanego przez stację *Armstrong* – to wszystko trwało około trzydziestu sekund. W tym czasie samoloty amerykańskie wyprzedziły zaskoczoną formację radziecką o ponad dziesięć mil.

Na rozkaz Fouriera obie grupy, po cztery F-15E każda, wykonały ostry, podciągnięty skręt w lewo. Piloci, na których oddziaływało przeciążenie prawie siedmiu „g”⁴, jednocześnie wyłączyli dopalacze, żeby nie przeciążać konstrukcji. Zakręcili aż do momentu, kiedy znaleźli się w punkcie dwustu siedemdziesięciu stopni w lewo od pierwotnego kursu.

⁴ Symbol przyspieszenia ziemskiego „g” = 9,8 m/s² (przyp. tłum.).

Kiedy obie grupy wyprostowały lot, radzieckie samoloty były dokładnie przed nimi w odległości niecałych ośmiu mil.

– Fox jeden! – rzucił hasło Fourier i nagle całe niebo rozbłysło ogniem.

Na czarnym niebie nad Iranem zakłębiło się. Zdezorientowani piloci radzieccy mogli zrobić tylko jedno: byli zmuszeni do popełnienia błędu, jakim było pozostanie na dotychczasowym kursie. Cztery bombowce Backfire zwiększyły prędkość i zaczęły schodzić w kierunku łańcucha górskiego Elburs w północnym Iranie, gdzie znalazłyby się pod osłoną zakłóceń radarowych. Otoczone eskortą potężne bombowce niezmiennie podążały kursem południowo-wschodnim. Myśliwce bombardujące Flanker zeszyły w dół wraz z Backfire'ami, utrzymując z nimi zwarty szyk.

Piloci transportowych Kondorów, czując się bezpieczni w towarzystwie czterech supernowoczesnych myśliwców, nie robili żadnych uników. Dwa myśliwce z ich eskorty przyspieszyły, próbując ścigać niewidocznych intruzów, ale ich nowe i jeszcze nie wypróbowane radary dopplerowskie Kalskaya-651 AG zgubiły amerykańskie myśliwce, które wykonały ostry skręt i obydwa Flankery zaczęły wracać na swoje miejsce w szyku.

Wszyscy piloci dwunastu radzieckich samolotów byli pewni, że atak się już nie powtórzy. Ich wskaźniki ostrzegawcze i systemy zakłócania elektronicznego nie informowały ani przez chwilę, że napastnicy nie włączyli radarów ani w trybie poszukiwania celu, ani naprowadzania.

Radar orbitalny zainstalowany na *Silver Tower* śledził ruchy samolotów zarówno radzieckich, jak i amerykańskich. Gdy tylko osiem F-15 przewrotem skierowało się prosto w bok radzieckiej grupy, natychmiast odpaliły kierowane radarem pociski AAM-155C Viper. Ponieważ każdy F-15 odpalił sześć pocisków Viper, niebo wypełniło się nagle zabójczym ogniem.

Pierwsze impulsy naprowadzające Vipery na cel przekazane zostały ze stacji *Armstrong* za pośrednictwem Eagli, co uniemożliwiło określenie pozycji, z której zostały wystrzelone. Kiedy tor lotu pocisków się ustabilizował, automatycznie włączyły się pokładowe radary naprowadzające rakiety.

Wracające do szyku dwa myśliwce Su-27 Flanker były jedynymi, które uważały to i zdołały wykonać unik. Podążające za nimi rakiety nie doszły celu i eksplodowały, gdy wyczerpało się ich paliwo. Jeden z bombowców Backfire przypadkowo wyrzucił chmurę pasków folii w momencie, gdy operator systemów obronnych uruchomił aparaturę zakłócającą. Radar rakiety przełączył się na chmurę folii i Viper zakręcił w jej stronę, na ułamek sekundy przed trafieniem w lewy silnik bombowca.

Z całej dwunastki udało się uratować tylko tym trzem samolotom. Czterdzieści pięć pocisków powietrze-powietrze trafiło tej nocy w cel, niszcząc ludzi oraz sprzęt wartości dwu i pół miliona funtów. Ich cmentarzem stały się góry północnego Iranu.

Fourier i jego siedmiu kolegów nie sprawdzali wyników ataku. Natychmiast po odpaleniu pocisków włączyli dopalacze, weszli na większą wysokość i skierowali się na zachód, do bazy. Każdy samolot zachował na prowadnicach, znajdujących się na końcówkach skrzydeł, po dwa pociski gotowe do odpalenia, gdyby Rosjanie podjęli pościg.

Ale pościgu nie było. Dwa ocalałe Flanker Su-27 krążyły przez jakiś czas nad górami Elburs, słuchając sygnałów małych nadajników wchodzących w skład wyposażenia załogi, które uruchamiały się w momencie katapultowania albo zderzenia z ziemią. Zarejestrowały one parę wezwań pomocy oraz kilka współrzędnych strąconych pilotów i samolotów, aby ułatwić podjęcie akcji ratunkowej, a potem wspięły się ponad czarne szczyty i skierowały na północ, nad mniej niebezpieczny obszar. Jedyny ocalały bombowiec Backfire postanowił podążyć za swoją eskortą, rezygnując z samotnego lotu w stronę Teheranu.

– Tango November, kontrola stanu i pozycji. Fourier zdarł z twarzy maskę tlenową. Przyjął potwierdzenia pozostałych pilotów i dane dotyczące ilości paliwa. Czuł się jak wykręcony przez wyżymaczkę. Z uczuciem niejakiego lęku i lekkiego niedowierzania popatrzył na wyświetlone na przedniej szybie dane nawigacyjne i kontroli systemów uzbrojenia. Ta stacja kosmiczna okazała się cholernie skuteczna. Do tej pory myślał o niej w kategoriach abstrakcyjnych, jak o czymś, co może się przydać kiedyś, w jakiejś bliżej nie określonej przyszłości. Czuł jednak niedosyt. Rasowy pilot myśliwski lubi walczyć uczciwie, radar przeciw radarowi, rakietą przeciw rakiecie, jeden pilot przeciw drugiemu. A ten radar orbitalny nie dawał przeciwnikowi żadnych szans. Rosjanie na pewno dojdą do takiego samego wniosku i będą chcieli coś z tym zrobić. Teraz tylko pozostało pytanie: kiedy i jak.

– *Piechota adin, piechota adin, zdies' triet'ia gruppawiacii* – dał się słyszeć zniekształcony i ledwo zrozumiały głos. – *Otwieczajtie*. – Piechota jeden, tu trzecia grupa lotnicza. Odezwijcie się.

Młody radziecki radiotelegrafista z Siedemdziesiątej Pierwszej Brygady Szturmowej szybko zapisał czas i częstotliwość, na której usłyszał wezwanie. Wziął do ręki mikrofon i odpowiedział:

– Rozumiem cię, grupa trzecia. Tu baza ogniowa numer siedem Siedemdziesiątej Pierwszej Brygady Szturmowej. Mów dalej.

– Zrozumiałem cię, baza siedem. Jesteśmy w drodze na cel bombowy na granicy waszej strefy. Podajcie namiary i częstotliwość wysuniętego stanowiska kontroli ognia. Odbiór.

– Rozumiem, grupa trzecia. Słabo cię słyszę. To niewłaściwa częstotliwość. Powtarzam, niewłaściwa częstotliwość. Przed przekazaniem was stanowisku kontroli ognia musimy dokonać identyfikacji.

– W porządku, baza siedem. Rozumiem. Taka procedura. Czekam.

– Nie mogę cię zidentyfikować – odezwał się radiotelegrafista. – Czekaj.

– Młody radziecki żołnierz wstał, wszedł do jednego z biur, które teraz było centralą łączności międzynarodowego portu lotniczego Mehrabad w Teheranie, i zawołał starszego chorążego, który był jego przełożonym.

Następnie wrócił na swoje stanowisko przy radiu.

– Czekajcie na identyfikację, grupa trzecia.

– Rozumiem, baza siedem – krótka pauza. – Baza siedem, czy możecie nam podać warunki meteo i sytuację taktyczną?

Radiotelegrafista rozejrzał się w poszukiwaniu starszego podoficera, ale zobaczył, że jest zajęty rozmową z kimś, kto zatrzymał go po drodze.

– Baza siedem. Odezwijcie się, *pażalsta*.

Radiotelegrafista obejrzał się jeszcze raz. Jego przełożony wciąż był zajęty załatwianiem czegoś, co widocznie nie cierpiało zwłoki. Wprawdzie podawanie jakichkolwiek informacji przez radio przed identyfikacją było niezgodne z regulaminem, ale ci piloci byli Rosjanami, zgłosili się na specjalnej częstotliwości zarezerwowanej tylko dla dowództwa. Starszy chorąży wciąż nie przychodził, a oni prosili tylko o meteo...

– Baza siódma. Czy mnie słyszysz? Odpowiedz. Odbiór.

Radiotelegrafista wrócił na miejsce.

– Grupa trzecia, tu baza siedem. Słyszę cię. Nie mam ostatniego przekazu

meteo, ale mogę wam powiedzieć, że jest zimno i nie ma zachmurzenia. Pas dwa dziewięć jest wolny. Wiatr zmienny zachodni, dziesięć na godzinę. Okresowo jesteśmy pod ostrzałem moździerzy i broni małokalibrowej gdzieś spoza granic lotniska, ale brygada specjalna SPETNAZ i siedemdziesiąta pierwsza opanowały lotnisko i miasto Mehrabad. Waszym celem jest prawdopodobnie Akbarabad na wschód – północny-wschód od lotniska. To tam, skąd ostrzelują nas moździerze...

– *Ostawił!* – rozległ się nagle okrzyk z tyłu.

Radiotelegrafista odwrócił się. Obok niego stał przełożony z wyrazem wściekłości na twarzy.

– Z kim rozmawiasz?! No, z kim?!

– Z trzecią grupą powietrzną... – Radiotelegrafista wypuścił z ręki mikrofon jak dziecko, które ukradło cukierek. – Prosimy o wysunięte stanowisko kontroli ognia.

– Czy masz identyfikację?

– Nie, ale natychmiast was wezwałem.

– No to co im przekazałeś?

– Warunki meteo. Prosimy o nie i o sytuację taktyczną. Przecież pogoda nie jest tajna...

– Ty kretynie, przecież mamy ciszę radiową. Czy nie rozumiesz, że wróg może nas namierzyć za pomocą takiego przekazu radiowego i zlokalizować naszą kwaterę główną?

– Ale oni świetnie mówią po rosyjsku...

– I to jest dowód? – Oficer odezwał się łamaną angielszczyzną. – Czy jak mówię po angielsku, to jestem *Anglikanin*? – Wyrwał mu z ręki mikrofon. – Może to bombowce średniego zasięgu z Lijaki. A zresztą wszystko jedno, kto to jest. Miejmy tylko nadzieję, że nie złożą na nas raportu za przerwanie ciszy radiowej, bo inaczej zostaniemy rozstrzelani. – Włączył mikrofon. – Grupa trzecia. Czy jesteście gotowi do identyfikacji?

Chwila wahania i potwierdzenie:

– *Da, piechota siedmaja.* – Obaj radiowcy spojrzeli po sobie i odetchnęli z ulgą.

– Grupa trzecia, nadawaj.

Kolejna chwila wahania, po której usłyszeli głośno i wyraźnie, czystą angielszczyzną:

– Zidentyfikujcie sobie mój tyłek, kretyni!

Młody radiotelegrafista zbladł jak ściana, a oficer rzucił się do dużego,

czerwonego przycisku na przenośnej konsolce łączności i uruchomił sygnał alarmowy.

W dziesięć sekund później spadły pierwsze bomby. Dwa naddźwiękowe, „niewidzialne” myśliwce bombardujące F/A-19C NightHawk przeleciały nad teherańskim lotniskiem międzynarodowym Mehrabad z prędkością sześciuset węzłów na wysokości niecałych stu stóp. Załogi umieszczonych wokół lotniska sześciu radzieckich samobieżnych baterii raketowych SA-13 Gopher z pociskami ziemia-powietrze nie zauważyły na swoich radarach nic oprócz słabego echa, aż do chwili, gdy myśliwce znalazły się od nich w odległości niecałych dziesięciu mil. Zanim rakiety przygotowano do odpalenia, na lotnisko spadały już tysiackilogramowe, sterowane laserem, inteligentne bomby do niszczenia pasów startowych i małe bomby przeciwpiechotne.

Dwa myśliwce bombardujące NightHawk nie zdołały przebić się przez morderczy ogień radzieckiej obrony przeciwlotniczej rozlokowanej wokół lotniska, ale zanim zostały zestrzelone przez baterię trzech sterowanych radarem działek przeciwlotniczych ZSU-23/A, zamieniły w ruinę pas obrony zewnętrznej, stanowiska dowodzenia i wieżę kontrolną.

Tych żołnierzy radzieckich, którym udało się przeżyć bombardowanie, czekało teraz coś o wiele gorszego niż niespodziewany atak amerykańskich „niewidzialnych” myśliwców. Od strony miasteczka Akbarabad, szosą Makhsus ciągnęły bez przeszkód setki powoli poruszających się pojazdów najróżniejszego rodzaju. Odgłosy wystrzałów i krzyki spragnionych krwi hord muzułmańskich zbliżały się coraz bardziej do lotniska.

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG*

– Uwaga, stacja. Przechodzimy pod horyzont. Przygotujcie się do przekazu danych obserwacyjnych oraz do zmiany położenia. Ogłaszam żółty alert.

Załoga członu dowodzenia odetchnęła z ulgą i zaczęła masować zdrętwiałe mięśnie oraz zmęczone oczy. Jedyne generał Saint-Michael wpatrywał się w ostatni przekazany obraz obszaru północnego Iranu, przytrzymując ręką słuchawki. Mimo iż przekaz ten pochodził sprzed dwudziestu minut, generał obserwował go z ogromnym napięciem. Jego szczególną uwagę przyciągał fragment przekazany przez urządzenie radiolokacyjne IFF*, przedstawiający formację samolotów F-15E Eagle oznaczoną kryptonimem Tango November i

ostatnie chwile dwóch bombowców F/A-19C NightHawk nad Teheranem.

Po chwili zbliżył się do niego pułkownik Walker.

– Mam informacje z bazy Kigzi, generale. Zgłosiła się grupa Tango November. Cała ósemka.

Saint-Michael skinął głową.

– To wspaniała wiadomość. Pewnie zaraz dostaniemy od nich raport.

Nagle zatrzymał się.

– A co z Tango Sierra?

– Marynarka przechwyciła wiadomość z Teheranu. Dwa amerykańskie myśliwce bombardujące zestrzelone nad międzynarodowym portem lotniczym Mehrabad. – Ręka Saint-Michaela ciężko opadła na poręcz fotela. – W tym przekazie radiowym Rosjanie mówili również o zniszczeniu Centrum Dowodzenia Siedemdziesiątej Pierwszej Brygady Szturmowej – szybko dodał Walker. – Trzydziestu ośmiu zabitych i rannych. W zakończeniu informowali o opanowaniu lotniska przez milicję irańską.

Saint-Michael potarł pulsujące skronie.

– Nie chciałbym teraz być w skórze tych Rosjan – powiedział.

Walker wręczył mu wydruk komputerowy.

– Najlepszą wiadomość zostawiłem na koniec, generale. Marynarka przesłała nam również wiadomość, którą przechwyciła od radzieckiego patrolu ratowniczego w górach Elburs. Szczątki samolotów pokrywają ziemię na obszarze prawie pięciuset mil kwadratowych. Od rozbitych maszyn powstało siedem pożarów. Nie można ich opanować.

Saint-Michael pokiwał głową, ale myśli jego były skoncentrowane na czterech pilotach zestrzelonych myśliwców NightHawk.

– Wiesz, Jim, w ciągu dwudziestu jeden lat służby po raz pierwszy zdarzyło się, że zginęli ludzie, którymi dowodziłem. Cholera, a ja tu sobie siedzę i nic nie mogę na to poradzić...

– Ale jest to zarazem pana wielkie zwycięstwo – powiedział Walker. – Dziesięć amerykańskich samolotów zestrzeliło co najmniej siedem radzieckich, w tym transportowy i naddźwiękowe bombowce, poza tym zlikwidowało ważny nieprzyjacielski punkt dowodzenia i umożliwiło siłom irańskim odbicie dużego lotniska. Nasze straty są niewielkie – dwa nowoczesne myśliwce i czterech ludzi. Natomiast straty nieprzyjaciela... no, sam pan wie, generale, jakie znaczenie ma wygranie tej bitwy. Niezły wynik jak na jeden dzień, a to, gdzie pan siedzi, naprawdę jest nieważne.

Saint-Michael spojrział na Walkera.

– Dziękuję, ale jeśli taki jest smak zwycięstwa, to cieszę się, że nie zaznałem go wcześniej. – Jego oczy powróciły do ekranu, na którym widać było nieruchome sylwetki bombowców NightHawk.

KREML, ZSRR

– A więc wojna? – zapytał Chromiejew przyciszonym głosem.

Czilikow był zbyt wściekły, żeby odpowiedzieć.

– Muszą za to zapłacić. Za każdą kroplę naszej krwi przelanej w Iranie, za każdy gram stali straconej w tych irańskich górach. Amerykanie muszą za to wszystko zapłacić i zapłaca...

Wpatrzył się w mapę komputerową rejonu Zatoki Perskiej wyświetloną na ścianie. Podchodził do niej powoli, jakby przedstawiała jakąś okropność. I dla niego tak było rzeczywiście.

– Dziewięć samolotów zniszczonych, trzystu trzydziestu ludzi zabitych lub rannych na północy, sześćdziesięciu zabitych lub rannych w Teheranie, sześćdziesięciu wziętych do niewoli. I to wszystko zaledwie w ciągu czterech godzin!

– Pojawili się nagle i nie wiadomo skąd – powiedział admirał Czerczerowin. – Myśliwce amerykańskie zaatakowały bez ostrzeżenia. Udało im się zbliżyć do naszej formacji od północy i od południa zupełnie niepostrzeżenie. Wystrzelili rakiety z dużej odległości bez naprowadzania radarowego. Załogi mówią, że nie odebrały żadnych sygnałów ostrzegawczych, absolutnie nic. A przecież do wschodu słońca były trzy godziny...

– Byli zbyt pewni siebie – rzucił generał Iljanowski przez zaciśnięte zęby. – I butni. Ich nieudolność spowodowała śmierć stu dwudziestu moich najlepszych żołnierzy.

– To ty jesteś nieudolny – powiedział Czerczerowin celując palcem w naczelnego dowódcę wojsk lądowych. – Miałeś na lotnisku Mehrabad ponad stuosobową brygadę szturmową SPETNAZ, o której twierdzisz, że jest elitą twojej armii, a nie potrafiłeś odeprzeć tej zbieraniny, tej bandy milicyjnej!

– Dosyć! – ostro zareagował Czilikow. – Macie natychmiast przestać się kłócić. – Jego lodowate niebieskie oczy ogarnęły jednym spojrzeniem twarze członków Kolegium. – Duma Związku Radzieckiego. Bohaterowie, wszyscy

bez wyjątku. Czy będziecie się tak zachowywać również w obecności pierwszego sekretarza na posiedzeniu Sztabu Generalnego, które ma się odbyć za dwie godziny? Czy musimy wytykać się palcami, oskarżać nawzajem i kłócić jak stare baby? Wszystkich nas rozstrzelają. Zasłużyliśmy sobie na to. – Wskazał ręką na mapę komputerową na ścianie. – Żądam odpowiedzi, wyjaśnienia, jak mogło do tego dojść. – Czilikow zwrócił się do nowo przybyłego członka grupy: – Generale Goworow, proszę o waszą opinię.

Goworow wstał z miejsca.

– Wyjaśnienie może być tylko jedno: stacja kosmiczna *Armstrong*.
– *Armstrong?! –* zdumiał się generał Liczizew z KGB. – Już wam mówiłem, Goworow, że to niemożliwe.

Czilikow zwrócił się do Goworowa:

– Proszę mówić dalej.
– Towarzyszu ministrze, jak już wcześniej wspomniałem, radar znajdujący się na pokładzie stacji kosmicznej *Armstrong* może śledzić zarówno amerykańskie, jak i radzieckie samoloty. W związku z tym, dzięki danym przekazywanym przez stację, Amerykanie mogli stosunkowo łatwo ustawić swoje samoloty w pozycji najlepszej do ataku. Samoloty te nie muszą używać radarów pokładowych, żeby wykryć nasze maszyny. Radar konwencjonalny nie jest już również potrzebny do wykonywania ataków bombowych, kierowania pociskami dalekiego zasięgu czy okrętami podwodnymi.

– A więc wniosek jest jeden... stacja kosmiczna musi zostać zniszczona – odezwał się Czilikow, dobitnie akcentując każde słowo.

– Zgadzam się z wami – szybko wtrącił Goworow. Tą nieproszoną uwagą nie zaskarbił sobie jednak względów Czilikowa.

Minister obrony musiał w duchu przyznać, że Goworow już dawno ostrzegł, iż operacja „Pióro” nie może zakończyć się sukcesem, dopóki stacja *Armstrong* znajduje się na orbicie.

Następnie zabrał głos generał Marasimow, dowódca strategicznych wojsk raketowych.

– Atak pociskami antysatelitarnymi Gorgona.
– Nie uda się – przerwał mu Goworow. – Stacja *Armstrong* jest znakomicie uzbrojona. Ich pociski Thor używane do zwalczania rakiet antysatelitarnych są o wiele sprawniejsze od naszych nieporadnych Gorgon. Jednakże uważam, że Gorgony mogą zostać użyte, aby przygotować atak zasadniczy...

– Jaki? – spytał Czilikow.

Goworow spojrzął na swojego przełożonego, marszałka Romierdunowa. Ten skinął głową. Teraz. Teraz była ta chwila...

– Towarzyszu ministrze – zaczął Romierdunow. Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę. – Jest plan... mam plan pozbycia się zagrożenia, jakie stanowi dla nas ta opancerzona i silnie uzbrojona platforma orbitująca. Jest to projekt, który przeniesie Radzieckie Siły Powietrzne w dwudziesty pierwszy wiek. – Goworow nie zareagował na ten jawny plagiat... – Jest to zatwierdzony swego czasu przez Kolegium plan dotyczący uzbrojenia samolotu kosmicznego Elektron w specjalnie zaprojektowane pociski raketowe, które...

– Pociski raketowe?! – wykrzyknął Czilikow. – Na pokładzie samolotu kosmicznego z jednoosobową załogą? Co to za pociski? Nic mi o tym nie wiadomo.

– Plan ten został zatwierdzony przez Kolegium już kilka lat temu – niepewnie odpowiedział Romierdunow. – Ale dopiero niedawno zaczęto go realizować. – Czilikow chciał nadal zadawać pytania, ale się powstrzymał. Romierdunow nabrał więc odwagi i ciągnął dalej: – Grupa trzech myśliwców kosmicznych Elektron pod dowództwem generała Goworowa zostanie wysłana z zadaniem zniszczenia stacji kosmicznej *Armstrong*.

Zamiast spodziewanego szumu, w sali zapadło milczenie, które w końcu przerwał Czilikow:

– Wszystko, co przepowiadał generał Goworow, niestety się sprawdziło. Ta stacja rzeczywiście posiada większe możliwości, niż się spodziewaliśmy. Wygląda na to, że mają urządzenia do przekazywania danych z radaru kosmicznego różnym odbiorcom – okrętom, stacjom naziemnym, ośrodkom dowodzenia, a nawet samolotom. Potrafią również kierować atakiem lotniczym w taki sposób, że samoloty mogą uniknąć niebezpieczeństwa i kontrataku. Rzeczywiście, najwyższa pora, żeby ta stacja przestała istnieć.

Czilikow zwrócił się do Romierdunowa:

– To będzie wasze zadanie. Ma zostać wykonane natychmiast. Sztab Generalny zostanie poinformowany przeze mnie osobiście. – A potem zlecił Goworowowi: – Wy poprowadzicie atak.

– Towarzyszu ministrze, to może jeszcze potrwać kilka dni, a nawet tygodni, zanim uda się nam przygotować Elektrony do startu z Tiuratom. Połączenie ich z rakiętą nośną Kriepkij SL-16 zajmie sporo czasu. Samoloty kosmiczne nie należą do stałych sił obrony strategicznej.

– Od dzisiaj należą – sprostował Czilikow. – Przynajmniej dwa mają

stać na kosmodromie Tiuratom w pełnej gotowości bojowej przez okrągłą dobę. – Wrócił na swoje miejsce u szczytu podłużnego stołu konferencyjnego. – Ale kontrofensywa nie może ulec zwłoce. Nasze natarcie zostało zatrzymane. Amerykanie są coraz silniejsi, a my coraz słabsi. Potrzebny jest plan wznowienia ofensywy, zrekompensowania poniesionych przez nas strat i zwycięskiego ukończenia operacji „Pióro”. Sztab Generalny i Politbiuro oczekują od nas zwycięstwa. Musimy również spłacić dług naszym towarzyszom, którzy zginęli w Iranie.

– W Iranie i w Zatoce Perskiej pozostaje jeszcze inne poważne zagrożenie, towarzyszu ministrze – odezwał się admirał Czerczerowin. – Stanowi je grupa bojowa amerykańskiego lotniskowca na Morzu Arabskim oraz należące do Jednostki Szybkiego Reagowania stacjonujące we wschodniej Turcji bombowce i myśliwce dalekiego zasięgu.

– Arabia Saudyjska nie wyraziła jeszcze zgody, by amerykańskie samoloty bojowe korzystały z jej baz lotniczych – wtrącił się marszałek Jesimow, dowódca wojsk lotniczych. – Ale wkrótce może zmienić zdanie. Również Katar i Kuwejt mogą pozwolić Amerykanom na wykorzystanie ich baz lotniczych i morskich. A Iran zgodzi się na wszelkie ich żądania, jeśli otrzyma zapewnienie pomocy...

– Wobec tego należy podjąć szybką i zdecydowaną akcję – powiedział Czilikow. – Generale Goworow, jeszcze raz przypominam, że należy podjąć wszelkie możliwe wysiłki w celu unieszkodliwienia stacji kosmicznej *Armstrong*. I to natychmiast. Wszystko inne może okazać się bezprzedmiotowe, dopóki ta stacja nie zostanie zniszczona.

– Tak jest, rozumiem – powiedział Goworow. – Ale może uda się nam osiągnąć cel innymi środkami.

– Jakimi?

Gworow nawet się nie uśmiechnął.

– Stacja *Armstrong* znakomicie funkcjonuje, kiedy chroni przed atakiem innych, ale co będzie, kiedy będzie musiała się bronić sama?

– Ależ dopiero co mówiliście, że Elektronika jeszcze nie są gotowe do przeprowadzenia takiej akcji – zdziwił się Chromiejew. – A marszałek Romierdunow wyjaśnił, że rakiety antysatelitarne Gorgon nie będą skuteczne.

– Ja też tak uważam. Ale tymczasem moglibyśmy użyć innej broni, której dotychczas nie braliśmy pod uwagę, a która może przekonać Amerykanów, że umieszczenie stacji kosmicznej w zasięgu Związku Radzieckiego jest jednak dużym ryzykiem. Mam na myśli nasz laser w Sary Szagan. Wywiad donosi, że

tylko niektóre fragmenty stacji pokryte są pancierzem antylaserowym. A więc strzelanie wiązką laserową może dokonać poważnych zniszczeń...

Oczy Czilikowa rozbłysły.

– Proszę o szczegółowy raport dotyczący najwcześniejszego uruchomienia lasera. Najdalej za godzinę. – Zwrócił się do admirała Czerczerowina: – Musicie odzyskać kontrolę nad regionem. Jak najszybciej!

Ruchem ręki zakończył dalszą dyskusję. Dokładnie zrozumieli, co chciał przez to powiedzieć – albo się wykażecie, albo...

Rozdział 6

Lipiec 1992

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG*

Gdy Saint-Michael wszedł do modułu inżynierskiego, zastał tam Ann. Chwilę stali w milczeniu, aż wreszcie dowódca odezwał się pierwszy:

– Może moglibyśmy chwilę porozmawiać.

Ann udała, że nie słyszy. Zajęta była ustawianiem temperatury w chłodni spożywczej.

– Ann, chcę, żebyś wróciła na *Enterprise*. Za cztery godziny.

Dziewczyna odwróciła się twarzą do niego.

– A więc teraz to rozkaz? A co z moim prawem wyboru?

– Jeśli chcesz nazwać to rozkazem, to dobrze. A więc jest to rozkaz.

Spojrzała na niego, wążąc w myślach odpowiedź, a potem westchnęła:

– O co chodzi, generale? To znaczy, o co panu, do diabła, chodzi? Naprawdę potrafię naprawić Skybolta. Znalazłam usterkę. Jeszcze tylko kilka dni i wszystko będzie grało. A pan koniecznie chce się mnie stąd pozbyć, zanim zakończę swoje zadanie. Na litość boską, czy nie rozumie pan, że to moja praca?

– Ann – powtórzył – chcę, żebyś wróciła na Ziemię. – I po chwili dodał: – Żebyś była bezpieczna. – Oczy zwięzły mu się. Odczuwał przykrość i gniew, ale nie na nią, raczej na siebie. – Do cholery, Ann, czy ty naprawdę nic nie rozumiesz? – Zatrzymał się, chciał, żeby pojęła, o co mu chodzi, i żeby odpowiedziała. – W porządku, chodzi mi o to, że...

– Uwaga, stacja! – zaryczał głośnik. – Stan zagrożenia numer jeden. Stacja na czerwonym alercie. – A po chwili w słuchawkach odezwał się głos: – Generale Saint-Michael, tu Walker. Wiadomość przez satelitę z *Nimitza*. Atakują ich.

– Zaraz tam będę. – Odwrócił się do wyjścia, ale zatrzymał się i lekko

dotknął ramienia Ann. – Nie chcę, żebyś się narażała. – Zniknął w tunelu łączącym. Nie wiedziała, co o tym sądzić...

Po powrocie do członu dowodzenia Saint-Michael zażądał raportu.

– Nasz AWACS 767B zauważył grupę sześciu szybkich samolotów odrzutowych lecących nad Iranem na małej wysokości – relacjonował Walker, nie przerywając obserwacji głównego ekranu SBR. – AWACS został odpędzony przez myśliwce Su-27 z *Brezniewa*, nie mamy więc szczegółów. Nie wiadomo, skąd wystartowały, ale *Nimitz* mówi, że lecą zbyt szybko i za nisko, jak na pociski Silkworm. Podejrzewają, że mogą to być radzieckie rakiety manewrujące dalekiego zasięgu, wystrzelone z jakiejś bazy nad Morzem Kaspijskim. Lecą na południe z prędkością pięciuset węzłów i kierują się dokładnie na nich.

– Ile czasu do przekroczenia horyzontu celu?

– Jeszcze czterdzieści minut. Prawdopodobnie zostały odpalone zaraz po naszym przejściu pod horyzont. Świetnie to obliczyli. Wygląda na to, że *Nimitz* znalazł się w centrum.

NAD POŁUDNIOWYM IRANEM, STO PIĘĆDZIESIĄT MIL NA PÓŁNOC OD USS *NIMITZ*

– Uwaga, chłopaki! Dowódca ma ich na godzinie jedenastej.

J.B. Andrew, dowódca prowadzącego grupę samolotów F-14E, Tomcata Plus, mocniej ścisnął manetkę gazu. Jego operator systemów uzbrojenia nadał. Wpatrywał się z natężeniem w kamieniste pagórki uciekające do tyłu pod dziobem samolotu. Wraz z pięcioma innymi myśliwcami wystartowali z lotniskowca *Nimitz*, a teraz pędzili nad południowym Iranem w poszukiwaniu lecących na cel rakiet.

Andrews i jego koledzy z VF-143, „Rzygające Psy” przedzierali się przez gęste powietrze na wysokości zaledwie stu stóp nad pustynią irańską i maszyny zdecydowanie protestowały. Sprawowały się o wiele lepiej na dużych wysokościach, gdzie ich nośne kadłuby i potężne, sterowane komputerowo skrzydła o zmiennej geometrii nie napotykały tak wielkiego oporu powietrza. Tutaj w dole samolot reagował na najmniejszy podmuch wiatru, prąd termiczny i podnoszący się pył, powodując tak niezwykle gwałtowne turbulencje, że formacja

musiała rozciągnąć się szeroko, aby nie doszło do kolizji. Wszystko zależało od czujnych oczu pilota prowadzącego: gdyby uderzył w ziemię, cała reszta z pewnością poszłaby za nim.

– Podaj namiar, Chili – zażądał Andrews.

Siedzący z tyłu strzelec-nawigator spojrzął na podświetlony cyfrowy radar bojowy AWG-9.

– Lewo dziesięć. Wysokość dobra. Uchwyciłem cel... pięćdziesiąt mil.

– Uwaga, sekcja Piratów, dowódca uchwycił cel. Nie rozpoznane maszyny nadlatują z lewej.

– Dwójka, uchwyciłem cel.

– Trójka, uchwyciłem cel.

– Czwórka, nie mam.

– Piątka też nie.

– Szóstka... zaraz. Cel uchwyciłem.

– Piraci, odpalamy z dwudziestu. Kto nie uchwycił, niech przygotuje się do ostrego zakrętu i wystrzeli towar. – W celu zaoszczędzenia paliwa i zwiększenia osiągnięć każdy Tomcat zabrał tylko dwie rakiety AIM-120RC AMRA-AM. Ale mimo to, po prawie dwudziestominutowym locie na maksymalnej prędkości, samoloty szybko zbliżały się do punktu, od którego powinny zawrócić. W przeciwnym razie mogłyby im nie starczyć paliwa na drogę powrotną. A więc należało wystrzelić rakiety AIM-120RC w ciągu następnych kilku minut.

– Czterdzieści mil. Wciąż trzymam cel.

– Czwórka trzyma.

– Piątka?

– Niestety, nie. Odchodzę.

– Trzydzieści mil.

Operator samolotu prowadzącego usłyszał wysoki dźwięk w swoim hełmofonie.

– Dobry sygnał. Gotowe.

– Zrozumiałem. Odliczaj.

– Dwadzieścia pięć... dwadzieścia cztery... dwadzieścia trzy...

Nagle Andrews poczuł się zupełnie spokojny, co zawsze zdarzało się przed walką. Mózg przestał działać, jego rolę przejęły odruchy. Wykształcił je w sobie w setkach lotów nad czterema kontynentami. A poza tym to zadanie nie było trudne. Pociski samosterujące były śmiertelne dla okrętów, ale samolot trafiał w nie jak w kaczki. Nie mogły manewrować ani bronić się strzelając.

Nowoczesny radar cyfrowy, który miały na pokładzie Tomcaty, umożliwił strzelanie nawet z odległości pięćdziesięciu mil, ale optymalne było dwadzieścia.

– Piraci, uwaga. Nadchodzą Bandyci. Godzina druga, są wysoko!

Andrews zaryzykował szybkie spojrzenie w prawo i jego wzrok uchwycił błysk. Cztery pokładowe myśliwce Su-27 Flanker nurkowały na nich od strony słońca.

– Dwójka, trójka, czwórka, idziecie za pociskami. Czwórka i piątka, nawiązać walkę.

– Dwadzieścia mil. Ton jest dobry...

Andrews spojrział na monitor nad głową i stwierdził, że symbole celu i namiaru radarowego nachodzą na siebie, a na dole pojawiają się litery START. Walcząc z potężną falą turbulencji, która wstrząsnęła samolotem, położył kciuk prawej ręki na przycisku zwalniającym rakiety. Nagle symbole celu i radaru zniknęły z ekranu, a słowo START zostało zastąpione słowem POŻAR.

Nacisnął guzik startowy. Nic.

– Chili, sprawdź przełączniki. Nie mam odpalenia. Żadnej odpowiedzi.

– Chili!

Pokonując opór ciasnej uprząży spadochronu Andrews odwrócił się, żeby spojrzeć do tyłu. Cofnął się jednak natychmiast, ponieważ w twarz uderzył go straszliwy żar. W tym ułamku sekundy dostrzegł jednak na poły zwęglone płonące ciało, które kiedyś było jego nawigatorem. A więc to, co odczuł chwilę przedtem, nie było turbulencją. Tomcat został trafiony rakieta prosto w dyszę silnika.

Dowódca grupy spojrział przed siebie w chwili, gdy dwa myśliwce Su-27 przemknęły tuż przed nim w odległości niecałych dwustu jardów. Pchnął drążek w lewo i do góry, żeby je ścigać, ale Tomcat chybotął się ospale i szedł w prawo w dół. Ekran był pusty. Większość świateł na tablicy kontrolnej zgasała, a wskazówki przyrządów stały na zerze. Sprawdził, czy manetka gazu jest przesunięta na pełną moc. Tak, ciągle jeszcze zdawało mu się, że czuje ciąg dwóch silników turbinowych marki Pratt i Whitney. Drążek jakby zaczął reagować, więc Andrews rozejrzał się, szukając dwóch radzieckich myśliwców. Miał nadzieję, że się uda...

Jedną rękę trzymał na drążku, a drugą na manetce gazu. Był pewien, że jego okaleczona maszyna ściga nieprzyjaciela. Wierzył w to aż do chwili, gdy uderzył w zbocze wzgórza tuż za miastem Humedan na południowym wybrzeżu Iranu. Nie miał nawet szansy, aby uchwycić dźwignię katapulty.

USS CALIFORNIA

– Mostek, tu Centrum. Mam kontakt ASM*, zero-osiem-zero względny, sześćdziesiąt mil morskich, około stu stóp nad powierzchnią.

Matthew Page zareagował natychmiast na meldunek o zbliżających się pociskach.

– Sternik, lewo dwadzieścia stopni, kurs dwa-sześć-zero. Mostek, poinformować *Nimitza*. Centrum, czy idą za nimi jakieś Tomcaty?

– Nie widać żadnych naszych. Sześć radzieckich myśliwców wraca na północny zachód w kierunku *Brezniewa*.

Nie podejrzewał, że pociski mogą mieć eskortę myśliwców. Wyglądało na to, że wszystko może zależeć od siły jego własnego ognia.

– Centrum, odpalić wszystkie rakiety Standard.

– Tak jest, odpalić rakiety – operator jeszcze nie zdążył powtórzyć rozkazu, a już słychać było ryk odpalających silników rakietowych.

Automatycznie sterowane dwuprowadnicowe wyrzutnie rakietowe Mark 26 na dziobie i na rufie *Californi* ustawiły się pionowo w górę, jak stojący na baczność ołowiani żołnierze. Na komendę startu dwa pociski woda-powietrze SM2-ER Standard wysunęły się z magazynowych stojaków pod pokładem i weszły w prowadnice wyrzutni, które obróciły się w prawo w dół. Rakiety pochyliły się do pozycji prawie horyzontalnej. Moment przerwy, a potem wybuch ognia i chmura dymu zakryła tylny oraz przedni pokład. Wyrzutnie powróciły do pozycji pionowej, gotowe do kolejnego załadowania.

– Cztery Standardy odpalone.

– Jestem na kursie dwa-sześć-zero – zameldował sternik.

– Znakomicie. Przygotować działka Phalanx na prawej burcie i obie studziesiątosiódemki. Centrum, gdzie są te pociski?

– Nie widzę, coś potężnie zakłóca, pewnie Rosjanie z samolotów... Zaraz, teraz widzę dwa. Namiar zero-siedem-zero, dwadzieścia mil, kurs jeden-sześć-zero, dokładnie.

– Sternik, ostry zwrot na lewą burtę, czterdzieści stopni. Odpalić wszystkie rakiety Standard i otworzyć ogień z przedniej studziesiątosiódemki. Łączność, zawiadomić *Nimitza*. Niech rozpoczną unik na prawą burtę, szybko!

USS *California* gwałtownie przechyliła się na lewą burtę, w momencie gdy zaczęła wchodzić w ostry lewy zakręt. Na pokładzie trudno się było utrzymać do czasu ukończenia manewru. Ale zaraz włączyły się komputerowo sterowane

stabilizatory i powoli, z wysiłkiem okręt o wyporności jedenastu tysięcy ton wyprostował się. W chwilę potem znowu wrócił ogień, dym i ryk silników. Cztery rakiety Standard wyskoczyły z szyn wyrzutni, poszybowały w stronę szarego horyzontu i błyskawicznie zniknęły z oczu.

– Cztery Standardy poszły, sir. Przednia stowudziestkasiódemka gotowa. Wszystkie stanowiska Phalanx też meldują gotowość.

– Rufowa stowudziestkasiódemka, ognia!

– Tak jest... *Nimitz* melduje, że wypuszcza samoloty, ale nie może wykonać skrętu w prawo. Ich systemy Phalanx uruchomione.

Przekleństwa, które zaczął rzucić kapitan, utonęły w łomocie dwu uniwersalnych, pięciocalowych dział. Co dwie sekundy, precyzyjnie sterowane przez komputer działa wyrzucały na przemian trzystufuntowe pociski przeciwlotnicze kierowane radarem. Przy każdym ogłuszającym wystrzale *California* wydawała się odskakiwać w bok.

– Sytuacja! Gdzie są te cholerne...? – dalsze słowa uwięzły mu w gardle. Jak zahipnotyzowany stał i patrzył. Od prawej burty zbliżało się widmo. Jak płonąca włócznia celująca w serce *Californi*, nadlatywało powoli, prawie leniwie. Miało skrzydła w kształcie krzyża, a długi korpus przypominający cygaro był poczerniały i płonął.

Dziwne monstrum ciągnęło za sobą ogon gęstego, czarnego dymu i jakby chwiała się niepewnie w górę i w dół. Ale mimo wszystko nadlatywało coraz bliżej...

– Ster prawo na burtę. Cała naprzód! – wydał rozkaz kapitan.

Sternik zakręcił kołem, ale jego odpowiedź utonęła w długim, wyjąym staccato działek Phalanx z prawej burty. Były to sterowane radarem, wielolufowe działka rewolwerowe kalibru dwadzieścia milimetrów, używane jako ostatnia deska ratunku w przypadku ataku pocisków powietrze-woda. Kapitan Page zauważył dym u wylotu luf. Płonąca włócznia otoczyła się chmurą ognia i rozległ się ogłuszający huk...

W ostatniej chwili życia kapitan Page pomyślał o żonie. Oczy Amandy miały ten sam odcień co błękitny baldachim rozpościerający się nad jego głową. Uśmiechał się, kiedy zstąpiła na niego ciemność.

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG*

Ann, spiesząc do członu dowodzenia, zlekceważyła przepisy bezpieczeństwa i kontroli. Cała załoga patrzyła na nią, kiedy podeszła do dowódcy.

– Jeszcze nic nie wiadomo – poinformował ją generał. – Fregata *Oliver Hazard Perry* jest przy *California*.

– Co powiedzieli? Co się stało?

– Nasze okręty zostały zaatakowane przez sześć radzieckich bombowców średniego zasięgu – zaczął wyjaśniać Walker. – Bombowce były eskortowane przez myśliwce Su-27 z *Brezniewa*. Miały na pokładzie pociski Kelt do zwalczania okrętów. Podobno te Su-27 zestrzeliły sześć naszych samolotów Tomcat, które je ścigały. *California* i inne okręty z eskorty posłały cztery bombowce na dno Zatoki, ale reszta odpaliła rakietę. Dwie z nich trafiły *Californię* w burtę.

– Dobrze, że przynajmniej nie były to pociski nuklearne – szybko powiedział Saint-Michael, nie patrząc na Ann. – *California* nadała SOS i w ciągu kilku minut *Oliver Hazard Perry* już był przy niej. Będziemy wiedzieli więcej, kiedy ugaszą pożar.

– Ile jeszcze czasu... do wznowienia obserwacji tego rejonu? – zapytała Ann, próbując nie okazać, co się z nią dzieje.

Saint-Michael pragnął ją objąć, ale na razie każde z nich musiało grać swoją rolę...

– Dwadzieścia minut – odpowiedział na jej pytanie. Chciał powiedzieć coś więcej, pocieszyć... ale byłby to fałszywy i w dodatku krępujący gest. Patrząc na nią, domyślał się, co przeżywa, jak bardzo niepokoi się o ojca. Podziwiał ją i współczuł. Zachowywała się jak prawdziwa dama, do diabła... jak wspaniała kobieta.

TIURATAM, ZSRR

Wczesnym rankiem załoga została zaskoczona niespodziewaną inspekcją, przeprowadzoną przez dowódcę Obrony Kosmicznej, Aleksandra Goworowa. W towarzystwie świeżo awansowanego pułkownika Nikołaja Gulajewa wszedł do hali montażu Elektronów, będącej częścią kompleksu „Płonąca Gwiazda”, z którego startowały pociski antysatelitarne. Starszy chorąży Igor Kakriejatos siedział tyłem do wejścia, z nogami na biurku, popijając kawę zakropioną wschodnio-niemieckim schnapsem. Ten potężnie zbudowany mężczyzna ze znużeniem przyglądał się pracom prowadzonym na platformie startowej numer dwa.

– Coś dzisiaj chyba wolniej idzie niż zwykle, Anokin – powiedział przez ramię. – Odłożę inspekcję wyrzutni numer dwa do jutra do drugiej, ale przypilnuj, żeby wszystko było gotowe, bo jak nie, to polecą głowy.

Gulajew zerknął na Goworowa. Był prawie pewien, że dowódca Obrony Kosmicznej zaraz sięgnie po swój pistolet automatyczny Tokariew TT-33 kaliber 7,62 i zastrzeli Kakriejatowa na miejscu. Ale ku swemu zdumieniu zobaczył, że Goworow uśmiecha się, bierze ze stołu butelkę schnapsa, wacha zawartość i z aprobatą kiwa głową.

Ciągle nie odwracając się, podoficer odezwał się znów:

– Anokin, nawet nie musisz się odwracać, by wiedzieć, co trzymasz w ręce. Gdyby przypadkiem przyszło ci do głowy, żeby to ukraść albo wypić, będzie cię to kosztować miesiąc służby w kuchni plus tygodniowy żołd.

– Chyba jednak nie, towarzyszu.

Kakriejatow gwałtownie zerwał się na nogi i stanął na baczność, patrząc prosto przed siebie i ciężko oddychając.

– Sądzę, że znalazłem przyczynę opóźnienia się mojego programu Elektron, pułkownika Gulajew – powiedział Goworow. Z lekkim uśmiechem upuścił butelkę schnapsa na betonową posadzkę. W pierwszym odruchu Kakriejatow chciał wyciągnąć rękę i złapać ją, ale powstrzymał się i pozostał w pozycji na baczność.

– W momencie gdy ta butelka uderzyła w podłogę, Kakriejatow, przestaliście być starszym chorążym – odezwał się Goworow już bez uśmiechu. – Do jakiej rangi spadnicie albo czy wasza kariera wojskowa nagle się nie skończy, zależy będzie od waszych odpowiedzi na moje pytania i od tego, co zrobicie w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin. – Czekał przez chwilę na wrażenie, jakie zrobią jego słowa, a potem kontynuował: – Pułkownik Gulajew zameldował mi, że drugi Elektron już od trzech dni stoi i czeka na podłączenie do swojej rakiety nośnej SL-16. Kiedy pyta o stan zaawansowania prac, nie otrzymuje odpowiedzi. Przyszedłem więc po tę odpowiedź osobiście, Kakriejatow.

Świeżo zdegradowany chorąży odpowiedział, że nie ma nic na swoje usprawiedliwienie.

– To niewłaściwa odpowiedź. – Oczyma wyobraźni Kakriejatow już widział, jak pięć tysięcy rubli rocznie wylatuje mu z kieszeni. – To nie jest żadna cholerna akademia wojskowa. Kiedy zadaję pytania, spodziewam się sensownej odpowiedzi. A więc pytam jeszcze raz: jaka jest przyczyna opóźnienia?

– Nie byłem zorientowany w procedurze dotyczącej Elektronu. Moi ludzie nie są dopuszczani do bezpośredniej pracy przy nim bez specjalnego nadzoru ekipy pułkownika Gulajewa.

– Czy ludzie pułkownika Gulajewa uniemożliwiają wam pracę?

– No nie...

– Czy ograniczają wam dostęp do któregośkolwiek pomieszczenia?
– Luk bagażowy jest zaplombowany, a niektóre urządzenia z kokpitu są wymontowane albo zabezpieczone.

– Zgodnie z moją instrukcją – odpowiedział Goworow. – Czy to właśnie brak dostępu do ładowni i zabezpieczenie niektórych urządzeń w kokpicie są powodem opóźnienia?

Kakriejatow nie odpowiedział.

– Nie? A więc to wszystko było kłamstwo. Słucham, dlaczego, do diabła, ta SL-16 nie jest gotowa do startu?

– Melduję, że części zamienne nie zostały zamówione odpowiednio wcześniej. Właśnie dopiero co zostały zainstalowane, ale brygady...

– Kto ich nie zamówił na czas?

Kakriejatow zamknął oczy, szykując się do egzekucji.

– Melduję, że to ja nie zamówiłem osprzętu do prób ciśnieniowych trzeciego członu rakiety. Właśnie dzisiaj te próby są przeprowadzane. Kiedy zostaną ukończone, dokonam inspekcji. Druga rakietka SL-16 będzie gotowa do startu w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

Goworow pokiwał głową.

– A teraz słuchajcie uważnie. Dla własnego dobra powinienem wnieść na was skargę za picie alkoholu w tym budynku. Ale nie zrobię tego, bo szkoda mi czasu. Jednakże wasze pobory zostaną obniżone o jedną grupę za każdą godzinę zwłoki ponad ustalone czterdzieści osiem godzin, w ciągu których obie rakiety SL-16 powinny być gotowe do startu. Następne grupy będą odejmowane za każdą chwilę opóźnienia startu z waszej winy. Jeśli już nie będzie z czego odejmować, załatwię wam po roku obozu pracy za każdy taki moment zwłoki. Ale nie naciskajcie swoich ludzi za bardzo, aby nadrobić swoje własne leniwość, Kakriejatow, bo mogą zechcieć zachorować, i co wtedy będzie z wami? – Dalej już nie musiał tłumaczyć. Wszystko było jasne.

– To ja jestem odpowiedzialny za niedopełnienie obowiązków przez Kakriejatowa – odezwał się Gulajew, kiedy skierowali się do wyjścia. – Gdybym dokładniej kontrolował pracę jego sekcji, mógłbym to wcześniej zauważyć.

– A więc niech to będzie dla ciebie bolesną lekcją, Nikołaj. Nie można sprawnie dowodzić zza biurka. Byłeś dokładny i dociekliwy, ale nigdy nie skontrolowałeś postępu prac osobiście. – Spojrzał na swojego zastępcę. – Pomyśl o obsadzie dla Elektrona numer dwa i przygotuj go do startu w ciągu dwóch dni. To jedyny sposób, żebyś się zrehabilitował. No i powodzenia, Nikołaj... Nie wiesz, jak wiele od ciebie zależy...

– Tak jest... Wracając do tematu, pułkownik Wołoszyn, pilot, którego wybrałem dla Elektronu dwa, już się zgłosił na „Płonącą Gwiazdę”. Dokładnie przestudiowałem jego kartę zdrowia i dotychczasowe osiągnięcia. Jest znakomity.

– To dobrze... – Goworow umilkł. W odległości niecałych trzech mil od nich widać było Elektronu jeden zamontowanego już na rakiemie nośnej SL-16-A. Ta trzystopniowa rakietka, napędzana paliwem stałym i płynnym, podobna do dawno już nie używanych amerykańskich Saturnów V, miała ponad dwadzieścia stóp wysokości i ważyła prawie dwieście pięćdziesiąt ton. Do niższego członu dołączone były cztery rakiety wspomagające napędzane paliwem stałym, których zadaniem było wyniesienie ładunku na wysokość tysiąca mil na orbitę okołoziemską.

– Chciałbym wejść na Elektronu – powiedział Goworow, wsiadając do służbowej limuzyny ZIL. – Proszę, załatw mi to.

– Tak jest – odpowiedział Gulajew i natychmiast podniósł słuchawkę znajdującego się w samochodzie telefonu. Już po kilku minutach wjeżdżali windą do kapsuły SL-16.

Samolot kosmiczny Elektron był koloru ciemnoszarego, co miało ułatwić stabilizację temperatury w momencie wejścia w kosmos. Długość jego wynosiła pięćdziesiąt pięć stóp, a rozpiętość skrzydeł – trzydzieści stóp. Nos, krawędzie natarcia płatów i cały spód pokryte były ochronnymi płytkami silikonowymi. Tył samolotu był zaokrąglony i doskonale wpasowany w otwór o średnicy trzydziestu stóp trzeciego członu rakiety SL-16. Poczynając od miejsca połączenia z rakieta, kadłub samolotu spłaszczal się łagodnie w kierunku przodu. Kształtem przypominał płaszczykę ogońcę. Tylko kokpit był jakby małym zgrubieniem na grzbiecie; dalej przechodził w niewielką ładownię o pojemności dziesięciu ton i komorę głównego silnika. Za nim łagodnie wznosił się statecznik pionowy.

Technicy z obsługi przymocowali do samolotu barierki ochronne i uchwyty. W tym czasie Goworow, centymetr po centymetrze, sprawdzał stan poszycia.

– Chyba wszystko w porządku – powiedział. – Wykonali fantastyczną robotę.

– Płytki ochronne są kontrolowane dwa razy dziennie – poinformował Gulajew. – Aż do momentu startu.

Technicy otworzyli właz do kabiny. Jakby całe życie nic innego nie robił, tylko latał samolotem kosmicznym, Goworow obtupał buty ze żwiru, złapał za uchwyty i wspiął się do kokpitu.

Kakriejatow, Gulajew, dwóch ludzi z obsługi technicznej – wszyscy oni przestali dla niego istnieć w tej krótkiej chwili, gdy wślizgiwał się za stery samolotu kosmicznego. To raczej kosmiczny myśliwiec, powiedział do siebie.

Wnętrze kabiny było futurystyczne, wyposażone w supernowoczesną aparaturę cyfrową, laserowy wskaźnik refleksyjny i cyfrowy monitor komputerowego sterowania bronią pokładową. Trzy dodatkowe mikroprocesory kierowały wszystkimi funkcjami związanymi z lotem. Ale właściwie wszystko, począwszy od wejścia na orbitę do powrotu w atmosferę i lądowania, mogło być wykonywane ręcznie albo zdalnie sterowane przez kontrolerów z centrum naziemnego. Wnętrze było wystarczająco obszerne, aby kosmonauta miał swobodę ruchu i możliwość korzystania z drugiego zestawu przyrządów umieszczonych na panelu znajdującym się za jego plecami. Na spodzie kadłuba znajdowała się komora cumownicza, umożliwiająca połączenie z orbitującą radziecką stacją kosmiczną *Mir*. Było niezwykle ważne, aby w swoich planowanych misjach bojowych Elektron mógł uzupełniać paliwo.

– Wspaniały... – zachwycił się Goworow. Obejrzał dokładnie panel sterowania bronią pokładową i przyciski umieszczone na wielofunkcyjnym drążku sterowniczym. Z zadowoleniem stwierdził, że w czasie ich rozmieszczania wzięto pod uwagę odmienność warunków w środowisku wolnym od przyciągania ziemskiego.

W kosmosie, gdzie nie istniało poczucie „góra-dół”, pilot nie mógł polegać na reakcjach mięśni, które w normalnych warunkach w ułamku sekundy podpowiadały mu, jakie przyciski należy włączyć.

W kabinie samolotu kosmicznego należało je rozmieścić w logicznej kolejności.

Gulajew przyglądał się. Musiał przyznać w duchu, że nie chciałby być na miejscu swojego dowódcy i mieć w perspektywie pilotowanie tego dziwnego pojazdu. W jego ciemnym wnętrzu kryło się coś złowieszczego. Jakoś nigdy nie przyszło mu to do głowy... Otrząsnął się z tego wrażenia i spojrzął na zegarek. – Przepraszam, towarzyszu generale, musimy już wracać do dowództwa.

Goworow skinął głową, ale jego ręce wciąż jakby nie mogły się rozstać ze sterami kosmolotu. Wreszcie po chwili sięgnął do uchwytu przy górnej krawędzi kabiny, podciągnął się i wysunął na zewnątrz.

– No tak – powiedział – no tak... – Jego ręka poklepała kadłub tego latającego cudu techniki. A może raczej słowo „pieściła” byłoby właściwsze?

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG*

– Uwaga, stacja. Przechodzimy przez horyzont celu. Czerwony alert.

Ann znajdowała się na swoim stanowisku w module inżynierskim, gdy usłyszała komunikat. Jeszcze przed chwilą zastanawiała się nad możliwością opuszczenia *Silver Tower*. Była to jedna z najtrudniejszych decyzji, a jej podjęcie dodatkowo komplikowała świadomość, że Skybolt był o krok od osiągnięcia pełnej zdolności operacyjnej. Gdyby mogła wykonać chociaż jeszcze jeden test... Ale teraz już chyba nie będzie takiej możliwości. Tam na dole wypadki rozgrywały się tak szybko. Nawet ona musiała przyznać, że pewne sprawy są ważniejsze. A poza tym zaczynała rozumieć, co miał na myśli Jason... to znaczy Saint-Michael... mówiąc, że zbyt wielu członków rodziny Page jest zaangażowanych w ten konflikt. Nie mogła pogodzić się z myślą, że nie wie, co się stało z jej ojcem, że może nawet...

Zdecydowała się. Opuści stację. Na pewno znajdzie się jeszcze okazja, aby wrócić i dokończyć prace, może już nawet niedługo. A na razie właściwie nic tu po niej. Czula jednak, że będzie jej brak upartego generała. Nie chciała się do tego przyznać, ale to, niestety, była prawda... Od jej wejścia na pokład stacji właściwie nic innego nie robili, tylko się sprzeczali. Teraz zrozumiała, co się za tym kryło, przynajmniej częściowo. Po prostu byli do siebie zbyt podobni. Oboje mieli silną, zaborczą osobowość, chcieli dominować. Nie bardzo potrafili nawiązać kontakt emocjonalny. A może to, co on robił przez cały czas, stanowiło próby zbliżenia się, a ona była za głupia albo zbyt uparta, żeby dostrzec, co się za tym kryje? Może ich rozmowa, którą przerwał atak na *Nimitza*, miała szansę to wyjaśnić? Kiedy teraz o tym wszystkim myślała, dochodziła do wniosku, że to wszystko prawda, i była na siebie wściekła. Nie ma co, znowu się popisałaś, panno Page. Oto człowiek godzien podziwu, podobny do kogoś, kogo kochasz, a kto znajduje się na pokładzie *Californi*... Słyszała komunikaty radiowe i rozmowy na temat zaatakowanej *Californi*, ale zwalczyła w sobie chęć, żeby opuścić swoje stanowisko i pognać do modułu dowodzenia. Było jej niewygodnie w kombinezonie przeciwprzeciążeniowym, który włożyła szykując się do opuszczenia *Silver Tower* na pokładzie wahadłowca *Enterprise*. Starła się odpędzić ponure myśli.

W module dowodzenia szef techniczny misji, pułkownik Walker, zapytał Saint-Michaela:

– Czy będziemy atakować ich lotniskowiec, generale?
Saint-Michael zaprzeczył ruchem głowy.

– Rozkazy mówią o ochronie Iranu przed radziecką inwazją. Nie dostałem polecenia ataku na *Breżniewa*. Wygląda na to, że dokonaliśmy jakby wymiany, bolesnej, ale uczciwej: nasza *California* za ich transportowce i myśliwce zestrzelone przez nas nad Teheranem. Gdyby Rosjanie się teraz wycofali, może cała sprawa by się rozwiązała.

– *Z Breżniewa* startują samoloty – przerwał im sierżant Jake Jefferson. – Lecą z dużą prędkością w kierunku zachodnim.

– Na zachód?!

– Tak jest, sir. *Z Nimitza* też startują i lecą za nimi. Chyba nikt się jednak dzisiaj nie wycofa, panie generale...

Saint-Michael uruchomił panel łączności, sprawdził aparaturę szyfrującą i wcisnął włącznik mikrofonu.

– *Nimitz*, tu *Armstrong*. Zgłoście się.

– Tu Clancy, Jason. Możesz mówić.

– Zauważyliśmy Flankery lecące na zachód. Czy wasze samoloty idą za nimi?

– Potwierdzam. Nasze lotnictwo wysłało AWACS-a 767B na wschód w okolicy Rijadu. Poprosili, żeby go chronić przed atakiem tych Flankerów, do czasu gdy przylecą F-15 z bazy w Kigzi. W drodze powrotnej będzie miał osłonę pocisków ziemia-powietrze Rapiet, do chwili gdy nasze F-15 będą mogły go przejść.

– Zrozumiałem. Obserwujemy cały obszar. Nie macie problemu z odbieraniem naszych danych?

– Do tej pory nie. Dostajemy je poprzez *Ticonderogę*. To pieski sposób, ale nie ma innego wyjścia od czasu, gdy *California*... – Transmisja została nagle przerwana głośnym, przeszywającym dźwiękiem. Wszyscy zerwali z głowy słuchawki.

– Co, do diabła...?

W chwili gdy Saint-Michael zażądał natychmiast raportu technicznego, gwałtowny przechył rzucił wszystkich na podłogę. Operatorzy krzyczeli z bólu, nikt nie panował nad sobą. Byli jak szmaciane lalki rzucone przez rozszalone dziecko. Cała kapsuła wydawała się wirować w kilku kierunkach jednocześnie.

Generał Saint-Michael był przypięty pasami do swojego fotela, a więc jako jedyny pozostał na miejscu. Natychmiast włączył głośniki.

– Uwaga, stacja. Ostrzeżenie kolizyjne. Proszę o raport dotyczący uszkodzeń. *Enterprise*, udzielam zezwolenia na odłączenie awaryjne.

Stacja na czerwonym alercie. – Odpiął pasy, aby wstać, ale stwierdził, że coś go trzyma.

Grawitacja! Po raz pierwszy *Silver Tower* znalazła się pod jej działaniem. Niezależnie od tego, co ją wywołało, stacja może się za chwilę rozlecieć na kawałki, jeśli nie powstrzyma się potężnych sił.

Z ogromnym wysiłkiem Saint-Michael pokonał niespodziewanie silne przeciążenie i wydostał się z fotela. Czuł się, jakby jechał ekspresową windą na ósme piętro. Po wielu tygodniach przebywania w stanie nieważkości było to bardzo silne przeżycie.

Walker, Jefferson i operatorzy powoli zbierali się na nogi. Saint-Michael z trudem przedostał się do wskaźników położenia.

– Sprawdź, co z Davisem i Montgomerym! – rzucił w stronę Walkera. Dwóch operatorów zwijało się z bólu na podłodze.

– Złamana noga – zameldował Walker po obejrzeniu Davisa. Potem obmacał drugiego operatora. – Podejrzenie złamania żebra, może nawet obrażenia wewnętrzne.

– Pali się zbiornik paliwa numer trzy! – Saint-Michael wściekle uderzał w klawisze, a potem nacisnął jakiś guzik. – Odłączyłem zbiornik paliwa.

Siły grawitacyjne powoli zanikały. Saint-Michael i reszta załogi wsłuchiwali się w głośnie stukoty i syki włączających się po kolei dziesięciu bloków potężnych silników manewrowych, korygujących położenie stacji. Po chwili prawie wszystko powróciło do normy.

– Co się, do diabła, stało?!

– Prawe dolne zbiorniki paliwa – odpowiedział generał, przebiegając ekrany komputerów. – To ich eksplozja wywołała taki efekt. – Podniósł do uszu słuchawki. – Znikł już ten piekielny dźwięk. – Odłożył je i włączył mikrofon: – Uwaga, stacja. Jeden z naszych zbiorników paliwa eksplodował. Już za chwilę powinniśmy wrócić do poprzedniego stanu nieważkości. Proszę meldować pułkownikowi Walkerowi każdą...

Nagle światła w członie dowodzenia przygasły prawie zupełnie. Panel sterowania zaczął prychać, dymić i strzelać wiązkami iskier. Zrobiło się gorąco jak w saunie.

Saint-Michael błyskawicznie nasunął na twarz maskę tlenową i rozkazał załodze zrobić to samo.

– Personel wolny od służby, przejść do modułu ratunkowego – rzucił następny rozkaz. Moduł ratunkowy był nie posiadającym zdolności manewrowania kokonem, wyposażonym w system podtrzymywania warunków życia.

W czasie gdy Walker sprawdzał kolejno wszystkie maski, Saint-Michael podłączył kabel do mikrofonu znajdującego się w jego własnej masce.

– Cały personel, zgłóście się, gdzie jesteście.
– Sierżant Bayles, moduł ratunkowy. Są ze mną Moyer, Yemana, Kelly i obsługa techniczna. Nic się nikomu nie stało. Człon sypialny i rekreacyjny ewakuowany, sprawdzony i zamknięty. Mam na sobie skafander kosmiczny i jestem gotowy do przeprowadzenia ewakuacji.

Kevin Baker, ciągle jeszcze na swoim stanowisku obserwacyjnym w kabinie dowodzenia, poprawiał coś przy masce tlenowej, ale w końcu się zgłosił.

– Tu Baker. Nic mi się nie stało. Przez tunel łączący widzę Ann. Wydaje się, że chyba wszystko z nią w porządku. Główny tunel łącznikowy z kabiny dowodzenia został zdekompresowany, *Enterprise* chyba dokonał awaryjnego odłączenia. Powtarzam, główny tunel łącznikowy prowadzący do wahadłowca nie jest bezpieczny.

– Tu Ann Page. Moduł inżynieryjny w porządku. Jestem w masce.

Saint-Michael spojrział na Walkera, który stał przy jednym z członków załogi ubranym w skafander kosmiczny.

– Czy coś nie w porządku, Jim?

– Chyba wysiadł interkom sierżanta Wallisa, szefie.

Saint-Michael rzucił w ich stronę swój notatnik, który zamiast po prostej, jak normalnie w warunkach nieważkości, poleciał po lekkim łuku.

– Przekaż mu wiadomość na piśmie. Powiedz, żeby zaczął szykować kule ratownicze, a potem niech pomoże Davisowi i Montgomery'emu dostać się do modułu ratunkowego i zmieni Baylesa. W module będzie mógł naprawić swój interkom. Sierżant Bayles, proszę zgłosić się do modułu dowodzenia.

Wallis podniósł do góry kciuk – a więc zrozumiał, o co chodziło w pośpiesznie nagryzmołonej notatce. Zaczął rozpakowywać kule ratownicze. Były to duże, wielkości człowieka, niby-torby z powlekanego plastikiem brezentu. W razie awarii astronauta wchodzi do wnętrza, zaciąga zamek błyskawiczny, a następnie wypełnia kulę tlenem z podręcznego aparatu. Astronauta w skafandrze kosmicznym może ją wtedy przetransportować do modułu ratunkowego, innego bezpiecznego członu, na pokład wahadłowca albo statku ratowniczego. Zanim pojawił się Bayles, Wallis już przygotował kulę dla każdego członka załogi w module dowodzenia, a potem pomógł dwóm rannym podejść do tunelu łączącego.

– Uwaga, wszystkie sekcje, sprawdzić moduły – rozkazał. – Ciśnienie wszędzie w porządku, oprócz tunelu ewakuacyjnego i modułu dokującego. Nie ma skażenia, tylko wzrosła temperatura...

– Panie generale, chyba wiem, w czym tkwi nasz problem – zameldował Wallis. Przy okienku swojego skafandra trzymał mikrofon i krzyczał do niego

ile sił w płucach, ale jego głos robił wrażenie, jakby dochodził z blaszanego kubła. – Jestem w tunelu łączącym moduł laboratoryjny z sypialnym. Widać stąd kil. Radiatory jakby ktoś uciął gigantyczną kosiarką do trawników. Prawie nic... – Usłyszeli przytłumiony krzyk.

– Wallis? Chryste, co się...?

W tym momencie światła znowu przygasły. Lampki na tablicach kontrolnych zamigotały, ale po chwili zaświeciły znowu. Monitory komputerów pokryły się komunikatami o usterkach. Zapaliły się sygnały ostrzegawcze. W kabinie dowodzenia zrobiło się potwornie duszno, niemal nie do wytrzymania.

– Kapitanie...

– Wallis? Co z tobą?

– Chyba... w porządku. Dopadła nas jakaś wiązka laserowa. Widziałem to świnstwo. Uderzyła od dołu i przeszła nad kabinami ciśnieniowymi. Z kilku sypią się iskry... myślę, że dostała jedna z anten SBR...

– Czy możesz się dostać do modułu ratunkowego?

– Chyba tak... Teraz widzę, antena SBR numer jeden jest zupełnie poszarpana, a blok kontrolny cały iskry...

– Okay, dobra robota. Idź teraz do modułu ratunkowego i niech ktoś cię obejrzy. Baker i Page też. Ann, będziesz musiała przejść przez łącznik między Skyboltem i magazynem. Przed wejściem dokładnie sprawdźcie włązy. Ruszać się!

Saint-Michael zwrócił się do Walkera, który razem z Jeffersonem sprawdzał pozycję i panel kontrolny.

– Zgadza się, generale. Straciliśmy antenę SBR numer jeden.

– A co z całością systemu?

– Druga antena w porządku – odpowiedział Jefferson. – Działa. Łatwo mogę ją przeprogramować. Może nie będzie takiej samej mocy i rozdzielczości, ale będzie działać.

– Czy jeszcze coś?

– Prawdopodobnie straciliśmy jeden silnik sterujący – powiedział Walker, przebiegając wzrokiem nie kończące się szeregi pokazujących się na ekranach komunikatów o usterkach. – Silnik numer jeden minus-Y ma ciśnienie zero, numer dwa pracuje więc nieprzerwanie. Pożeramy ogromne ilości paliwa.

– A ponieważ straciliśmy jeden zbiornik, wkrótce może być z nami źle. Poproszę o wyliczenie paliwa. Jak najszybciej.

– Tak jest, sir – odpowiedział Walker i z przygnębieniem spojrzął na generała. – Szefie, może to ten laser z Sary Szagan? Czy to prawdopodobne, żeby...?

– Dobrze wydedukowałeś, Jim. Walnęli nas laserem chemicznym. Kabinny ciśnieniowe wytrzymały, bo mają na sobie srebrną zbroję, ale wszyscy wiemy, że systemy zamontowane na kilu są w niebezpieczeństwie.

– Mamy połączenie z *Nimitzem*, panie generale – zameldował Jefferson.

Saint-Michael wrócił na swój fotel i przypiął się.

– *Nimitz*, tu *Armstrong*. Jak mnie słyszycie?

– Słabo, ale wyraźnie, *Armstrong* – odpowiedział radiooperator. – Proszę czekać, będzie mówił admirał Clancy.

– Sir – włączył się Walker. – Mam *Enterprise* na UHF. Proszą o instrukcje.

– Dobra. Powiedz im, niech czekają w odległości co najmniej pięciuset jardów od stacji i niech się przygotują do zabrania modułu ratunkowego. I niech się odwrócą ładownią od Ziemi, bo ten cholerny laser znowu może strzelać.

– Zrozumiałem.

– *Armstrong*, tu Clancy. Co się, do diabła, u was stało?

– Zostaliśmy zaatakowani, panie admirale. Połowa załogi jest w module ratunkowym. Trzech rannych, dwóch chyba poważnie. Podejrzewamy znaczne uszkodzenia systemu kontroli położenia przestrzennego. Jeden ze zbiorników zniszczony, drugi ma uszkodzenia boczne. Nasz SBR działa. Będziemy próbowali robić naprawy.

– Co was zaatakowało, Jason?

– Podejrzewamy naszych przyjaciół z Sary Szagan. Skontaktuję się z panem ponownie, gdy oszacujemy straty.

– Okay, Jason... Słuchaj, obawiam się, że mam złe wiadomości...

Saint-Michael wstrzymał oddech. Domyślał się, co za chwilę usłyszy.

– Chodzi o *Californię*... do tej pory naliczyliśmy sześciuset zabitych... Matt Page jest wśród nich.

Saint-Michael nie odpowiadał. Dopiero po dłuższej chwili nacisnął mikrofon.

– Zawiadomię jego córkę, panie admirale. Dziękuję, że się pan z nami skontaktował.

– To był fantastyczny facet, Jason. Zrobił wspaniałą robotę. Załoga go kochała. Wiedz, że nie przesadzam. Powiedz jej to.

– Tak jest, sir. Wyłączam się.

Saint-Michael rozejrzał się po kabinie. Ze wszystkich członków załogi chyba tylko Walker słyszał. Spojrzał teraz na generała i pokiwał głową ze smutkiem.

Saint-Michael postanowił na razie nie myśleć o śmierci kapitana Page'a. Jakoś to załatwi z Ann... później. Teraz musiał się skupić na dowodzeniu stacją. Spojrzał w prawo i zobaczył, jak Jefferson z czułością poklepuje główną konsolę SBR.

– Dobre wiadomości, inżynierze?

– Tak jest. SBR znowu działa. Może tylko zasięg jest trochę mniejszy, o jakieś sto mil. Oprócz tego trochę pogorszyła się rozdzielczość.

– Nie na wiele nam się to przyda, jeśli jeszcze parę razy dostaniemy tym laserem...

Jefferson przytaknął i powrócił do swoich ekranów, próbując przetrawić masy informacji, które napłynęły, w czasie gdy SBR nie działał. Już po niecałych dwu minutach znowu meldował.

– Samoloty odrzutowe nad Teheranem, generale. Całe roje. Wiele myśliwców.

– O Boże, Rosjanie chyba dobrali się do Teheranu! – wykrzyknął Walker, obserwując ekran. – Trzy transportowe Kondory już są na ziemi, na lotnisku Mehrabad. Wyładują setki żołnierzy. A Irakijczycy prawie doszli do Abadanu.

Saint-Michael próbował ocenić sytuację. Właśnie wezwał Baylesa i Moyera do pomocy w przekazywaniu i analizowaniu danych, kiedy *Nimitz* ponownie przerwał ciszę radiową.

– Wygląda na to, że gówno trafiło w wentylator – odezwał się admirał Clancy. – To skoordynowany atak. Myśliwce z *Brezniewa* rozpędziły nasze patrolujące Hawkeye. Nasila się atak na Teheran, a siły irackie przeszły przez granicę i posuwają się w kierunku Abadanu. Rosjanie dokładnie zafastrygowali całą północną część Zatoki.

Bez wątpienia nie była to dobra wiadomość, pomyślał Saint-Michael. Teheran oczywiście był ważny, ale pewne inne miejsce było znacznie ważniejsze. Włączył mikrofon.

– Sytuacja w Teheranie i Abadanie wygląda marnie, admirale. Ale czy nie uważa pan, że są trochę zbyt odsłonięci w Bandar Abbas?

– Masz rację, Jason. I tam właśnie uderzymy. Będzie mi potrzebna twoja pomoc. Może nawet wyciągniemy tę kartę atutową, o której rozmawialiśmy. Ile masz jeszcze czasu na tej orbicie?

– Sześćdziesiąt minut.

– Powinno wystarczyć. Miejmy tylko nadzieję, że to, co w was walnęło, nie będzie bisować.

– Rozumiem, admirale. Bez odbioru. – Saint-Michael odwrócił się i przez dłuższą chwilę w milczeniu wpatrywał się w główny monitor SBR.

Walker nie wytrzymał w końcu.

– Szefie, co jest grane?

– Clancy ma zamiar zacząć ofensywę...

– Ofensywę? Jaką? Gdzie? Rosjanie okrążają Iran ze wszystkich stron.

Saint-Michael popatrzył na Walkera.

– Chcemy rozegrać partyjkę pokera – oświadczył. – I miejmy nadzieję, że nasz bluff się uda.

W chwili gdy Jason Saint-Michael pojawił się u włazu do modułu ratunkowego, Ann już wiedziała. Wyczytała to na jego twarzy. Spodziewała się tego...

– Ann... tak mi przykro...

Oparła się o ścianę.

– Nie żyje? – Wiedziała, a jednak musiała to usłyszeć, żeby ta prawda do niej dotarła...

Saint-Michael zbliżył się i objął ją.

– Admirał Clancy zawiadomił mnie przed chwilą. Prosił, aby ci powiedzieć, że twój ojciec był wspaniałym oficerem, że cała załoga...

Ann spuściła głowę i łzy zaczęły jej spływać po policzkach. Odpychała go i jednocześnie czepiała się go rozpaczliwie. Przyciągnął ją mocno do siebie i trzymał w objęciach, pozwalając, żeby się wypłakała. Stali tak długą chwilę i czuli się sobie bardzo bliscy, a jeszcze tak niedawno wydawało się, że to niemożliwe.

W końcu Saint-Michael delikatnie odsunął ją i zaczął się zbliżać w kierunku wyjścia. Ale jeszcze odwrócił się i zatrzymał.

– Ann, on zrobił coś wspaniałego... wymanewrował *Californię* prosto na zbliżające się rakiety. Gdyby tak nie zrobił, na *Nimitzu* zginęłyby tysiące ludzi. Cała grupa byłaby zmuszona do odwrotu... Wiem, że dla ciebie to nie jest pocieszenie, ale chciałem, żebyś o tym wiedziała...

– Dziękuję, wiem. Czasami nawet mówił, że właśnie w taki sposób chciałby odejść. Ale mimo wszystko nie jest mi łatwo to przeżyć...

– Bo to nigdy nie jest łatwe – odpowiedział i zniknął w otworze włazu, pozostawiając ją jej smutkowi.

Rozdział 7

Lipiec 1992

OBSZAR POWIETRZNY NAD ZATOKĄ PERSKĄ, STO KILOMETRÓW NA POŁUDNIE OD *BREŻNIEWA*

To wydawało się proste. Śmiesznie proste.

Pilot radzieckiego myśliwca Su-27 Flanker z *Breżniewa* nie mógł powstrzymać uśmiechu. Tyle się mówiło o tym, jak bardzo niezależni są piloci amerykańskich myśliwców, jacy pomysłowi i nieobliczalni, i oto, proszę – miał ich teraz przed sobą jak na dłoni. Dziesięć amerykańskich myśliwców F-15 Eagle pchało się prosto w ręce swych przeciwników.

Radziecki lotnikowiec *Breżniew* wykrył atak formacji Eagle'ów z odległości trzystu kilometrów i pospiesznie wysłał na ich przechwycenie dziesięć nowoczesnych myśliwców Su-27, a potem następnych dziesięć, uzbrojonych w pociski powietrze-powietrze. Kontratak amerykański mógł nadejść tylko z trzech miejsc: z bazy lotniczej Kigzi w Turcji, z Rijadu w Arabii Saudyjskiej albo z Zatoki Omańskiej, gdzie znajdował się *Nimitz*. Wszystkie te obszary były szczelnie blokowane przez samoloty i okręty osłony *Breżniewa*. Gdyby więc grupa samolotów chciała zaatakować pozycje radzieckiej armii lądowej i marynarki w Teheranie i Tabrizie, musiałyby okrążyć siły irackie i radzieckie na zachodzie, *Breżniewa* i jego eskortę w Zatoce Perskiej oraz niszczyce i okręty wojenne w cieśninie Ormuz. Byłby to krok desperacki.

Przeciwnicy zbliżali się do siebie z prędkością ponad dwa tysiące kilometrów na godzinę, co sprzyjało radzieckim obrońcom. Myśliwce F-15 z Rijadu znajdowały się w powietrzu już prawie od godziny i były prawdopodobnie przeładowane uzbrojeniem oraz paliwem. Su-27, praktycznie takie same jak jednomiejscowa wersja amerykańskich F-15, wystartowały z *Breżniewa* zaledwie kilka minut temu i miały na pokładzie uniwersalne pociski powietrze-powietrze AA-11, natomiast niewiele paliwa. F-15 nie będą miały czasu na walkę powietrzną. Jak wskazywała ich obecna taktyka, spróbują przemknąć się

obok Su-27, możliwie blisko podlecieć do *Breżniewa* i odpalić swoje pociski. Desperacja. Czysta desperacja...

– Dowódca grupy jeden, tu kontrola. Namiar na nieprzyjaciela dwa-sześć-zero, odległość siedem-pięć kilometrów. Powiadom o uchwyceniu celu.

Pilot prowadzącego Flankera wcisnął guzik mikrofonu.

– Zrozumiałem, kontrola. Nieprzyjaciel na radarze, siedemdziesiąt kilometrów i wolno obniża pułap. Proszę o ostateczne zezwolenie na atak.

– Grupa jeden, zezwalam. – Następnie przeszedł na angielski: – *Good luck. Good hunting* ⁵. – Były to słowa dobrze znane wszystkim pilotom myśliwskim na świecie.

⁵ Powodzenia. Pomyślnych łowów (*przyp. tłum.*).

Pilot prowadzącego Flankera poczuł podniecenie. Wypowiedziane po angielsku credo myśliwców zawsze budziło jego instynkt łowiecki.

– Grupa jeden, sześćdziesiąt kilometrów. Końcowa kontrola uzbrojenia, meldować.

– Sekcja czerwona, gotowi.

– Sekcja złota, gotowi.

– Grupa jeden, namierzyć się i przygotować. – Pilot prowadzący wcisnął przycisk selekcyjnego celu celownika radarowego, aż kursor śledzenia został naprowadzony na samolot dowódcy klucza amerykańskiego. Wysoki, świdrujący, przerywany dźwięk sygnału oraz migające zielone światło na tablicy kontrolnej uzbrojenia dały znać, że celownik radarowy ADC-1054 W uchwycił cel.

Doskonale. Żadnych uników, żadnych zakłóceń. Pięćdziesiąt kilometrów.

– Grupa jeden... ognia!

To był radosny widok. Dwadzieścia nowoczesnych, naprowadzanych radarem pocisków dalekiego zasięgu, AA-11, wypełniło przestrzeń, mknąc ku swoim celom. Warunki do ataku raketowego były idealne. Amerykańskie F-15 schodziły w dół nieco ostrzejszym lotem nurkowym, próbując znaleźć schronienie na małej wysokości nad burzliwymi wodami Zatoki Perskiej, gdzie miały nadzieję ukryć się wśród zakłóceń echa radarowego. Ale w ten sposób jeszcze bardziej wystawiły się na potężne radarowe układy naprowadzania pocisków raketowych.

Pilot prowadzącego Flankera pospiesznie sprawdził swoją formację, następnie spojrzął na radar w poszukiwaniu ewentualnych niedobitków – i zobaczył coś nieprawdopodobnego.

Amerykańskie F-15 były ciągle widoczne na radarze. Wszystkie dwadzieścia pocisków AA-11 chybiło. Ale już po chwili zorientował się, dlaczego F-15, które leciały na wysokości tysiąca pięciuset metrów, kiedy Flankery odpalały swoje pociski, były teraz na pięciu tysiącach metrów.

Amerykańskie samoloty zdołały w jakiś sposób wznieść się prawie o cztery tysiące metrów w ciągu dziesięciu sekund. Nawet pocisk AA-11, który potrafił manewrować przy przeciążeniu przekraczającym siedem „g”, nie mógł im sprostać przy tak małej odległości.

Dowódca grupy myśliwców, jeden z *Brezniewa*, zadarł nos swojego Flankera Su-27 stromą świecą, rzucając się w pościg, ale nawet bez patrzenia na radar wiedział, że to bezcelowe. Musiał się bardzo wysilić, aby włączyć swój mikrofon.

– Kontrola, tu dowódca grupy jeden. Wszystkie cele są wciąż... wciąż w powietrzu i wymanewrowały ponad nas. Ostatni odczyt wykazał, że osiągnęły pięć tysięcy metrów i wciąż się wznoszą. Będę próbował przechwycić.

– Grupa jeden, tu kontrola – nadeszła niewyraźna odpowiedź z *Brezniewa*. – Nieprzyjaciel na waszej piątej godzinie, pułap pięć tysięcy metrów, odległość czterdzieści kilometrów, prędkość sześć-cztery-trzy kilometry na godzinę. Skręćcie w prawo, kierunek początkowy przechwycenia zero-dwa-zero.

– Grupa jeden, zrozumiałem wszystko.

– Grupa jeden, określ stan paliwa.

Dowódca grupy jeden sprawdził wskaźniki, czując jak czerwienią się jego policzki i uszy. Łatwo mógł wyobrazić sobie, co teraz mówiono na jego temat na mostku *Brezniewa* – że zrozumiwały i pewny siebie odpalił pociski ze zbyt dużej odległości, zamiast zbliżyć się bardziej do celu. Musiały być jakieś zakłócenia elektroniczne lub zastosowano fortel, który sprawił, iż wydawało się, że amerykańskie F-15 znajdują się niżej niż Su-27. Żaden samolot nie może się wznieść o cztery tysiące metrów w dziesięć sekund.

Co gorsza, znaleźli się obecnie w pościgu z tyłu, za ogonami amerykańskich myśliwców – a poza tym w powietrzu nie było teraz żadnych innych obrońców pomiędzy nimi a *Brezniewem*...

– Grupa jeden, paliwa ma dwa-zero minut. – Nawet ich sytuacja z paliwem była teraz gorsza. Amerykanie z pewnością znaleźli się na rezerwie – zwłaszcza po tym szaleńczym manewrze – ale obecnie okoliczności już nie sprzyjały obrońcom.

– Grupa jeden, grupa alarmowa dwa szykuje się do startu. Odbierzemy was przy paliwie minus pięć. Potwierdzić.

– Grupa jeden, zrozumiałem. – Mieli obecnie piętnaście minut na załadowanie Amerykanów. W przeciwnym razie grupa dwa – młodziki z pokładu *Brezniewa* – wystartuje i wyruszy na przechwycenie. Było to tak żenujące, że wolał o tym nie myśleć.

Nie sprawdzając, czy eskadra czerwona zdoła dotrzymać mu kroku, prowadzący grupy jeden popędził w kierunku wschodnim w pogoni za uciekającymi samolotami amerykańskimi, jednocześnie nabierając wysokości na włączonym dopalaczu. Na ekranie radaru przeszukującego gorączkowo poszukiwał nieprzyjaciela. Miał mniej czasu, niż początkowo przypuszczał: jeśli F-15 były uzbrojone w pociski Harpoon do zwalczania okrętów, to mogły zaatakować nawet z odległości sześćdziesięciu kilometrów, a przy tak dużej wysokości może nawet z większej... Są!

– Kontrola, tu dowódca grupy jeden, mam ich na dwunastej, trzydzieści sześć kilometrów. Wysoko. Rozpaczynam przechwycenie. Grupa jeden, meldować się.

– Sekcja czerwona. Jesteśmy na twojej godzinie szóstej, jedna mila. Nie utrzymaliśmy się za tobą w zakręcie, Wiktor. Dołączamy z prawej.

– Zrozumiałem. Sekcja złota, patroluj górę. Sekcja czerwona pójdzie za wami.

Zaskoczenie odebrało mu dech. F-15 leciały prosto i równo z prędkością za ledwie pięciuset kilometrów na godzinę. Flankery pędziły ku nim prawie trzykrotnie szybciej. Dowódca wybrał cztery spośród dziesięciu samolotów nieprzyjacielskich. Jego system kontroli ognia przeprowadzi atak na wszystkie cztery jednocześnie. Nagle jeden z nieprzyjacielskich samolotów przechylił się ostro w lewo i zaczął gwałtownie nurkować.

– Czerwony pięć, jeden odrywa się w lewo w dół na twojej jedenastej. Idź za nim. Jest twój.

– Czerwona piątka, cel uchwyciony. Idę za nim.

Odległość malała gwałtownie. Kiedy doszła do około dwudziestu kilometrów, prowadzący zauważył, że formacja amerykańskich F-15 wykonuje płytki skręt w lewo.

– Nieprzyjaciel robi unik w lewo. Sekcja czerwona, schody w prawo, za nim.

– Dwa.

- Trzy.
- Cztery.

Prowadzący rzucił szybkie spojrzenie w prawo, kontynuując swój płytki skręt w lewo za amerykańskimi F-15. Cztery Su-27 trzymały się idealnie skrzydło przy skrzydle, dzięki czemu mogły dobrze utrzymywać cel. Formacja pod kątem prawie dziewięćdziesięciu stopni odeszła od grupy bojowej lotniskowca *Brezniew*, kiedy dowódca grupy jeden usłyszał:

- Grupa jeden, wystartowała grupa dwa. Dołączą do was, żeby pomóc.
- Zrozumiałem, kontrola. Staramy się. Sekcja czerwona, uchwycić cel i

przygotować do odpalenia.

- Dwa.
- Trzy.
- Cz...

– Dowódca grupy jeden, tu czerwona piątka. Mam kontakt wzrokowy, to nie jest myśliwiec. Powtarzam: to nie jest myśliwiec.

Prowadzący próbował zrozumieć, o co chodzi, aż wreszcie krzyknął:

- Czerwony pięć, zniszcz go. Sekcja czerwona, ognia!

Poprzez przednią osłonę kabiny prowadzący dostrzegł białe smugi. To pociśki AA-11 zeszyły z prowadnic wyrzutni. Zostały odpalone z odległości poniżej osiemnastu kilometrów – żaden samolot na świecie nie potrafi uciec przed pociskiem AA-11 wystrzelonym z takiej odległości...

Kiedy jednak prowadzący spojrzał ponownie na ekran radaru, brakowało tylko trzech spośród dziewięciu. Co gorsza, nieprzyjaciel był teraz daleko z lewej. Dosłownie w mgnieniu oka odskoczyli prawie prostopadle do toru lotu pocisków AA-11.

– Kontrola, trzech napastnicy zniszczeni. Sekcja czerwona, idźcie za mną w stronę niedobitków. Czerwony pięć, co widziałeś?

– To zdalnie kierowane samoloty bezzałogowe HIMLORD. Ten, który widziałem, był uszkodzony, spadał korkociągiem...!

– Samoloty bezzałogowe! – A więc to tak. Prowadzący nie wiedział dokładnie, co oznacza skrót HIMLORD, ale wiedział, co to jest. Bardzo szybkie i zwrotne bezzałogowe samoloty zwiadowcze. Mogły z łatwością wywinąć się pociskom AA-11, ponieważ były przystosowane do takich skrajnych manewrów... Widział filmy o HIMLORD-ach osiągających gigantyczne przyspieszenia we wszelkich możliwych warunkach lotów. Kraje

NATO i ich sojusznicy używali HIMLORD-ów do rozpoznania pola walki, ale było oczywiste, że te zostały użyte dla odwrócenia uwagi... Albo jako wabik...?

– Dowódca, tu czerwony trzy, mam kontakt wzrokowy z nieprzyjacielem.
– Szybkie spojrzenie... Jest. Nawet z odległości czterech kilometrów mógł go łatwo zobaczyć. Był duży, miał ostro zakończony przód, stabilizatory poziome z przodu kadłuba, bardzo duże skrzydła główne z rozpraszaczami wirów brzegowych i stabilizatory pionowe – górny i dolny. Duże, turboodrzutowe silniki co kilka sekund wypuszczały kłęby czarnego dymu. Zaskakujące, że tych sześć samolotów leciało w idealnym niemal szyku, trzymając się cały czas razem, mimo ostrych zwrotów i gwałtownych zmian prędkości.

– Kontrola, tu dowódca grupy jeden. Ścigamy samoloty bezzałogowe...

– Grupa jeden, tu dowódca grupy dwa. Jesteśmy na twojej szóstej w odległości trzydziestu kilometrów. Czy mamy patrolować poniżej? Odbiór.

– Grupa dwa, nie. Wracajcie natychmiast do bazy. Zostaliśmy wykiwani. Dwadzieścia naszych myśliwców ściga jakieś cholerne bezzałogowce. Grupa jeden, przerwać atak. Kontrola, tu grupa jeden. Wracamy do bazy.

Radio szumiało głośno. Znajdował się na granicy słyszalności, a HIMLORD-y były najwyraźniej wyposażone w małe urządzenia zakłócające.

Dowódca grupy jeden ze złością zerwał maskę tlenową. Zmarnowali prawie godzinę, dziesiątki pocisków i tysiące litrów cennego paliwa, uganiając się za cholernymi bezzałogowcami. Co było prawdziwym celem...?

Kilka minut później, zostawiając amerykańskie HIMLORD-y daleko za sobą i wciąż podążając w kierunku zachodnich brzegów Zatoki Perskiej, dowódca grupy jeden w końcu odzyskał łączność z lotniskowcem *Brezniew*.

– Kontrola, tu grupa jeden. Jesteśmy w odległości stu kilometrów od was. Proszę o zezwolenie na zbliżenie.

– Grupa jeden, zezwalam na zbliżenie. Powtarzam, zezwalam tylko na zbliżenie. Startują samoloty.

Kilka minut później zrozumiał, jaki był powód.

– Zielony cztery, tu kontrola. Nieprzyjacielski kontakt powietrzny namiar zero-cztery-pięć, odległość sto kilometrów na twojej dwunastej.

– Zrozumiałem, kontrola – potwierdził zielony cztery:

– Lokalizuję radary przeciwlotnicze pracujące w paśmie „J” w pobliżu współrzędnych F-jeden-zero-dwa delta i lima.

F-102 – to były Bandar Abbas i Bandar-e Lengeh, dwie irańskie bazy

wojskowe nad cieśniną Ormuz. Zielony cztery był eskadrą pięciu Jaków-38, zbudowanych co najmniej ćwierć wieku temu myśliwców pionowego startu i lądowania z *Brezniewa*. Nie były zdolne stawić czoła jakiegokolwiek obronie naziemnej, nie mówiąc o radarach działających w paśmie „J” i naprowadzających potężne pociski klasy ziemia-powietrze. Nawet Su-27 miałyby z nimi ciężką przeprawę, a tym bardziej przestarzałe Jaki-38.

Nieprzyjacielskie wyrzutnie raketowe w Bandar Abbas? Przecież stanowiąca irańska dawno zostały zniszczone, jeszcze na początku działań wojennych. Cały teren został opanowany. Kto więc...?

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG*

– Zawracają w kierunku lotniskowca, kapitanie.

Generał Saint-Michael obrócił się na fotelu i szybko przejrzał główny ekran SBR. Skinął na sierżanta Jeffersona:

– Dobra robota, Jake. Czy jest dość paliwa, aby odzyskać te HIMLORD-y?

– Chyba nie, ale mogę się mylić. Nigdy jeszcze nie sterowałem samolotem bezzałogowym. Myślę, że znajdziemy się na granicy horyzontu, zanim będę mógł próbować je odzyskać. Później polecą już na automatycznym pilocie, aż skończy się paliwo.

– Spróbuj sprowadzić je jak najbliżej do okrętu łączności w Bahrajnie. Może im się uda uratować je.

Jefferson starannie przekazał nowe komendy do sześciu pozostałych w powietrzu bezzałogowych samolotów zwiadowczych.

– One są niesamowite. Przysięgam, że gdybym tylko zechciał, mogłyby wykonać zakręt o dziewięćdziesiąt stopni nawet przy użyciu tego prowizorycznego zdalnego sterowania. Szkoda, że nie mogliśmy zobaczyć reakcji tych pilotów Su-27, kiedy wysłałem nasze HIMLORD-y w górę z przyspieszeniem dziesięciu „g” tuż po odpaleniu pocisków.

Saint-Michael rozejrzał się po kabinie dowodzenia i pokręcił głową. Nawet ten krótki okres, w którym przebywali w zasięgu grawitacji, uwidocznił każdą drobinę kurzu, każdą kropelkę rozlanej cieczy, każdy zgubiony ołówek i skrawek papieru. Yemana i Ann Page wyszli z modułu ratunkowego i czyścili wszystko ręcznym odkurzaczem. Ich maski tlenowe zwisały pod brodą, gotowe do natychmiastowego założenia.

Trzy osoby były ranne, jedna poważnie. Stacja uszkodzona, wyciek paliwa, rozległe zniszczenia. *Silver Tower* nie była na dłuższą metę sprawna, chociaż uczestniczyła w potyczce, która rozegrała się w odległości tysiąca mil. Ledwie była zdolna spełniać swoje funkcje strategiczne.

– To właściwie wszystko, na co nas stać, szefie – powiedział Saint-Michael. – Udało się nam zlikwidować połowę pocisków powietrze-powietrze *Brezniewa*, przeznaczonych dla Bandar Abbas. Teraz, mam nadzieję, lotnictwo i marynarka zrobią resztę.

Uderzenie rozpoczęło się w chwili, kiedy grupa dwa Flankerów Su-27 wyruszyła z pokładu *Brezniewa*, aby pomóc w daremnym pościgu za bezzałogowymi, zdalnie sterowanymi samolotami HIMLORD. Z pokładu *Nimitza* wystartowało dziesięć śmigłowców transportowych Sikorsky SH-60T SeaHawk, a w każdym z nich znajdowało się dziesięciu żołnierzy piechoty morskiej w pełnym rynsztunku bojowym. Oprócz tego dwa ciężkie śmigłowce transportowe CH-55E mające po dwie baterie brytyjskich pocisków kierowanych Rapiert ziemia-powietrze. Śmigłowce przeskoczyły ponad poszarpanym południowym wybrzeżem irańskim, aby znaleźć się jak najdalej od radzieckich krążowników w cieśninie Ormuz i opadły na zniszczone lotnisko w Bandar Abbas. Z pomocą torującego drogę, elitarnego oddziału SEALs z marynarki, żołnierze piechoty morskiej zajęli Bandar Abbas po krótkiej, choć gwałtownej walce. Do czasu, kiedy grupa dwa dotarła do zdezorientowanej i zdezorganizowanej grupy jeden, piechota morska umocniła się na lotnisku, w czym pomogli jej żołnierze irańscy, którzy zeszli z gór wybrzeża. Wspólnie zdołali zabezpieczyć cieśninę Ormuz. Tuż za piechotą morską, pod osłoną powietrzną myśliwców z *Nimitza*, nadleciało dziesięć transportowców Herkules C-130. Wzmocniło to oddział w Bandar Abbas trzystu żołnierzami należącymi do amerykańskich sił szybkiego reagowania z Diego Garcia na Oceanie Indyjskim. Inny oddział sześćdziesięciu marines odbił Bandar-e Lengeh, ważną irańską bazę morską, strzegącą cieśniny, a pięćdziesięciu żołnierzy sił szybkiego reagowania wkrótce wzmocniło pozycję i ustawiło kolejną baterię przeciwlotniczą.

W sumie – całkiem niezłe jak na jeden dzień.

MOSKWA, ZSRR

Minister obrony Czilikow nie chciał, a może nie miał odwagi, spojrzeć w oczy ludziom ze sztabu, kiedy pierwszy wiceminister obrony Chromiejew wstał, aby przedstawić dzienny raport na temat operacji „Pióro”, tym razem przed całym Sztabem Generalnym. Czilikow czuł na sobie wzrok I sekretarza, kiedy strefa po strefie omawiano sytuację w Iranie i Zatoce Perskiej.

– Ten region został z grubsza podzielony na pół wzdłuż linii pięćdziesiątego czwartego południka długości wschodniej. – Chromiejew recytował monotonnym głosem. – Amerykanie mają pod kontrolą cieśninę Ormuz, Zatokę Omańską i całe terytorium na wschód od Yazd w centralnym Iranie.

Kiedy I sekretarz usłyszał wiadomość o cieśninie, kluczowym punkcie dla całego tego regionu, jego wzrok ponownie spoczął na Czilikowie.

– Nasze siły kontrolują Zatokę Perską na północ od Bahrajnu, podobnie jak wszystkie główne miasta Iranu z wyjątkiem Bandar Abbas nad cieśniną. Nasza flaga powiewa od Morza Śródziemnego po Chiny...

– Darujcie sobie tę pompatyczną symbolikę, marszałku Chromiejew – zareplikował I sekretarz. – Ta kwiecista mowa i tak nie ukryje poważnego pogorszenia naszej sytuacji. – Zwrócił się w kierunku Czilikowa. – Nie interesują mnie wasze bajeczki dla grzecznych dzieci, marszałku Czilikow. Chcę szczegółów. *Breżniew* nie znajduje się już na wschód od Kataru – jest na północy, prawie na wysokości Kuwejtu. A więc nie kontrolujemy już cieśniny Ormuz. Dlaczego?

– Amerykanie zaminowali kanał głębokowodny pomiędzy Iranem a Kataru w Zatoce, towarzyszu sekretarzu...

– Więc zniszczcie te miny. Odzyskajcie kanał. Mamy chyba dostateczną siłę ognia, czyż nie?

– Nie mamy takich możliwości, towarzyszu sekretarzu – wtrącił admirał Czerczerowin. – Amerykanie kontrolują przestrzeń powietrzną w ciągu dnia. Dywizjon bombowców B-52 z Diego Garcia może postawić miny na powierzchni dziesięciu tysięcy kilometrów kwadratowych w jednym przelocie. Damy radę przetrwać może połowę tego akwenu w ciągu nocy, ale bombowce wracają z nowymi minami...

– Czy chcecie przez to powiedzieć, że nie kontrolujemy przestrzeni powietrznej nad Zatoką Perską?

– Nie w pełni, towarzyszu. Możemy osłaniać *Breżniewa* i jego grupę przy pomocy naszych wysuniętych jednostek w Al-Basra i w Abadanie, ale myśliwce z *Breżniewa* mają zasięg bojowy tylko siedmiuset kilometrów. To sytuuje je w pobliżu Bandar Abbas, gdzie Amerykanie i Irańczycy umieścili wyrzutnie pocisków ziemia-powietrze, myśliwce i bombowce dla obrony cieśniny. Myśliwce startujące z lotniskowca muszą zużyć prawie połowę paliwa na przelot do strefy walki, nie mogą się więc równać z tymi, które startują z lądu...

I sekretarz, zirytowany, przeciągnął dłonią po łysej głowie.

– Opowiadacie mi tu jakieś zagadki, admirałe. *Breżniew* był w stanie osłonić nasze siły w Bandar Abbas. Jak mogliśmy utracić przewagę?

– Możliwości *Breżniewa* wykorzystano do ostatecznych granic – wtrącił Czilikow, myśląc gorączkowo, co by tu jeszcze dodać. – Miał na pokładzie czterdzieści pięć myśliwców taktycznych. Dziesięć zostało użytych do osłony nalotów na Mehrabad, a następnych dziesięć wspierało ataki na Abadan. Dziesięć wystartowało w pościgu za czymś, co uważaliśmy za amerykańskie F-15 atakujące z Arabii Saudyjskiej. Kiedy amerykańskie samoloty bezzałogowe wymknęły się pierwszemu patrolowi, za nimi wysłane zostały wszystkie myśliwce *Breżniewa*, z wyjątkiem pięciu rezerwowych maszyn alarmowych. Wtedy nie pozostało już nic do wsparcia jednostek specjalnych w Bandar Abbas oprócz naszych starych myśliwców bombardujących Jak-38 VTOL*, a one nie mogły dać sobie rady z brytyjskimi Rapierami i amerykańskimi Patriotami, które marines sprowadzili ze sobą. Pięciuset amerykańskich marines i dwustu irańskich żołnierzy wylądowało w ciągu trzech godzin. Naprawdę nic nie mogliśmy zrobić...

– A co z naszymi bombowcami dalekiego zasięgu z lotnisk na lądzie? – naciskał I sekretarz. – Czy nie można było użyć innych sił prócz myśliwców z *Breżniewa*? Tamte Jaki-38 powinny były eskortować bombowce, a nie atakować.

– Nalot bombowców brany był pod uwagę, ale go zaniechano. Gdyby bombowce zaatakowały natychmiast po natarciu amerykańskich marines na Bandar Abbas, nawet niewielka grupa mogła osiągnąć powodzenie. Jednak marines zajęły całą strefę w ciągu zaledwie trzech godzin. A potem, aby zniszczyć amerykańską piechotę morską potrzebny byłby cały dywizjon Tu-26, a może nawet dwa, lub jeden dywizjon bombowców Tu-146. Poza tym Amerykanie przerzucają co najmniej cały dywizjon myśliwców F-15 do Bandar Abbas. To oni kontrolują teraz przestrzeń powietrzną nad południową częścią Zatoki.

– A więc zaatakujcie! Użyjcie całego dywizjonu. Zastosujcie wszelkie środki, aby odebrać Bandar Abbas...

– Za pomocą dwudziestu naddźwiękowych bombowców? – przerwał Czilikow. – Nasze straty byłyby ciężkie, a ponadto Amerykanie mogliby uznać, że taki atak stanowi zagrożenie dla grupy bojowej *Nimitza* lub dla bazy lotniczej w Arabii Saudyjskiej. Przeciwwstawiliby nam znaczne siły, a może nawet zagroziliby użyciem broni nuklearnej?

– W to nie wierzę – powiedział I sekretarz. – Nie są szaleńcami. Na pewno zdają sobie sprawę, że nie mogą posunąć się aż tak daleko...

– Gdyby stracili grupę lotniskowca *Nimitz*, towarzyszu, to aby utrzymać swoją pozycję w regionie, nie zawahaliby się przed atakiem na pełną skalę. Z naszego punktu widzenia to ogromne ryzyko. Nie mamy podstaw, by sądzić, że Amerykanie nie zaatakowaliby przy użyciu broni nuklearnej. Pamiętacie Kennedy'ego i Zatokę Świń? Od tamtej pory ich obietnice mają pokrycie.

– To świetne wytłumaczenie, żeby nic nie robić, towarzyszu Czilikow. Politbiuro żąda wytłumaczenia i my musimy je przedstawić. Amerykanie grożą ogłoszeniem mobilizacji. Utraciliśmy element zaskoczenia. Krążą nawet pogłoski, że Amerykanie ujęli funkcjonariusza KGB, który uczestniczył w ataku na nasze własne okręty w Zatoce Perskiej. Od tego się wszystko zaczęło...

– To niemożliwe – wtrącił marszałek Liczizew, przewodniczący KGB. – Wszyscy nasi agenci są pod kontrolą. To oczywisty blef.

– Nieważne. Zaprzeczenia mogą tylko pogorszyć sprawę. – I sekretarz przyjrzał się twarzom siedzących przed nim członków Sztabu Generalnego. – Operacja „Pióro” miała być szybkim, zdecydowanym, zmasowanym uderzeniem, prowadzącym do zajęcia i opanowania tego regionu. Miała być skoordynowanym, precyzyjnym ciosem w główne punkty o znaczeniu strategicznym. Zamiast tego zostaliśmy uwikłani w działania na niestabilnym gruncie, niemożliwym do obrony. Zamiast błyskawicznego zwycięstwa znalazłem się w przekłętym pacie, a nawet w czymś gorszym. Nasze nieporadne kłamstwa zostały rozszyfrowane, stoimy obnażeni przed całym światem. Wielki niedźwiedź z nosem przytrzaśniętym w pułapce na myszy...

– Bohaterowie Związku Radzieckiego. – Głos I sekretarza pobrzmiwał ironią. – Za osiem godzin stanę przed Politbiurem i powiem im, co zamierzam. Jak widzę, mamy trzy możliwości: wycofać się w niesławie, utrzymać naszą niestabilną i kłopotliwą sytuację albo atakować. – Zwrócił się ponownie do Czilikowa. – Czy macie jakąś odpowiedź? Czy operacja „Pióro” to klęska? Czy zwracamy i uciekamy? Czy będę pierwszym przywódcą Związku Radzieckiego,

który nakaze odwrót w obliczu znacznie słabszych sił nieprzyjacielskich?

- Żądacie ode mnie czegoś, czego nie mogę wam dać... – rzekł Czilikow.
- Co? Co powiedzieliście?
- Wy nie chcecie rady. Chcecie dyktować. A ja nie pozwolę, żeby mi narzucano, co mam robić i nie pozwolę też siebie obrażać.

I sekretarz pochylił się w stronę Czilikowa i rzucił niskim głosem: – Uwważaj, stary, co mówisz.

– Towarzyszu, jeśli chcecie, obrażacie tytuł Bohatera Związku Radzieckiego, ale nie możecie ignorować ani implikacji, ani konsekwencji. Co będzie, jeśli Sztab Generalny złoży rezygnację lub odejdzie na emeryturę podczas operacji na taką skalę jak „Pióro”...? – Twarz Czilikowa poczerwieniała.

I sekretarz objął wzrokiem siedzących wokół stołu konferencyjnego. Wszyscy zwróceni byli w jego stronę.

– No i co widzicie, towarzyszu? – kontynuował zachęcony milczeniem Czilikow. – Czy próbujecie oszacować, ilu poszłoby za mną, gdybym odszedł albo został usunięty?

– Zawsze to szacuję, marszałku Czilikow – brzmiała niechętna odpowiedź.

– Towarzyszu, jestem waszym sojusznikiem – powiedział Czilikow już bardziej pojednawczym głosem. – Wierzę w operację „Pióro”. Ale jest to akcja wojskowa, a nie polityczna. Zakaukazie i Iran można zająć i kontrolować tylko poprzez użycie siły militarnej. Nie może się to stać natychmiast. Postęp, jaki osiągnęliśmy ostatniej doby, zakrawa moim zdaniem na cud... Nasze siły w ciągu niewielu godzin wzięły pod kontrolę obszar miliona kilometrów kwadratowych. Cele są w zasięgu ręki. Nie możemy jednak atakować na oślep, bo wszelkie nasze dotychczasowe wysiłki pójdą na marne.

I sekretarz zachował milczenie, zdając sobie sprawę, że został przechytrzony. Nie bardzo wiedział, jak zareagować.

– Wobec tego, Czilikow, zdaję to na was. Spotkanie jest za osiem godzin. Jaki więc proponujecie nowy plan działań bojowych?

Czilikow był zadowolony. Miał wrażenie, że zmusił I sekretarza do odwrotu.

– Nasze wojska w Iraku, Iranie i Zatoce Perskiej pozostaną na swoich pozycjach. Jest to absolutnie konieczne. Muszą obronić się przed każdym atakiem, ale bez zwiększania swojej liczebności.

– Żadnych posiłków? – spytał I sekretarz. – Gdybyśmy wstrzymali działania zaczepne, to czy nie byłoby dobrze wzmocnić siły?

– Nie od razu... towarzyszu. Powinniśmy stworzyć wrażenie, że jesteśmy gotowi opuścić ten obszar, oddać nasze nowo zdobyte terytorium. Ale, oczywiście, nie wolno nam się cofnąć lub oddać choćby jednej piędzi ziemi.

– A więc mamy przejść do defensywy? Nie rozumiem tego, Czilikow. Jeśli nie zrobimy żadnego manewru, zostaniemy w końcu odepchnięci – jeśli nie przez Amerykanów, to przez światową opinię, która nas potępi. Albo jedno i drugie.

– Będziemy prowadzić wojnę defensywną tylko na jednym froncie – zaakcentował Czilikow i zwrócił się w stronę marszałka Romierdunowa, dowódcy sił powietrznych. Jego stary towarzysz z okopów pozwolił sobie na uśmiech wyrażający poparcie.

– Na zupełnie innym froncie – kontynuował Czilikow – my przejmujemy inicjatywę. I, towarzyszu, kiedy to nastąpi, zdobędziemy o wiele, wiele więcej niż Iran i Zakaukazie...

TIURATAM, ZSRR

Starła się być cierpliwym i łagodnym kochankiem, mimo iż nieustannie zaprzętała go myśl, co może przynieść dzień następny. Aleksander Goworow oparł się namiętnej grze wstępnej swojej młodej żony i wziął ją pospiesznie, prawie brutalnie. Usiłowała sprostać jego tempu, szaleńczo odpowiedzieć na jego szale, ale nie udało się jej dostatecznie szybko udać, że osiągnęła rozkosz. Wycofał się z niej, objął potężnymi ramionami, leżąc z tyłu na lewym boku, potem pocałował ją w kark w ten sposób przeproszając za swą nieudolność. Zasnął w ciągu minuty. Zacisnęła jego ramiona wokół siebie jeszcze mocniej, przyjmując przeprosiny. Przecież będą jeszcze inne noce. Pamiętała te dobre. Warto było na nie czekać...

Dzwonek telefonu wyrwał go ze snu. Zerwał się na równe nogi, nie czując się wcale znużonym pomimo krótkiego snu. Podniósł słuchawkę i zaczął rozmawiać z Gulajewem.

– Tak. Tak, rozumiem... Przygotujcie raport. Będę tam natychmiast.

Żona Goworowa nie wstała z łóżka, chociaż już nie spała. Obserwowała go, kiedy wkładał swój ciemnoszary kombinezon lotniczy. Nie chciała patrzeć, jak w pośpiechu wychodzi do „Płonącej Gwiazdy”. Gdyby z jakiegoś powodu miał nie wrócić, chciała zapamiętać go takim, jakim był poprzedniej nocy – silny, ale wrażliwy, niecierpliwy, ale czuły, kochający, troskliwy mąż, niedoskonały mężczyzna. Dla niej był kimś więcej niż tylko żołnierzem. Starła się jednak,

aby się tego nie domyślił. Wprawiłaby go w zakłopotanie...

*

Do Centrum Bojowych Operacji Kosmicznych w Tiuratom generał Goworow przybył krokiem, który wywołałby zadyszkę u większości mężczyzn. Gulajew musiał się bardzo starać, dorównać mu, kiedy zmierzali do biura generała. Kiedy jego podwładny zamykał drzwi, Goworow już trzymał rękę wyciągniętą po raport w sprawie operacji „Alfa”.

– Okazało się, że laser w Sary Szagan jest skuteczniejszy, niż się spodziewaliśmy, towarzyszu generale – powiedział Gulajew, podając dowódcy obrony kosmicznej arkusz wydruków komputerowych. – Orbita stacji jest o wiele bardziej nieregularna niż przedtem, co sugeruje niesprawność sterowania lub napędu. Poza tym przed kilku godzinami wykryliśmy w pobliżu stacji kilka obiektów. Niewielkich, bez napędu, bardzo gorących.

Goworow przestudiował wydruki i spojrzał na Gulajewa.

– Szczątki?

– Tak sądzę, towarzyszu.

Goworow ponownie spojrzał na wydruki i z aprobatą kiwał głową, kiedy jego oczy przebiegały kolumny cyfr. Wyglądało na to, że w końcu udało się im uszkodzić tę okrzyczaną stację kosmiczną *Armstrong*. Nie była jeszcze całkiem unieszkodliwiona, bo otrzymałaby raport o wyprawie ratunkowej. Ale uszkodzona była na pewno, mogła się więc stać łatwym łupem.

Szybkie spojrzenie na resztę raportu Gulajewa wyraźnie nie sprawiło mu przyjemności.

– Czy przerwaliśmy ataki?

– Chwilowo, towarzyszu. Ze względów bezpieczeństwa pułkownik Sokilew w Sary Szagan ograniczył program ogniowy lasera do pięcioimpulsowych salw co osiem godzin...

– Ale moje rozkazy przewidywały ogień ciągły. Dlaczego zostały zmienione?

– Impulsy generowane przez to urządzenie są niezwykle potężne. W niektórych obwodach komputera wystąpiły zwarcia. Miejsca te, według raportów, zostały naprawione, ale Sokilew uważa, że ciągły ogień niesie za sobą zbyt duże ryzyko...

– Powinien był skonsultować się ze mną. Przekażcie Sokilewowi, że jeśli ponownie sprzeciwi się moim rozkazom, to zastąpi go ktoś inny. Powiedźcie mu także, iż operacja „Beta” ma się rozpocząć w ciągu godziny. Stacja

Armstrong wkrótce skryje się za horyzontem. Jeśli zdołamy zniszczyć drugie oko Amerykanów nad tym regionem, satelitę zwiadowczego NORAD*, będziemy mogli zbliżyć się do stacji bez ryzyka wykrycia.

– Ale co z pociskami Thor stacji *Armstrong*? Nawet jeśli Amerykanie będą mieli tylko kilka minut na podjęcie akcji, niewątpliwie zdołają wycelować w nasze pojazdy kosmiczne.

– Tak, te Thory mogłyby stanowić problem... gdybyśmy nie mieli środków, które skłoniłyby *Armstronga* do pozbycia się swego arsenału.

– Macie na myśli rakiety Gorgona?

– Czemu nie? Ich ewentualne zniszczenie nie ma znaczenia. Chodzi o to, że przyciągną ogień *Armstronga* i pozwolą mnie i Wołoszynowi dotrzeć w pobliże stacji.

Gulajew skinął głową.

– Zajmę się Gorgonami natychmiast, towarzyszu generale.

– Za pół godziny chcę mieć raport o ich gotowości bojowej.

Gulajew zasalutował i odwrócił się, aby opuścić biuro.

– I jeszcze jedno, Gulajew...

Młodszy oficer odwrócił się.

– Tak, towarzyszu generale?

– Wyjdę na stanowisko startowe za piętnaście minut. Dopilnujcie, aby do tego momentu mi nie przeszkadzano.

Gulajew skinął głową i opuścił pokój, zamknąwszy za sobą drzwi. Goworow wstał od biurka i zbliżył się do wielkiego okna wychodzącego na stanowiska startowe. Mógł stąd dostrzec ekipy techników przeprowadzające ostatnie kontrole SK-16. Co za piękny dzień, pomyślał generał, idealny, aby pomknąć w niebo na szczycie ognistej kuli. Nie mógł doczekać się startu.

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG*

Przeostrożność udzielona załodze, by nie przeceniać roli, jaką stacja odegrała w inwazji na Bandar Abbas, wydawała się generałowi proroczą, zwłaszcza teraz, kiedy wyłączył mikrofon i zamyślił się nad wiadomością otrzymaną właśnie z Dowództwa Kosmicznego. Rosjanie najwidoczniej użyli lasera, aby zniszczyć amerykańskiego satelitę geosynchronicznego TRW Block 750, wykrywającego za pomocą podczerwieni odpalenia obiektów latających. Uniemożliwiło to Dowództwu Kosmicznemu i NORAD obserwację startu pocisków na obszarze Azji Środkowej i Południowej. Nie trzeba było być geniuszem, aby przewidzieć, co

teraz nastąpi. Wszystko wskazywało, że w bazie Tiuratom już zaczęto przygotowywać pociski Gorgon.

Co powinien teraz zrobić? Właśnie miał polecić Jerrodowi Willowi przerwanie orbitowania *Enterprise* wokół stacji i ponowne zacumowanie, aby Ann i Kevin Baker, którzy podjęli decyzję opuszczenia stacji, mogli być odesłani na Ziemię. Ale teraz nie miał już takiej pewności, czy powinien ewakuować większość personelu...

Był wściekły na siebie, że nie wyprawił Ann wcześniej. Z przykrością myślał o rozstaniu, ale jeszcze bardziej martwiło go, że dziewczyna może znaleźć się w poważnym niebezpieczeństwie. Miał nadzieję, że Will zdoła zacumować *Enterprise* i przeprowadzić personel na pokład, zanim trzeba się będzie zmierzyć z pociskami skierowanymi przeciwko stacji. Dobrze chociaż, że w tej ostatniej misji zaopatrzeniowej Will i Sontag przylecieli bez Marty'ego Schultza; będzie więc jedno wolne miejsce w i tak już zatłoczonym promie kosmicznym. Najtrudniejsza okaże się decyzja, kto ma lecieć, a kto zostać.

Saint-Michael włączył mikrofon.

- *Enterprise*, podajcie swoją pozycję.
- Ciągłe orbituję wokół stacji, zgodnie z pańskim rozkazem, generale – powiedział Will. – Czy coś się szykuje?
- Chyba nowe kłopoty. Chcę, żebyś natychmiast zacumował.
- Tu Linie Lotnicze „Will”, zrozumiałem – powiedział Jerrod, włączając silniki. Zwrócił się w stronę Sontaga, jakby chciał go zapytać, co dalej, ale drugi pilot tylko potrząsnął głową. Odpowiedź mieli otrzymać wkrótce.

Do czasu, kiedy *Enterprise* zacumował przy stacji i Will przedostał się do modułu dowodzenia, Saint-Michael odebrał dwie kolejne wiadomości z Dowództwa Kosmicznego. Kiedy Will pojawił się w otworze wjazdu, generał powitał go skinieniem głowy i kontynuował rozmowę z Ann, która słyszała jego wymianę informacji z kontrolerem ruchu powietrznego bazy lotniczej Falcon w Colorado Springs.

- Generale – powiedziała – wszystko wskazuje, że stacja zostanie zaatakowana. Skybolt mógłby się przydać. Jestem pewna, że właśnie rozwiązałam...
- Bez sprzeciwów, proszę.
- Ale...
- Ann, do cholery, zameldować się na *Enterprise*, natychmiast!

Tym razem nie było dyskusji. Kiedy opuściła właz modułu dowodzenia, Will zbliżył się do Saint-Michaela.

- Generale, jesteśmy gotowi do odlotu, jeśli tak pan zdecydował.

Kazałem Yemanie trochę nas dotankować. Wolę mieć większy margines bezpieczeństwa. To nie potrwa długo. Kelly pomaga mu przy cumownicach. Jak wygląda sytuacja?

– Osiem radzieckich statków kosmicznych właśnie weszło na orbity zbliżone do naszej – poinformował Saint-Michael. – Straciliśmy ich namiary, ale naziemne stacje radiolokacyjne mają je na oku.

– Czy zostały odpalone z bazy Tiuratom?

– Tak, dwa z „Płonącej Gwiazdy”, reszta z bazy antysatelitarnej w Bajkonurze.

– Myśli pan, że to Gorgony?

Saint-Michael skinął głową.

– Tak sądzę.

– Wygląda na to, że wysłali całą flotę pogotowia antysatelitarnego. A te dwa z „Płonącej Gwiazdy”? Czy sądzi pan, że mają załogę?

– Nie wiem. Mieli dość czasu, aby przerzucić kolejne dwie Gorgony do „Płonącej Gwiazdy”, ale myślę, że gdyby tak było, to nasz wywiad doniósłby o tym.

– A co robią nasi w Zatoce? Czy są jakieś większe ruchy?

– Nie. Właściwie żadna jednostka na ziemi i w Zatoce nie zmienia pozycji. Rosjanie nie wycofali się, ale też nie posuwają się naprzód. Może się zastanawiają.

– Albo też czekają, aż *Silver Tower* zostanie zestrzelona i wtedy spokojnie dokończą podboju Iranu – powiedział Will. – No, ale na nas już chyba czas...

– Nie mogę całkowicie pozbawić stację załogi – skonstatował Saint-Michael, sprawdzając odczyty pozycyjne systemu. – Nie teraz, kiedy Rosjanie szykują się do poważnej ofensywy. Musimy tu być, kiedy ruszą.

– Generale, jeden dodatkowy strzał tego lasera lub jeden bezpośredni atak Gorgony wystarczy, aby was załatwić. Strzał w zbiornik paliwa lub w moduł inżynierski i jeśli ktokolwiek pozostanie na pokładzie, to...

– Mamy moduł ratunkowy...

– Moduł ratunkowy? Pan wybaczy, ale takie określenie kawałka puszki zostało wymyślone na użytek tego kongresmana i senatorów, którzy tyle gadali na temat pojazdu ratunkowego, ale nie chcieli dać pieniędzy na więcej promów i samolotów kosmicznych. Pan doskonale o tym wie. Obaj zdajemy sobie sprawę, że to w niczym nie przypomina łodzi ratunkowej, raczej kawałek nasiąkniętej wodą kłody. Jest nieszczelna jak kiepska prezerwatywa i chyba nie wytrzymałaby obciążeń przy połączeniu z promem. To szaleństwo, żeby na niej polegać.

– Niezłe przemówienie i być może to wszystko prawda. Musimy jednak wykonać swoją robotę. To sytuacja zagrożenia...

– Proszę więc nie stwarzać następnej.

– Jerrod, słyszę, co mówisz. Ale na tym koniec. Zajmij się swoim statkiem i pasażerami. Ograniczę załogę stacji do dwóch lub trzech osób. Zabierz pozostałych do Vandenburg lub Edwards. A teraz ruszaj. Nie mamy za wiele czasu.

Kiedy Will opuścił moduł, pułkownicy Marks i Walker zbliżyli się do Saint-Michaela. Marks wręczył pułkownikowi wydruk komputerowy.

– Złe wiadomości, szefie. Moje obliczenia wykazują; że mamy paliwa tylko na półtorej doby.

Saint-Michael przebiegł wzrokiem dane.

– Nawet przy zredukowanej załodze, bez eksperymentów? Przy obniżonym zużyciu energii?

– Te liczby już to uwzględniają, przy czym ocena zużycia paliwa przy zniszczonym silniku sterującym jest tylko orientacyjna – w rzeczywistości może być nawet gorzej.

– Jeśli nic się nie zmieni, będziemy potrzebowali czterech dostaw paliwa na tydzień – oznajmił Saint-Michael – chyba że zdołamy uruchomić ten silnik...

– Generale, jest jeszcze inna możliwość – wtrącił Walker.

– Wiem, powrót do standardowej, biegunowej orbity kołowej. Rezygnacja z korygowania kursu. Wtedy jednak przebywalibyśmy tylko kilka minut nad Zatoką Perską, i to co kilka godzin. Bylibyśmy prawie bezużyteczni jako platforma zwiadowcza.

– Ale za to bezpieczni, generale. Ta stacja to laboratorium obrony strategicznej, a nie satelita zwiadowczy. Dowiedliśmy swojej wartości w pierwszej obronie Iranu i regionu Zatoki Perskiej, ale obecnie sytuacja się zmieniła. Teraz to my jesteśmy celem, ważnym celem. Jeśli Rosjanie zestrzelą tę stację, to Stany Zjednoczone stracą znacznie więcej niż tylko orbitalną platformę radarową.

Saint-Michael nie zareagował, wydawał się głęboko zamyślony. Walker wyczuł jakąś zmianę i skinął na Marksa, który powiedział:

– Sir, na prośbę Jima zrobiłem obliczenia zużycia paliwa potrzebnego do przeniesienia nas z powrotem na orbitę biegunową.

Wręczył Saint-Michaelowi następny wydruk.

– Mielibyśmy dość paliwa, aby wrócić na taką orbitę, i nie potrzebowalibyśmy tylu dostaw.

– Kapitanie, ostrzeżenie ze stacji radiolokacyjnej Dowództwa Kosmicznego – odezwał się Moyer poprzez interkom. – Orbitujący pojazd w odległości pięciu mil w pionie i stu mil w poziomie od stacji.

Saint-Michael usiadł szybko w swoim fotelu, a Walker wrócił na stanowisko obok Jeffersona, przy głównym ekranie SBR. Saint-Michael włączył interkom.

– Jerrod, na jakim etapie jest twoje tankowanie?

– Jeszcze parę minut.

– Nie ma już czasu, Jerrod. Uwaga, stacja. Zagrożenie. Przerwać tankowanie.

Wszyscy członkowie załogi, z wyjątkiem personelu modułu dowodzenia, zameldować się natychmiast na pokładzie *Enterprise*. Ogłaszam czerwony alarm dla stacji. Jake, przerwij śledzenie Ziemi przez SBR. Gotowość bojowa wszystkich pocisków Thor do obrony stacji. – Jim, czy poradzisz sobie z łącznością, tak aby jeszcze pomóc Jake'owi przy pulpicie SBR? – zwrócił się do Walkera.

– Jasna sprawa.

– Okay. Moyer, włóż kombinezon kosmiczny. Będziesz nas ubezpieczał.

– Młody technik skinął głową i ruszył pospiesznie po jeden z kombinezonów umieszczony tymczasowo w rogu modułu dowodzenia. – Kule ratownicze mają być pod ręką.

– Dowództwo Kosmiczne śledzi pojazd w odległości dwóch mil w pionie i sześćdziesięciu mil w poziomie – zameldował Walker. – Podają, że obiekt ma napęd i wykonuje manewry.

– Jerrod, zabieraj natychmiast *Enterprise*.

– Radiolokacja melduje trzy dalsze pojazdy manewrujące w promieniu...

– Jason, na pokładzie brakuje jeszcze Ann.

Saint-Michael otrzymał oba przekazy jednocześnie, mocniej przycisnął słuchawki, aby lepiej słyszeć.

– Powtórz, Jerrod.

Will powtórzył wiadomość. Zanim Saint-Michael zdążył wybuchnąć gniewem, usłyszał:

– Pięćdziesiąt mil, teraz na naszym pułapie. Kurs na zderzenie. Powtarzam, kurs na zderzenie.

– Niech to szlag... – Saint-Michael włączył interkom. – Ann Page zamelduje się natychmiast w module dowodzenia. Potwierdzić.

Odpowiedzi nie było. Generał wiedział, że powinien przestać myśleć o Ann i skoncentrować się na grożącym ataku. Ponownie odwrócił się do głównego ekranu SBR.

– Jake...

– SBR uchwycił cel, szefie. Teraz identyfikuje go za pomocą lasera.

Zaczepona na uwięzi, sto jardów poniżej *Silver Tower*, wyrzutnia kosmicznych pocisków przechwytyjących Thor wykonała komendy sterujące, które przekazał potężny radar stacji i wycelowała w kierunku zbliżającego się pojazdu antysatelitarnego. Po uchwyceniu celu SBR naprowadził projektor laserowy wiązki cząstek neutralnych na radziecki pojazd kosmiczny.

Trzytonowy pocisk Gorgona został oświetlony taką wiązką, a specjalne czujniki analizowały odbitą energię. Obiekt masywny, dostatecznie duży, aby uszkodzić stację, odbija energię o innej długości fali niż mniej ważąca, lekka atrapa. Po wykryciu atrap uzbrojenie *Armstronga* kierowane jest tylko przeciwko tym obiektom, które stanowią realne zagrożenie dla stacji. Cały proces, od uchwycenia celu do jego weryfikacji, trwa jedynie parę sekund.

– Czterdzieści mil... trzydzieści... weryfikacja celu pozytywna. Thor jeden, start automatyczny...

Po ogłoszeniu gotowości do odpalenia ostatnim zadaniem pocisków była już tylko weryfikacja celu. W przypadku rzeczywistego zagrożenia SBR automatycznie wydawał rozkaz odpalenia. Pierwszy pocisk przechwytyjący typu Thor wystrzelił ze swej wyrzutni, przyspieszając gwałtownie do swej maksymalnej prędkości ponad czterech mil na sekundę.

Stalowa siatka o stustopowej średnicy jeszcze nie zdążyła się w pełni rozwinąć, kiedy Thor uderzył w pierwszy pocisk antysatelitarny Gorgona.

– Bezpośrednie trafienie. – Nie rozległy się jednak okrzyki radości. Tym razem bowiem nie były to ćwiczenia, tak jak wtedy, gdy odbywali swój pierwszy test operacyjny przy użyciu amerykańskich rakiet Trident D-5.

– Przekaż ostrzeżenie do Dowództwa Kosmicznego – polecił Saint-Michael. – Powiedz im, że rozpoczynamy...

Głośny huk i brzęczyk ostrzegawczy zabrzmiał z pulpitu kontroli środowiska stacji.

– Co to było, do diabła...?

– Uszkodzenie modułu Skylab – meldował Marks. – Gwałtowny spadek ciśnienia... teraz prawie zero...

– Jason, tu Will na *Enterprise*. Zostaliśmy trafieni przez odłamki tej Gorgony. Nieznaczne uszkodzenie krawędzi natarcia prawego skrzydła.

– SBR namierzył liczne nadlatujące cele – zameldował Jefferson. – Odległość osiemdziesiąt mil. Trwa weryfikacja.

– Ciśnienie w sekcji rekreacyjnej modułu Skylab spadło do zera – uzupełnił Marks. – Moduł Skylab rozhermetyzowany. Myślę, że dostaliśmy jednym z odłamków z Gorgony.

Saint-Michael wyglądał ponuro.

– Do diabła, musimy zabrać stąd *Enterprise*. – Włączył interkom ogólny.
– Ann, gdzie jesteś? Zamelduj się, do cholery.

Cisza.

– Pozytywna weryfikacja zagrożenia ze strony trzech nadlatujących celów. – Jefferson ledwo zakończył meldunek, kiedy jego monitory pokazały trzy automatyczne odpalenia pocisków Thor.

– Thor dwa, trzy i cztery odpalone... tor prosty...

– Dowództwo Kosmiczne potwierdza nasze ostrzeżenie.

– Bezpośrednie trafienie numer dwa... czwórka chybiła. Numer cztery nie trafił...

– Odpalenie ręczne! – krzyknął Saint-Michael. – Jake, bierz go!

Palce Jeffersona manipulowały na tablicy kontrolnej.

– Thor pięć odpalony. Przejmuje cel czwarty... Przelącza się na samonaprowadzanie...

– Cel trzy, trafienie bezpośrednie.

Nagle dały się słyszeć uderzenia i zgrzyty w kadłubie i całej stacji.

– Nowe odłamki Gorgon – meldował Marks. Spojrzał na pulpit kontrolny.

– Nieszczelność w górnym tunelu łączącym. System przeładunku paliwa ma zwarcie. Duże uszkodzenie modułu Skylab.

– SBR śledzi cztery nadlatujące cele – powiedział Walker. – Odległość najbliższego osiemdziesiąt mil...

– Cel numer cztery uchwycony – usłyszeli od Jeffersona. Jego ciemnoniebieski kombinezon był mokry od potu.

– Zostało już tylko pięć Thorów – stwierdził Saint-Michael – Nie podoba mi się sposób, w jaki działa matematyka.

– Mamy jeszcze dziesięć Thorów zmagazynowanych na kilu – przypomniał Walker.

– Równie dobrze mogłyby być na ziemi – zauważył generał. – Nie znajdzie się nikt, kto mógłby załadować je do wyrzutni.

– *Enterprise* mógłby to zrobić...

– Załadowanie tych pocisków za pomocą manipulatora trwałoby zbyt długo. Gdybyśmy tylko mieli...

– Ja to zrobię – zdecydował się nagle Moyer. – Nie powinno mi to zająć zbyt dużo czasu...

– Dokonanie tego w pojedynkę zajmie ci cały dzień – powiedział Walker.

– No to załaduję przynajmniej kilka...

– Nie możemy cię wysłać – powiedział Saint-Michael. – Jeśli zabraknie nam pocisków, a ataki będą ciągle trwały, opuścimy stację. Koniec, kropka.

– Weryfikacja czterech nadlatujących celów... wykazuje, że dwa spośród nich to atrapy. Powtarzam, dwie atrapy.

– Atrapy? – zastanowił się Marks. Czyżby za pomocą wyrzutni antysatelitarnej wystrzelili atrapy?

– One też mogą wyrządzić szkody.

– Ale my nie mamy Thorów na zmarnowanie – zwrócił się do Walkera Saint-Michael. – Wyceluj w pozostałe dwa.

– Zrozumiałem. Procedura celowania selektywnego w toku... Thory sześć i siedem odpalone...

– Sygnał ostrzegawczy, kapitanie – włączył się Walker. – Ponowna kontrola ostatniej weryfikacji celów wykazuje obecnie, że wszystkie cztery stanowią zagrożenie.

Saint-Michael popatrzył ponuro przed siebie.

– Gotowość do odpalenia przeciwko wszystkim celom. Sprawdzić projektor cząstek neutralnych, znaleźć przyczynę...

– Thory osiem i dziewięć odpalone. Tor prosty...

– Trafienia bezpośrednie w cele pięć i sześć...

– Chybień celu siedem, całkowite chybień siódmego.

– Ręczne odpalenie Thora dziesięć – wydał rozkaz Jeffersonowi Saint-Michael. – I niech ci się uda, Jake.

Nie pieprz, pomyślał Jefferson, ale nie powiedział nic, wysyłając ostatniego Thora w kierunku celu.

– Wszystkie Thory odpalone.

– Chybień celu osiem!

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę pułkownika Walkera.

– Przeszedł obok, generale. Cele siedem i osiem... wykonały unik. Są w odległości siedemdziesięciu mil, ale powoli się zbliżają.

Jake Jefferson wpatrywał się w konsolę w osłupieniu.

– Szefie, nic z tego nie rozumiem. W ciągu sekundy Thor numer dziesięć zmierzał wprost do celu numer siedem, a w następnej zniknął. Straciłem z nim kontakt.

Bardzo szybko zorientowali się, o co chodzi. Mieli do czynienia z Elektronami... Fakt, że cele robiły uniki, potwierdził to. Rosjanie wysłali przeciwko nim dwa uzbrojone samoloty kosmiczne Elektron...

SAMOŁOT KOSMICZNY *ELEKTRON JEDEN*

Pułkownik Iwan Wołoszyn był tym, który w starciu kosmicznym wystrzelił pierwszy pocisk przechwytyjący Bavinash Scimitar. Jak na ironię, załoga *Silver Tower* nigdy się nie dowiedziała, jak bardzo przysłużyła się radzieckiemu pilotowi, wysyłając przeciwko niemu pocisk Thor.

Zarówno Goworow, jak i Wołoszyn natychmiast wykryli odpalenie wszystkich dziesięciu pocisków Thor. Proste, ale bardzo skuteczne układy naprowadzania działające na podczerwień oraz lokatory laserowe z łatwością wychwyciły te szybko poruszające się obiekty i obliczyły dane dla pocisków Scimitar przeciwko każdemu z Thorów. Jednak rozkaz Goworowa nakazywał oszczędzić jak najwięcej spośród dziesięciu pocisków każdego Elektronu i nie używać ich przeciwko pociskom Thor, chyba że wystąpiłoby bezpośrednie zagrożenie.

Pojedynczy pocisk Wołoszyna pomknął za wiązką laserową wycelowaną w Thora numer dziesięć i zniszczył go. Goworow domyślił się, że Scimitar trafił Thora bezpośrednio, a nie tylko otarł się o jego olbrzymią siatkę.

Najważniejsze jednak było to, że stacja kosmiczna *Armstrong* wystrzeliła właśnie swój ostatni pocisk. Była teraz zupełnie bezbronna...

– Elektron jeden, tu dwójka – wywołał Wołoszyn na tajnej częstotliwości UHF. – Naliczyłem dziesięć odpalonych Thorów, generale.

– Zgadza się, dwójka. Zajmij pozycję zgodnie z planem i przygotuj się do ataku na moją komendę.

Mając swój namiernik laserowy wycelowany w samą stację kosmiczną, Goworow zaczął manewrować Elektronem ponad konstrukcją nośną stacji, po stronie przeciwnej do swobodnie unoszącej się wyrzutni pocisków Thor. Choć nie widział Wołoszyna, wiedział, że steruje on teraz swoim pojazdem po drugiej stronie w odległości około kilometra od stacji, a więc oba Elektrony znajdowały się dwa kilometry od siebie.

Zajmując takie pozycje, obaj mogli mierzyć dokładnie swoimi celownikami laserowymi, każdy w inną połowę stacji. Byli w stanie dobierać cele z wysoką precyzją, ze szczególnym uwzględnieniem SBR, modułów kontrolnych baterii słonecznych, czujników i anten łączności. Chcieli mieć pewność, że zlikwidują zdolność bojową stacji przed zadaniem ostatecznego ciosu – atakiem na moduły ciśnieniowe. Goworow nie miał zamiaru pozbawiać życia członków

załogi *Armstronga*, ale był zdecydowany wyeliminować platformę orbitalną jako zagrożenie.

Jeśli w toku akcji Amerykanie zginą, nie będzie to jego wina. Załoga stacji widocznie straciła rozsądek, decydując się na ingerencję w operację „Pióro”. Nikt ich tam nie zapraszał. Teraz poznają cenę swoich działań i będą musieli ją zapłacić...

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG*

– Czy jest coś, co możemy jeszcze zrobić? – spytał Moyer poprzez hełm swojego skafandra kosmicznego. W jego głosie wyraźnie wyczuwało się napięcie.

– Czymkolwiek zamierzają nas ugodzić – powiedział Saint-Michael – nie musimy tu siedzieć i pozwolić się powystrzelać. – Odpiął pasy i skierował się do pulpitu sterowniczego. – Wszyscy opuścić stację. Udać się na pokład *Enterprise*. Natychmiast!

– Jaki jest pański plan, kapitanie? – spytał Marks.

– Zamierzam sprowadzić stację z orbity. I choćbym miał zużyć ostatnią kroplę paliwa, zwolnię prędkość tak, aby stacja wróciła do atmosfery. Rosjanie mogą próbować ją zniszczyć albo zająć. Niezależnie od tego, co zrobią, nie dostaną jej. Odłączę moduł ratunkowy tuż przed splonięciem stacji po zejściu z orbity. Miejmy nadzieję, że nie otworzą ognia do modułu...

– Na pewno jest jeszcze jakieś inne wyjście...

– Tym razem to oni prowadzą – powiedział z goryczą Saint-Michael. – I albo będziemy tańczyć, jak nam zagrają albo poniesiemy konsekwencje. – Rozejrzał się po module, rzucił okiem na twarze Moyera, Walkera, Marksa i Jeffersona. – Będą jeszcze inne okazje... Teraz naszym zadaniem jest przeżyć. Zabierajcie więc swoje tyłki na prom. Za trzy minuty ma tu nikogo nie być.

Kilka chwil wcześniej Ann martwiła się, co zrobi Saint-Michael, kiedy stwierdzi, że sprzeciwiła się jego rozkazom i nie przeszła na *Enterprise*. Nie było czasu, aby mu wytłumaczyć, dlaczego uważała, iż może ponownie uruchomić Skybolta. Podejrzewała, że nawet gdyby miała czas, a bieg wypadków nie zmuszał generała do podejmowania błyskawicznych decyzji, i tak nie udałoby się jej przekonać go, iż laser wart był jeszcze jednej próby. Za często starała się to udowodniać, toteż gdy nadszedł decydujący moment, nie chciał jej słuchać. Poza tym zbyt wiele razy jej wcześniejsze oceny możliwości

Skybolta okazywały się nadmiernie optymistyczne.

No dobrze, zostawmy generała, teraz są większe zmartwienia. Kiedy pracowała nad przeprogramowaniem połączeń dla reaktora MHD, lokator powiedział jej, co dzieje się w kosmosie... Dwie Gorgony – nie, to chyba nie były Gorgony, ale jakieś radzieckie pojazdy kosmiczne – przeszły nietknięte przez ostrzał pociskami Thor z *Armstronga* i zbliżały się do stacji. Było jej coraz trudniej pracować przy klawiaturze i sprawdzać kolejne obwody. Strach obejmował ją lodowatym uściskiem.

Wiedziała, że jej laser to teraz jedyna obrona stacji przeciwko dwóm jasnym punktom, które coraz bardziej zbliżały się na ekranie lokatora. Była też pewna, że uruchomienie lasera to kwestia zaledwie kilku minut. Zaczęła modlitwę, ale zaraz ją przerwała. Wzywanie Boga w ostatniej chwili jest nie fair; to była jej sprawa. Sama tego chciałaś, mówiła sobie, więc weź się w garść. I jeszcze raz udało się jej skoncentrować na zadaniu, które miała wykonać...

SAMOŁOT KOSMICZNY *ELEKTRON JEDEN*

– Proszę o zezwolenie na otwarcie ognia – przekazał przez radio Wołoszyn.

– Zaczekaj, Elektron dwa – powiedział Goworow. – Zaczniemy za minutę. Nie atakuj promu. Powtarzam, nie atakuj. Oni użyją go do ewakuacji.

– Amerykański prom kosmiczny byłby piękną zdobyczą, generale.

– Tu jest tylko jedna zdobycz, *Armstrong*. Pamiętaj o tym, Wołoszyn.

Na chwilę zapadła cisza na ich częstotliwości, a potem odezwał się Wołoszyn:

– Generale, czy sądzicie, że będą próbowali zniszczyć stację?

– Na ich miejscu tak bym zrobił. Zdalnie sterowany lub zaprogramowany z opóźnieniem zapłon silników mógłby to spowodować po ich ewakuacji.

Goworow spojrział na chronometr cyfrowy umieszczony na tablicy przyrządów.

– Elektron dwa, kontrola stanu?

Po chwili nadeszła odpowiedź:

– W porządku. Tlen dwadzieścia litrów, paliwo sześćdziesiąt procent.

– Dwadzieścia dwa litry tlenu, paliwa sześćdziesiąt dwa procent. Mamy godzinę do czasu, kiedy będziemy musieli zejść z orbity albo dołączyć do stacji *Mir*.

Mir był radziecką stacją orbitalną, bardziej prymitywną wersją *Silver Tower*, o ograniczonej zdolności zwiadowczej i nie posiadającą ofensywnego ani defensywnego uzbrojenia. W ostatnich latach używano jej głównie jako miejscce przeprowadzania badań astronomicznych i punkt uzupełniania paliwa.

– Zaczniemy atak w ciągu dwóch minut, niezależnie od tego, czy stacja zostanie ewakuowana, czy też nie.

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG*

– *Enterprise* gotów do transferu załogi, generale – zameldował Jefferson.

– Bardzo dobrze. Zawiadom JCS i kontrolę, że przechodzimy na *Enterprise*. – Jefferson skinął głową i zaczął przestrajać swój pulpit na odpowiedni zakres łączności z Ziemią.

Nagle odezwał się interkom:

– Generale, tu Ann.

Saint-Michael zareagował gwałtownie:

– Ann, gdzie jesteś, do cholery?!

– W module Skybolt. Ja...

– Wychodź stamtąd natychmiast! Ewakuujemy stację.

– Potrzeba mi tylko dziesięciu minut.

– Na co?!

W tym właśnie momencie głośne szumy w interkomie zagłuszyły odpowiedź Ann.

– Generale, tu Will. Proszę połączyć się z interkomem cztery.

– Co, u diabła...? Ann, chcę cię natychmiast widzieć w module dowodzenia. Wychodź stamtąd. – Przełączył swój pulpit łączności na dodatkowy kanał zamkniętego obwodu interkomu. – W porządku, Jerrod, o co chodzi?

– Chyba jest wyjście. Być może...

– Nie trzymaj nas w napięciu...

– Baker i Yemana wyszli z promu na zewnątrz, generale. Próbują dotrzeć do zapasowych pocisków Thor.

– Co robią?
– Baker znalazł sposób na ręczne uruchomienie pocisków. Razem z Yemaną chcą odłączyć dwa pociski, namierzyć na Rosjan i zdmuchnąć ich.
– Do cholery, Jerrod! Nie wydałem takich rozkazów. To zbyt ryzykowne. Jeśli Rosjanie zauważą...

– Generale – przerwał Will. – To się uda. Te samoloty kosmiczne są wprost nad wami, ale po przeciwnej stronie zapasowych pocisków Thor, umieszczonych pod konstrukcją nośną. Zanim zauważą, co się dzieje, będzie już za późno.

Saint-Michael potrząsała głową. Nagle cała załoga zamieniła się w cholerych kosmicznych kowbojów. Tracił kontrolę. Zwrócił się do Moyera, który w skafandrze kosmicznym czekał koło wjazdu do modułu badawczego.

– Leć do tunelu łączącego między modułem technicznym i magazynowym. Zobacz, czy możesz się skontaktować z Bakerem i Yemaną. Każ im natychmiast przejść na *Enterprise*.

Włączył dodatkowy kanał interfonu:

– To wyjątkowo głupi pomysł, Jerrod. Kiedy Rosjanie zobaczą, że próbujemy uruchomić pociski Thor, natychmiast nas załatwią. Każ wracać Bakerowi i Yemanie.

– Panie generale, czy nie powinniśmy przynajmniej spróbować?

– Nie twoja sprawa. To ja jestem dowódcą stacji i żądam, żeby ci ludzie dostali rozkaz powrotu. Wykonać.

Nastąpiła krótka przerwa, a potem padła niechętna odpowiedź:

– Tak jest, sir.

Jednak było już za późno. Moyer krzyknął przez ogólny interkom stacji:

– Generale, widzę jednego z nich. Dostał się do zapasowych Thorów...

Poruszając się przy pomocy dużego plecaka manewrowego MMU*, Baker i Yemaną uwolnili dwa pociski. Były to cylindry wielkości domowej lodówki z kilkoma wysięgnikami sterującymi po bokach. Kiedy pociski zostały wyciągnięte z pojemników, Baker otworzył znajdujące się z boku płytki i nacisnął kilka przycisków. W ten sposób rakiety uniezależniły się od SBR i przestały na samosterowanie. Następnie zdjął kolejne pokrywy i uruchomił głowice radarów naprowadzających. Potem, pomagając sobie nawzajem, przytwierdziłi oba pociski do uchwytów swoich cylindrów MMU. Powoli i ostrożnie

przenieśli się pod przeciwległe końce głównej belki nośnej, po czym skierowali pociski ponad konstrukcję, w stronę, gdzie ostatnio widzieli radzieckie pojazdy.

Ich jedyny przekaz radiowy nastąpił w momencie, kiedy wymanewrowali Thory poza belkę i wycelowali je w stronę pojazdów nieprzyjaciela. Yemana położył palec na silniku MMU, wziął głęboki oddech i krzyknął:

– Teraz!

Skoczył sześć stóp do przodu i skierował swój pocisk w górę. Jak na ironię, dzięki temu, że antena SBR po jego stronie została oderwana, miał idealne warunki, by strzelić do jednego z radzieckich pojazdów, który na tle gwiazd widoczny był jako ciemny obiekt o wydłużonym kształcie. Odczekał chwilę, aż zaświeciła się mała zielona lampka na tabliczce kontrolnej, potem gwałtownie wcisnął umieszczony tam guzik, odłączył pocisk i pociągnął dźwignię swego prawego silnika MMU. Zdołał odskoczyć zaledwie o dziesięć stóp, kiedy nastąpił zapłon silnika Thora.

Baker musiał przesunąć się parę stóp dalej, aby ominąć ogromne anteny SBR po swojej stronie, ale trwało to tylko kilka sekund. Następnie skierował swojego Thora w górę, pomagając sobie silnikiem ręcznym, aby pokonać znaczną bezwładność pocisku. Zajęło mu to nieco więcej czasu niż Yemanie, ale wkrótce i jego pocisk został wycelowany w miejsce, gdzie znajdował się radziecki pojazd... Tylko że już go tam nie było...

– Generale, pociski wycelowane prosto w nas – nadszedł zaskakujący meldunek od pułkownika Wołoszyna. Radziecki pilot nie mógł uwierzyć własnym oczom: oto amerykański astronauta manewrował pociskiem Thor w otwartej przestrzeni kosmicznej. Był to rzeczywiście zdumiewający widok, tylko że teraz stanowił wyraźne ostrzeżenie o grożącym ataku.

Goworow zareagował błyskawicznie. Na pełnym gazie wyciągnął swego Elektronę ostrą świecą w górę pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Dodatkowo zwiększył ciśnienie w jednym z małych silników na ogonie, następnie wyłączył go, pozostawiając za sobą chmurę monometylowohydrazynowego paliwa raketowego. Niemal natychmiast znalazł się o kilkaset metrów od amerykańskiej stacji kosmicznej.

Pocisk Thor pomknął prosto do celu. Yemana walczył chwilę z odrzutem silnika, ale zaraz odzyskał kontrolę nad swym MMU. Patrzył zafascynowany, jak stalowa siatka pocisku rozwija się do pełnej, prawie stustopowej średnicy.

Nie było siły, żeby nie trafił...

W tym jednak momencie radziecki kosmolot wystrzelił gwałtownie w górę i dosłownie w mgnieniu oka zniknął. Thor pomknął wprost do tego miejsca, gdzie pojazd był jeszcze przed chwilą, ale nie skręcił za nim w górę. Yemana nie wiedział, że głowica radarowa naprowadzająca pocisk wycelowała w gęstą chmurę paliwa hydrazynowego. Po dotarciu do niej urządzenia pokładowe pocisku zdetonowały tysiącfuntową głowicę bojową.

Yemana dostrzegł błysk eksplozji, ale nie zobaczył ani nie odczuł już nic więcej. Pocisk eksplodował nie dalej niż trzysta stóp od niego. Pięćset funtów metalu rozprysło się na kawałki. Odlamki, nie hamowane przez żaden opór, nawet siłę ciężkości, przeszły astronautę i zdetonowały zbiorniki ciśnieniowe MMU. Poszarpane ciało Yemany zostało odrzucone w przestrzeń.

– Generale, pocisk eksplodował za wami. Rozpoczynam atak.

Goworow trzymał Elektrona na maksymalnym ciągu silników. Kiedy usłyszał meldunek Wołoszyna, wykonał „beczkę”, a potem gwałtownie zanurkował w kierunku stacji. Przeciężenie doszło do czterech „g”. Usłyszał kilka uderzeń metalu o silikonowy pancerz Elektrona, ale zignorował to całkowicie. W wizjerze celownika wyrzutni pocisków nie widział teraz niczego poza swoją zdobyczą...

Will i Sontag zobaczyli błysk światła i usłyszeli grzmot eksplozji pierwszego pocisku Thor.

– Yemana, Baker! Gdzie jesteście?

Sontag uwolnił się z pasów i pospiesznie przemknął między dwoma fotelami pilotów do znajdującego się z tyłu przedziału załogi. Przycisnął twarz do jednego z okien wychodzących na platformę przeładunkową, przeszukując wzrokiem niebo za *Enterprise*. Patrzył w kierunku centralnego kilu i niżej położonych modułów ciśnieniowych.

– Widzę jednego z nich! – krzyknął. – Nie wiem tylko, czy to Baker, czy Yemana...

Baker zobaczył radziecki samolot kosmiczny prawie tuż nad sobą. Posługując się MMU, próbował manewrować ciałem tak, aby czujniki pocisku

skierować w nieprzyjaciela. Zbyt gwałtownie jednak włączył regulatory ciągu, co spowodowało, że zaczął gwałtownie koziołkować w przód. Kiedy przeciwnym ciągiem chciał skorygować swoje ruchy, pocisk Thor uwolnił się z zaczepów na jego plecaku manewrowym. Patrzył teraz, jak ostatnia nadzieja obrony *Silver Tower* znika, wirując w kierunku odległej Ziemi.

Pułkownik Wołoszyn dojrzał błysk eksplozji pierwszego pocisku. Wprawilo go to w furie. Natychmiast włączył celownik laserowy i naprowadził nitki urządzenia na najbliższy cel: ubranego w biały skafander doktora Kevina Bakera, który właśnie zaczynał odzyskiwać kontrolę nad swym plecakiem manewrowym. Wołoszyn nacisnął spust. Pojedynczy pocisk wystrzelił z obrotowej wyrzutni umieszczonej w ładowni Elektronu dwa. Jego mały silnik raketowy odpalił. Głowica naprowadzająca pocisku bezbłędnie podążyła za orbitą wiązką promieni laserowych wprost do celu.

Rozerwała się w zetknięciu z urządzeniem sterującym MMU znajdującym się na piersi Kevina Bakera, ale superszybki Scimitar szedł dalej. Tuż za naprowadzającą znajdowała się druga, niewybuchowa głowica bojowa w kształcie grotu, wykonana ze stopu molibdenu i zubożonego uranu, mogąca przebić najgrubszą płytę pancerną.

Pocisk, pędzący teraz z prędkością ponad jednej mili na sekundę, przebił z łatwością pierś i plecak manewrowy Bakera. Przeszedł przez znajdujący się o pięćdziesiąt jardów dalej moduł magazynowy, przez zewnętrzną obudowę zasilającego Skybolt reaktora MHD, odginając jedną z grubych na cztery stopy ścian, i poszybował w przestrzeń.

– O... Boże...

Will odwrócił się i zobaczył, że Sontag wolno odsuwa się od okien ładowni.

– Co tam się dzieje, Rich...?

– Jeden z nich... o, Boże... strzelili wprost w niego rakieta.

– Czy możemy go tu ściągnąć? Czy widzisz, gdzie jest?

Sontag zmusił się do ponownego spojrzenia przez okienko. Ubrana w skafander kosmiczny postać była rozpostarta jak orzeł. Znajdowała się prawie w tej samej pozycji co przedtem, ale teraz otaczała ją chmura unoszących się wokół nierozpoznawalnych szczątków. Ciało zaczęło się obracać, jakby było

na końcu niewidzialnego sznura. Sontag dostrzegł w piersi otwór wielkości piłki tenisowej...

– *Enterprise*, tu Saint-Michael. Jerrod, co się stało?

Will włączył interkom łączności ze stacją.

– Generale, Baker i Yemana... nie żyją.

Zapadła cisza.

– Jesteś pewien?

Will nie odpowiedział, zwiesił tylko głowę i zaczął bębnić palcami o przednią szybę. Teraz zdał sobie sprawę, co zrobił...

Generał Goworow był przekonany, że niespodziewany atak mógł nadejść tylko z jednego miejsca: z wyrzutni pocisków Thor, zakotwiczonej poniżej stacji. Natychmiast włączył celownik laserowy i naprowadził jego nitki na umieszczony pod wyrzutnią projektor wiązki cząstek neutralnych. Odpalił dwie rakiety. Powstały fajerwerki iskier i wtórnych eksplozji. Wyrzutnia zerwała się ze swojej stalowej uwięzi i pokoziołkowała w przestrzeń.

Goworow powrócił na pierwotne stanowisko obserwacyjne ponad stację i włączył mikrofon.

– Elektron dwa, zamelduj się.

– Zgłaszam się, wszystko w porządku – odezwał się Wołoszyn. – Dwaj amerykańscy kosmonauci, którzy przynosili pociski Thor...

– Kosmonauci?!

– Tak jest. Pierwszego z nich nie widzę, był blisko miejsca eksplozji pocisku Thor, który odpalił przeciwko wam. Drugiego... zlikwidowałem. Przygotowuję się do ataku.

– Zrozumiałem. Wymanewruj na zaplanowaną pozycję i zamelduj się, kiedy będziesz gotów. Ja wracam na poprzednie stanowisko.

Wołoszyn obserwował, jak Goworow wprowadza swój myśliwiec w szeroki łuk wokół stacji. Zaczął się zastanawiać, czy jest sens czekać i wracać na pozycję. Nie, teraz właśnie jest najbardziej odpowiednia chwila, zanim Amerykanie wymyślą coś nowego. Poderwał swego Elektronę o dwadzieścia stopni w górę, jednocześnie kierując go w środek stacji. Włączył celownik laserowy.

Nitki celownika spoczęły na pierwszym dużym obiekcie będącym w polu widzenia – dolnej części przedziału załogowego promu kosmicznego *Enterprise*...

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG*

– Generale, oni ustawiają się na poprzednie pozycje.

Saint-Michael, wstrząśnięty raportem o Bakerze i Yemanie, popędzał Jeffersona, Marksa i Walkera w kierunku wjazdu do głównego tunelu łączącego.

– Wchodźcie na pokład *Enterprise*. Za chwilę ich pociski zaczną rozwałać tę stację na kawałki. Moyer, zamelduj się...

Nagła eksplozja rzuciła wszystkich o ścianę. Nad włazem prowadzącym do głównego tunelu łączącego zaczęła błyskać duża czerwona lampa.

– Pożar w tunelu łączącym...

Saint-Michael pomógł Walkerowi wstać, potem odnalazł swoje słuchawki.

– *Enterprise*. Alarm. Ogień w tunelu łączącym. Przygotować się do odłączenia awaryjnego.

– Jason – odezwał się głos Jerroda Willa z pokładu promu kosmicznego *Enterprise*. – Zostaliśmy zaatakowani... gwałtowna dekompresja...

Will, Sontag i inni członkowie załogi znajdujący się na pokładzie promu *Enterprise* nie mieli czasu na ewakuację.

Pocisk przeorał niższy pokład ciśnieniowej kabiny *Enterprise*, rozerwał ogniwo paliwowe i wywołał potężną eksplozję mieszanki wodorotlenowej. W ułamku sekundy dolny i środkowy pokład stanęły w ogniu. Davis, Wallis i Montgomery spłonęli żywcem.

Pocisk przebił śródpokładzie, zniszczył aluminiowy dźwigar, roztrzaskał przednią ścianę kabiny pilotów i przeszedł przez maskę silnika RCS* na dziobie promu. Eksplozja zbiorników z hydrazyną i trójtlenkiem azotu w komorze RCS wreszcie unieszkodliwiła pocisk, ale zniszczenie już się dokonało.

Bez skafandrów kosmicznych, bez kabiny zapewniającej ochronną warstwę powietrza pod ciśnieniem, pozostali przy życiu czterej członkowie załogi nie mieli żadnej szansy. W ich krwi zbulgotał rozpuszczony azot, którego pęcherzyki zaczęły rozsądzać system krwionośny. W ciągu kilku potwornie długich minut, w srogim mrozie przestrzeni kosmicznej, Will, Sontag, Bayles i Kelly ugotowali się na śmierć.

*

– Will! – Saint-Michael uwolnił się z pasów przy głównym ekranie SBR i odepchnął się w kierunku wjazdu, który prowadził do głównego tunelu łączącego.

Gwałtownie wcisnął guzik, aby go otworzyć, ale bez skutku. Specjalne czujniki dymu i ognia blokowały go w razie pożaru.

Saint-Michael zwrócił się do Marksa:

– Wayne, rozhermetyzuj tunel łączący do modułu cumowniczego. Moyer, czy mnie słyszysz? Gdzie teraz jesteś?

– Jestem w inżynierskim – odezwał się Moyer. Przez interkom wyraźnie było słychać jego ciężki oddech. – Kieruję się do tunelu łączącego.

– Zrozumiałem. – Saint-Michael spojrzął na wskaźniki nad włazem. Światelko sygnalizujące alarm pożarowy zgasło, ale paliła się lampa wskazująca brak ciśnienia.

– Moyer, widzę, że ogień wygasł, a ciśnienie w tunelu łączącym spadło do pół atmosfery. Zezwalam na odblokowanie wejścia. Nie zapomnij wziąć ze sobą kilku masek tlenowych, mogą się przydać.

– Zrozumiałem. Otwieram właz. – Moyer rozhermetyzował moduł techniczny, otworzył właz prowadzący do tunelu łączącego, potem zamknął oraz zabezpieczył za sobą pokrywę i ruszył w kierunku śluzy powietrznej.

Na raport Moyera nie trzeba było długo czekać.

– Kapitanie?

– Czy możesz się dostać na *Enterprise*? Jak tam wygląda?

– Jestem przy włazie do śluzy. Pali się sygnał pożarowy... – Przekaz nagle się urwał.

– Moyer? – Brak odpowiedzi. – Moyer, zamelduj się.

– Kapitanie... mój Boże... cała śluza jest wypalona. Widzę dwa ciała. Oba spalone. To chyba Kelly i Bayles... Myślę, że próbowali wrócić do stacji...

– Moyer... – Saint-Michael przerwał, próbując się uspokoić i zebrać myśli... Pożar w śluzie, co najmniej dwóch zginęło... dwóch martwych na zewnątrz... – Moyer... Ted, musisz zobaczyć, co z *Enterprise*. To nasza jedyna szansa, żeby się stąd wydostać i uratować. Obejrzyj go dokładnie.

Głos Moyera brzmiał bardzo poważnie.

– Tak jest sir. Rozumiem. Jestem gotów.

– Zaczekaj. Rozhermetyzuj śluzę. – Saint-Michael zwrócił się do Marksa, który włączał przyciski na pulpicie kontrolnym stacji. Marks skinął głową do dowódcy.

– Śluza cumownicza ciśnienie pięć p.s.i.

– Przyjąłem – Moyer odpowiedział głosem schrypniętym, ale zdecydowanym. Odczekał, aż zgasła ostrzegawcza lampa pożarowa nad włazem,

kiedy rozrzedzona atmosfera w module stłumiła resztki pożaru. – Wchodzę do śluzy. – Mimo wewnętrznego oporu Moyer nie mógł nie spojrzeć na zwęglone szczątki ludzi, którzy przez tyle miesięcy byli jego najlepszymi przyjaciółmi. Poczul mdłości...

SAMOŁOT KOSMICZNY *ELEKTRON JEDEN*

Ze swego dogodnego stanowiska, wysoko ponad stacją kosmiczną *Armstrong*, Goworow zobaczył oślepiający błysk i eksplozję, kiedy przedział załogowy promu *Enterprise* został rozerwany przez pocisk Wołoszyna. Szyby jego kokpitu rozbłysły w refleksach ognia, a wokół wahadłowca zaczęła rosnąć chmura gazów i szczątków.

- Elektron dwa. Zamelduj się.
- Tak jest. Wracam na pozycję.
- Co to za eksplozja? Co się stało?

Po krótkiej chwili Wołoszyn odezwał się:

- Dałem Amerykanom nauczkę, żeby nie próbowali kolejnego ataku.

Goworow ze złością walnął w poręcz fotela, próbując rozładować gniew. Wołoszyn był najwyższej klasy kosmonautą i pilotem myśliwców atmosferycznych. Ale był także o pięć lat młodszy od Goworowa i jak większość młodych pilotów wykazywał więcej niż średnią zapalczliwość. Goworow postanowił powiedzieć mu później parę mocnych słów. Ale teraz...

– Wykonujcie rozkazy, pułkowniku. Mamy do wykonania określone zadanie. Wymagam najwyższej precyzji. Nie jesteśmy ani nauczycielami, ani rzeźnikami.

Goworow włączył celownik laserowy i przejechał nim po centralnej belce nośnej stacji kosmicznej *Armstrong*. Przed tym lotem miał tylko kilka minut na przestudiowanie szkiców stacji. Były one najwyraźniej przestarzałe. Jednak niektóre z celów nie budziły wątpliwości. Na przykład SBR. Jeden z wielkich fazowanych układów antenowych został ucięty jak nożem, ale jego odpowiednik, znajdujący się z drugiej strony centralnego kilu, nie doznał żadnego uszczerbku. Używając kamery telewizyjnej, sprzężonej z celownikiem laserowym, tak długo ogniskował obraz, aż krzyż na siatce celownika spoczął na złączu sterującym, znajdującym się w miejscu umocowania anteny do kilu. Wystarczyło zniszczyć ten jeden zespół, aby całe sterowanie, zasilanie oraz

elektronika radaru przestały działać. Goworow włączył pulpit sterujący uzbrojenia. Palec obleczony rękawiczką spoczął na spuście umieszczonym na drążku i delikatnie go nacisnął.

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG*

– Ciśnienie w kabinie zero. Ogień z pokładu mieszkalnego przeniósł się na górny. Duża wyrwa w przedniej ścianie. Trzy... ciała na pokładzie mieszkalnym... Davis, Wallis i Montgomery. Montgomery jest ciągle przypięty do fotela. Oni... oni nie mieli szans.

Saint-Michael trzymał się umieszczonego nad jego głową uchwytu, kiedy przyjmował raport Moyera na temat spustoszeń na *Enterprise*. Siedmiu zabitych. Siedmiu...

– Ted, czy możesz określić uszkodzenia?

– Tak, sir. Silna eksplozja gdzieś na dolnym pokładzie. Wygląda na przebicie ogniwa paliwowego. Jest też duża dziura w przedniej ścianie. Chyba jest przebita na wylot.

– Czy to da się naprawić?

– Nie sądzę, chyba żeby spróbować zespawać. Wygląda poważnie.

Enterprise był stracony.

– To, czym Rosjanie go ugodzili, było diabelnie skuteczne – powiedział głośno do siebie Saint-Michael. – Ted, wracaj tu natychmiast.

– Co mam zrobić z załogą *Enterprise*? Czy mam ich tu tak zostawić?

Nagle rozdzierający uszy dźwięk, jak trzask bicza rozbrzmiał echem w module dowodzenia. Cała stacja zaczęła wibrować. Sygnały ostrzegawcze pojawiły się na monitorach otaczających główny ekran SBR.

– Straciliśmy całą antenę SBR numer dwa – zameldował Jefferson, patrząc na wskazania instrumentów. – Z tej strony nie ma żadnych sygnałów.

– Znowu zaczęli – odezwał się Walker. – I nie przestaną, póki nie rozwalą tej stacji na kawałki.

– Moyer, wracaj tu. Wszyscy zameldować się na pokładzie kapsuły ratunkowej – wydał rozkaz Saint-Michael. – Nastawię silniki rakietowe na wytrącenie stacji z orbity; zastosujemy takie opóźnienie, żeby...

Jakiś głos włączył się do ogólnej sieci interkomu:

– Kontrola, tu Skybolt. Chyba udało mi się uruchomić laser... Mówiłam ci, że niewiele mi brakuje...

Głos Ann zaskoczył Saint-Michaela. Zawahał się przez chwilę, a potem wcisnął guzik na pulpicie.

– O czym ty mówisz?! Skybolt pracuje?

– Chcę, żebyście przełączyli sterowanie SBR z systemu Thor z powrotem na Skybolta. Ja nie mogę stąd tego zrobić. Przełączcie SBR na...

Głośny huk zagłuszył słowa Ann. Zawyla syrena ostrzegawcza.

– To szafa sterująca zespołu radiatorów po prawej stronie – poinformował Jefferson po sprawdzeniu sygnałów alarmowych. – Połowa naszego systemu regulacji parametrów środowiska nie działa.

– Nie możemy ryzykować – zawyrokował Walker. – Jeszcze kilka takich strzałów i będzie po nas. – Saint-Michael uciszył go jednak gestem.

– Ann, czy Skybolt naprawę może być skuteczny?

– Baker zneutralizował błędy systemu – odpowiedziała. – Myślę, że laser będzie teraz śledził cele. Nie jestem tylko pewna, czy zlikwidowaliśmy problem zapłonu reaktora MHD, ale...

– Nie mamy czasu, Jason – wtrącił się Walker zduszonym głosem. – Musimy się dostać do kapsuły ratunkowej...

Kolejny głośny huk; stacja zatrzęsa się. Światła w module przygasły i zawyla następna syrena alarmowa. Sytuacja wydawała się zbyt groźna, aby jeszcze zadawać sobie trud sprawdzania szkód.

– Jason, musisz to zrobić natychmiast – stanowczym głosem powiedziała Ann. – Jeśli jeszcze nie jest za późno...

– No dobrze, do diabła, próbujemy. – Walker chciał znów zaprotestować, lecz Saint-Michael go uprzedził: – Ale nie wasza piątka. Chcę mieć was wszystkich w kapsule ratunkowej, kiedy zacznę strzelać z lasera.

– Sam nie dasz rady – odezwała się Ann. – Laser uruchamia się z modułu Skybolta. Potrzebuję kogoś, żeby monitorował SBR stamtąd. Może też będziemy zmuszeni zmienić orbitę stacji. Ja muszę zostać tutaj...

Saint-Michael ponownie się zawahał, chociaż wiedział, że nie ma innego wyjścia. To było jej zadanie.

– Dobrze, Ann, zostań przy Skybolcie. Walker, Marks, Jefferson, Moyer, przejdźcie do kapsuły ratunkowej.

Kilka dalszych głośnych uderzeń i silna eksplozja ogniwa paliwowego

poprzedziły słowa Walkera, że wszyscy pozostali członkowie' załogi obezwładnionej stacji kosmicznej zostali zamknięci w uszczelnionym module ratunkowym.

Saint-Michael przyjął meldunek, życzył powodzenia, a potem podniósł dużą plastikową pokrywę na swoim pulpicie dowódcy, odsłaniając czarno-żółty przycisk. Nastąpiła seria wybuchów niewielkich ładunków uruchamiających silowniki hydrauliczne, po czym kapsuła ratunkowa pomknęła w przestrzeń. Może komuś się uda przeżyć i opowiedzieć, co się tu wydarzyło. I dlaczego...

SAMOLOT KOSMICZNY *ELEKTRON JEDEN*

– Generale, uwaga. Pod wami!

Tym razem Goworow od razu dostrzegł to, przed czym ostrzegał go Wołoszyn. Długi, srebrny, smukły obiekt poniżej stanowiska cumowania uwolnił się z zakotwiczenia i szybko oddalał od stacji. Wkrótce zniknął z pola widzenia.

– To pojazd ratunkowy – przekazał Goworow przez radio Wołoszynowi. – Chyba opuścili stację. Nie wydaje się, żeby został katapultowany przez przypadek.

– Czy będziemy wchodzić na pokład *Armstronga*!

– Nie, wciąż myślę, że zdalnym sterowaniem uruchomią silniki odrzutowe stacji i wytrącą ją z orbity. Pozostań na stanowisku i kontynuuj niszczenie podsystemów *Armstronga*. Jeśli pozostaną nam pociski, możemy wziąć na cel moduły ciśnieniowe.

W trakcie tej rozmowy Goworow zauważył, że stacja zaczęła się powoli obracać. Po mistrzowsku manewrował swoim *Elektronem*, aby za nią podążać. Nie wydawało się to zbyt trudne, chociaż obroty były nieco chaotyczne – najwyraźniej silniki wymknęły się spod kontroli komputera. Stacja zaczęła się kręcić wokół głównej belki nośnej zamiast wokół osi modułów ciśnieniowych.

Kilka fragmentów tablicy antenowej radaru orbitalnego wraz z jakimiś innymi szczątkami spadło z impetem na moduły ciśnieniowe. Wyglądało to, jakby stacja rozpadała się na kawałki. Według Goworowa mogli zaoszczędzić swoje pociski *Scimitar* i zachować je na inną misję bojową.

Wołoszyn pozostał na swojej pozycji i obserwował obracającą się poniżej stację, nie troszcząc się zbytnio o utrzymanie stałego położenia względem niej.

Najniższe części *Armstronga* zaczynały się pojawiać w jego polu widzenia... Zauważył jakieś dziwne urządzenie na końcu jednego z niższych modułów ciśnieniowych – obudowę zwierciadła nastawnego Skybolta. Samo zwierciadło przypominało wielki błyszczący bulaj. To równie dobry cel, jak każdy inny – pomyślał, włączając swój celownik laserowy...

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG*

– Ann, to wszystko, co mogę zrobić – powiedział Saint-Michael przez interkom.

Komunikowanie się w masce tlenowej POS należało do trudniejszych czynności. Duża, wypukła osłona szklana na twarzy pokrywała się parą, kiedy mówił lub zbyt szybko oddychał, a rurki i przewody interkomu, unoszące się wokół głowy, krępowały mu ruchy i ograniczały pole widzenia. W tej sytuacji precyzyjne wykonywanie czynności związanych ze sterowaniem ośmiusettonową stacją kosmiczną było rzeczą niemożliwą.

– Czy mógłbyś dać jeden impuls na dodatniej osi X?

– Zabawa z tymi kontrolkami zajęłaby mi zbyt dużo czasu – odpowiedział jej Saint-Michael. – Jeśli nie możesz tego zrobić, to powiedz. Potrzebujemy trochę czasu na ubranie się w skafandry kosmiczne, zanim Rosjanie całkiem rozwalą stację.

To były prorocze słowa. Potężna eksplozja zakołysała nimi, zmuszając Saint-Michaela do szukania jakiegoś punktu oparcia. Wstrząs nastąpił w odległości zaledwie kilku stóp. Światła zamigotały, zapaliły się, znów zamigotały i w końcu zgasły. Włączyło się kilka dotychczas nie uszkodzonych automatycznych świateł awaryjnych. Wydawało się, że stacja nabiera prędkości, zupełnie jak kolejka górską w wesołym miasteczku tuż po przekroczeniu szczytu...

– Ann...

Jego głos utonął w huku kolejnej eksplozji. Ręka instynktownie zacisnęła się na uchwycie sufitowym. Tym razem nie było jednak nowej eksplozji na kilu. Tylko głośny, rytmiczny, bębniący łoskot, niósł się echem przez całą stację.

SAMOŁOT KOSMICZNY *ELEKTRON DWA*

Celownik laserowy nie mógł uchwycić dużego, okrągłego bulaja. Jakiś rodzaj wewnętrznego zwierciadła rozpraszał energię lasera, zamiast odbijać ją z powrotem. Wołoszyn musiał więc wycelować w obudowę. Z tym nie było problemu. Stacja obracała się z dogodną prędkością – nie za szybko i nie za wolno. Za chwilę ta dziwna obudowa znajdzie się w celowniku, a wtedy odpali pocisk prosto w nią.

Pułkownik Iwan Wołoszyn zobaczył błysk czerwonego światła i nagle poczuł falę gorąca, jak gdyby zanurzył się w wannie z ciepłą wodą. Uczucie było tak przyjemne, że poddał mu się całkowicie. Śmieszna sprawa, ale nagle bardzo zachciało mu się siusiu. Czy to dlatego, że czuł się tak, jakby miał ręce zanurzone w wiadrze z ciepłą wodą? Pamiętał z dzieciństwa, że był to ulubiony sposób jego matki. Zawsze przed wyjściem z nim po zakupy pytała go, czy nie musi iść do łazienki, a on, oczywiście, zawsze mówił, że nie. Wtedy kazała mu myć ręce i pilnowała, aby woda była bardzo ciepła, i nagle musiał...

To przyjemne wspomnienie z dzieciństwa pułkownik Wołoszyn zabrał ze sobą w niebyt. Jego samolot kosmiczny Elektron eksplodował, rozpadając się na tysiące płonących kawałków.

SAMOŁOT KOSMICZNY *ELEKTRON JEDEN*

– Elektron dwa. Zamelduj, co to za błysk światła po twojej stronie. – Nie było słycać nic, nawet szumu zakłóceń. – Wołoszyn. Zamelduj się.

Goworow musiał raptownie włączyć boczne silniki, aby uniknąć zderzenia z dużym fragmentem pochodzącym prawdopodobnie z uszkodzonej amerykańskiej stacji, który pojawił się nie wiadomo skąd. Spojrzał na wskaźniki poziomu paliwa. Jego szaleńcza ucieczka i manewry, aby utrzymać się w stałej pozycji względem *Armstronga*, w dużym stopniu uszczupliły cenny zapas. Strata paliwa na poszukiwanie Wołoszyna zmusiłaby go do wcześniejszego powrotu. Nie miał już czasu na identyfikowanie, celowanie i strzelanie do poszczególnych fragmentów stacji.

– Wołoszyn, podaj stan paliwa. – Brak odpowiedzi. – Elektron dwa, tu Elektron jeden. Jeśli mnie słyszysz, przerwij atak i przyłącz się do mnie tysiąc metrów ponad osiã stacji. Potwierdź.

Odpowiedzi nie było. Sprawy przybierały coraz gorszy obrót. Wciąż ubywało paliwa, stracił towarzysza lotu, miał już tylko pięć pocisków, a cel ciągle jeszcze nie został zniszczony. Zrezygnował z utrzymywania stałej pozycji względem chwiejnie poruszającej się stacji i okrążył ją. Ani śladu Wołoszyna. Zamiast marnować paliwo na utrzymanie się w stałej pozycji, Wołoszyn prawdopodobnie został nad wrakiem... A może trafiły go jakieś szczątki...?

Zostało tylko parę minut do czasu, kiedy będzie musiał zejść z orbity. Gworow nie mógł już sobie pozwolić na celowanie w poszczególne podzespoły stacji. Wymanewrował dziobem do obracającej się stacji, włączył celownik laserowy i wymierzył w jej moduły ciśnieniowe...

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG*

– Ann, słyszysz mnie?

Interkom zamilkł. Światła zgasły całkowicie, z wyjątkiem paru lamp awaryjnych. Nie wiedział, czy SBR lub Skybolt działają. Nie wiedział nawet tego, czy Ann jeszcze żyje.

Nagle ta ogromna, supernowoczesna stacja kosmiczna wydała mu się orbitalnym mauzoleum. Nie mógł już myśleć o niczym innym, tylko o tym, aby odnaleźć Ann i wydostać ją z tej ciemnej krypty grobowej.

Od czasu, kiedy załoga modułu dowodzenia ewakuowała się ze stacji, Saint-Michael miał na sobie dolną część skafandra kosmicznego. Teraz chwycił unoszącą się w pobliżu górną część, włożył ją na siebie i połączył z dolną. Oddychając tlenem z podręcznego aparatu tlenowego, włożył rękawice, słuchawki, hełm i uruchomił zestaw służący do podtrzymywania życia. Wtedy skierował się do wjazdu tunelu łączącego.

Przedostał się przez tunel łączący i właśnie wchodził do modułu technicznego, kiedy poczuł, że sufit eksploduje mu nad głową. W ułamku sekundy dostrzegł, że to pocisk przebija moduł i przechodzi przez podłogę. Pokrycie z wykładziny velcro zaczęło jakby puchnąć i wrzeć niczym gorąca smoła.

Iskry wypełniły kabinę. Zawyla syrena ostrzegająca o spadku ciśnienia, potem zaczęło błyskać ostrzegawcze światło pożarowe. Po chwili były to jedyne światła w tym module. Błyski lamp alarmowych stworzyły dziwny efekt stroboskopowy. Saint-Michael stracił orientację, ale zmusił się do działania. Ostrożnie przedostał się przez płataninę kawałków metalu, plastiku, przewodów i innych szczątków unoszących się wszędzie i skierował się do

włazu modułu Skybolt. Kłęby dymu zaczęły wypełniać pomieszczenie, kiedy przez grubą szybę z pleksiglasu zajrzał do środka.

Ann dryfowała w powietrzu pod sufitem, a jej ręce i nogi dyndały jak u marionetki. Podręczny aparat tlenowy unosił się w okolicach jej karku. Saint-Michael z ulgą zauważył, że ma na twarzy maskę. Nie poruszała się. Na czole zobaczył krew.

Otworzył właz, zamknął go za sobą i sprawdził, czy ciśnienie modułu Skybolt ponownie się podnosi. Kiedy było już prawie normalne, wcisnął się w wąskie przejście między wielkimi szafami urządzeń elektronicznych i przyciągnął Ann do siebie. Szybko sprawdził połączenia jej aparatu tlenowego i stwierdził, że są w porządku. Na lewej skroni miała guza i krwawiące skaleczenie. Przytknął swój hełm do szyby jej maski tlenowej.

– Ann, czy mnie słyszysz? – Po długim, pełnym napięcia oczekiwaniu zauważył, że mięśnie na jej szyi i twarzy drgnęły. Chwilę później otworzyła oczy. – Dobrze się czujesz?

– Ja... uderzyłam się o pulpit sterowniczy... była duża eksplozja...

– Musimy się stąd wydostać. Czy możesz się poruszać?

Ann skinęła głową, poruszyła nogą, próbując znaleźć podłogę, ale wciąż była o kilka stóp ponad pokładem.

– Przeniosę cię, chcę, żebyś weszła do kuli ratowniczej.

– Skybolt... działa, Jason. Oddałam strzał... on strzelał...

– Spokojnie. Nie myśl o tym. Te kosmoloty celują w moduły. Ten może być następny. – Wyciągnął kulę ratowniczą z pomalowanego na żółto pojemnika umocowanego do sufitu modułu. – Czy możesz zamknąć się od środka?

Ann lekko skinęła głową, jej ciężki oddech pokrył parą szybkę maski tlenowej.

Kolejna eksplozja wstrząsnęła stacją, po czym gwałtownie zmienił się kierunek obrotów. Saint-Michael musiał chwycić się czegoś i trzymać do momentu, aż jego ciało dostosowało się do nowego ruchu stacji. Potem otworzył kulę ratowniczą.

– Zwiń się w kłębek wokół aparatu tlenowego.

Z jego pomocą Ann podkuliła nogi i ramionami objęła aparat. Głowę przycisnęła do kolan.

– Pamiętaj, żebyś uszczelniła kulę, kiedy będziesz w środku, i cały czas sprawdzaj ciśnienie. Utrzymuj je na poziomie siedmiu p.s.i., za pomocą aparatu tlenowego, jeśli będzie trzeba.

Saint-Michael nałożył kulę na Ann skuloną w pozycji płodowej i zapiął zamek błyskawiczny. Kiedy przenosił ją do pulpitu tlenowego, czuł, jak wewnątrz manipuluje suwakiem uszczelniającym. Wcisnął końcówkę przewodu w wentyl kuli i włączył tlen. Strzałka na małym manometrze poszła w górę. Kiedy ciśnienie doszło do obowiązującej na stacji jednej atmosfery, ponownie sprawdził szczelność. Kula ratownicza wyglądała teraz jak wielka piłka plażowa.

Pozostawiając Ann podłączoną do instalacji tlenowej, wyłączył blokady ciśnieniowe i otworzył właz do modułu technicznego. Pomieszczenie kuchenne było całkowicie rozhermetyzowane i sądząc po eksplozjach, jakie co pewien czas następowały, reszta stacji była równie martwa. Istniała tylko jedna, ostatnia możliwość, by przetrwać. Odłączył kulę ratowniczą od przewodu tlenowego i przeniósł ją przez moduł techniczny i tunel łączący do modułu cumowniczego. Poprzez bezprzewodowy interkom usłyszał jej głos, nieco silniejszy i pewniejszy:

- Jason...?
- Jak się czujesz?
- Widzę gwiazdy za każdym razem, kiedy mrugnę, a głowa boli mnie jak diabli. Dokąd idziemy?
- Na *Enterprise*.
- Ale przecież Rosjanie go zniszczyli?
- *Enterprise* nie zawiezie nas do domu – powiedział Saint-Michael, otwierając właz do modułu cumowniczego na końcu głównego tunelu łączącego – ale może nas uratuje. Mój skafander ma zapas powietrza i energii tylko na siedem godzin. *Enterprise*, nawet uszkodzony, ma dość powietrza i wody na trzydzieści dni, i wystarczającą moc silników do utrzymania się na orbicie. Możemy przetrwać do czasu, aż...

Ann nie wiedziała, dlaczego Saint-Michael przerwał w połowie zdania. Po tem zrozumiała... Byli teraz w module cumowniczym, gdzie ciągle znajdowały się spalone ciała Baylesa i Kelly'ego. Wyobraziła sobie w sposób niemal namacalny, jak próbowali wydostać się z *Enterprise* i wrócić na *Silver Tower*, szukając schronienia przed ścigającą ich ścianą ognia utworzoną z płonących zbiorników paliwa...

Saint-Michael nie mógł oderwać oczu od wykrzywionych twarzy, pustych oczodołów, zwęglonych mundurów, zdeformowanych kościstych dłoni. Ostrożnie niósł swój cenny ładunek ponad zwęglonymi szczątkami, zdając sobie sprawę, że kobieta, którą teraz transportuje w plastikowej kuli

ratowniczej, o mało co nie znalazła się wśród tych martwych ciał.

Podążając wzdłuż tunelu cumowniczego do śluz powietrznych *Enterprise* i do samego promu, spostrzegł, że żarłoczne płomienie osmały wszystko.

– Czy jesteśmy już na *Enterprise*? – spytała Ann.

Nie potrafił wydobyć z siebie głosu, a ona nie nalegała.

Montgomery, Wallis i Davis byli ciągle przypięci do swoich stanowisk. Na piersiach zwisały im stopione maski tlenowe. Eksplozja zbiornika paliwa na niższym pokładzie magazynowym rozerwała część mieszkalną *Enterprise*. W powietrzu unosiły się szczątki, które nigdy nie miały opaść.

– Zostawię cię na pokładzie mieszkalnym – powiedział Saint-Michael. Umieścił ją między włazem do śluzy powietrznej a drabinką prowadzącą na górny pokład. Podłączył kulę do przewodu doprowadzającego »tlen i otworzył dopływ. Z ulgą zauważył, że system jest sprawny.

– Możesz dopełnić aparat tlenowy przez przewód, który masz w środku. Ja muszę... zobaczyć, czy *Enterprise* jest zdolny do lotu.

Ann nie odpowiedziała. Wiedziała, co naprawdę chciał zrobić: usunąć ciała Willa i Sontaga ze spalonego kokpitu.

SAMOŁOT KOSMICZNY *ELEKTRON JEDEN*

Pozostał tylko jeden pocisk.

Generał Aleksander Goworow do maksimum wykorzystał czas, jaki mu pozostał, zanim przerwał systematyczne ataki przeciwko amerykańskiej stacji kosmicznej. Wpakował pociski Scimitar we wszystkie spośród ośmiu modułów ciśnieniowych z wyjątkiem dwóch, upewniając się, że wszystko, co znajdowało się w jego zasięgu, zostało przynajmniej przedziurawione. Te dwa pozostałe moduły znajdowały się najdalej od osi obrotów stacji i dlatego, jako poruszające się najszybciej, były trudniejsze do trafienia. Strzelał więc do łatwiejszych celów, modułów położonych bliżej belki głównej.

Wszędzie wokół poszarpanej stacji kosmicznej unosiła się chmura szczątków. Co jakiś czas iskrzyły połączenia i wybuchały ogniwa paliwowe gdzieś na konstrukcji nośnej, a strzępy radaru orbitalnego, anten komunikacyjnych i wymienników ciepła poruszały się w nieważkości przestrzeni, jak gdyby popychał je jakiś dziwny, niezemski wiatr. Obroty stacji były nieregularne. Pierwotnie oś ich przebiegała wzdłuż głównej belki nośnej, teraz wyglądało to na chwiejne, mimośrodowe wirowanie. Prom kosmiczny stał wciąż przycumowany. Okna kokpitu były jednak ciemne i bez śladów życia, a poszarpany, przebity

dziób świadczył, że prom jest bezużyteczny.

Goworow nawiązał łączność z nawodną stacją namiarową radzieckiego Dowództwa Obrony Kosmicznej w chwilę po zniknięciu Wołoszyna. Radzieckie naziemne stacje radiolokacyjne nie były tak nowoczesne jak amerykańskie TDRS* lub WESTAR*, toteż łączność głosowa lub cyfrowa z tak małym pojazdem jak Elektron miała zakłócenia. Stacja ta nie potrafiła odszukać Wołoszyna ani pomóc mu połączyć się z radzieckim modułem orbitalnym. Poza tym Goworow stwierdził, że nie ma dość paliwa, aby ryzykować długotrwałe poszukiwanie stacji *Mir*, dlatego jedynym wyjściem było opuszczenie orbity.

- Elektron jeden, tu kontrola dowództwa „Płonącej Gwiazdy”.
- Słucham, kontrola.
- Elektron jeden, zalecamy przejście na inną orbitę...

Co takiego?! To szaleństwo...

– Kontrola, nie mam dość paliwa, żeby spędzić na orbicie dalsze dwie godziny. Muszę z niej zejść już teraz, jednym manewrem. Skąd taka propozycja?

– Elektron jeden, zauważyliśmy coś w odległości dziesięciu kilometrów od twojej trasy schodzenia wyliczonej przez komputer.

– Co to takiego, czy to jakiś inny pojazd kosmiczny?

– Potwierdzam. Przewidujemy, że ten obiekt może się znaleźć w odległości pięciu kilometrów od ciebie, kiedy rozpoczniesz manewr schodzenia. Przekaż, co masz zamiar zrobić.

Goworow mocniej uchwycił drążek sterowniczy. Zrozumiał, że to jeszcze nie koniec walki.

– Kontrola, czy możecie zidentyfikować ten obiekt? Skąd wystartował?

– Niestety, nie. To nie jest żaden ze znanych nam pojazdów orbitalnych. Pojawił się w pobliżu ciebie jakąś godzinę temu, bardzo blisko twojego obecnego toru lotu.

– Kontrola, chcę mieć natychmiast namiar na to.

– Powtórz, Elektron jeden.

– Proszę o namiar na ten obiekt. Zamierzam się nim... zająć.

– Tak jest. Proszę zaczekać.

Kiedy Goworow otrzymał dane dotyczące odległości i współrzędnych, pot wystąpił mu na czoło. Obiekt rzeczywiście znajdował się bardzo blisko toru

jego lotu – niebezpiecznie blisko. O niecałe trzydzieści kilometrów od niego, a wysokość różniła się tylko o pięć tysięcy metrów od jego własnej.

Ponownie włączył celownik laserowy i otworzył klapy ładowni, gdzie znajdowała się wyrzutnia pocisków. Domyślał się, co to za pojazd. Amerykanie już od lat używali pocisków antysatelitarnych wystrzeliwanych z samolotów myśliwskich. Pociski te, przenoszone na pokładzie doskonałych myśliwców F-15, mogły lokalizować, ścigać i niszczyć wiele rodzajów radzieckich satelitów. Według napływających danych, udoskonalenia amerykańskiej broni antysatelitarnej ASAT dotyczyły zwiększenia jej zasięgu pionowego, powiększenia głowicy bojowej i większej zdolności manewru. Pociski były podobno równie długie jak wystrzeliwane z kosmosu amerykańskie Thory, to znaczy miały około dwunastu metrów. Charakteryzowały się jednak mniejszą średnicą i kształtami aerodynamicznymi umożliwiającymi podczepienie do F-15. Przypominały latające torpedy.

To musiał być odwet Amerykanów. Podejmowali atak ASAT w tym właśnie momencie jego misji, kiedy było mu najtrudniej się obronić: tuż przed zejściem z orbity. Mając mało paliwa, uwagę zajęętą manewrowaniem w celu wejścia na prawidłowy tor, nie mógł zachować czujności – doskonały moment, aby uderzyć. No, ale tym razem sprawi Amerykanom niespodziankę. To on będzie myśliwym, nie zwierzyną łowną...

– Elektron jeden, pojazd jest na twoim pułapie, w granicach dwudziestu kilometrów, porusza się wolno... teraz jest na kursie kolizyjnym. Powtarzam, kurs kolizyjny. Jesteś na kursie przechwycenia, godzina dwunasta, teraz już osiemnaście kilometrów.

Goworow wyregulował celownik laserowy na możliwie największy kąt. Przy maksymalnym wzmocnieniu, na monitorze pojawił się duży jasny obiekt, poruszający się na tle gwiazd, na samej krawędzi tarczy Ziemi. Kiedy powoli zaczął wchodzić w zasięg, Goworow mógł zauważyć jego opływowy, wydłużony kształt, a na jednym z końców jakieś okrągłe urządzenie – aktywną radarową albo termolokacyjną głowicę naprowadzającą... W pierwszej chwili zaniepokoił się, że to może jakiś nisko orbitujący satelita albo też satelita zwiadowczy typu „ferret”⁶. Po chwili jednak stwierdził, że nie jest on podobny do żadnego z tych, które kiedykolwiek widział. Obiekt nie był skierowany w jego stronę, ale dalmierz laserowy podawał, że zdecydowanie się zbliża. Naprowadził więc siatkę celownika na dziobowy czujnik pojazdu, a kiedy

usłyszał w słuchawkach sygnał dźwiękowy, ponownie sprawdził pulpit uzbrojenia i z odległości piętnastu kilometrów odpalił swojego ostatniego Scimitara.

⁶ Jednostka do wykrywania i badania pól elektromagnetycznych (*przyp. tłum.*).

Superszybki pocisk trzymał się precyzyjnie swego szlaku, podążając za wiązką laserową wprost do celu. Goworow obserwował go przez całą drogę, aż do momentu uderzenia w cel. Pocisk przeniknął przez koliste urządzenie na dziobie pojazdu, przecinając je, jak gdyby było z papieru. Nie nastąpiła żadna eksplozja, pojawiło się tylko trochę strzępów metalu i trochę uciekających gazów. Pojazd zaczął się nieco chybotać – najwyraźniej utracił sterowność – ale podążał dalej w tym samym kierunku. Obawiając się, że urządzenie nie zostało jeszcze unieszkodliwione – mogło być wyposażone w jakiś czujnik zbliżeniowy lub sterownik inercyjny utrzymujący je na kursie – Goworow wymanewrował wysoko ponad ów pojazd i wykonał obrót, aby móc go obserwować. Urządzenie nie podążało za nim. Chwilę potem znalazło się w bezpiecznej odległości pod nim, wyraźnie się chybotając. Jego wysokość już się obniżyła, co świadczyło o tym, że nie wytrwa długo i wpadnie z powrotem w atmosferę.

Nie było eksplozji zbliżeniowej ani wywołanej przez zapalnik zegarowy. Nie nastąpiła też detonacja typu kamikaze. Goworow zamierzał poinformować wywiad radziecki o tym nowym typie amerykańskiego pojazdu kosmicznego. Chciał zdobyć więcej informacji na jego temat, dowiedzieć się, jakie ma możliwości. Teraz jednak musiał skupić się na instrukcjach przekazywanych mu przez kontrolę naziemną, by przygotować się do zejścia z orbity.

Wykonując konieczne manewry, pomyślał, że nawet biorąc pod uwagę niewytłumaczalne zniknięcie Wołoszyna i Elektronu dwa, ta misja zakończyła się sukcesem.

PROM KOSMICZNY *ENTERPRISE*

Już od godziny Ann tkwiła w jednym miejscu na wypalonym pokładzie mieszkalnym *Enterprise*. Saint-Michael przechodził obok niej kilka razy. Boleśny kurcz zaczął dokuczać jej w lewym udzie. Nie powiedziała jednak nic. Zajęcie Saint-Michaela i tak było dość ciężkie.

W końcu usłyszała znajomy szum pomp cyrkulacyjnych i urządzeń elektronicznych. Poprzez powłokę z włókna i winylu mogła dostrzec kilka migocących świateł. Już sam dźwięk czegoś, co wreszcie działa, budził w niej nadzieję...

– Jason!
– Mamy znowu prąd – powiedział. – Została jeszcze połowa zapasu powietrza. Wystarczy na dwa tygodnie. Miałem nadzieję, że jest więcej, ale... silniki są sprawne, z wyjątkiem dziobowego RCS.

- A co z...
- Wszyscy są już w module cumowniczym na stacji.
- To straszne, Jason.

Mogła sobie wyobrazić, co on czuje. *Armstrong*, Skybolt, Zatoka Perska, Iran – nawet Ziemia wydawały się teraz bardzo odległe. Pozostał wypalony prom kosmiczny. Siedem zwęglonych ciał...

– Znalazłem coś – powiedział po chwili Saint-Michael. – Na pokładzie był dodatkowy skafander kosmiczny, nie tknięty przez pożar. – Chyba uda mi się uszczelnić śluzę powietrzną. Będziesz mogła się tam przebrać.

Przeniósł ją do śluzy. Wkrótce potem ciśnienie wzrosło na tyle, aby mogła otworzyć kulę ratowniczą i wydostać się z niej.

– Teraz wiem, jak czuje się motyl wychodząc z kokonu – powiedziała Ann.

- Myślę, że ustanowiłaś rekord przebywania w kuli ratowniczej. Zauważyła, że oddycha ciężko, z wysiłkiem.

– W gruncie rzeczy nie sądzę, żeby ta kula kiedykolwiek była naprawdę używana...

- Jason, dobrze się czujesz?
Zdawał się nie słyszeć.

– Poczekaj. Zamierzam odłączyć się od stacji. System automatyczny nie działa, wobec tego będę musiał postąpić brutalnie. Użyję siły. – Poczula drgania i usłyszała głośnie, metaliczne trzaski. *Enterprise* wyłamał się z zacisków cumowniczych.

Pięć minut później Ann wydostała się ze śluzy, ubrana w skafander kosmiczny, i skierowała się na górny pokład załogowy. Saint-Michael siedział w fotelu dowódcy po lewej stronie. Był przypięty pasami i wystukiwał instrukcje na klawiaturze cyfrowego autopilota. Skinął na nią, aby zajęła fotel po prawej stronie. Kiedy minęła konsolę centralną i zaczęła przypinać się pasami, wyrzała przez jedną z frontowych szyb kokpitu. Dojrzała stację *Armstrong*.

- Mój... Boże...

– Niezłe ją załatwili, co? – powiedział Saint-Michael. – Uszkodzili prawie wszystko, co jest zamontowane na dźwigarze głównym – radiatory, anteny

łącnościowe, ogniwa paliwowe, zbiorniki paliwa. Jedna z anten radaru SBR wydaje się sprawna. A więc jednak nie uszkodzili wszystkiego. Podziurawili moduły, z wyjątkiem laserowego i reaktora MHD. Wygląda na to, że zniszczyli też moduł z elektroniką Skybolta.

– Tak, jest tam dziura, ale straty mogą być niewielkie. Jason, jak się czujesz?

Saint-Michael potrząsnął głową, mrużył oczy i zlizywał kropelki potu z górnej wargi.

– Boli mnie głowa, to wszystko...

– Sprawdź swój tlen.

– Sprawdziłem. – Zrobił to jednak ponownie. – Włączony i wskazuje sto procent. Lampka kontrolna jest w porządku. – Udawał, że nie widzi jej zatroskanego spojrzenia. – Nastroiłem się na nadajnik kapsuły ratunkowej, ale nie odbieram ich jeszcze. Musimy spróbować skontaktować się z kimś na Ziemi, aby nawiązali łączność z kapsułą i wysłali misję ratunkową.

– Okay... mów mi, co mam robić.

– Przełącz się na pierwszy kanał częstotliwości powietrze-ziemia i staraj się kogoś zaalarmować. Próbuje na obu kanałach powietrze-ziemia. Ten radziecki pocisk zerwał większość anten na spodzie kadłuba *Enterprise*, ale te na wierzchu powinny działać. A ja znowu spróbuję na sieci satelitarnej. – Pracowali kilka minut, każde oddzielnie. Nagle powstał szum zakłóceń i dał się słyszeć słaby głos z jakimś obcym akcentem. Ann drgnęła.

– Jason, mam kogoś.

– Na którym kanale?

– To jest... powietrze-ziemia dwa. Jestem na UHF.

Saint-Michael szybko przełączył się na ten sam zakres.

– Uwaga, wszystkie stacje, wszystkie stacje. Tu prom kosmiczny Stanów Zjednoczonych *Enterprise*. Zgłoście się. Awaria na orbicie.

Odbiór.

Przez fale szumów i pisków usłyszeli:

– Prom kosmiczny *Enterprise*, tu mówi NASA Dakar. Powtarzam: NASA Dakar. Słyszemy cię. Odbiór.

– Dakar, tu generał Saint-Michael. Proszę o połączenie satelitarne w standardowym paśmie KU z jakąkolwiek dostępną siecią. Mamy awarię. Odbiór.

– Zrozumiałem, *Enterprise* – odezwał się ten sam głos z dziwnym akcentem. – Proście o łączność w paśmie KU. Dakar nie ma łączności w tym

paśmie. Zaczekajcie.

Za chwilę włączył się inny kontroler. Ten z kolei mówił ze zdecydowanie amerykańskim akcentem.

– Generale Saint-Michael, tu Kevin Roberts, GS-17, starszy oficer łączności. Przykro mi, sir, ale nie spodziewaliśmy się wezwania na zakresie UHF od jakiegokolwiek amerykańskiego pojazdu kosmicznego. Ustalamy waszą pozycję. Powinniśmy mieć połączenie w paśmie KU z TDRS Wschód w ciągu paru minut. Czy może pan sprecyzować rodzaj awarii?

– Taak... Stacja *Armstrong* została zaatakowana. Dziewięć ofiar śmiertelnych, powtarzam: dziewięciu zabitych. Prom *Enterprise* z dwiema osobami na pokładzie jest uszkodzony i niezdolny do zejścia z orbity. Kapsuła ratunkowa stacji z czterema osobami na pokładzie jest na orbicie. Chcę połączyć się z modulem ratunkowym i czekać tu na przybycie misji ratunkowej.

– Zrozumiałem, *Enterprise*. – Sygnał stawał się silniejszy.

– *Enterprise*, ustaliliśmy waszą pozycję. Wkrótce nastąpi połączenie z TDRS. Proszę czekać.

– Dakar, czy złapaliście jakiś kontakt z naszą kapsułą ratunkową?

– Niestety nie, *Enterprise*. I tak mieliśmy dużo szczęścia, że was usłyszeliśmy. Przekażę wasze pytanie dalej, z prośbą o natychmiastową odpowiedź. Rozumiem, że prosicie o bezzwłoczną łączność z modulem ratunkowym.

– Potwierdzam, Dakar. Czekam.

Nie trwało to długo.

– *Enterprise*, tu kontrola w Falcon, Colorado Springs, kanał powietrzniemi jeden. Jak mnie słyszycie?

– Głośno i wyraźnie, kontrola. – Saint-Michael przestroił swój pulpit łączności z kanału bezpośredniego UHF na główny system TDRS, który przekazywał głos i dane przez cztery satelity geosynchroniczne do głównej stacji naziemnej w White Sands, w Nowym Meksyku. Jakby w odpowiedzi na to, monitor należący do głównego komputera nawigacyjnego zaczął wyświetlać setki danych. Po raz pierwszy od wielu godzin w Ann zrodziła się nadzieja.

– Czy zostaliście poinformowani o naszej sytuacji? – spytał Saint-Michael.

– Potwierdzam, *Enterprise*. Prom *Atlantis* wystartuje w ciągu dwudziestu czterech godzin, aby przyjąć was na pokład.

– Zrozumiałem. – Saint-Michael próbował odprężyć się w fotelu. Widać było, że stara się prostować palce i napinać ramiona.

– Zaczynamy... zaczynamy odbierać przekaz komputerowy.

– Jason? – zaniepokoiła się Ann.

Próbował odwrócić się w jej stronę.

– Ja... nie najlepiej się czuję... głowa... bardzo mnie boli. – I nagle przestał się poruszać.

– Jason? – Ann odpięła się i przysunęła swój hełm do jego hełmu. Obserwowała go w napięciu. O Boże... Twarz miał wykrzywioną i ściągniętą. Musiał bardzo cierpieć.

– Jason, czy mnie słyszysz?

– Zabierz mnie... zabierz mnie stąd... do śluzy... maksymalne ciśnienie, prędko! – Jedno oko jakby wywróciło się białkiem do góry. Zaczęły nim wstrząsać konwulsje.

Ann uwolniła się z prawego fotela i zaczęła się zmagać z jego pasami.

– Pospiesz się, Ann... prędko, na miłość boską!

– Co ci jest, Jason? Co się stało?

– Azot... za dużo azotu... zbyt krótko oddychałem tlenem... tlen...

Zaczął manipulować przy regulatorach ciśnienia tlenu na swoim skafandrze.

– Ann... ciśnienie w kombinezonie... zwiększ ciśnienie w moim skafandrze...

Sięgnęła do płytki kontrolnej na jego piersi i ustawiła regulator na pozycję ciśnienie, zwiększając je do maksimum, prawie dziewięciu p.s.i.

Co on powiedział? Trzeba zabrać go do śluzy powietrznej. Podniosła go, co nie było trudne w warunkach nieważkości, przeniosła do drabiny, potem w dół na pokład mieszkalny i do śluzy.

Teraz już stracił przytomność. Zamknęła szczelnie śluzę i przyjrzała się przyciskom. Kiedyś przeszła szkolenie w posługiwaniu się śluzą promu, ale to było dawno temu... W końcu znalazła właściwe przełączniki i nastawiła je na maksymalne ciśnienie.

Kiedy czysty tlen był pompowany do komory i ciśnienie powoli rosło, przełączyła guzik umieszczony na piersiach kombinezonu z interkomu na łączność powietrze-ziemia.

– Kontrola, tu *Enterprise*. Proszę o pomoc.

– *Enterprise*, tu kontrola Falcon. Doktor Page, czy to pani?

– Tak, generał Saint-Michael stracił przytomność. Kilka minut temu miał silne bóle. Jesteśmy w śluzie promu. Regulatory są nastawione na maksymalne ciśnienie awaryjne.

– Zrozumiałem, *Enterprise*. Proszę czekać. Wezwiemy lekarza.

Oczekiwanie nie trwało długo.

– *Enterprise*, mówi doktor Haroki Matsui. Czy generał Saint-Michael ma na sobie skafander ciśnieniowy?

– Tak.

– Czy dopełnił procedury oddychania tlenem przed włożeniem skafandra?

Wtedy Ann zdała sobie sprawę, co właściwie się stało. To była choroba kesonowa.

Gwałtowne przejście z atmosfery tlenowo-azotowej o wyższym ciśnieniu do atmosfery tlenowej o ciśnieniu niższym powoduje powstanie w krwi pęcherzyków z rozpuszczonego azotu. Gdy gromadzą się one w naczyniach krwionośnych i stawach, zwiększają swoją objętość, wywołując niezmiernie silne bóle. Umiejscowione w mózgu, mogą spowodować tak zwaną narkozę azotową, która objawia się napadami szału, depresją lub atakami schizofrenii.

Konieczna jest więc stopniowa adaptacja do zmniejszonego ciśnienia. Polega ona na usunięciu azotu z krwi poprzez oddychanie czystym tlenem przez dwie godziny poprzedzające włożenie skafandra kosmicznego. Ann uniknęła dysbaryzmu, ponieważ jej kula ratownicza została napełniona czystym tlenem pod ciśnieniem jednej atmosfery. Oddychała nim przez kilka godzin. Natomiast Saint-Michael przed włożeniem skafandra kosmicznego zdejmował maskę tlenową wielokrotnie. Tak więc oddychał czystym tlenem zbyt krótko, aby zabójczy azot mógł zostać usunięty z krwi. Organizm nie był przygotowany. Wysilek fizyczny, jakiego musiał dokonać na stacji *Armstrong* i na *Enterprise*, tylko pogorszył sprawę...

– Nie, myślę, że nie dopełnił procedury oddechowej – odpowiedziała Ann, rozważywszy to wszystko.

– A więc to choroba kesonowa. Postąpiła pani właściwie. A teraz proszę słuchać uważnie. Kiedy ciśnienie w słuzie przekroczy dziesięć p.s.i., będzie ono wyższe niż w jego skafandrze. Wtedy proszę zdjąć mu hełm, i swój także. Proszę stopniowo podnosić ciśnienie, aż do co najmniej dwudziestu p.s.i., używając zasilania awaryjnego. Jeśli z jakiegoś powodu spadnie ono poniżej dziesięciu p.s.i., proszę zamknąć szczelnie jego skafander, a regulator dopływu tlenu nastawić na pozycję awaryjną EMER*. Zrozumiała pani?

– Tak, zrozumiałam.

– W miarę możliwości proszę mu zapewnić spokój i pilnować, aby nie wykonywał żadnych ruchów. Będziecie tam co najmniej jeszcze dwadzieścia cztery godziny, aż dotrze do was wyprawa ratunkowa. A jak pani się czuje?

- Chciałabym, abyście już tu byli...
- Nie ma pani bólów w stawach? Zawrotów głowy? Mdłości?
- Nie, nie...
- Nic się nie powinno stać, jeśli w stosunku do siebie zastosuje pani ten sam reżim co do generała. Na pokładzie *Atlantis* przyślemy komorę ciśnieniową, na wypadek gdyby do tego czasu generał nie odzyskał przytomności.

- Dziękuję – powiedziała Ann. Nagle coś ją tknęło: – Czy będziecie mogli przejść kapsułę ratunkową, mając komorę ciśnieniową w ładowni? Czy wystarczy miejsca?

Zapadła cisza.

- Kontrola, czy mnie słyszycie?

- *Enterprise*, tu Falcon.

Głos kontrolera wrócił na kanał, ale teraz był stłumiony, bez wyrazu. Ann poczuła dreszcz trwogi. Domyśliła się, co za chwilę może usłyszeć.

- Doktor Page, straciliśmy kontakt z kapsułą ratunkową kilka godzin temu. Rozmawialiśmy z nimi przez radio wkrótce po ich odłączeniu się od stacji *Armstrong*. Jakies pół godziny później zawiadomili nas, że doznali... pewnego uszkodzenia. Wkrótce potem całkowicie straciliśmy łączność...

- Rozumiem. – Zrobiło jej się słabo. – Kontrola, jakiego rodzaju uszkodzenie? Co się... stało?

Nastąpiła krótka przerwa, a potem wyjaśnienie:

- Ostatni z nich, pilot Moyer, powiedział, że zostali zaatakowani przez radziecki samolot kosmiczny. Wystrzelił w nich pojedynczy pocisk. Nie mieli czasu, aby się przebrać w skafandry ciśnieniowe, zanim zabrakło powietrza. Nikt nie przeżył.

Rozdział 8

Sierpień 1992

MOSKWA, ZSRR

Goworow wszedł do pomieszczeń konferencyjnych Sztabu Generalnego. Podchodząc do swojego miejsca przy stole, przyjmował gratulacje. Uprzejmie skinął głową i usiadł. Członkowie Sztabu uczynili to samo. I sekretarz partii pozostał w pozycji stojącej. Kiedy sala ucichła, powiedział:

– Witajcie w domu, generale Goworow. Chciałbym was teraz prosić, abyście tu podeszli.

Goworow wyszedł na środek sali i stanął obok I sekretarza, w postawie na baczność.

– Baczność! – zagrmiał minister obrony Czilikow. Wszyscy powstali. Czilikow wyciągnął ozdobny dokument i zaczął czytać:

– Na rozkaz naczelnego dowódcy sił zbrojnych Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, w dniu dzisiejszym Aleksander Goworow zostaje awansowany do stopnia marszałka kosmonautyki Radzieckiego Dowództwa Obrony Kosmicznej i Oddziałów Obrony Powietrznej. Biuro Polityczne przyłącza się do Kolegium i narodów Związku Radzieckiego, by wyrazić podziw dla dokonań towarzysza marszałka Aleksandra Goworowa.

I sekretarz podszedł do Goworowa, odpiął jego czarno-złote naramienniki z trzema gwiazdkami i zastąpił je ozdobionymi dużą pięcioramienną gwiazdą pod złotym czteroramiennym śmigłem. Goworow zasalutował i zwrócił się twarzą do obecnych na sali.

Czilikow wykrzyknął:

– Prezentuj broń!

Goworow i wszyscy obecni oddali honory sierpowi i młotowi znajdującym się nad miejscem, gdzie stał I sekretarz, potem zasalutowali Goworowowi, a on oddał im salut.

To było wszystko, co I sekretarz mógł zrobić w tej sprawie. Propozycji Politbiura, aby odznaczyć Goworowa Orderem Lenina za jego wyczyny w kosmosie w ubiegłym miesiącu, nie mógł, niestety, ujawnić, zwłaszcza

publicznie, ponieważ generał przez omyłkę zestrzelił amerykański moduł ratunkowy, który wziął za pocisk antysatelitarny. Decyzja I sekretarza w sprawie orderu nie wydawała się sprawiedliwa, ale w tej sytuacji trudno było inaczej postąpić. Cała prasa światowa podniosłaby szum, wyzywając ich od sowieckich barbarzyńców. Rzeczywiście zestrzelenie tego pojazdu ratunkowego stanowiło pogwałcenie praw, ale w końcu nie było to zrobione celowo... Kiedy cała ta wrzawa przycichnie, można będzie wrócić do sprawy...

I sekretarz skinął na Czilikowa, który zajął teraz miejsce na podium obok niego.

– Składam moje osobiste gratulacje marszałkowi Goworowowi, jego sztabowi i wszystkim jego podkomendnym. Składam mu też kondolencje, także od narodu z powodu utraty towarzysza i podwładnego, pułkownika Iwana Wołoszyna, który otrzyma Order Lenina za rolę, jaką odegrał w ataku na amerykańską stację kosmiczną. Jego czyny są godne uznania na każdym forum światowym. – Nastąpiła chwila krótkiego, uprzejmego aplauzu. Co dociekliwsi domyślili się, że w zasadzie była to forma uhonorowania Goworowa.

Nowy radziecki bohater jak dotąd potrafił trzymać swoje uczucia na wodzy – nie myśleć o tym, że pomyłkowo zestrzelił amerykański pojazd ewakuacyjny. Ale w związku z zaszczytami i obchodami dla uczczenia – jak to określił I sekretarz – wielkich dokonań, zaczynało to wreszcie do niego docierać. Tak, istotnie był dumny z tego, czego on sam i jego ludzie dokonali. Wierzył w swoją misję, walczył o nią w rzeczywistości. Ale nie było łatwo wymazać z pamięci, co wycierpieli ludzie w tym bezbronnym pojeździe... Czy śmierć nastąpiła natychmiast? Kto wie? Musiał wierzyć, że tak było. Czuł, że gdyby coś takiego przytrafiło się jemu, chciałby umrzeć szybko. W cierpieniu nie widział żadnego szczególnego zaszczytu ani godności. To było dobre dla męczenników i chorych na manię bohaterstwa. Miał nadzieję, że nie należy ani do jednych, ani do drugich. Odkąd to się stało, lub raczej odkąd dowiedział się, co naprawdę uczynił, prześladowała go tęsknota za mniej skomplikowanymi czasami – kiedy wojna w powietrzu była walką samolotu z samolotem... Jako chłopiec zaczytywał się w opisach starć myśliwców w okresie pierwszej i drugiej wojny światowej. Zawsze wolał te pojedynki walczących mężczyzn, którzy polegali na własnej zręczności i mogli zachować wzajemny szacunek. Była to może romantyczna mrzonka – i niech go ręka boska broni przed odkryciem tej cechy swego charakteru, chyba że przed żoną w łóżku – ale ciągle tęsknił skrycie do tego rodzaju walki...

No dobrze – skarcił sam siebie, dość już tego. Jesteś także patriotą, a takie skrupuły ograniczają przecież twoją użyteczność, krępują ręce...

– Powróćmy teraz do sytuacji w rejonie Zatoki Perskiej oraz operacji „Pióro” – I sekretarz przerwał tok jego rozmyślań.

Czilikow uznał, że teraz jego kolej.

– Tak, towarzyszu sekretarzu, jest wiele do omówienia. W ciągu tygodni poprzedzających zniszczenie stacji kosmicznej *Armstrong* nie tylko umocniliśmy nasze siły w tym regionie na polu walki, we wszystkich punktach taktycznych, ale również zajęliśmy się zjednoczeniem sił zbrojnych całego Teatru Działań Wojennych – floty w Zatoce Perskiej, połączonego dowództwa irackiego na zachodzie oraz irańsko-afgańskiego zgrupowania na wschodzie. Do kompletnej unifikacji potrzeba jeszcze paru tygodni. Nasze posunięcia zostały opóźnione przez amerykańską piechotę morską w południowej części Zatoki. Jej działania wspierane były siłami morskimi i lotniczymi.

– Zaczynam dochodzić do przekonania, admirale Czerczerowin – wtrącił I sekretarz – że nasze siły nigdy nie uzyskają kontroli nad Zatoką Perską. Wasz plan, aby spróbować przesunąć flotyllę na południe, w celu wsparcia uderzeń lotniczych na Bandar Abbas i inne lotniska w południowym Iranie, wydaje się znowu kuleć.

– Obie strony są w impasie, towarzyszu – odparł admirał. – Przewaga jest po stronie obrońców stacjonujących na lądzie. Oni mogą przemieszczać baterie pocisków przeciwlotniczych na ten teren szybciej, niż my jesteśmy w stanie dosyłać do *Breżniewa* myśliwce bombardujące.

– Bombowce naddźwiękowe, przystosowane do lotów na niskich pułapach, z południowego Teatru Działań Wojennych z powodzeniem atakowały przednie pozycje irańskie – dodał marszałek Romierdunow. Atakami niewielkich grup bombowców Tu-26 całkowicie powstrzymaliśmy zajmowanie przez nieprzyjaciela korzystnych taktycznie pozycji. Nasze Tu-26 praktycznie są nie do pokonania w górach centralnego Iranu...

– Jednak te ataki są całkowicie nieskuteczne ze strategicznego punktu widzenia – zauważył I sekretarz. – Nie są to działania ofensywne, nie przyczyniają się do zdobycia ani kawałka terenu i nie przybliżają osiągnięcia celów operacji „Pióro”. Są tylko odpowiedzią na amerykańskie kroki ofensywne. Jeśli ta wyczerpująca wojna potrwa dłużej, to wcześniej czy później uzyska przewagę ta strona, która będzie w natarciu. I to powinniśmy być my. Musimy być. Ale na razie tak nie jest.

– Rozwiązanie jest dla mnie oczywiste – zwrócił się do Czilikowa I sekretarz. – Spośród trzech teatrów taktycznych tej operacji najsłabsza jest oczywiście flotylla w Zatoce Perskiej. Dysponujemy tam ograniczoną liczbą okrętów i prawie zupełnie pozbawieni jesteśmy możliwości uzupełnienia i wzmocnienia sił. Mamy tylko dwa źródła zaopatrywania w paliwo i wciąż grozi nam atak irańskiej partyzantki na wyspie Kharg i w porcie Abadan. Lotniskowiec *Brezniew* musi używać do osłony floty tak wielkiej ilości swych sił powietrznych, że jest prawie bezużyteczny jako wsparcie dla operacji lądowych... Admirale Czerczerowin, co powiecie na to? Wasze wysiłki zmierzające do zabezpieczenia portów wybrzeża w początkowej fazie operacji „Pióro” były chwalebne, ale teraz ta wielka, kosztowna i narażona na ataki flota, uwięziona w północnej części Zatoki Perskiej, jest bezradna. Właśnie przeczytałem raport, w którym się mówi, że czterech irańskich szaleńców na motorowym pontonie, uzbrojonych w bazooki, poważnie uszkodziło krążownik *Dzierżyński*, zanim zostali unieszkodliwieni. Czy tak ma zostać pokonana wielka radziecka marynarka wojenna? Przez obłąkanych muzułmanów w dziecinnych pontonach?

– Nie, towarzyszu...

– Nadszedł czas, towarzysze, aby podjąć inne decyzje w sprawie kierunku, w jakim ma zmierzać ten konflikt. Zachód bardzo naciska, abyśmy wycofali się z Iranu. Embargo ekonomiczne nałożone na nasz kraj zaczyna być odczuwalne. Tracimy cenne zasoby, trwając w kłopotliwym impasie. Może to przybrać katastrofalny obrót, jeśli import niezbędnych surowców i żywności zostanie całkowicie wstrzymany. – Usiadł, powoli złożył ręce i błędnął wzrokiem po błyszczącej powierzchni stołu. – Może powinniśmy wycofać się z tego regionu...

Nie było reakcji ze strony żadnego z członków Sztabu, ani cywilnych, ani wojskowych – z wyjątkiem Goworowa. Położył obie ręce na stole, jak gdyby chciał się zerwać na równe nogi.

I sekretarz patrzył wprost na Goworowa, kiedy ten cicho wygłaszał swoje podsumowanie. Przebiegły uśmiech wypłynął na jego pomarszczoną twarz.

– Albo też powinienem zwolnić was wszystkich – oczywiście z wyjątkiem marszałka Goworowa – i zastąpić radą wojskową, która wykaże jakieś zdolności przywódcze, jakąś inicjatywę, postawę moralną.

Twarz Czilikowa poczerwieniała. I sekretarz, nie zważając na to, ciągnął dalej:

– Oświadczyłem kiedyś przed tą radą, że nie będę tym pierwszym sekretarzem Związku Radzieckiego, który wycofa się w obliczu sił nieprzyjacielskich, i teraz dotrzymam danej obietnicy. Nie wycofam się nigdy!

Wstał i wskazując palcem na Goworowa, zwrócił się do obecnych:

– Jak możecie siedzieć tu, kiedy właśnie uhonorowaliśmy takiego żołnierza jak marszałek Goworow, człowieka, który ryzykował życie, aby dać temu narodowi przewagę, której tak bardzo potrzebujemy i pragniemy. Jak możecie teraz milczeniem akceptować plan poddania się i wycofania?

– A jakiej sugestii oczekujecie od nas, towarzyszu sekretarzu? – spytał Czilikow. – Ataku nuklearnego przeciwko grupie lotniskowca *Nimitz*? Uderzenia pociskami manewrującymi z głowicą atomową na Bandar Abbas? Może wysłania pocisków SS-20, wycelowanych we flotę amerykańską? Możemy zdmuchnąć Zjednoczone Emiraty Arabskie z mapy i stworzyć całkiem nową cieśninę Ormuz...

I sekretarz wyraźnie zignorował ten emocjonalny wybuch.

– Oczekuję planu przełamania impasu i osiągnięcia celów operacji „Pióro”. – Następnie zwrócił się do Goworowa. – Proszę postawić się w roli ministra obrony. Co byście zaproponowali?

Goworow zrozumiał, że znalazł się między młotem a kowadłem. Nieprzyjemna sytuacja. No cóż, w końcu przecież zrobił karierę dlatego, że mówił, co myślał...

– Muszę zgodzić się z wami, towarzyszu, że nasze siły nie mogły się posuwać do przodu aż do czasu zniszczenia stacji *Armstrong*. Ofensywa przełamująca impas, taka, o jakiej mówimy, mogła spowodować gwałtowną reakcję, może nawet nuklearną, ze strony Amerykanów. Stacja kosmiczna *Armstrong* nie stanowi już zagrożenia. Dlatego konieczne jest zapewnienie sobie silnego oparcia w regionie, a także szybkie i zdecydowane działanie. – Przerwał, by złapać oddech i zastanowić się nad dalszą wypowiedzią. Zauważył, że oczekują więcej konkretnych. – Proponowałbym, aby jak najszybciej rozpocząć dwie poważne operacje. Pierwsza miałaby na celu zniszczenie amerykańskich lądowych sił szybkiego reagowania przez otoczenie, zaatakowanie i zajęcie ich pozycji; zadaniem drugiej byłoby opanowanie i utrzymanie regionu od Morza Arabskiego do cieśniny Ormuz oraz kontrola dostępu do Zatoki... – Panowała cisza, ale nie miał pewności, co oznaczała: aprobatę czy też wręcz coś przeciwnego... – Proponuję też atak pociskami manewrującymi na Bandar Abbas i na siły rozmieszczone wzdłuż Zatoki Perskiej. W przeszłości ten rodzaj działania okazał się skuteczny przeciwko grupie *Nimitza*. Amerykanie będą wtedy musieli odpowiedzieć raketami ziemia-powietrze i powietrze-powietrze. Po tym ataku powinny niezwłocznie nastąpić naloty ciężkich bombowców, następnie stopniowo należałoby przejść do lżejszych myśliwców bombardujących, aż wreszcie cele będą zajęte przez

wojska powietrzno-desantowe. W ciągu dwóch dni, jeśli uderzenie okaże się szybkie i dostatecznie niszczące, powinniśmy ponownie zająć Bandar Abbas.

W końcu jakaś reakcja: szmer głosów. Potem zabrał głos marszałek Jesimow z lotnictwa.

– To jest wykonalne. Nasze trochę już przestarzałe bombowce turbośmigłowe Tu-95, które nie poradziłyby sobie z potężnie bronionymi rejonami wybrzeża wokół Bandar Abbas, mogą być uzbrojone w pociski manewrujące zamiast klasycznych bomb. Wystrzelą je z terytorium okupowanego przez nas Iranu, z dala od stanowisk amerykańskich pocisków ziemia-powietrze. Każdy Tu-95 może przenosić cztery pociski AS-6, z głowicami bojowymi zawierającymi po tysiąc dwieście kilogramów ładunku wybuchowego.

– Ile Tu-95 możemy mieć do dyspozycji? – spytał Czilikow.

Jesimow wzruszył ramionami.

– Jestem w stanie natychmiast wysłać dziesięć bombowców do Taszkientu, największej dostępnej bazy etapowej w tym regionie. W ciągu tygodnia mogę tam przesunąć całą naszą flotę model H: czterdzieści samolotów, sto sześćdziesiąt pocisków.

– Przecież czterdzieści bombowców Tu-95 w Taszkencie zostanie natychmiast zauważonych – odezwał się marszałek Romierdunow, dowódca wojsk obrony powietrznej. – Jednakże lotnisko wojskowe imienia Żukowskiego w Taszkencie mogłoby łatwo ukryć przynajmniej pierwszą ich dziesiątkę.

– Sprowadzę te bombowce do Taszkientu w ciągu niecałego tygodnia – oświadczył Jesimow. – Natychmiast opracuję plan operacji ich rozmieszczenia.

I sekretarz najwyraźniej był zadowolony.

– Teraz zaczynacie wreszcie mówić jak mężczyźni, jak ludzie, których kiedyś znałem. – Zwrócił się do Goworowa. – Jaka jest wasza druga operacja?

Dowódca obrony kosmicznej objął spojrzeniem siedzących wokół stołu konferencyjnego.

– Druga operacja jest bardziej istotna... Polega na przesunięciu grupy bojowej lotniskowca *Archangielsk* do zatoki Oman, aby przeciwstawić ją bezpośrednio amerykańskiej grupie *Nimitza*.

Tym razem głośny szmer głosów niewątpliwie wyrażał dezaprobatę.

– To nie wchodzi w grę – zaprotestował admirał Czerczerowin. – *Archangielsk* nie jest zwyczajnym lotniskowcem. Jest najnowszy i najlepszy. To coś więcej niż okręt. To nasza przyszłość...

Czilikow wziął sprawę w swoje ręce.

– Marszałek Goworow mówi o lotniskowcu najnowszej klasy, który znajduje się w końcowym roku prób morskich, towarzyszu. Wykonuje on obecnie patrol próbny na Morzu Południowochińskim, ale przez ostatni miesiąc stał w bazie marynarki w zatoce Cam Ranh w Wietnamie. *Archangielsk* jest największym okrętem, jaki kiedykolwiek zbudowano, znacznie większym niż *Nimitz*. Ma na pokładzie osiemdziesiąt pięć samolotów Su-27, najnowocześniejszych myśliwców do zwalczania pocisków raketowych. Co więcej, towarzyszy mu własna grupa bojowa. Składa się ona z dwu lotniskowców klasy Kijów, mających na pokładzie samoloty krótkiego startu i lądowania. *Kijów* i *Noworosyjsk* mają za zadanie atakować cele lądowe i morskie. Posiadają one także pewną liczbę śmigłowców przeznaczonych do zwalczania okrętów podwodnych. Łącznie grupa bojowa *Archangielska* dysponuje stu trzydziestoma samolotami bojowymi i helikopterami.

Czilikow patrzył w oczy I sekretarza, kiedy słuchał on opisu *Archangielska* i jego grupy bojowej. Nagle przerwał swój wywód.

– Nie możemy tam wysłać *Archangielska*, towarzyszu. To jest poza dyskusją.

– Wyjaśnijcie, dlaczego, towarzyszu Czilikow.

– Dlatego, że wysłanie grupy bojowej *Archangielska* do rejonu Zatoki Perskiej byłoby czymś takim jak... wylądowanie amerykańskich bombowców B-1 w Berlinie, Londynie lub Norwegii, albo jakby *Nimitz* wpłynął na Morze Czarne. To byłaby nadmierna koncentracja i duża eskalacja działań...

– Ale przecież Amerykanie mają grupę *Nimitza* w zatoce Oman – wtrącił I sekretarz – a to jest bardzo poważna siła.

– Tak, towarzyszu, ale *Nimitz* równoważy siłę lotniskowca *Brezniew* – wyjaśniał dalej Czilikow. – Poza tym Amerykanie zawsze mieli silną grupę lotniskowców w tym rejonie. Są oni, szczerze mówiąc, jedynym narodem, który może sobie pozwolić na utrzymywanie tak ogromnych sił tysiące kilometrów od domu.

– W Zatoce Perskiej *Archangielsk* będzie równie zagrożony jak teraz *Brezniew* – wtrącił Czerczerowin.

– Z dwoma lotniskowcami eskorty? – zapytał I sekretarz. – Jeśli największy lotniskowiec świata, osłaniany przez dwa inne lotniskowce i dwadzieścia okrętów, jest w dalszym ciągu narażony na ataki, to jaki jest sens budowania takich okrętów? Nie, nie mogę uwierzyć, że grupa bojowa *Archangielska* byłaby tak zagrożona. To nie czas na ostrożność, admirale. Jeśli mamy taką siłę, to powinniśmy działać. Natychmiast! Chcę, żeby przeanalizować tę możliwość. W ciągu trzech dni muszę otrzymać raport określający wszelkie ewentualne

zagrożenia wynikające z przesunięcia *Archangielska* do zatoki Oman przeciwko *Nimitzowi*. – Przerwał i zastanawiał się chwilę nad efektem, jaki mogli osiągnąć, lub też próbowali osiągnąć... – Nie, chcę mieć ten raport w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. I żądam, aby grupa *Archangielska* była gotowa do wypłynięcia w tydzień po zaakceptowaniu tego planu przez Politbiuro.

Admirał Czerczerowin próbował jeszcze oponować:

– Jest rzeczą niemożliwą przygotowanie całej flotylii dwudziestu pięciu okrętów do długiego rejsu w ciągu...

– Proszę więc to napisać. Ale wasze opinie nie będą jedynymi, na jakich się oprę. Macie zwyczaj, admirale, mówić mi, co jest niemożliwe. Mam już dość takich dowódców!

Gdy Goworow powrócił na swoje miejsce, I sekretarz, wskazując na niego, powiedział:

– Oto młody, pełen pomysłów dowódca, który robi to, co niemożliwe. Dobrze byłoby, gdybyście wy, starsi oficerowie, wzięli go sobie za wzór.

I sekretarz spojrział na Czilikowa, po którym zazwyczaj oczekiwano, że w takich momentach jak ten przyjdzie w sukurs swoim starszym kolegom-oficerom sztabowym. Tym razem nie uczynił tego. W przeciwieństwie do admirała wiedział, kiedy nie należy się odzywać. Spojrział tylko na Goworowa, jak gdyby chciał powiedzieć: „Postawiłeś na swoim, bohaterze. Zobaczymy, jak sobie poradzisz...”

SZPITAL MARYNARKI BETHESDA, WASZYNGTON, DC.

Jason Saint-Michael obudził się, czując uścisk ciepłej dłoni. Próbował odezwać się, ale wszystkim, na co mógł się zdobyć, był chropawy skrzek. Ścisnął tę dłoń tak mocno, jak tylko mógł, i po chwili usłyszał jakiś szmer obok siebie.

– Jason? – Dźwięk jej głosu zdawał się przywracać mu życie. Ścisnął jej dłoń ponownie.

– Dzięki Bogu...

Otworzył oczy, ale widział tylko rozmazane kontury. Bardzo ciężko mu powieki.

– Co się dzieje? – usłyszał inny głos kobiecy.

– Odzyskał przytomność. Ścisnął mnie za rękę.

– Czy jest pani pewna? – Poczul ruch koło siebie, potem jakąś zimną dłoń w miejsce tej ciepłej. – Generale Saint-Michael? Czy pan mnie słyszy?

Ciągle nic nie widział, ale czuł ją blisko. Podniósł rękę i przesunął nią po metalowej poręczy. Odnalazł ciepłą dłoń, która przed chwilą się usunęła, i położył na niej swoją.

– Sprowadzę doktora. – Zimna dłoń wycofała się. Postanowił już nie wypuszczać tej ciepłej.

– Nie odchodź.

– Nie odejdę. Jestem tu.

– Co z moimi... oczami?

– Poczekaj. – W chwilę później suchy ręcznik przetarł mu czoło i powieki. Mrugnął jeszcze parę razy i ostrość widzenia zaczęła wracać... Był w małym, białym... pokoju szpitalnym. Ann stała przy nim, trzymając jego rękę w swoich dłoniach. Jej drobną twarz o ostrych rysach otaczały długie, gęste włosy, uczesane w koński ogon przewieszony przez prawe ramię. Próbował ścisnąć jej dłoń ponownie, ale siły zdawały się go opuszczać. Zdobył się na coś w rodzaju uśmiechu.

– Ładnie wyglądasz – odezwał się.

– Chciałabym móc powiedzieć to samo o tobie – odparła, uśmiechając się promiennie.

Oblizwał wargi suchym językiem.

– Daj mi coś do picia, dobrze?

Nalala mu wody i trzymała szklanekę, kiedy pił. Z wysiłkiem pociągnął kilka łyków i poczuł się o wiele lepiej.

– Boże – powiedziała – teraz wiem, co to za uczucie, kiedy... – Uśmiech zniknął z twarzy Ann. Unikała jego spojrzenia. Przyjrzał się jej i zauważył, że była szczuplejsza niż przedtem. Im mocniej dotykał jej dłoni, tym łagodniej brzmiał jej głos. Nagle zaniepokoił się. Kto wie, ile przed nim zataiła? Na początek wybrał więc najłatwiejsze pytanie, jakie przyszło mu do głowy.

– Jak długo byłem nieprzytomny?

Spojrzała na niego.

– Co masz na myśli...? – Kiedy to powiedziała, zdała sobie sprawę, jak wymijająco to zabrzmiało. Podniósł jedną rękę i wskazującym palcem dotknął drugiej.

– Gładkie. Przedtem miałem tu odciski. – Starał się nadać swemu głosowi nieco dawnej twardości, ale kosztowało go to więcej, niż się spodziewał. – Ann, jak długo...?

– Jason, byłeś w stanie śpiączki przez trzy tygodnie. Prawie cztery.

Zrozumiał, ale uznał to za nieistotne. Nie miało znaczenia, jak długo był nieprzytomny – ważne, że w końcu się obudził. Spróbował się poruszyć. Stwierdził, że mięśnie reagują, ale są słabe.

– Chyba wszystko działa. No, popatrz, jestem zdrowy. – Oparł lewą rękę o łóżko i stwierdził, że ma dość siły, aby się unieść o kilka cali. Nawet ten niewielki ruch go ucieszył. – Do diabła, czuję się jak przebudzony po długiej drzemce. Czuję się dobrze, naprawdę. Cztery tygodnie w odstawce, tak? I co jeszcze?

Nie zdążyła już odpowiedzieć. Ubrany na biało lekarz wszedł do pokoju i stanął między nimi.

– Witamy, generale. Jestem kapitan Matsui. Znajduje się pan w szpitalu marynarki Bethesda. Jak się pan czuje?

– Słabo, ale chce mi się pić i jestem głodny jak wszyscy diabli.

– Dobrze. Bardzo dobrze. Same korzystne objawy. Nie odczuwa pan żadnej sztywności, bólu głowy, nie ma pan bólów w klatce piersiowej?

– Nie. A czy powinienem?

Matsui zawahał się.

– Niech pan siądzie, doktorze. Przejdźmy do nieprzyjemnych szczegółów.

Matsui usiadł, a jego pogodny uśmiech nieco przygasł.

– Proszę mówić otwarcie. Potrafię to znieść.

– Nie jest aż tak źle, jak pan myśli, generale, chociaż napędził nam pan trochę strachu. Na pokładzie *Enterprise* nabawił się pan choroby kesonowej.

– Podejrzewałem to.

– Został pan dotknięty jej najgorszą formą – wyjaśnił Matsui. – Zaburzenia czynności mózgu. Duże pęcherzyki azotu zgromadziły się w pańskiej korze mózgowej. Całe szczęście, że doktor Page bardzo szybko przeniosła pana do śluzy powietrznej *Enterprise* i zapewniła normalne ciśnienie atmosferyczne. Był pan prawdopodobnie o kilka minut od kompletnej dysfunkcji mózgowej.

Saint-Michael spojrział na Ann.

– A co z nią, doktorze? Czy jej się nic nie stało?

– Ona nie była zagrożona. Używała aparatu tlenowego POS, przebywała w prawidłowo nadmuchanej kuli ratowniczej dostatecznie długo, a potem pozostała z panem w służbie przez prawie trzydzieści godzin. Jest w dobrej kondycji. Pan natomiast jeszcze nie całkiem wydobrzał. W gruncie rzeczy aż do dzisiaj był pan na granicy życia i śmierci. Nie mógł się pan obudzić, kilka razy miał pan zapaść, może nawet atak serca, kiedy ciało wciąż wydalalo azot. Pan...

– Dostyc już tych strasznych szczegółów, doktorze. Najważniejsze, że żyję, jestem przytomny i gotów do wyjścia. Na pewno pan powie, że to niemożliwe.

– Przeciwnie, generale. Wykonamy tylko kilka badań krwi, EKG i EEG. Może jeszcze zastosujemy trochę fizykoterapii. Przecież przebywał pan w kosmosie kilka miesięcy i był pan w stanie śpiączki przez prawie cztery tygodnie. Sądzę, że pańskie serce, jak również inne mięśnie potrzebują wzmocnienia. Jeśli wszystkie testy wypadną pomyślnie, będzie pan mógł wyjść stąd za parę dni. Do tego czasu proszę trochę odpocząć. – Matsui spojrział na Ann i wyszedł wraz z pielęgniarką.

– Cholera, po czym mam odpoczywać? – powiedział Saint-Michael, kiedy Matsui nie mógł go już słyszeć. – To jest ich odpowiedź na wszystko. Byłem w tej cholernej śpiączce przez cztery tygodnie, to po co mi jeszcze więcej wypoczynku? – Ponownie ujął dłonie Ann. – Cieszę się, że tu jesteś. Kiedy usłyszałem twój głos... – Przerwał i spojrział na nią niepewnie.

Udała, że nie rozumie.

– Przychodziłam tu codziennie, odkąd wróciliśmy, Jason. Ja...

Przyciągnął ją bliżej.

– To nie jest nagłe nawrócenie ani spowiedź, Ann. Po prostu korzystam z okazji, aby powiedzieć, co czuję i od dawna ukrywam. Może to dziecinne, ale...

– Ja czuję to samo, Jason. – Schyliła się i pocałowała go. – Dla takich jak my czyny są ważniejsze niż słowa. Zgadza się?

– No pewnie... ale teraz opowiedz mi o stacji. Nie udało im się zniszczyć jej całkowicie, prawda?

– Ciągle jeszcze tam jest. Ale...

– To dobrze. Kiedy Matsui i jego kumple przestaną się mną zajmować, wezmę Jima Walkera i innych i opracujemy plan ponownego uruchomienia stacji. Spróbujemy... – Przerwał na chwilę, zauważywszy, iż Ann odwróciła wzrok. – O co chodzi, Ann? No, powiedz mi szczerze.

Nie wiedziała, jak to wyrazić.

– Walker i Jefferson...

– Co z nimi?

Nie odpowiadała.

– Przecież udało nam się umieścić ich w kapsule ratunkowej, Ann. Sam ich katapultowałem. Byli w dobrej formie...

– Mieli wypadek... Mówi się, że to był wypadek...

– Co za wypadek, do diabła?! Awaria? Czy kapsuła ratunkowa...?

– Oni nie żyją, Jason. Jeden z radzieckich samolotów kosmicznych strzelił do nich. Stracili życie.

Nic nie odpowiedział.

– Radziecki pilot twierdzi, iż wydawało mu się, że to jeden z naszych pocisków antysatelitarnych. Twierdzi, że nadleciał nagle, bez sygnałów identyfikacyjnych, bez widocznego oznakowania. Powiedział, że ścigał go, kiedy zamierzał zejść z orbity, i wystrzelił pocisk... Walker, Marks i Jefferson zginęli natychmiast. Moyer został ranny podczas dehermetyzacji. Miał dość czasu, aby zameldować o ataku. Próbował robić jakieś naprawy, ale bezskutecznie. Uszkodzenie było zbyt duże. Nie mógł zamknąć reszty załogi w kulach ratowniczych dostatecznie szybko i... Boże, Jason, oni wszyscy nie żyją, wszyscy!

Wziął ją w ramiona i mocno przycisnął do siebie. Czuł, jak jej ciałem wstrząsa gwałtowny szloch. Na chwilę pojawiła się pielęgniarka, ale zaraz wyszła. Ann płakała w jego objęciach. I to miała być kobieta, o której kiedyś sądził, że jest twarda i nieczuła. Znów się mylił. Sam był na granicy łez, kiedy myślał o tym, jak umierała załoga kapsuły ratunkowej – w mroźnej otchłani kosmosu.

– Kiedy ich sprowadzono na Ziemię?

Ann zaprzeczyła ruchem głowy.

– A więc oni są wciąż tam na górze?

– Loty wahadłowców zostały zawieszono, z wyjątkiem ewakuacyjnych do komercyjnych stacji kosmicznych. Rosjanie wciąż utrzymują, że zniszczenie kapsuły ratunkowej to był wypadek, ale pierwszy sekretarz ich partii komunistycznej powiedział, że ataki na amerykańskie pojazdy kosmiczne, zarówno załogowe, jak i bezzałogowe, będą kontynuowane.

Saint-Michael z trudem hamował gniew. Usiadł gwałtownie na łóżku.

– A więc strzelają po prostu we wszystko, co wysyłamy w przestrzeń?! Przecież nie możemy im na to pozwolić...

– Nic na to nie poradzisz. Ledwo się ruszasz, nie mówiąc już o wstaniu z łóżka i wyjściu ze szpitala. Pozwól, żeby cię zbadali. Pomogę przy twojej terapii. Zanim się obejrzyysz, będziesz...

– Musimy się sprężyć – udał, że jej nie słyszy – musimy się naradzić i jak najszybciej ułożyć plan. Potrzebuję cię. Pozałatwiasz mi różne sprawy. Do czasu, kiedy stąd wyjdę...

– Ho, ho... – odezwał się jakiś głos za plecami Ann. – Dopiero co przyjechałem, a pan już wychodzi?

Ann odwróciła się. Saint-Michael spojrział ponad jej ramię i zobaczył dowódcę

amerykańskich sił powietrznych Martina Stuarta. Mianowano go szefem administracyjnym Dowództwa Kosmicznego, kiedy Saint-Michael zadeklarował chęć objęcia służby na pokładzie stacji kosmicznej *Armstrong*.

– Jak się pan czuje, generale? Właśnie dowiedziałem się, że jest pan znów na chodzie.

– Czuję się dobrze. Wygląda na to, że wkrótce będę się mógł wypisać. Chciałbym spotkać się z panem jak najszybciej w sprawie ponownego uruchomienia stacji *Armstrong*.

– Spokojnie, Jason – powiedział Stuart. Spojrzał na Ann, ale jej nie poznał. – No, no, ale facet... Właśnie obudził się po trzech tygodniach śpiączki i już jest gotów do kolejnego startu...

– Uważam, że to pilne, myślę, że...

– Zaraz, chwileczkę. Lekarze mówią mi, że czeka pana dwutygodniowa rehabilitacja, zanim wróci pan do stanu poprzedniej sprawności. Potem zaś procedura przewiduje jeszcze miesiąc zwolnienia na rekonwalescencję.

– Zmienimy to, sir. Wobec sytuacji, jaka wytworzyła się w Zatoce Perzkiej, te sprawy mogą być przełożone na czas nieokreślony. Jestem pewien, że przejdę pomyślnie badania lotniczo-lekarskie, kiedy stąd wyjdę. Gwarantuję.

– Nie możemy pozwolić sobie na to, aby pana po prostu „wypisać”, Jason. Jest pan astronautą, a nie kursantem na szkoleniu pilotażu. Badania będą bardzo szczegółowe, aby upewnić się, czy pańska sprawność nie budzi niczyich wątpliwości. Nim zbierze się komisja kwalifikacyjna, może upłynąć kilka tygodni albo więcej. Potem...

– A więc ktoś wątpi w moją zdolność do służby?

– Tego nie powiedziałem. – Spojrzał znowu na Ann stojącą w rogu pokoju. W końcu ją rozpoznał. – Czy powiedziała mu pani o kapsule ratunkowej, doktor Page?

– Tak, sir.

– Trzeba było z tym poczekać do czasu odprawy. Pani...

– To hańba, że ich do tej pory nie sprowadzono na Ziemię – przerwał Saint-Michael. – Chciałbym wiedzieć, dlaczego.

Twarz Stuarta stężała.

– Wszelkie loty załogowe zostały zawieszono do czasu, aż intencje Rosjan zostaną wyjaśnione. My...

– Znam wielu pilotów wahadłowców i samolotów kosmicznych, którzy zgłaszają się na ochotnika, aby ich sprowadzić na Ziemię.

– To naprawdę nie ma nic do rzeczy...

– Na co, do diabła, czekamy, generale? – Saint-Michael omal nie wstał z łóżka. – Czy na to, żeby Rosjanie ich sprowadzili?

– Do cholery, Jason... – Generał Stuart spojrział przez ramię na zamknięte drzwi, na Ann, potem znów na Saint-Michaela. – Wiele pan przeszedł, generale. Niech pan trochę odpocznie. – Nerwowo zgniótł w rękach czapkę, uklonił się Ann i wyszedł.

Kiedy drzwi zamknęły się za Stuartem, Saint-Michael opadł na poduszkę. – Nieźle idzie, Jas – mruknął do siebie. Ann siadła na brzegu łóżka.

– To nie jest łatwe dla nikogo. Większość ludzi myśli tak jak ty – że to oburzające, iż ciała trzynastu naukowców i techników pozostawiono w kosmosie. Domagają się wyprawy ratunkowej i odwetu, jeśli Rosjanie spróbują ją zatrzymać. Oni twierdzą, że nie będziemy nikogo ratować, tylko umieścimy broń nuklearną na orbicie, aby zmusić ich do wycofania się z Zatoki Perskiej. Grożą eskalacją wojny na Bliskim Wschodzie, jeśli spróbujemy zbliżyć się do naszej stacji kosmicznej.

Saint-Michael dotknął skroni.

– Nigdy przedtem nie czułem się tak cholernie bezsilny. Co robią Rosjanie w Zatoce? Czy zajęli już cały Iran?

– Sytuacja pozostaje bez większych zmian. Iran jest podzielony na dwie części. Związek Radziecki ma pod kontrolą dwie trzecie Zatoki Perskiej od strony północnej. Nasze siły szybkiego reagowania i marynarka są w cieśninie Ormuz. Każda ze stron dokonuje po kilka wypadów na tydzień, próbując uzyskać przewagę w regionie, ale te ataki są zawsze odpierane. Po prostu impas...

Saint-Michael pokręcił głową.

– Coś musi się zmienić w najbliższym czasie. – Nalał sobie następną szklankę wody. – Albo obie strony wycofają się do swoich narożników, albo ktoś wypadnie z gry. Mam tylko nadzieję, że będziemy na miejscu, kiedy to się stanie...

– Nie otrzymałam pełnych danych wywiadu – oznajmiła Ann – ale wiadomo, że radzieckim siłom morskim coraz trudniej zdobyć paliwo w Zatoce. Muszą dotkliwie odczuwać jego brak... – Przerwała i spojrzała na Saint-Michaela. Przycisnął drżące ręce do twarzy i kiwał się, jakby wykonywał ćwiczenia gimnastyczne. Jego oddech przeszedł w gardłowe charczenie.

– Jason? Co ci jest?

– Ann... Boże, znowu się zaczyna...

Usiadła na łóżku, objęła go i przycisnęła do siebie trzęsące się ciało. Zadrzał znowu, na szyi poczuła łzy. Ostatnia bariera została przełamana. Nacisnęła

przycisk wzywający pielęgniarkę i znów ogarnęła go ramionami.

AMERYKAŃSKA AGENCJA WYWIADOWCZA DEPARTAMENTU OBRONY PIĘĆ DNI PÓŹNIEJ

Jackson Collins, nowy szef Sekcji Trzeciej KH-14 wydziału fotogrametrii cyfrowej Agencji Wywiadowczej przy Departamencie Obrony, nie musiał zabiegać o wyznaczenie terminu spotkania ze swym dyrektorem. Nigdy dotąd nie korzystał ze swej nowej pozycji i przywilejów, jakie mu dawała – aż do dzisiaj. Był poniedziałek, kiedy rano wszedł do biura George'a Sahla, niosąc zamkniętą na kluczyk teczkę. Sahl właśnie dyktował list, używając terminalu komputerowego, kiedy zjawił się Collins. Postawił teczkę na biurku dyrektora i zaczął manipulować przy zamku szyfrowym.

– No wiesz, Jackson – powiedział Sahl, wciskając guzik PAUZA na mikrofonie komputera reagującego na głos. – Nie skończyłem jeszcze pierwszej kawy.

Collins znieruchomiał.

– Mister Sahl, powiedział mi pan, że jeśli będę miał coś ważnego, mam się natychmiast z panem skontaktować.

Sahl westchnął.

– Rzeczywiście tak powiedziałem.

– Cokolwiek by to było – dodał Collins.

– Tak.

– Czy rzeczywiście pan tak myślał, czy też chciał pan, abym poczuł się ważny?

Sahl wzniosł oczy do nieba.

– No dobra, do diabła, zobaczmy, co pan tam ma. Ale już!

– Tak jest, sir. – Collins otworzył zamki swojej teczki i wyciągnął kilka cyfrowych zdjęć satelitarnych.

– Aha! Znowu zajmujemy się interpretacją nieczytelnych zdjęć, Jackson?

– Tylko częściowo nieczytelnych. Zastosowałem nowy zestaw wytycznych i...

– Te nowe wytyczne – pańskie nowe wytyczne, te, które narzucił pan mojej sekcji – nie zostały jeszcze zaakceptowane.

– Ale będą. To nieważne, sir – kontynuował Collins. – Rozpoznaje pan tę lokalizację?

– Jasne. A cóż innego Jackson Collins, genialne dziecko, mógłby mi przynieść? Zdjęcia lotniska imienia Nikołaja Żukowskiego. Te same wielkie hangary Kondorów.

– Tylko że teraz jest tych hangarów dwanaście. I dziesięć jest zajętych.

– Przez...?

Collins pokazał inną fotografię. Było to... wykonane w podczerwieni powiększone zdjęcie nawierzchni tuż przed jednym z hangarów..

– Ślady opon samolotu.

– Oczywiście wie pan, dlaczego to nie jest przekonywujący dowód... – zaczął Sahl.

– Tak jest, ślady kół mogą być zbyt łatwo sfałszowane. Ale jeśli przewozi się samoloty, ludzi i zaopatrzenie do Taszkientu i z powrotem dwadzieścia cztery godziny, dzień w dzień, dla wsparcia dużej ofensywy w Zatoce Perskiej, założę się, że nie ma się czasu na preparowanie śladów ze względu na zwiad satelitarny.

– Jednak...

– Sir, przyglądam się tym hangarom od dawna, jeszcze zanim rozpoczęto operację „Pióro”. Widziałem różne rodzaje samolotów wprowadzane i wyprowadzane z tych hangarów. Zmierzyłem ślady każdego z nich i w każdym przypadku moja identyfikacja została potwierdzona przez inne źródło.

Sahl spojrzał na Collinsa.

– Gdyby to był kto inny, kazałbym mu wynosić się z mojego biura i nie wracać, aż będzie miał coś konkretnego. Ale pan to co innego. Przypuszczam, że te ślady są zmierzone i dopasowane do kół konkretnego samolotu.

– Tak jest.

– I według pana jest to...

– Bombowiec Bear model H.

Sahl bliżej się przyjrzał fotografii.

– No tak, to rzeczywiście ciekawe. Daleko się wypuścili od domu.

– Nie stwierdziłem dokładnie, skąd pochodzą. Myślę, że w bazie lotniczej Winnica, na południe od Kijowa, brakuje ich co najmniej pół tuzina. Ale znalazłem coś jeszcze bardziej interesującego. – Collins przysunął krzesło i usiadł przy biurku Sahla. – Taszkient był głównym punktem etapowym dla większości strategicznych bombowców i dużych transportowców zaangażowanych w operację „Pióro”, prawda?

– Proszę kontynuować.

– Myślę, że Rosjanie uzbrajają te bombowce Bear w Taszkencie w pociski manewrujące AS-6.

Sahl zmarszczył czoło, podnosząc cyfrowe fotografie dużych hangarów „satelitarnego bluffu”.

– Ale jak, do diabła, może pan stwierdzić coś takiego na podstawie tych zdjęć?

– Mam jeszcze to. – Collins wyjął z teczki kolejne dowody rzeczowe. Było to bardziej konwencjonalne, optyczne zdjęcie satelitarne, zrobione kilka miesięcy wcześniej. Przedstawiało zupełnie inną, znacznie większą bazę lotniczą. – Kiedy sprawdzałem szczegóły, próbując zdobyć parę punktów u szefa, zrobiłem trochę notatek na temat strategicznych pocisków manewrujących. Zapisałem każdy szczegół, jaki mogłem znaleźć na temat AS-6 i AS-4. Oczywiście jedną z największych baz bombowców Bear jest Murmańsk, tam więc skoncentrowałem swoje poszukiwania, zgromadziłem wiele informacji na temat pocisków manewrujących przenoszonych przez bombowce Bear model G i H, ze szczególnym uwzględnieniem pojazdów obsługi.

– Jestem pewien, że ta historia musi mieć swoją puentę. Proszę do rzeczy.

– Już do tego dochodzę, sir. I tu jest ta sensacja. Pocisk AS-6 ma silnik raketowy na ciekłe paliwo, którym jest nafta z kwasem azotowym w charakterze katalizatora. Niebezpieczny towar. Co więcej, to paliwo musi być pompowane do zbiorników pocisku pod ciśnieniem, aby umożliwić zapłon w powietrzu. Oni wybudowali specjalne cysterny do tego celu. Oto zdjęcie jednej z nich.

Sahl, oglądając zdjęcie przez szkła powiększające stereo, pomyślał, że urządzenie to przypomina duży, kanciasty wóz strażacki z wyraźnie widocznym zestawem srebrzystych zbiorników po obu stronach. Na zdjęciu nawet widać było czteroosobową obsługę, pracującą wokół wozu w kombinezonach przeciwpożarowych koloru srebrnego. Sahl sprawdził datę na fotografii – była zupełnie świeża.

– Gdyby tylko mógł pan znaleźć jeden z takich wozów w Taszkencie...

– Proście, a otrzymacie. – Collins wyciągnął z teczki ostatnie zdjęcie. – Zrobione wczoraj.

Było to jedno z najbardziej niezwykłych zdjęć, jakie Sahl kiedykolwiek widział. Pokazywało, zupełnie wyraźnie, jeden z tych pojazdów dostarczających paliwo dla pocisków manewrujących. Holowany był przez duży ciągnik, bo prawdopodobnie uderzył o drąg holowniczy jakiegoś samolotu na drodze

manewrowej do pasa startowego. Sahl pomyślał, jak ważna jest odrobina szczęścia w tym zawodzie. Gdyby ten wypadek zdarzył się kilka sekund wcześniej lub później, satelita zwiadowczy KH-14 nie sfotografowałby tej cysterny. Kilka minut później, i wrak zostałby odtransportowany bez śladu. Nigdy by się nie dowiedzieli o tych pociskach manewrujących.

– To robi wrażenie, Collins. A więc mają pociski manewrujące AS-6 albo AS-4 w Taszkencie.

– Prawdopodobnie AS-6. Przerwali produkcję AS-4 jeszcze w 1989 roku na korzyść AS-6.

– No to mamy kłopot. Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę. AS-6 mogą być odpalane w jednej wersji z lądu, w drugiej wersji z okrętów. Wyposażone są w wybuchową głowicę bojową o wadze trzech tysięcy funtów...

– Lub głowicę atomową o mocy dwustu kiloton – dokończył Collins. – Mają znaczny zasięg przy normalnym trybie odpalania. Mogą też prawdopodobnie być odpalane z wysokiego pułapu. Jeśli zostaną wypuszczone z okolic Shirazu na pomocy centralnej części Iranu, znajdą się daleko poza zasięgiem naszych wyrzutni pocisków ziemia-powietrze typu Patriot, Hawk i RAM. Wówczas mogą uderzyć w cieśninę. Jeżeli uda im się przejść przez naszą obronę przybrzeżną, zaatakują flotę w Zatoce Omańskiej.

Sahl nie musiał długo myśleć, aby podjąć decyzję.

– Do godziny trzynastej proszę o raport z tej analizy. Chcę go przedstawić na popołudniowej odprawie...

Ale Collins znów otworzył swoją teczkę i położył na biurku Sahla skoroszyt w czerwonej oprawie, zabezpieczony opieczętowaną opaską.

– Chryste Panie, Collins, czy przez te cztery lata, które zostały mi do emerytury, mam cały czas oglądać się nerwowo przez ramię i czekać, kiedy mnie załatwisz tak jak Barnes'a?

– No nie... – odparł Collins. – Ja w pana wierzę, sir... Myślę, że taki mądry facet jak pan pomoże mi w awansie.

Sahl uśmiechnął się otwierając raport wywiadowczy.

– Jeśli nie potrafisz go załatwić, pomóż mu załatwić kogoś innego.

SZPITAL MARYNARKI BETHESDA

Był to widok, którego Ann Page nigdy więcej nie chciałaby oglądać. Cała sekcja szpitalnego oddziału intensywnej terapii zajęta była przez przenośną komorę ciśnieniową. Jason Saint-Michael leżał w niej na twardym plastikowym

stole. Twarz Ann wykrzywił grymas bólu, kiedy ujrzała jego nieruchomą postać. Był jeszcze bardziej wymęczony i chudszy. Podłączone do jego ciała przewody elektrokardiografu i elektroencefalografu biegły od urządzeń na zewnątrz komory, gdzie technicy i lekarze studiowali odczyty z czujników.

– Jego serce wydaje się pracować normalnie – skonstatował doktor Matsui po ponownym sprawdzeniu paska papieru z EKG. – W gruncie rzeczy jest silne jak u konia. Ogólnie generał Saint-Michael jest w doskonałej formie. – Ale zaraz dodał: – Z wyjątkiem... tej jednej rzeczy.

– Co się stało? – spytała Ann.

– To samo, co gdy był w stanie śpiączki. Jego ciało ciągle wydala azot. Azot jest łatwo wchłaniany przez miękkie tkanki ciała – dlatego właśnie gromadzi się w stawach i wywołuje bóle. Przypadek generała jest poważniejszy. Gaz ten ulokował się w jego mózgu, powodując zapaści, utratę przytomności i bóle. Prawdopodobnie zgromadziło się go dużo w tkance mózgowej i teraz, pod normalnym ciśnieniem, pęcherzyki azotu powoli torują sobie drogę do krwiobiegu w ośrodkach nerwowych.

– Ależ to wszystko stało się miesiąc temu – zdziwiła się Ann. – Przecież wyszedł ze śpiączki. Dlaczego nadal ma te ataki?

– Nie wiem... Najwyraźniej jego ciało ciągle jeszcze pozostaje pod wpływem tych pęcherzyków lub też, być może, nastąpiły jakieś zmiany w systemie nerwowym, naczyniowym bądź uszkodzenia chemiczne. Obawiam się, że niewiele wiemy o dysbaryzmie mózgowym. Jest jednak parę rzeczy, co do których nie mam wątpliwości. Po pierwsze, generał Saint-Michael nie jest już zdolny do lotów. Jego stan w oczywisty sposób go dyskwalifikuje. Będę musiał także zalecić, aby został zwolniony z obowiązków dowódcy stacji kosmicznej *Armstrong*, a raczej tego, co z niej pozostało.

Ann musiała się odwrócić. To, co usłyszała, bez względu na to, czy Matsui o tym wiedział, czy też nie, było właściwie wyrokiem śmierci dla Jasona. Nie! Nie może do tego dojść. Do diabła z lekarzami! Matsui powiedział, że niewiele wie. Dobrze, to daje im równe szanse – będą zaczynać od zera. I ona to wykończyła.

Rozdział 9

Sierpień 1992

ROBAT, PROWINCJA MASHIZ, POŁUDNIOWA CZEŚĆ CENTRALNEGO IRANU

Na szkoleniach taktycznych z topografii i klimatologii mówiono, że to region o suchym klimacie subtropikalnym, ale teraz nikt nie mógłby przekonać o tym porucznika Jeremy'ego Ledbettera. Dwudziestodwuletni oficer armii, świeżo po ROTC* na Uniwersytecie Stanowym Penn i specjalnym przeszkoleniu w Fort Devins, Massachusetts, był opatulony warstwą ciepłej pikowanej „chińskiej bielizny”. Miał ją pod mundurem polowym w barwach ochronnych, na którym z kolei nosił wzmocnione, plastikowe ponczo. W godzinach poprzedzających świt, w centralnym Iranie, w środku sierpnia, przemarzył do szpiku kości. Na domiar złego Iran, gdzie rzadko padało w ciągu lata, doświadczał teraz prawdziwej ulewy w stylu Kansas.

Kiedy Ledbetter obchodził swój obóz, czuł się jak gdyby był dowódcą całej obrony Iranu. W rzeczywistości pełnił funkcję dowódcy baterii obrony powietrznej: baterii pocisków MIM-104 Patriot i MIM-23 I-Hawk usytuowanej tuż na obrzeżach małego, sennego miasteczka rolniczego Robat, w dolinie Meydan w Iranie. Dowodził osiemdziesięciosobowym oddziałem sił szybkiego reagowania armii amerykańskiej, wyposażonym w nowoczesne pociski klasy ziemia-powietrze o wartości co najmniej dziesięciu milionów dolarów. Pociski wysokiego pułapu Patriot i osiemnaście niskiego i średniego pułapu I-Hawk skutecznie zabezpieczały całą dolinę Meydan przed jakimkolwiek atakiem lotniczym na sto mil w każdym kierunku.

Bateria CAB Ledbettera była także „pułapką”. Znajdowała się pomiędzy dwoma innymi stanowiskami Patriotów umieszczonych po obu stronach doliny Meydan. Chcąc ominąć baterie pocisków Patriot w Anar i w Arsenjan, samoloty nieprzyjaciela kierowały się do doliny Meydan prosto na Ledbettera i jego broń zdolną do rażenia na wszystkich pułapach. Kiedy znalazły się w

wąskiej dolinie, nie było już dla nich prawie żadnego ratunku. Próby uniknięcia trafienia – dzięki prędkości silników i zręczności manewrowania – zazwyczaj kończyły się niepomyślnie.

Dowód na to był widoczny dla wszystkich: radziecki bombowiec nadźwiękowy Backfire-B dostał się do tej pułapki i przy maksymalnej prędkości usiłował umknąć jednemu z pocisków I-Hawk. Pilot, na swe nieszczęście, nadmiernie skupił uwagę na próbie uniknięcia ataku i szczątki jego Backfire'a pokryły całą zachodnią ścianę masywu górskiego Jebal Barez na wschód od Robot. Był to efekt szaleńczej ucieczki z prędkością co najmniej jednego macha, na wysokości zaledwie trzystu stóp nad dnem doliny. Radary Ledbettera, naprowadzające pociski Patriot i Hawk, ciągle jeszcze mogły wykryć jego szczątki na zboczach górskich. Były też w stanie zlokalizować radary radzieckich bombowców.

Niech to będzie przestrogą dla innych, pomyślał Ledbetter, pijąc kawę z metalowego kubka. Wniosek: nie pakować się na trzy- trzydzieści-pięć.

Tego ranka wstał wcześniej, aby skontrolować zewnętrzne posterunki wartownicze. Jego jednostka szybkiego reagowania została uzupełniona żołnierzami Irańskiej Gwardii Rewolucyjnej, ludźmi najtwardszymi, ale i najmniej sympatycznymi, jakich w życiu spotkał. Problemem było również to, że Irańczycy nie mieli pojęcia o obsłudze pocisków Patriot i Hawk, mimo że Iran posiadał je od lat. Ledbetter wykorzystywał więc Irańczyków do służby wartowniczej. Ale spełnianie wyłącznie tych funkcji obrażało godność muzułmańskiej gwardii rewolucyjnej. Wiadomo, iż w minionych wiekach służbę tę pozostawiano niewolnikom, chłopom, podbitym poganom lub eunuchom. Nic więc dziwnego, że pomiędzy ludźmi Ledbettera a Irańczykami raz po raz wybuchały konflikty. Niespodziewane inspekcje młodego porucznika zazwyczaj je tłumily, podtrzymywały morale oraz czujność. Nie mógł on jednak całkowicie potępić zapalczywych żołnierzy irańskich za kradzież amerykańskich karabinów i atak na okupowany przez Rosjan Shiraz lub Teheran. Próbował tylko przekonać ich, że miejsce służby jest w Robot.

Ledbetter właśnie okrążał jeden z namiotów, kiedy wyłonił się z niego starszy sierżant Plutarsky.

- W samą porę, sierżancie – powitał go Ledbetter.
- Usłyszałem, że pan nadchodzi. – Plutarsky oddał honory swemu dowódcy. Ci dwaj mężczyźni, starszy i doświadczony oraz świeżo upieczony młody oficer, z niewiadomych powodów zaprzyjaźnili się wkrótce po przybyciu

w ten jeden z najgorętszych punktów zapalnych konfliktu irańskiego. Doskonale się uzupełniali: Ledbetter znał się na pociskach ziemia-powietrze i elektronice, Plutarsky znał swoich ludzi. Jeden drugiemu nie wchodził w drogę, więc w oddziale wszystko grało. Ledbetter nie wtrącał się do spraw żołnierzy, a Plutarsky do rakiet.

Ledbetter oddał pozdrowienie, chociaż obaj nie przejmowali się zanadto formami zewnętrznymi.

– Najpierw chcę rzucić okiem na Whiskey Trzy. – Whiskey Trzy, czyli Zachodni Trzeci, był jednym z posterunków strzegących głównego radaru radiolokacyjnego dalekiego zasięgu.

– To znaczy, że chce pan rzucić okiem na Shuraba – skostatował Plutarsky. – Ja także. Pan Shurab odkąd się tu zjawił wygląda jakby mu wetknięto kij w tyłek. Wszyscy Irańczycy nisko mu się kłaniają.

– On mówi, że pochodzi z rodziny jednego z członków gabinetu Alientara, czy coś w tym rodzaju – powiedział Ledbetter. – Ale macie rację, zachowuje się tak, jak gdyby tę wojnę toczono wyłącznie w jego prywatnym interesie.

Po drodze zatrzymywali się i kontrolowali kolejne elementy systemu CAB. Aby zmniejszyć ryzyko, że jedna bomba zniszczy całą obronę, poszczególne stanowiska rozrzucono na dużej przestrzeni. Ośrodek dowodzenia CAB-em stanowiła przyczepa okopana głęboko w ziemi w celu zabezpieczenia przed atakiem. Tam właśnie sypiał Ledbetter. Dla skuteczniejszej ochrony wyrzutni większość ludzi nocowała na stanowiskach. Główny radar Patriotów znajdował się na wzgórzu ponad doliną, w odległości około pięciu mil.

W środku obozu umieszczony był standardowy system radiolokacyjny, który zapewniał kontrolę całego obszaru w znacznym promieniu. Radar ten nie był sprzężony z żadnym z pocisków ziemia-powietrze, ale mógł wykrywać samoloty z odległości do dwustu mil i na wysokości do pięćdziesięciu tysięcy stóp. Był w stanie też pomagać w znalezieniu celu innym radarom lokalizującym, śledzącym i naprowadzającym.

Urządzenie to zostało umieszczone na szczycie starej, zardzewiałej wieży wiertniczej, około trzydziestu stóp nad ziemią, wraz z talerzem anteny łączności satelitarnej i innymi antenami radiowymi krótszego zasięgu. W pobliżu mieścił się okrągły bunkier – zbudowany z worków z piaskiem – gdzie znajdował się następny zestaw radarów, a sto stóp dalej ustawiona była pierwsza z ośmiu czteropociskowych wyrzutni Patriotów, osłonięta w podobny sposób.

Ledbetter z trudem mógł rozpoznać kontury wieży wiertniczej na horyzoncie. Chuchnął w dłonie.

– Zimno, sierżancie?

– Ja jestem z Florydy, sir – odparł Plutarsky. – Dla mnie wszystko poniżej sześćdziesięciu stopni ⁷ to kolejna epoka lodowcowa.

⁷ Fahrenheita. 60°F = 16°C (*przyp. dum.*).

Kilka minut później, kiedy znaleźli się przy szybie, usłyszeli kroki i charakterystyczny szczęk karabinu M-16 na parcianym pasie.

– Stop – rozległ się głos. Przy charakterystycznie ciężkim akcencie ze stanu Maine brzmiało to bardziej jak: „Stołąp. Ktoldzie?”

Plutarsky zachichotał.

– Nawet Irańczycy mówią lepszą angielszczyzną niż ty, Cooper. Usłyszeli klekot karabinu zarzucanego z powrotem na ramię.

– Dzińdobry, sierżancie. Wcześniej na nogach, no nie?

– Ja i porucznik oglądamy sobie okolicę. Myślmy o zbudowaniu tu Hiltona.

– Hilton. A to dobre.

– Gdzie te szmaciane łby? – Plutarsky uchwycił pełne wyrzutu spojrzenie Ledbettera.

– A gdzieś tu łazom, sierżancie – odparł Cooper. – Oni siedzą cicho jak ta mysz, no nie?

– Shurab też?

– Król Shurab mówi, że zamienił się z jednym ze swoich kumpli.

– Znowu? – rzucił Ledbetter. – On chyba nigdy nie ma warty.

– Jestem tego pewny – potwierdził Plutarsky. – Jak go znajdę, to wyprostuję mu dupę.

– Lepiej spokojnie, sierżancie – ostrzegł Ledbetter. – Irańczycy są, przynajmniej formalnie, naszymi sojusznikami, a Shurab w dodatku jest oficerem. Proszę im pozwolić rządzić się po swojemu. Jeśli coś będzie zagrażało bezpieczeństwu, to ja wyciągnę konsekwencje. Podkreślam, ja.

– Tak jest.

Pozostawili Coopera na straży przy szybie naftowym i poszli dalej. Po chwili natknęli się na pięciu irańskich gwardzistów uzbrojonych w karabiny M-16. Wszyscy stanęli na baczność, a jeden zsalutował Ledbetterowi.

– Dzień dobry, komendancie – powiedział. Ledbetter oddał mu salut.

– Gdzie jest kapitan Shurab? – spytał Ledbetter.

– W wartowni, komendancie.

– Powinien być na patrolu.

Irańczycy wyglądali na zaskoczonych, jak gdyby nie rozumieli, o co chodzi. Plutarsky postąpił krok naprzód.

– Shurab, do diabła! Patrol. On ma patrol.

– Nie. Ja wziąć patrol – odezwał się jeden z gwardzistów. – Ja patrolować.

– Ty jesteś Khaleir, tak?

Żołnierz kiwnął głową.

– Ty miałeś patrol rano. Shurab ma nocny.

– Nie, ja wziąć. – Nachylił się, aby wysłuchać jednego ze swych towarzyszy, potem powiedział starannie akcentowaną angielszczyzną: – Ja zmienić.

– Dawajcie Shuraba. Sprowadźcie go tutaj – polecił Plutarsky. Żołnierze stali wokół, udając, że nie rozumieją, ale najwyraźniej próbowali podjąć jakąś decyzję.

– Chcę tu Shuraba – nalegał Ledbetter.

– Tak jest – dał się słyszeć jakiś głos. Z ciemności wyłonił się wysoki, wąsаты mężczyzna, bez zarostu, w czystym mundurze polowym w barwach ochronnych pustyni i nieskazitelnie wypolerowanych butach. Palił papierosa. Był najelegantszym mężczyzną w obozie – chyba nawet błoto nie przyklejało się do jego podeszew. Jego wymuskany wygląd jeszcze bardziej zirytował Plutarsky'ego.

– Kapitanie Shurab, pan powinien teraz dowodzić zachodnim patrolem wartowniczym – powiedział dobitnie. – Dlaczego nie jest pan na swoim posterunku?

– Zamieniłem się z Abdulem, sir – Shurab skierował te słowa do Ledbettera, wyraźnie ignorując Plutarsky'ego.

– Nie może pan zamieniać się z człowiekiem, który właśnie skończył dwunastogodzinną służbę patrolową – skwitował Ledbetter. – Nie będę tolerował zmęczonych wartowników na służbie, zwłaszcza w nocy. Jesteśmy zaledwie o parę mil od terenów okupowanych przez Rosjan.

– Pluję na nich, sir...

– To pana sprawa. – Ledbetter zwrócił się do Plutarsky'ego: – Kapitan Shurab poprowadzi resztę nocnego patrolu i cały poranny. Nie wolno mu się zamieniać pod żadnym pozorem. Jeśli nie będzie na swoim posterunku zgodnie z rozkazem, zostanie przedstawiony do raportu u komendanta gwardii rewolucyjnej w Bandar Abbas w celu relegowania ze służby. Proszę tego dopilnować, sierżancie.

– Tak jest.

Ledbetter odszedł w kierunku szybu naftowego. Plutarsky zbliżył się do Shuraba.

– Czy pan zrozumiał rozkazy, sir?

– Nie będę słuchał podwładnego...

– Ja nie rzucam słów na wiatr. – Ale Shurab odwrócił się już plecami i ruszył w kierunku wartowni. Wtedy Plutarsky stracił panowanie nad sobą. Wyciągnął rękę, złapał Shuraba z tyłu za kołnierz i szarpnął tak, że ten upadł na ziemię. A jednak błoto przykleiło się, pokryło cały wykrochmalony mundur.

Shurab głośno zaklął po arabsku i wykrzyknął jakiś rozkaz. Cała piątka irańskich gwardzistów rzuciła się w kierunku sierżanta, ale zanim zrobili jeszcze jeden krok w jego stronę, błyskawicznie wyciągnął pistolet służbowy Beretta kaliber dziewięć.

– Ruszcie się tylko, a ten lalusz będzie miał dziurę w swojej wykrochmalonej koszulce. – Wszyscy zamarli... aż nagle Shurab roześmiał się, wstał i otrzepał mundur.

– Proszę wybaczyć, sierżancie – uśmiechnął się. – Oczywiście pójdę. – Rozkazał swoim ludziom cofnąć się i ruszył w kierunku zachodniego posterunku wartowniczego. Plutarsky wciąż wpatrywał się w niego, trzymając wyciągnięty pistolet. Shurab nagle zatrzymał się i odwrócił.

– Atak na zwierzchnika jest zbrodnią w moim kraju, sierżancie. A jesteście w moim kraju.

– Nie robicie na mnie wrażenia, ani ty, ani twój cholerny kraj...

Shurab pomachał wesoło, odwrócił się i odszedł. Plutarsky trzymał pistolet wymierzony w jego stronę, dopóki nie zniknął z horyzontu. Potem schował broń do kabury i powrócił do szybu naftowego, czując, że przegrał tę utarczkę.

– Słyszałem jakieś krzyki – powiedział Ledbetter do Plutarsky'ego, kiedy spotkali się kilka minut później. Porucznik z roztargnieniem wpatrywał się w obrotową antenę radaru na wieży. – Jakież problemy?

– Nic, z czym nie mógłbym sobie poradzić, sir. – Plutarsky podążył wzrokiem za spojrzeniem swego młodego dowódcy na szczyt szybu naftowego, potem do sąsiedniego bunkra radaru pasma L, ale usłyszał tylko lekki pisk łożysk anteny obrotowej – rozlegał się on za każdym razem, kiedy talerz z zielonej siatki zwracał się na północ. – Każę komuś zajrzeć do tych łożysk...

Ale Ledbetter nie słuchał. Nagle, bez słowa ruszył szybkim krokiem do stanowiska dowodzenia w okopanej przyczepie.

– Sir...? – Plutarsky musiał biec, aby dotrzymać kroku długonogiemu porucznikowi. – Czy coś nie w porządku, sir?

– Nie słyszał pan, sierżancie?

– Słyszałem, ale co...? Te łożyska...?

– Impulsowy radar przechwytyjący pasma L. Włączyli radar pasma L.

– Nic takiego nie słyszałem – powiedział Plutarsky. Ledbetter przyspieszył i Plutarsky znów musiał dobrze wyciągać nogi, aby nie pozostać w tyle. – Jak może pan słyszeć radar?

– Radar pasma L w bunkrze jest zsynchronizowany z radarem obserwacji przestrzennej – wyjaśnił Ledbetter. – Za każdym razem, kiedy radar obserwacyjny skrzypiał na pozycji godziny dziesiątej, słyszałem ruch radaru pasma L. Wyrzutnia I-Hawk została włączona.

– No to czy nie powinni byli...

W tym momencie zapiszczało walkie-talkie. Ledbetter już trzymał je w ręce i nie czekając na wiadomość, zgłosił się.

– Tu Ledbetter. Włączcie przeciwlotnicze syreny alarmowe. Zaraz tam będę. – Zanim zaczęły wyć pierwsze syreny, razem z Plutarskym dotarł do przyczepy.

– Lecę do wyrzutni! – krzyknął Plutarsky, kiedy Ledbetter biegł w stronę wyciosanych w ziemi stopni prowadzących w dół.

– Dawaj najpierw Patrioty! – rozkazał Ledbetter, znikając pod ziemią.

Przyczepa pachniała stęchlizną. Trzech operatorów radarów siedziało po prawej stronie przy odkrytych konsolach. Po lewej stronie ustawione były długie rzędy transformatorów, szafy elektroniczne i przełączniki. Jedyne światło pochodziło z ekranów radarowych i pulpitu sterowniczych. Kiedy Ledbetter wchodził, usłyszał jak jeden z operatorów przy radiostacji UHF-VHF krzyczy:

– Nie zidentyfikowany obiekt sto mil na północ od Robat, kierunek jeden-sześć-zero, wysokość dwa-zero-tysiąc, zidentyfikuj się, Delta Sierra, odbiór. – Operator trzymał palec na przycisku, który miał nadać komputerowo syntetyzowany komunikat ostrzegawczy po rosyjsku i arabsku, ale Ledbetter położył mu rękę na ramieniu.

– Mogą dostać tylko jedną szansę identyfikacji, sierżancie. Jeśli nie mają transpondera IFF ani nie odezwali się wcześniej, to znaczy, że są to niegrzeczni faceci...

– Tak jest.

– Mam sześć sztuk, powtarzam: zbliża się sześć sztuk – zameldował

operator radaru. – Wyglądają, jak gdyby sunęły jedną ławą, nieco przesunięte pułapy... Teraz mam osiem, sir, nadlatuje osiem.

- Odległość?
- Za jakąś minutę zblizną się do maksymalnego zasięgu Patriotów.
- Patriot też je zauważył, sir – zgłosił inny operator.
- I-Hawk też – włączył się trzeci.
- Wszystkie baterie, zezwalam na start przy optymalnej odległości – wydał polecenie Ledbetter. – Meldować o...
- Sir, cele robią zwrot – usłyszeli głos operatora radaru. – Wszystkie skręcają dokładnie w kierunku... Teraz jest ich więcej, lecą z dużą prędkością, wysokość trzy-zero tysięcy i wzrasta, prędkość... prędkość mają dobrze ponad jeden mach i przyspieszają. Kierują się do nas...

Ledbetter podszedł do ekranu radarowego. Obraz był bardzo dokładny. Start i profil lotu radzieckich pocisków manewrujących Kingfish widać było jak w klasycznych symulacjach ćwiczebnych. Duże, ciężkie samoloty nosiciele, prawdopodobnie bombowce strategiczne Tu-95 Bear lub Tu-16 Badger; odpalenie tuż przed dojściem do strefy zasięgu antyrakiet Patriot, a potem zwrot i wycofanie się; pociski widoczne w fazie wznoszenia się z dużą prędkością aż do wejścia na pułap lotu właściwego z prędkością naddźwiękową. Za niecałą minutę będą spadać na swoje cele: stanowiska amerykańskich baterii SAM*.

– Nadaj alarm przez radio na wszystkich częstotliwościach taktycznych i alarmowych oraz na FLTSATCOM – rozkazał Ledbetter. – Trzytrzydziestapięta CAB zaatakowana. Rodzaj ataku wskazuje na radzieckie pociski raketowe. Nadać.

– Rozkaz, sir. – Nastąpiła minuta przerwy, podczas której operatorzy radarów gorączkowo namierzali najbliższe pociski.

– Wiadomość przyjęta na FLTSATCOM. Otrzymują komunikaty alarmowe z innych pozycji.

– Pociski są teraz powyżej pięć-zero tysięcy stóp, prędkość około dwóch machów, odległość piętnaście mil... Teraz pułap obniża się... Gwałtownie spada wysokość... Odległość dziesięć mil... dziewięć... osiem... siedem...

Sierzant Plutarsky otrzymał raport o gotowości do akcji bunkra drugiej wyrzutni Patriotów, do którego właśnie wszedł. W tej samej chwili jeden z pocisków wysokiego pułapu wystrzelił z wyrzutni z nagłym błyskiem i straszliwym, ogłuszającym rykiem silnika raketowego na paliwo stałe Thiokol,

prawie przewracając Plutarsky'ego. Dwa następne pociski odpalono niemal natychmiast po tym. Z innych bunkrów startowały kolejne. Większość z nich celowała prawie pionowo w górę. Powietrze wypełnił gorący, kwaśny dym.

Plutarsky zatrzymał się, żeby otrzeć pot z twarzy, i kiedy zastanawiał się, dokąd pójść, w pobliżu nastąpiła eksplozja. Tym razem nie tylko ścięło go z nóg. Został jakby poderwany do góry przez rozpaloną dłoń i odrzucony dziesięć jardów do tyłu. Zdawało mu się, że powietrze zostało wysane z jego płuc i zastąpione gorącym gazem, który go dławił. Miał wrażenie, że tonie we wrzącej lawie.

Po dłuższej chwili stwierdził, że żyje i jest cały. Wtedy odważył się otworzyć oczy. Wokół niego strzelały płomienie. Ziemia na dziesiątki jardów wyglądała, jakby przeorał ją jakiś ogromny pług. Próbował wstać, ale stwierdził, że prawa noga jest zwichnięta lub złamana w kostce.

W pobliżu coś dostrzegł i poczołgał się w tę stronę. Już po chwili zorientował się, co to jest. Eksplozja była tak potężna, że wyrwała przyczepę dowodzenia z okopu i zgmiotła ją jak kartkę papieru. Pojazd wysoki na dziesięć stóp został zmiażdżony jak dziecinna zabawka.

Plutarsky nie wierzył własnym oczom. Zaledwie parę sekund wcześniej był cichy, spokojny, deszczowy poranek. Teraz, po jednej eksplozji, otaczał go płonący koszmar. Czyżby stracił przytomność? Odpoczywał chwilę na czworakach, aż usłyszał odgłos kroków w pobliżu.

Podniósł głowę i zobaczył pięciu ludzi biegnących w kierunku Robot, objuczonych nareęczami karabinów M-16, skrzynkami z amunicją, pudłami żywności i mundurów polowych. Plutarsky dźwignął się i wyciągnął swoją Berettę.

– Halt! Stój! – Mimo iż jego głos był ledwie słyszalny w zgiełku płomieni, krzyków i jęków, pięciu ludzi zatrzymało się i odwróciło w jego stronę. Byli to irańscy gwardziści rewolucyjni.

– Dokąd się, do diabła, wybieracie...?

Plutarsky przerwał, czując dotyk metalu na lewej skroni. Odwrócił się i zobaczył kapitana Shuraba, który trzymał lufę karabinu M-16 przy jego twarzy.

– Cześć, sierżancie Polaczku.

W oczach Plutarsky'ego na moment pojawił się strach, co ucieszyło Shuraba, ale zaraz złość wyparła poprzednie uczucie.

– Wybieracie się dokądś? – z pozornym spokojem Plutarsky powtórzył pytanie.

– To zniewaga dla elity muzułmańskich bohaterów pracować jak psy dla parszywych Polaczków. Zabieram broń i zaopatrzenie w góry. Będę walczył z Sowietami bez pomocy amerykańskich rakiet. – Zaczął się cofać.

– Lepiej pociągnij za spust, szmaciany łbie – rzucił Plutarsky, patrząc teraz wprost w oczy Shuraba – bo w przeciwnym razie wytropię cię, zedrę tę dezerterską skórę i rzucę twoje ścierwo psom na pożarcie.

Shurab zatrzymał się i wzruszył ramionami.

– W porządku, sierzancie. – Plutarsky zobaczył tylko błysk światła i poczuł gorący język płomienia na twarzy. Potem nie czuł już nic.

Marszałek Goworow przewidywał, że upadek Bandar Abbas nastąpi w ciągu dwóch dni. Przeciągnęło się do sześciu. Ale teraz przegrana głównej irańskiej twierdzy strzegącej cieśniny Ormuz była oczywista.

Tylko dziesięć spośród czterdziestu pocisków manewrujących AS-16 Kingfish, które zostały wystrzelone przeciwko dwunastu zewnętrznym pozycjom amerykańskich sił szybkiego reagowania SAM, rozmieszczonym na północ od Bandar Abbas, trafiło w swoje cele, ale tych dziesięć zniszczyło obronę tego obszaru. Cała dolina Meydan stanęła otworem, kiedy dwa z trzech stanowisk wyrzutni rakietowych CAB strzegących doliny zostały zniszczone. Radzieckie bombowce Backfire runęły przez nową wyrwę. Szybkie bombowce turboodrzutowe, uzbrojone w pociski manewrujące AS-6 oraz bomby, błyskawicznie uporały się z czternastoma bateriami pocisków I-Hawk otaczającymi Bandar Abbas. W ciągu dwóch dni Bandar Abbas i cieśnina Ormuz zostały całkowicie pozbawione obrony.

Samoloty transportowe, wypełnione elitarnymi oddziałami uderzeniowymi Armii Radzieckiej, przeleciały nie atakowane nad doliną Meydan i wylądowały na obrzeżach Bandar Abbas. Po czterech dniach zażartych walk, w obliczu pełnej dywizji radzieckiej, żołnierze sił szybkiego reagowania ewakuowali się z Bandar Abbas. Nie mając wsparcia z lądu, nieliczne amerykańskie okręty w południowej części Zatoki Perskiej i w cieśninie Ormuz wycofały się pod ochronę grupy bojowej *Nimitza*, która z kolei, wobec braku wsparcia z lądu i narastających ataków pociskami manewrującymi AS-6, wycofała się do Zatoki Omańskiej, prawie dwieście mil na południowy wschód od Bandar Abbas.

Nimitz ciągle jeszcze kontrolował cieśninę Ormuz przez Zatokę Omańską, ale nie wiadomo było jak długo.

Ofensywa mająca na celu zajęcie Iranu ruszyła szybko naprzód. Zbrojny opór był sporadyczny. Podobnie jak w Afganistanie, przywódcami opozycji były rywalizujące ze sobą rody lub sekty religijne, które z większą zaciętością zwalczały siebie niż radzieckich najeźdźców. Doniesiono o paru atakach chemicznych przeciwko tubylcom w górach i na centralnym płaskowyżu, ale większa część narodu irańskiego, przebywająca na obszarach miejskich, po prostu zdecydowała raczej podporządkować się nowemu rządowi niż ryzykować, że zostaną zmieceni przez Rosjan. Dla Irańczyków różnice pomiędzy rywalizującymi frakcjami były trudne do uchwycenia: obie zachowywały te same fundamentalne zasady islamu; jedna była popierana przez Związek Radziecki, druga przez Stany Zjednoczone. Na razie Rosjanie byli górą, dlatego naród wypowiedział się po stronie zwycięzców.

W rezultacie świeżo powstały rząd szybko urządził się w Teheranie. Nowe państwo Allah-al-Kastan, Islamskie Państwo Boga, zostało natychmiast uznane przez Związek Radziecki, co nikogo nie dziwiło. Niespodzianką okazało się natomiast to, że Syria i Irak formalnie uznały nowy rząd i zaproponowały negocjacje w celu zjednoczenia swych krajów pod rządami islamu. Długotrwała wojna iracko-irańska zakończyła się i przedstawiciele obu rządów wkrótce podpisali układ pokojowy. Wiele innych krajów, nie chcąc kontynuować działań wojennych, także uznało nowy rząd...

Radziecka inwazja i zajęcie Iranu zostały doprowadzone do końca, ale konflikt wciąż trwał. Cały świat przypatrywał się, jak powoli i nieubłaganie wielka grupa bojowa lotniskowca *Archangielsk* odpływa z zatoki Cam Rahn w Wietnamie, kierując się do Zatoki Perskiej. Grupa lotniskowca *Brezniew* dominowała w tym rejonie, ale nie mogła bezpiecznie wpływać do żadnego portu z obawy przed atakami partyzantki lub komandosów. Z drugiej strony, dzięki *Nimitzowi* żaden statek z posiłkami nie mógł przebić się przez amerykańską blokadę cieśniny Ormuz i Zatoki Omańskiej.

Świat wiedział, że *Archangielsk* przybywał, aby przełamać tę blokadę raz na zawsze.

KWATERA GŁÓWNA, BAZA DOWÓDZTWA KOSMICZNEGO FALCON, COLORADO

Zgromadzeni na zebraniu oficerowie i członkowie załóg Dowództwa Kosmicznego poderwali się na baczność, kiedy generał Martin Stuart, komendant tegoż Dowództwa, wszedł do małej sali konferencyjnej. W innych, bardziej normalnych, okolicznościach Stuart powiedziałby wszystkim, aby niezwłocznie usiedli, ale tym razem milczał. Zajął miejsce u szczytu owalnego stołu konferencyjnego i skinął na obecnych, aby także spoczęli. Czekał, aż sala się uciszy.

Jason Saint-Michael siedział samotnie po lewej stronie stołu, jakby celowo izolowany od otoczenia, ze względu na swą chorobę. Doktor Matsui, jego lekarz, siedział za nim, co sprawiało wrażenie, że dystansuje się od swego pacjenta.

Naprzeciwko Saint-Michaela ulokowała się mała grupka oficerów Dowództwa Kosmicznego. Była wśród nich Ann Page, która zajęła miejsce obok specjalisty od wahadłowców kapitana Marty'ego Schultza. Młodzieńczy uśmiech Schultza gdzieś zniknął. Ann spoglądała niespokojnie, przynosząc prawie ukradkiem wzrok z generała Stuarta na Saint-Michaela.

– Jesteśmy tu po to – zaczął Stuart – aby wybrać załogę, która powróci na stację kosmiczną *Armstrong*, na pokładzie samolotu kosmicznego *Ameryka*. Zadaniem jej będzie zabranie ciał członków załogi, odłączenie modułu Skybolta, umocowanie do niego silnika raketowego i wysłanie go na wyższą orbitę parkingową, gdzie będzie przebywał do zabrania przez prom kosmiczny. Ta misja musi zakończyć się w ciągu ośmiu dni, zanim *Armstrong* wejdzie w atmosferę. Zaczynamy. – Stuart otworzył cztery skoroszyty leżące przed nim na stole, przejrzał je i zwrócił się do Jasona Saint-Michaela: – Czy akceptuje pan tę załogę do misji ratunkowej, generale?

– Tak, sir. – Saint-Michael skinął w kierunku najstarszego oficera siedzącego naprzeciw niego. – Popieram wybór pułkownika Jonathana Hamptona na pilota. Ma on największe doświadczenie w dziedzinie transportu naddźwiękowego, tak jak ja. – Wspomniał tu o wspólnym doświadczeniu na HTS*. – Tylko dwie misje na pokładzie *Ameryki* i jedno cumowanie do stacji, ale za to rok doświadczenia jako oficer operacyjny kadry HTS i rok jako instruktor symulatora w Little Rock... Spośród wielu wysoko kwalifikowanych pilotów major Ken Horvath został

wytypowany na pierwszego oficera. Wypadł najlepiej na egzaminach i miał najwyższe punktacje na symulatorach spośród wszystkich absolwentów szkoły HTS... Również wybór kapitana Schultza, spośród ochotników na tę wyprawę, był wyjątkowo trafny. Ma on wysokie kwalifikacje zarówno jako absolwent HTS, inżynier pokładowy na wahadłowcach, jak i specjalista od ładunków. Dla niego istniał też szczególny powód, aby ubiegać się o udział w tej wyprawie: latał razem z pułkownikiem Willem i Sontagiem na *Enterprise* przez większą część lotniczej kariery...

– Czy może mnie pan zapewnić, kapitanie Schultze – zapytał generał Stuart – że... osobisty charakter tego zadania nie wpłynie na pańskie postępowanie?

– Powiem panu to samo, co generałowi Saint-Michaelowi, sir. Myślę, że jest moim obowiązkiem wobec pułkowników Willa i Sontaga wziąć udział w tej misji. Domagam się, aby umożliwiono mi spełnienie tej powinności.

Stuart skinął głową i ponownie skierował wzrok na Saint-Michaela.

– I oczywiście, panie generale – zabrał głos Saint-Michael – doktor Ann Page jest najlepiej wykwalifikowaną osobą do spełnienia... innego zadania tej misji.

Stuart położył ręce na aktach osobowych Ann i pokręcił głową.

– Nie zgadzam się, Jason. Doktor Page dość już przeszła. Nie widzę żadnej potrzeby, aby ją narażać...

– Przepraszam, sir – powiedziała Ann – mówi pan o mnie, jakby mnie tu nie było. Ale faktem jest, że nie macie innego wyjścia, niż mnie zaakceptować. Tak się składa, że mam najlepsze przygotowanie do obsługi Skybolta i to ja jestem jedyną osobą, która zna znającą ten laser i ma również kwalifikacje do lotów kosmicznych. Jestem też ochotniczką...

– To właśnie kwestionuję bardziej niż cokolwiek innego – wtrącił Stuart. – Czy myśli pani, że to rozsądne sprawiać pani rodzinie jeszcze więcej zmartwień po tym, co przeszli dwa miesiące temu? Atak na stację *Armstrong*, śmierć pani ojca...

– Panie generale, nie chcę być nudna. Sądzę, iż wie pan, że nie jestem jakąś radykalną feministką ani kimś takim. Uważam jednak, że rozważania nie powinny dotyczyć mnie w większym stopniu niż któregoś z mężczyzn. Chcę panu powiedzieć, że moją jedyną rodziną jest matka, a ona w pełni zgadza się ze mną. – Rozgrzana emocją Ann ciągnęła dalej: – Żadna z nas nie może pogodzić się ze sposobem traktowania naszego kraju przez Rosjan. Jakim prawem mają decydować, czy mamy sprowadzić na Ziemię naszych poległych,

czy też nie? Jakim prawem decydują, że możemy użyć tylko samolotu kosmicznego HTS zamiast wahadłowca, aby dostać się do stacji *Armstrong*?

– Oni prawdopodobnie przechwycą każdy pojazd kosmiczny, który uznają za nieprzyjacielski – przerwał Stuart. – Takie są fakty. Nasza wyprawa wahadłowcem do stacji *Armstrong* może być odczytana jako próba ponownego wyposażenia jej w ofensywną broń nuklearną. Samolot kosmiczny nie ma wystarczająco dużej ładowni...

– No to dlaczego nie powiemy im, że jeśli zestrzelą znowu jakiś nieuzbrojony amerykański pojazd kosmiczny, to my... dokonamy odwetu...? Dlaczego pozwalamy się zastraszyć...?

– Ann – powiedział z naciskiem Saint-Michael, rzucając jej wymowne spojrzenie. Zwróciła się w jego stronę, nie rozumiejąc dlaczego ją ucisza. Próbował jakoś zasygnalizować jej, że jeszcze będzie okazja do dyskusji na ten temat, i to wkrótce.

– Decyzja już została podjęta – przerwał Stuart, tłumiąc irytację i zaskoczenie. Doktor Page była najwyraźniej kimś więcej niż tylko naukowcem. – Nasz rząd zdecydował, że nie będzie ryzykował konfrontacji nuklearnej z powodu stacji kosmicznej *Armstrong*. Przykro mi. Na orbicie są jeszcze trzy prywatne-komercyjne stacje kosmiczne oraz rządowe-badawcze, które wymagają obsługi. Jeśli będziemy drażnić Rosjan stacją *Armstrong*, która, jak wiecie, jest w dużym stopniu uszkodzona i tylko parę dni dzieli ją od wejścia w atmosferę, to oni mogą uniemożliwić nam wszelkie loty do innych stacji.

Ann już miała odpowiedzieć, że nigdy nie opłacało się ulegać szantażystom, ale pohamowała się. Najważniejszą sprawą był jej udział w locie.

– Dobrze, panie generale – powiedziała. – Użyjemy więc HTS. Rozegramy tę grę według reguł Rosjan. Ale proszę... niech nikt, prócz mnie, nie dotyka Skybolta. Może to, co mówię, zabrzmia arogancko, ale uważam, że nikt inny nie jest wystarczająco kompetentny, żeby odłączyć Skybolta od stacji i umieścić go w przywiezionym module pomocniczym. Chcę przypomnieć, że Skybolt jest laserem pracującym na wolnych elektronach. Wykorzystuje kontrolowaną reakcję nuklearną do wytworzenia strumienia elektronów niezbędnego do działania. Trzeba posiadać rozległą wiedzę na temat materiałów rozszczepialnych i urządzeń wyzwalających, aby można było to zrobić bez ryzyka. Nikt poza mną nie potrafi tego wykonać w sposób bezpieczny.

Stuart patrzył na nią przez dłuższą chwilę, w końcu skinął głową, ale w jego wzroku widać było więcej niechęci niż aprobaty.

– No dobrze, lista załogi zostaje zaakceptowana w całości. Misja wyruszy

za cztery dni. Będziecie mieli trzy dni na przeniesienie ciała, a także odłączenie modułu Skybolta, podłączenie do niego silników raketowych PAM* i wysłanie na orbitę parkingową. Czy widzicie jakieś niedociągnięcia w tym ogólnym planie?

– Tak, sir. Chciałbym przedstawić swój punkt widzenia – odezwał się Saint-Michael.

General Stuart starał się opanować.

– Obiecałem panu, że wysłucham pańskich argumentów podczas tego spotkania, Jason. Nie wiem, czy to coś da, ale obiecuję, że przekażę pańskie uwagi do Pentagonu i nawet dopilnuję, aby dotarły one do prezydenta. Nie sądzę jednak, aby...

– Ann miała rację, sir – wtrącił pospiesznie Saint-Michael, chcąc skłonić Stuarta, by go wysłuchał do końca. – Poddajemy się szantażowi albo, dokładniej mówiąc, terroryzmowi. Nie możemy pozwolić na zniszczenie *Silver Tower*. Musimy uruchomić tę stację, ustawić ją ponownie na orbicie zwiadowczej i jak najszybciej naprawić wszystkie systemy...

– Czyżby sugerował pan ponowne wprowadzenie jej na orbitę nad Zatoką Perską? – Stuart starał się jakoś wyrazić swe wątpliwości. – Czy to znaczy, że chce pan narazić stację *Armstrong* na ponowne ataki ich lasera? Umieścić ją na orbicie, żeby Rosjanie mogli dokładnie ją wyśledzić i wysłać satelity bojowe w celu jej zniszczenia? To szaleństwo, Jason. Dlaczego chcesz to zrobić? – Stuart domyślał się przyczyny tych nalegań. Jason ciągle jeszcze nie był w formie. Jego lekarz w oczywisty sposób nie aprobował jego zaangażowania...

– Ponieważ już niedługo radar orbitalny tej stacji będzie nam potrzebny. Grupa bojowa lotniskowca *Archangielsk* potrzebuje dziesięciu dni na dotarcie do Morza Arabskiego na odległość, z której może zaatakować *Nimitza*. Do tego czasu nasz SBR musi być tam, w górze, i to sprawny.

– Ależ ten radziecki laser...

– Laser w Sary Szagan był mało skuteczny wobec stacji – przerwał Saint-Michael. – To prawda, że wyrządził nam pewne szkody, ale stacja nie straciła sprawności. Gdyby był nieco mocniejszy, bylibyśmy wyłączeni z walki na długo przed atakiem ich samolotów kosmicznych... Sir, SBR dowiódł swej wartości. Jeśli grupa lotniskowca *Nimitz* zostanie osaczona w Zatoce Omańskiej, będzie on potrzebny bardziej niż kiedykolwiek. Nasi będą mieli pełne ręce roboty obserwując *Archangielsk* i jego eskortę, a jeśli będą spychani coraz bliżej lądu, to Rosjanie mogą w końcu włączyć do akcji swoje pociski wystrzelwane z lądu. Będą potrzebowali naszego SBR do ochrony. – Przerwał na chwilę. – A także Skybolta.

- Skybolta? – zdziwił się Stuart. – A co Skybolt ma z tym wspólnego?
- Skybolt jest sprawny, generale – włączyła się szybko Ann. Na twarzy Stuarta najpierw pojawił się wyraz zaskoczenia, a potem niedowierzania. Ann kontynuowała pospiesznie: – On znowu działa, sir. Udało mi się go naprawić w momencie, gdy zaczynał się atak pocisków Gorgon. – Przerwała na chwilę i dodała: – To ja zestrzeliłam drugi radziecki samolot kosmiczny.
- Co takiego? – Stuart zwrócił się w stronę Saint-Michaela, który z napięciem wpatrywał się w Ann, zanim napotkał zdumione spojrzenie przełożonego.
- Nie mogę tego potwierdzić, sir. W czasie ataku byłem w module dowodzenia. Nie mieliśmy prądu. Znajdowaliśmy się w trudnej sytuacji, nie mógłbym z całą pewnością stwierdzić, czy dźwięki, które słyszałem, pochodziły z reaktora MHD, czy od radzieckich pocisków.
- No nie, do diabła, byłam dokładnie namierzona na jeden z tych atakujących nas samolotów, a radar bez zarzutu przekazywał dane do Skybolta! – wybuchnęła Ann. – Rosjanie meldowali utratę jednego ze swoich samolotów podczas tego ataku. Czyż to nie dowód na to, że Skybolt działa?
- Niekoniecznie – odezwał się Stuart. – Oni twierdzą, że odpaliliśmy jeden z pocisków Thor przeciwko temu pojazdowi... To miało spowodować ich atak. Nie było żadnej wzmianki o laserze.
- To już jest całkowicie niezgodne z prawdą – zaproponował Saint-Michael. – Wszystkie pociski Thor umieszczone w wyrzutni zostały wystrzelone podczas ataku pocisków Gorgon. Baker i Yemana odłączyli tylko dwa Thory spośród dziesięciu zapasowych. Jeden chybił, drugi nigdy nie został odpalony. Na stacji jest ciągle jeszcze osiem Thorów.
- Sir, twierdzą z pełną odpowiedzialnością, że Skybolt jest sprawny – upierała się Ann. – To on zniszczył samolot kosmiczny. Jestem przekonana, że mój laser jest w stanie obronić stację *Armstrong* przed atakiem kosmolotów, a także może dać ochronę *Nimitzowi* przed dalszymi atakami pocisków manewrujących AS-6.
- Nie wierzę. To niemożliwe, żeby mógł strzelać z odległości setek mil poprzez atmosferę i zniszczyć pocisk manewrujący. Miała pani tylko jeden test operacyjny i dopóki nie zostanie niezbicie udowodnione, że tak było, jak pani twierdzi, będziemy uważali, że laser zawiódł. Mówi pani, że może on obronić flotyllę okrętów odległą o setki mil? – Stuart potrząsnął przecząco głową. – Wiem, jak bardzo jest pani oddana swemu przedsięwzięciu, doktor Page, ale to wszystko brzmi nieprawdopodobnie...

– Jeśli tylko SBR potrafi coś wysledzić, to Skybolt potrafi to zniszczyć – naciskała Ann. – Laser naprowadzany SBR przy reaktorze MHD, pracując z pełną wydajnością, ma moc strzelania i niszczenia celów na odległość tysiąca mil poprzez atmosferę. Nie wierzę, żeby AS-6 był dostatecznie opancerzony, aby wytrzymać uderzenie wiązki tego lasera, nawet rozpraszanej przez atmosferę.

Generał Stuart bezmyślnie wpatrywał się w ślad pozostawiony przez dzbanek z kawą na wypolerowanym na wysoki połysk stole konferencyjnym.

– Stację *Armstrong* da się uratować – powiedział Saint-Michael. – Nie możemy dopuścić, aby sprzęt wartości trzydziestu miliardów dolarów spłonął w atmosferze. Jeśli Rosjanie zdecydują się pójść na całego, SBR na *Silver Tower* może być czynnikiem decydującym.

Stuart w końcu podniósł wzrok.

– No dobrze, Jason, przekażę pańskie uwagi Komitetowi Połączonych Sztabów dziś wieczorem i poproszę, aby jutro przedstawiono je prezydentowi. Będzie miał trzy dni na podjęcie decyzji.

– Dziękuję, sir. – Saint-Michael wiedział, że nie może liczyć, iż Stuart przedstawi jego sprawę tak zdecydowanie, jak by sobie tego życzył. Miał tylko nadzieję, że prezydent doceni wagę ponownego uruchomienia stacji. W każdym razie jedno było pewne: jeśli ten plan zostanie zaaprobowany, on musi wziąć w nim udział. Lepiej od razu zacząć działać... – Generale, jeśli dostaniecie zielone światło, chcę pilotować samolot *Ameryka*.

– To niemożliwe, Jason! Jest pan zawieszony w lotach. Pilotem będzie Hampton niezależnie od pozostałych decyzji.

– W tym wypadku nie ma pan wyboru. Jeśli plan zostanie zatwierdzony, będziecie potrzebowali dowódcy stacji *Armstrong* – kogoś, kto jest obeznany z SBR i wszystkimi podsystemami stacji. Hampton jest może najlepszym jeźdźcem na HTS-ach, jakiego mamy, ale nie jest komendantem stacji.

– Jason – Stuartowi zaczynało brakować cierpliwości – wszystko, czego nam potrzeba, to ktoś, kto będzie trzymał sprawy w garści do czasu, aż stacja zostanie zreorientowana...

– Ten ktoś musiałby przejąć rolę pierwszego oficera na pokładzie *Ameryki*, pozostawiając Hamptonowi zadanie wprowadzenia HTS na orbitę o własnych siłach. On jest dobry, ale nie aż tak.

– Jeśli o to chodzi, Jason, jestem pewien, że możemy przygotować dodatkowy fotel dla jeszcze jednego członka załogi. Ciągle nie jestem przekonany, że jest pan niezbędny.

- Sir, nikt nie zna stacji lepiej ode mnie.
- A co z pańskim dysbaryzmem, sir? – spytał Horvath, obawiając się, że może stracić swoją szansę pierwszego lotu naddźwiękowym samolotem kosmicznym *Ameryka*. – Co będzie, jeśli pańskie ataki powtórzą się w kosmosie?
- *Ameryka* jest pojazdem o środowisku wymagającym skafandrów kosmicznych. Jak długo będę mógł wykonywać procedurę oddychania wstępnego tlenem i pozostawać w skafandrze, tak długo nic mi nie grozi.
- Jason, tego pan nie wie na pewno – wtrącił się doktor Matsui. Saint-Michael nawet nie zadał sobie trudu, aby na niego spojrzeć. – Niższe ciśnienie w kombinezonie mogłoby wywołać atak. Poza tym emocje, adrenalina, nawet hałas. A w przypadku jakiejś awarii, na przykład gwałtownej dekompresji, przebicia kombinezonu...
- Wtedy będziemy zarówno bez pilota HTS, jak i bez komendanta stacji – dokończył za niego Stuart – i sprowadzimy pana na Ziemię w ładowni razem z członkami pańskiej załogi.

Słowo „załoga” mocno ugodziło Saint-Michaela. Czy rzeczywiście stwarzałyby dla nich zagrożenie, gdyby dowodził tą misją? Ryzykować własne życie to zupełnie co innego niż życie członków załogi... Spojrzał na twarze obecnych na sali. I to, co zobaczył, przekonało go ostatecznie.

– Panie generale – powiedział. – Nie można zaprzeczyć, że ryzykuję własną skórę. Ale robimy to wszyscy. To jest związane z zawodem. Myślę jednak, że są duże szanse na uruchomienie stacji. W tej chwili, uwzględniając wszelkie okoliczności, „duże szanse” znaczy naprawdę duże szanse.

Generał Stuart długo nie odpowiadał. W końcu odezwał się:

– Jak już mówiłem, Jason, przedstawię pańską propozycję w Pentagonie. Przekażę im, że chce pan uczestniczyć w misji – niech oni decydują.

Pocziwy Martin Stuart, pomyślał Saint-Michael. Zawsze był mistrzem robienia uników. No cóż, nie pozostaje nic innego jak czekać... i mieć nadzieję. Jego myśli zaczęły błądzić... potem skupiły się na wspomnieniu Jima Walkera wchodzącego do kapsuły ratunkowej. Pamiętał wyraz jego twarzy. Co to było? Spojrzenie przed rozłąką...? Ostateczne pożegnanie...?

Twarz Saint-Michaela stężała. Postanowił sobie, że znajdzie sposób, aby powrócić na pokład stacji.

Chevrolet Blazer zjechał z głównej autostrady na utwardzoną drogę gruntową, przy której umieszczono dużą tablicę z napisem: „Witamy na lotnisku Calhan”.

Ann spojrzała na Saint-Michaela.

– Lotnisko? Mieszkasz na lotnisku?

– Wszyscy zadają to samo pytanie. Myślę, że jestem jednym z nielicznych, którzy mieli szansę spełnienia dziecięcych marzeń. Kiedy byłem chłopcem, myślałem samoloty, pompowałem benzynę i zamiatałem hangary, aby zapłacić za lekcje pilotażu. Licencję pilota zdobyłem wcześniej niż prawo jazdy. Zawsze byłem na lotnisku. Wiele lat później, kiedy zostałem skierowany do Colorado Springs, zacząłem poszukiwać dla siebie jakiegoś miejsca i natknąłem się na to opuszczone lotnisko. Trzydzieści akrów, hangar, magazyn paliw, dom, budynek odpraw i twardy pas startowy. Dodatkowo świeże powietrze, otwarte niebo i Góry Skaliste. A wszystko, co musiałem za to zapłacić, to tylko zaległe podatki. Istny raj.

Podjechali od frontu do starego, ale imponującego domu w stylu ranczo, otoczonego drzewami, oddalonego o kilkaset jardów od budynku odpraw. Ann była zaskoczona, widząc światło sygnalizacyjne obracające się na wieży kontrolnej.

– Lotnisko jest obecnie używane – wyjaśnił. – To kolejny układ, jaki zawarłem z władzami lokalnymi.

– Czy nie przeszkadza ci hałas? Mnie by to doprowadziło do szaleństwa.

– Miejsce to nie jest aż tak ruchliwe. Poza tym rzadko tu bywam.

– Czy masz własny samolot?

– Mam. Przepiękny. – Wysiedli z samochodu i poszli w ciemnościach w stronę domu. – Ale, oczywiście, jeśli lekarze z Dowództwa Kosmicznego nie dadzą mi świadectwa zdrowia, będę miał problemy z lataniem nawet moim Piperem Malibu.

Wystukał kod na zamku szyfrowym i drzwi otworzyły się. Ku zaskoczeniu Ann, natychmiast zapaliły się światła w hallu i dwóch pokojach frontowych.

– Lubię takie drobnostki – powiedział. – Myślę, że ten dom zasługuje na miano nowoczesnego. – Pomógł jej zdjąć płaszcz i powiesił go w szafie znajdującej się w wykładanym białymi płytkami hallu.

– Ciepło tu u ciebie – zauważyła Ann. – Czyżbyś trzymał ogrzewanie włączone cały czas, nawet kiedy cię tu nie ma?

– To kolejna miła drobnostka. Przed wyjściem z dowództwa zawsze telefonuję do domu. Zgłasza się komputer, a ja nadaję zakodowane polecenie i wtedy on włącza ogrzewanie, klimatyzację lub zewnętrzne światła. Może zrobić jeszcze wiele innych rzeczy, nawet kawę.

Ann uśmiechnęła się zadowolona, że poznaje jego nowe oblicze.

Zaprowadził ją do ogromnej sali wyłożonej dębową boazerią. Była to jakby pałacowa komnata o sklepionym suficie, z masywnym kamiennym kominkiem. Ann usiadła na skórzanej sofie przed kominkiem, a on nalał po lampce Grand Marnier. Kiedy wrócił z koniakiem, z przyjemnością patrzył, jak siedzi zwinęta przy miękkiej poręczy sofy.

– Wyglądasz jak w domu – powiedział.

Uśmiechnęła się i przyjęła kieliszek.

Saint-Michael podszedł do kominka, w którym w ciągu paru minut zapłonął wspaniały ogień. Potem wrócił na sofę i usiadł obok niej, patrząc, jak płomień wolno pożerają kłody. Po chwili Ann przysunęła się do niego. Nie była ani wstydliva, ani zalotna. – Położyła głowę na jego ramieniu. Odgarnął włosy z jej czoła.

– Spokojnie tu – powiedziała. Spojrzała na niego, obserwując refleksy płomieni w jego oczach. – Jak sądzisz, co oni powiedzą? Mam na myśli poważne uruchomienie stacji i twój udział w misji?

– Liczę na „tak” w obu wypadkach.

– Ale co będzie, jeśli...

– Nie chcę teraz o tym myśleć. Sądzę, że moje pragnienie powrotu na stację, uczucie, że chcę i muszę tam wrócić, pomogły mi walczyć z tą przekłętą chorobą. Jest w tym także twoja zasługa. Mam nadzieję, że jesteś tego świadoma.

– Jason...

Byłby chyba głupcem, gdyby nie zrozumiał, że teraz przyszedł czas. Pocałował ją. Przytuliła się do niego, pragnąc przedłużyć pocałunek. Kiedy w końcu oderwali się od siebie, popatrzyli sobie w oczy. Oboje pragnęli tego samego.

– Kochaj mnie, Jason. Teraz.

Generał Saint-Michael pierwszy raz w życiu zrobił dokładnie to, co mu kazano.

Nie mówili tego głośno, ale oboje czuli, że taka chwila miłości jak ta nieprędko się powtórzy. Czekala na nich ciemna pustka kosmosu i nieznana przyszłość.

PENTAGON

Głos, który odezwał się po drugiej stronie „bezpiecznej” linii Pentagonu, brzmiał bardzo podobnie do głosu Jasona Saint-Michaela, ale generał Stuart rozpoznał od razu, że telefon odebrała automatyczna sekretarka. W Waszyngtonie była siódma rano, lecz w Colorado dopiero piąta. Dajmy człowiekowi odpocząć. Kiedy głos został zastąpiony krótkim sygnałem, Stuart powiedział:

– Jason, tu Stuart, właśnie wyszedłem ze spotkania w Komitecie Połączonych Sztabów. Prezydent i jego gabinet uczestniczyli w telekonferencji. Niestety, nie mam dobrych wiadomości. Sekretarz obrony jest zdecydowanie przeciwny uruchomieniu stacji i przekonał prezydenta, że należy odmówić pańskiej prośbie. Jest mi naprawdę przykro, Jason, ale podjęto decyzję, aby przyznać panu rentę ze względów zdrowotnych. *Ameryka* będzie pilotowana przez Hamptona. Załoga ma za zadanie sprowadzić ciała i wysłać Skybolta na orbitę parkingową. Tak to wygląda, Jason. Przykro mi...

Odkładając słuchawkę, Martin Stuart przyznał w duchu, że miał nadzieję przeforsować sprawę Saint-Michaela. Chociaż przez te wszystkie lata często się ze sobą nie zgadzali, zawsze żywił wiele szacunku dla młodego generała i uważał go za świetnego dowódcę. Nie potrafił powiedzieć mu wprost, że Dowództwo Kosmiczne już go nie potrzebuje. A więc stchórzył, i nie było na to usprawiedliwienia. Liczył tylko, że Jason pogodzi się z sytuacją. Ale czy naprawdę był na to choć cień szansy?

Rozdział 10

Październik 1992

PORT KOSMICZNY HTS McAULIFFE, NEEDLES, KALIFORNIA

To już nie jest najbardziej niezwykły pojazd latający świata, pomyślała Ann, a oni nie są już załogą złożoną z wysoko kwalifikowanych astronautów i inżynierów. Ta wspaniała *Ameryka* nie jest niczym innym niż słynnym karawanem, a oni sami konduktem żałobnym. Zostali wysłani, aby wykonać brudną robotę na oczach całego świata.

Ann i Marty Schultz obserwowali ładunek komory towarowej *Ameryki* na dwa dni przed startem. Stali na stalowym pomoście nad masywnym kadłubem pojazdu, obserwując, jak wielkie dźwigi i gromady robotników wprowadzają ładunek do wnętrza. Pierwsze wrażenie Ann na widok tego samolotu kosmicznego było tak silne, że na moment zapomniała o celu misji, o bólu wywołanym świadomością, że Jason nie leci z nimi. „Jaki on piękny. Naprawdę piękny” – powiedziała, kiedy po raz pierwszy wspięli się na pomost obserwacyjny.

Schultz zabrał ją najpierw na spacer wokół, aby obejrzeć wielki pojazd kosmiczny. W przeciwieństwie do krępych, pudłowatych wahadłowców STS* – *Ameryka* była smukłą, raczej złowieszczą wyglądającą maszyną. Dwa razy większa od wahadłowców, bardzo przypominała powiększoną wersję osiągnącego prędkość ponad trzy machy wojskowego samolotu rozpoznawczego Amerykańskich Sił Powietrznych SR-71 Blackbird (dotychczas najszybszego samolotu świata). Miała ostry jastrzębi dziób, opadający wdzięcznie w kierunku szerokiego, płaskiego kadłuba, i niewiarygodnie cienkie krawędzie natarcia skrzydeł.

Pojazd był zbudowany głównie z rzadko występującego metalu zwanego renelem, mocniejszego i lżejszego od tytanu i bardziej odpornego na wysokie temperatury niż kompozyt z włókien węglowych. Kokpit, kabina załogi i ładownia wyrastały z górnej części gładkiego czarno-szarego kadłuba, wykonanego z renu i dalej przechodziły łagodnie w szeroki, płaski ogon.

W boki kadłuba wmontowane były krótkie, cienkie skrzydła, które w kilka minut po starcie chowają się w kadłubie, kiedy ich siła nośna nie jest już potrzebna. Dwa krótkie, zaokrąglone stabilizatory pionowe sterowały z wierzchu kadłuba, w pobliżu ogona. Największe wrażenie robiły jednak silniki: trzy długie, wielkie pudła umieszczone pod kadłubem, z całą masą rozdzielaczy i komór. Ann z przyzwyczajenia podeszła do przedniej części silnika i z ciekawością zajrzała do środka. Ze zdziwieniem stwierdziła, że widzi wylot.

– A gdzie, u diabła, są silniki?

– To są właśnie silniki – wyjaśnił Marty, ciesząc się z możliwości zrobienia jej wykładu o czymś, na czym znał się bardzo dobrze. Wyczuwała jego nastrój i słuchała w milczeniu. – To są naddźwiękowe silniki strumieniowe. Zamiast wykorzystywać łopatki turbin do sprężania powietrza jak w zwykłych lotniczych silnikach odrzutowych – te wykorzystują coś, co nazywa się zwężką Venturiego – wewnętrzne ukształtowanie samego silnika – do sprężenia powietrza dla zapłonu. Dolna część kadłuba jest integralną częścią silnika, spowalniająca i schładzająca powietrze, zanim wejdzie ono do zwężki Venturiego.

– Konwencjonalny turbinowiec lub turboodrzutowiec – kontynuował Marty – nie osiąga prędkości powyżej trzech i pół macha, po prostu nie może zassać więcej powietrza. Prosty silnik strumieniowy jest o wiele wydajniejszy i może osiągać prędkość do pięciu-sześciu machów. Wiele wczesnych pocisków przeciwlotniczych było wyposażonych właśnie w raketowe silniki strumieniowe. Jedyne ograniczenia to metale użyte do ich konstrukcji, które spalają się lub rozpadają przy wielkich prędkościach. Natomiast silnik strumieniowy jest tak zaprojektowany, aby wloty chłodzone były przez paliwo wodorowe, jak i konstrukcję kompozytową. To powoduje, że silnik wytrzymuje prędkość naddźwiękową ponad pięć machów. Kiedy już problemy z temperaturą i rozkładem metalu zostały rozwiązane, byliśmy gotowi do wyścigu. Teoretycznie dla takiego silnika nie istnieje górna granica prędkości, ale dla naszych potrzeb wystarcza dwadzieścia pięć machów: to jest prędkość orbitalna. – Marty wskazał na szyny poniżej pojazdu. – Ponieważ silnik strumieniowy nie może sam zasysać dostatecznej ilości powietrza potrzebnego do zapłonu, samolot jest wyrzucany po tym torze na saniach raketowych. Przy prędkości około dwustu mil na godzinę zwężka Venturiego zaczyna pracować i *Ameryka* podrywa się z tych sań.

– Ale jak te silniki działają w kosmosie? – spytała Ann. – Przecież tam nie ma powietrza.

– To są hybrydy: w atmosferze ziemskiej są prawdziwymi silnikami strumieniowymi, kiedy natomiast powietrze przestaje przez nie przepływać, stają się urządzeniami raketowymi napędzanymi paliwem ciekłym, to znaczy wodorem z dodatkiem tlenu umożliwiającemu spalanie. Jak wiesz, tlen jest w atmosferze, ale tylko na niższych wysokościach. W miarę jak samolot wzbija się w górę i powietrze rozrzedza się, wloty silników stopniowo zewężają się aż do całkowitego zamknięcia, a tlen dostarczany jest odpowiednio do potrzeb ze zbiorników samolotu. Silnik strumieniowy staje się prawdziwym silnikiem raketowym na wysokości około siedemdziesięciu mil. Ten samolot kosmiczny jest właściwie jednym wielkim zbiornikiem paliwa, w którym umieszczona jest kabina załogi, ładownia i system sterowania.

W czasie powrotu na Ziemię wszystko przebiega w odwrotnej kolejności: tlen i paliwo wodorowe są mieszane w silnikach do czasu, aż w atmosferze będzie wystarczająca ilość potrzebnego gazu. Silniki działają aż do końca, dlatego *Ameryka* może lądować prawie na każdym, wystarczająco długim, pasie. Lotniska międzynarodowe w Los Angeles i w San Francisco są naszymi zapasowymi lądowiskami, ale w razie potrzeby możemy w ciągu godziny przelecieć cały kraj, aby znaleźć odpowiednie.

Kiedy Marty mówił, Ann nie mogła przestać myśleć o Saint-Michaelu. Nie było go przy niej te dwa dni, kiedy trenowała na symulatorze HTS Dowództwa Kosmicznego w Little Rock, aby przygotować się do misji na pokładzie nadźwiękowego samolotu kosmicznego. Potem pojechała do południowej Kalifornii, na miejsce startu. Choć Saint-Michael nie powiedział jej tego, domyślała się, że pożegnawszy ją w Colorado Springs, poleciał do Waszyngtonu w celu odwołania się od decyzji zmuszającej go do pozostania na Ziemi. Wątpiła jednak, aby udało mu się przekonać członków Komitetu Połączonych Sztabów o celowości uruchomienia stacji, i w miarę jak mijały godziny, a od niego nie było żadnych wiadomości, prawdopodobieństwo, że uda mu się postawić na swoim, wydawało się coraz mniejsze.

Spojrzała w górę. Zobaczyła, że klapy ładowni samolotu otwarte są na całą szerokość. Srebrzysta wykładzina odbijała blask setek reflektorów oświetlających pojazd. Mimo że ten samolot kosmiczny był dwukrotnie większy od swych starszych, mniej skomplikowanych kuzynów, jego ładownia była równie mała. W porównaniu z ogromem samolotu wydawało się, iż powinna być większa. Jeden rzut oka na ładunek przypominał Ann ponurą rzeczywistość tej misji.

Większą część ładowni zajmowały dwa duże silniki raketowe PAM na paliwo ciekłe z urządzeniami do zdalnego sterowania oraz z łącznikami do zamocowania. Zadanie Ann i Marty'ego Schultza, polegało na dołączeniu tych silników do modułu lasera Skybolt, ustawieniu w kierunku przeciwnym do Ziemi i uruchomieniu ich. Silniki PAM miały wynieść moduł lasera, kierując się sygnałami sterującymi z Kontroli Lotów Falcon, przekazywanymi przez satelitarny system NASA – TDRS, na orbitę parkingową na wysokości sześciuset mil. Dałoby to Dowództwu Kosmicznemu parę kolejnych miesięcy na zorganizowanie wyprawy wahadłowca w celu sprowadzenia modułu na Ziemię. Mimo że ładownia *Ameryki* była tej samej wielkości co na promach kosmicznych, samolot nie był przystosowany do transportu dużych obiektów, takich jak Skybolt, z kosmosu na Ziemię. Drugi silnik, jako zapasowy, miał posłużyć do przeniesienia modułu dowodzenia stacji kosmicznej *Armstrong* również na orbitę parkingową w przypadku, gdyby pierwszy był sprawny i gdyby starczyło czasu.

Wielki dźwig opuszczał spory cylindryczny obiekt (o średnicy ośmiu stóp i długości dziesięciu) do przedniej części ładowni. Jego prosta surowość powodowała, że widok stawał się jeszcze bardziej przykry. Był to kosmiczny grobowiec, wielka trumna, urządzenie mające posłużyć do przywiezienia ciał członków załogi, którzy zginęli na pokładzie *Armstronga* i promu kosmicznego *Enterprise*.

Ann patrzyła przez chwilę, ale zaraz odwróciła wzrok.

– Wygląda jak stary zbiornik paliwa – powiedziała do Marty'ego.
– Bo nim jest – odparł. – Takich zbiorników używano w lotach wahadłowców do przewożenia paliwa dla satelitów. Został specjalnie dodatkowo izolowany, aby uchronić... – przerwał i głośno przełknął ślinę – załogę podczas powrotu do atmosfery. Ładownia może się wtedy rozgrzać aż do tysiąca stopni Fahrenheita.

Ann lekko dotknęła jego ramienia.

– Nie podoba mi się to wszystko – zachnęła się. – Rosjanie wciąż nam dyktują, co mamy robić, nawet kiedy i jak możemy zabrać ciała naszych kolegów. Do diabła! Szkoda, że Jason... to znaczy generał Saint-Michael nie leci z nami. Nie wiem czemu, ale aż do tej chwili miałam nadzieję, że jakoś potrafi to załatwić. – Podobnie, myślała, jak potrafił kochać się z nią po chorobie, która innych mężczyzn – przynajmniej większość – zatrzymałaby na wiele tygodni w szpitalu...

Grupy bojowe amerykańskiego i radzieckiego lotniskowca ciągle jeszcze dzieliło ponad dwa tysiące mil oceanu, ale nawet o jedną ósmą świata odległe od siebie, podjęły pierwsze, próbne działania w konflikcie, o którym obie strony wiedziały, że jest nieunikniony.

Grupa *Nimitza* wypłynęła na Morze Arabskie, aby okręty eskorty mogły się rozproszyć i manewrować z większą prędkością. Została wzmocniona trzema fregatami, dwoma krążownikami i dwoma uzbrojonymi, rezerwowymi statkami zaopatrzenia z Diego Garcia – bazy marynarki na małej wyspie na południe od Indii. Grupa utrzymywała wciąż ścisłą blokadę okrętów radzieckich, które próbowały dostać się do Zatoki Perskiej. Uniemożliwiało to osłabionemu *Breżniewowi* tankowanie w Iranie, a lotnicze dostawy paliwa i zaopatrzenia były niewystarczające, aby Rosjanie mogli działać z całkowitą skutecznością.

Amerykanie wysłali kilka eskadr bombowców B-52 z eskortą myśliwców F-15 z Diego Garcia z misją śledzenia i rozpoznawania systemu obronnego potężnej grupy lotniskowca *Archangielsk*, która właśnie przepłynęła na zachód od Sri Lanki i znajdowała się obecnie na Oceanie Indyjskim. Samoloty B-52, wybrane ze względu na swój daleki zasięg, były uzbrojone w dwadzieścia cztery pociski średniego zasięgu typu Harpoon, przeznaczone do zwalczania okrętów, co czyniło z nich poważną groźbę dla floty lotniskowca.

Archangielsk nie zamierzał jednak dopuścić bombowców B-52 w pobliże swej floty. Rosjanie nawiązywali pierwszy kontakt bojowy z B-52 już w odległości trzystu mil od lotniskowca, używając swoich myśliwców Su-27 Flanker startujących z pokładu nie kończącymi się, zdawałoby się, strumieniami. Wiedzieli, że na dużej wysokości odpalane z pokładu B-52 pociski Harpoon w ulepszonej wersji miały zasięg stu mil; przemnożyli więc tę cyfrę przez dwa i w tej odległości utworzyli szczelny kordon powietrzny. Myśliwce Su-27 były łagodne w odległości trzystu mil, natrętne z dystansu dwustu pięćdziesięciu mil, a agresywne w odstraszeniu bombowców B-52 i ich eskorty z dwustu dwudziestu mil. W odległości dwustu mil oddawały strzały ostrzegawcze i przekazywały bardzo zdecydowane ostrzeżenia ustne.

Myśliwce F-15 znajdowały się w niedogodnej sytuacji. Musiały zostawić swoje bezbronne samoloty-cysterny KC-135R i KC-10C daleko z tyłu, poza polem rażenia Su-27, toteż ich zasięg bojowy był drastycznie ograniczony. Bombowce B-52 mogły liczyć na ochronę myśliwców tylko w momencie przebijania się przez pierwszą falę Su-27 startujących z *Archangielska*. Przez ostatnie, najbardziej niebezpieczne sto mil były zdane tylko na siebie.

B-52 ustępowały dopiero po ostatnim ustnym ostrzeżeniu i zawracały w odległości dwustu mil. Ale mimo wszystko były zdolne wykonać swoje zasadnicze zadanie, które polegało na zbieraniu cennych informacji na temat zainstalowanych na okrętach radarów śledzących i ostrzegawczych, jak również danych radarowych ze ścigających je Su-27. Zebrane przez B-52 wiadomości potwierdzały poprzednie przypuszczenia, że zbliżenie się do radzieckiej floty jest prawie niemożliwe.

Grupa bojowa *Nimitza*, podobnie jak *Archangielska*, była narażona na ataki z powietrza. *Nimitz* znajdował się w odległości zaledwie tysiąca mil na południe od Taszkientu, siedziby dowództwa Południowego Okręgu Wojskowego, gdzie obecnie bazowały bombowce Tu-95 Bear. Bombowce te przenosiły pociski manewrujące AS-6 – w wersji przeznaczonej do zwalczania okrętów – które mogły być odpalane przeciwko *Nimitzowi* z głębi obszaru chronionego przez radzieckie wyrzutnie pocisków ziemia-powietrze w okupowanym Iranie. Rosjanie mieli także nową broń, AS-15, ponaddzwiękowe pociski manewrujące dalekiego zasięgu, uzbrojone w głowice nuklearne. Mogły one startować z odległych rejonów radzieckiego terytorium, a w wersji morskiej, mimo dużej odległości, z jednego z okrętów eskorty *Archangielska*. Poważne zagrożenie dla floty amerykańskiej stanowiły również bombowce naddźwiękowe, startujące z lotnisk w Związku Radzieckim.

Innego rodzaju manewry strategiczne odbywały się w głębinach morskich. Niewielka flotylla amerykańskich szturmowych okrętów podwodnych przesunęła się na Ocean Indyjski i powoli zbliżała się do przeciwnika. Ale podczas gdy działania latających na dużych wysokościach bombowców B-52 obejmowały ogromne połacie przestrzeni powietrznej, ten „taniec” podwodny odbywał się na niewielkim obszarze. Jego przesuwanie się można było mierzyć w pojedynczych milach, a nawet w jardach. Czasami trwało kilka dni, zanim okręt klasy Los Angeles mógł posunąć się o milę do przodu w kierunku radzieckiej eskorty, aby potem w ciągu minuty być zmuszonym do natychmiastowej ucieczki z powodu wykrycia go przez echosondę jakiegoś przypadkowo przelatującego w pobliżu helikoptera, którego pilotowi dopisało szczęście. Wtedy trzeba było zaczynać wszystko od początku. W tę pełną napięcia gonitwę były zaangażowane cztery okręty podwodne, które jednak stopniowo zbliżały się do swego ogromnego celu.

Nimitz miał nieco więcej szczęścia: cztery radzieckie okręty podwodne z Władywostoku trzymały się razem z grupą bojową lotniskowca *Archangielsk*

na pozycjach obronnych, przeszukując morze w jej pobliżu. Również z Hawany i z Morza Śródziemnego płynęły w kierunku Zatoki Perskiej radzieckie okręty podwodne, ale te można było śledzić, kiedy przechodziły przez Kanał Sueski, Cieśninę Gibraltarską lub też wokół przylądka Horn. Gdyby wybuchły działania wojenne, mogły zostać przechwycone, zanim dotarłyby do grupy bojowej *Nimitza*. Jaki byłby tego efekt, pozostawało zagadką.

Linia frontu została już nakreślona. Mimo iż walczące strony ciągle jeszcze dzieliła odległość setek mil, główni uczestnicy batalii o Zatokę Perską zostali już wybrani. Konfrontacja miała nastąpić niebawem.

Nie było radosnego śniadania przed startem, z udziałem członków rodzin i polityków, nie było też konferencji prasowej, gratulacji ani słów zachęty. Załoga *Ameryki* zjadła tradycyjne śniadanie – stek z jajkami, ale było ono podane w ścisłym gronie, w jadalni budynku Kontroli Startów HTS. Ciche i zwięzłe rozmowy ograniczały się do samego lotu lub startu.

Po posiłku czworo członków załogi przeszło do specjalnego pomieszczenia – szatni. Na kombinezony kosmiczne, które mieli już na sobie, włożyli dodatkowo antyprzeciążeniowe. Miały one chronić ich przed potężnymi siłami występującymi w czasie pierwszych dziesięciu minut lotu, dochodzącymi do pięciu, a nawet sześciu „g”. Pobrali też maski tlenowe dostarczające tlen pod ciśnieniem, ponieważ w warunkach wysokich przeciążeń oddychanie mogło być utrudnione.

Po ostatecznych badaniach lekarskich i włożeniu kombinezonów załoga przeszła na platformę na grzbiecie samolotu kosmicznego. Ukryta w hangarze przygotowawczym, *Ameryka* stała na wielkich saniach raketowych wyposażonych w dwa silniki raketowe na paliwo wodorowo-tlenowe. Załoga wjechała długimi schodami ruchomymi na szczyt platformy, przeszła po trapie do górnego wjazdu i zjechała po ruchomej drabince do służby powietrznej znajdującej się na pokładzie załogi.

Pomimo znacznych rozmiarów samolotu, pokład załogi nie był wcale większy niż na wahadłowcach. Przeszli przez obszerną komorę służby. Kuchnia, miejsca na odpadki i schowki magazynowe były po lewej stronie. Prawa strona pokładu mieściła liczne szafki na skafandry kosmiczne i sprzęt do prac w otwartej przestrzeni.

Przed służą znajdowały się dwa fotele umocowane na stałe. Z boku każdego z nich znajdowało się wolne miejsce na fotele zapasowe. Stałe fotele HTS były amortyzowane hydraulicznie i miały bardzo grube poduszki, dzięki którym łatwiej znosiło się potężne przeciążenia.

Przed fotelami umocowano pulpity pomocnicze i tablice wyłączników; dalej z przodu mieściła się kabina pilotów. Cały pokład załogi z przodu śluzę stanowił wielką kapsułę zapewniającą warunki bytowania. W razie zagrożenia mogła się oddzielić i katapultować z samolotu, oddalić się od niego własnym napędem raketowym i opaść na Ziemię na spadochronie w kształcie litery delta o rozpiętości dwustu stóp.

Przygotowania przedstartowe pod kontrolą głównego komputera zwanego „Mimic” były już mocno zaawansowane, kiedy załoga weszła na pokład, toteż Ann i jej towarzysze lotu niewiele mieli do roboty. Przypięli się do foteli i na monitorach kontrolnych obserwowali przebieg przygotowań. Na przedniej tablicy przyrządów można było obserwować kolejne fazy procedury przedstartowej. Jako symboliczny gest wobec ludzi komputer robił pauzę po ukończeniu każdej fazy i pytał, czy ma kontynuować. Odpowiedź zawsze brzmiała „tak”. Komputer i tak by pracował dalej, gdyby nie otrzymał odpowiedzi w ciągu pięciu sekund. Po zaledwie trzydziestu minutach dalszych prób, komend i odpowiedzi *Ameryka* była gotowa do startu.

– Kontrola Falcon, tu *Ameryka* – przekazał przez radio pułkownik Hampton. – „Mimic” melduje zakończenie testów przedstartowych. Proszę o potwierdzenie.

– *Ameryka*, potwierdzamy. Testy zakończone. Informujemy was również o zakończeniu pompowania paliwa do zbiorników sań startowych.

– Zrozumiałem. Czekamy na ostateczne zezwolenie.

– Zaczekajcie, *Ameryka*.

Ostatnia rozmowa przez radio zaskoczyła Ann: było dziwnie dużo ingerencji ludzi jak na typową procedurę startową naddźwiękowego samolotu kosmicznego. Zazwyczaj wszystko odbywało się wyłącznie za pomocą sprzężonych ze sobą komputerów; człowiek nie brał w tym udziału.

Ann, włączwszy swój interkom, zwróciła się do Marty'ego.

– Czy coś jest nie w porządku? Nie przypominam sobie tego kroku ze szkolenia na symulatorach.

Marty zawahał się, zanim odpowiedział:

– Ten lot obserwują różne „grube ryby” i na pewno ktoś wcisnął gdzieś przycisk pauzy, żeby się mogli połapać w tym wszystkim. „Mimic” działa znacznie szybciej.

Po około pięciu minutach odezwało się radio.

– *Ameryka*, tu Kontrola Startu Falcon. Przerywamy procedurę zapłonu.

Start wstrzymany. Start wstrzymany.

Ann błyskawicznie odpięła pasy, rurki tlenowe, przewody od kostiumu przeciwprzeciążeniowego i przewody łącznościowe. Marty poszedł w jej ślady i natychmiast zerwał się na nogi.

– Ann, pamiętaj, złap się mocno za pas bezpieczeństwa na wieży ratowniczej – doradził. – Bardzo mocno cię szarpnie...

Usłyszeli odgłos odkręcania górnego włazu.

– Tam ktoś jest – powiedział Marty z niedowierzaniem. – Co to znaczy? Dopiero co ogłosili przerwanie startu... – Oboje podbiegli do włazu, aby zobaczyć, co się dzieje.

Duże, wyprofilowane drzwi śluzy otworzyły się i pojawiła się w nich jakaś wysoka postać. Nie mogli uwierzyć własnym oczom – to był Jason Saint-Michael!

– Nie ma teraz czasu na wyjaśnienia – powiedział z kamienną twarzą i szybko przeszedł obok nich w kierunku kabiny pilotów.

Przez dłuższą chwilę Ann wpatrywała się w oparcia foteli. Kiedy odwróciła się, zobaczyła dwóch techników wchodzących przez otwarty wąż. Przeszła do kokpitu. Horvath prześlizgnął się obok niej, a Hampton zaczął przypinać się do prawego fotela.

– Jason... a więc jednak jesteś... i lecisz z nami...?

– Na to wygląda.

– Ale mówiłeś mi, że twój plan nie został zaaprobowany...

– Po prostu odrobinę mocniej na nich nacisnąłem. Resztę opowiem później – powiedział przypinając się do lewego fotela dowódcy. – Przygotujcie się do odlotu. Nie możemy zwlekać zbyt długo, bo stracimy optymalne warunki startu. Mamy tylko dziewięćdziesiąt minut na wyciągnięcie z ładowni tej cholernej trumny i załadunek zbiornika z paliwem. Tym razem pełnego zbiornika.

Ann stłumiła cisnące się na usta pytania i wróciła na swoje miejsce. Schultz i Horvath pomagali technikom montować zapasowy fotel. Horvath zajął miejsce obok Ann, a Marty zaczął przypinać się do wyglądającego mało solidnie fotela z rurek, który właśnie zamontowali.

– Marty, i ty masz zamiar na tym lecieć?! – zawołała Ann.

– Co się tak dziwisz? – Na twarz Marty'ego wrócił dawny zawadiacki uśmiech. – Tylko nowicjusze potrzebują foteli przeciwprzeciążeniowych.

– A co z misją sprowadzenia ciał...?

– Wydaje się, że jest to teraz zupełnie inna misja – powiedział Marty. –

Na pewno jednak ją skrócą. To cholernie niebezpieczna sprawa przerywać odliczanie przedstartowe po napompowaniu zbiorników silników raketowych do pełnego ciśnienia. Jeszcze parę minut, i byłoby za późno. Na następny start musielibyśmy czekać cały tydzień. – Wskazał kciukiem do tyłu. – O ile znam generała Saint-Michaela, to zorganizował najszybszy przeładunek w historii. Jeden z tych zbiorników może pomieścić pięć tysięcy funtów płynnego tlenu i dziesięć tysięcy funtów płynnego wodoru, a to w zupełności wystarczy do uruchomienia *Silver Tower*. A silniki raketowe PAM? Świetnie się nadają do stacji *Armstrong*.

– A więc jednak... uruchamiamy stację *Armstrong*...

TIURATAM, ZSRR

Późnym popołudniem marszałek Aleksander Goworow odbywał inspekcję „Płonącej Gwiazdy”, radzieckiego Ośrodka Lotów Kosmicznych, znajdującego się w południowej części centralnej Rosji. Pozbył się swojej eskorty wojskowej, ale jego uzbrojony kierowca jechał za nim służbowym samochodem parę metrów z tyłu. W zapadającym zmroku spacerował wokół wyrzutni Elektronów i cieszył się, że jest sam. Teraz, dzięki dekretowi Sztabu Generalnego, było to wyłącznie jego królestwo. Przyglądał się pracy obsługi technicznej na stanowiskach startowych.

Marzenie generała ziściło się. Oświetlone reflektorami umieszczonymi na wysokich wieżach, trzy rakiety Kriepkij SL-16, stały gotowe do startu otoczone suwnicami serwisowymi i przewodami doprowadzającymi paliwo. Na grzbiecie każdej z nich znajdował się samolot kosmiczny Elektron mieniący się srebrem i czerwienią, barwami Dowództwa Obrony Kosmicznej.

Każdy z kosmolotów uzbrojony był w dziesięć superszybkich pocisków raketowych Scimitar, teraz po raz pierwszy produkowanych seryjnie przez fabrykę uzbrojenia niekonwencjonalnego Malitanskaja-Krowja w Leningradzie. W boju udowodniły one swoją skuteczność. W Ośrodku Obrony Kosmicznej, na całodobowych dyżurach, w pogotowiu bojowym czekało trzech najlepszych radzieckich kosmonautów, osobiście przez niego wybranych i wy trenowanych.

Nowo sformowana jednostka bojowa, pierwsza tego rodzaju, była przedmiotem zainteresowania całej Armii Radzieckiej. Być może jej dotychczasowe sukcesy sprawiły, że wkładano tyle wysiłku w dokonanie ulepszeń i udoskonaleń. Na przykład zaproponowano pewne zmiany na prostej, ale skutecznej konstrukcji

superszybkich pocisków raketowych. Niewątpliwie spowodują one pewne komplikacje, co będzie wymagało większej interwencji ze strony kosmonautów przed odpaleniem, ale to, zdaniem Goworowa, było rozsądną ceną, jaką należało zapłacić.

Jedną ze zmian, jakie już wprowadzono, było dodanie głowicy wybuchowej, bo pewien inżynier średniego szczebla stwierdził, że piętnaście trafień w stację *Armstrong* nie wyrządziło spustoszeń, jakich wszyscy się spodziewali. Lot z nowymi wybuchowymi głowicami w ładowni stwarzał większe zagrożenie. Ale tak to już jest: im lepsze uzbrojenie, tym bardziej niebezpieczne.

Goworow wiedział, że ci gorliwi wynalazcy robili dzięki temu kariery cudzym kosztem. Wystrzegał się takich ludzi, ale też nie starał się trzymać zbyt kurczowo swoich cennych pocisków Bavinash. Postęp, tak czy inaczej, był nieunikniony.

Co ważniejsze, ryzyko, które podjął, opłaciło się. Nawet w radzieckiej hierarchii wojskowej ludzie, którzy umieli bronić swych poglądów, mogli odnieść sukces. Wspólną cechą zajmujących wysokie stanowiska był zazwyczaj brak jakiegokolwiek zaangażowania i najlepszy tego dowód stanowili członkowie Kolegium.

Ale przywódcy mogli równie łatwo wynieść kogoś na wyżyny jak i strącić z nich, w zależności od tego, gdzie widzieli własną korzyść. Goworow, niegdyś dowódca małej jednostki technicznej w Tiuratach, został teraz komendantem połowy bazy. Zarządzał ponad dwoma tysiącami kilometrów kwadratowych i kilkunastoma stanowiskami startowymi, łącznie z zapleczem technicznym. Podlegało mu dwa tysiące ludzi i mógł zażądać tyle sprzętu, ile tylko potrzebował. Nawet z najbardziej odległych zakątków Związku Radzieckiego, byle tylko doprowadził swoją misję do końca. Na własną odpowiedzialność mógł wysłać w kosmos pół miliarda kilogramów różnych urządzeń i ogromną liczbę specjalistów. Mógł zrobić wszystko, z wyjątkiem zaatakowania obcego statku kosmicznego – do tego bowiem potrzebna była zgoda, ale tylko jednego człowieka, I sekretarza.

Był to szczebel odpowiedzialności bez precedensu w ZSRR – i z niewielu wyjątkami gdziekolwiek indziej. Podobne uprawnienia posiadali dowódcy amerykańskich okrętów podwodnych. W szczególnych okolicznościach, na przykład podczas wojny, mogli samodzielnie podejmować decyzje tej rangi. Dowódca jednostek amerykańskich bombowców strategicznych mógł dać rozkaz startu na własną odpowiedzialność, w razie ataku lub klęski żywiołowej, by zwiększyć

szanse przetrwania. Dowódcy trzech izraelskich eskadr myśliwców bombardujących mogli uruchomić swoje uzbrojenie nuklearne i podjąć atak w razie prowokacji lub możliwości uderzenia wyprzedzającego. Ale nikt z nich nie miał władzy nad przestrzenią kosmiczną. Marszałek Związku Radzieckiego, Aleksander Goworow taką władzę posiadał. Idąc głównym pasem w kierunku Centrum Kontroli Lotów, Goworow rozmyślał nad wynikającymi z tego implikacjami. W kilka minut po jego wejściu podszedł do niego pułkownik Gulajew.

– Towarzyszu marszałku – zameldował – otrzymaliśmy sygnał od naszych satelitów zwiadowczych o wykryciu startu. Samolot kosmiczny *Ameryka* wystartował z południowej Kalifornii...

Goworow spojrzął na chronometr nad konsolami centrum dowodzenia.

– Start był opóźniony o dziewięćdziesiąt minut. Czy jest potwierdzenie z innych źródeł?

Gulajew rzucił okiem na swój zegarek.

– Tak jest. Meldowali o tym nasi agenci w pobliżu bazy lotniczej Edwards, a serwisy informacyjne wielu krajów pełne były szczegółowych opisów. – Przerwał na chwilę. – Czy to oznacza, że są jakieś problemy, towarzyszu marszałku?

Dotychczasowy nastrój Goworowa zmienił się.

– Czy sądzicie, że to opóźnienie może coś znaczyć?

Gulajew wzruszył ramionami.

– Jeżeli tak ważny, tak nagłośniony amerykański lot kosmiczny opóźnia się o dziewięćdziesiąt minut... W tym może coś być.

Goworow podszedł szybko do monitora komputerowego na prawym skraju głównej konsoli dowodzenia, odsunął operatora i zaczął przeglądać odczyty.

– Te dane namiarowe pochodzą sprzed kilku godzin – stwierdził. Gulajew podszedł do niego i zobaczył, że jego zwierzchnik sprawdza informacje dotyczące orbity *Armstronga*.

– Możemy je zaktualizować w ciągu trzech godzin – powiedział Gulajew, ponownie sprawdzając chronometr. – Ale orbita stacji jest nieregularna i jej wysokość gwałtownie się obniża. Coraz trudniej ją śledzić.

Goworow zaczął dokładniej przyglądać się danym. Stacja *Armstrong* jakimś cudem wciąż trzymała się w całości, sądząc po sile sygnału śledzących ją radarów. Wskazywałoby to na konieczność ponownego zdefiniowania górnej granicy atmosfery. Sto trzydzieści kilometrów było zazwyczaj wysokością, na której ciepło powstałe wskutek tarcia w zetknięciu z atmosferą powodowało uszkodzenia pojazdów kosmicznych, ale uznawano, że górna warstwa

atmosfery nie była równa, lecz raczej poszarpana jak Himalaje. W niektórych miejscach sięgała zaledwie osiemdziesięciu kilometrów, w innych prawdopodobnie stu pięćdziesięciu. Atmosfera Ziemi, którą Goworow niejednokrotnie obserwował z kosmosu, przypominała kipiący kocioł. Chmury ujawniały tylko małą cząstkę rzeczywistych turbulencji. Amerykańska stacja kosmiczna powinna była zetknąć się z wystarczającą ilością „szczytów” atmosfery, aby doznać poważnych uszkodzeń. Ale najwyraźniej dotychczas tak się nie stało.

Goworow zaczął odczuwać jakiś nieokreślony niepokój. Przypomniały mu się jego własne słowa wypowiedziane do pułkownika Wołoszyna, że stacja *Armstrong* wciąż stanowi zagrożenie, dopóki pozostaje na orbicie. Przez ostatnie parę tygodni pozwolił sobie na luksus myślenia, że została zniszczona, że zadał jej śmiertelny cios. Mimo to nadal pozostawała w kosmosie. Ale czy wciąż jeszcze stwarzała zagrożenie? Rozsądek podpowiadał, że nie. Najpóźniej za kilka godzin ponownie wejdzie w atmosferę. Załoga kosmolotu *Ameryka* ma niewiele czasu na zabranie ciał, nie mówiąc już o przeniesieniu stacji na wyższą orbitę. Ich opóźniony start stanowił jakby wyrok śmierci dla *Silver Tower*. Nie było wątpliwości, że wypełnił swoją misję... Po prostu trzeba jeszcze trochę cierpliwie poczekać...

Odetchnął głęboko i zwrócił się do Gulajewa:

– Dopilnuj, aby starannie śledzono trasę *Ameryki*. Będę w swojej kwaterze.

Jeszcze tylko parę godzin, pomyślał Goworow opuszczając centrum dowodzenia. Jeszcze tylko parę godzin...

NADDŹWIĘKOWY SAMOŁOT KOSMICZNY *AMERYKA*

Jeszcze długo po wejściu na orbitę Ann nie mogła ochłonąć z wrażenia, jakie wywarł na niej start. Marty Schultz musiał nią prawie potrząsnąć, aby zwrócić jej uwagę na siebie.

– Jesteśmy na orbicie – oznajmił. – Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem, ale od paru minut w ogóle się nie poruszyłaś.

– Czuję się wyczerpana, jakbym właśnie ukończyła bieg maratoński.

– Rozumiem, co czujesz, ten start różnił się od typowego startu wahałdłowca.

To było za mało powiedziane, pomyślała Ann. W przeciwieństwie do promów kosmicznych, które wspinają się na orbitę stopniowo, samolot kosmiczny *Ameryka* wystrzelił jak z procy. Od momentu zapłonu silników sań raketowych,

które rozpędzały go wzdłuż długiego toru startowego na pustynnej wyżynie południowej Kalifornii, czuła, jak miażdżące siły przeciążenia wgniatają jej ciało w fotel. *Ameryka* została rozpędzona od zera do dwustu mil na godzinę, w czasie poniżej piętnastu sekund. Wprost trudno było uwierzyć, że maszynie o masie siedmuset tysięcy funtów można było nadać takie przyspieszenie.

Miała nadzieję, że przeciążenie zmniejszy się po oderwaniu od sań rakietowych, ale tak się nie stało. W chwili zapłonu głównego silnika strumieniowego siły przeciążenia wzrosły jeszcze bardziej. Trzystupięćdziesięciotonowy samolot poderwał się jak żywa istota, ruszając tak gwałtownie, że hydrauliczne amortyzatory fotela Ann ledwo zdołały zaabsorbować ten wstrząs. W mgnieniu oka pojazd przyspieszył o sto mil na godzinę. Kombinezon antypreciążeniowy natychmiast wypełnił się powietrzem i to uchroniło ją przed omdleniem. Gdyby jej maska tlenowa nie wpompowała do płuc tlenu pod ciśnieniem, udusiłaby się. Mimo to Ann poczuła na piersiach ogromny ciężar i oddychała z wielkim trudem. Kiedy włączyły się dwa następne silniki, kombinezon osiągnął granice swoich możliwości kompensacyjnych. Ciało walczyło z wciąż rosnącym, miażdżącym naciskiem. Pamiętała, co musi zrobić: aby krew została wtłoczona do górnej części ciała i do głowy, należało częściowo zamknąć tchawicę, a potem chrząkać, aby wyrównać ciśnienie. Spojrzała w bok i zobaczyła, że Horvath robi to samo.

Do czasu, kiedy wszystkie trzy silniki zaczęły pracować, *Ameryka*, poruszając się z prędkością ponad trzysta mil na godzinę, przebyła trzy spośród pięciu mil toru startowego. Wówczas zostały zwolnione zaciski mocujące. Samolot oderwał się od sań i wystrzelił w niebo. Gdyby wszystkie trzy silniki nie zastarowały, na ostatniej mili toru, automatycznie włączyłyby się potężne dysze parowe i ograniczyłyby prędkość samolotu do dwustu mil na godzinę. Wtedy liny hamujące i hamulce hydrauliczne mogłyby dokończyć dzieła.

Ale ponieważ nic takiego się nie stało, dwadzieścia sekund po oderwaniu się od sań startowych *Ameryka* przekroczyła barierę dźwięku. Została poderwana w górę pod kątem czterdziestu pięciu stopni i z przyspieszeniem sześciu „g” zaczęła się wznosić z szybkością pięćdziesięciu tysięcy stóp na minutę. Pojazd osiągnął prędkość naddźwiękową, przekraczając wartość pięciu machów w pięćdziesiąt sekund po wejściu na wysokość czterdziestu tysięcy stóp, a rozdierający uszy grzmot przetoczył się przez góry Sierra Nevada. Pięć minut później, kiedy *Ameryka* osiągnęła granicę Kanady, miała już prędkość piętnastu machów i wciąż wspinała się wyżej, na szczycie długiej na milę kolumny

płonącego wodoru. Jej skrzydła zostały wówczas schowane, ponieważ na wysokości dwustu tysięcy stóp nie było już dość powietrza, by powstawała siła nośna.

W miarę nabierania wysokości wloty silników automatycznie przymykały się i po pięciu minutach lotu pojazd przekształcił się w raketę napędzaną paliwem płynnym. Od tego momentu prędkość zaczęła jeszcze bardziej wzrastać. W końcu, w dziesiątej minucie wznoszenia się, miazdzące siły przeciążenia zaczęły słabnąć, a *Ameryka* osiągnęła prędkość orbitalną.

Teraz kolejno zaczęły się włączać zespoły silników manewrowych, których zadaniem było dostosowanie orbity *Ameryki* do orbity uszkodzonej stacji kosmicznej. Wejście na poziom *Silver Tower* nie trwało już długo: w najniższej części stacja znajdowała się na wysokości zaledwie pięciuset tysięcy stóp, czyli osiemdziesięciu trzech mil. Był to pułap dostatecznie niski, aby stacja mogła być wyraźnie widoczna dla obserwatorów na Ziemi. Ponieważ *Armstrong* już wiele tygodni wcześniej przestał wysyłać sygnały, *Saint-Michael* i *Hampton* namierzali się na niego kierując się wskazówkami naziemnych stacji radiolokacyjnych.

– Autopilot cyfrowy dostrojony do sygnałów naprowadzających w paśmie KU – zameldował *Hampton*. – „Mimic” ocenia czas do spotkania na trzydzieści minut.

Saint-Michael studiował odczyty dotyczące profilu lotu i wskazania parametrów środowiska stacji.

– Osiemdziesiąt mil – wymamrotał. – Jesteśmy ledwo nad graniczną wysokością wejścia. – Oznaczało to wysokość, na której pojazd kosmiczny zaczyna wchodzić w atmosferę ziemską i zmniejsza prędkość wskutek tarcia. – Sprawdzić chłodnicę i obieg płynu. Temperatura się podniosła.

– Chłodzenie na maksimum – powiedział *Hampton*, patrząc na ekran. – Możemy spróbować przymknąć częściowo chłodnicę, aby zmniejszyć tarcie. Albo przełączyć na system obiegu alarmowego, wtedy temperatura zejdzie do normy.

– Ale przecież mamy pełne zbiorniki – zauważył *Saint-Michael*. – Jesteśmy zbyt blisko atmosfery na takie manewry. Możemy być zmuszeni do wyrzucenia paliwa, jeśli temperatura w chłodnicy osiągnie niebezpieczny poziom. Nie ma sensu dłużej się narażać.

– Czy można w jakiś sposób zasilić stację lub zmienić jej położenie bez tankowania?

– Nie wiem. Nie pamiętam, do jakiego stopnia zostały zniszczone jej baterie słoneczne.

Podobnie jak Ann, Horvath i Schultz, Saint-Michael miał na twarzy maskę tlenową. Oddychał czystym tlenem, aby być gotowym do przejścia na stację. W pewnej chwili zaczął masować sobie skronie.

– Dobrze się pan czuje, generale? – zaniepokoił się Hampton.

Saint-Michael szybko opuścił ręce.

– Przepraszam, to tylko taki nawyk. Zawsze to robię, kiedy próbuję się skupić. Ten radziecki atak odciął zasilanie w module dowodzenia, ale myślę, że SBR i Skybolt ciągle pracowały, kiedy znalazłem Ann nieprzytomną w module sterowania Skybolta. To może oznaczać, że stacja wciąż funkcjonuje, przynajmniej częściowo.

– Ale kontrola w Falcon już dawno przestała odbierać sygnały identyfikacyjne stacji i sygnał namiarowy TDRS. Doszli do wniosku, że zasilanie nie działa.

– Bo pewnie tak jest. – Saint-Michael wcisnął guzik na swoim pulpicie łączności. – Uwaga, załoga, będziemy mieli mało czasu i musimy przyjąć, że stacja jest kompletnie martwa. Naszym pierwszoplanowym zadaniem będzie wyniesienie stacji na bezpieczną wysokość. Potem spróbujemy przywrócić zasilanie elektryczne, ustawić ją w odpowiedniej pozycji, wznowić obserwację radarową Oceanu Indyjskiego i grupy bojowej lotnikowca *Nimitz* na Morzu Arabskim. Wtedy zaczniemy wykonywać podstawowe naprawy. W tym czasie będziemy musieli prawdopodobnie odeprzeć kolejny atak... Ann, ty będziesz odpowiedzialna za przytwierdzenie silników rakietowych PAM na kratownicy. Wiem, że Marty wyjaśnił ci, gdzie i jak je umocować. Czy są jakieś pytania?

– Nie – odpowiedziała Ann, wciąż nie mogąc uwierzyć, że mają ponownie uruchomić stację po tym, co się wydarzyło. – To będzie o wiele prostsze niż odłączenie Skybolta.

– Dobrze. Marty, ty będziesz odpowiedzialny za zatankowanie zbiorników, żebyśmy znów mieli dopływ prądu. Platforma przeładunkowa jest, zdaje się, uszkodzona, musisz więc poradzić sobie w inny sposób. Przecholujesz zbiornik paliwa z drugiej strony, za pomocą plecaka manewrowego. Użyj zdalnego systemu przesyłania paliwa. Poradzisz sobie?

– Pompowałem benzynę w Ohio, kiedy miałem dziewięć lat.

– Poza tym uważaj na Ann, może trzeba będzie jej pomóc.

– Jasne.

– Ken, ty przejdziesz ze mną do stacji – zwrócił się do Horvatha. –

Wyłączniki i regulatory elektryczne oraz systemu kontroli środowiska stacji są łatwiejsze do obsługi niż na wahadłowcu, dlatego nie powinieneś mieć problemów z ich obsługą. Spróbujemy naprawić baterię słoneczną oraz ogniwa paliwowe. Jeśli zdołasz odnaleźć i usunąć uszkodzenia w module dowodzenia, to ułatwi nam zadanie. W przeciwnym wypadku spróbujemy uruchomić tylko system kontroli położenia i utrzymania warunków życia... Jon, ty zajmiesz się *Ameryką* i spróbujesz pomagać każdemu, kto będzie tego potrzebował. Najważniejsze to zainstalować silniki PAM. Potem tankowanie i naprawy. Informuj nas na bieżąco o kontaktach z kontrolą w Falcon do czasu uruchomienia łączności na *Silver Tower*.

– W porządku.

Trzydzieści minut później znaleźli się w odległości kilkuset jardów od *Silver Tower*.

Jej widok z tej odległości ostudził ich entuzjazm na długą chwilę... Uszkodzenia były poważniejsze, niż sobie wyobrażali.

Prędkość wirowania stacji zmniejszyła się, ale obracała się ona względem przynajmniej trzech lub czterech różnych osi jednocześnie, jak jakiś niezemski, wielonogi potwór z wyciągniętymi mackami, które chciały schwytać pojazd kosmiczny i pożreć go. Jonizacja, powstająca na skutek częstego kontaktu ze strzępami górnych warstw atmosfery ziemskiej, tworzyła wielobarwną, ulotną poświatę. Niektóre części centralnej kratownicy świeciły jak rozżarzone węgle, a chmury szczytków, zamrożonej wody, gazów i paliwa unosiły się wszędzie wokół. Brakowało kilku dużych płyt z układów antenowych SBR oraz kolektorów energii słonecznej, a część pozostałych była uszkodzona.

Hampton spojrzał niespokojnie na Saint-Michaela.

– Sądysz, że możemy podejść do stacji mimo tego, co się tu dzieje? To dość niebezpieczne.

– Masz rację. Ale musimy to zrobić.

– Chwileczkę, sir. – Hampton spojrzał jeszcze raz na Saint-Michaela. – Nie wiadomo, co z tego wszystkiego wyniknie. Musimy wejść w sam środek tych wszystkich śmieci i jonizacji cieplnej. A potem będziemy próbowali dostosować się do ruchów stacji... Jeden błąd, i jesteśmy załatwieni.

– Znałeś ryzyko, Jon. Wszyscy wiedzieliśmy, co może nas czekać...

Hampton zastanowił się chwilę. W końcu wrzucił ramionami i powiedział:

– Okay, generale, pan tu rządzi. A więc włazimy w to gniazdo os.

Saint-Michael skinął głową i położył dłoń na drążku sterowania ręcznego.

– No to jazda...

Włączył silniki dokładnie na dwie i jedną dziesiątą sekundy. Nagle straszliwy łoskot wstrząsnął pojazdem. Saint-Michael rzucił szybkie spojrzenie w kierunku Hamptona. Obaj patrzyli na monitory komputerów, szukając informacji o uszkodzeniach.

– Niczego sobie te osy – powiedział Hampton. Saint-Michael nie zareagował. Objął mocniej drążek sterowniczy i popchnął pojazd w kłębiącą się przed nimi masę.

W kabinie *Ameryki* były tylko dwa okna, jedno przy dowódcy, drugie przy stanowisku pilota, reszta załogi nie widziała więc, co się dzieje na zewnątrz. Nie wiedzieli, co jest powodem następujących co chwila eksplozji i błysków ognia, które w każdej chwili mogły zniszczyć ich pojazd.

Temperatura w ładowni wzrosła do niebezpiecznego poziomu, kiedy zbliżyli się do uszkodzonej stacji o dalsze dwieście jardów.

– Temperatura w ładowni niebezpiecznie wysoka – zameldował Hampton.

Saint-Michael zareagował natychmiast. Zmienił zaprogramowane polecenie katapultowania zbiornika z paliwem i wybrał „awaryjne przetoczenie czynnika chłodzącego”. W ten sposób otworzył przewód wlotowy systemu chłodzenia silników strumieniowych, co spowodowało przepływ ciekłego wodoru ze zbiorników paliwa do chłodnic. Była to ryzykowna decyzja. Przy najmniejszej nieszczelności chłodnic ulatniający się wodór mógł zapalić się od przegrzanych, zjonizowanych cząstek napływających od stacji. Ale eksplozja nie nastąpiła. Temperatura spadła poniżej strefy zagrożenia.

Palce Saint-Michaela tańczyły na przyciskach sterowniczych drążka, zmieniając co chwila ruch postępowy po linii prostej na rotację. Ponieważ jednak ruch rotacyjny był bardziej efektywny, *Ameryka* szła w kierunku stanowiska cumowniczego stacji jak potężny korkociąg. Byli zmuszeni odepchnąć mniejsze fragmenty szczątków, aby uniknąć uderzenia przez większe. Odpadające od stacji elementy nie zawsze „spadały” lub znikwały, ale wirowały wokół na własnych, niebezpiecznych orbitach.

Po blisko trzydziestu minutach takich manewrów *Ameryka* unosiła się zaledwie o dziesięć stóp od stanowiska cumowania, utrzymywana w tym położeniu przez skomplikowany, komputerowy system sterujący. Ale te dziesięć stóp to ciągle było o dziesięć stóp za dużo.

– Nie możemy podejść już bliżej, generale – stwierdził pułkownik Hampton. – Nasza koordynacja ze stacją jest już tak precyzyjna, jak tylko pozwala ten system.

Nagle odezwał się Horvath:

- Pójdę do modułu cumowniczego i...
- Nie. To ja pójdę – zdecydował Saint-Michael.
- Odradzałbym to, generale – powiedział Hampton. – Pański dysbaryzm...

– I tak musiałbym to zrobić wcześniej czy później, Jon, a jestem najlepiej przygotowany do sprawdzenia stanu stacji. Oddychałem czystym tlenem przez cały lot, więc nic mi się nie powinno przydarzyć. Ty zajmiesz się statkiem. – Saint-Michael odczekał, aż Hampton ustawi swoje stery ręczne i usadowi się, potem odpiął pasy i poszybował do tyłu, w kierunku śluzy.

Ann wyciągnęła rękę i zatrzymała go.

- Jeśli poczujesz... jeśli będziesz miał jakieś kłopoty, wracaj.

Skinął głową i przesunął się obok niej.

Założenie skafandra kosmicznego i ekwipunku zajęło mu pięć minut. Ann, gotowa do przebrania się, po jego wyjściu ze śluzy obserwowała go przez okienko w drzwiach komory. Saint-Michael przestawił przełącznik z napisem „Dekompresja” z pozycji pięć na zero, ale natychmiast przesunął go z powrotem na piątkę.

- Jason?

Wyciągnął rękę w jej stronę, ale potrząsał głową, być może po to, by odzyskać ostrość widzenia.

- Podnieś ciśnienie! – zawołała do niego.

– Nic mi nie jest. – Saint-Michael powoli wyprostował się, machając głową, jak gdyby wstawał po upadku. – Już mi przeszło... – Ponownie sięgnął do przełącznika dekompresyjnego.

- Nie – powiedział szybko Marty. – Niech pan tego nie robi, generale...

– Nic mi nie jest. – Odczekał chwilę, potem ponownie przestawił przełącznik na zero. Po kilku minutach dał znak uniesionym kciukiem, że wszystko w porządku, i otworzył górny właz śluzy. Jak tylko wyszedł, Ann ponownie rozpoczęła napełnianie śluzy powietrzem.

– Muszę was zmartwić – usłyszeli po chwili jego głos przez radio. – Tunel dokujący jest bezużyteczny. Cały ten moduł może lada chwila oderwać się od stacji. Wszyscy będziecie musieli przespacerować się tutaj.

Saint-Michael przyjrzał się kosmolotowi. Widok *Ameryki* na tle całego tego chaosu był niesamowity... Czarno-szara sylwetka samolotu unoszącego się w pobliżu jakby umacniała wiarę w możliwości uszkodzonej stacji. Na dziobie i ogonie widział drobne obłoczki gazu wydobywające się z silników manewrowych utrzymujących pojazd w stałej pozycji względem stacji.

Wszystko wyglądało w miarę normalnie, kiedy koncentrował wzrok na stacji i kosmolocie, ale gdy tylko próbował spojrzeć w kierunku Ziemi, zaczynała się zwariowana karuzela.

Ameryka była tak perfekcyjnie zsynchronizowana ze stacją, iż wydawało się, że żadna z nich nie porusza się wcale. Natomiast wirowała Ziemia, wykonując wokół nich jeden pełny obrót na minutę. Przez pierwszych kilka chwil było to szalenie deprymujące. Oczy mówiły mu, że stoi nieruchomo, podczas gdy całe ciało obracało się i krążyło względem Ziemi. Było to jak jazda z zamkniętymi oczami szaloną kolejką górską.

– Bądź ostrożna w chwili wychodzenia na zewnątrz – powiedział do Ann – mamy tu zwariowaną karuzelę. Nie zauważyłem żadnych poważnych uszkodzeń. *Ameryka* jest chyba w porządku. Ann, za chwilę zaczynam wyładunek silników raketowych PAM. Ja zamocuję jeden, a ty zajmiesz się drugim.

– Zrozumiałam. Została mi jeszcze minuta do wyjścia.

Saint-Michael posuwał się ostrożnie wzdłuż grzbietu samolotu w kierunku otwartej ładowni, cały czas bacznie obserwując stację i próbując ocenić jej uszkodzenia. Najpoważniejsze były na kratownicy stacji, szczególnie zniszczone zostały anteny radarowe SBR.

– Ci Rosjanie nieźle się napracowali nad blokami sterującymi SBR – zauważył. – Wygląda na to, że wszystkie wymagają naprawy, ale z tej odległości nie mogę tego stwierdzić na pewno. Jedna lub dwie tablice mogą być nietknięte.

Dostał się do ładowni i zbliżył do jednego z silników PAM. Usunął blokady mocujące.

– Oba silniki PAM są odblokowane.

– Zrozumiałem, generale – powiedział Marty Schultz. Saint-Michael spojrział w górę i zobaczył, że ramię zdalnie sterowanego manipulatora uniosło się ze swojego gniazda i mała kamera telewizji pokładowej wycelowwała w jego stronę.

– Jestem gotów do podniesienia silnika – zameldował Marty.

Generał cofnął się o parę stóp.

– No to jazda. – Silnik wysliznął się ze swego rękawa mocującego i powoli powędrował do góry. Saint-Michael zbliżył się do zacisków znajdujących się na boku silnika i zaczepił uchwyt swojego plecaka manewrowego. Jego głowa wystawała tuż ponad krawędź.

– Mam pierwszy PAM – powiedział. – Ann, idę wzdłuż kratownicy w kierunku dzioba kosmolotu, aby umocować silnik. Ty posuwaj się w przeciwną

stronę. Zamocuj PAM prostopadle do *Ameryki*. Ja zamontuję swój równolegle. Może uda się nam powstrzymać wirowanie w czasie wynoszenia stacji na wyższą orbitę.

– Zrozumiałam.

– Generale, tu Hampton. Jesteśmy na wysokości siedemdziesięciu pięciu mil. Temperatura ładowni znów niebezpiecznie się podniosła.

– Przełącz ponownie na chłodzenie awaryjne.

– Już to zrobiłem. Temperatura spadła na moment, ale teraz znowu rośnie. Mamy mało czasu. Chyba powinniśmy się pozbyć zbiornika z paliwem i wycofać.

– Nie ma mowy... Ann, gdzie jesteś? – Zobaczył, że Ann wychodzi z górnego wjazdu służby.

– Już idę – odezwała się. Przesunął się obok niej, manewrując koło stromych okien kabiny pilotów, ponad płaskim, ostro zakończonym dziobem samolotu, wokół silników manewrowych, potem w dół w stronę otwartej kratownicy stacji.

– Musimy się pospieszyć, Marty. Potrzebuję was tu obu, ciebie i Horvatha. Natychmiast!

– Jesteśmy już w służbie, wkładamy skafandry – informował Marty. – Wychodzimy za cztery minuty.

Umocowanie dodatkowych jednostek napędowych do kratownicy stacji zajęło Ann i Saint-Michaelowi dalszych dziesięć minut. W tym czasie Schultz i Horvath wydostali się ze służby. Marty zabrał ostatni plecak manewrowy – *Ameryka* była wyposażona tylko w trzy – i pomógł Ann umocować silnik do dźwigara. Horvath nie miał plecaka, używał więc liny i zaczepów. Przedostał się przez uszkodzony tunel do modułu cumowniczego *Silver Tower*.

– Mój silnik jest umocowany i zabezpieczony – zameldował Saint-Michael. – A twój, Ann?

– Potrzebuję jeszcze tylko minuty i...

Usłyszeli ciężki oddech Horvatha. Był w module cumowniczym, gdzie znajdowało się siedem ciał członków załogi Dowództwa Kosmicznego. Starał się nie myśleć o tym, ale wiedział, że już nigdy nie zdoła zapomnieć tego widoku. Chwilę potem zameldował:

– Generale, jestem w rozhermetyzowanym tunelu łączącym, ale w module Skybolta jest ciśnienie. Pali się tam światło, również w pomieszczeniu kuchennym. Widać uszkodzenia, ale chyba są nieznaczące.

Dzięki Bogu, odetchnęła Ann.

– Generale – odezwał się znów Hampton – teraz albo nigdy...

- Jesteśmy gotowi! – zawołał Marty.
- Ann i Marty, zaczepcie się do dźwigara. Ken, uchwyc się czegoś. Jon, musisz odprowadzić kosmolot od stacji, zanim włączymy silniki.
- Tak jest.

Ann patrzyła zafascynowana, jak ogromna, ciemna sylwetka samolotu odsuwa się od nich, a niewielkie silniczeki manewrowe na ogonie migoczą jak zapalające się i gasnące reflektory. Po chwili pojazd znalazł się w odległości około stu stóp. Wyglądał teraz jak duża, precyzyjnie wykonana zabawka, unosząca się na tle wirujących gwiazd i mglistej warstwy atmosfery Ziemi.

- Przygotować oba silniki PAM! – rozkazał Saint-Michael.
- Gotowe – odpowiedział Hampton. – Jest łączność z Ziemią w paśmie KU. Jest przekaz danych... No to już...

Kiedy nastąpił zapłon silnika PAM, Ann poczuła szarpnięcie w miejscach, gdzie zaciski mocujące utrzymywały ją przy dźwigarze *Silver Tower*. Odbierała intensywne wibracje rozchodzące się po dźwigarze, a potem silnik nieoczekiwanie się wyłączył, choć wirowanie stacji nadal trwało.

- Co się stało?! – krzyknęła. – Czy coś... – Nie mogła dokończyć pytania, bo nastąpił zapłon drugiego silnika. Zaraz potem ponownie włączył się na chwilę jej silnik i znów na chwilę drugi.

Stacja, wraz z uciepionymi do niej członkami załogi, zaczęła przemieszczać się w górę z prędkością dziesięciu mil na godzinę. Ann i pozostali czuli się, jakby ich włókł wolno jadący samochód. *Ameryka* jakby ślizgała się do przodu i na boki, a chwilami stawała dęba. Nawet rozproszone szczątki zdawały się wirować i usuwać w dal jak ławica chmur odpychana nad otwarte morze przez świeżą bryzę.

Obie jednostki napędowe PAM, kierowane poleceniami z naziemnych stacji namiarowych, pracowały impulsowo na przemian aż do czasu, gdy po kilku minutach niekontrolowane wirowanie stacji zostało niemal całkowicie wstrzymane. W miarę zmniejszania się prędkości rotacji, silniki pracowały dłuższymi cyklami, a stacja zaczynała nabierać wysokości. Po paru dalszych minutach praca silników stała się ciągła. Ziemia leżała teraz nieruchomo pod nimi i wolno, ale niezmiennie uciekała w dół. Ann nie była już przyciśnięta do dźwigara. Stwierdziła, że teraz może poruszać się swobodnie.

Saint-Michael odezwał się pierwszy.

- Jon, jak mnie słyszysz?
- Głośno i wyraźnie, generale – odpowiedział Hampton. – Ken zdołał uruchomić sygnał namiarowy stacji. *Ameryka* jest na autopilocie cyfrowym.

Sprowadzę ją z powrotem do stacji i będziemy mogli zacząć tankowanie ogniw paliwowych.

– Tu Horvath. Uruchomiłem zasilanie pomocnicze w module dowodzenia. Moduł jest rozhermetyzowany. Nie sądzę, abyśmy mogli go naprawić: ma dwie lub trzy koszmarnie wielkie dziury...

– A co z aparaturą sterującą parametrami środowiska oraz SBR?

– Myślę, że z parametrami środowiska poradzę sobie, sir. Nie wiem, czy SBR jest sprawny, ale mamy zasilanie pomocnicze do każdej konsoli.

To i tak więcej, niż można się było spodziewać, pomyślała Ann. *Silver Tower* ożyła. Teraz trzeba się tylko modlić, żeby Rosjanie dali im trochę czasu...

TIURATAM, ZSRR

Marszałek Goworow wszedł do centrum kontroli lotów Dowództwa Obrony Kosmicznej, gdzie czekał na niego pułkownik Gulajew. Obaj pospiesznie podszli do monitora głównego komputera radiolokacyjnego, aby przejrzeć informacje przepływające przez ekran.

– Nie zauważyliśmy nic szczególnego do czasu, aż stacja znalazła się na wysokości dwustu piętnastu kilometrów... – oświadczył Gulajew. – Myśleliśmy, że to błąd, jakieś anomalia...

– To niemożliwe – zaprzeczył Goworow i natychmiast zdał sobie sprawę, że zabrzmiało to zupełnie jak wypowiedzi biurokratów z Kremla, z którymi walczył przez te wszystkie lata. A więc oszukiwał sam siebie. No dobrze, ale teraz zacznijmy od nowa... Czy żeby wynieść stację na wyższą orbitę, nie trzeba było więcej czasu?

– Towarzyszu marszałku, czy mam zaalarmować...

– Nie powiadamiać absolutnie nikogo. Chcę mieć potwierdzenie tych namiarów.

Gulajew wyszedł do centrum łączności, aby połączyć się z Sary Szagan dla uzyskania potwierdzenia. Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać. Młody oficer wrócił do konsoli kontrolnej już po minucie. Komendant Obrony Kosmicznej stał samotnie przy monitorze. Nikt nie chciał mu towarzyszyć, a i on sam tego nie pragnął.

– Towarzyszu marszałku, stacja radiolokacji kosmicznej Szyrow-25 w Sary Szagan właśnie wydała komunikat dla kwatery głównej Dowództwa Obrony Kosmicznej. Namiary są... potwierdzone. *Armstrong* ma zasilanie

i kieruje się na standardową orbitę kołową, o inklinacji około pięciu stopni do równika... Czy to możliwe, żeby Amerykanie wznowili obserwację radarową Zatoki Perskiej lub Morza Arabskiego...?

Goworow spojrział na niego, jakby go chciał unicestwić, ale szybko się opamiętał.

– Moduły ciśnieniowe stacji nie nadają się do zamieszkania. Nasze pociski Scimitar przebiły anteny radarowe i baterie słoneczne. Ponowne doprowadzenie stacji *Armstrong* do stanu pełnej sprawności musiałoby potrwać kilka miesięcy. – Zacisnął dłoń, jakby walczył z ogarniającymi go wątpliwościami. – No więc tak, proszę natychmiast zorganizować bezpieczne połączenie wideofonem z Romierdunowem i Chromiejewem. Telekonferencja odbędzie się w sali narad taktycznych numer trzy. I proszę sprowadzić generała Kulowskiego z wywiadu, chcę go mieć w pobliżu.

Gulajew wyszedł pośpiesznie, aby przekazać polecenia. Poczul ulgę na myśl, że Goworow znowu zaczyna być sobą, panuje nad sytuacją, wydaje rozkazy, wyprzedza Amerykanów przynajmniej o krok. Ale skąd to wrażenie, że pozostali o krok w tyle?

Terminal wideofonu został ustawiony na podwyższeniu w dużej sali narad znajdującej się obok gabinetu Goworowa w Ośrodku Lotów Załogowych „Płonącej Gwiazdy”. Goworow i generał Kulowski, szef wywiadu Dowództwa Obrony Kosmicznej, czekali na połączenie z dwoma wyższymi członkami Sztabu Generalnego.

Nie czekali długo. Wideofon zabrzączał, przeciągle i natarczywie, i ekran nagle ożył. Wiceminister obrony Chromiejew oraz naczelny dowódca Sił Powietrznych i Kosmicznych Romierdunow siedzieli przy stole konferencyjnym w głównym sztabie bojowym Kwatery Głównej w Moskwie.

Chromiejew odezwał się pierwszy.

– Wiemy już o amerykańskiej stacji kosmicznej, Goworow. Przypuszczam, że udzielicie nam jakichś wyjaśnień...

Goworow poczul się nieswojo, zrozumiał, że informacje z kosmicznego ośrodka ostrzegawczo-namiarowego w Sary Szagan już do nich dotarły. Musisz sobie poradzić, powiedział do siebie, spróbuj przedstawić sytuację z własnego punktu widzenia...

– Towarzyszu ministrze, rzeczywiście sprawy przybrały inny obrót, niż się spodziewaliśmy. To prawda. Ale jestem prawie przekonany, że stacja

została zniszczona w stopniu uniemożliwiającym jej rychłe uruchomienie...

– Jeśli jest tak, jak mówicie, to w jaki sposób może się ona w ogóle poruszać? – przerwał Romierdunow.

– Domyślam się, że Amerykanie przywieźli ze sobą dodatkowe silniki raketowe, i to właśnie za ich pomocą wynieśli stację na wyższą orbitę...

– A czy nie jest bardziej prawdopodobne – dociekał Chromiejew – że przeceniliście szkody wyrządzone stacji?

– Tak, towarzyszu, to jest oczywiście możliwe, ale chcę podkreślić, że ładownia *Ameryki*, jak zdołaliśmy się dowiedzieć, jest wystarczająco duża, aby przetransportować w niej zbiornik z paliwem i kilka małych silników raketowych, które można umocować do centralnego dźwigara nośnego stacji.

Goworow wcisnął guzik małego pilota zdalnego sterowania i podstawa wideofonu obróciła się tak, że w polu widzenia kamery pojawił się duży, zwisający z sufitu model stacji *Armstrong*, wykonany z tworzywa sztucznego i drewna balsa. Makieta ta, precyzyjna w każdym szczególe, została równie precyzyjnie uszkodzona w kilku miejscach.

– Na tym modelu, towarzyszu, widać dokładnie, jak wyglądała stacja po naszym ataku. Jest to obraz zarejestrowany przez znajdujący się na pokładzie mojego Elektronu celownik laserowy, naprowadzający pociski Scimitar. – Długim wskaźnikiem pokazał wszystkie uszkodzone miejsca.

– No tak, generale. A co wy o tym sądzicie, pułkowniku Kulowski?

– Myślę, że stacja nie ma zdolności przeciwstawienia się siłom grawitacji – odparł Kulowski. – Nawet przy pełnej wydolności silników nie może wznieść się o więcej niż sto kilometrów bez dodatkowej dostawy paliwa. A więc, jak mówi Goworow, ten kosmolot musiał przywieźć silniki raketowe.

– Najważniejszym celem dla mnie i pułkownika Wołoszyna – oświadczył Goworow – były punkty zamocowania anten radaru kosmicznego tej stacji. Jak możecie zobaczyć – użył wskaźnika dla podkreślenia – trzy z czterech punktów zamocowania zostały trafione, a dwa zniszczone.

– Pozostały więc dwie tablice SBR – zauważył Chromiejew.

– Tak, towarzyszu, ale to nie wystarcza, aby odtworzyć ten sam zakres dozoru radarowego co poprzednio – zareplikował Kulowski.

– Pozostałe ataki – powiedział Goworow – zniszczyły lub uszkodziły baterie słoneczne niezbędne do ładowania akumulatorów stacji i przetwarzania wody w paliwo... zbiorniki paliwa na kratownicy... i same moduły ciśnieniowe. Niewykluczone, że uszkodzenia te zostaną usunięte na orbicie, ale moduły

będą tak nieszczelne, że obsadzenie ich załogą, która nie będzie cały czas miała na sobie skafandrów kosmicznych, stanie się niebezpieczne. Założmy jednak, że zdarzy się to, co jest niemożliwe. Nikt nie jest nieomylny, a ja doceniam możliwości Amerykanów. Powtarzałem to od lat i będę to robił dalej. A więc...

– A więc...? – podchwycił Romierdunow. – Proszę dokończyć tę myśl, generale.

Goworow zdecydował się teraz na krok, do którego, może trochę okrężną drogą, szycował się od momentu rozpoczęcia tego małego wykładu.

– A więc, towarzyszu, jestem zdania, że mimo bardzo nikłych szans, istnieje prawdopodobieństwo odzyskania przez stację możliwości zwiadowczych. Zgłaszam gotowość do kolejnego ataku...

Chromiejew najwyraźniej nie był przekonany.

– Pierwsza inwazja mogła być łatwo usprawiedliwiona – powiedział. – Amerykanie ustawili wówczas stację bezpośrednio nad terytorium Związku Radzieckiego i używali jej do kierowania atakami przeciwko naszym siłom obronnym. Ale jeśli teraz podejmiemy ponowną akcję przeciwko stacji, która jest uszkodzona i, przynajmniej w tej chwili, nie orbituje nad nami – to światowa opinia może zwrócić się przeciwko nam. I tak już byliśmy krytykowani z powodu zniszczenia amerykańskiego pojazdu ratunkowego. Jeśli teraz zaatakujemy ten kosmolot, jedyny, jaki posiada Ameryka, który poleciał oficjalnie, aby przywieźć na Ziemię ciała astronautów zabitych przez Goworowa, to możemy stać się przedmiotem ogólnego potępienia. Konflikt zaś może się rozszerzyć poza obecne granice, do czego nie możemy dopuścić.

– Zgadzam się, towarzyszu.

Chromiejew i Romierdunow naradzali się chwilę. Wreszcie Chromiejew zwrócił się do kamery:

– Marszałku Goworow, proszę kontynuować obserwację orbity stacji *Armstrong* i informować nas natychmiast o wszelkich istotnych zmianach. Również jeśli jakiś inny pojazd kosmiczny zacumuje do stacji. Odpowiedzialność za decyzję, czy stacja może się stać zagrożeniem dla operacji „Pióro”, spoczywa, oczywiście, na was.

Nie to chciał usłyszeć Goworow, ale nie był zaskoczony obrotem sprawy. Wydawało mu się, że sposób, w jaki przedstawił sytuację, był nieco zbyt „wyważony”. Ale, o ile znał Amerykanów, a zaczynał poznawać ich coraz lepiej, wkrótce dadzą mu dobre podstawy do podjęcia ataku, który uważał za niezbędny...

Rozdział 11

Październik 1992

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG* DWA DNI PÓŹNIEJ

To było zdecydowanie nieprzyjemne.

Moduł dowodzenia, tunel łączący, moduł techniczny Skybolta – wszystko było nieszczelne jak mokre papierowe worki. Alarmy parametrów środowiska włączały się ciągle, zmuszając i tak już wyczerpaną i zdenerwowaną załogę do chwytania co chwila za maski tlenowe. Ale Jason Saint-Michael wiedział, że to poważny krok w kierunku reaktywacji stacji kosmicznej *Armstrong*. I mimo wszystkich trudności czuł się wspaniale.

Dobrowolnie objął wachtę, podczas gdy reszta załogi, pozostała na pokładzie samolotu kosmicznego, zapadła w pierwszy od czterdziestu ośmiu godzin sen. Nie miał pełnego zaufania do prowizorycznych napraw, jakich dokonali w modułach, polecił więc, aby wszyscy, z wyjątkiem jednej osoby, spali w kosmolocie. *Ameryka* była teraz zacumowana do stacji za pomocą nowego urządzenia, naprędcie skleconego z nie uszkodzonych części modułu cumowniczego, tak aby załoga mogła przechodzić na stację bez konieczności wstępnego oddychania i ubierania się w skafandry kosmiczne.

Generał podtrzymywał swoje siły i czujność czystym tlenem z podręcznej maski, ciągle kontrolując systemy stacji. Był dumny z lataniny, jaką udało im się wykonać. Na szczęście, mieli na pokładzie materiały niezbędne do załatania podziurawionych ścian modułów ciśnieniowych, co wraz z dużą dozą zapachu i dobrych chęci na razie wystarczało.

Naprawienie modułów w celu umożliwienia pracy bez skafandrów okazywało się drobiazgiem w porównaniu z wysiłkiem, jaki był konieczny do przywrócenia zasilania i zorientowania stacji w przestrzeni. Po trzech godzinach wyczerpującej pracy Marty Schultz zdołał przetoczyć paliwo do dwóch nie uszkodzonych zbiorników paliwowych z dużego zbiornika, który przywieźli

z Ziemi. Opłaciło się to: bezpośrednio zasilanie systemów zostało włączone już po godzinie i dostateczna ich liczba zaczęła pracować, aby uruchomić wbudowany układ analizujący, który wskazywał niesprawności i uszkodzenia. Kiedy sprzęt zaczął się sam kontrolować i informować użytkowników o defektach, wszystko stało się trochę łatwiejsze.

Teraz musieli spróbować umieścić stację na orbicie użytecznej. Jeden z głównych silników napędowych stacji oraz oba zbiorniki paliwa silnika głównego zostały zniszczone w ataku radzieckich samolotów kosmicznych. Po za-tankowaniu, dzięki któremu stacja była zaopatrywana w energię elektryczną, Marty umocował przywieziony z Ziemi, wciąż w trzech czwartych wypełniony, zbiornik paliwa i podłączył go do układu silników utrzymujących wysokość i orientację przestrzenną stacji. Przed upływem pierwszej doby uruchomili wystarczającą liczbę systemów nawigacji bezwładnościowej, połączeń satelitarnych oraz połączeń z naziemnymi stacjami namiarowymi, aby móc uruchomić silniki *Silver Tower*. Przy większej niż zazwyczaj własnej ingerencji zdołali przesunąć stację na niską orbitę równikową. Będąc teraz na wysokości dwustu mil i orbitując prawie bezpośrednio nad równikiem, *Silver Tower* znalazła się około sześciuset mil na południe od grupy bojowej lotniskowca *Nimitz* na Morzu Arabskim. Poruszając się z prędkością siedemnastu tysięcy mil na godzinę, teoretycznie za każdym okrążeniem mogli obserwować flotę przez dwadzieścia minut, czyli dwadzieścia minut z każdych dziewięćdziesięciu, a więc prawie przez jedną czwartą pełnego okrążenia. Oczywiście pod warunkiem, że zdołają uruchomić system radaru orbitalnego. Nie przywieźli ze sobą inżyniera serwisu SBR, ale jeśli główny procesor systemu działał, mógł wskazać operatorowi uszkodzenia i sam się naprawić.

Niemal dwadzieścia godzin wykonywali polecenia komputera sterującego radarem SBR, aż wreszcie Saint-Michael zarządził przerwę. Był teraz sam w stacji. Śledził pracę systemów i obserwował monitory radaru, na wypadek gdyby Rosjanie podjęli kolejny atak, chociaż w razie czego nie miał ani możliwości wykrycia tego zawczasu, ani nawet cienia szansy stawienia oporu, gdyby jakimś cudem wiedział, że się zbliżają. *Silver Tower* nie była jeszcze gotowa do walki. Jeszcze nie teraz.

Spojrzał na główną konsolę SBR. Ogromny monitor radaru głównego był nie uszkodzony, przynajmniej tak mu się wydawało, ale z jakiegoś powodu nie włączał się. Po zdjęciu monitora z gniazda ktoś, kto usiłował go naprawić, użył paru pasków taśmy, aby ponownie umocować go do ściany. Saint-Michael

zbliżył się do konsoli i sprawdził oba ekrany, z których jeden został wymontowany z odbiornika TV znalezionej w części rekreacyjnej modułu Skylaba. Gdyby ekran SBR pracował prawidłowo, powinna ukazać się na nim mapa polityczna Ziemi z siatką namiarów radarowych. Bez wyświetlonej mapy jedynym odczytem wskazującym, gdzie się aktualnie znajdują, były serie cyfr podające azymut, deklinację, długość i szerokość geograficzną, prędkość inercyjną i planetarną korektę toru stacji w stosunku do Ziemi. Równie dobrze mogłyby one być wypisane staroegipskimi hieroglifami.

Wrócił na resztki swojego fotela (jeden z rosyjskich pocisków odstrzelił oparcie) i przypiął się pasami. Przypomniało mu się, że przed atakiem zazwyczaj machinalnie sięgał po słuchawki i mikrofon elektretowy. Teraz już nie. Teraz nie miało to żadnego sensu. Mimo że sygnał namiarowy stacji został uruchomiony, satelitarny system namiarowy i transmisji danych był rozbity. Mogli rozmawiać z Ziemią wyłącznie przez radio na ultrawysokich częstotliwościach, które ograniczały łączność do strefy znajdującej się w polu widzenia. Dawniej, posługując się TDRS, można było rozmawiać lub wymieniać dane ze stacjami po drugiej stronie planety. Teraz natomiast, korzystając z UHF, jeśli udałoby się przebić przez zakłócenia, i to w nocy, można by było połączyć się tylko z najbliższą stacją naziemną. Ale to też nie wydawało się pewne. Wolaliby mieć takie problemy z *Enterprise*...

Na myśl o zniszczonym wahadłowcu i jego martwej załodze, znajdującej się w module cumowniczym, odczuł przygnębienie i gniew. Cokolwiek on sam lub ktoś inny by zrobił, dla nich i tak już nie miało znaczenia. A to, że wywalczył tę misję dla uruchomienia stacji, narażało następnych ludzi... włącznie z Ann... na to samo ryzyko. Ale nie! Musiał przecież pamiętać, że ta misja miała znacznie ważniejszy cel niż odwet. Chodziło o ratowanie życia. Życia Amerykanów, tam, w Zatoce Perskiej...

I właśnie to powiedział Kolegium Połączonych Sztabów oraz prezydentowi, kiedy spotkał się z nimi, aby przedyskutować tę sprawę. Początkowo jego argumenty nie trafiały im do przekonania... Stuartowi natomiast udało się przekonać wszystkich, że dowódca stacji *Armstrong* jest ofiarą, którą dla jego własnego dobra i dla dobra ojczyzny należy odesłać na zieloną trawkę; jego żądania mogły niepotrzebnie sprowokować Rosjan. Saint-Michael przedstawił swój bardzo prawdopodobny scenariusz wydarzeń, jakie jego zdaniem nastąpią, jeśli stacja nie zostanie uruchomiona. Kiedy skończył, nawet sekretarz obrony Linus Edwards zdawał się rozumieć powagę sytuacji. Ale Saint-Michael otrzymał

pełnomocnictwo dopiero w ostatniej chwili. Ledwo zdążył wstrzymać start i zorganizować wymianę ładunku...

Siedząc teraz samotnie w module dowodzenia, wcale nie miał niezachwianej pewności, że to, co zrobił, jest słuszne. Ale byłoby lepiej, gdyby okazało się, że jednak miał rację. W przeciwnym wypadku faceci w kraju mogą przygotować mu amerykańską wersję Syberii.

LOTNISKOWIEC USS *NIMITZ* NA MORZU ARABSKIM

– Mamy supernowoczesne okręty radarowe – narzekał admirał Clancy – ale czuję się tu jak zając na polowaniu z naganką.

Komendant floty lotniskowca *Nimitz* rozmawiał z kapitanem Edgewaterem, dowódcą lotniskowca, w centrum informacji bojowej CIC. Miał na myśli krążowniki typu Aegis – USS *Ticonderoga*, *Shiloh*, *Valley Forge* i *Hue City*, działające u boku *Nimitza*, wraz z całą grupą bojową sunące z wolna na wschód po Morzu Arabskim.

Ticonderoga i jego bliźniaki, chociaż pełniły służbę już od dziesięciu lat, rzeczywiście należały do najbardziej wyszukanych na świecie. Ich cztery duże, fazowane układy antenowe radarów mogły badać niebo na setki mil we wszystkich kierunkach, zapewniały elektroniczne, zsynchronizowane połączenie między wieloma okrętami, jak również mogły kierować ogniem dział, samolotami i pociskami przeciwko wielu celom jednocześnie. Wyposażone były w sprzęt na miarę dwudziestego pierwszego wieku, o wartości prawie pół miliarda dolarów. Jednak tu, na środku Morza Arabskiego, były praktycznie bezradne wobec przemyślnego uzbrojenia i przewagi otaczających je sił nieprzyjacielskich.

Clancy spojrział na ciekłokrystaliczny ekran o wymiarach pięć na pięć stóp, znajdujący się w centrum informacji bojowej *Nimitza*.

– Potrzebuję dodatkowych oczu tam, w górze, kapitanie – mówił Clancy, wskazując palcem na środek Morza Arabskiego. – *Ticonderoga* ma zasięg wykrycia dla wysoko lecących samolotów wynoszący tylko około trzystu mil, dla okrętów nawodnych i nisko lecących samolotów – około pięćdziesięciu mil, a dla szybkich pocisków i samolotów lecących tuż nad powierzchnią – zaledwie dwadzieścia mil. – Edgewater zgodził się z komendantem flotylli Zatoki Perської. Clancy kontynuował: – To po prostu jest niewystarczające. *Ticonderoga*

z trudem radzi sobie z radzieckimi pociskami manewrującymi, które osiągają prędkość pięciu machów, i bombowcami naddźwiękowymi, mogącymi przemieścić pięćdziesiąt tysięcy funtów ładunku z prędkością dwóch machów, na wysokości pięćdziesięciu stóp nad wodą. Pocisk manewrujący AS-6 lecący na nas z prawie naddźwiękową prędkością, daje naszej eskorcie zaledwie pięć minut na jego zniszczenie. Radziecki bombowiec Blackjack lub Backfire, przemieszczający się na skrajnie niskiej wysokości, wykryty w maksymalnej odległości, znajdzie się wprost nad nami w ciągu paru sekund. Nie będziemy mieli dość czasu na reakcję...

– Oni muszą przebić się najpierw przez obronę floty, sir – powiedział Edgewater. – A my, na pokładzie *Nimitza*, mamy prawie sto wyrzutni pocisków i pięćdziesiąt myśliwców gotowych do startu w każdej chwili.

– Tak, ale nasze siły są napięte do granic możliwości – zauważył Clancy, wskazując eskortę swojej floty. – Zagrożają nam radzieckie okręty z Morza Czerwonego i Jemenu, samoloty i pociski manewrujące z Iranu i grupa lotniskowca *Archangielsk* z południa i wschodu. – Potrząsnął głową próbując, bez powodzenia, przywołać niewesoły uśmiech. – Postarałem się już... Główną zasadą obrony lotniskowca jest przede wszystkim nieangażowanie się w nie możliwe do obrony sytuacje taktyczne. Mamy tu doskonały przykład, czego nie należy robić; nie należy dać się okrążyć ze wszystkich stron... Potrzeba nam niezawodnej radiolokacji w promieniu co najmniej pięciuset mil, abyśmy mogli uchronić naszą grupę przed atakiem. W tej chwili tego nie mamy. Potrzebujemy pomocy.

– Możemy użyć bazujących na lotniskowcach samolotów radarowych EF-18 i Hawkeye AWACS – wtrącił Edgewater.

– Które będą pierwszym celem, kiedy rozpocznie się strzelanina – podchwycił Clancy. – A przecież nie mamy dostatecznych sił, aby wyznaczyć jednego myśliwca do ochrony każdego samolotu Hawkeye.

– Możemy spróbować znowu wysłać zdalnie sterowane makiety HIM-LORD.

Clancy potrząsnął głową.

– One są warte swej wagi w złocie, ale przeciwko skoncentrowanej obronie przeciwlotniczej okrętów będą jak kaczki. Dwa dni temu wysłaliśmy cztery i Sowietci urządzili sobie ćwiczenia strzeleckie. – Przerwał na chwilę, wpatrując się w ekran. – A Diego Garcia? Czy możemy oczekiwać stamtąd jakiejś pomocy?

– To samo byłoby z AWACS-ami E-3C – powiedział Edgewater. – Rosyjskie Su-27 zestrzelały je natychmiast. Dowództwo nie chce ryzykować i wypuszczać ich tak daleko bez eskorty myśliwców.

– Kto mi tu będzie mówił na temat ryzyka? – Clancy bez trudu zdobył się na sarkastyczny uśmiech. – To ja siedzę w ryzyku po uszy. – Przyjrzał się dużemu ekranowi SPY-2 Aegis. – Wiesz, Joe, co by się nam przydało?

Joe wiedział: przydałyby im się znowu te kosmiczne oczy.

KREML, ZSRR

Przez ostatnie dziesięć minut ze źle skrywanym zniecierpliwieniem I sekretarz słuchał raportu Chromiejewa i Romierdunowa z konferencji z Goworowem dotyczącej ostatnich manewrów stacji kosmicznej.

– Wystarczy – oznajmił radziecki przywódca, podnosząc rękę. – Usłyszałem już dosyć, aby się poważnie zaniepokoić. Dziękuję wam bardzo. Kładziecie nacisk na informacje uzyskane od marszałka. Goworowa w sprawie szkód wyrządzonych stacji, ale nie możecie zaprzeczyć, że zalecił on ponowny atak.

– Nie zamierzamy tego robić, towarzyszu – pospiesznie zapewnił Chromiejew. – Wyjaśniliśmy już, dlaczego byłoby to teraz nie wskazane. Ponadto wywiad wysunął wiarygodne przypuszczenie, że Amerykanie mogą po prostu domontowywać niektóre elementy.

– To mało prawdopodobne. Nie zadawaliby sobie trudu wynoszenia *Armstronga* na wyższą orbitę, gdyby ich jedynym celem było ratowanie złomu... Goworow powinien był wykończyć tę stację, kiedy miał sposobność.

– Ależ tak, zgadzam się, towarzyszu – powiedział Romierdunow. – Jednak logika podpowiada, że nie ma możliwości naprawienia i uruchomienia stacji *Armstrong* w dostatecznie krótkim czasie, aby mogła wspomagać operacje floty amerykańskiej na Bliskim Wschodzie. Ratowanie przez nich niesprawnej stacji nie ma żadnego znaczenia dla naszych działań.

– Chciałbym wierzyć w te wasze zapewnienia...

I sekretarz wrócił na swój fotel za biurkiem. Obaj mężczyźni byli wyraźnie zmieszani. Popatrzył na nich.

– A więc, waszym zdaniem, nie należy nic robić?

– Nie, towarzyszu sekretarzu – zaprzeczył Romierdunow. – Zupełnie nie tak. Zarządziłem pełną gotowość Dowództwa Obrony Kosmicznej. Nowa orbita *Armstronga* będzie starannie obserwowana. Jeśli jakkolwiek inny

pojazd podejmie próby dotarcia do stacji, będzie śledzony i Sztab Generalny otrzyma w tej sprawie raport. Będziemy również kontrolować stację pod kątem emisji radarowej, na wypadek gdyby Amerykanie w jakiś sposób zdołali choć częściowo uruchomić swój radar orbitalny...

– A więc wasza całkowita pewność nie jest taka stuprocentowa, jak się okazuje. – I sekretarz pokiwał głową. – Znacnie równie dobrze jak ja konsekwencje wynikające z faktu uruchomienia przez Amerykanów radaru orbitalnego. Dominacja, jaką mieliśmy nadzieję osiągnąć, przesuając *Archangielsk* w ten rejon, będzie znacznie zminimalizowana; zostanie przywrócona równowaga sił.

– Towarzyszu sekretarzu – Chromiejew próbował oponować, ale robił to niezbyt stanowczo – przewaga wynikająca z posiadania okaleczonej stacji kosmicznej, z częściowo sprawnym radarem, nie może równać się z przewagą, jaką zapewnia najbardziej niszczycielski okręt wojenny na świecie.

– Ale widzieliśmy już, czego może dokonać radar stacji *Armstrong*, a to, do czego zdolny jest *Archangielsk*, dopiero zobaczymy. – I sekretarz przerwał na moment, zastanawiając się. – Macie jednak rację, jeśli idzie o skutki zaatakowania stacji teraz, bez upewnienia się, czy Amerykanie rzeczywiście uruchamiają ją ponownie, zwłaszcza tuż po niefortunnym incydencie z ich pojazdem ratunkowym. To by niewątpliwie zwróciło opinię światową przeciwko nam, możliwe, że mogłoby nawet popsuć nasze stosunki z niektórymi naszymi sojusznikami. Okazuje się więc, że mamy tylko jedno wyjście...

– Co macie na myśli, towarzyszu? – Chromiejewowi nie podobał się taki obrót sprawy. Żałował, że nie ma tu ministra obrony Czilikowa, ale ten upoważnił go, aby razem z Romierdunowem zameldowali się u radzieckiego przywódcy bezpośrednio, zakładając, że nie zostaną podjęte żadne działania. Teraz okazało się, że to był błąd.

– Chyba to oczywiste, że nie możemy dłużej czekać z wydaniem *Archangielskowi* rozkazu uderzenia. Nie pozwolę, aby przewaga, jaką teraz mamy, wymknęła się nam z rąk.

Chromiejew starał się zachować zimną krew.

– Towarzyszu sekretarzu, obie floty są oddalone od siebie o kilka dni żeglugi. Dokonanie dostatecznie dużego uderzenia na taką odległość jest niemożliwe...

– No to, do diabła, wzmocnijcie siły *Archangielska* bombowcami z lotnisk polowych lub pociskami manewrującymi. Ciężkie bombowce Tupolew i

pociski manewrujące były najskuteczniejsze...

– Przeciwno celom w Iranie – wtrącił Romierdunow. – Bombowce mogły wtedy odpalać swoje pociski, będąc jeszcze na naszym terytorium. Gdybyśmy mieli uderzyć na grupę lotniskowca *Nimitz*, samoloty bombowe musiałyby przelatywać nad Zatoką Omańską. Znalazłyby się w zasięgu myśliwców *Nimitza*.

– Użyjcie więc szybszych bombowców, tych naddźwiękowych Tu-22, zamiast turbośmigłowych Tu-95. A swoją drogą nie rozumiem, dlaczego te przeklęte graty wciąż pozostają w naszym uzbrojeniu.

– Towarzyszu sekretarzu... – Chromiejew szukał właściwych słów, aby przekonać przywódcę, że plany bitewne powinien zostawić swoim generałom. – Chciałbym zaproponować, abyśmy do rozmowy włączyli ministra Czilikowa. On niewątpliwie będzie chciał zwołać spotkanie Sztabu Generalnego; są pewne czynniki związane...

– Jestem bardzo zmęczony zebraniem, Chromiejew. Każda godzina zwłoki to godzina stracona. Umożliwia Amerykanom podjęcie kroków obronnych. Teraz my mamy przewagę – teraz właśnie jest czas, aby działać.

Usiadł na fotelu, spojrzął na nich i zabębnił palcami po biurku.

– No dobrze, przedstawcie sprawę Czilikowowi. Zwołajcie to wasze zebranie. Ale do godziny czwartej... nie, do trzeciej, chcę mieć plan ataku gotowy do wykonania. Jasne?

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG*

Ledwo słyszalny szmer w słuchawkach uświadomił Saint-Michaelowi, że ktoś z *Ameryki* go wzywa. Podniósł słuchawki i włożył na głowę.

– Tu Saint-Michael.

– Jason, tu Ann. Wchodzę na pokład.

Generał zdziwił się. Minęło zaledwie trzy godziny, odkąd załoga przeszła do kosmolotu.

– Dobrze – powiedział zakładając maskę tlenową – możesz przyjść.

Niezwłocznie w tunelu łączącym zabrzmiał alarm środowiskowy, ponieważ śluza powietrzna, którą skonstruowali, od tamtej strony była nieszczelna. Bez kombinezonu kosmicznego Ann miała około sześćdziesięciu sekund na dostanie się do tunelu łączącego, uszczelnienie drzwi i ponowne podniesienie ciśnienia, zanim spadnie ono do niebezpiecznego poziomu. Powtórne podnoszenie ciśnienia w tunelu zawsze powodowało pewien jego spadek w module dowodzenia i dlatego Saint-Michael musiał zakładać maskę tlenową podczas

każdego transferu. Kilka chwil później, kiedy generał kontrolował przebieg całej akcji, Ann zjawiała się w module dowodzenia. Saint-Michael ściągnął maskę.

– Przyszłaś sama?

– Nie mogłam dłużej spać – powiedziała zdejmując maskę. – Pomyślałam, że byłoby przyjemnie spędzić przynajmniej parę minut tylko z tobą...

– Świetny pomysł. Nie mieliśmy okazji porozmawiać od czasu Colorado Springs.

– A potem byłeś tak zdenerwowany decyzją Dowództwa Kosmicznego... Nic nie mówiłeś, ale ja wiedziałam. Bardzo się cieszę, że twoje naciski poskutkowały. Muszę przyznać, że tuż przed startem prawie już straciłam nadzieję.

– No, chyba miałem też trochę szczęścia... i tego chyba najbardziej będziemy potrzebowali w ciągu paru następnych dni...

– Oni przylecą, prawda?

Saint-Michael przyciągnął ją do siebie i mocno objął.

– Tak – powiedział. – Pojawią się tu na pewno... jestem przekonany, że zorientowali się, iż *Silver Tower* nie weszła w atmosferę. Prawdopodobnie wypytyują teraz Goworowa, tego pilota Elektrona, jaki według niego jest stopień uszkodzenia stacji. Jeśli przyślą go tu znowu, będzie to aktem agresji, więc wcześniej muszą być cholernie pewni, że to jest konieczne. To nie są idioci, jak myślą niektórzy bohaterowie w miękkich bamboszach, tam, w Waszyngtonie. Założę się, że Goworow stanie na głowie, aby przekonać zwierzchników, że powinien zaatakować ponownie. Za dużo było fetowania sukcesu pierwszego ataku. On uzna, że musi dokończyć swoją robotę... Ann, powiedziałaś, że Skybolt sprawnie zadziałał. Czy naprawdę?

– Nie wiem. – Była wyraźnie przygnębiona, że nie może po prostu odpowiedzieć „tak”. – Nie miałam jeszcze możliwości sprawdzenia wszystkich systemów, ale sądząc po stanie, w jakim jest radar SBR, nie sądę...

– Musimy to wiedzieć. Skybolt jest naszą jedyną obroną przeciwko Elektronom. Od tej chwili przydzielam cię wyłącznie do Skybolta. Ja, w miarę moich możliwości, zajmę się SBR. Marty i Ken mogą dokończyć korektę pozycji i skupić uwagę na samej stacji. Może być też inny sposób jej ochrony do momentu zreperowania Skybolta. Sprawdzą jeszcze parę innych rzeczy...

– Nie teraz, Jason. Słuchaj, powinienes trochę odpocząć. Nikomu się na nic nie przydasz, jeśli będziesz...

– Masz rację, my po prostu nie mamy czasu... – Odwrócił się do swojego pulpitu łączności. – Myślę, że Marty już się wyspał. – Przycisnął mocniej słuchawki do uszu i włączył mikrofon.

– *Ameryka*, tu Alfa.

– Dzień dobry, generale – odezwał się pułkownik Hampton. – Słuchamy.

– Przyślij tu Marty'ego Schultza.

– Tak jest.

– Słuchaj Jon, niech Marty weźmie ze sobą coś do jedzenia i kawę. – Saint-Michael odwrócił się znów do Ann, która rzuciła mu niezadowolone spojrzenie. – Wiem, wiem – powiedział. – Potem będzie czas na wylegiwanie się. Chcę, żebyś wzięła się za Skybolta, jak tylko coś zjesz. Zmusz to swoje cudeńko do działania, za wszelką cenę. A ja zajmę się zorganizowaniem sił powietrznych.

– O czym ty mówisz? Czyżbyś zamierzał użyć *Ameryki* do...

– No, nie... Jeśli zaczniesz się strzelanina, chcę, żeby *Ameryka* była stąd jak najdalej – nawet z powrotem na Ziemi, jeśli będzie trzeba.

– W takim razie o co chodzi?

Zanim zdążył odpowiedzieć, zjawił się Marty Schultz, i Ann została ze swoimi domysłami. Podejrzewała, że Saint-Michael chciał, żeby tak na razie pozostało.

Dla Marty'ego Schultza to nowe zadanie było prawie równie bolesne jak widok nadpalonych i zdeformowanych zwłok kolegów z załogi, złożonych w module cumowniczym. *Enterprise* był dla niego czymś szczególnym; w tej operacji to on był ekspertem. Latał już na wszystkich wahadłowcach floty kosmicznej, starych i nowych, ale *Enterprise* był wyłącznie jego.

Jeszcze był dzieckiem, kiedy odbywały się pierwsze próbne loty wahadłowców, i to właśnie *Enterprise*, uwolniony z grzbietu niosącego go, przystosowanego Boeinga-747, rozbudził w nim pragnienie, aby zostać astronautą. Wyobrażał sobie siebie za sterami, odzyskującego satelity, ratującego zagubionych kosmonautów, budującego miasto w kosmosie.

Kiedy *Enterprise* został wyremontowany i tymczasowo zastąpił wahadłowiec *Challenger*, Marty potraktował to jako wyzwanie dla siebie. Każdą chwilę poświęcał na przygotowanie się do lotów na *Enterprise* i odbył ich więcej niż ktokolwiek inny.

Teraz obserwował *Enterprise* w odległości kilkuset jardów przez szkło swego helmu kosmicznego i widok ten rozdzierał mu serce. Dostrzegł punkt, w

którym superszybki pocisk rosyjski przebił kadłub, ślady straszliwej eksplozji i pożaru na dolnych pokładach, widział zniszczenia w RCS, dziobowym układzie sterowania odrzutowego. Rękaw cumowniczy promu i śluza były szeroko otwarte, jak pysk martwego wieloryba wyrzuconego przez fale na brzeg. Ramię zdalnie sterowanego manipulatora sterczało bezradnie z otwartej ładowni, palce chwytaka rozpostarte były jak palce ręki rozpaczliwie szukającej pomocy.

No cóż, on właśnie przybył tu, aby pomóc.

– Zaczynam podchodzić – powiedział.

– Zrozumiałem – odparł pułkownik Hampton z pokładu *Ameryki*.

Marty nacisnął dźwignię silniczka swojego plecaka manewrowego MMU i zbliżył się do promu.

– Do diabła, uszkodzenia są poważniejsze, niż myślałem – stwierdził Marty.

Hampton spojrział nerwowo na wysokościomierz inercyjny.

– Marty, jesteśmy zaledwie o parę mil ponad punktem wejścia do atmosfery. Będziesz miał mało czasu. Czy potrafisz obejść się bez przedniej konsoli RCS?

– Bez problemu. Chociaż zacumowanie może być niełatwe lub może to nawet niemożliwe, to jeżeli będzie prąd i paliwo, jest szansa na powodzenie.

Starał się, żeby brzmiało to przekonywająco zarówno dla niego, jak i pozostałych.

Poszybował do ładowni, odczepił plecak manewrowy i umieścił go w uchwytach na przedniej ścianie, potem pomknął do rękawa cumowniczego na śluzie i wślizgnął się do środka. Widok środkowego pokładu sprawił, że się wzdrygnął.

– Teraz... jestem na pokładzie środkowym. Wszystko zniszczone. Chyba nic nie uda się uratować. – Przerwał na dłuższą chwilę. Kiedy wreszcie odezwał wzrok od nierozpoznawalnych szczątków na fotelach załogi, oznajmił: – Przechodzę do kabiny pilotów.

– Zrozumiałem.

Chwilę potem Marty znalazł się w fotelu dowódcy i przeglądał instrumenty.

– Nie jest tak źle. Akumulatory w porządku. Spróbuję uruchomić ogniwa paliwowe.

Przyjrzał się tablicy połączeń elektrycznych w kokpicie po stronie pilota. Przełączniki były rozmieszczone wzdłuż linii strzałek pokazujących połączenia pomiędzy obwodami i przełącznikami, ale i tak znał je na pamięć. Jeśli ogniwa

nie są uszkodzone, powiedział sobie Marty, to powinny działać.

– Kolektory tlenu i wodoru jeden, dwa i trzy otwarte – recytował przedstawiając włączniki. – Bateria prądu stałego włączona do szyny głównej. Podgrzewacze zbiornika włączone...

Kontynuował kontrolę systemów, znajdował uszkodzenia i dokonywał niezbędnych napraw. W końcu światła głównego pulpitu zapaliły się.

– Udało się, *Ameryka!* – wykrzyknął w podnieceniu. – *Enterprise* żyje! – Z rosnącym entuzjazmem kończył uruchamianie ogniów paliwowych, a potem wrócił na lewy fotel dowódcy. – No, już, panienko – mówił Marty, klepiąc pulpit autopilota cyfrowego. – Wiem, że żyjesz. Pokaż teraz, co potrafisz.

Ekran monitora komputerowego był czysty, z wyjątkiem małego, migającego prostokąta, nie większego od ziarna kukurydzy – i to już stanowiło osiągnięcie. Mózg *Enterprise*, komputer GPC*, był więc sprawny. Problem polegał na tym, aby przypomnieć mu zasady działania. Marty musiał więc wykonać wszystkie czynności związane z programem IPL*, wczytać zestaw komend, które powiedzą komputerowi, że jest komputerem.

Zrobił to szybko. Wprowadził serię poleceń cyfrowych. Wyjaśniły one maszynie, gdzie w swojej pamięci stałej może znaleźć program, który rozpocznie jej prędką edukację. Po każdej takiej lekcji komputer miał wykonać egzamin końcowy, pisząc dla siebie inny program w pamięci operacyjnej – użyje go, aby przejść do następnej lekcji. Marty kontrolował każdy krok poleceniami, które sprawdzały GPC w jego postępkach w nauce. Przed startem te skomplikowane czynności wykonywał zazwyczaj personel naziemny, toteż kiedy załoga wchodziła na pokład, komputer był już w pełni wyedukowany i działał bez zarzutu. Marty był jednym z niewielu, którzy poświęcili swój czas na zapoznanie się z tą procedurą od początku.

- Jak ci idzie, Marty?
- Jesteśmy już w szkole średniej.
- Powtórz...
- Radzimy sobie świetnie, po prostu świetnie.

Po trzydziestu nieskończeniu długich minutach ekran komputera wypełnił się informacjami o awariach związanych ze środowiskiem i brakach w zaopatrzeniu. Ale Marty opanowany był tylko jedną myślą: *Enterprise* znowu żyje. Wprowadził końcowy kod do głównego komputera i chwycił drążek sterowy.

- *Ameryka, Enterprise* jest gotów.

– Zrozumiałem. Zaraz zrobię ci miejsce. – Hampton polecił komputerowi pokładowemu *Ameryki* odsunąć się w kierunku stacji. – Droga wolna.

– No to ruszamy. – Marty sprawdził jeszcze raz pozycje przełączników i popchnął drążek do przodu.

Nic.

– No, kochanie. – Powtórzył poprzednią czynność nieco mocniej. Ciągłe brak reakcji.

– *Enterprise*, co z wami?

– Daj nam jeszcze chwilę. – Marty skasował kod manewrowy i wprowadził go ponownie. Tym razem GPC odmówił przyjęcia kodu. Marty oparł się o swój fotel i przyjrzał się pulpitemu.

– To twoja ostatnia szansa – przemówił do pulpitu. Sprawdził wskaźniki paliwa RCS, zasilanie elektryczne, wyłączniki obwodów, obwody zapasowe – wszystko w porządku.

– Nie mamy za wiele czasu, *Enterprise*. Albo go uruchomisz, albo zostaw.

– Jeszcze chwileczkę. – Ponownie skasował kod startowy komputera GPC. – Poczekaj, ty krnąbrna dziwko. Jeśli się teraz nie ruszysz, to cię zostawię. Spadniesz i się usmażysz. – Ponownie wprowadził kod startowy dwa-zero-dwa. Ekran komputera nie reagował.

– GPC nie przyjmuje kodu manewrowego – przekazał Marty przez radio do Hamptona.

– No to wynoś się stamtąd, do diabła! Temperatura kadłuba rośnie. Jeśli będziesz czekał dłużej...

– Zaraz kończę – powiedział Marty. Już miał opuścić fotel dowódcy, kiedy nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Skasował kod manewrowy, wprowadził kod resetujący IPL i obszary pamięci masowej. Eliminował całą edukację komputera.

Nagle ten kod powrócił jako „202” – manewrowy kod startowy.

– Perwersyjna damulka... co za przewrotna psychika, ale udało mi się ją wyczuć...

– Powtórz, *Enterprise*.

Marty rozsiadł się w fotelu dowódcy i mocno ujął drążek sterowniczy.

– Powtarzam: prowadź, *Ameriko!* *Enterprise* jest sprawny i gotów do lotu.

Marty Schultz zbliżył się wraz z Kenem Horvathem do kolejnego fragmentu swobodnie unoszącej się konsoli SBR i umocował gol kawałkiem taśmy.

– Uwaga, stacja – oznajmił Saint-Michael przez interkom. – Za minutę przekraczamy horyzont obszaru bojowego. Ogłaszam stan pogotowia. Stacja na czerwonym alercie.

Horvath trącił Schultza, który rozglądał się po module dowodzenia. Prawie wszystkie pulpity i konsole, zarówno te z sufitu, jak i te ze ścian, zostały zdemontowane podczas minionych pięciu dni i tylko połowa z nich wróciła na swoje pierwotne miejsca. Pozostałe unosiły się całkowicie lub tylko częściowo przymocowane do innych elementów wyposażenia. Wiązki kabli różnego rodzaju krzyżowały się we wszelkich możliwych kierunkach. Członkom załogi łatwiej było przedzierać się pomiędzy tymi przewodami, niż próbować przeprowadzać je z tyłu, za wciąż zmieniającymi swe położenie urządzeniami elektronicznymi. Elementy wyposażenia wymontowane z innych modułów – komputery i monitory z modułu rekreacyjnego, przewody z *Enterprise*, rurki, rury i izolacje z modułu magazynowego, komponenty testujące, a w wielu miejscach całe fragmenty konsoli z modułu laboratoryjnego – wszystko to było nagromadzone i połączone ze sobą w sposób pozornie chaotyczny. Całe te góry sprzętu tylko częściowo przesłaniały wielkie silikonowe łąty na ścianach, obszary zwęglone w miejscach, gdzie wybuchały pożary oraz wciąż zapalające się światła alarmu środowiska (syreny ostrzegawcze dawno już wyłączono, wyły bowiem prawie nieustannie i wszyscy woleli sygnały świetlne).

Jedna z łąt silikonowych została ostatnio zdjęta i przez odsłoniętą dziurę przepuszczono gruby kabel do transmisji danych, zanim założono nową łątę. Przewód ten biegł od modułu dowodzenia na zewnątrz, w przestrzeń i podłączony był do gniazda w ładowni *Ameryki*; kosmolot umocowano do *Silver Tower* za pomocą manipulatora, którego chwytak został zaciśnięty na centralnej kratownicy stacji... Na pokład pilotażowy przeniesiono kilka konsoli elektronicznych i prowadzono pospieszne naprawy.

– Jon, za parę minut będziemy gotowi do transmisji – przekazał Saint-Michael przez radio do Hamptona na pokładzie *Ameryki*.

– Zrozumiałem – odpowiedział Hampton. – TDRS jest dostrojony do sieci taktycznej floty i połączenie TDRS *Ameryki* ze stacją *Armstrong* jest sprawne i gotowe do akcji. Czekam na dalsze rozkazy.

Saint-Michael skierował się do głównej konsoli radaru kosmicznego – a właściwie do tej, która teraz pełniła jej funkcję. Części głównej konsoli były rozsiane po całym module, ale zdołali jakoś połączyć większość najważniejszych urządzeń sterujących, aby jedna osoba mogła łatwiej panować nad całością. Ken Horvath zajął miejsce obok Saint-Michaela. Przyjrzał się ekranom i pokręcił głową.

- Mam kłopoty z odcyfrowaniem tego wszystkiego.
- Wytlumaczę ci to – powiedział Saint-Michael. – Może będziesz musiał, jak kontroler ruchu lotniczego, przekazywać te informacje do *Nimitza* lub *Ticonderogi*, jeśli połączenie TDRS nie będzie działać. Nasz komputer sterujący wyświetlaczem SBR jest niesprawny, więc nie narzuca nam mapy informacyjnej i graficznych symboli celów. Możemy jednak korzystać z surowych danych, które normalnie otrzymywałby komputer sterujący ekranu: odległość, namiar, wysokość, kierunek i prędkość śledzonego obiektu. Wszystkie te przekazy wyświetlane są na tych dwóch ekranach. SBR może też analizować cele – podać nam, czy jest to samolot, czy okręt, skąd pochodzi, a nawet jego punkt docelowy – te informacje wyświetlane są na lewym ekranie. Ty masz dopasować kody oznaczające poszczególne obiekty, aby wiedzieć, co jest czym.

Horvath poczuł się nieco pewniej.

- To brzmi dość prosto.
- Ale nie jest proste. SBR może wychwycić również lekkie obiekty, wążące zaledwie kilkaset funtów, będziemy więc zalewani potokiem informacji. Prawdopodobnie przyjdzie nam zablokować część danych z SBR – skasować rzeczy niepotrzebne. Mamy monitor, który to rejestruje, ale z tego miejsca go nie widać. A więc uważaj... Jeśli połączymy się z *Nimitzem* przez TDRS, ten trzeci monitor pokaże także i jego pozycję. Mam nadzieję, że komputery *Ticonderogi* będą mogły przetrawić te surowe namiary i ukazać je w formie graficznej w swoim centrum informacji.

Saint-Michael sprawdził ekran po prawej stronie.

- Uwaga, stacja. Wchodzimy w obszar bojowy.

Potem zwrócił się do Hamptona będącego na pokładzie *Ameryki*:

- Włącz TDRS, Jon.

LOTNISKOWIEC USS *NIMITZ*

- Admirale, pilna wiadomość z *Ticonderogi*.

Edgewater szybko przebiegł oczyma wydruk.

- Admirale, to ze stacji kosmicznej *Armstrong*. Oni znów nadają...

Clancy wpatrywał się zaskoczony w ciekłokrystaliczny ekran, który zaczął migotać i falować, jak gdyby spływały po nim strumienie fosforyzującej cieczy. Najpierw pojawiły się cyfry, potem symbole okrętów należących do grupy bojowej *Nimitza*. Po chwili, na górnej krawędzi ekranu ukazały się

kontury łądów i granice polityczne. Po prawej stronie ekranu można było zobaczyć grupę lotniskowca *Archangielsk* z eskortą rozproszoną w formację „Rosyjskiej Gwiazdy”. Wkrótce pojawiły się i drobniejsze obiekty: na ekranie identyfikowane były samoloty, śmigłowce, a nawet ich typy emisji radarowych. Z boku ekranu rozbłyły kody ukazywanych obiektów oraz ich kursy i prędkości.

Clancy pospieszył do głównej konsoli Centrum Informacji i chwycił słuchawki.

– Połączcie mnie z *Ticonderogą*. Chcę mówić ze stacją kosmiczną.

Minęło parę minut, zanim uzyskał połączenie, ale wkrótce usłyszał znany sobie szum kodowanej transmisji satelitarnej i inny znajomy dźwięk...

– *Nimitz*, tu stacja *Armstrong*. Jak mnie słyszycie? Odbiór.

– Jason, niech mnie diabli! Dotarło do mnie, że ktoś z Dowództwa Kosmicznego miał wreszcie ruszyć tyłek i naprawić tę stację, ale nie śmiałem w to wierzyć. Bardzo się cieszę, że słyszę twój głos.

– Ja też, admirale – powiedział Saint-Michael. – Nie mamy zbyt wiele czasu. Przekazałem najważniejsze informacje do *Ticonderogi*. A oto jak przedstawia się nasza sytuacja: tym razem jesteśmy na orbicie równikowej. Oznacza to, że widzimy was tylko przez dwadzieścia minut na każde dziewięćdziesiąt. Mamy więc dwadzieścia minut transmisji, siedemdziesiąt nie, dwadzieścia transmisji i siedemdziesiąt nie. To wszystko, co możemy zrobić.

– Rozumiem, Jas. Wspaniale. Do diabła, nawet dwadzieścia minut danych pochodzących z SBR jest cenne. Słuchaj, a jaki jest stopień zniszczeń tam na górze? Czy macie jakąś obronę?

Saint-Michael spojrzał na Marty'ego Schultza, który właśnie wychodził z modułu dowodzenia.

– Pracujemy nad tym, admirale. Możemy nawet mieć niespodziankę dla kogoś, kto chciałby nas zaskoczyć. W każdym razie trzymamy się. Bez odbioru.

ZESPÓŁ BOJOWY RUSŁAN

Plan ataku skoordynowano co do sekundy.

Każdy z sześciu radzieckich bombowców Tu-26 Backfire, startujących z Iranu, uzbrojony był w jeden pocisk manewrujący AS-6 Kingfish powietrzewoda oraz dwa pociski antyradiolokacyjne AS-12 Kegler. Bombowce miały odpalić je z wysokości jedenastu tysięcy metrów i z odległości trzystu mil od

najdalej na północ wysuniętych okrętów eskorty amerykańskiego lotniskowca *Nimitz*. Potem, kiedy pociski te będą przyspieszać i wznosić się na wysokość marszową, bombowce zejdą jak najniżej nad powierzchnię morza i wykonają długi skok w kierunku floty z prędkością ponaddźwiękową. W odległości dziewięćdziesięciu kilometrów od okrętów amerykańskich miały odpalić pociski antyradiolokacyjne, w przypadku wykrycia jakiegokolwiek emisji radarowej.

Jednocześnie z wysłaniem AS-6 pierwsza fala myśliwców Su-27 Flanker miała wystartować z *Archangielska* w kierunku *Nimitza*. W tym samym czasie ruszyłyby dwie fale bombowców naddźwiękowych o zmiennej geometrii skrzydeł Su-24 Fencer z dwóch lotniskowców, *Kijów* i *Noworosyjsk*, i zaatakowałyby eskortę *Nimitza* z południa i zachodu. Każdy z bombowców był uzbrojony w dwa pociski antyradiolokacyjne AS-12, cztery udoskonalone pociski przeciwpancerne dalekiego zasięgu AS-16 i jedno trzydziestomilimetrowe działko rewolwerowe typu Gatling, strzelające pociskami przeciwpancernymi.

Ten podwójny atak, w którym miały wziąć udział dwadzieścia cztery silnie uzbrojone samoloty naddźwiękowe, był perfekcyjnie zaplanowany. Drugi pilot prowadzącego bombowca Backfire, porucznik Iwan Trietiak, był odpowiedzialny za utrzymanie się szczegółowego harmonogramu sześciu bombowców, startujących z bazy lotniczej w Baku, nad Morzem Kaspijskim.

– Drugi pilot, zbliżamy się do punktu kontrolnego! – zawołał do Trietiaka bombardier-nawigator. – Uwaga, uwaga... teraz.

– Siedem sekund spóźnienia – powiedział Trietiak, sprawdzając plan lotu i chronometr. – Nawigator, podać nową prędkość.

– Zaczekajcie... Nowa prędkość do następnego punktu kontrolnego – jeden-jeden-dziewięć-pięć kilometrów na godzinę.

– Zrozumiałem – odpowiedział pilot, major Andriej Budanow. Patrząc uważnie na odczyty swojego szybkościomierza doplerowskiego, popchnął manetki gazu dwóch dwuprzepływowych silników odrzutowych Kuzniecowa NK-144 do pozycji, w której prędkość względem Ziemi osiągnęła prawidłową wartość, potem wyregulował kąt natarcia skrzydeł. – Prędkość ustalona. – Przełączył się na częstotliwość eskadry. – Klucz Rusłań, nastawić gaz na dziewięćdziesiąt cztery procent. Kąt ustawienia skrzydeł czterdzieści stopni. – Piloci pięciu towarzyszących mu samolotów potwierdzili przyjęcie rozkazu.

Idealnie – powiedział do siebie dowódca klucza. Doskonała zgodność z harmonogramem lotu, sześć takich bombowców leci sobie jak gdyby nigdy nic i ani śladu detekcji radarowej lub jakichkolwiek zagrożeń. Doskonale...

LOTNISKOWIEC USS *NIMITZ*

– Sir, SBR melduje sześć dużych, szybkich samolotów nadlatujących z północnego-zachodu. Stacja *Armstrong* twierdzi, że to bombowce Backfire.

– Odległość?

– Ciągle jeszcze są nad Iranem, sir – odpowiedział marynarz z *Nimitza*. – Odległość sześćset sześćdziesiąt mil morskich, zbliżają się z prędkością jednego macha. Wszystkie wciąż na dużej wysokości.

– Powiadomić kwaterę główną! – rozkazał Edgewater i spojrzął na admirała Clancy'ego, jakby oczekiwał sprzeciwu lub zmiany rozkazu. Ale Clancy tylko dodał:

– Pogotowie bojowe dla klucza Romeo i Whiskey Jeden na katapultach. „Wysłać krążownik *Mississippi* na północny-zachód. Będzie wspierał Tomcatty. Nadać na wszystkich częstotliwościach komunikaty ostrzegawcze dla statków powietrznych znajdujących się w promieniu czterystu mil, aby podały swoją identyfikację pod groźbą otwarcia ognia bez ostrzeżenia.

– Tak jest, sir.

Clancy klasnął w dłonie, adiutant podał mu kamizelkę ratunkową i hełm.

– *Nimitz*, tu *Armstrong*. Widzimy samoloty, które lecą w waszym kierunku. Czy nas odbieracie?

– Mamy je, Jason – odpowiedział przez radio uszczęśliwiony Clancy. – Wykryliście ich o całe trzysta mil wcześniej przed nami. Być może ocaliliście całą naszą grupę bojową. Dobra robota!

Saint-Michael wziął głęboki oddech:

– Dzięki, admirale. Zostało nam jeszcze piętnaście minut obserwacji. Miejmy nadzieję, że Rosjanie nie będą zbyt agresywni, kiedy znajdziemy się po drugiej stronie naszej orbity,

– To zależy od nas. Jeszcze raz dziękujemy za pomoc. *Nimitz* wyłącza się.

– Powodzenia, admirale. Bez odbioru.

ZESPÓŁ BOJOWY RUSŁAN

– Dziewięćdziesiąt sekund do punktu odpalenia – oznajmił Trietiak.

– Zrozumiałem – odpowiedział bombardier z głębi swojej ciemnej kabiny,

o kilka metrów za Trietiakiem. Chabarowski spojrział przez wąskie przejście na operatora systemów obronnych, wyciągnął flaszkę z buta i pociągnął łyk.

Nie był jednak dostatecznie ostrożny: oficer systemów elektronicznych, porucznik Artiowski, zauważył go. Chabarowski pomyślał, że czekają go grube nieprzyjemności. Ku jego zaskoczeniu ten kiwnął głową w kierunku swojej kabiny i otworzył dłoń. Chabarowski z wprawą rzucił mu butelkę prosto w ręce.

Artiowski odkręcił butelkę i powąchał zawartość:

– Nie wódka? – Wstrząsnął zawartością i spojrział na Chabarowskiego. Bombardier pogłaskał się dłonią po brzuchu.

– Zbliżamy się do punktu odpalenia.

– Zrozumiałem – Chabarowski dał Artiowskiemu znak podniesionym kciukiem i starannie skontrolował pozycje swoich przełączników odpalania pocisków. – Wszystko sprawdzone. Melduję gotowość do odpalenia i dziesięciosekundowego odliczania.

– Eskadra Rusłan, eskadra Rusłan – wydał przez radio komendę pilot Budanow – gotowi do odpalenia. Powtarzam, gotowi do odpalenia. – Bombardier Chabarowski przesunął przełącznik. Artiowski podniósł kciuk w stronę Chabarowskiego, potem popatrzył na flaszkę. Jeden łyk na pewno nie zaszkodzi. Wciąż byli o wiele mil poza zasięgiem amerykańskich radarów. Przytknął butelkę do ust...

Na jego pulpicie zabrzmiał brzęczyk alarmowy. Zaskoczony Artiowski zakrzuszył się zbożowym bimbrem domowej roboty.

– Sekcja obrony. Zagrożenie. Podać natychmiast pozycję i typ.

Artiowski oparł się o swój mały pulpit poniżej konsoli elektronicznej, ale to niewiele pomogło – nie mógł oddychać ani mówić. Butelka spadła, a alkohol zalał mu kombinezon.

– Obrona! Meldować. Pozycja i rodzaj zagrożenia... Wciąż nie było odpowiedzi.

– Eskadra Rusłan, manewr uniku echo-pięć-echo. Wykonać.

– Nie! – krzyknął Chabarowski. – Brak jeszcze pięciu sekund do końca odliczania...

– Bombardier, wstrzymać odliczanie. Przygotować się do odpalenia, kiedy wyjdziemy z manewru. Obrona, podać mi namiary nieprzyjaciela.

Ale było już za późno. Jedyнным manewrem możliwym do wykonania w szyku frontu było gwałtowne pikowanie w dół z przyspieszeniem trzech „g” w

bezpieczne sąsiedztwo powierzchni morza. Ze względu na konieczność zachowania kierunku, unik powinien być zrobiony natychmiast po wykryciu zagrożenia. Nie było czasu na pytanie o zamiary i wydawanie rozkazów. Dokładnie w momencie, kiedy pilot zdecydował się na taki ruch, pocisk Sił Morskich USA AIM-54 Phoenix uderzył w nasadę prawego skrzydła bombowca. W mgnieniu oka stu pięćdziesięciotonowy samolot zamienił się w ognistą kulę i roztrzaskał w zetknięciu z powierzchnią Morza Arabskiego.

Sześć myśliwców F-14E Tomcat Plus z *Nimitza*, atakując z odległości stu mil pociskami dalekiego zasięgu Phoenix, pędziło za rozpierzchającymi się bombowcami Backfire. Pociski Phoenix były stosunkowo mało skuteczne przy odpalaniu z odległości maksymalnego zasięgu, ale mimo że tylko jeden pocisk trafił w cel, atak był sukcesem. Pociski manewrujące AS-6, w ciągu dziesięciu sekund poprzedzających odpalenie, wymagały stabilności wyrzutni oraz bardzo niewielkich zmian prędkości, a wszystkie sześć bombowców Backfire natychmiast przekroczyło te granice.

Kiedy Tomcaty zbliżyły się, pogrom trwał nadal. Backfire nie miały wewnętrznych luk bombowych, pociski antyradiolokacyjne AS-12 zainstalowane były na podkadłubowych uchwytach belkowych, w związku z czym prędkość lotu bombowców ograniczona była do półtora macha. Już przed rozpoczęciem uniku leciały z prędkością jednego macha, a w momencie gdy rozpoczęły nurkowanie w kierunku bezpiecznej strefy zakłóceń radarowych przy powierzchni morza, szybko przekroczyły granice odpowiedniej prędkości. Niektórym udało się zrzucić awaryjnie pociski AS-12 i AS-6 przed osiągnięciem granicznej prędkości jednego i ośmiu dziesiątych macha, pozostałe wpadły w groźne wibracje, a ich AS-12 zerwały się ze swoich osłabionych zaczepów.

Z sześciu bombowców tworzących formację zaczepną trzy przetrwały pierwszy atak Tomcatów F-14, które pojawiły się nagle, nie wiadomo skąd. Jeden z tej trójki został jednak po chwili wytropiony i zniszczony przez samonaprowadzający się na źródło ciepła pocisk średniego zasięgu Sidewinder. Drugi nie zdołał zrzucić swoich pocisków AS-12, z czego jeden zerwał się z uchwytu i uderzył w statecznik poziomy. Samolot wpadł w korkociąg. Pilot nie zdołał go już wyprowadzić.

Ostatni bombowiec wyszedł z uniku natychmiast po rozpoczęciu nurkowania, wyrównał lot i odpalił swój manewrujący AS-6 dosłownie na kilka sekund przed jednoczesnym trafieniem go przez trzy pociski powietrze-powietrze,

wystrzelone przez dwa Tomcaty. Pocisk AS-6, wspinając się w górę na szczycie wysokiej jaskrawożółtej kolumny ognia, poszybował w niebo, wyrównał na wysokości piętnastu tysięcy stóp i pomknął na południowy wschód z prędkością trzech machów. Amerykańskie Tomcaty nie miały żadnej szansy, aby go doścignąć.

Jednak leciał on prosto w kierunku uzbrojonego w pociski sterowane krążownika USS *Mississippi*, który podążał za Tomcatami z *Nimitza* i śledził go prawie od chwili odpalenia. Krążownik wycelował obie swoje dwuprowadnicowe wyrzutnie typu Mark-26 – dziobową i rufową. Odpalił salwę czterech SM2-ER Standard w kierunku pędzącego pocisku. AS-6, pomimo całej swej wyrafinowanej konstrukcji, dokładności i straszliwej siły niszczenia, nie był już zdolny do żadnych uników. Lecąc na dużej wysokości w linii prostej do celu, stanowił łatwy łup. Amerykańskie pociski antyrakietowe przechwyciły go kilka sekund później.

USS *NIMITZ*

– Mostek, tu CIC. Aegis melduje kontakt radarowy z wieloma obiektami powietrznymi. Kierunek jeden-pięć-zero, odległość trzy-jeden-pięć, zbliżają się szybko.

No cóż, tym razem flota będzie musiała radzić sobie bez pomocy *Silver Tower*, pomyślał Clancy, wchodząc z kapitanem Edgewaterem na mostek USS *Nimitz*. Dzielili uwagę pomiędzy operacje na pokładzie startowym i ekran radarowy systemu kierowania walką Aegis.

Edgewater przyjrzał się ekranowi.

– Klucz Tango jest na patrolu na południowym-wschodzie, admirale. Cztery Tomcaty. – Podniósł słuchawkę połączenia z CIC. – Centrum, tu Edgewater. – Czy policzyliście te nadlatujące samoloty?

– Nie, sir. Na razie dysponujemy namiarami tylko trzech celów. Są na dużej wysokości, mają dużą prędkość, odległość dwieście mil od naszego krążownika *South Carolina*.

– Rozkaz startu dla następnego klucza, który wesprze Tango – powiedział Clancy do Edgewatera. – Nie wierzę, żeby *Archangielsk* wysłał tylko trzy samoloty. Bardziej prawdopodobne, że są to trzy formacje – dwie bombowców i jedna myśliwców eskorty...

– Tak jest, sir. – Edgewater odłożył słuchawkę łączności z CIC i podniósł

drugą. – Operacyjny, tu mostek. Whiskey Jeden startuje, a Sierra na pokład. Whiskey Jeden leci na wsparcie Tango.

Odwrócił się do Clancy'ego, który obserwował gorączkową krzątaninę wokół dwóch Tomcatów F-14 na katapultach. Za ruchomą osłoną czekały w kolejce dwa następne Tomcaty, aby zająć stanowiska poprzednich, a osiem dalszych szykowało się do kołowania za nimi. Winda numer trzy wciąż przywoziła z pokładu hangarowego następne. Na pokładzie startowym panował hałas, czuło się zapach spalin. Zimny deszcz zaczął bębnić po pomoście otaczającym mostek *Nimitza*, ale Clancy był w swoim żywiole, obserwując, jak pracują jego ludzie.

Do Edgewatera podbiegł posłaniec i wręczył mu wydruk komputerowy.

– Wiadomość z *Mississippi*, admirale! – krzyknął Edgewater. Kiedy Clancy nie odpowiadał, wyszedł do niego na pomost. – *Mississippi* strącił radziecki pocisk manewrujący AS-6, wystrzelony w północnym rejonie Morza Arabskiego.

– A co z bombowcami Backfire? Czy Tomcatom udało się...?

– Wszystkie sześć załatwione – powiedział Edgewater, pozwalając sobie na uśmiech. – Tomcaty trafiły pięć z nich. Pilot szóstego stracił panowanie nad maszyną.

Clancy wznosił oczy w niebo. Krople zimnego deszczu uderzały w jego twarz.

– Dzięki ci, *Silver Tower*...

TIURATAM, ZSRR

W nocy, po nieudanej akcji bombowców Backfire na Morzu Arabskim, przed domem Goworowa w bazie Obrony Kosmicznej Tiuratam pojawił się umundurowany mężczyzna. Dobijanie się do drzwi mieszkania przestraszyło żonę Goworowa i wyrwało ze snu ich pięcioletnią córeczkę, która przerażona pytała, czy to pożar. Kiedy Goworow otworzył drzwi, ujrzał adiutanta ministra obrony z zapieczętowanym listem w dłoni. Informowano go, że na lotnisku Tiuratam czeka gotowy do startu MiG-31 i że ma natychmiast zameldować się na Kremlu. Określano też dokładny czas stawienia się przed obliczem Sztabu Generalnego.

Goworow zirytował się, ale nie okazał tego przed adiutantem Czilikowa. Nie było żadnej szansy, aby mógł przybyć o wyznaczonej porze, nawet na pokładzie jednego z najszybszych myśliwców odrzutowych świata. Wyglądało

to więc na jawną intrygę, mającą udowodnić mu, jak bardzo Sztab jest z niego niezadowolony.

Powiedział adiutantowi, że będzie gotów za kilka minut. Wrócił do maleńkiej łazienki znajdującej się obok sypialni i, nie zapalając światła, odkręcił ciepłą wodę, aby się ogolić. Żona uniosła się na łokciu.

– Kto to był, Aleksandrze?

– Posłaniec z Moskwy. Wzywają mnie.

– I zamierzałeś golić się po ciemku? – Wstała z łóżka i zapaliła światło w łazience. – Zobaczę, co u Jekatieriny. – Ten posłaniec ją przestraszył.

Po chwili usłyszał łagodny głos żony, próbującej uspokoić córeczkę, i z trudem opanował drżenie ręki, w której trzymał brzytwę. O mało się nie pokaleczył. Gdyby któryś z dostojnych członków Sztabu został tak wyrwany z łóżka jak on, z pewnością poleciałyby głowy. Nie za bardzo dbał o formy, ale dla czego wciąż traktowano go jak smarkacza?

Oczywiście wiedział, dlaczego... Ponieważ nie udało mu się zniszczyć stacji kosmicznej *Armstrong*, choć początkowo wydawało mu się, że tego dokonał...

Ogolił się, umył szybko, włożył kombinezon i buty lotnicze. Żona czekała przy drzwiach, trzymając jego kurtkę, termos z kawą oraz kanapki z jajkiem i kielbasą zawinięte w serwetkę.

Ujął jej twarz w obie dłonie i pocałował.

– Nie zasługuję na ciebie – powiedział.

– Nie mów tak! Wiesz dobrze, że jest inaczej. – Pomagała mu włożyć kurtkę. Po czym dodała: – Ja też zasługuję na ciebie. – Zasuwała suwak jego kurtki i pocałowała go namiętnie. – Zadzwoisz do mnie przed startem?

Nie spodziewał się tego pytania.

– Nawet nie będę pytał, skąd wiesz, że dzisiaj lecę. Gdybym potrafił rozszyfrować duszę kobiety, pewnie udałoby mi się rozszyfrować kosmos, być może nawet członków Sztabu. – Uśmiechnęła się, ale był to uśmiech pełen napięcia. – Tak – powiedział prędko – będę próbował zadzwonić.

– Kocham cię, Aleksandrze.

Ton głosu żony zastanowił go. Wyraźnie unikała jego spojrzenia. Poczł się nieswojo...

– Zadzwoię do ciebie – powiedział i pospiesznie wyszedł. O mało nie przewrócił adiutanta, który otwierał mu drzwi. Opuścili dom i zanurzyli się w nieprzeniknionej ciemności. Goworow natychmiast chwycił za telefon znajdujący się przy tylnym siedzeniu samochodu.

Kierowca wskoczył za kierownicę i ostro ruszył.

Goworow wystukał czterocyfrowy numer.

– Tu marszałek Goworow. Dajcie mi oficera dyżurnego. Gulajew? Chcę mówić z Gulajewem. Nikołaj, zostałem wezwany do Moskwy. Zadzwoń na lotnisko. Pilot tego MiG-31 ma być zdjęty z rozkazu lotów. Sam polecę. Każ przynieść na pokład mój aparat tlenowy. Potem umieść mnie w rozkazie lotów Elektrona Jeden: aktualne z chwilą mojego powrotu do „Płonącej Gwiazdy”. Przenieś pułkownika Kożeduba na Elektrona Dwa, a Litwiaka na trzeci. Do czasu mojego powrotu Worożejkin jest przydzielony do Elektrona Jeden. Kiedy wrócę i obejmę dowództwo Elektrona Jeden, on będzie zapasowym, razem z Pokryszkinem.

Odłożył słuchawkę i nachylił się do kierowcy.

– Jedź szybciej!

Obraz żony i córki stanął mu żywo w pamięci. Starał się o nich nie myśleć. W oczach żony, tam w domu, zobaczył coś dziwnego. Ona się bała, bała się bardziej niż zwykle...

– Szybciej!

Rozdział 12

Październik 1992

ALARMOWY OŚRODEK INFORMACJI I DOWODZENIA NOWOMOSKOWSK, ZSRR

Po raz pierwszy od wielu miesięcy zdarzyło się, iż członek Sztabu Generalnego Najwyższego Dowództwa Sił Zbrojnych obecny był w radzieckim alternatywnym stanowisku dowodzenia, usytuowanym sto sześćdziesiąt kilometrów na południe od Moskwy. Tej szczególnej pozycji nigdy nie włączano do ćwiczeń czy manewrów prowadzonych dla sprawdzenia gotowości. Było obsadzone przez niewielką grupę personelu – starannie dobranych techników i żołnierzy, i nie miało własnego dużego lotniska. Członkowie Sztabu przylatywali z Moskwy śmigłowcami. Dwa inne, wysoko cenione zastępcze stanowiska dowodzenia, znajdujące się w podziemiach Kremla i w Puszkino, były wielokrotnie opisywane i powszechnie znane, dlatego też mogły się stać łatwym celem dla Zachodu w przypadku uderzenia termojądrowego. Nowomoskowsk, znacznie oddalony od celów wojskowych, fabryk, węzłów kolejowych i, co najważniejsze, rozgłosu, był tak zaprojektowany, aby przetrwać wszystko, może z wyjątkiem bezpośredniego trafienia. Gdyby Związek Radziecki został zaatakowany, jedenastu członków Sztabu, ich adiutanci i asystenci wiedzieli, że posterunek dowodzenia w Nowomoskowsku jest o wiele bezpieczniejszy i lepiej strzeżony niż jakikolwiek inny w Moskwie.

Prawdopodobnie był najbezpieczniejszym miejscem w całej Europie Wschodniej. Kiedy Związek Radziecki udoskonalił technikę spawania bardzo grubych elementów metalu, natychmiast zastosowano ją do budowy ścian tego podziemnego obiektu o powierzchni trzech tysięcy stóp kwadratowych. Główną konstrukcję ścian bunkra tworzyły stalowe płyty grubości czterech stóp, spawane za pomocą małych detonacji nuklearnych w reaktorach przemysłowych. Ta metalowa komora spoczywała na ogromnych amortyzatorach, których zadaniem było złagodzenie straszliwej fali uderzeniowej towarzyszącej

eksplozji nuklearnej. Bunkier był na ponad dwadzieścia osób. Mogły tam mieszkać i pracować we względnym komforcie przynajmniej miesiąc. Niewątpliwie schron w Nowomoskowsku stanowił właściwy obiekt do ochrony w razie wojny nuklearnej.

Ale teraz nie było to miejsce bezpieczne dla ludzi, którzy chcieliby uniknąć gniewu I sekretarza. Radziecki przywódca siedział u szczytu dużego, trójkątne-go stołu i z rosnącą irytacją słuchał pierwszego wiceministra obrony Chromiejewa, który stojąc przed elektroniczną tablicą omawiał postępy operacji „Pió-ro”. Członkowie Sztabu siedzieli po obu stronach sekretarza. Przed każdym z nich stał terminal łączności i telefon.

Poprzedniego dnia, kiedy rozpoczął się pierwszy ze zmasowanych ataków powietrznych na grupę lotniskowca *Nimitz*, I sekretarz odwołał wszystkie swoje wystąpienia i spotkania, aby osobiście objąć dowodzenie w konflikcie na Morzu Arabskim. Przełamanie amerykańskiej blokady wejścia do Zatoki Perskiej było teraz głównym zagadnieniem skupiającym jego uwagę. W miarę jak dowiadywał się, że nic nie postępuje zgodnie z planem, gniew jego wzrastał coraz bardziej. I nie można było mieć o to do niego pretensji. Na nim przecież spoczywał również ciężar odpowiedzialności za niełatwą sytuację gospodarczą kraju. To wojsko powinno radzić sobie z wykonaniem określonych strategii i osiągnięciem wyznaczonych celów.

– Zgrupowanie *Archangielska* stworzy wkrótce linię błyskawicznego ataku powietrznego wokół lotniskowca *Nimitz* – mówił Chromiejew. – Ten szlak zapewni stosunkowo bezpieczną drogę dla naszych myśliwców bombardujących Su-24, bazujących na lotniskowcu, aby mogły ominąć flotę amerykańską i wzmocnić grupę *Breżniewa* w Zatoce Perskiej. Oczekujemy...

– Stop! – przerwał I sekretarz. – Co to znaczy „stosunkowo bezpieczny” pas ataku? Chcę wiedzieć, co z tym przeklętym *Nimitzem*. Ciągłe jeszcze blokuje cieśninę Ormuz, tak czy nie? Dlaczego go nie atakujemy? Dlaczego wciąż nie mamy kontroli na Morzu Arabskim? Dlaczego nie możemy wprowadzić grupy *Archangielska* do Zatoki Omańskiej? Dlaczego?

– Bo jeszcze nie zredukowaliśmy sił amerykańskich w stopniu umożliwiającym przejście radzieckim okrętom – odparł admirał Czerczerowin. – Towarzyszu sekretarzu, to potrwa...

– A w jakim stopniu zredukowaliśmy te siły? Ile jednostek pływających zatopiliśmy?

Czerczerowin milczał.

– Żadnego? Nie zatopiliśmy ani jednego?!

– Konflikt nie doszedł jeszcze do punktu, w którym okręty nawodne nawiązują bezpośredni kontakt – wtrącił się minister obrony Czilikow. – Ta faza konfliktu może dopiero nastąpić za kilka dni. Teraz bitwa toczy się w powietrzu, nasze samoloty starają się oczyścić drogę radzieckim okrętom...

– I poważnie uszkodziliśmy kilka amerykańskich jednostek pływających – dodał Czerczerowin. – Nasze pociski AS-12 są bardzo skuteczne przeciwko starszym typom amerykańskich radarów przeszukująco-śledzących. Kiedy już ich krążowniki, uzbrojone w pociski kierowane, zostaną wyłączone z walki, wtedy nasze bombowce będą mogły utorować drogę *Archangielskowi* i jego grupie...

– Wam się cały czas wydaje, admirale, że prowadzimy tę ofensywę tylko po to, aby umożliwić *Archangielskowi* wejście do Zatoki Perskiej – przerwał I sekretarz. – A nie to jest naszym celem. Naszym celem jest usunięcie grupy lotniskowca *Nimitz* jako siły obecnej w rejonie Zatoki Perskiej. Jeśli to konieczne, chcę, żeby *Nimitz* i jego eskorta zostały zmiecione z powierzchni morza... zdaje się, że jest to wyrażenie, którego wy używacie. Czy to jasne, admirale?!

– Tak jest, towarzyszu sekretarzu. – Czerczerowin czuł, jak mu się robi gorąco.

Radziecki przywódca zwrócił się do pozostałych członków Sztabu:

– No dobrze, chcę usłyszeć całą resztę. Jakie mamy straty?

– W dużych jednostkach nawodnych są wciąż równe zero – pospieszenie włączył się Chromiejew. – Zameldowano o uszkodzeniach na pokładach pięciu okrętów. Wszystkie straty spowodowane zostały atakami pocisków antyradarowych. Fregata *Karamarow* typu Kriwak została w dużym stopniu uszkodzona, ale płynie dalej. *Archangielsk* melduje o utracie osiemnastu myśliwców Su-27, trzech Kamow-27 do zwalczania okrętów podwodnych...

– Osiemnaście myśliwców! – wykrzyknął I sekretarz. – W ciągu dwóch dni straciliśmy aż tyle? A ile ich było na początku?

– Siedemdziesiąt cztery...

– A więc ubyla nam jedna czwarta myśliwców bazujących na lotniskowcu? Jak to się mogło stać? – zwrócił się do Czerczerowina. – *Archangielsk* miał być elementem rozstrzygającym. Jak dotąd, do cholery, jest prawie bezwartościowy.

– To nie tak, towarzyszu – powiedział szybko admirał. – Nasze straty są wyższe od przewidywanych, ponieważ Amerykanie wyraźnie nie martwią się tym, iż eskalacja tego konfliktu może przeistoczyć się w poważną konfrontację.

Grupa *Nimitza* powinna była wycofać się z rejonu Zatoki Perskiej – zamiast tego nie tylko zablokowała ten szlak morski, ale użyła siły, aby uniemożliwić nam loty nad tym rejonem...

– Chwileczkę, admirale, na czym polega tu problem...? To właśnie my powinniśmy być stroną atakującą, i to za wszelką cenę. To my powinniśmy decydować. A widzę, że jesteśmy przepychani wokół Morza Arabskiego przez znacznie słabsze siły. – I sekretarz spojrzął na Czilikowa, spodziewając się odpowiedzi. Kiedy jej nie usłyszał, dodał: – Myślę, że przyszedł już czas, aby dowództwo flotylli Morza Arabskiego objął ktoś młodszy i energiczniejszy.

Admirał Czerczerowin rozejrzał się szybko po sali, jakby szukał poparcia. Ale nikt nie odezwał się słowem, nawet Czilikow. Admirał spojrzął na Aleksandra Goworowa.

– Myślę, że przedtem należałoby zapytać marszałka Goworowa o stan tej amerykańskiej wojskowej stacji kosmicznej, którą on rzekomo obezwładnił. W ciągu dwóch ostatnich dni, w sposób oczywisty, zwiększyła zdolność Amerykanów do odpierania naszych ataków.

I sekretarz zrozumiał, że Czerczerowin usiłuje zrzucić z siebie winę, choć miał trochę racji. Rzucił admirałowi spojrzenie, które miało mu dać do zrozumienia, że nie wykręci się tak łatwo, po czym zwrócił się do Goworowa:

– Rzeczywiście, wywiad wojskowy meldował, że radar kosmiczny stacji *Armstrong* jest znowu sprawny. Sygnały transmisji satelitarnej sugerują, że stacja ostrzega okręty amerykańskie i kieruje atakami przeciwko naszym siłom. Czy to możliwe?

– Tak, towarzyszu sekretarzu. Myliłem się w mojej ocenie uszkodzeń. Podczas naszego pierwszego ataku byliśmy uzbrojeni tylko w dwadzieścia pocisków bez głowic z ładunkiem wybuchowym, pułkownik Wołoszyn zagiął, zanim zdążył wystrzelić swoje. A ja, przez dłuższy czas go poszukując, nadmiernie uszczupliłem swoje zasoby paliwa i musiałem wycofać się z ataku, zanim odpaliłem wszystkie pociski przeciwko stacji. Jednak moja ocena uszkodzeń poszczególnych podsystemów stacji była dokładna...

– Goworow, mam dla was wiele szacunku. Przynajmniej nie uciekacie się do głupich wymówek, chociaż wydaje się, że podjęliście pewne nierozsądne czy też nieodpowiedzialne decyzje. Troska o towarzysza jest rzeczą chwalebną, ale bywają sytuacje, kiedy trzeba dokonywać trudnych wyborów. Nie dokończyliście zadania. Ucierpiał na tym wielu ludzi. Czy macie więc teraz jakiś pomysł, jak by to naprawić?

A więc całą winę przypisano jemu, a pobłażliwość I sekretarza wyglądała dwuznacznie. To prawda, że dawano mu drugą szansę – przynajmniej częściowo, ze względu na to, że był najlepszym fachowcem do wykonywania takiego zadania, ale zrozumiał także, że jeśli zawiedzie ponownie, byłoby dla niego lepiej, gdyby w ogóle nie wrócił z tej misji.

– Towarzyszu sekretarzu, proponuję przeprowadzić następny atak na stację kosmiczną, aby dopełnić tego, czego nie dokończyłem za pierwszym razem. – Zwrócił się do pozostałych członków zebrania. – Uważam, że atak powinien być poprzedzony ostrzałem przez laser chemiczny z Ośrodka Badawczego Sary Szagan przeciwko nowemu geosynchronicznemu satelicie zwiadowczemu amerykańskich sił powietrznych nad Oceanem Indyjskim. Laser powinien zaatakować satelitę wtedy, kiedy stacja kosmiczna *Armstrong* znajdzie się po drugiej stronie Ziemi, aż do czasu, gdy upewnimy się, że satelita został zniszczony lub wytrącony z orbity. To sprawi, że nasz start z Tiuratom nie zostanie wykryty. Dla naziemnych stacji radarowych śledzenie nas będzie zbyt trudne bez uprzedniej informacji o punkcie startu i punkcie wejścia na orbitę, tak więc *Armstrong* nie otrzyma ostrzeżenia o naszym ataku...

Zostanie on dokonany ponownie przez uzbrojone kosmoloty Elektron, startujące z ośrodka startowego „Płonąca Gwiazda” w Tiuratom, ale tym razem użyjemy trzech zamiast dwóch. Każdy z moich skrzydłowych będzie miał na pokładzie dziesięć pocisków Bavinash, które zostały zmodyfikowane. W ich głowicach umieściliśmy czterdziestokilogramowe ładunki wybuchowe zamiast dawnych przeciwpancernych, wykonanych ze stopu zubożonego uranu z molibdenem. Zadaniem obu moich skrzydłowych będzie zniszczenie systemu radaru kosmicznego, napędu stacji i wszelkiego uzbrojenia defensywnego. Mój zaś Elektron zostanie obciążony o wiele ważniejszym ładunkiem, towarzyszu sekretarzu. Pociski Scimitar nie są w stanie całkowicie zniszczyć tak dużej stacji jak *Armstrong*, a nasze kosmoloty nie mogą zmusić stacji, by weszła do atmosfery. Dlatego też przeniosę na orbitę specjalną bombę o wadze dwóch tysięcy kilogramów. W bombie tej zachodzi reakcja chemiczna, w czasie której wytwarza się energia i wysoka temperatura, potrzebne do wymieszania wielkich objętości gazowego wodoru i tlenu w komorze ciśnieniowej. Siła wybuchu w próżni kosmosu będzie równa eksplozji dwóch ton trotylu. Kiedy obrona *Armstronga* zostanie zneutralizowana, zbliżę się do niego, umieszczę na nim bombę, a potem ją zdalnie zdetonuję... Podczas mojej pierwszej misji celowo opóźniłem atak, aby dać załodze czas na ewakuowanie się ze stacji. Musiałem tak zrobić, chociaż rozumiem, że dało to czas Amerykanom na zorganizowanie

obrony, która spowodowała śmierć pułkownika Wołoszyna. Powracając na stację i ponownie uruchamiając jej ofensywne systemy zwiadowcze i ostrzegawcze, Amerykanie dali do zrozumienia, że nie uważają naszych kosmolotów za zagrożenie. Tym razem więc rozpoczną atak natychmiast i zniszczą tę stację na pewno.

I sekretarz był zadowolony, choć nie okazał tego. Ten młody oficer przynajmniej wyszedł z jakimiś propozycjami. Żałował, że inni obecni na tej sali nie byli równie pomysłowi.

– To chyba jest wykonalne. Co o tym myślicie, Czilikow? – Czilikow zgodził się. – Czy są jakieś uwagi? – Nie było. – A więc ten plan jest zatwierdzony.

– Dziękuję, towarzyszu sekretarzu – powiedział Goworow. – Będę prosił o ostateczne zezwolenie na start w ciągu ośmiu godzin. Atak zacznie się około trzech godzin później.

– Bardzo dobrze, marszałku. Jesteście wolni.

Goworow oddał honory i wyszedł. I sekretarz zwrócił się raz jeszcze do Czerczerowina:

– Macie jeszcze jakieś kozły ofiarne, admirałe?

Czerczerowin nie zareagował.

– Jeśli marszałek Goworow dotrzyma swojej obietnicy i zniszczy tę amerykańską stację kosmiczną, o czym zresztą jestem przekonany – powiedział I sekretarz – czy będzie to oznaczało, że grupa *Archangielska* zdoła zmusić grupę *Nimitza* do wycofania się, czy też są jakieś szczegóły, które nie zostały jeszcze ujawnione, jakieś okoliczności, które pozwolą wam tłumaczyć się w przypadku następnej porażki?

– Samoloty, które nie wróciły *Archangielsk*, muszą być uzupełnione – oświadczył Czerczerowin. – Nie mamy dokładnych danych liczbowych na temat strat w samolotach amerykańskich...

– Przez co mam rozumieć, że oni nie ponieśli żadnych strat – wtrącił I sekretarz. – Spodziewam się najgorszego. Jeśli nie mogę wydobyć z was prawdy, całej prawdy, zakładam, że stało się najgorsze... że nie zniszczyliście żadnych amerykańskich samolotów myśliwskich, a oni naszych dwadzieścia. Jak prędko możemy dostarczyć na *Archangielsk* te brakujące myśliwce?

– To może być trudne. – Admirał mówił powoli, spodziewając się kolejnego wybuchu niezadowolenia. – Samoloty Su-27, przystosowane do startu z pokładu *Archangielska*, stacjonują tylko we Władywostoku, jego macierzystym porcie. Operacja przerzucenia stamtąd dwudziestu Su-27 trochę potrwa. Potrzebujemy co najmniej jednego dnia na planowanie i pół dnia na przelot.

– A więc półtora dnia – skonstatował I sekretarz. – I to, jak sędzę, jest bardzo optymistycznym założeniem, sytuuje nas dopiero na tym samym poziomie sił, jaki mieliśmy przed zniszczeniem pierwszych dwudziestu samolotów. Kiedy już ta stacja kosmiczna zostanie strącona, w jaki sposób proponujecie wykorzystać tę przewagę? – Wstał i obszedł dookoła trójkątny stół. – Posłuchajcie mnie teraz: nie dam się zmusić do użycia broni termojądrowej dla załatwienia sprawy Zatoki Perskiej. Nie chcę przejść do historii jako pierwszy radziecki przywódca, który użył broni nuklearnej, zwłaszcza przeciwko słabszym siłom nieprzyjaciela. No dobrze, słucham teraz innych propozycji.

– Mam pewną sugestię, towarzyszu sekretarzu – powiedział Iljanowski, naczelny dowódca armii. – Naszym celem jest zniszczenie lub obezwładnienie *Nimitza* oraz jego eskorty. Wciąż uważam, że zmasowany atak pociskami manewrującymi jest najskuteczniejszy przeciwko flocie amerykańskiej, ale nie pociskami odpalanymi z powietrza. Profil lotu pocisków AS-6 i AS-4 czyni je zbyt łatwym celem dla krążowników eskorty *Nimitza*, uzbrojonych w pociski kierowane. Inna broń typu powietrze-ziemia, jaka ostatnio została wprowadzona, jest bronią nuklearną.

– Co więc pozostaje nam jeszcze do dyspozycji?

– Mamy startujące z wyrzutni lądowych samosterujące pociski dalekiego zasięgu, będące odmianą SS-N-24, ostatnio wprowadzonych do uzbrojenia niektórych naszych starszych okrętów podwodnych. Są to pociski GL-25 Daleka Śmierć. Osiągają prędkość okołoświatłową, są naprowadzane aktywnie, sterowane inercyjnie i na podstawie analizy profilu terenu. Mogą być wyposażone w głowicę bojową o pojemności tysiąca stu kilogramów konwencjonalnego materiału wybuchowego lub pięćsetkilotonową głowicę termojądrową. Są bardzo skuteczne w zasięgu do trzech tysięcy kilometrów. Jak dotąd, rozmieszczono ich tylko około stu, ale większość trafiła do Dowództwa Południowego Rejonu Wojskowego podczas manewrów „Górska Przejażdżka”. Wystrzelone z Taszkientu lub z gór na północ od Afganistanu, powinny trafić flotę amerykańską na Morzu Arabskim.

– Okręty eskorty *Nimitza* dowiodły już jednak, że potrafią się obronić przed atakiem pocisków manewrujących – wtrącił Czerczerowin.

– Ale nie przed GL-25 – zaoponował Iljanowski. – One nie pozostają na wysokich pułapach, kiedy zbliżają się do celu, jak AS-4 lub AS-6. Zaprogramowane są do lotu na niewielkiej wysokości, w obszarach o dużej koncentracji zagrożeń, a na ostatniej setce kilometrów przed celem mogą dokonać skoku z

prędkością naddźwiękową. W momencie kiedy *Nimitz* i jego eskorta wykryją je, będzie za późno na przechwycenie.

– Ale czas potrzebny na zaplanowanie uderzenia...

– Pociski te – przerwał Iljanowski – da się przeprogramować w ciągu zaledwie paru godzin. Umieszczone są na stanowiskach startowych, przygotowanych w czasie, kiedy rozpoczęła się operacja „Pióro”. Wymierzono je w ewentualne rejony oporu w Iranie i Afganistanie. Mogą być gotowe do startu znacznie wcześniej, nim marszałek Goworow zakończy swoje uderzenie przeciwko stacji *Armstrong*.

Zapadło milczenie.

– Czy są jeszcze jakieś wątpliwości? – spytał I sekretarz. – Wobec tego zatwierdzam tę operację. – Zwrócił się do Iwanowskiego: – Ile pocisków może być wysłanych przeciwko flocie amerykańskiej?

Iljanowski milczał chwilę, po czym powiedział:

– Towarzyszu sekretarzu, o ile się orientuję, to południowy TDW otrzymał siedemdziesiąt pięć pocisków dla wsparcia operacji „Górska Przejażdżka”. Przyjmując, że pewna ich liczba jest niesprawna z powodu normalnych problemów serwisowych, jestem przekonany, że mogę wysłać przynajmniej pięćdziesiąt GL-25 przeciwko flocie amerykańskiej.

– Pięćdziesiąt na dwadzieścia amerykańskich okrętów. Ile pocisków można dokładnie wymierzyć w *Nimitza*?

– GL-25 nie mogą być wycelowane aż tak precyzyjnie, towarzyszu sekretarzu. Kiedy znajdują się w pewnej odległości od wcześniej zaprogramowanego celu, ich radary naprowadzające włączają się i każdy pocisk leci wprost na obiekt, który najsilniej odbija fale radarowe na danym obszarze. A flota amerykańska jest rozproszona dostatecznie szeroko na Morzu Arabskim, aby było bardzo prawdopodobne, że każdy będzie podążał do innego celu, a nie że wraz z innymi zaatakują ten sam okręt. Myślę, że pociski GL-25 zrobią ogromne spustoszenie wśród okrętów floty amerykańskiej.

I sekretarz wyglądał na autentycznie zadowolonego.

– A więc atak pociskami GL-25 uzbrojonymi w konwencjonalne głowice bojowe z silnym materiałem wybuchowym ma być niezwłocznie wykonany. Zanim zostaną odpalone, chcę otrzymać dokładną informację o trasie ich lotu.

Iljanowski poczuł ulgę i podniecenie. Skinął głową na adiutanta i wydał mu rozkazy, każąc postawić w stan alarmu jednostki raketowe w południowo-centralnej części Związku Radzieckiego.

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG*

Saint-Michael przełączył swój pulpit łączności na kanał TDRS i poprawił słuchawki.

– *Nimitz*, tu mówi *Armstrong*. Przekraczamy horyzont za minutę. Odbiór.
– Zrozumiałem, Jason – odpowiedział admirał Clancy. – Czekamy w gotowości na test transmisji danych.

W ciągu ostatnich dwóch dni przerabiali tę lekcję już kilkakrotnie, ale za każdym razem zaszokowani byli efektami wynikającymi z możliwości korzystania z „kosmicznych oczu”. Kiedy stacja *Armstrong* była po drugiej stronie globu, *Nimitz* musiał polegać na informacjach napływających z odrzutowców rozpoznawczych lotnictwa morskiego RF-18 Hornet, turbośmigłowych samolotów wczesnego ostrzegania i kontroli E-2C Hawkeye oraz zdalnie sterowanych samolotów zwiadowczych HIMLORD, aby dowiedzieć się, co szykują Rosjanie. *Nimitz* wysyłał dwa Hawkeye i jednego Horneta, a USS *Kidd* cztery HIMLORD-y naraz. Stawały się one w końcu celami ćwiczebnymi dla okrętów eskorty i myśliwców radzieckiej grupy bojowej. Do tej pory utracili dwa Hornety, jednego Hawkeye i całą eskadrę HIMLORD-ów.

SBR *Silver Tower* zapewniał natomiast znacznie większą skalę i precyzję obrazu całego regionu. Admirał Clancy zaczął już mówić, że marynarka powinna umieścić na orbicie własne stacje radarowe, które obsługiwałyby wszystkie grupy lotniskowców znajdujących się w pierwszej linii. Nic więc dziwnego, że co dziesięć minut gorąco witał każde kolejne pojawienie się *Silver Tower*.

Saint-Michael obserwował testy samokontrolującego się systemu i przesuwane się na ekranach monitorów raporty o stanie urządzeń. Ken Horvath wskazał na migającą linię.

– Znowu ta sama usterka w obwodzie przekaźnikowym.

Ann znajdowała się w module kontrolnym Skybolta. Otarła z twarzy kropelki potu, włożyła maskę tlenową i wzięła kilka głębokich wdechów. Leżała na plecach i zakładała zaciski zabezpieczające na obwód przekaźnikowy. Wierzch modułu został wgnieciony przez jeden z pocisków podczas pierwszego ataku radzieckiego kosmolotu. Monitory i konsole, które dawniej znajdowały się nad głową, zostały teraz wciśnięte niemal do podłogi. Było zimno, a powietrze tak rozrzedzone z powodu nieszczelności, że traciła niemal przytomność, gdy zapominała o paru głębokich wdechach tlenu co kilka minut.

Tuż nad jej głową zwiślał nie zabezpieczony przewód pod napięciem dziesięciu tysięcy woltów, a wszędzie dookoła wały się fragmenty urządzeń

komputerowych, poklejone taśmami i rzepami velcro. Przekazniki, układy pamięciowe, przewody zasilające, które pierwotnie były przeznaczone dla jednego obwodu, musiały teraz obsłużyć trzy lub cztery. Ale była to gra warta świeczki... przynajmniej taką miała nadzieję. Skybolt został połączony. Tylko czy będzie działać?

- Właśnie skończyłam – odezwała się. – Jestem gotowa do testu.
- Przykro mi, ale zaraz znowu przekroczymy horyzont.

Wkrótce sygnał usterki zniknął i na jego miejsce pojawiła się informacja, że obwód działa prawidłowo. Ann, która większość czasu od chwili naprawienia stacji spędziła w module kontrolnym Skybolta, mogła pracować nad obwodem przekątnym pomiędzy Skyboltem a SBR tylko wtedy, kiedy radar kosmiczny nie był używany do obserwacji Morza Arabskiego.

Kilka minut później weszła do modułu dowodzenia, niosąc trzy kubki kawy i parę kawałków twardej czekolady, jedynej żywności, jaka pozostała nie skażona. Saint-Michael i Horvath sięgnęli po kawę.

- Co tam słysząc u ciebie?

– Nie najlepiej. Rosjanie wpakowali jeden ze swoich pocisków prosto w przekaznik SBR, który kieruje systemem naprowadzania zwierciadła laserowego. Próbuje teraz przenieść te obwody gdzie indziej, ale w efekt nie wierzę. Zaczynam odkrywać, jak mało wiem o całej tej elektronice. Chciałabym mieć możliwość przetestować cały system, kiedy znajdziemy się pod horyzontem rejonu walki.

– Załatwione. – Saint-Michael ponownie sprawdził odczyty. – Test samokontroli systemu kompletny – ogłosił wciskając guzik POTWIERDZENIE na swoim terminalu komputerowym. Przełączył się na TDRS. – *Nimitz*, tu *Armstrong*. Zakończyłem test sprawności łącza przekazu danych. Wszystko w porządku. Jak mnie słyszycie?

– Potwierdzam pomyślny wynik testu transmisji danych – odezwał się główny operator systemu kontroli i dowodzenia Aegis na pokładzie krążownika *Ticonderoga*. – Staramy się otrzymać potwierdzenie z *Nimitza*. Nie wyłączajcie się.

Minęło kilka chwil. Poprzez zestawienie współrzędnych długości geograficznej Saint-Michael mógł poinformować załogę o momencie przekroczenia horyzontu w rejonie konfliktu. Z cichą satysfakcją obserwowali teraz, jak *Ticonderoga* i *Nimitz* chciwie pochłaniają ich transmisję z radaru SBR.

– *Armstrong*, tu *Nimitz*. Zgłoszcie się. – Głos admirała Clancy'ego brzmiał poważnie. Z twarzy członków załogi *Silver Tower* zniknął uśmiech.

– Tu Saint-Michael, sir. Słucham.
– Jason, Dowództwo Obrony Powietrznej przekazało nam właśnie wiadomość z wywiadu. Kiedy byliście po drugiej stronie, na ostatnim okrążeniu, laser w Sary Szagan zaatakował naszego satelitę szpiegowskiego nad Oceanem Indyjskim. Został zniszczony. Kaput. Nie mamy żadnej możliwości wykrywania startów rakiet w tym regionie.

Horvath spojrział na Saint-Michaela.

– Co to oznacza, szefie?
– To ich początkowa zagrywka, taka sama jak ostatnim razem – odparł Saint-Michael. – Ich kosmoloty mogą teraz startować bez obawy, że zostaną wykryte. Lada moment możemy się ich tu spodziewać. – Ponownie włączył TDRS. – Zrozumiałem, admirale. Czy istnieje jakakolwiek inna możliwość wykrywania startów nad Azją?

– Nie. Korzystamy wyłącznie z rozpoznania taktycznego lub SBR. SPACETRACK i Pacific Radar Barrier na Diego Garcia może będą w stanie je zauważyć, ale jedyne stacje radiolokacyjne, na które możemy liczyć, to albo Pulmosan w Korei Południowej, albo San Miguel na Filipinach. – Nastąpiła pełna napięcia chwila milczenia. – Spróbujemy połączyć was z San Miguel lub Diego Garcia, ale to wam nic nie da. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, Jason. Koniec zabawy. Musicie zabrać tyłki w troki i wynieść się z tej stacji.

Saint-Michael zwrócił się do Ann:

– I co ty na to? Czy Skybolt może nam pomóc? Czy jest jakaś szansa?
– To SBR jest tu punktem krytycznym, Jason. Funkcje wychwytywania błędów w SBR nie były projektowane do współpracy z interfejsem Skybolta – sama muszę wykryć te błędy systemu. Myślę, że uda mi się to zrobić, ale...
– Nie rób uników, Ann. Powiedz mi wprost, czy on może działać. Tak, czy nie?

Zawahała się, próbując oddzielić rzeczywistość od pobożnych życzeń.

– Nie wiem. Myślę, że potrafię skorygować wszystkie błędy, ale to wymaga czasu...

Saint-Michael przyłożył mikrofon do ust. Jego słowa miały siłę pocisków.

– Zrozumiałem, *Nimitz*. Zaczniemy ewakuację natychmiast. Informujcie nas o wszelkich problemach z przekazem SBR. *Armstrong* wyłącza się.

– Jak to, ewakuujemy się? – zapytała Ann.

– Nie mamy innego wyboru.

– Ale cała nasza praca... Doprowadziliśmy tę stację ponownie do stanu używalności...

– Ann, ja nie mogę zapomnieć tych ciał tam, w module cumowniczym. Ci ludzie zginęli, ponieważ podjąłem decyzję pozostania po pierwszym ataku laserowym...

– Ale miałeś po temu cholernie ważne powody...

– Ważne czy nie... oni są martwi. Ta sama sytuacja powtarza się teraz, tylko że jest jeszcze gorzej. Stacja trzyma się w kupie na słowo honoru. Ryzykuję życie ludzi za każdym razem, kiedy otwieramy ten cholerny wąż... – Przerwał, dotknął lekko jej ramienia. – Posłuchaj mnie. Skybolt był naszą ostatnią nadzieją, naszym asem atutowym w rękawie, a teraz... teraz nie możesz zapewnić mnie, że go posiadamy. Nie mamy innego wyboru... Zostało nam prawdopodobnie tylko parę godzin do momentu, gdy ich kosmoloty tu dotrą. To daje nam trochę czasu na przygotowania... I może jeszcze uda się nam uratować Skybolta, jeśli ty i Ken zdołacie odłączyć go od stacji. Możemy załadować moduł lasera do ładowni *Enterprise*, a moduł kontrolny do *Ameryki* i oba wysłać na orbitę parkingową.

Ann z żalem skinęła głową.

– Spróbuję zaprogramować komputery SBR do działania automatycznego lub do zdalnego sterowania – powiedział Saint-Michael. – Przynajmniej będziemy mogli wykorzystać stację jeszcze parę godzin, zanim... zanim ją unieściami.

Kiedy przystąpili do końcowych przygotowań, nikt już nie miał wątpliwości, że tym razem zniszczenie *Silver Tower* będzie całkowite i ostateczne.

Nie pozostało im już dużo czasu.

Planowanie bezbłędne, wykonanie idealne. Dziewiętnastosekundowy ciągły impuls pełną mocą lasera chemicznego z Sary Szagan rzeczywiście zmiotł zapasowego satelitę wykrywania startów nad Oceanem Indyjskim. Najpierw oślepił go elektronicznie, potem przepalił przewody paliwowe, powodując eksplozję. Nie kontrolowane wirowanie martwego satelity z łatwością wykryły radary przeszukujące przestrzeń kosmiczną w Tiuratom. Do „Płonącej Gwiazdy” przekazano wiadomość, że satelita został unieszkodliwiony.

Goworow i jego dwaj skrzydłowi, pułkownik Andriej Kożedub na Elektronie Dwa i pułkownik Jurij Litwiak na Elektronie Trzy, byli już na pokładach swoich samolotów kosmicznych podczas ataku laserowego. Odliczanie zostało wstrzymane na dziesięć minut przed startem. Kiedy otrzymali wiadomość o zniszczeniu satelity, odliczanie niezwłocznie wznowiono.

I znów Goworow był pierwszym, który wystartował, wznosząc się na kolumnie płonącej nafty i kwasu azotowego, na wierzchołku swojej rakiety nośnej Kriepkij SL-16 o sile ciągu dwóch milionów funtów. Następne dwie rakiety SL-16 wystartowały w odstępach trzydziestosekundowych, co wystarczyło zaledwie, aby dwustutrzydziestopowa, ważąca pięćset pięćdziesiąt ton rakiet Kriepkij zdążyła opuścić wieżę startową.

Wylot trzech rakiet najpierw wykryły czujniki sejsmiczne w ośrodkach wywiadowczych NATO w Pirinlik, w Turcji. Ale z odczytów seismografów, bez satelity wykrywającego starty, dla Dowództwa Kosmicznego USA nie wynikało nic poza tym, że nastąpiła seria potężnych eksplozji. Trasa lotu radzieckich rakiet nośnych z zachodu na wschód umożliwiła radarom wykrywającym dalekiego zasięgu FPS-17 systemu SPACETRACK sił powietrznych USA oraz radarom śledzącym FPS-79 znajdującym na małej wysepce Diego Garcia – wykrycie rakiet, kiedy wznosiły się jeszcze w atmosferze. To właśnie ośrodek radarowy SPACETRACK wykrył odłączenie się pierwszego stopnia rakiet nośnych nad Mongolią oraz drugiego stopnia nad Pacyfikiem, na północ od Japonii. Profil lotu i pozycje na orbicie były aktualizowane przez radary Bariery Radarowej Pacyfiku w San Miguel na Filipinach, a potem przez skierowane na południe radary Air Force, przeznaczone do wykrywania i śledzenia pocisków balistycznych wystrzeliwanych z morza, w Teksasie i w Georgii.

Mimo że dojście na orbitę *Armstronga* nie zajęło trzem kosmolotom zbyt wiele czasu, pościg za stacją, aby zbliżyć się do niej na odległość kilkuset mil, wymagał wykonania dwóch pełnych okrążeń po orbicie Ziemi – w ciągu przeszło trzech godzin.

Trzeci stopień rakiet nośnych wciąż jeszcze połączony był z kosmolotami. Goworow zarządził ustawienie jednakowej siły ciągu i starannie przeanalizował trasę pościgu, korzystając z sygnałów namiarowych radarów naziemnych oraz systemów satelitarnych. Musiał znaleźć rozwiązanie kompromisowe pomiędzy utratą dużych ilości paliwa w szybkim pościgu a utratą cennego czasu i tlenu przy wariacie zakładającym wolniejsze przechwycenie celu.

Tym razem postanowił być cierpliwy. Wszystko – jego życie, kariera, sukces operacji „Pióro” – zależało od tego, czy nie popełni następnego błędu. Czas pośpiechu nadejdzie, kiedy cel zostanie przechwycony i rozpocznie się ostateczny atak na amerykańską stację kosmiczną...

Goworow kończył właśnie pierwsze okrążenie po orbicie Ziemi, zmniejszając odległość do stacji *Armstrong*, kiedy nastąpił inny, spektakularny start wielu obiektów w południowej części Rosji centralnej.

Co dziesięć sekund, z pewnej górskiej doliny ukrytej na południe od Tazkientu, zaczęły buchać jężory płomieni. Napędzany silnikiem raketowym na paliwo stałe, startujący pocisk manewrujący GL-25 „Daleka Śmierć” odrywał się od swojej wyrzutni zamontowanej na wagonie kolejowym, w kierunku ciemnego nieba. Każdy z tych pocisków, przypominający mały myśliwiec odrzutowy z długim cylindrycznym kadłubem, odchylonymi skrzydłami i sekcją ogonową w kształcie krzyża, startował wśród grzmotu odbijającego się echem od stromych zboczy otaczających dolinę masywów górskich.

Silniki raketowe rozpędzały pociski do pięciuset kilometrów na godzinę, potem odłączały się od kadłuba i opadały w pustynnych Górach Zerawszańskich na pograniczu Afganistanu. Wloty powietrza na bokach kadłubów otwierały się automatycznie, włączając odrzutowe silniki strumieniowe. Lecąc z pełną mocą, pociski GL-25 szybko osiągały zadaną prędkość i, korzystając ze swego inercyjnego systemu sterowania oraz orientacji według rzeźby terenu, mknęły na południe, na wysokości nie przekraczającej trzystu metrów od powierzchni ziemi. Przekraczając granicę Afganistanu, leciały już z prędkością ośmiuset kilometrów na godzinę do zadanych punktów, odległych o dwa tysiące osiemset kilometrów. Osiągnąwszy te pozycje, po trzech i pół godzinie lotu, miały automatycznie włączyć swoje radarowe systemy naprowadzające i poszukiwać – na ostatnich dwustu kilometrach – indywidualnych celów: dziewiętnastu okrętów pomocniczych i eskortowych otaczających lotniskowiec *Nimitz*.

W dzikich górskich ostępach nie było radarów zdolnych do wykrycia szybko lecących, niemal muskających ziemię pocisków. Pasterze owiec i rolnicy oraz ludzie żyjący w niewielkich skupiskach w dzikich górach wybrzeża bliskowschodniego byli przyzwyczajeni do ogłuszającego ryku silników radzieckich samolotów wojskowych przelatujących nad ich głowami, dlatego i tym razem nie wykazali żadnego zainteresowania. Śmiercionośne GL-25 pomknęły bez przeszkód do swego celu, zostawiając za sobą echo w dolinach.

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG*

Dwie godziny później oddech Ann stał się płytki i powolny, kiedy jej przyspieszona procedura wstępnego oddychania tlenem dobiegała końca. Znajdowała się w module dowodzenia, pomagając w przeprogramowywaniu komputera SBR. Kilka pozostałych komputerów należało nauczyć odpowiedniego sterowania stacją kosmiczną. Chodziło o osiągnięcie najlepszego ustawienia radaru SBR,

aby z kolei połączenie komunikacyjne pomiędzy *Silver Tower* a ekspertami wojskowymi i cywilnymi na Ziemi mogło zapewnić pomoc członkom załogi.

Właściwe zadanie Ann miało być jednak znacznie trudniejsze. Wykonując procedurę oddychania wstępnego dla przygotowania się do wyjścia w skafandrze w otwartą przestrzeń, studiowała rysunki punktów mocowania modułu Skybolta i odszukiwała mechaniczne, elektryczne oraz pirotechniczne urządzenia separujące. Przeglądała także odczyty raportów o stanie modułu kontrolnego Skybolta, aby się upewnić, czy wskazania są prawidłowe. Ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyła, byłoby uszkodzenie lasera lub jego modułu sterującego podczas próby ich odłączenia. To, co powiedziała generałowi Stuartowi o niebezpieczeństwach związanych z obsługą wchodzących w skład Skybolta urządzeń generujących cząstki elementarne, było tylko trochę przesadzone. Jej zadaniem było zabezpieczenie Skybolta przez umieszczenie go na orbicie parkingowej w taki sposób, aby go nie uszkodzić i jeszcze wykorzystać kiedyś, w przyszłości.

Saint-Michael chciał, aby przed wyjściem w kosmos przedstawiła mu sytuację, czekała więc teraz, aż oderwie się on od swojego terminalu komputerowego.

– Gotowa do odłączenia? – spytał. Ponuro skinęła głową. – Okay, jeszcze jedna rzecz. Ratujemy Skybolta tylko wtedy, jeśli będzie dość czasu. Jeżeli kosmoloty Goworowa wystartowały w ciągu paru minut od tego ostrzału laserowego, możemy nie mieć ani chwili na załadowanie modułu do *Enterprise*. Będziesz musiała się uwijać...

Zrozumiała, co miał na myśli – nie ma czasu na żadne nostalgiczne, pożegnane przechadzki po module. Uwolniła się od pasa velcro, odepchnęła w kierunku pulpitu kontrolnego umocowanego na suficie i... Nagle poczuła, że coś rzuciło ją w odległy koniec, kiedy straszliwa eksplozja zakotłosała stację.

– Co to było, do diabła? – Odepchnęła się od ściany, stanęła na velcro na podłodze i otarła krew z nosa.

Saint-Michael nie zdążył odpowiedzieć. Następnym wstrząs przewalił się przez stację, a nad włazem prowadzącym do tunelu łączącego zapaliło się światło ostrzegawcze.

– Spadek ciśnienia w tunelu łączącym! – krzyknął Saint-Michael.

Stacja zdawała się przechylać na boki, ślizgając się jak ciężarówka, nad którą kierowca utracił kontrolę na oblodzonej autostradzie.

Walcząc z ostrymi zawrotami głowy, przedostał się do konsoli łączności, podłączył mikrofon do gniazdka wewnątrz swojej maski tlenowej POS, naciągnął ją na głowę i włączył guzik interkomu. – Cały personel, ewakuować się

ze stacji! Natychmiast! – Wyłączył maskę ze stacyjnego układu zasilania tlenem. – Ann, idziemy...

Nastąpiła kolejna eksplozja – mieli wrażenie, że tuż nad ich głowami. Rzuciło ich oboje na podłogę.

Ann wymanewrowała w kierunku włazu głównego, ominęła zamontowane na suficie przełączniki katapultowania, sięgnęła w górę i zamknęła pokrywę bezpieczeństwa, potem pospiesznie przeciskała się do tunelu łączącego.

Saint-Michael widział, jak przechodziła przez właz. Włączył swój mikrofon.

– *Ameryka*. Jon, Ann idzie do was. Pomóż jej...

Czwarta potężna eksplozja wstrząsnęła stacją, po czym dał się słyszeć zgrzyt rozdieranego i miażdżonego metalu. Teraz migwały światła ostrzegające zarówno przed spadkiem ciśnienia, jak i przed pożarem w tunelu łączącym. Saint-Michael został odrzucony do góry nogami na środek modułu dowodzenia, gdzie zaplątał się w jakieś tymczasowo zmontowane konsole i kłęby przewodów wyrwanych z prowizorycznych zamocowań. Zdołał się w końcu pozbierać i ruszył w kierunku włazu. Spojrzał przez luk obserwacyjny w zewnętrznej ścianie modułu dowodzenia i zamarło w nim serce.

Ameryka dryfowała bezwładnie o kilkaset jardów od stacji, a jej kadłub wyglądał jakby był rozcięty ogromnym nożem. Z ziejącej rany buchały fale płomieni, podsycane paliwem wodorowo-tlenowym.

– O Boże... – Saint-Michael był oczywiście przerażony nie tyle pożarem i agonią kosmolotu, ile myślą, że wewnątrz są ludzie, łącznie z Ann, jeśli zdążyła przedostać się do pojazdu przed jego odłączeniem od rękawa cumowniczego...

Ale zaraz usłyszał jej głos dochodzący przez interfon:

– Jason... nie ci się nie stało?

– Gdzie jesteś? – zdołał wykrztusić.

– W Skybolcie. Widziałeś Marty'ego?

– Nie. – Zawołał przez interkom: – Marty! Zgłoś się...

Odpowiedzi nie było.

– On był w *Enterprise*...

Saint-Michael przełączył się na częstotliwość UHF komunikacji zewnętrznej.

– Marty, tu Jason. Zamelduj się. Zamelduj się, do cholery...!

Ale kiedy ponownie spojrzął przez luk obserwacyjny, zobaczył, gdzie zniknął Marty. Prom *Enterprise* odlatywał od *Silver Tower* i zanim zniknął, Saint-Michael zdołał go uchwycić wzrokiem na mgnienie oka.

– Marty, na pokładzie *Enterprise*... zgłoś się...

PROM KOSMICZNY *ENTERPRISE*

Marty Schultz siedział na fotelu dowódcy po lewej stronie kabiny pilotów *Enterprise* i cisnął dźwignię napędu do przodu, starając się odlecieć promem od stacji i zbliżających się do niej napastników. Już się zdecydował. Nie zamierzał być zwierzyną łowną. Postanowił sam stać się myśliwym. Nie z próżnej żądy sławy: uważał, że lepiej odejść, robiąc coś pożytecznego na promie, który był jego miłością, niż czekać bezczynnie, aż Rosjanie rozwalą połatany prom swoimi pociskami.

Włączył guzik mikrofonu na drążku sterowym.

– Przepraszam, że tak późno się melduję, generale. Myślę, że zauważył pan, iż byłem trochę zajęty, tu na *Enterprise*...

– Co ty wyprawiasz? I gdzie, do cholery, się wybierasz, co?!

– Po kolei, generale. Odpowiadam na pierwsze pytanie. Właśnie przygotowywałem się do załadunku Skybolta... zobaczyłem, jak pociski rosyjskich kosmolotów trafiły *Amerykę*... Hampton i Horvath dostali... Odpowiadam na drugie pytanie. Oddalam się od *Silver Tower*. Podejrzewam, że te kosmoloty wkrótce będą mi siedziały na ogonie. No cóż, zawsze chciałem wiedzieć, do czego zdolne jest to maleństwo. Teraz zamierzam to sprawdzić...

Saint-Michael, gdyby mógł, zabiłby go gołymi rękami... Był tak rozdrażniony, że ironia zawarta w tej wypowiedzi umknęła jego uwagi... Najpierw Jerrod Will, teraz Marty Schultz. Co oni sobie wyobrażają, ci piloci wahadłowców, czy wszyscy się uparli, żeby zostać bohaterami...?

– Marty, słuchaj...

Ale Marty wcale nie słuchał. Pozostawiwszy silniki *Enterprise* na pełnym ciągu, odpiął się od fotela dowódcy i przedostał przez kabinę pilotów na stanowisko specjalisty ładunku. Klapy ładowni były otwarte i przez podwójne luki obserwacyjne w tylnej ścianie mógł widzieć wewnątrz ładowni oraz przestrzeń z tyłu za *Enterprise*.

Włączył układ sterowania urządzeniami ładowni, po czym odblokował ramię manipulatora. Wystawiając je ponad ładownię, skierował kamerę TV do tyłu, nastawił na szeroki kąt widzenia i omiótł przestrzeń za sobą.

Prawie natychmiast miał idealny obraz dwóch ścigających go kosmolotów Elektron.

– Mam dwa Elektrony na ogonie – przekazał przez radio do stacji. – Zraz zrobię im małą niespodziankę...

KOSMOLOT *ELEKTRON JEDEN*

– A niech to szlag! – zaklął Goworow przez radio na częstotliwości dowodzenia. – Nie pozwólcie temu wahadłowcowi odlecieć...

Kożedub i Litwiak wystrzelili po dwa pociski Bavinash w stację *Armstrong*, kiedy Goworow ujrzał, jak wahadłowiec nagle wyskakuje gdzieś w sąsiedztwie niższych modułów hermetycznych. Nie miał możliwości sprawdzić, czy to nie bluff, ale wydawało mu się, że prom jest pilotowany przez astronautę w skafandrze kosmicznym, rozkazał więc obu swoim skrzydłowym udać się w pościg.

Przez chwilę miał nadzieję, że Litwiak zostawi to zadanie Kożedubowi, ponieważ ze swojej pozycji obserwacyjnej, około kilometra z tyłu i ponad nimi, Goworow widział, jak drugi pojedynczy pocisk Scimitar Litwiaka – zmiotł kosmołot *Ameryka* zacumowany przy stacji i zamienił go natychmiast w ogniastą kulę. Płomienie w kosmosie były rzadkim widokiem. Wybuch musiał mieć siłę równą co najmniej eksplozji jednej kilotony trotylu.

Uznał, że nie ma potrzeby czekać na powrót skrzydłowych. Wcisnął przycisk na nowo zainstalowanym pulpicie, przy swoim prawym kolanie. Za jego plecami, hydraulicznie poruszana paleta uniosła bombę ponad ładownię Elektronu Jeden. Na przeciwległej do palety ścianie bomby znajdowało się wiele mechanicznych zaczepów.

Zamierzał wymanewrować Elektronu Jeden pod centralną kratownicę, jak najbliżej modułów hermetycznych, unikając jednocześnie zderzenia z anteną lub unoszącymi się wokół obezwładnionej stacji szczątkami. Kiedy znajdzie się we właściwym miejscu, łagodnie dociśnie bombę do centralnego dźwigara, aż uchwycą zaczepy, potem zwolni ją wraz z paletą. Gdy już znajdzie się w bezpiecznej odległości od stacji – pięć do dziesięciu kilometrów – zdetonuje bombę. To będzie szybkie i pewne. Teraz nie wolno mu popełnić żadnego błędu...

Zaczął powoli, ostrożnie zbliżać się do *Armstronga*, manewrując wysoko ponad centralnymi modułami hermetycznymi, aby móc omieść wzrokiem całą stację. Tym razem nie będzie działał na oślep. Logika podpowiadała mu, że załoga powinna być na pokładzie wahadłowca lub kosmołotu, ale właśnie takie błędne założenie spowodowało śmierć Wołoszyna podczas pierwszej misji. Miał czas. Postanowił zaczekać i obserwować eksplozję, patrzeć, jak ogromna stacja amerykańska wygina się i rozpada na części. Co do ludzi, którzy mogą

wciąż jeszcze tam się znajdować, cóż... postara się im nie współczuć. Przy-
najmniej zginą szybko...

Popchnął dźwęż sterowniczy do przodu i obserwował, jak laserowy dal-
mierz odlicza malejącą odległość od stacji: trzy tysiące metrów, dwa tysiące
osiemset, dwa sześćset...

PROM KOSMICZNY *ENTERPRISE*

Teraz byli już dostatecznie blisko...

Marty Schultz, obserwując przez kamerę na wysięgniku ścigające go ko-
smoloty Elektron, ocenił, że znajdują się nie dalej niż cztery do pięciu mil z
tyłu. *Enterprise*, napędzany dwoma silnikami na paliwo monometylowo-
hydrazynowe, przyspieszył o dalszy tysiąc mil na godzinę, odkąd zaczął się
pościg. Mimo to Rosjanie zbliżali się powoli i nieubłaganie.

Tak właśnie, jak tego pragnął.

Wyłączył silniki główne i, używając tylko korekcyjnych tylnych, wprowa-
dził *Enterprise* w odwrotną pętlę, zmieniając kierunek jej lotu o pełne sto
osiemdziesiąt stopni i ustawił się przodem do ścigających. Następnie ujął
uchwyt sterujący manipulatora i patrząc na ekran monitora, który dawał najlep-
szy wgląd do ładowni, sięgnął chwytnością i wyciągnął duże, cylindryczne
urządzenie z zacisków mocujących.

Swój plan wymyślił wkrótce po przywróceniu sprawności *Enterprise*. Zda-
jąc sobie sprawę, że atak radzieckich kosmolotów mógł nadejść niemal bez
ostrzeżenia, uniemożliwiając im opuszczenie stacji, zaproponował załadowanie
pocisków Thor do ładowni *Enterprise*, tak aby można je było odpalić przez
zdalne sterowanie z kabiny pilotów.

Pomimo klęski, jaką ponieśli przy pierwszej próbie wystrzelenia pocisków
Thor w obronie stacji, Saint-Michael zaaprobował ten plan i kazał Marty'emu i
Hamptonowi załadować pociski. Kiedy jednak Rosjanie zapowiedzieli atak
strzałem z lasera chemicznego, zmienił swą decyzję. *Enterprise* miał być użyty
wyłącznie do wyniesienia modułu lasera Skybolt na wysoką orbitę parkingową.

Tak przedstawiała się sytuacja do momentu, kiedy Marty powrócił na po-
kład *Enterprise*, aby przygotować pomieszczenie do załadunku modułu Sky-
bolta, który Ann miała wymontować. Z miejsca, gdzie zacumował prom, poni-
żej centralnej kratownicy, tuż obok modułu Skybolta, pozostałe osiem poci-
sków Thor zostało usuniętych zaledwie parę godzin wcześniej. Teraz znalazły

się w zasięgu ramienia manipulatora. Kiedy zaczął się atak radzieckich kosmolotów, nie było rzeczą trudną odczepić dwa z nich, włączyć mechanizm, włożyć do ładowni i odlecieć od stacji. Celowo wykonał jedno pełne okrążenie, aby zwrócić na siebie uwagę Rosjan, potem odleciał z maksymalną prędkością...

Wyjęcie tych dwóch pocisków z ładowni zajęło Marty'emu trzydzieści sekund, potem włączył kanał łączności zewnętrznej.

– *Armstrong*, tu *Enterprise*. Zgłoś się!

– Marty – usłyszał głos *Saint-Michaela*. – Gdzie jesteś?

– Tam, gdzie powinienem, generale. Proszę posłuchać, musi pan natychmiast włączyć odbezpieczenie gotowości startowej pocisków *Thor*.

– Masz jakieś *Thory* na pokładzie? – *Saint-Michael* nie czekał na odpowiedź, lecz rzucił się w odległy koniec modułu do głównej konsoli kontrolnej *SBR*, szukając przycisków sterujących pociskami *Thor*. Prawie wszystkie panele kontrolne zostały gdzieś przeniesione lub wymienione i podczas pierwszego ataku kosmolotów wstrząsy od eksplozji porzuciły po całym module wszystko, co nie było umocowane. Po chwili gorączkowych poszukiwań odnalazł jednak właściwy pulpit sterowniczy i włączył automatyczny wyzwalacz pocisków.

Sześć, pozostających pod dźwigarem centralnym, nie zareagowało na komendę; jedynie te dwa, które Marty uzbroił za pomocą manipulatora, posłuchały rozkazu. Kosmoloty *Elektron* były oddalone nie więcej niż o trzy mile, kiedy silniki raketowe *Thorów* odpaliły. Marty czekał i obserwował do czasu, gdy oba pociski pomknęły w stronę radzieckich kosmolotów, potem wrócił do kokpitu i przypiął się pasami do fotela dowódcy.

– Czas, żebyśmy się stąd wynieśli, kochanie. – Włączył cyfrowego autopilota i przyciski uruchamiające silniki. Jeśli te pociski nie trafią, wiedział, że będzie miał na karku dwóch Rosjan, którzy zrobią wszystko, aby go dostać.

Oni zaś uzgodnili między sobą, kto odda pierwszy strzał do amerykańskiego promu *Enterprise*. Zaszczytu tego miał dostąpić pułkownik *Kożedub* w *Elektronie Dwa*. Pułkownik *Litwiak*, który wpakował pocisk w zbiorniki paliwowe *Ameryki*, trzymał celownik-dalmierz laserowy włączony, ale wycelowany w przestrzeń na wprost przed swoim *Elektronem Trzy*. Gdyby oświetlił *Enterprise* swoim laserem, pocisk *Kożeduba* mógłby przeskoczyć w kierunku drugiej wiązki i chybić lub też obie wiązki, nakładając się, mogły się wygasić przez interferencję.

– On odlatuje! – krzyknął Kożedub, kiedy prom z wolna obrócił się wokół swej osi podłużnej i pomknął w prawo, prostopadle do toru lotu Elektronów.

– Czy możesz polecieć za nim? – spytał Litwiak. – Jeśli nie, to ja...

Kożedub odpowiedział, że to załatwi.

Litwiak zaczął coś mówić, ale gdy spojrzął na przedni pulpit, słowa uwięzły mu w gardle. Dokładnie na wprost, na ekranie celownika laserowego, zobaczył pocisk Thor rozwijający pałąkę swej stalowej sieci!

– Uwważaj! Ten prom właśnie wystrzelił pociski...

Litwiak szarpnął stery, próbując gwałtownie skrócić w prawo i zrobić unik. Thor podążał za nim. Ponownie włączył silniki i rzucił się w dół całą siłą ciągu. Manewr, choć aż tak gwałtowny, że jego hełm uderzył o kopułę kokpitu, okazał się bezskuteczny. Pocisk Thor wciąż leciał za nim, rosnąc w oczach.

Kiedy zbliżył się na niecałą milę, Litwiak w desperacji wystrzelił trzy Scimitary w ten duży, cylindryczny pocisk przechwytyjący. Dwa pierwsze eksplodowały na sieci, nie czyniąc szkody, ale trzeci trafił wprost w głowicę sensorową Thora i zdetonował jego potężny ładunek wybuchowy.

Nie usłyszał żadnego dźwięku, ale fala gorąca i energii wstrząsnęła potężnie niewielkim kosmolotem. Litwiak stracił panowanie nad sterami. Nie miał innego wyboru jak je zwolnić i poddać się turbulencjom, mając nadzieję, że jego pojazd wytrzyma. Trwało to parę minut, ale wkrótce straszliwe wibracje i łoskot w kadłubie zaczęły zanikać.

Kożedubowi nie dopisało szczęście. Mając celownik laserowy ustawiony na *Enterprise* i wpatrując się weń z napięciem dla uzyskania idealnych warunków do strzału, nawet nie spostrzegł drugiego pocisku Thor. W chwili, gdy Litwiak wykrzykiwał swoje ostrzeżenie, pocisk uderzył w czubek prawego skrzydła jego Elektronu Dwa i zdetonował na szczycie kopuły. Kożedub zginął natychmiast. Elektron eksplodował, a jego szczątki opadły w atmosferę Ziemi.

Litwiak, słysząc w słuchawkach, jak umiera jego kolega, wiedział, że może także wpaść w atmosferę ziemską, jeśli nie zdoła odzyskać kontroli nad swym pojazdem. Włączając silniki krótkimi impulsami i koncentrując się na żyroskopowym sztucznym horyzoncie, zdołał w końcu zredukować gwałtowne, wielosiowe koziółkowanie w dół do wirowania wokół jednej, rozpoznawalnej osi, a

potem stopniowo, silniejszymi impulsami silników odzyskał panowanie nad swym kosmoletem.

Rozejrzał się po ciemnoszarym niebie i dostrzegł wahadłowiec, który z rosnącą prędkością odlatywał w kierunku stacji kosmicznej. Z wściekłością włączył pełną moc silników i ruszył w pogoń, tym razem gnany żądzą zemsty...

USS *NIMITZ*

– Jason, tu Clancy. Zgłoś się. Straciliśmy sygnały SBR.

Odpowiedzi nie było.

– Wywołaj ich, Sparks – powiedział Clancy do łącznościowca. – Za wszelką cenę.

Łącznościowiec CPO bardzo się starał, ale bez rezultatu.

– Martwa cisza, sir. Ani sygnału, ani danych, nic. Zupełnie jak gdyby oni...

Clancy popatrzył na niego. – Nie mów tego, Sparks. Nawet o tym nie myśl!

Ale obaj wiedzieli, co się stało.

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG*

– Ann? Co się tam dzieje?

– Gotowe, Jason. Gotowe do przełączenia SBR na sterowanie Skyboltem...

Saint-Michael wziął głęboki wdech, położył palec na przełączniku SBR i wcisnął guzik.

Komputer sterujący SBR natychmiast wysłał na konsolę Ann komunikat **NAMIERZANIE**.

– SBR śledzi cele! – wykrzyknęła Ann. – Widzę dwa nieprzyjacielskie pojazdy. Identyfikacja zakończona... Trwa kwalifikacja celów... Projektor lasera cząstek neutralnych wykazuje niesprawność. – Projektor wiązki cząstek neutralnych, używany do odróżniania makiet od prawdziwych celów, dawno został zniszczony. – Sterowanie ręczne.

Odszukał odpowiednią komendę w menu komputera SBR i wprowadził ją.

- Zrobione.
- Ręczne sterowanie przyjęte. Ale co teraz?

PROM KOSMICZNY *ENTERPRISE*

Marty Schultz przez skórę wyczuł obecność nieprzyjaciela za plecami, zanim jego wzrok to potwierdził.

- Jednego mamy z głowy – powiedział głośno do siebie i swojego promu.
- Ale znowu wpadliśmy po uszy w gówno, kochanie.

Myśl wielowymiarowo, nakazał sobie, po czym włączył na autopilocie przyciski ROTACJA i PULSACJA i popchnął drążek sterowy do przodu. Pozbawiony napędu przednich silników, w momencie włączenia silnika tylnego prom przekoziółkował i ustawił się ładownią w kierunku lotu. Marty ponownie włączył silniki. *Enterprise* wszedł w lot nurkujący ku Ziemi...

W tym momencie błysk oślepiającego światła całkowicie odebrał mu zdolność widzenia. Pomimo grubych nylonowych rękawic, czuł jak drążek sterowniczy zrobił się ciepły, gorący, potem gumowaty. W słuchawkach rozległy się sygnały ostrzegawcze, które zabrzmiały, jakby *Enterprise* wołał o pomoc.

SAMOŁOT KOSMICZNY *ELEKTRON TRZY*

Pułkownik Litwiak na pokładzie Elektronu Trzy także odczuł falę gorąca, ale dla niego nie był to tylko słaby odbłask lecz pulsująca, oślepiająca ściana światła, która zdawała się wdzierać w każdą szczelinę kokpitu. Jego powieki, a nawet osłona przeciwsłoneczna, kiedy w końcu zmusił mięśnie do jej opuszczenia, nie dawały oczom żadnej ochrony.

Gdy po chwili odzyskał wzrok, zatrzymał wszystkie silniki i pospiesznie sprawdził systemy. Kilka mniej ważnych wykazywało awarie, ale po chwili wszystkie wróciły do normy. Wargi miał wyschnięte jak pieprz, jak gdyby nie nie pił od paru dni. Skóra na jego twarzy wydawała się sucha i spękana, jakby wysuszona przez wiatr. Nie było sensu uganiać się dalej prawie po omacku... Paroma krótkimi impulsami zatrzymał swój pojazd i włączył mikrofon.

- Elektron Jeden, tu Trójka. Czy mnie słyszysz?

SAMOŁOT KOSMICZNY *ELEKTRON JEDEN*

Goworow był w odległości zaledwie kilkuset metrów od modułu Skybolta, kiedy nagle przeszył go dziwny dreszcz i poczuł palenie skóry. Nie dotarła do niego fala gorąca, jaką odczuły dwa pozostałe pojazdy kosmiczne, które znalazły się w pobliżu wiązki promieniowania lasera, ale boczne strzępy strumienia energii, strzelającej z zasilanego energią atomową lasera, zdawały się zamieniać jego Elektron Jeden w gigantyczny tranzystor. Impulsy energii przenikające ciało spowodowały, że zobaczył gwiazdy przed oczami, a czubki palców świerzbiły i parzyły, jakby miały się zapalić.

Kiedy to niezemskie odczucie ustąpiło i Goworow zaczął myśleć nieco jaśniej, zdał sobie sprawę, co się wydarzyło. Ktoś na pokładzie stacji właśnie wypalił z potężnego lasera. A więc *Armstrong* nie został opuszczony...

– Elektron Jeden. Zgłoś się.

Goworow włączył swój mikrofon.

– Litwiak? Gdzie jesteś?

– Ścigam amerykański wahadłowiec... Był jakiś impuls potężnej energii. Sprawdzam, czy nie ma uszkodzeń.

– Zostaw wahadłowiec! Na stacji ciągle jest załoga i mają tam jakiś rodzaj lasera. Chcę, żebyś zbliżył się i ubezpieczał mnie, kiedy będę podkładał bombę.

– Ale Andriej został zabity przez pocisk z tego wahadłowca...

– Zrób, jak powiedziałem. Potem będzie mnóstwo czasu na pościg za tym promem.

Goworow przerwał nagle i wbił wzrok w środkowy, hermetyczny moduł dowodzenia znajdujący się na wprost niego. Był teraz nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od stacji, dostatecznie blisko, aby widzieć łaty na dziurach zrobionych niegdyś przez jego pociski i zlokalizować kable do transmisji danych...

Zbliżając się zobaczył jakąś postać wyglądającą przez luk obserwacyjny. Włączył delikatnie napęd wsteczny i oddalił się o parę metrów.

Tak, to był generał Saint-Michael, o którym słyszał i czytał tak wiele, którego zdjęcia oglądał. Zobaczyć go teraz, w taki sposób – to był szok. Często zastanawiał się, jakie to uczucie spojrzeć prosto w twarz wroga. Zawsze myślał, że tak byłoby lepiej... walczyć jak mężczyzna z mężczyzną, bez całej tej techniki, która sprawiała, że zabijanie stawało się bezosobowe. Teraz nie był już taki pewien...

– Wchodzę na orbitę pięciokilometrowa, Elektron Jeden.

Słowa Litwiaka przywołały go do rzeczywistości.

– Krąż w pobliżu, Trójka. Zaraz będę podkładał bombę. – Goworow włączył ciąg w kierunku minus Y i oddalił się od stacji. – Żegnaj, generale – powiedział w kierunku luku obserwacyjnego w module dowodzenia. Ku własnemu zdziwieniu nie odczuwał satysfakcji. Właściwie bardziej coś w rodzaju smutku...

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG*

Impuls lasera nie spowodował tym razem przygaśnięcia światła, jak działo się poprzednio. Mimo to Saint-Michael nie mógł dostrzec, czy było jakieś trafienie.

– Ann, no i jak?

– Nie potrafię nic powiedzieć. Przełączam obwody przekaźnikowe SBR – były przeciążone. Laser wypalił, ale nie wiem, czy...

– *Armstrong*, tu *Enterprise*. Zgłoś się.

Saint-Michael omal nie podskoczył przy pulpicie łączności.

– Marty, myśleliśmy...

– Generale, jakiś pojazd jest tuż przy module dowodzenia. Uważajcie!

I wtedy Saint-Michael go zobaczył. Samolot kosmiczny Elektron, cacko sztuki inżynierskiej, o opływowych kształtach, zwartej i zgrabnej budowie, był także niosącym śmierć tworem. Generał uświadomił to sobie, ale trudno mu było oderwać wzrok od połyskujących okienek kokpitu. Nie mógł rozpoznać twarzy za kosmicznym hełmem, ale był niemal głęboko przeświadczony, że patrzy na Aleksandra Goworowa.

Ten widok przykuł Saint-Michaela do miejsca, ale kosmolot równie szybko, jak się pojawił, zniknął z pola widzenia. Nie mógł nie podziwiać odwagi pilota manewrującego tak blisko. To musiał być Goworow...

– On się oddala – meldował z podnieceniem Marty. – Nic nie wystrzelił. Kieruje się w dół do dźwigara nośnego stacji, jego ładownia jest otwarta...

– Ann... czy są jakieś inne pojazdy w pobliżu?

– Tak, jeden. Porusza się szybko, jest trzy mile od nas. Oddala się... Tak, zdecydowanie odlatuje. Rozpoznaję także *Enterprise*. Odległy o niecałą milę. Dwa kosmoloty – to musi oznaczać, że Skybolt chybił...

– Generale! – zagrzmiał głos Marty'ego na kanale łączności zewnętrznej.

– Ten rosyjski kosmolot jest przy dźwigarze... on coś do niego mocuje, tuż obok Skybolta... O, Boże... to wygląda jak bomba, duża bomba... On przyczepił ją do stacji...

Saint-Michael patrzył jak sparaliżowany. Kosmolot cofnął się i z rosnącą prędkością zaczął się oddalać. A więc to dlatego ten drugi odleciał tak szybko...

- Marty, nie podchodź. Odsuń się od stacji...
- Ja mogę ją dosięgnąć, generale. Zaczekajcie...
- Nie pozwalam! Może być za mało czasu. Wynos się stąd! Marty, ignorując go, ruszył w kierunku stacji na autopilocie.

Odpiął się od fotela dowódcy i przeniósł się do pulpitu sterowniczego manipulatora ładowni. Schultz, powiedział do siebie, lepiej módl się, żeby to nie zajęło ci dużo czasu. Módl się...

Saint-Michael patrzył, jak kosmolot Goworowa oddala się, staje się coraz mniejszy, potem zamienia się w drobną plamkę. I wtedy ożywiła go nagła myśl...

- Ann, wyceluj w ten bliższy pojazd, ten, który się właśnie oddalił od stacji. Goworowa...
- Ale Skybolt nie trzyma kontaktu z celem...
- Strzelaj, tak czy inaczej! Możliwie najszerszą wiązką. Może zdołamy go dostać, zanim zdalnie zdetonuje bombę.

Oczekiwanie było dręcząco długie. Goworow zdążył już zniknąć na tle gwiazd i niebieskawej mgiełki otaczającej Ziemię. Do tego czasu musiał być dostatecznie daleko, aby móc bez obaw zdetonować tę bombę...

KOSMOLOT *ELEKTRON JEDEN*

Goworow postanowił czekać z dalmierzem laserowym wycelowanym w *Armstronga*, aż odległość między nim a stacją wyniesie dziesięć kilometrów. Jeżeli laser na stacji działał, to wtórna eksplozja jego modułu mogła być o wiele potężniejsza niż sam wybuch mieszanki wodorotlenowej.

Pozwolił, aby dalmierz przekroczył bezpieczną odległość, potem położył palec na pulpicie uzbrojenia specjalnego znajdującego się przy jego prawym kolanie i nacisnął...

Pierwszy impuls lasera na swobodnych elektronach, o sile dwóch megawatów chybił Goworowa o ponad sto stóp, ale nawet z tej odległości był dość potężny, aby stopić stal. W ciągu ułamka sekundy osłona kabiny z żaroodpornego szkła kwarcowego, które z łatwością wytrzymało temperatury rzędu trzech tysięcy stopni Fahrenheita przy powrocie do atmosfery, zmiękła, stopiła się, wyparowała. Ciśnienie wewnątrz kokpitu rozdziło płynne szkło, tworząc

wielką szklaną bańkę, która pękła i rozprysła się na wszystkie strony. Aleksander Goworow spłonął w atomowym żarze wiązki, jak w krematorium.

Drugi impuls ze Skybolta przeszył sam kosmolot, tworząc następny wielki balon – tym razem z tytanu, nie ze szkła. Żar był tak intensywny, że paliwo pojazdu nie zdążyło zdetonować. W mgnieniu oka – oba impulsy trwały mniej niż jedną dziesiątą sekundy – kosmolot Elektron Jeden i komendant radzieckiego Dowództwa Obrony Kosmicznej po prostu zniknęli w obłoku plazmy.

KOSMOLOT *ELEKTRON TRZY*

– Elektron Jeden. Czy mnie słyszysz? Odbiór.

Litwiak nie otrzymał odpowiedzi. Od czasu emisji ostatniej fali energii – Goworow miał chyba na myśli laser – kanał łączności taktycznej zamilkł.

Wytyczne na wypadek utraty połączenia były dla tej misji prostsze niż dla innych lotów kosmicznych, odbywających się z udziałem więcej niż jednego pojazdu załogowego. Procedura standardowa przewidywałaby niezwłoczne przejście na najbliższy pułap pełnych setek kilometrów – sto, dwieście, trzysta – wejście na orbitę kołową i oczekiwanie na instrukcje lądowania lub cumowania do stacji orbitalnej.

W tej misji, jeśli na pokładzie była broń, należało kontynuować atak przeciwko stacji kosmicznej *Armstrong*. Cele priorytetowe to radar, pojazd ratunkowy, moduły hermetyczne i ogniwa paliwowe. Wycofanie się przewidywano dopiero po wyczerpaniu wszelkiego uzbrojenia.

Litwiak zawrócił swojego Elektroną, skierował go jeszcze parę kilometrów bliżej stacji, po czym naprowadził dalmierz laserowy na prawostronną antenę radarową. Wystrzelił jeden ze swych pięciu pozostałych pocisków. Scimitar nieomylnie uderzył w górną tablicę na prawej burcie. Eksplozja jego głowicy bojowej wyrwała dziesięciometrowej średnicy dziurę w antenie, która chwiała się i kołysała przez moment, potem przelamała się na dwie części, przewróciła i uderzyła o dźwigar.

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG*

– Ta bomba nie wybuchła! – krzyknął Saint-Michael. – Ann, udało ci się! Skybolt zadziałał...

Jego gratulacje zostały gwałtownie przerwane przez głośny huk i łoskot wibracji, które wstrząsnęły modulem dowodzenia. Mimo iż jedyny sprawny silnik korygujący położenie w przestrzeni włączył się, stacja nadal się przechylała. Strumienie informacji o awariach przemykały przez monitory, ale Saint-Michael nie musiał spoglądać na ekrany, aby wiedzieć, że na zewnątrz jest co najmniej jeszcze jeden radziecki kosmolot.

– Jason, przełącz SBR. Szybko!

Pospieszył z powrotem do terminalu kontrolnego SBR i wprowadził komendę przełączenia obwodów radaru. Komputer odmówił jednak przyjęcia rozkazu.

– Nie chce przyjąć polecenia.

– Musisz zorientować się, które elementy są zniszczone, i odciąć zasilanie do nich – poradziła Ann – bo jeśli nie, to w SBR wciąż będą zwarcia.

Saint-Michael spojrział na przesuwane się po ekranie informacje o usterekach. Można było wnioskować, że każdy z elementów SBR został trafiony radzieckimi pociskami. Przełączył swój pulpit łączności na kanał zewnętrzny.

– Marty, czy widzisz stację? Gdzie on trafił?

– Proszę zaczekać. – Marty, który przerwał swoje wysiłki mające na celu odcięcie bomby, kiedy laser wypalił, teraz oddalił się od dźwigara, obrócił go do góry nogami, aby uzyskać lepszą widoczność, i wymanewrował ponad stację.

– Proszę spróbować z tablicą SBR numer jeden.

Saint-Michael skasował wykaz błędów i wprowadził kod polecający wyłączenie uszkodzonej tablicy SBR, kiedy potężna eksplozja zakolysała modulem dowodzenia.

– Ogień na dźwigarze! – krzyknął Marty. – Główne ogniwo paliwowe zostało trafione!

Światła ostrzegające przed pożarem migwały na wszystkich pozostałych jeszcze pulpitych. Saint-Michael zlekceważył je.

– SBR jest przełączony, Ann. Pospiesz się, możemy stracić zasilanie w każdej...

W chwili, gdy to mówił, zgasły główne światła. Włączyło się parę świateł awaryjnych, zasilanych z akumulatorów, ale oświetlały one trupa. *Silver Tower* była znowu martwa.

KOSMOLOT *ELEKTRON TRZY*

Wykonane przez Litwiaka trafienie drugim pociskiem Scimitar dało jeszcze bardziej spektakularne efekty, lepsze nawet niż zniszczenie anteny radarowej. Eksplozje wtórne, ogień i iskrzenie na dźwigarze od strzału w ogniwo paliwowe spowodowały powstanie wielokolorowych fajerwerków, które rozciągając się daleko od miejsca trafienia zaczęły pełznąć w kierunku modułów hermetycznych. Eksplozje wygasły zaledwie parę metrów od podwójnej kolumny modułów ciśnieniowych w centrum dźwigara, ale rezultat był satysfakcjonujący dla pułkownika Litwiaka: parę światel pozostałych na *Silver Tower* zgasło. Ostatnie trafienie dobiło stację.

Była martwa, ale nie zniszczona. Goworow nakazał jej unicestwienie. Amerykanie już raz uruchomili „martwą skorupę” – mogą zrobić to znowu. Litwiak omiótł swoim laserowym celownikiem-dalmierzem stację i w końcu wycelował wiązkę w najlepszy i najbardziej oczywisty cel ze wszystkich: nie zdetonowaną bombę Goworowa.

Trzeba z tym skończyć, natychmiast. Litwiak wybrał trzy pozostałe pociski Scimitar i zablokował celownik laserowy na bombie. Nacisnął spust. Trzy pociski pomknęły prosto do celu.

I wszystkie trzy zostały uchwycone w intensywną wiązkę lasera na swobodnych elektronach, która wystrzeliła ze stacji. Skyboltowi wystarczyła zaledwie jedna milisekunda zanikającej już mocy stacji, aby zasilić obwody zapłonowe lasera, i kiedy ją uzyskał, wewnętrzne baterie dokonały reszty. Wiązka Skybolta odparowała pociski Scimitar; w ciągu trzech milionowych części sekundy przebyła pozostałych pięć mil odległości do Elektronu Trzy i obróciła w pył kosmiczny wazący dwieście pięćdziesiąt tysięcy funtów pojazd wraz z jego pilotem.

W chwili gdy Saint-Michael i Ann Page wkładali gorączkowo skafandry kosmiczne, pierwsze z pocisków manewrujących GL-25 znajdowały się zaledwie kilkadziesiąt mil od brzegu morza. Nie wykryte, przeleciały nad zachodnim łańcuchem gór Selseleh Ye Safid w zachodnim Afganistanie, nad pustynią Margow i wzgórzami Chagal na granicy Iranu i Pakistanu. Teraz mknęły nad centralnym łańcuchem Makran w południowo-zachodnim Pakistanie, zaledwie parę minut od Zatoki Omańskiej. Ich inercyjnie sterowany kurs został tak

dobrane przez specjalistów z armii radzieckiej, aby mogły się ukryć w możliwie najbardziej pofałdowanym terenie i trzymać z dala od znanych ośrodków namiarowych i dużych skupisk ludzkich.

Każdy z pięćdziesięciu GL-25 zużył trzy czwarte swojego paliwa na zaledwie dwie trzecie trasy, ale przed nimi była łatwiejsza część lotu. Kiedy już znajdą się nad oceanem, zaczną stopniowo wspinać się na wysokość dwudziestu tysięcy stóp, gdzie ich silniki strumieniowe okażą się efektywniejsze. Będą lecieć na dużej wysokości aż do punktu odległego o trzysta mil od zewnętrznych okrętów eskorty *Nimitza*, potem stopniowo zejść do pięćdziesięciu stóp ponad wodą. W odległości około stu mil od ostatniej określonej pozycji *Nimitza* włączą się ich radary naprowadzające...

I wtedy rozpocznie się niszczenie floty amerykańskiej...

Rozdział 13

Październik 1992

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG*

Pozbawiona zasilania *Silver Tower* była niczym więcej jak kosztownym mauzoleum orbitalnym wartości pięćdziesięciu miliardów dolarów. Cyrkulacja powietrza została zatrzymana i nie można było utrzymać ciśnienia w modułach z powodu nieszczelności kadłubów. Elektroniczne filtry wychwytyjące dwutlenek węgla przestały działać, a tradycyjne, wypełnione wodorotlenkiem litu, okazały się znacznie mniej skuteczne. Silniki korekcyjne, które utrzymywały stację na właściwej orbicie, były bezużyteczne bez kontroli komputerowej.

Nagle *Silver Tower* stała się głucha, niema i ślepa.

Ale kilka dni wcześniej, tuż po powrocie na stację, Saint-Michael i jego załoga przygotowali się do następnego ataku i zapasowe źródła zasilania były ich priorytetem. Nazwali swój zaimprovizowany pulpit kontrolny „kwietnikiem”, bo jego obudowę skonstruowali ze skrzynki, w której kiedyś hodowano rośliny zielone. Saint-Michael nie wiedział, gdzie podziła się ziemia. Pulpit ten nawet teraz przypominał skrzynkę z kwiatami. Wyrastały z niego bujne kłęby przewodów, które kończyły się rozmaitymi zaciskami i stykami lub biegły do różnych urządzeń wewnątrz modułu dowodzenia.

Nie był to żaden terminal komputerowy ani wyszukana elektroniczna skrzynka przekaźnikowa. Obwody same stanowiły kłęby przewodów. Co do przełączników, to jeśli końcówka przewodu była połączona z drugą, oznaczało to pozycję „włączone”, a jeśli nie – to pozycję „wyłączone”. Każda wiązka przewodów miała etykiety informujące, dokąd biegną i jaką pełnią funkcję. Saint-Michael przymocował się do wykładziny velcro na podłodze i zaczął wyłączać obwody, pilnując, aby włączyć ostatni konektor na miejsce i zapalić światła w module dowodzenia. Sięgnął do panelu kontrolnego i włączył interkom stacyjny.

- Ann, jak mnie słyszysz?
- Słyszę cię, Jason.

– Przystaw się na kanał zewnętrzny. – Sam także odpowiednio przełączył swój pulpit łączności. – Marty? Jak odbierasz?

– Głośno i wyraźnie, generale. Ominęły pana fajerwerki. Wyglądały jak na Czwartego Lipca. Radzieckie kosmoloty bardzo iskrzą, kiedy trafi je wiązka lasera. Czy już koniec tych sztucznych ogni? Mogę wrócić i pozbierać swoje manatki?

– Możesz, ale my nie odlatujemy. Być może to szaleństwo, ale znów spróbujemy uruchomić stację.

– Jest problem, generale. Ostatni radziecki pocisk zabrał pańskie główne ogniwo paliwowe. Skąd weźmie pan energię? Jestem dość dobry w tej dziedzinie, ale nie mam pojęcia, jak zasilić *Silver Tower* energią z *Enterprise*.

– A co z bateriami słonecznymi? Czy widzisz je stamtąd? W jakim są stanie?

– Proszę zaczekać. – Po chwili Marty wrócił na kanał łączności. – Wygląda to nie najlepiej, generale. Nie mogę znaleźć nawet połowy tablic. Trzecia i czwarta jeszcze się trzymają, ale opadły na dźwigar. Naprawa wymagałaby całej armii techników i promu, poza tym musiałaby potrwać z tydzień. Jeśli w ogóle jest możliwa.

Zapadła cisza, potem Ann włączyła się w kanał.

– Jason, myślę, że jest inne rozwiązanie... Mamy wciąż na stacji źródło energii potężniejsze niż wszystkie ogniwa paliwowe i baterie słoneczne razem wzięte. Mówię o reaktorze MHD.

– Masz na myśli podłączenie go do obwodów zasilania stacji?

– Dlaczego nie? Zanim Kevin Baker i ja zaczęliśmy robić te wszystkie kombinacje, działało się dokładnie tak, jak mówisz. Mogę teraz rozczepić niektóre z tych prowizorycznych złączy, odwrócić przekaźniki mocy i przesłać energię reaktora MHD ze Skybolta przez obwody zapłonowe z powrotem do akumulatorów stacji. Transformatory baterii i bezpieczniki powinny ochronić akumulatory przed uszkodzeniem przez zbyt wysokie napięcie. Wtedy ty musiałbyś tylko przełączyć zasilanie bateryjne z szyny zapasowej na główną szynę stacji. Można by wówczas wykorzystać reaktor MHD do ładowania tych akumulatorów.

– Jakie to łatwe! – W głosie Saint-Michaela zabrzmiała ironia, której Ann nie wyczuła. – Dobrze, zróbmy tak, jak mówisz.

Teraz włączył się Marty.

– No to zakotwiczę *Enterprise* do kratownicy i idę do was...

– Nie zezwalam – zaprotestował Saint-Michael, który zaczął rozmontowywać konsole w module dowodzenia. – Chcę, żebyś nawiązał łączność z kimś na Ziemi, przedstawił naszą sytuację i prosił o jak najszybsze przysłanie misji ratunkowej.

– Będę musiał użyć swojej mocy czarodziejskiej – uśmiechnął się Marty.
– Nie naprawilem jeszcze TDRS na *Enterprise*.

– Wykorzystaj więc zapasowe radio UHF. Najłatwiej możesz uzyskać łączność ze stacjami naziemnymi w Dakarze, Ascension lub Yarra Yarra w Australii. Próbuuj aż do skutku. Nie wiem, na jak długo starczy nam jeszcze powietrza... Zrozumiałeś, Marty?

USS *MISSISSIPPI*

Pociski GL-25 przekroczyły zwrotnik Raka i mknęły na południe wciąż nie wykryte. Wszelkie statki większe od małych łodzi rybackich już dawno opuściły Zatokę Omańską i Morze Arabskie, podobnie jak mieszkańcy miasteczka na Dzikim Zachodzie, którzy pierzchali z głównej ulicy, kiedy szeryf i wyjęci spod prawa bandyci zaczynali swoje porachunki. Dwa z pocisków miały awarie układu sterowania i rozbiły się w morzu, ale pozostałe trzymały się precyzyjnie kursu i leciały w kierunku dwudziestu amerykańskich okrętów, odległych już tylko o pięćset mil. Trzysta mil od zewnętrznego pierścienia eskorty pociski, zgodnie z programem, zaczęły stopniowo obniżać swój lot aż do niskiego pułapu ostatniej fazy. Był to manewr mający na celu zejście poniżej wysokości skutecznego wykrywania dalekosiężnych radarów morskich.

Inercyjnie sterowane pociski zaprogramowano tak, jak gdyby wszystkie okręty eskortowe *Nimitza* były wciąż rozmieszczone ochronnym pierścieniem wokół lotniskowca. Gdyby flota pozostała w tym samym szyku defensywnym jak dwanaście godzin wcześniej, czyli wtedy, kiedy pociski były programowane, nie byłoby szans na wykrycie ich aż do ostatniej chwili. Punkt odszukiwania celu, gdzie miały się włączyć radary naprowadzające pocisków, uwzględniał możliwość pewnych ruchów floty; jednak planiści musieli pracować wychodząc z założenia, że flota nie zmieni pozycji o więcej niż sto mil od chwili ich startu. Utrzymanie tajemnicy było warunkiem powodzenia radzieckiego ataku.

Ale jeden okręt, USS *Mississippi*, odłączył się od grupy *Nimitza*. Po ataku bombowców typu Backfire został wysłany w rejon walki, na poszukiwanie poszkodowanych – członków radzieckich załóg. Żegluga na północ zajęła

mu kilka godzin, a potem pozostał tam jeszcze przez następne osiem, ratując rozbitków i wylawiając ciała. Kiedy *Mississippi* wyruszył w drogę powrotną, w kierunku *Nimitza*, aby zająć swoje miejsce w kordonie, oddalony był o sto mil od swej pozycji w szyku. Sytuowało go to o trzysta mil na południowy-zachód od pierwszych pocisków GL-25...

Komandor Jeffrey Fulbright, kapitan *Mississippi*, stał na mostku i próbował rozgrzać się kubkiem gorącej kawy.

– Ci Rosjanie naprawdę się nas bali – mówił Fulbright do porucznika George'a Collene'a, oficera pokładowego. – Chyba myśleli, że otworzymy do nich ogień. Oto skutki negatywnej propagandy.

– Albo zakorzeniony od lat strach przed odwetem, sir – powiedział porucznik Collene. – Gdybym to ja właśnie próbował zbombardować nieprzyjacielski okręt, na pewno dwa razy bym pomyślał, zanim wszedłbym na ich pokład po tym wszystkim.

Fulbright spojrział na młodego oficera i zacisnął prawą pięść.

– Nie miałbyś przypadkiem ochoty zejść tam na dół i należycie powitać tych skurwysynów na pokładzie USS *Mississippi*?

Collene spojrział na swego kapitana znad okularów.

– To właśnie, sir, mówią im ich oficerowie polityczni, że tak robimy.

– No to nie sprawimy im zawodu...

– Mostek, tu CIC. Kontakt radarowy z obiektem powietrznym, dokładny kierunek zero-cztery-zero, odległość dwa-osiem-siedem mil morskich. Porusza się szybko, na południe.

Fulbright podniósł słuchawkę.

– CIC, tu Fulbright. Czy otrzymaliście identyfikację?

– Nie, sir.

– Podajcie mi dane. – Opuścił słuchawkę i krzyknął do oficera pokładowego: – Poruczniku! Dokładny kurs zero-cztery-zero. Nie, zero-sześć-zero. Spróbujemy ich odciąć, wszystko jedno, kto to jest. Prędkość bojowa. I chodźmy zobaczyć.

– Zero-sześć-zero, prędkość bojowa, tak jest, sir. – Collene wydał rozkaz sternikowi. Ten powtórzył go, wykonał zwrot, następnie przekazał do maszynowni rozkaz zmiany prędkości. Kiedy prędkość i kierunek były zgodne z rozkazem, zawiadomił Collene'a.

– Kurs zero-sześć-zero. Prędkość bojowa, odczyt dwa-siedem węzłów, sir.

– Bardzo dobrze.

– Mostek, kontakt jeden teraz w odległości dwa-sześć-pięć mil, kurs

zero-cztery-pięć. Przybliżony pułap według echa radarowego: dziesięć – i obniża się. Prędkość oceniona na sześć-zero-zero węzłów.

– Czy nadaje jakieś sygnały identyfikacyjne? Czy to wróg, czy przyjaciel?

– Żadnych kodów, sir.

– Poruczniku, kurs zero-dziewięć-zero, utrzymywać prędkość bojową. Chcę, żeby...

– Mostek, tu CIC. Kontakt radarowy, obiekt powietrzny dwa, odległość dwa-sześć-zero mil morskich, kurs zero-trzy-osiem, szybko leci na południe tak jak kontakt jeden. Prędkość i wysokość te same.

Fulbright zaklął i chwycił drugą słuchawkę.

– Łączność, tu mostek. Połączcie się z *Nimitzem* na kanale satelitarnym FLEETSATCOM. Poinformujcie ich o wykryciu obiektów. Nadać komunikaty ostrzegawcze na wszystkich częstotliwościach alarmowych do naszych samolotów, z informacjami o kursie i prędkości wyśledzonych obiektów. Każcie im zmienić kurs i trzymać się z dala od amerykańskich okrętów w tym rejonie, pod groźbą otwarcia ognia bez dalszych ostrzeżeń...

– Mostek, tu CIC. Kontakt radarowy trzy, odległość dwa-cztery-zero, kierunek zero-trzy-zero, porusza się poniżej echa pięć. Ten sam kurs i prędkość jak te... Mam kontakt radarowy cztery, to samo... Wydaje się, że jest ich więcej, sir. Złapałem teraz kontakt pięć...

– Przerwać meldunki, radar. Mam obraz sytuacji – rzucił Fulbright. – Poruczniku, ogłoszcie alarm bojowy.

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG*

Co za ironia! Gdyby moduł dowodzenia nie został tak zniszczony w czasie pierwszego ataku radzieckiego, to prześledzenie okablowania i obwodów łączących Skybolta i reaktor MHD z akumulatorem stacji zajęłoby wiele godzin, może nawet dni. Jednak w obecnym stanie główne i zapasowe szyny energetyczne i punkty połączeń przewodów zasilających z zasilanymi obwodami były łatwo dostępne.

Zadanie Saint-Michaela polegało na podłączeniu systemu zasilania zapasowego do szyny głównej. W końcu wstał on od „kwietnika”, włączył swój interkom i powiadomił Ann, że jest gotów. Ann zameldowała, że zakończyła przełączanie w module kontrolnym Skybolta, uruchomił więc kanał łączności zewnętrznej i wywołał Marty'ego.

– Zamierzamy włączyć reaktor, Marty. Bądź w pogotowiu.
– Zrozumiałem, generale... hej, proszę zaczekać sekundę. Odbieram przekaz na UHF z... Seszeli czy czegoś takiego. To chyba marynarka. Coś się dzieje...

– Okay, bądź na nasłuchu, zdasz mi raport później. Teraz odpalamy reaktor i zobaczymy, co się stanie.

Ann przedostała się do jedyne go panelu kontrolnego w całym module, jaki pozostał oświetlony. Znalazła prosty przełącznik, który umożliwiał skierowanie prądu z baterii zapasowych do obwodów zapłonowych.

– Jason, kiedy włączę reaktor, będzie on szedł pełną mocą, dopóki nie dostanę zasilania na mój główny pulpit sterowniczy. Mam nadzieję, że akumulatory to wytrzymają...

– Popatrz na to w ten sposób: jeśli coś pójdzie źle, nasze położenie i tak już nie może się pogorszyć. Gdyby nastąpiła eksplozja, to na dźwigarze, tam gdzie są akumulatory. Włączaj!

Ann dotknęła przełącznika i zamknęła oczy. – Niech się dzieje, co chce...

Radziecki atak na grupę lotniskowca *Nimitz* przebiegał zgodnie z planem.

Pięć minut po osiągnięciu punktu wyjściowego przez ostatni pocisk manewrujący GL-25 lotniskowce *Kijów* i *Noworosyjsk* zaczęły wyrzucać ze swoich platform startowych w kierunku okrętów amerykańskich pierwsze z dwunastu bombowców naddźwiękowych Su-24 Fencer bazujących na pokładzie. Maszyny te, o zmiennej geometrii płatu, stanowiące syntezę technologii zapożyczonych od amerykańskich F-111 oraz brytyjskich Tornado, zostały przystosowane do działania z lotniskowca. Każdy z nich wyposażony był w cztery pociski powietrze-woda AS-N-16 z laserowymi systemami samonaprowadzania, a także działko trzydziestomilimetrowe i podwieszoną gondolę z dwunastoma pociskami naprowadzanymi laserem. AS-N-16 miały być użyte do zwalczania przypadkowych celów po opuszczeniu rejonu walki przez myśliwce.

Bombowce musiały przeniknąć przez zewnętrzny pierścień ochronny floty *Nimitza* natychmiast po ataku pocisków manewrujących GL-25, kiedy eskorta będzie maksymalnie osłabiona, i zaatakować samego *Nimitza* swoimi pociskami o wielkiej sile wybuchu. Fencery, lecące zaledwie parę metrów nad powierzchnią wody, pod osłoną radarową swoich supernowoczesnych urządzeń do zagłuszania, powinny być trudne lub nawet niemożliwe do wykrycia w

zamieszaniu spowodowanym atakiem pocisków manewrujących. W czasie odwrotu mogły jeszcze atakować przypadkowe cele.

USS *NIMITZ*

W wirze przygotowań do obrony, po alarmie podniesionym przez *Mississippi*, starty bombowców Fencer z lotniskowców *Kijów* i *Noworosyjsk* prawie nie zostały zauważone.

Fregata raketowa FFG-48 USS *Vandergrift* okazała się pierwszym okrętem, w który uderzył radziecki pocisk GL-25. Była najdalej na północ wysuniętą jednostką do zwalczania okrętów podwodnych, znajdującą się w eskorcie *Nimitza*. Ze względu na swe główne przeznaczenie miała ograniczoną zdolność obrony przeciwlotniczej. Wyposażona była w jedną tylko wyrzutnię pocisków przeciwlotniczych Mark 13, ulokowaną na przednim pokładzie. Chociaż *Nimitz* przekazał ostrzeżenie *Mississippi* wszystkim swoim okrętom eskorty, *Vandergrift* nie mogła obronić się przed tym atakiem. Kiedy pocisk wykrył fregatę i uchwycił swą radarową głowicą naprowadzającą, przyspieszył do prędkości prawie dwóch machów na ostatnich trzydziestu milach lotu i uderzył prosto w hangar śmigłowców *Vandergrift*, zanim fregata zdążyła oddać choćby jeden strzał. Została ona niemal przecięta na pół...

Niektóre z okrętów eskorty miały więcej szczęścia, ale pociski GL-25, jeden po drugim, stopniowo przebijały szlak do samego *Nimitza*. Krążowniki typu Aegis były już wcześniej rozmieszczone w szyku do stawienia czoła grupie lotniskowca *Archangielsk* od wschodu, dlatego, nie przygotowane, nie mogły odeprzeć tak zmasowanego uderzenia od północy. O ile nowsze i szybsze pociski Standard-ER oraz NATO Walkiria, startujące pionowo, skutecznie zwalczały nadlatujące GL-25, o tyle starsze Standardy ledwo mogły sprostać zadaniu.

GL-25 zaczynały brać górę. I chociaż zniszczenie jednego okrętu wymagało zużycia trzech GL-25, północna eskorta zaczęła ulegać radzieckim napastnikom.

– Wypuście w powietrze tyle Tomcatów, ile zdołacie, kapitanie – powiedział admirał Clancy przez telefon do Centrum Operacji Powietrznych. – Wysłać dwa patrole w kierunku *Archangielska* na wschód. Resztę na północ razem z samolotami radarowymi Hawkeye, niech odnajdą te przeklęte pociski manewrujące. Trzymajcie w pogotowiu cztery Tomcaty i dwa Hornety... Tak, tylko cztery. Jeśli nie dopadniemy tych pocisków, nie będzie miało znaczenia, ile zatrzymamy w rezerwie.

– Tak jest...

Dźwięk pulsującego grzmotu przebił się przez hałas pokładu startowego u stóp mostka *Nimitza*. Edgewater i Clancy pospieszyli na pomost obserwacyjny na lewej burcie. Nocne niebo rozświetlały serie pocisków wystrzeliwanych z jednego z okrętów eskorty północnej.

– Mostek, tu CIC. *Shiloh* strzela do nieprzyjacielskich celów.

Shiloh był jednym z okrętów typu Aegis, wyznaczonych do obrony przeciwlotniczej. Ich zadanie polegało na ubezpieczeniu *Nimitza* od północy.

W momencie przekazywania tej wiadomości na mostek horyzont rozjaśniła eksplozja, oświetlając całą sylwetkę krążownika, którego długość wynosiła ponad pięćset trzydzieści dwie stopy. Nie było jednak ani pożaru, ani wybuchu magazynów. Po chwili luna zgasła.

– Dostał ich – stwierdził Edgewater. – *Shiloh* musiał trafić pocisk manewrujący...

Ostatnie słowa Edgewatera zagłuszył grzmot dobiegający z drugiej strony pokładu startowego. Jednocześnie z głośników dał się słyszeć głos:

– Alarm, cała załoga, alarm...

Rozległ się dźwięk bezpośredniego telefonu łączności z CIC, ale Clancy nie zdążył odpowiedzieć, gdyż osłepiający błysk i ściana ognia przeszły przez pokład *Nimitza*. Gęste chmury tłustego dymu zasłoniły wszystko, nawet obudowany mostek.

– Raport o uszkodzeniach na wszystkich pokładach! – krzyknął Edgewater spoza ciężkiej, stalowej ściany mostka. – Wszystkie pokłady...

Następna eksplozja! Tym razem na samym pokładzie startowym. Jeden z F-14 gotowych do startu zapalił się. Głośniki wzywały na pokład ekipy strażackie i ratunkowe...

Telefon zadzwonił ponownie. Tym razem Clancy podniósł słuchawkę.

– Mostek.

– Mostek, tu awaryjny jeden. Pocisk manewrujący wybuchł przy lewej burcie. Poszła jedna winda, jedna katapulta i po jednej wyrzutni CIWS* i Sea Sparrow. Jeden F-14 uszkodzony, dwie ofiary. Jak dotąd nie ma sygnałów o stratach na dolnych pokładach.

– Meldujcie mi jak najszybciej, kiedy je otrzymacie. – Clancy połączył się z CIC, a Edgewater pobiegł na pokład. – CIC, co się tam dzieje?

– Radzieckie pociski wszędzie dookoła, admirale – odparł starszy oficer CIC, komandor Jacobs. – Nasz system uzbrojenia bliskiego zasięgu zniszczył ten ostatni tuż przed trafieniem. *Shiloh* był oślepiiony po tym pocisku, który prawie ich trafił... Nie mieli możliwości zestrzelenia tych, które leciały na nas... Proszę zaczekać, sir... – Po chwili wrócił na linię. – Wiadomość z *Bronsteina*.

Bronstein był wybudowaną przed trzydziestu laty fregatą do zwalczania okrętów podwodnych, usytuowaną w szyku jako najbliższy okręt *Nimitza*, uzbrojoną tylko w trzycalowe działko i działko Gatling.

– Jeszcze się trzyma na wodzie, ale poniosła ciężkie straty i prosi o pomoc.

– Wyślijcie trzy helikoptery HH-65 Dolphin z mechanikami i sprzętem ratunkowym – zdecydował Clancy, patrząc na radar powierzchniowy, aby ocenić pozycje reszty swojej eskorty. – Użyjemy wszystkich helikopterów Dolphin do akcji ratunkowej. Jeśli w pobliżu będą okręty podwodne, wtedy naprawdę znajdziemy się w opałach.

– Tak jest, sir.

– Teraz, kiedy *Shiloh* jest niesprawny – zauważył Edgewater – tylko parzyć, jak sami będziemy musieli zabawić się w berka z następnymi pociskami. To pewne jak cholera. Czy w tej sytuacji nie powinniśmy przesunąć *Hue City* na północ? – USS *Hue City*, pierwszy okręt amerykański, nazwany tak na pamiątkę bitwy w wojnie wietnamskiej, był najdalej wysuniętym na zachód okrętem typu Aegis z grupy *Nimitza*.

– Nie mamy wyboru – powiedział Clancy. – Ślepy krążownik Aegis nie jest dla nas żadną pomocą...

– Admirale, wiadomość z CIC. Nasze Tomcaty meldują o samolotach nieprzyjaciela sto pięćdziesiąt mil na wschód od *Ticonderogi*. – *Ticonderoga*, najsilniej uzbrojony okręt grupy wsparcia, patrolował pomiędzy *Nimitzem* i *Archangielskiem*. – Nie ma jeszcze meldunku z *Ticonderogi*. Tomcaty są...

– Alarm kolizyjny! Cała załoga, alarm kolizyjny!

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG*

Saint-Michael właśnie wydał Ann rozkaz włączenia obwodu, który miał przesłać energię z baterii zapasowych do obwodów zapłonowych Skybolta, kiedy silna eksplozja uderzyła w zewnętrzną ścianę modułu dowodzenia. Dym pojawił się w kilku miejscach usłanego szczątkami modułu. Po chwili stał się tak gęsty, że generał nie widział już nic.

Kiedy Ann wywoływała go, próbując dowiedzieć się, czy wszystko w porządku, przedostał się jakoś do zaimprovizowanego pulpitu kontrolnego i uruchomił przełącznik dehermetyzujący moduł dowodzenia. Dym prawie natychmiast zniknął w tunelu łączącym wraz z resztkami powietrza, jakie pozostawały jeszcze w stacji.

– Nic mi nie jest – powiedział wracając do pulpitu kontrolnego SBR. – Musiałem rozhermetyzować...

Ann usłyszała ciche westchnienie.

– Jason?

– Moja... głowa... – Sięgnął do przycisków kontrolnych na piersi swojego kombinezonu i sprawdził, czy przełącznik ciśnienia jest w położeniu awaryjnym.

– Jason...! Idę do ciebie.

– N-nie. – Ból przeszywał go na wskroś, ale myślał, że zdoła go znieść bez utraty przytomności. – Zostań tam... – Skupił wzrok na połączeniach energetycznych w „kwietniku”. – Wygląda na to, że SBR wyłączył się. Nie działa. Spróbuję przestawić na automatyczny obwód śledzenia... – Marty, co widzisz tam na zewnątrz?

– Jedna z baterii na kratownicy eksplodowała – zameldował Schultz. – Siła wybuchu rzuciła nią o ścianę modułu dowodzenia.

Saint-Michael umocował niewielką latarkę do swojego hełmu, aby oświetlić „kwietnik”. Z wysiłkiem koncentrował uwagę, walcząc z falami bólu.

– Są jakieś uszkodzenia?

– Nie widać.

Zdołał w końcu odnaleźć wiązkę przewodów, łączącą automatyczny obwód śledzący z główną szyną zasilającą, i wyciągnął ją. Nie miał żadnej możliwości sprawdzenia obwodu. Nie wiedział również, czy samo wyłączenie go spowoduje powrót do normalnego stanu, czy może doznał on uszkodzenia lub został przepalony.

Drżącymi palcami ponownie włączył wtyczkę wiązki przewodów.

– No dobrze, Ann – powiedział. – Spróbujemy jeszcze raz...

USS *NIMITZ*

Nastąpił kolejny oślepiający błysk po stronie lewej burty *Nimitza*, ale tym razem towarzyszyła mu ognista kula, która uniosła się z pokładu *Shiloha*. Żar i podmuch odczuła cała załoga odległego o parę mil *Nimitza*.

Edgewater, czując intensywną falę gorąca, zrozumiał, że oznacza to koniec *Shiloha*.

– Przesunąć *Callaghana* na północ obok *Shiloha*!– rzucił rozkaz Clancy. Otarł pot z czoła. Kiedy spojrział na rękę, zobaczył, że jest pobrudzona sadzą. – Niech niszczyciel pomoże przetransportować rannych i przejmie obronę przeciwlotniczą do czasu, aż *Hue City* przesunie się na pozycję. Operacyjny, skierować klucz Bravo na północ, aby pomógł odnaleźć te radzieckie samoloty. Wygląda na to, że *Archangielsk* wkracza do akcji.

Kiedy Edgewater odwrócił się, aby wydać rozkazy, Clancy podniósł słuchawkę łączności z CIC, patrząc jednocześnie przez zasłonę tłustego dymu na płonący na horyzoncie krążownik klasy Aegis. Nastąpiła kolejna wtórna eksplozja, a w niebo wzniósł się ogromny słup ognia. Odczekał parę sekund, po czym zapytał:

– Jakie są straty, komandorze? – Bał się tego, co miał usłyszeć.

– *Valley Forge, Vandergrift, Arkansas* i pański dawny okręt flagowy z Zatoki Perskiej, *Lasalle* – powiedział Jacobs bezbarwnym głosem – wszystkie są znacznie uszkodzone lub zniszczone. *Vandergrift*... stracony z całą załogą. Przykro mi, sir.

Przykro... po prostu przykro, niech to diabli... Może to wszystko nie wydarzyłoby się, gdyby ci faceci zza biurka nie trzymali go na uwięzi tak długo...?

Dwa krążowniki Aegis zniszczone... to gorzej, niż myślał. Bez ochrony przeciwlotniczej, jaką zapewniały, straty mogą być jeszcze większe. W ciągu najbliższej godziny lub nawet minut cała flota może przestać istnieć...

– Sami mamy osiemnaście ofiar śmiertelnych – kontynuował z przymusem Jacobs. – Jest stu rannych i straciliśmy obie katapulty środkowe, jedną windę oraz wszystkie działa i rakiety na lewej burcie. Możemy mieć problemy z przyjmowaniem lądujących samolotów: pierwszy zestaw lin chwytających jest zniszczony. – Przerwał, po czym zapytał: – Jakie są rozkazy, sir?

Rozkazy? Jakiegokolwiek wyda, wszystko będzie już za późno. Ale komendowanie to obowiązek admirałów. Dobre, złe, spóźnione... no, ale przynajmniej nie ułatwi Rosjanom zadania. Będą mieli bitwę, jakiej chcieli...

– Wezwać na mostek personel bojowy – powiedział Clancy. – Musimy zamknąć koło.

W tej chwili zagrzemiał głośnik:

– Alarm kolizyjny, cała załoga, alarm kolizyjny!

– Lewa burta, admirale! – Głos Jacobsa docierał wyraźnie, ale wydawał się dziwnie odległy, jak sekwencja marzeń z surrealistycznego filmu... – Lewa burta, leci wprost na nas!

Clancy wpatrywał się w przestrzeń przez wybite szyby w oknach mostka. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że nie będzie mógł dostrzec pocisku mknącego tak prędko i nisko, prawie tuż nad powierzchnią wody, ale nadal stał, jak zahipnotyzowany.

– Ster na lewą burtę, prędkość bojowa! – krzyczał teraz Edgewater. – Przekazać flocie, że *Nimitz* wykonuje zwrot na lewą burtę...!

Pocisk zbliżał się nieubłaganie, rozcinając powietrze z ponaddźwiękową prędkością, szukając swego celu, a tym samym i końca długiej, złowieszczej podróży.

STACJA KOSMICZNA *ARMSTRONG*

Skybolt wypalił. Ciało Saint-Michaela zdawało się płonąć żywym ogniem. Ból miażdżył go swoją intensywnością.

Błysk światła w module dowodzenia przeszedł w żółtą poświatę, jak gdyby całe pomieszczenie było kawałkiem płonącego fosforu. Wysoki, świdrujący dźwięk brzmiał głośniejsz i głośniejsz, nie stłumiony przez hełm i słuchawki. Moduł wystawiony teraz na otwartą przestrzeń kosmosu powinien być lodowato zimny, a wydawał się kipiącym kotłem.

Generał miał wrażenie, iż słyszy rytmiczne dudnienie dochodzące gdzieś z dołu. Stawało się ono coraz wyraźniejsze, w miarę jak walczył o zachowanie świadomości. W pewnej chwili fragment jakiejś dawno zniszczonej konsoli wyrwał się skądś i uderzył w bok jego hełmu, przesądzając wynik tej walki. Ból, gorąco i ten dźwięk litościwie odeszły.

USS *NIMITZ*

Na *Nimitzu* ponownie błysnęło, ułamek sekundy oślepiającej bieli, jak błysk potężnego flesza. Clancy zamrugał oczami. Czy tak właśnie ma wyglądać śmierć? Krótki błysk? Puff – i po wszystkim...?

Straszliwa eksplozja zamieniła morze w kipiącą pianę o pół mili od spalonej lewej burty *Nimitza*. Fala uderzeniowa wybuchu zakolysała okrętem o

wyporności dziewięćdziesięciu jeden tysięcy ton jak źdźbłem słomy, ale...

Ale to było wszystko. Hałas, przetaczający się grzmot, a potem martwa cisza.

– Co, do diabła...?! – Admirał chwycił za słuchawkę. – Tu Clancy. Co się tam stało? Czy ten pocisk sam się zdetonował?

– Niech mnie szlag trafi, jeśli wiem, admirale – odparł Jacobs. – Dostaliśmy potężny impuls energii tuż przed tą ostatnią eksplozją. Radary, łączność, sonar – wszystko na chwilę przestało działać... Dopiero teraz odżywa... Czy gdzieś na górze ktoś mógł zdetonować ładunek jądrowy?

– No, gdyby to była broń atomowa, to myślę, że teraz bylibyśmy w drodze na dno albo na Księżyc. Proszę zebrać meldunki z innych okrętów...

Dziesięć mil od dziobu zobaczył coś, co wyglądało jak idealnie prosta błyskawica przecinająca ciemne niebo. Jej błysk przypominał piorun, tylko że nigdy dotąd nie widział prostych błyskawic... Ta zaś zakończyła się wielką ognistą kulą strzelającą językami płomieni we wszystkich kierunkach. Ognista kula urosła do niesamowitych rozmiarów, jak słońce, oświetlając ocean, po czym zniknęła.

– Admirale, znowu – odezwał się z dołu Jacobs. – Wszystko nawaliło, próbujemy coś zrobić...

– Zaczekajcie, zaczekajcie chwilę...

– Jeszcze jedna, sir. – Tym razem odezwał się marynarz ze stanowiska obserwacyjnego na mostku, wskazując na północny zachód. – Te błyski są wszędzie wokół nas, jak jakaś cholerna, zwariowana burza z piorunami.

– To nie pioruny – powiedział Clancy, który zaczynał wszystko rozumieć. Popatrzył w górę na nocne niebo, na rzadkie chmury i zamglone gwiazdy. Powoli pokiwał głową. – To, panowie, jest nasz anioł stróż...

Przez następne parę minut sceneria wokół *Nimitza* była niesamowita, niezemska, prawie nadnaturalna. Pojawiły się świetliste strzały prostych błyskawic, po których wybuchały ogniste kule tuż nad powierzchnią morza. Parę razy błyskawice trafiały w morze, wysyłając w górę gejzery pary i wody wysokie na prawie sto stóp. Potem uderzała kolejna błyskawica i kula ognista wybuchała ponownie.

O ile dla załogi *Nimitza* i ekip wspierających go okrętów był to bardzo spektakularny widok, o tyle na pilocie radzieckiego bombowca prowadzącego

Su-24 wywarł jeszcze silniejsze wrażenie. Oglądał wszystko przez przednią szybę kokpitu. Starał się skoncentrować na wskazaniach radaru, sygnałach ostrzegawczych i radarze naprowadzającym, ale jego uwagę wciąż odwracały tańczące po niebie dziwne błyski. Kilka razy na minutę chmury wybuchały pierścieniem światła, a potem struga ognia strzelała w dół i uderzała w ocean. Prawie za każdym razem odpowiadała jej eksplozja, ale chyba nie pochodziła ona z okrętów amerykańskich. Całe to zjawisko przypominało mu deszcz meteorów, najdziwniejszy jaki widział świat...

Kiedy radziecka grupa uderzeniowa zbliżyła się do zewnętrznych amerykańskich okrętów eskorty, te dziwne iluminacje zaczęły formować się w niesamowite słupy ognia, które zdawały się blokować im drogę jak lśniąca kurtyna rozciągnięta w poprzek. Jednocześnie przerywane sygnały ostrzegające przed amerykańskimi myśliwcami z lotniskowca zaczęły słabnąć. Czyżby zdolali przemknąć się poniżej Tomcatów F-14?

Nagle kokpit prowadzącego Su-24 wypełnił się ogniem i światłem. Usiłując utrzymać panowanie nad swym bombowcem, pilot z niedowierzaniem patrzył na wskazania wysokościomierza radarowego, określającego odległość między brzuchem samolotu a niebezpiecznymi grzbietami fal. Wskazówka spadła prawie do zera.

Szyk formacji nagle został zakłócony. Świetlista kurtyna otaczała ich teraz z każdej strony. Jeden z bombowców niespodziewanie rozerwał się w powietrzu. Inne wyłamały się z szyku, aby pozbierać się po eksplozji. W odległości niecałych stu kilometrów od pierwszych okrętów eskorty i dwustu od *Nimitza* grupa uderzeniowa praktycznie się rozpadła. Precyzyjnie przeprowadzany nalot zamienił się nagle w pojedyncze nieskoordynowane ataki. Niektóre z bombowców nawet zawróciły w kierunku *Archangielska*. Rosjanie uznali je za samoloty nieprzyjacielskie, co spowodowało jeszcze większy zamęt.

Ticonderoga oddał kilka strzałów w kierunku bombowców, ale napastnicy rozproszyli się, zanim dotarli na odległość skutecznego ognia okrętu. Załoga *Ticonderogi* ze zgrozą patrzyła, jak tajemnicza poświata przesuwająca się na wschód.

Kiedy jaśniejące strzały znikły, powietrze stało się czystsze, zimniejsze i cichsze. Dymy pożarów i eksplodujących pocisków zdawały się rozpraszać w przestrzeni. Kilka okrętów z eskorty *Nimitza* włączyło syreny na wiwat,

choć nie wiadomo było, na czyją cześć. Nawet admirał Clancy miał ochotę włączyć syrenę.

– Wyślijcie samoloty-cysterny Intruder. Niech zatankują myśliwce, które poleciały przeciwko tym pociskom manewrującym – powiedział Clancy do operacyjnego. Mówił powoli, jak gdyby obawiał się zakłócić mistyczną aurę otaczającą mostek i całą flotę. – Będziemy musieli trzymać je w powietrzu, dopóki nie zrobimy porządku na pokładzie.

Jak najszybciej wydostańcie klucz Kilo na pokład, aby zastąpił patrole, które poleciały na wschód. – Zwrócił się do Edgewatera: – Odprawa sztabu bojowego za pół godziny. Chcę mieć pełny raport o stanie grupy.

Położył rękę na ramieniu kapitana i mocno ją zacisnął.

– I dajcie mi jakieś radio. Chcę pomówić z pewną cholerną stacją kosmiczną, która nad nami czuwała.

KREML, ZSRR

W hermetycznym pomieszczeniu, w którym odbywało się zebranie Sztabu Generalnego, panowała martwa cisza. I sekretarz siedział u szczytu trójkątnego stołu, patrząc przed siebie bez wyrazu.

– Musimy uderzyć – powiedział nagle. – Zniszczyć *Nimitza*. Wystrzelić pociski AS-15 z głowicami nuklearnymi z Taszkientu lub SS-N-24 z okrętów podwodnych. Musimy zniszczyć *Nimitza*!

Po chwili dały się słyszeć szepty i wypowiedzi rzucane stłumionym głosem:

– Ten amerykański laser przechwyci wszystko...

– A co będzie, jeśli uderzy w *Archangielsk*...!

– Stacja kosmiczna *Armstrong* jest w stanie naprowadzać amerykańskie B-52 i może też kierować pociskami Cruise...

– Musimy mieć czas, aby ocenić ten... ten nowy czynnik, towarzyszu – zabrał głos Czilikow. – Nie dysponujemy startującymi z ziemi niszczycielami satelitów, nie mamy kosmolotów... nie możemy więc pokonać tej stacji kosmicznej, przynajmniej na razie. Ma więc ona przewagę nad grupą lotniskowca *Archangielsk* nie tylko pod względem wysokości – pomyślał. Nie możemy wysłać grupy uderzeniowej bez narażania *Archangielska*.

– Nie chcę tego słuchać – zaprotestował I sekretarz, obrzucając Czilikowa piorunującym spojrzeniem. – Nie wycofam się. Nie pozwolę, aby ten kraj stracił dostęp do morza...

- Towarzyszu, przecież to my kontrolujemy Iran i Zatokę Perską...
- Ach, tak! Kontrolujemy, niby czym? I na jak długo? To tylko kwestia czasu, kiedy Amerykanie znowu tam wkroczą...
- Jeśli wycofamy się, sytuacja pozostanie taka, jaka jest. Jeśli zaś wystąpimy przeciwko *Nimitzowi*, podczas gdy stacja kosmiczna *Armstrong* ciągle działa, zaryzykujemy wszystko.

I sekretarz bacznie przyjrzał się siedzącym wokół niego generałom. Byli zdenerwowani. Kiedyś, wspomniał, siedział przy tym stole człowiek, który nie bał się podjąć ryzyka, który, tak jak on sam, nawet nie dopuszczał możliwości porażki. Czy jest gdzieś taki drugi? Miał nadzieję, że tak, i chciał w to wierzyć.

Bo jeśli nie, to Amerykanie odniosą zwycięstwo o wiele ważniejsze niż to militarne. Do nich będzie należała przyszłość...

Epilog

Styczeń 1993

ORINDA, KALIFORNIA

– On chciał, żeby pochowano go tam, skąd widać zatokę – powiedziała Ann. – Tak właśnie napisał w swoim testamencie: „Chcę spoczywać tam, skąd będę mógł widzieć zatokę i dotykać nieba, w którym przebywa moja córka”.

Pochyliła się i ułożyła bukiet kwiatów na kopczyku ziemi u stóp niskiej kamiennej tablicy, na której wyryto nazwisko: Matthew E. Page, kapitan marynarki USA. Stała wraz z Jasonem Saint-Michaeliem na niewielkim pagórku, na skraju cmentarza położonego na północny wschód od bazy marynarki w Alameda. Niskie chmury i mgła przesłaniały San Francisco i most nad zatoką Oakland, daleko w dole. Zanim dotarli do szczytów Berkeley Hills, chmury rozstały się i wyjrzało słońce.

Saint-Michael ścisnął rękę Ann, ale po chwili puścił ją i poszedł na skraj wzgórza, aby popatrzeć na rozciągającą się niżej panoramę. Patrzyła na niego, kiedy odchodził.

Wiedziała, że z powodu mgły wypełzającej z zatoki San Francisco Jason odczuwa ból w nadwerżonych przez azot stawach. Powietrze było zimne i wilgotne. Chodził teraz o lasce. Była to stara, sękata, dębowa laska, подарowana mu przez prezydenta na prywatnej uroczystości. Przyjął ją z uśmiechem i uściskiem dłoni, ale od tego czasu stał się małomówny i przygaszony.

Ceremonia okazała się także pożegnaniem. Miał odejść na emeryturę, ponieważ lekarze uznali, że ponowne wyprawy w kosmos byłyby zbyt wielkim ryzykiem dla jego zdrowia. Nie mając jednostki, która mogłaby dowodzić, ani zamiłowania do siedzenia za biurkiem, niechętnie zgodził się na emeryturę zaoferowaną mu przez Dowództwo Kosmiczne. Za miesiąc miał się stać znowu cywilem. Czy potrafi się z tym pogodzić?

Ann miała nadzieję, że ściągnięcie go do Kalifornii na Nowy Rok w jakiś sposób poprawi mu nastrój, ale chyba się pomyliła. Jej matka, Amanda, była pełna życzliwości, ale też nic nie mogła zdziałać. Właśnie przygotowywał się

do wyjazdu, kiedy zadzwonił admirał Clancy z prośbą, by Jason nazajutrz przyjechał do bazy marynarki Oakland-Alameda, kwatery głównej grupy lotnikowca *Nimitz*.

Po drodze wstąpili na grób ojca, aby złożyć mały bukiet kwiatów, ale teraz wydawało się jej, że nie był to dobry pomysł. Wspomnienie śmierci Matthew Page'a zdawało się budzić inne bolesne wspomnienia z ostatnich miesięcy, które oddalały ich od siebie.

Podeszła i wzięła go pod rękę. Stali tak przez dłuższą chwilę, patrząc na kłębiące się nad zatoką San Francisco mgły.

– Może to dziwne – powiedział – ale tęsknię do tej stacji. Sam się zastanawiam dlaczego, bo przecież to tylko kupa komputerów, paneli z instrumentami, śrub, nakrętek i nic więcej. Ale cholernie mi jej brak. Na pewno nie zrozumiesz, jak bardzo. – Popatrzył na nią i nagle przypomniał sobie, z jakim oddaniem ratowała życie innych, jak gorliwie pracowała nad Skyboltem. – Oczywiście, że rozumiesz... Cofam to, co powiedziałem...

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc zadała pytanie:

– Jason, dlaczego zgodziłeś się tu przyjść?
– Pomyślałem, że powinienem pożegnać się z twoim ojcem. Kiedy wracasz?

– Wracam?

– Na stację.

– Nigdy – odpowiedziała.

– Nigdy? Dlaczego?

– Ponieważ ta część mojego życia... – nie dodała: „i twojego” – jest zamknięta. Nigdy nie zrobiłabym niczego, co mogłoby sprawić ci ból.

– Ale co z karierą? To urządzenie laserowe ciągle znajduje się tam w górze i jest twoje. Nie możesz tak, po prostu...

– Pamiętam tego faceta, tego nadętego skurczybyka, generała z Dowództwa Kosmicznego, który powiedział, że to nie jest mój laser. Wiesz co? On miał rację. Powiedzieć ci coś jeszcze? Ja już go nie chcę. Nie patrz tak na mnie! Nie chcę już mieć z tym nic wspólnego. Zbudowałam Skybolta jako urządzenie obronne, Jason, nie ofensywne.

– No to co właściwie mieliśmy zrobić? Pozwolić, żeby Elektronicy zrobiły sobie z nas cel ćwiczebny?

– Nie, oczywiście, że nie. Nie mieliśmy wyboru, to była kwestia życia i śmierci. Ale Dowództwo Kosmiczne przebudowało już *Armstronga* i obsadziło

go na tej samej orbicie nad Morzem Arabskim, na której ty go umieściłeś. Używają naszej stacji do śledzenia grupy *Archangielska*...

– Wciąż nie rozumiem...

– Jeżeli Skybolt ma być bronią defensywną, chroniącą nas przed strategiczną bronią nuklearną, to po co *Silver Tower* ciągle jest nad Morzem Arabskim?

Zamilkł na moment.

– Po to, by obserwować. To ciągle jest najlepsza platforma zwiadowcza, jaką mamy. I może pomóc w ochronie naszej floty przed niespodziewanym atakiem pocisków manewrujących...

– Albo myśliwców i bombowców?

– Oczywiście...

– A czemu nie po to, aby bezpośrednio zaatakować *Archangielsk*? Zastanawiam się, jakie szkody wyrządzi Skybolt na lotniskowcu. Zniszczyć parę samolotów na pokładzie? Detonować magazyn amunicji? Załatwić elektronikę? Może nawet zabić paru marynarzy na pokładzie. Czemu nie iść jeszcze dalej? Nie trzeba być wielkim myślicielem, aby wpaść na takie pomysły. Wystarczy szczerze oddany sprawie szef sztabu, sekretarz obrony lub prezydent. Rosjanie zamierzają wyprowadzić *Breżniewa* z Zatoki Perskiej i pożeglować do południowego Jemenu w celu uzupełnienia zaopatrzenia. Mówią, że przyłączy się on potem do *Archangielska*, aby utworzyć nowe, silniejsze ugrupowanie bojowe, które ponownie ruszy na *Nimitza*. Czyż nie byłoby logiczne zaatakować *Breżniewa*, kiedy wejdzie do portu? Albo, jeszcze lepiej, czemu nie mielibyśmy przejechać naszym laserem po macierzystym porcie *Archangielska*, Władywostoku? Albo Murmańsku? Albo Leningradzie? Albo po Moskwie?

– Ponosi cię wyobraźnia, Ann...

– Być może, ale czy jesteś taki pewny? Pracowałeś w sztabach planowania Dowództwa Kosmicznego. Co byś zrobił, gdybyś miał taką broń jak *Silver Tower* i Skybolt? Czy jesteś pewien, że nigdy nie rozważyłbyś możliwości ich użycia, jeśli mógłbyś zapobiec wojnie? Wykonać na przykład uderzenie wyprzedzające, chirurgiczne. Albo może przynajmniej pobrzękać trochę szabelką z wysokości siedmiuset mil w kosmosie?

– Nie wierzę, żeby kiedykolwiek mogło do tego dojść...

– Chciałabym, żebyś potrafił mnie przekonać. Ale wiesz równie dobrze jak ja, że nadmiar sukcesu, jak teraz w przypadku Skybolta, może wzmoczyć apetyt... Chciałam, żeby to była broń defensywna. Ale teraz...

Nie spierał się z nią. Odwrócił się i zaczął wpatrywać w wielkie strzępy mgły snujące się ponad zatoką. Stali tak jeszcze w milczeniu dość długo. W pewnej chwili zauważyła, że Saint-Michael przenosi ciężar ciała z nogi na nogę.

– Powinniśmy już jechać – powiedziała. Poszedł za nią do samochodu.

Tłok na ulicach był już trochę mniejszy, kiedy przebili się przez bulwar Mount Diablo do autostrady Nimitz i dalej do bazy marynarki Oakland-Alameda. Kiedy dotarli do bramy i okazali dokumenty, wartownik wskazał im oczekujący samochód służbowy, zaparkowany obok.

– Admirał Clancy oczekuje pana, generale. Jego kierowca zawiezie pana i doktor Page.

Zaskoczony Saint-Michael oddał salut wartownikowi i zawrócił na parking. Zatrzymał się obok dużej szaroniebieskiej limuzyny. Kierowca zasalutował i otworzył im drzwi.

– Po co ta cała pompa? Przecież to ma być zwykłe przesłuchanie – zdziwiła się Ann, spoglądając przez przyciemnione szyby. Niewiele mogła zobaczyć z powodu mgły. – Nie zmierzamy w kierunku kwatery dowództwa zgrupowania lotniskowca. – Zwróciła się do kierowcy: – Dokąd jedziemy?

– Pochylnia siedemnasta, propani.

– Ale przecież mamy spotkać się z admirałem Clancym...? – powiedział Saint-Michael.

– Tak jest, sir. Pan admirał czeka na pana.

Ann wzruszyła ramionami.

– Te nabrzeża ciągną się kilometrami. Możemy rozsiąść się wygodnie, bo to będzie długa przejażdżka.

Baza nie była zbyt duża, ale magazyny, doki i budynki, pomiędzy którymi musieli kluczyć, spowodowały, że droga zdawała się nie mieć końca. Po dziesięciu minutach zatrzymali się przed przysłoniętą płotem częścią długiego, ciemnego, suchego doku. Dok wypełniała woda, po której pływały plamy oleju i jakieś śmieci, ale mimo wszystko nie wyglądała najgorzej. Basen napelniono wodą morską niedawno. Płot zasłaniał dok ze wszystkich stron, ale sądząc po czterocalowych linach holowniczych biegnących do napędzanych dieslami ciągników na nabrzeżu, statek, który był wewnątrz, musiał być ogromny.

Kierowca zatrzymał się u stóp wieżyczki wartowniczej usytuowanej sto jardów od doku, otworzył drzwiczki swoim pasażerom, zasalutował i szybko odjechał.

– To zaczyna być bardzo dziwne – powiedział Saint-Michael. – Zastanawiam się, co...

Nagle z głośników rozległ się głos syreny. Dwa szynowe wózki holownicze ruszyły z wolna, a frontowe wrota pomieszczenia zaczęły się otwierać.

– Myślę, że zaraz dowiemy się, o co chodzi.

Kiedy wrota otworzyły się na całą szerokość, wózki holownicze napięły liny i wśród kłębow spalin silników dieslowskich zaczęły wyciągać ukryty wewnątrz okręt. Kiedy wysunął się on parę stóp na zewnątrz, Ann nagle chwyciła Jasona za ramię.

– To jest *California!* – powiedziała. – Numer trzydzieści sześć. Sprowadzili *California* z powrotem do Oakland.

Jednak, w miarę jak okręt z wolna wysuwał się z pomieszczenia, stawało się jasne, że nie była to już ta sama *California*.

– Z trudem ją rozpoznaję. Popatrz: nie jestem pewna, ale myślę, że na dziobie umieszczone są podwójne wyrzutnie pocisków raketowych.

– I dwie wyrzutnie pocisków RAM na nadbudówce dziobowej – dodał. – Wszędzie też pełno dział... ale... cóż to jest, do diabła?!

California była już wysunięta nieco dalej niż do połowy, kiedy oboje ujrzeli wielką, nową konstrukcję tuż za masztami śródkręcia. Cztery masywne podpory, wysokie na kilkadziesiąt, szerokie na parę stóp, zajmowały całą rufową sekcję okrętu. Wydawało się, że okręt musiał zostać wydłużony w kierunku rufy, aby pomieścić te wielkie łapy.

Dwie wyrzutnie pocisków RAM zostały zamontowane pomiędzy łapami, aby zapewnić obronę sektora rufowego. Największe jednak wrażenie robiło nowe urządzenie na szczycie tej platformy: wielka, wydłużona tarcza, szeroka co najmniej na czterdzieści stóp i długa na pięćdziesiąt, usytuowana dłuższą osią równoległą do stępki okrętu. Miała ona dwa stalowe skrzydła złożone na wierzchu, z zawiasami po bokach, wsparte na siłownikach hydraulicznych.

– Co to jest, do diabła...! Nigdy czegoś takiego nie widziałem – zdziwił się Saint-Michael. – Wygląda na jakieś skrzydło, ale na okręcie bojowym marynarki...?

California została wyholowana całkowicie poza pomieszczenie warsztatowe i otaczające ją rusztowania, a następnie zatrzymana przez dwa wózki holownicze z tyłu. Trap został rzucony. Na brezentowych bokach miał znajomy napis USS CALIFORNIA, ale jego oznaczeniem nie było już CGN-36. Obecnie nosił symbol DWRS-36.

– No dobrze, przestańcie się już gapić i chodźcie tu! – usłyszeli z okrętu. Spojrzeli w górę, przesuwając wzrok po świeżo malowanych burtach, i ujrzeli admirała Clancy'ego, który wskazywał im trap. Zgodnie z etykietą marynarki oddali honory banderze na rufie, potem oficerowi na pokładzie i pospieszyli do trapu, gdzie powitał ich admirał.

– Proszę o pozwolenie wejścia na pokład, admirale – powiedział Saint-Michael, oddając mu honory. Clancy także zaszalutował.

– Właźcie tu do mnie. Czekałem cały dzień, aby wam to pokazać.

Musieli dobrze wyciągać nogi, by nadszyść za Clancym, który popędził na mostek, potem po balkoniku wychodzącym na rufę, ponad wielkim urządzeniem rozpostartym nad rufą *Californi*.

– Dobrze już, dobrze, admirale – powiedział Saint-Michael, kiedy w końcu zatrzymali się i patrzyli ponad wierzchem profilowanych, talerzowatych płyt zamontowanych na okręcie. – Co to wszystko ma być?

– Przyszłość, Jason.

Clancy zwrócił się do komandora porucznika czekającego za nimi.

– Włącznie to, komandorze.

– Tak jest, sir.

Chwilę później z głośnika zabrzmiało:

– Uwaga na pokładzie! Gotowość do rozłożenia skrzydeł tarczy.

Niski grzmot zaczął dobiegać z platformy od dołu. I nagle profilowane płyty zaczęły się poruszać, rozkładając się jak płatki gigantycznego kwiatu. W ciągu niecałej minuty opadły na swoje miejsce. To urządzenie stało się teraz wydłużonym talerzem, długim na sto stóp i szerokim na czterdzieści w najszerszym miejscu, z głębokim wcięciem w centrum. W środku znajdował się stożek odbiorczy. Na powierzchni talerza wymalowany był napis USS CALIFORNIA. Potem talerz zaczął powoli nachylać się i obracać, aż wycelowany został prawie dokładnie na południe, przy czym jego obrzeże prawie dotykało dwóch łap wspierających.

– Kawał dobrej roboty, nieprawda, Jason?

– Niezłe, admirale, ale co to jest?

– Nie odgadliście? – To, sir, jest mój nowy okręt dowodzenia i kontroli, klasy California SBR – powiedział, wskazując szerokim gestem na talerz. – A to urządzenie nadawczo-odbiorcze do transmisji danych pomiędzy okrętem a radarem orbitalnym SBR.

– A więc to jest odbiornik sygnałów SBR? Zdumiewające!

– Przeznaczony w stu procentach do wysyłania sygnałów i odbioru

przekazu danych SBR – objaśnił Clancy. – Cztery tysiące stóp kwadratowych anteny, ponad pięćdziesiąt ton – największa antena pływająca. Osłonięta i utwardzona przeciwko impulsom elektromagnetycznym i przystosowana do działania nawet w środowisku nuklearnym. Ale to jeszcze nie jest najlepsza część.

Ann i Saint-Michael znowu musieli się spieszyć, aby nadążyć za Clancym, który prowadził ich przez szereg włazów, obok członków załogi stojących na baczność, wzdłuż grodzi, do okrągłego pomieszczenia nazwanego „CIC”.

– To nowe centrum informacji bojowej CIC – admirał wskazał na środek pomieszczenia, gdzie znajdowała się okrągła, nieco wgłębiona platforma, jeszcze w trakcie montażu. – Na razie nie jest całkiem skończona, ale da wam obraz tego, czym będzie. Nazywamy ją DANCE, jakby była parkietem do tańca, na którym jednak nikt nie tańczy.

Prowadził ich do platformy, żeby mogli się jej przyjrzeć.

– DANCE to skrót od Digital Advanced Nearspace Communications Equipment. To coś wspaniałego, zapewniam was. To nowa wersja, na miarę dwudziestego pierwszego wieku, starych stołów sytuacyjnych, których używano na okrętach dowodzenia. Operatorzy z długimi kijami krupierskimi przesuwali na nich małe modele okrętów. DANCE jest w rzeczywistości poziomym ekranem, który wyświetla dane przekazywane z SBR, w trzech wymiarach. Mając taki ekran do dyspozycji, dowódca floty może otrzymać natychmiast trójwymiarową mapę obszaru wokół siebie, w promieniu tysięcy mil. Obrazy są przekazywane na ekran przez projektory laserowe, więc okręty i ich bloki danych liczbowych zdają się unosić w powietrzu w doskonałej zgodności z położeniem floty. Kiedy dane SBR nie są dostępne, obrazy mogą być unieruchomione albo komputer może przewidzieć pozycje okrętów lub samolotów i odpowiednio zaktualizować obraz sytuacji. Jesteśmy także w stanie integrować dane z radarów na okrętach i innych satelitów, tworząc mapę w czasie rzeczywistym... Ta wasza stacja i sprzęt zrobiły na mnie wrażenie. Ty i Ann ocaliliście tysiące istnień ludzkich. Kiedy zdałem sobie sprawę, że żaden z moich okrętów nie ma zdolności do pełnego wykorzystania sygnałów SBR, cóż, zdecydowałem, że powinniśmy poświęcić nasze środki na wybudowanie takiego okrętu jak najszybciej. Marynarka i Szefowie Połączonych Sztabów popierali mnie w całej pełni. Zresztą, do diabła, czy mieli inny wybór? Nowe centrum informacji bojowej na *Californi* powinno być gotowe za miesiąc – dodał Clancy, kiedy wychodzili z pomieszczenia CIC. – W ciągu następnego miesiąca

będziemy gotowi do pierwszego rejsu bojowego. – Doszli razem do relingu na lewej burcie koło trapu i zatrzymali się, aby przyjrzeć się składaniu wielkiej anteny odbiorczej SBR.

– Życzę panu powodzenia, admirale – powiedział Jason Saint-Michael. – To piękny okręt. *Silver Tower* powinna być w pełni sprawna w ciągu dwóch miesięcy i tak długo, jak *Archangielsk* i *Brezniew* pozostaną w rejonie Bliskiego Wschodu, będzie tam i nasza stacja...

– Czekaj, Jason, nie tak szybko! Ciągle jeszcze nie wiesz wszystkiego. Będę potrzebował kogoś szczególnego na pokładzie *Californi*. Kogoś, kto ma doświadczenie dowódcze i orientuje się w systemie SBR stacji *Armstrong*. Znam tylko jednego człowieka, który spełnia te wymagania.

– Czyżby pan mnie miał na myśli?!

– Do diabła, no jasne, że ciebie! Jako dowódca nowej sekcji SBR będziesz nadzorował wszystkie operacje, integrację floty i przeszkolenie do nowego systemu. Kopniakami zapędzimy skostniałą, starą marynarkę w dwudziesty pierwszy wiek.

W tej chwili szcęknął głośnik.

– Uwaga na pokładzie! Admirał Clancy, na mostek. Admirał Clancy, na mostek.

– Muszę lecieć, Jas. Czekam na twoją odpowiedź. Jak najszybciej! Musisz zaznajomić się ze swoim nowym stanowiskiem i przygotować do szkolenia w ciągu miesiąca. Ann, pani jest cudowna... Proszę przekazać ukłony matce. – Odwrócił się i zszedł na pokład.

– On jest trochę zwariowany – powiedziała Ann z uśmiechem. – Cóż, czy myślisz, że mógłbyś wytrzymać parę miesięcy na morzu z pięćdziesięcioletnim dzieciakiem?

– To zależy.

– Od czego?

– Od nas. – Wziął ją za rękę. – Bardzo chciałbym popłynąć, wiesz o tym. Ale chciałbym, żebyś ty, żebyśmy razem w tym uczestniczyli. Mogłabyś wrócić na stację i...

– Nie.

– Posłuchaj, Ann. Opuszczenie Dowództwa Kosmicznego niczego nie zmieni. Jeżeli planują przekształcenie stacji w zbrojną twierdzę, a Skybolta w broń zarówno ofensywną, jak i defensywną, i tak nie mamy na to wpływu. To slogan, zgoda, ale musisz działać wewnątrz systemu, a nie poza nim, jeżeli chcesz coś zrobić...

- A co ja mogę? Nie zmienię przecież decyzji różnych grubych ryb...
- Być może nie od razu, ale na pewno będziesz miała coś do powiedzenia. A oni będą musieli brać pod uwagę twoją opinię... W końcu nie wszystkie kruczki w tym laserze zostały jeszcze rozpracowane. Jesteś chyba jedyną osobą, która naprawdę wie, jak działa Skybolt... – Uśmiechnął się. – Przynajmniej wiedziałbym, że *Silver Tower* jest pod dobrą opieką.

Przysunęła się do niego.

- Chciałabym zaopiekować się tobą.
- Nie ma sprawy. Clancy może dać mi jeszcze parę dni. Moglibyśmy gdzieś pojechać, może do Acapulco, na wyspy Bahama, nad jezioro Tahoe...
- Panie generale... byłam w kosmosie. Czy nie możemy po prostu...
- Możemy – powiedział, obejmując jej ramię i dając znak kierowcy.

Ann nie była zbyt powściągliwa:

- Wszystko jedno, dokąd jedziemy, ale pospieszmy się!

Saint-Michael pochylił się do przodu i powiedział coś do kierowcy, po czym opadł w oczekujące na niego ramiona Ann.

SŁOWNICZEK

ADI (Attitude Director Indicator) – wskaźnik położenia w przestrzeni

AKSU – automat Kalasznikowa

APU (Auxiliary Power Unit) – pomocniczy zespół napędowy

ASM (Air-to-Surface Missile) – pocisk klasy powietrze-powierzchnia (ziemi lub wody)

ASROC (Antisubmarine Rocket) – rakieta-torpeda do zwalczania okrętów podwodnych

ASW (Antisubmarine Warfare) – broń do zwalczania okrętów podwodnych (ZOP)

AW ACS (Airborne Warning and Control System) – system wczesnego ostrzegania, którego stacje umieszczone są na samolotach

CAB (Contra-Air Battery) – bateria przeciwlotnicza

CIC (Combat Information Center) – bojowy posterunek informacyjny (na okręcie)

DIA (Defense Intelligence Agency) – Agencja Wywiadowcza Departamentu Obrony USA

EMER (Emergency) – stan zagrożenia, awaria

FLEETSATCOM (Fleet Satellite Communication System) – satelitarny system łączności marynarki wojennej USA

FLTSATCOM – jak wyżej

GCS (Guidance and Control System) – system naprowadzania i sterowania

GNC (Guidance and Navigation Computer) – komputerowy system nawigacyjny

GPC (General Purpose Computer) – komputer ogólnego przeznaczenia

GRU (Гłównoje Razwiedywatielnoje Uprawlenije) – radziecki wywiad wojskowy

HTS (Hypersonic Transportation System) – ponaddźwiękowy system transportowy

ICBM (Intercontinental Ballistic Missile) – międzykontynentalny pocisk balistyczny

IFF (Identification Friend or Foe) – urządzenie rozpoznawcze „swój-obcy”

IPL (Initial Program Load) – załadowanie programu inicjującego

JCS (Joint Chiefs of Staffs) – Kolegium Połączonych Sztabów

MIT (Massachusetts Institute of Technology) – wyższa uczelnia i placówka naukowo-badawczą w USA

MMU (Manned Manoeuvring Unit) – zespół manewrowo-napędowy (pozwalający kosmonaucie poruszać się w przestrzeni kosmicznej)

NORAD (North American Air Defense Command) – Zjednoczone Dowództwo Obrony Powietrznej północnoamerykańskiego kontynentu

OMS (Orbital Manoeuvring System) – system manewrowania na orbicie

PAM (Payload Assist Module) – pomocniczy moduł silnikowy do przenoszenia ładunków w kosmosie

POS (Personal Oxygen Set) – indywidualny aparat tlenowy

RCS (Reaction Control System) – układ sterowania odrzutowego

ROTC (Reserve Officers Training Corps) – Szkoła Oficerów Rezerwy

SAM (Surface to Air Missile) – pocisk sterowany klasy ziemia-powietrze

SATCOM (Satellite Communications Agency) – system łączności satelitarnej

SLBM (Sea-Launched Ballistic Missile lub Submarine-Launched Ballistic Missile) – rakiety balistyczne odpalane z okrętów nawodnych albo podwodnych

SOW (Stand-Off Weapon) – broń o przedłużonym zasięgu, pozwalająca atakować nieprzyjaciela z większych odległości

STS (Space Transportation System) – kosmiczny system transportowy

TDRS (Target Detection and Recognition System lub Tracking and Data Relay Satellite) – system wykrywania i rozpoznawania celów albo satelitarny system śledzenia i przekazywania danych

VTOL (Vertical Take Off and Landing) – samolot pionowego startu i lądowania

WESTAR (Waterways Experiment Station Terrain Analyzer Radar) – eksperymentalny radar impulsowy analizujący obraz rzeźby terenu.